

## W serii ukazały się:

Jane Austen  
*Duma i uprzedzenie*

*Emma*

*Lady Susan, Wasonowie, Sanditon*

*Mansfield Park*

*Opactwo Northanger*

*Perwazje*

*Rozważna i romantyczna*

Charlotte Brontë  
*Dziwne losy Jane Eyre*

Emily Brontë  
*Wichrowe Wzgórze*

*Wichrowe Wzgórze*

Charles Dickens  
*Kłęb Piczkwica*

Jaroslav Hašek

*Przygody dobrego wojaka Szewyka  
podczas wojny światowej*

Henry James  
*Portret damy*

Joseph Sheridan Le Fanu  
*Stryj Silas*

Jack London  
*Małenka Pani Wielkiego Domu*

Matthew Gregory Lewis  
*Mnich*

Lew Tolstoj  
*Anna Karenina*

Anthony Trollope  
*Rodzina Palliserów*

Evelyn Waugh  
*Znowu w Brideshead*

Emile Zola  
*Wszystko dla pań*

Charles Dickens

453574

# Wielkie nadzieje

Przełożyła Karolina Beylin

KLASYKA POWIEŚCI



Biblioteka Uniwersytecka w Warszawie



1000167972

Proszynski i S-ka

Warszawa 1999



765574

Tytuł oryginału  
GREAT EXPECTATIONS

Tekst oparto na wydaniu  
„Książki i Wiedzy”, Warszawa 1951

Projekt graficzny serii  
Katarzyna Gintowt

Projekt okładki  
Barbara Kopeć-Uniastowska

Na okładce wykorzystano fragment obrazu  
Caspara Davida Friedricha „Widok portu”

Redaktor prowadzący serię  
Barbara Kopeć-Uniastowska

Redakcja językowa  
Malina Kluzniak

Redakcja techniczna  
Elzbieta Babińska

Łamanie komputerowe  
Anna Płanka

Korekta  
Jadwiga Przecezek

ISBN 83-7180-523-3

Klasyka Powieści

Wydawca  
Prószyński i S-ka SA  
02-651 Warszawa, ul. Garażowa 7

Druk i oprawa  
Opolskie Zakłady Graficzne SA  
45-085 Opole, ul. Niedziałkowskiego 8-12



## Rozdział pierwszy



Nazwisko mojego ojca brzmiało Pirtip, a mnie dano imię Filip. Mój dziecienny język nie potrafił oddać wyraźnie tych dwu dźwięków i stapał je w krótkie miano Pip. Nazwałem więc sam siebie Pipem i wszyscy zaczęli tak mnie nazywać.

Podaje, że mój ojciec nosił nazwisko Pirtip na odpowiedzialność napisu na nagrobku, oraz siostry mojej, zony kowala Joeego Gargery. Ponieważ nigdy nie widziałem ojca ani matki, ani żadnej ich podobizny (w owych czasach nie widziano jeszcze nic o fotografii), moje pierwsze wyobrażenie o rodzicach i o ich wyglądzie wiązało się, nie wiadomo czemu, z ich nagrobkami. Kształt liter na kamieniu nagrobkowym mego ojca nasunął mi dziwną myśl, że był to krępy, kwadratowy mężczyzna o ciemnych wijących się włosach. Z rodzaju i charakteru liter napisu: *A także Georgiana, małżonka powyższego*, wyciągnąłem dziecienny wniosek, że matka moja musiała być piegowata i słabowita. Pięciu kamiennym tabliczkom, umieszczonym równym rządkiem na grobie (każda z nich miała około półtorej stopy długości i poświęcona była pamięci moich pięciu braciśków, którzy zbyt wczesnie zrezygnowali z walki o życie), zawdzięczam niemal religijną wiarę, że urodzili się oni leżąc ma grzbiecie z rękami w kieszeniach spodenek i nigdy nie zmieniali pozycji.

Nasza okolica była bagnista i rozciągała się wzdłuż wijącej się rzeki, o dwadzieścia mil od morza. Moje najwcześniejsze

wyraźne wspomnienie tyczy się pewnego późnego, pochmurnego popołudnia.

Zdałem sobie wówczas w całej pełni sprawę, że zarosnięta pokrzywami posepna przestrzeń to cmentarz, że Filip Pirrip, nieboszczyk z tej parafii, a także Georgiana, małżonka powyższego, zmarli i zostali pochowani, że Aleksander, Bartłomiej, Abraham, Tobiasz i Roger, ich synowie, również nie żyją i spoczęli w grobie. Ze ciemne, płaskie pustkowia za cmentarzem, poprzecinane groblami, kopcami i zagrodami, gdzie pasło się bydło, to bagniska. Ze ciemna smuga na horyzoncie to rzeka, że odległy, dziki żywioł, od którego wieje porywisty wiatr, to morze, i że mały, drżący ze strachu tłumoczek, który nagle wybuchnął płaczem, to Pip.

– Cicho bądź! – wrzasnął straszliwy głos i spomiędzy grobów koło kościoła wyskoczył nagle mężczyzna. – Cicho, ty mały diable, bo poderżnę ci gardło!

Straszny człowiek w szarym ubraniu z grubego sukna, z łańcuchem brzęczącym mu u nogi. Człowiek bez kapelusza, z głową owiazaną szmatą, w podartych butach na nogach. Człowiek ociekający wodą, zabłocony, poraniony kamieniami, podrapany żwirem, poparzony pokrzywami, pokłuty cierniami. Człowiek kulejący, drżący, który rzucił wokół siebie przerażone spojrzenia i miotał przekleństwa. Człowiek, którego zęby szczykały głośno, gdy chwycił mnie pod brodę.

– O, niechże mi pan nie podrzyna gardła – błagałem zalekniwny – proszę, niech pan tego nie czyni, panie!

– Jak się nazywasz, gadaj! – powiedział człowiek – prędko! – Pip, panie.

– Jeszcze raz – powtórzył, wpatrując się we mnie – gadaj, gadaj. – Pip, Pip, panie.

– Pokaż, gdzie mieszkaś. Pokaż palcem to miejsce.

Wskazałem miejsce, gdzie znajdowała się nasza wioska, na płaskim brzegu rzeki, wśród olch i żywopłotów, o milę lub więcej od kościoła.

Teraz nieznajomy odwrócił mnie i wypróżnił mi kieszenie. Nie było w nich nic prócz kawałka chleba. Gdy kościół wrócił

do swej pozycji – gdyż przez chwilę ten człowiek, taki silny i okropny, przekreślił kościół tak, że widziałem dzwonnice u swoich stóp – więc gdy kościół wrócił do zwykłej pozycji, okazało się, że siedzę na nagrobku, cały drżący, a mój oprawca zajada żarłocznie chleb.

– Ty szczeniaku – zapytał mężczyzna, obлизując wargi – skąd masz takie tłuste policzki?

Rzeczywiście miałem wówczas okragłe policzki, mimo że na mój wiek byłem nieduży i raczej słaby.

– Do diabła, zjadłbym je chętnie – zauważył, potrząsając groźnie głową. – Mam na nie wielką ochotę.

Poważnie wyraziłem nadzieję, że tego nie uczyni, i coraz mocniej tuliłem się do nagrobka, na którym siedziałem, po to, by nie spaść, i po to, by powstrzymać się od płaczu.

– Więc słuchaj – odezwał się nieznajomy. – Gdzie jest twoja matka?

– Tutaj, panie – odparłem.

Skoczył gwałtownie w tył i obejrzał się przez ramię.

– Tutaj, panie – powtórzyłem nieśmiało. – „A także Georgiana” to moja matka.

– O – zawołał, cofając się o krok – a czy to twój ojciec, ten obok niej?

– Tak, panie – odparłem – to on „nieboszczyk z tej parafii”.

– Ha – mruknął i zaczął się zastanawiać. – Więc u kogo mieszkaś i dokąd się udasz, o ile naturalnie pozwolę ci jeszcze żyć, a to niezdecydowana sprawa...

– U siostry, panie, u pani Gargery, żony Joego Gargery, kowala, panie.

– Kowala? tak? – powtórzył, patrząc na swą nogę.

Rzucił jeszcze parę ponurych spojrzeń na nogę, potem na mnie. Wreszcie podszedł blisko do grobowej płyty, na której siedziałem, wziął mnie za oba ramiona i przechylił w tył tak daleko, jak tylko pozwalała na to długość jego rąk. Czy jego utkwione były władczo w moich, a moje, pełne strachu, w jego żrenicach.

– A teraz słuchaj, od tego zależy twoje życie. Wiesz, co to pilnik?

– Tak, panie.

– A wiesz, co to żywność?

– Tak, panie.

Po każdym pytaniu przeginał mnie mocniej w tył po to, bym czuł się bardziej bezradny i przerażony.

– Przyniesiesz mi pilnik – potrząsał mną znowu – i przyniesiesz mi żywność – znów mnie przechylił – przyniesiesz mi tutaj jedno i drugie – szarpał mną – inaczej wyrwę ci serce i wątrobę. – Potrząsał mną raz jeszcze.

Byłem okropnie przerażony i kręciło mi się w głowie tak bardzo, że uczepiłem się kuczowo jego ręki. Prosiłem:

– Jeżeli pan będzie tak łaskaw i puści mnie, to może przestanę mnie mdlić i będę mógł lepiej słyszeć, co pan mówi.

Przegiął mnie i zawinał mną młynka tak, aż kościół fiknął koźła i zakręcił się wokół własnego kurka na wieży. Potem ten okropny człowiek postawił mnie pionowo na płycie grobowej i wygłosił następujące straszne słowa:

– Przymiesiesz mi jutro rano pilnik i żywność, dużo żywności. Będę czekał na ciebie tam, przy tej starej forteczce. Zrobisz to i nie piśniesz o niczym ani jednego słowa. Nie okazesz mrużeniem oka, żeś widział osobę podobną do mnie. Tylko pod tym warunkiem będziesz żył. Jeżeli jednak nie posłuchasz mnie, choćby w najmniejszym drobiazgu, wyrwę ci serce i wątrobę, upiekę i zjem. Nie myśl, że jestem tutaj sam. Niedaleko ukrywa się jeden młody człowiek, w porównaniu z którym ja jestem aniołem. Ten młody człowiek słyszy to, co ja teraz mówię. Ma on szczególny, tajemniczy, jemu tylko wiadomy sposób wytrywania chłopcom wątroby i serca. Chłopiec może zaryglować drzwi, położyć się do ciepłego łózka, otulić się kołdrą, naciągnąć ją na głowę, może być przekonany, że jest bezpiecznie schowany, ale ów młody człowiek wśliznie się i tak, bez szelestu, do niego, otworzy mu brzuch. Na razie powstrzymuję tego młodego człowieka od robienia ci krzywdy, ale przychodzi mi to z trudnością. No, co ty na to?

Odpowiedziałem, że wezmę pilnik i co zdołam zebrać z zapasów, i przyniosę mu to rano do forteczki.

– Powiedz: „Niech Bóg pokarze mnie śmiercią, jeżeli tego nie zrobię” – rozkazał mi mężczyzna.

Powiedziałem to i wówczas postawił mnie na ziemi.

– A teraz – upominał – pamiętaj, co obiecałeś, pamiętaj o owym młodym człowieku i idź do domu.

– Doo-bra-nooc panu – wyjąkałem.

– Jak tu okropnie – odparł, patrząc na wilgotną i wietrzną równinę – chciałbym być zabą albo wegorem.

To mówiąc, przycisnął do drżącego ciała ramiona, jakby dla rozgrzewki, i kulejąc szedł ku muirowi kościelnemu. Patrzyłem za nim, jak torował sobie drogę wśród pokrzyw i głogów zarażających cmentarz, i przez chwilę zdawało się myn oczom, że ogania się w ten sposób przed rękami umarłych, które wyciąga ją się ku niemu z grobów, by schwytać go za tydki i wciągnąć pod ziemię. Doszedłszy do muru kościelnego, przesadził go jak ktoś o zdętwiałych i sztywnych nogach i wówczas raz jeszcze obejrzał się na mnie. Kiedy to zobaczyłem, odwróciłem twarz w stronę domu i jak najszybciej zrobiłem użytek z nóg. Ale zerkaając przez ramię widziałem, jak szedł ku rzecce, wciąż tuląc do siebie ramiona i wyszukując obolnymi nogami kamienie, położone na bagnisku dla umożliwienia przejścia podczas rzęsisistych deszczów lub przypiływu.

Gdy zatrzymałem się po chwili, by raz jeszcze się za nim obejrzeć, bagniska wydały mi się ciemną poziomą linią, a rzeka jeszcze jedną poziomą kreską, choć mniejszą i mniej od tamtej wyraźną. Niebo przedstawiało mi się jak przestzeń poorana krwawymi i ciemnymi pręgami. Na brzegu rzeki rozróżniałem już teraz tylko dwa ciemne przedmioty. Jednym z nich była łata marmorska przypominająca beczkę o rozluźnionych obręczach, umieszczona na słupie i z bliska ogromnie niezdarza i brzydka. Drugi stanowiła stara szubienica ze zwisającymi tańcuchami, na której powieszono niegdyś pirata. Mężczyzna, kulejąc, szedł ku niej, jak gdyby był owym wskrzeszonym piratem

i chciał się ponownie sam powiesić. Ta myśl przeraziła mnie okropnie i patrząc na pasące się bydło, które podnosiło ku niemu głowy, zastanawiałem się, czy i ono tak myśli. Rozejrzałem się, czy nie zobaczę gdzie owego okropnego mfodego człowicka, którym straszyl mnie nieznajomy. Ale mimo że nie widziałem go w poblizu, przeraziłem się tak bardzo na samą myśl, że pobiegiłem pędem do domu.

## Rozdział drugi



Siostra moja, żona Joego Gargery, była ode mnie starsza o lat przeszło dwadzieścia i słynęła wśród sąsiadów z tego, że wychowała mnie „własnoręcznie”. Zastanawiając się wówczas, co mogłoby to znaczyć, i wiedząc, że siostra moja ma bardzo ciężką rękę zarówno w stosunku do mnie, jak i do swego męża, doszedłem do wniosku, że musiała nas obu wychować „własnoręcznie”.

Siostra moja nie była ładną kobietą i miałem wrażenie, że „własnoręcznie” zmusiła Joego, by się z nią ożenił. Joe, przy stojny mężczyzna, miał jasne kędziory, okalające łagodną twarz, i oczy, w których niezdecydowany błękit mieszał się z barwą białek. Był to łagodny, cierpliwy, dobry i łatwy w obejściu prostak, coś w rodzaju Herkulesa, zarówno w sile, jak i słabości.

Siostra moja miała czarne oczy i włosy i tak czerwoną skórę policzków, że nieraz zastanawiałem się, czy nie używa tarki zamiast mydła. Wielka i koścista, nie rozstawała się prawie nigdy z grubym fartuchem, który zawiązywała z tyłu na dwie kokardy i którego groźny kwadrat jeżył się na piersiach szpilkami i igłami. Nieustannie noszenie tego fartucha poczytywała sobie za wielką zasługę, a Joemu robiła gorzkie wyrzuty, że skazuje żonę na taki strój. Nigdy nie rozumiałem, dlaczego uważała, że musi chodzić w tym fartuchu, i dlaczego nie zdejmowała go, kiedy jej się podobało.

Kuźnia Joeego graniczyła z naszym domkiem zbudowanym z drzewa, jak większość ówczesnych domów mieszkalnych w kraju. Gdy wróciłem pędem z cmentarza, zastałem kuźnię już zamkniętą i Joeego siedzącego samotnie w kuchni. Joe i ja byliśmy towarzyszącymi niedoli i nieustannymi spiskowcami, toteż nie zdążyłem jeszcze zamknąć drzwi, gdy zwierzył mi się z czegoś w tajemnicy.

– Twoja siostra – powiedział, nie wstając ze swego miejsca przy kominku – szukała cię i wybiegała już dwanaście razy na dwór, a teraz wyszła po raz trzynasty. Pip.

– Doprawdy?

– Tak, Pip, i co gorsza zabrała ze sobą „Łaskota”.

Na tę okropną wieść zacisnąłem palce na jedynym guziku kurtki i kręciłem nim w przerażeniu, patrząc w ogień z rozpaczą. Łaskot był to kij Joeego, o lśniącym końcu wyglądającym od łaskotania mojej osoby.

– Tak – mówił Joe – najpierw usiadła, potem zerwała się, chwyciła Łaskota i wściekła wybiegła na dwór. Wyleciała wściekła, Pip. Wypadła jak bomba – zakończył, rozgarniając płonące polana pogrzebaczem.

– Czy dawno wybiegła, Joe? – spytałem takim tonem, jakim mówi się do dziecka. Nigdy nie traktowałem Joeego inaczej niż jak mego rówieśnika.

Joe rzucił okiem na holenderski zegar i powiedział:

– No, ostatnim razem wyleciała jakie pięć minut temu, Pip. Ale właśnie nadchodzi. Schowaj się za drzwi, przedko, zakryj się ręcznikiem.

Usłuchałem go. Moja siostra, wbiegając, otworzyła szeroko drzwi, a poczuwszy za nimi jakąś przeszkodę domyśliła się natychmiast prawdy i zaaplikowała mi Łaskota. Potem schwyła mnie i, jak to często czyniła, cisnęła niby paczkę do Joeego. Kowal złapał mnie w locie i ukrył za kominkiem, odgradzając od zony swą długą nogą.

– Gdzie byłeś, ty malpiszonie? – krzyczała siostra, tupiąc nogą. – Gadaj mi zaraz, gdzieś się włóczył, podczas kiedy ja psułam

sobie krew z niepokoju. Gadaj, bo cię wyciągnę z tego kąta, choćby na twoim miejscu znalazło się pięćdziesięciu Pipów chronionych przez pięćuset Gargerych!

– Byłem tylko na cmentarzu – wyznałem, szlochając i rozcierając sobie ciało.

– Na cmentarzu – krzyknęła – od dawna spoczywałbyś na cmentarzu, gdyby mnie nie było na tym świecie. Kto cię własnoręcznie wychował, kto? gadaj!

– Tyś mnie wychowała – jęknąłem.

– A dlaczego to zrobiłam, chciałabym wiedzieć?

– Nie wiem – zaskomliłem.

– I ja także tego nie wiem! – krzyczała. – Wiem tylko, że od chwili twego przyjścia na świat nie zdjęłam z siebie tego fartucha. I wiem także, jak okropnie być żoną kowala (i w dodatku Gargery’ego), nawet gdy się nie jest twoją matką!

Myśli moje nagle oderwały się od tej sprawy, gdy spoglądałem smutnie w ogień. Z żarzących się węgli wyprytnął ku mnie uciekinier na bagnisku, jego noga okuta w łańcuchy, tajemniczy młody człowiek, pilnik, żywność, straszliwe zobowiązanie i zmora przestępstwa, które miałem popełnić pod tym gościnnym dachem.

– Ha! – wrzasnęła moja siostra, odstawiając wreszcie kij na miejsce – cmentarz! Możecie gadać o cmentarzu, wy dajaj! – Jeden z nas co prawda nie wspominał nawet o cmentarzu. – Wiem, że to mnie odprowadzicie wkrótce na cmentarz! Piękna z was zostanie para po mojej śmierci!

Podczas gdy siostra przygotowywała teraz herbatę, Joe rzucił na mnie ponad swą wyciągniętą nogą badawcze spojrzenie, jak gdyby chciał sprawdzić, jaką to parę będziemy stanowili w owych oplakanych okolicznościach. Potem pogładził się po jasnych kędziorach i inianych faworytach i wodził niebieskimi oczyma za żoną. Czynił to zawsze podczas burzliwych zajęć.

Moja siostra miała szczególny, jej właściwy sposób krajania dla nas chleba. Przyciskata lewą ręką bochenek do piersi, przy czym niekiedy pozostawała w chlebie szpilka lub igła, którą

znajdowaliśmy w czasie jedzenia. Potem brała na koniec noża niewielką ilość masła i smarowała całą powierzchnię bochenka takim ruchem, jak aptekarz smaruje plastry. Używała przy tym bardzo zręcznie obu stron ostrza, zeszkrobując i wygładzając masło na skórcie. Następnie potężnym ciosem krajała duży kawałek z bochna i przedzieliwszy go nożem na połowy, wręczała Joeemu i mnie.

Mimo że chciało mi się ogromnie jeść, nie byłem pewien, czy mam prawo spożyć ten chleb. Czuję, że muszę zostawić coś dla mego okropnego znajomego i jego jeszcze okropniejszego towarzysza. Wiedziałem, że moja siostra jest skrzętną gospodynią i że nie uda mi się nic zwędzić ze spizarni. Toteż postanowiłem wsunąć sobie kromkę w nogawkę spodni.

Wykonanie tego postanowienia kosztowało mnie bardzo wiele... Było to tak, jak gdybym się zdecydował skoczyć z dachu wysokiego domu albo dać nurka w głęboką wodę. Sprawę pogarszała jeszcze nieświadomość Joego. Jako oddani sobie towarzysze niedoli – szwagier był mi dobrym kolegą – mieliśmy zwyczaj porównywać postępy czynione przez obu przy zjadaniu chleba. Od czasu do czasu wyciągaliśmy wzajemnie ku sobie nadgryzione kromki i podziwialiśmy jeden drugiego, co dawało nam bodźca do dalszych zabiegów. Tego wieczoru Joe kilkakrotnie zapraszał mnie do zwykłego przyjacielskiego współzawodnictwa pokazując, jak szybko znika jego porcja chleba, lecz za każdym razem widział, że na jednym kolanie trzymam żółty kubek z herbata, a na drugim – nietkniętą kromkę chleba z masłem. Wreszcie doszedłem do rozpaczliwego wniosku, że muszę wykonać powzięte postanowienie, i to tak zręcznie, jak wymagały tego okoliczności. Wybrałem chwilę zaraz po spojrzeniu Joego, rzuconym w moją stronę, i wsunąłem chleb w nogawkę.

Joe był najwyraźniej zdziwiony moim brakiem apetytu i w zamyśleniu odgryzł kawałek chleba, który najwidoczniej mu nie smakował. Trzymał go potem przez czas dłuższy w ustach, zastanawiając się nad nim głęboko, żuł powoli i nagle przełknął jak pigułkę. Właśnie zabierał się do odgryzienia następnego kę-

sa i przechylit głowę na bok, jak gdyby lepiej się do tego rozpedzając, gdy wzrok jego padł na mnie i wtedy ze zdumieniem zobaczył, że mój kawałek zniknął.

Ostupienie, z jakim mi się przyglądał, było tak widoczne, że nie mogło ujść uwagi mej siostry.

– Co tam znowu? – spytała uszczypliwie, stawiając filizankę.  
– No, wiecie – zamruczał Joe, kręcąc nade mną głową ze smutkiem. – Pip, staruszk, jeszcze sobie zaszkodzisz. To nie zdrowo, na pewno utkwiał ci gdzieś. Nie mogłeś go pogryźć?  
– Nie rozumiem, o co chodzi – powtórzyła tym razem ostrzeżmoja siostra.

– Jeżeli uda ci się wypłuć jeszcze choćby kawałek, Pip, to zrób to, proszę cię. Dobre maniere swoją drogą, ale zdrowie jest ważniejsze.

Siostra straciła cierpliwość. Zerwała się, chwyciła Joego za bokobrody i zaczęła walić jego głową o ścianę, podczas gdy ja siedziałem w kącie i patrzyłem na to w poczuciu winy.

– Teraz może powiesz wreszcie, o co chodzi – zawołała siostra, ledwie dysząc z wysiłku – zamiast wytrzeszczać na mnie oczy, ty nadęta świni.

Joe spojrział na nią przestraszony, ugryzł kęs chleba i z wypchanym policzkiem zwrócił się do mnie takim tonem, jak gdybyśmy byli tylko we dwóch w pokoju.

– Ty wiesz, Pip – powiedział – że zawsze trzymam z tobą i że ostatni bym na ciebie naskarzył, ale... tak tykać!

Tu odsunął krzesło, spojrział na kawałek podłogi między nami i znów podniósł oczy na mnie.

– Co? – krzyknęła moja siostra – więc znowu tykał jak zwierzę?

Joe, nie patrząc na nią, tylko na mnie, ciągnął uroczyście:

– I ja także, kiedy byłem w twoim wieku, tykałem jedzenie bez zucia, widywałem też wielu podobnych żarłoków, ale czegoś podobnego nie widziałem. To łaska boska, żeś się nie udławił na śmierć.

Siostra skoczyła ku mnie, schwyciła mnie za włosy i rzuciła złowrogie słowa:



– Pójdiesz ze mną i dam ci lekarstwo.

Jakiś potworny lekarz ogłosił w tym czasie wodę z dziegiem jako uniwersalne lekarstwo na wszystkie choroby i siostra moja miała zawsze mały zapas tego specjału w filizance w kuchni, wierząc święcie, że skuteczność jego jest równa jego obrzydliwemu smakowi.

Niekiedy otrzymywałem taką ilość tego pokrzepiającego środka, że miałem uczucie, jakobym pachniał niczym świeżo wysmottowany piot. Tego wieczoru siostra zaaplikowała mi ten płyn, wlewając go w gardło, podczas gdy trzymała głowę moją pod pachą, jak but do czyszczenia. Joe musiał wypić kwaterkę. Uczył się z przykrością, odrywając się od powolnego przeżuwania i dumania przed kominkiem, a siostra twierdziła, że mąż musi zazyć lekarstwo, bo „nim trzęsie”. Ja raczej miałem wrażenie, że dopiero gdyby odmówił wypicia, trzęsłoby nim porządnie.

Wyrzuty sumienia są straszne, czy dreczą dorosłego, czy małego chłopca. Ale gdy u dziecka do tego tajemnego ciężaru dołącza się jeszcze tajemny ciężar w nogawce spodni, to (mogę to zaświadczyć) straszliwa męka.

Okropne poczucie winy związane z myślą, że oto będę musiał obrabować siostrę (nigdy nie przychodziło mi na myśl, że obrabuję Joeego, bo nie uważałem go za właściciela gospodarstwa), a w dodatku nieustanne przytrzymywanie ręką chleba z masłem w nogawce spodni, kiedy siadałem lub ilekroć posyłało mnie po coś do kuchni – wszystko to przygotowało mnie o szaleństwo.

Chwilami, gdy wichur wiejący od baigniska rozżarzał węgle w kominku, zdawało mi się, że słyszysz ze dworu głos człowieka z łańcuchem na nodze, głos, który zaklina mnie o dochowanie tajemnicy i woła, że nieznajomy nie będzie zdychał z głodu do jutra, ale że muszę mu natychmiast przynieść, com obiecał. Chwilami znowu zastanawiałem się, co będzie, jeśli ów okropny młody człowiek, którego z takim trudem wstrzymywano od rzużenia się na mnie, straci nagle cierpliwość lub pomylił postawione mi terminy i zabierze się dziś w nocy do mej wątroby i serca. Jeżeli to możliwe, żeby włosy stawały dęba na głowie ze strachu, to

moim przydarzyło się to tego wieczoru. Ale być może włosy ludzkie tego nie potrafią.

Nazajutrz wypadła święta Bożego Narodzenia i siostra Kazia mi mieszać miedzianą tyżką dodatki do puddingu. Miałem to robić od siódmej do ósmej według holenderskiego zegara. Usiłowałem wykonać to z brzemieniem na nodze, co przypomniało mi o człowieku, który również dźwigał brzemień u nogi. Wreszcie, korzystając z pierwszej okazji, pobiegłem do siebie na poddasze i tam złożyłem tę cząstkę mego nieczystego sumienia.

– Słuchaj – zwróciłem się do Joeego, gdy skończywszy robotę z puddingiem grzałem się przy kominku w oczekiwaniu chwili, kiedy poślą mnie do łózka – czy to strzelano z armaty?

– Ach – odpart Joe – widocznie znowu jakiś skazaniec zwiat. – Co to znaczy, Joe? – spytałem.

Moja siostra, która zawsze na siebie brała obowiązki odpowiadania na pytania, powiedziała burkliwie:

– Uciek! uciek!

I objaśnienie to zaaplikowała mi niczym wodę z dziegiem.

Gdy po chwili siostra opuściła głowę nad robotą, zadałem Joemu samym ruchem ust pytanie: „Co to znaczy skazaniec?”. Joe odpowiedział mi w ten sam sposób, ale tak, że zrozumiałem tylko ostatni wyraz: „Pip”.

– Zesłej nocy zwiat jeden skazaniec zaraz po wieczornym wystrzale armatnim – ciągnął Joe – i wtedy wypalili dla ostrzeżenia. A teraz chyba zawiadamiają o ucieczce drugiego i dlatego wystrzelili.

– Kto wystrzelił? – dopytywałem się.

– Do diabła z tym chłopakiem – przerwała moja siostra, spoglądając na mnie i marszcząc brwi – co to za nudziarz. Nie nudź pytaniami, to nie dowiesz się kłamstw.

Pomyślałem, że nie jest zbyt uprzejma wobec samej siebie, skoro przyznaje, że w odpowiedzi na moje pytania raczy mnie kłamstwami. Ale moja siostra nigdy nie była uprzejma, chyba przy gościach.

W tej chwili Joe podniecił moją ciekawość przez to, że kunsztownie otworzywszy usta, wymówił bezgłośnie jakiś wyraz, który, zdawało mi się, brzmiał: „Gdera”.

Odpowiedziałem mu w tenże sposób, wskazując jego żonę: „Ona?”, ale jego długiej odpowiedzi na ten temat już nie pojąłem.

– Chciałbym wiedzieć – zwróciłem się z ostatnią próbą wprost do siostry – jeżeli się na mnie nie rozniewasz, chciałbym wiedzieć, kto to strzelał?

– Boże, błogosław to dziecko! – krzyknęła moja siostra takim tonem, jak gdyby pragnęła czegoś wręcz odwrotnego. – To strzelali na galerach.

– Och – powiedziałem, patrząc na Joego – na galerach!

Joe chrząknął z wyrzutem, jak gdyby chciał dać mi do zrozumienia, że on mówił to samo.

– Proszę, co to znaczy galery?

– Zawsze to samo z tym chłopakiem – krzyknęła siostra, wskazując na mnie igłą z nitką. – Odpowiedz mu na jedno pytanie, zada ci jeszcze tuzin. Galery to są statki-więzienia, zaraz na wprost naszych bagnisk.

– Nie wiem, kogo wsadzają na te statki-więzienia i za co tam się ludzie dostają – badałem ogólnikowo z cichą rozpaczą w głosie.

Tego już było za wiele mojej siostrze. Zerwała się z miejsc. – Wiesz, co ci powiem, szczeniaku, że nie po to wychowałam cię własnoręcznie, abys mordował ludzi pytaniami. Gdybym cię po to wychowała, zasłużyłabym sobie na naganę, a nie na nagrodę. Ludzi wsadzają na galery za to, że popełniają zbrodnie, rabują, oszukują i robią różne złe rzeczy. I zawsze zaczynają od zadawania pytań. A teraz marsz do łózka!

Nie dawano mi nigdy świecy, gdy szedłem spać, i idąc na górę w ciemnościach z bolącą głową, gdyż siostra wybiła mi na ciemieniu palcem uzbrojonym w napaśtek akompaniament do ostatnich wyrazów, czułem doskonale, że galery gotowe są już, by mnie przyjąć, i że prosto do nich zmierzam. Zadawałem pytania, a teraz zamysłam okraść moją siostrę.

Często od tamtej odległej chwili rozważałem, jak mało ludzie wiedzą o tym, że dzieci potrafią utrzymać największą tajemnicę pod wpływem strachu. Owładnął mną wówczas okropny lęk przed młodym człowiekiem czyhającym na moje serce i wątrobę, okropny lęk przed więźniem z zakutą nogą, okropny lęk przed samym sobą z powodu obietnicy, jaką ode mnie wydarto. Nie łączyłem żadnych nadziei z osobą siostry, która mnie zawsze od siebie odpychała. Przerazała mnie teraz myśl, do czego wówczas byłem zdolny pod wpływem strachu.

Jeśli tej nocy zasnąłem, to chyba po to tylko, by znaleźć się we śnie na brzegu wezbranej wiosennej powodzią rzeki i iść w stronę galer. Jakis upiorny rozbójnik przemawiał do mnie przez trąbę, nawołując mnie, gdym przechodził obok szubienicy, bym lepiej sam się natychmiast powiesił. Lękałem się zasnąć twardo, bo wiedziałem, że muszę o pierwszym brasku zerwać się i obrabować spizarnię. Nie mogłem nawet marzyć, by zrobić to w nocy, bo nie miałem światła, a po to, by wykrzesać iskrę z krzesiwa, musiałbym narobić hałasu podobnego do brzęku kajdan u nogi galernika.

Toteż kiedy tylko ujrzałem przez okienko, że aksamitna, czarna zasłona nocy szarzeje, zerwałem się i zeszedłem po schodach. Każda deska stopnia i każde skrzypnięcie zdawało się mówić: „Łapać złodzieja!” lub „Wstawaj, pani Gargery!”.

W spizarni, znacznie obficie zaopatrzonej z powodu świąt niż zwykle, przeraziłem się zająca zawieszono za nogi, gdyż wydawało mi się, że mrugnął ku mnie porozumiewawczo. Nie miałem jednak czasu tego sprawdzić, nie miałem czasu wybierać ani szukać, nie mogłem stracić ani minuty. Zabrałem bochenek chleba, skórkę sera, pół stoja nadzienia do pasztetu, które zawiązałem razem z wczorajszą kromką w chustkę do nosa, trochę wódki, którą odlałem z kamiennego gąsiora do szklanej butelczki przyniesionej z mego pokoiku (potajemnie używałem jej do wyrobu napoju wysokokowego z lukrecji), jakąś kość z resztkami pieczonego mięsa i wspaniały, okrągły, świetnie wypieczony pasztet wieprzowy. Już wychodziłem, zresztą bez pasz-

tehu, kiedy skusiłem się, by zobaczyć, co też stoi oddzielnie na górnej półce w kamiennym misie. Kiedy zobaczyłem pasztet, zdecydowałem go zabrać w nadziei, że nie jest przeznaczony na rychtę zjedzenie, a więc brak jego nieprędko się okaże.

Z kuchni prowadziły drzwi wprost do kuchni. Wszedłem tam i zabrałem Joemu pilnik, który wyszukałem w pudle z narzędziami. Potem otworzyłem drzwi, przez które wróciłem poprzedniego wieczoru do domu, i zamknąwszy je za sobą starannie, wybiegłem ku zamglonemu bagnisku.

## Rozdział trzeci



Ranek był zimny i bardzo wilgotny. Widziałem wilgoć na szybie mojego okienka; wyglądało to tak, jak gdyby jakiś chochlik płakał pod oknem przez całą noc i używał szybki zamiast chusteczki do nosa. Teraz kropelki wody rozpostarte na nagim żywopłocie i rzadkiej trawie robiły wrażenie grubej pajęczyny rozwieszonej na gałązkach i źdźbłach. Perliły się na każdym płocie i każdej bramie, a mgła była tak gęsta, że nie mogłem rozróżnić drewnianego drogowskazu pokazującego drogę do naszej wioski, drogę, którą nikt nigdy zresztą nie chadzał.

Gdy znalazłem się tuż pod drogowskazem i podniosłem oczy na ociekający wodą słup, wyrzuty sumienia nasunęły mi okropne wrażenie, że to upiór pokazuje mi drogę na galery.

Mgła jeszcze bardziej gęstniała, gdy wyszedłem na równinę, i zdawało mi się teraz, że to nie ja zbliżam się ku przedmiotom, ale one biegną mi naprzeciw. Było to bardzo przykre uczucie dla kogoś o nieczystym sumieniu. Płoty, groble i brzegi rzeki pędziły ku mnie, wychylając się z gęstej mgły, i zdawały się krzyczeć co sił: „Chłopiec z cudzym paszтетem wieprzowym. Zatrzymać go!”. Równie nagle wynurzyło się przede mną stado bydła. Wytrzeszczało na mnie oczy i prychało: „Ty złodziejaszku!”. Pewien czarny z białym krawatem wół, który memu pobudzonym sumieniu wydał się nawet podobny do duchownego – tak uporczywie patrzył mi w oczy i tak gniewnie odwrócił potęż-

ny łeb, że wymamrotałem: „Nie mogłem inaczej, to nie moja wina, nie dla siebie wziąłem!”. Na te słowa spuścił łeb, z nozdrzy buchnęła mu chmura pary i oddalił się pędem, wyrzucając w górę tylne nogi i machając ogonem.

Przez cały ten czas zbliżałem się do rzeki, ale mimo iż poruszałem się szybko, nie byłem w stanie rozgrzać stóp, do których zimno i wilgoć przywarły tak jak łańcuch do nogi tego, komu biegłem na spotkanie.

Znałem drogę do forteczki, byłem tam kiedyś w niedzielę z Joem. Wtedy to Joe, siedząc na armacie, powiedział mi, że kiedy zostanie jego czeladnikiem, będziemy tu częściej przychodzić wypoczywać. Mimo to zwiędziony mgłą poszedłem za daleko na prawo i musiałem wracać brzegiem rzeki, idąc po wystających z błota kamieniach wzdłuż kofków wbitych tu dla zakreślenia zasięgu przypływu.

Podążyłem z wielkim pośpiechem, przeskoczyłem rów, o którym wiedziałem, że ciągnie się tuż przy forteczce, gdy ujrzałem siedzącego przede mną człowieka. Był odwrócony do mnie plecami, ramiona miał skrzyżowane i pochylał się ociążale ku przodowi, zmorzony snem.

Pomyślałem, że przyjemnie mu będzie, jeśli zrobię mu niespodziankę śniadaniem. Podkradałem się więc cichutko i dotknąłem jego ramienia. Natychmiast skoczył na równe nogi i wtedy ujrzałem, że to nie był ten sam człowiek.

Ubrany jak tamten w szare ubranie, miał jak tamten łańcuch u nogi, był kulawy, schrypnięty, zziębnięty jak tamten, ale twarz miał inną, a na głowie płaski filcowy kapelusz o szerokich skrzydłach.

Wszystko to ujrzałem w jednej chwili, gdyż tylko przez chwilkę mogłem mu się przyglądać. Nieznajomy rzucił pod moim adresem przekleństwo i zamierzył się na mnie pięścią, był to jednak słaby, miękki cios, który mnie nie dosięgnął. Mężczyzna zachwiał się i samomal nie upadł. Potem uciekł we mgłę, potknął się dwa razy i zniknął mi z oczu.

– To ten młody człowiek – pomyślałem ze zgrozą i poczu-

łem wyraźny ból w sercu. Poczłubym go i w wątrobie, gdybym wiedział, gdzie się ona znajduje.

Ale oto dotarłem już do forteczki i zaraz ujrzałem człowieka, którego szukałem. Biegał tam i z powrotem, walał się ramionami dla rozgrzewki, zupełnie tak jak wówczas, gdy go opuścił. Wydawało się, że przez całą noc, czekając na mnie, nic innego nie robił.

Musiato mu być okropnie zimno. Po prostu miałem wrażenie, że padnie martwy z zimna u moich stóp. Oczywiście wyrażały tak straszliwy głód, że kiedy wtręczyłem mu pilnik, myślałem, że go połknie, ale zobaczył w ręku mój paczkę i rzucił narzędzie na trawę. Tym razem nie przewrócił mnie głową na dół, ale pozwolił stać na własnych nogach, podczas gdy otwierałem węzełek i opróżniałem kieszenie.

– Co jest w tej butelce, chłopcze? – spytał.

– Wódka.

Pochłaniał właśnie nadzienie do pasztetu w bardzo dziwny sposób, wrzucając je sobie do gardła, raczej jak człowiek, który coś chowa w pospiechu, niż jak ktoś, kto je, ale przerwał na chwilę, by wypić trochę wódki. Drżał tak silnie, że z trudem utrzymywał między zębami szyjkę butelki nie gryząc jej.

– Zdaje się, że pan ma malarię – zauważyłem.

– I ja tak myślę, chłopcze – odparł.

– To niezdrowa okolica – ciągnąłem – pan nocował na malarycznym bagnisku. Można tu złapać i reumatyzm.

– Zjem śniadanie, zanim mnie śmierć zabierze – powiedział – jadłbym nawet wtedy, gdyby zaraz mieli mnie powiesić na tej szubienicy. I zobaczysz, chłopcze, jak mi to jedzenie pomoże.

Jednocześnie pochłaniał nadzienie, ogryzał mięso z kości, łkał chleb, ser i pasztet wieprzowy, wszystko naraz. Chwilami przerywał, rozglądał się wokół po mglistej okolicy i nasłuchiwał; tylko wtedy szczył jego nieruchomią. Każdy najdrobniejszy, prawdziwy czy urojony dźwięk na równinie, szelest wiatru, westchnienie pasącego się bydła sprawiały, że gotował się do skoku. Nagle zapytał:

– Nie jesteś zdająca, maty? Nie przyprowadziłeś nikogo ze sobą?

– Nie, panie! Nie!

– Nikomu nie powiedziałaś, by tu potem przyszedł?

– Nie!

– Dobrze, wierzę ci. Niezły byłby z ciebie gagatek, gdybyś w twoim wieku pomagał w polowaniu na tak nędzną istotę, tak zepsutą i tak bliską śmierci jak ja.

Coś zadzwieczało mu w gardle, jak gdyby miał tam zegar, który gotował się do wybicia godziny. Łachmanarni rękawa przeciągnął po oczach.

Ogarneło mnie współczucie dla jego rozpaczcy i gdy znowu rzucił się na pasztet, ośmieliłem się powiedzieć:

– Cieszę się, że panu smakuje.

– Co takiego?

– Mówiłem, że cieszę się, że panu smakuje.

– Dziękuję ci, chłopcze, tak, smakuje mi.

Często przyglądałem się naszemu dużemu psu, gdy jadł, i te-  
raz dostrzegłem wyraźnie podobieństwo pomiędzy jego sposo-  
bem jedzenia a zachowaniem się człowieka. Nieznajomy, tak  
jak pies, odgryzał szybko duże kęsy jada, potem jak pies tykał go  
szybko, zbyt szybko, i rozglądał się całkiem jak pies, bożalowie  
wokoło, czy nikt mu nie zabiera zdobyczy. Był zbyt niespokoj-  
ny, aby mógł rozkoszować się jedzeniem, i niewątpliwie po-  
gryzłby każdego, kto by usiłował mu cokolwiek wydrzeć.  
W jednym i w drugim przypominał psa.

– Obawiam się, że pan nic nie zostawi dla tamtego – oświad-  
czyłem po długim ociąganiu się, niepewny, czy uwaga moja jest  
dość uprzejma. – Tam, skąd przyniosłem jedzenie, nie mogę już  
nic zabrać (ta właśnie okoliczność zmusiła mnie do mówienia).  
– Zostawić dla tamtego? Dla kogo? – spytał zdumiony mąż-  
czyzna, przestając na chwilę chrupać skórkę od pasztetu.

– Dla młodego człowieka, o którym pan mówił. Dla tego,  
który się ukrywał razem z panem.

– Ach, dla tego – powtórzył mężczyzna z dźwiękiem podob-

nym do cierpkiego śmiechu – dla niego? Nie, on nie potrzebuje  
jedzenia.

– Wyglądał tak, jak gdyby bardzo potrzebował – zauważy-  
łem.

Nieznajomy znowu przerwał jedzenie i spojrzał na mnie ba-  
dawczo z prawdziwym zdumieniem.

– Tak wyglądał? Kiedy?

– Przed chwilą.

– Gdzie?

– Tam – odparłem, wskazując palcem kierunek – tam, gdzie  
znalazłem go drzemiącego. Myślałem, że to pan.

Schwycił mnie za kohnierz i patrzył na mnie tak, jak gdyby na-  
nowo w nim ożył pomysł zarznięcia mnie.

– Ubrany jest tak jak pan, tylko ma kapelusz – mówiłem  
drżąc – i... i... – nie wiedziałem, jak to najdelikatniej powie-  
dzić – i... ma te same powody do pożyczania piłnika co pan.  
Czy słyszał pan wystrzał armatni w nocy?

– Ach, więc to był jednak wystrzał – mruknął sam do sie-  
bie.

– To dziwne, że pan o tym wątpił – zauważyłem – słyszeli-  
śmy go w domu wyraźnie, a do nas jest dalej. I nie byliśmy prze-  
cież na dworze.

– Posłuchaj mnie dobrze, chłopcze. Jeżeli ktoś jest na tym sa-  
mym bagnisku, z puszą głową i z pustym żołądkiem, i ginie  
z zima i głodu, przez całą noc słyszy wystrzały i nawoływania.  
Słyszysz? Widzi żołnierzy w czerwonych mundurach, oświetlo-  
nych pochodniami, widzi, jak krąg wojska zamyka się wokół  
niego. Słyszysz, jak wywołują jego numer, jak nakazują mu pod-  
dać się, jak wymierzają ku niemu broń. Słyszysz słowa komendy:  
„Uwaga! Gotowe? Na ramie broń! Otoczyć go!”. Czujcie ręce,  
które go łapią, i... wtedy wszystko niktne. Widziałem tej nocy  
patrol, który mnie wytropił, widziałem dziesiątki żołnierzy idą-  
cych ku mnie. Słyszałem ich miarowe kroki. Widziałem ich set-  
ki! A wystrzał armatni? Widziałem wyraźnie, jak ogień armatni  
ciągle rozpraszał mgłę i tak aż do świtu... Ale ten człowiek,

o którym wspominałeś – wrócił do poprzedniego tematu – czyś spostrzegł w nim coś szczególnego?

– Miał twarz całą w bliznach – powiedziałem, gdyż to przypominałem sobie mgliście.

– Czy w tym miejscu? – zawołał mężczyzna, przeciągając dłoń po fewym policzku.

– Tak, właśnie tam.

– Gdzie on jest? – dopytywał się, wpychając z pośpiechem resztki jedzenia za pazuchę szarej kurtki. – Pójdę i zatłukę go jak psa. Ach, ten przeklęty łańcuch! Rani mi nogę. Daj pilnik, chłopcze!

Ukazałem kierunek, w którym mgła pochłonęła tamtego człowieka, a zbieg przez chwilę spoglądał w tę stronę. Potem usiadł na bujnej, mokrej trawie i zaczął gwałtownymi ruchami piłować łańcuch, nie zważając na mnie ani na swoją nogę. Robił wrazenie szaleńca. Noga krwawiła, otarta i zraniona łańcuchem, a mężczyzna traktował ją tak, jak gdyby nie była wrażliwsza niż pilnik. Ogarnął mnie znowu lęk przed tym szaleńcem i przed jego furiackim pośpiechem. Bałem się też pozostawać tak długo poza domem. Powiedziałem mu, że muszę już odejść, a ponieważ nie zwrócił na to żadnej uwagi, zdecydowałem, że najlepiej będzie, jeżeli się stąd wymknę. Ostatnie spojrzenie, jakie na niego rzuciłem, ukazało mi go z głową nisko pochyloną nad kolanem, pracującego w milczeniu nad przepiłowaniem żelaza. Mruczał przekleństwa skierowane to do kajdan, to do własnej nogi. Gdy się już oddaliłem tak, że mgła mi go zastoniła, styszałem jeszcze odgłos pracującego pilnika.

## Rozdział czwarty



Byłem głęboko przekonany, że po powrocie do domu zastanę w kuchni czekającego na mnie żandarma. Ale nie zobaczyłem żandarma, a nawet nie odkryto jeszcze mojej kradzieży.

Siostra była na szczęście pochłonięta przygotowaniami świątecznymi, a Joe został wyprawiony za drzwi kuchni, aby nie następował na szufelkę pełną śmieci, co mu się często zdarzało wtedy, gdy siostra sprzątała i gdy podłogi lśniły.

– Gdzieś ty sterczał, u diabła? – powitała mnie siostra w ten świąteczny ranek Bożego Narodzenia, gdy wraz z moim sumieniem zjawiliśmy się przed jej obliczem.

– Odpowiedziałem, że byłem w kościele na kolędach.

– Ach, tak – zauważyła – mogło być gorzej.

Ma rację – pomyślałem.

– Może gdybym nie była żoną kowala i (co na jedno wychodzi) niewolnicą nie rozstającą się z fartuchem, to i ja mogłabym pójść w święto na nabożeństwo – powiedziała siostra – lubię nabożeństwa i pewnie dlatego nie mogę się nigdy wybrać do kościoła.

Joe, który odważył się wejść ze mną do kuchni i trzymał się jak najdalej od szufelki ze śmieciami, z niewinną miną otarł nos grzbietem dłoni, ale gdy tylko żona odwróciła się od niego, złożył dwa palce na krzyż i wyciągnął je ku mnie. Był to nasz umówiony znak, że siostra moja jest w złym humorze. Ponieważ ten

prawie nigdy się nie zmieniał, więc właściwie palce nasze powinny były zawsze wyglądać jak skrzyżowane nogi ogromnych pajaków.

Obiad świąteczny miał być wspaniały. Marynowane nóżki wieprzowe i pieczone kurczęta z jarzynami i farszem. Jeszcze poprzedniego ranka upieczono pyszny pasztet (dłatego nie spostrzeżono dotychczas zniknięcia nadzienią). Pudding był już w piecu. Wobec tak wspaniałego obiadu nie dostał się tego dnia wcale śniadania.

— Nie chcecie chyba pęknąć z przejedzenia — oświadczyła siostra — a poza tym nie będę zajmowała się zmywaniem po śniadaniu, kiedy zajęta jestem takim obiadem. Tego możecie być pewni.

Wyrucono nas na dwór, byśmy tam zjedli po kawałku chleba z masłem, tak jak gdybyśmy byli całym pułkiem żołnierzy w pochodzie, a nie jednym mężczyzną i jednym dzieckiem we własnym domu. Popiliśmy chleb kilkoma łykami mleka i wody z dzbanka stojącego na kredensie, robiąc przy tym przepraszające gesty.

Siostra zawiesiła teraz czyste białe firanki na oknach, a zasłonki na kominku zastąpiła nowymi w kwiatki. Otworzyła też szeroko drzwi od korytarzyka do małego saloniku, który przez resztę roku był zamknięty i wydawał się spowity w mgłę wraz ze swymi srebrnymi tapetami na ścianach i czterema pieskami z białego fajansu, które stały symetrycznie na gzymsie kominka, trzymały w zębach koszyczki z kwiatami i miały czarne noski.

Moja siostra była gospodynią bardzo czystą, ale ta czystość dzięki jej przedziwnemu talentowi dokuczala nam bardziej niż brud. Czystość przypomina pobożność i są ludzie, którzy podobnie obrzydzają religię.

Siostra miała tyle roboty, że chodziła do kościoła niejako zastępco, to znaczy, iż posyłała tam Joeego i mnie.

Joe w roboczym ubraniu miał charakterystyczny wygląd dobrane zbudowanego kowala. Kiedy jednak ubierał się odświętnie, wyglądał jak zamożne straszycło. Nic z tego, co na siebie wkładał, nie pasowało na niego, a nawet wydawało się, że wystróż

się w cudze piórka i że wszystko mu zawadza. Na dźwięk dzwońów kościelnych wychylił się tego ranka ze swego pokoju jak obraz nędzy i rozpaczy, w pełnej gali skazańca niedzielnego. Co do mnie, to mam wrażenie, że siostra widziała we mnie młodego przestępcę wręczonego jej w dniu mojego przyjścia na świat przez akuszerka policyjnego z poleceniem, by traktować mnie jak przystało na tego, co popełnił obrazę majestatu prawa. Istotnie, traktowano mnie stale tak, jak gdybym osmielił się przyjść na świat wbrew rozsądkowi, religii, moralności i wbrew perswazji najlepszych przyjaciół. Nawet wówczas, gdy sprawiano mi nowe ubranie, polecano krawcowi, by szył je jak mundurek z domu poprawy i tak, bym nie mógł swobodnie się w nim poruszać.

Joe i ja, idąc do kościoła, musieliśmy dla życliwych dusz przedstawiać obraz prawdziwie wzruszający. Te cierpienia były jednak niczym wobec udręk w domu. Okropny strach, ilekroć siostra moja zbliżała się do spiżarni lub tylko opuszczała pokój, mógł się równać tylko z wyrzutami sumienia, jakie dręczyły mnie, gdym wspominał, co uczyniłem. Uginając się pod ciężarem okropnej tajemnicy, zastanawiałem się nad tym, czy też Kościół mógłby ochronić mnie przed straszonym młodym człowiekiem, gdybym wyznał moje grzechy. Powziąłem myśl, by skończyć z chwilą, gdy książdz ogłosi zapowiedzi i zakończy słowami: „Kto z zebranych zna jakieś przeszkody, niech mi je wyzna”, wstać i poprosić duchownego o rozmowę w zakryciu na osobności. Zdawałem sobie sprawę z tego, jakie zdumienie wywołam wśród naszych parafian, zwłaszcza że było to święto Bożego Narodzenia, a nie zwykła niedziela.

Na obiedzie mieli być u nas pan Wopsle, nasz kościelny, kołodziej pan Hubble z żoną i wuj Pumblechook (był to wuj Joeego, ale siostra moja przywłaszczyła go sobie), bardzo zamożny handlarz nasion w pobliskim miasteczku; miał własny powozik.

Obiad był przewidziany na wpół do drugiej. Gdy powrócił śmy z Joem do domu, zastaliśmy stół nakryty, moją siostrę ubraną, a drzwi wejściowe otwarte, co się normalnie nigdy nie zdarzało. O kradzieży nie było mowy.

Czas mijał, nie przynosząc mi żadnej ulgi. Nadeszli goście. Pan Wopsle łączył z olbrzymim rzymskim nosem wielką tyśnię i głęboki głos, z którego był ogromnie dumny. Wszyscy jego znajomi wiedzieli, że gdyby mógł czytać w kościele psalmy, zapędziłby w kozi róg pastora. Pan Wopsle twierdził, że gdyby Kościół był „szeroko otwarty dla wszystkich, zwłaszcza dla konkurencji, to on pokazałby, co potrafi”. Ponieważ jednak Kościół nie był „szeroko otwarty”, więc pan Wopsle pozostał tylko kościelnym. Odgrywał się za to na słowie „Amen”, a kiedy zapowiadał psalm całym werselem, rozglądał się po zebranych parafianach, jak gdyby chciał powiedzieć: „Słyszeliście mego przyjaciela tam w górze? Co powiecie teraz o innym sposobie recytowania?”.

Otworzyłem drzwi zaproszonym gościom (udając, że często dzieje się to u nas w domu), najpierw panu Wopsle, potem panu Hubble, a w końcu wujowi Pumblechookowi. Notabene, nie wolno mi było nazywać go wujem pod groźbą srogich kar.

– Pani Joe – powiedział wuj Pumblechook, tłusty, zadyszany mężczyzna w średnim wieku, z tępym spojrzeniem i rybimi ustami oraz sterczącymi włosami koloru piasku. Wyglądał zawsze tak, jak gdyby się dusił i dopiero przed chwilą odzyskał przytomność. – Przyniosłem pani z życzeniami świąt butelkę sherry, proszę pani, i butelkę porto, proszę pani.

Co roku na Boże Narodzenie zjawiał się z tymi samymi słowami i takimi samymi butelkami pod pachą. I co roku moja siostra mówiła tym samym tonem:

– O, wuju Pum-ble-chook! Jak to miło!  
I co roku wuj odpowiadał niezmiennie:

– Pani zastępuje na coś lepszego. A jak tam zdrowie? I jak się miewa nasz „Grosik”?

Tak zawsze mnie nazywał.

Obiad jedliśmy w kuchni, a na spożywanie pomarańczy, orzechów i jabłek przechodziliśmy do bawialni. Była to zmiana podobna do przebierania się Joego z roboczego ubrania w niedzielne. Moja siostra zdradzała niezwykle ożywienie; przypo-

minam sobie, że okazywała wiele względów pani Hubble. Pamiętam panią Hubble jako malutką, kędzierzawą osobę ubraną od stóp do głów na niebiesko, którą wszyscy traktowali jak młodą osobę tylko dlatego, że przed laty wyszła za mąż za dużo starszego od niej pana Hubble’a. Pamiętam pana Hubble’a, wysokiego, zgarbionego człowieka, pachnącego trocinami i rozstającego szeroko nogi, tak szeroko, że kiedy widziałem go nadchodzącego z daleka, mogłem między jego nogami zobaczyć duży szmat łąki.

W tym towarzystwie czułym się obco i źle nawet wówczas, gdybym nie okradł spizarni. Nie dlatego, że wepchnięto mnie na róg stołu, który sięgał mi pod brodę, i że oprócz tego miałem łokieć wuja Pumblechooka w oku, nie dlatego, że częstowano mnie ochłapami kurczęcia i takimi częściami wieprzowiny, z których wieprz i za życia nie miał powodu być dumny. Nie, to wszystko byłoby nieważne, gdyby mnie zostawili w spokoju. Ale nie chcieli mnie zostawić w spokoju. Umówili się, by przesywać mnie strzałami uwag, jak gdybym był byczkiem na hiszpańskiej arenie. Prześcigali się w ciskanii we mnie morałami.

Zaczęło się to w chwili, gdy zasiedliśmy do stołu. Pan Wopsle zmówił modlitwę przed jedzeniem takim teatralnym głosem, jak gdyby dla celów religijnych połączył rolę Ducha z „Hamleta” z rolą Ryszarda III, po czym wyraził nadzieję, że potrafiemy mu być za to wdzięczni. Wtedy to siostra moja spojrzała na mnie surowo i spytała tonem pełnym wyrzutu:

– Słyszysz? Bądź wdzięczny.

– A zwłaszcza, mój chłopcze – wtrącił wuj Pumblechook – trzeba być wdzięcznym tym, którzy wychowali cię własnoręcznie.

Pani Hubble pokiywała głową i patrząc na mnie z żalobnym przeczcuciem, że nic dobrego ze mnie nie wyrośnie, spytała:

– Czemu to młodzież nigdy nie potrafi być wdzięczna?

Ta zagadka moralna zdawała się przerastać możliwości całego towarzystwa, dopóki pan Hubble nie rozwiązał jej gładko:

– Wrodzona występność.



Cafe towarzystwo zgodziło się, że to prawda, i wszyscy pa-  
rzyli na mnie w sposób szczególnie przykry i natarczywy.

Położenie i wpływ Joeego były przy gościach jeszcze słabsze  
(jeżeli to możliwe) niż w ich nieobecności. Mimo to zawsze  
znajdował on jakiś sposób, by mnie pocieszyć; ciągle dolewał mi  
sosu na talerz. Ponieważ tym razem podano do stołu dużo sosu,  
więc nalał mi chyba z pół kwarty.

Następnie pan Wopsle skrytykował ostro dzisiejsze kazanie  
i dał do zrozumienia, jakie on by wygłosił, gdyby Kościół był  
„szeroko otwarty”. Wreszcie, zachęcony zgodą zebranych,  
oświadczył, że uważa temat dzisiejszego kazania za nieodpo-  
wiedni, zwłaszcza że wątki do nauk leżą po prostu na ulicy.

– I znowu racja! – zawołał wuj Pumblechook. – Tematy leżą  
po prostu na ulicy, trzeba tylko umieć posypać im soli na ogon.  
Oto, co trzeba umieć. Nie ma się co uganiać daleko za tematami,  
jeżeli się ma zawsze w pogotowiu solniczke.

Po krótkim namyśle wuj Pumblechook powiedział:  
– Spójrzcie chociażby na prosię. Oto temat. Jeżeli trzeba wam  
tematu, proszę go dostarczyć!

– Racja, proszę pana – zgodził się pan Wopsle – ile tu okazji  
do morałów dla młodych.

Tu spojrzął na mnie, a siostra moja surowo mi poleciła:

– Słuchaj uważnie.

Joe dołał mi sosu.

– Swinie – ciągnął pan Wopsle najgrubszym swoim głosem,  
wskazując widelcem moje rumieniące się policzki, jak gdyby  
wymawiał moje imię – swinie to towarzyszyki marnotrawców.  
Zartoczność świni daje przykład młodym (pomyślałem, że to  
nieładnie z jego strony tak mówić, gdyż niedawno chwalił kru-  
chość i tłustość wieprzowiny). To, co jest wstrętne w świni, jest  
również wstrętne w chłopcu.

– Lub w dziewczynce – podsunął pan Hubble.

– Słusznie, lub w dziewczynce – zgodził się pan Wopsle, ale  
z pewną irytacją, i dodał: – Ale tu nie ma dziewczynki.

– A przede wszystkim – zwrócił się pan Pumblechook już

wprost do mnie – zastanów się, jaki powinieneś być wdzięczny.  
Pomyśl, co by to było, gdybyś się urodził jako kwiczący zwierzak.  
– O, może zapewnić, że dość się nakwiczasz... – wtrąciła mo-  
ja siostra uroczyście.

Joe dołał mi sosu.

– No tak, tak, ale ja mam na myśli czworonożnego zwierza-  
ka – mówił pan Pumblechook – gdybyś się czymś takim uro-  
dził, nie byłoby cię w tej chwili wśród nas.

– Chyba że w takiej oto postaci – dodał pan Wopsle, wskazu-  
jąc półmisek.

– Nie miałem na myśli takiej postaci – zaoponował zniecier-  
pliwiony Pumblechook, zły, że mu przerywają – chciałem po-  
wiedzieć, że wówczas nie miałby okazji przebywać w towarzy-  
stwie starszych i mądrzejszych od niego osób, brać udziału w ich  
rozmowach, tarzać się w zbytku. Czy miałby ku temu okazję?  
Z pewnością nie. I jakież byłby wówczas twój los? Sprzedano by  
cię na targu za cenę zależną od chwili i rzeźnik Dunstable przy-  
szedłby po ciebie leżącego na słomie. Schwyciłby cię lewą ręką,  
prawą sięgnąłby, odwinąłszy fartuch, po nóż w kieszeni kamiz-  
zelki i zarząnąłby cię na miejscu. Zapewniam cię! Nie byłoby  
mowy o wychowywaniu ciebie.

Joe dołał mi znowu sosu, którego nie śmiałem tknąć.

– Musiała pani mieć z nim wiele zmartwień – zwróciła się  
pani Hubble współczująco do mojej siostry.

– Zmartwień? – powtórzyła siostra. – Zmartwień? – I tu roz-  
poczęła wylizywanie rejestru chorób, którymi zawiniłem, nocy,  
które odważyłem się spędzić w bezsenności, wylizwała wszystkie  
wysoko położone miejsca, z których spadałem, wszystkie dziu-  
ry, w jakie wpadałem, wszystkie guzy, które sobie nabiłem, do-  
dając, że za każdym razem wolała już widzieć mnie w grobie,  
ale że ja się upierałem i nie chciałem spocząć w ziemi.

Zdaje mi się, że Rzymianie musieli się wzajemnie ogromnie  
drażnić swymi nosami. Może to był powód ich ruchliwości. Tak  
czy inaczej nos pana Wopsle'a drażnił mnie tak okropnie w cza-  
sie opowiadania siostry o moich przygodach, że siłą wstrzymy-

wałem się, by nie wytargać gościa za tę część ciała tak, żeby aż zaryczał.

Ale wszystko, co zniosłem do tego czasu, było niczym wobec straszego uczucia, jakie ogarnęło mnie, gdy siostra skończyła opowiadanie i gdy w ciszy, jaka teraz nastąpiła, wszyscy patrzyli na mnie (czułem się pełen winy) z obrzydzeniem i wyrzutem.

– A mimo to – ciągnął teraz pan Pumblechook, starając się skierować temat rozmowy znowu na świnię – proszę smacznie przyrządzone jest wcale dobrą rzeczą. Czyż nieprawda?

– Trochę wódeczki, wuju – zaproponowała moja siostra.

O Boże, fatalna chwila nadeszła! Wuj zauważył, że wódka jest słaba, powie to i... zginąłem. Kurczowo chwyciłem pod obrusem obiema dłońmi nogę od stołu i czekałem, aż spełni się przeznaczenie.

Siostra poszła po kamienną butelkę, przyniosła ją i nalała wódki. Tylko wuj zgodził się pić. Przekleły ten człowiek bawił się kieliszkiem, podnosił go pod światło i znów odstawiał, przedłużając moją mękę. Przez ten czas Joe i moja siostra szybko sprząтали ze stołu, by zrobić miejsce na pudding.

Nie mogłem oderwać oczu od wuja Pumblechooka. Wciąż uczeptiony rękami i nogami nogi od stołu widziałem, jak ten nędznik zapukał z lekka palcem w szkło kieliszka, uśmiechnął się, przechylił głowę i poiknął wódkę jednym łykiem. W chwili potem, ku zdumieniu towarzystwa, zerwał się z miejsca, zaczął kręcić w kółko w jakimś spazmatycznym tańcu i pokastując w dziwny sposób, rzucił się ku drzwiom. Niebawem można go było zobaczyć, jak krztusił się, pluł i robił tak okropne grymasy, jak gdyby stracił rozum. Siedziałem nieporuszony, gdy siostra moja i Joe wybiegli za nim na podwórze. Nie wiedziałem, w jaki sposób, ale byłem pewien, że go zamordowałem. W moim okropnym położeniu ulgą było to, że powrócił do pokoju wprowadzony przez gospodarzy, spojrzął bacznie na zebranych, jak gdyby karcąc ich za to, że mu nie współczują, i padając na krzesło, rzucił tylko jedno słowo: „Dziegieć!”.

To ja dolałem do butelki z wódką wody dziegiowej sądząc, że leję zwykłą. Wiedziałem, że wujowi będzie z chwili na chwilę gorzej.

Uczeptiony niewidocznie mebla, poruszałem stołem niby nowoczesne medium.

– Dziegieć? – zdumiała się moja siostra. – Skąd się tam wziął? Ale wuj Pumblechook, który był władcą w tej kuchni, nie raczył usłyszeć tego zdania. Jednym ruchem ręki oddalił od siebie ten temat i zażądał jałowcówki i gorącej wody.

Siostra moja, która już zaczynała niebezpieczne dla mnie dociekania, zajęła się teraz przyrządzaniem grogu z jałowcówki, gorącej wody, cukru i cytryny. Na krótką chwilę byłem uratowany. Wciąż jeszcze ścisnąłem nogę od stołu, ale teraz przez wdzięczność.

Z czasem uspokoiłem się już na tyle, że zwołniłem nogę z uścisku i mogłem zabrać się do spożywania puddingu. Pan Pumblechook także nabrat porcję leguminy i wszyscy wzięli sobie po kawátku. Gdy deser się skończył, pan Pumblechook pod dobroczyнным wpływem grogu rozpromienił się. Już myślałem, że do końca dnia nie grozi mi żadne niebezpieczeństwo, gdy nagle siostra moja powiedziała do Joego:

– Czyste talerze... zimne!

Znowu schwyliłem nogę od stołu i przyciskałem ją do pierśsi, jak gdyby była towarzyszką mojej młodości i przyjaciółką od serca. Przeczynałem, co teraz nastąpi, i uważałem się za bezpowrotnie zgubionego.

Na zakończenie siostra moja zwróciła się z najmielszym uśmiechem do gości:

– Skosztujecie państwo wspaniałego, przesmaczanego daru wuja Pumblechooka. – „Doprawdy? Niech jak najszybciej porzuć nadzieję skosztowania”. – Trzeba wiedzieć – ciągnęła siostra, wstając – że darem tym jest soczysty, świetnie wypieczony pasztet wieprzowy.

Towarzystwo zaszemrało, wyrażając zadowolenie, a Pumblechook rad, że sprawił przyjemność gościom, oświadczył uprzejmie:

– Doskonale, pani Joe, zrobimy, co do nas należy! Podzielimy paszteciki!

Siostra moja wyszła po paszteciki. Słyszałem jej kroki zmierzające do spizarni. Widziałem, jak Pumblechook kotłujące trzymany w ręku nożem, jak nożdrza pana Wopsla'a rozszerza poządanie paszteciki, słyszałem, jak pan Hubble powiedział:

– Kawatek smacznego paszteciku wieprzowego można zjeść i nigdy nie zaszkodzi.

Słyszałem szeptał Joeego:

– Dostaniesz kawatek, Pip.

Nigdy już się nie dowiem, czy krzyk rozpaczy wydarł mi się tylko z głębi ducha, czy też usłyszało go całe towarzystwo. Poczuję tylko, że dłużej już nie wytrzymam i że muszę uciekać. Pusciliem więc nogę od stołu i rzuciłem się do ucieczki.

Ale dobiegłem tylko do drzwi domu, bo w progu natknąłem się pochyloną głową na oddziały uzbrojonych w muszkiety żołnierzy. Jeden z nich wyciągnął ku mnie parę kajdan i zawołał:

– A, jesteś? Prędko, ruszaj!

## Rozdział piąty



Na widok oddziału żołnierzy, którzy stukali kolbami muszkietów o próg naszego mieszkania, zebrani zerwali się od stołu w popłochu, a siostra moja, która wracała do kuchni z pustymi rękoma, biadając: „Boże mój, co się stało z pasztecikami?”, urwała w pół słowa.

Wchodząc do kuchni zastała tam sierzanta i mnie, i zmierzaliśmy nas obu zdumionym spojrzeniem. Na ten widok odzyskałem nieco przytomność, a sierzant, wciąż trzymając rękę na moim lewym ramieniu, wyciągnął ku zebranym zachęcająco dłonie z kajdanami.

– Wybaczcie mi państwo – powiedział – ale jak to już wspominałem w progu temu oto smykowi (nie mi nie wspominał), jesteśmy w pogoni za przestępcą w imię jego królewskiej mości i potrzebujemy pilnie kowala.

– A czego to chcecie od niego? – spytała siostra, gotowa mieć pretensję, że w ogóle ktoś może potrzebować jej męża.

– Pani – odparł z galanterią zandarm – gdybym mówił we własnym imieniu, powiedziałbym, że chcemy, by nas zapoznał ze swą śliczną żoną. Ale w imieniu króla muszę oznajmić, że potrzebny nam jest do wykonania pewnej małej roboty.

Przemówienie sierzanta zostało przyjęte nader przychylnie, a Pumblechook zawołał nawet głośno:

– Doskonale!

– Widzi pan, panie kowalu – ciągnął sierżant, który już wyłowił Jogo spośród zebranych – jedna para kajdanek popsukała się, zamek nie jest szczelny, a ponieważ potrzebne nam będą natychmiast, więc trzeba, by pan rzucił na nie okiem.

Joe rzucił okiem i oświadczył, że musi rozpalic ogień w kuchni, i że naprawa potrwa ze dwie godziny.

– Rzeczywiście? – zdziwił się sierżant. – To niech pan zabiera się natychmiast do roboty. To, rozumie pan, służba dla jego królewskiej mości. A gdyby ludzie moi mogli panu w czym być pomocni, niech pan się nimi posłuży.

Zaraz też zawołał swych ludzi, którzy weszli całą gromadką do kuchni i ustawili broń w kącie. Potem, jak to żołnierze, kiedy uwolnią się od broni, albo krzyżowali ręce na piersi, albo poprawiali pas czy mieszek z prochem, albo napręzali kolana czy ramiona, albo też, otworzywszy drzwi na dwór, pluli z wysokości sztywnych kotnierzy na podwórko.

Wszystko to widziałem nie zdając sobie sprawy z tego, co oglądam, w takim byłem strachu i takiej panice. Powoli jednak zacząłem pojmować, że kajdany nie są przeznaczone dla mnie i że wtargnięcie żołnierzy pograżyło w niepamięć paszтет, odzyskiwałem więc przytomność.

– Czy mógłby mi pan powiedzieć, która godzina? – zwrócił się sierżant do Pumblechooka, który wyglądał na człowieka obeznanego z czasem.

– Punktualnie wpół do trzeciej.

– To nienajgorzej jeszcze – orzekł sierżant – nawet gdyby nam przyszło czekać dwie godziny, zdążymy jeszcze na czas. Jak daleko stąd do bagniska? Więcej niż mila?

– Akurat mila – odpowiedziała siostra.

– To właśnie dobrze. Będziemy przy nich przed zmrokiem. Mam rozkaz schwytania ich, zanim noc zapadnie. Da się zrobić!

– Galernicy? – spytał pan Wopsle swobodnym tonem.

– Tak – odparł sierżant. – Dwóch. Jestem pewien, że są jesz-

cze na bagnisku i nie odważą się uciec przed nocą. Może kto z państwa widział tych bandytów?

Wszyscy, prócz mnie, żywo zaprzeczyli. Na mnie nikt nie zwracał uwagi.

– Znajdą się prędzej, niż przypuszczają, w pułapce – powiedział sierżant. – No, kowalu, czy pan gotów? Bo to służba jego królewskiej mości.

Joe zdjął surdut, kamizelkę i krawat, włożył skórzany fartuch i przeszedł do kuźni. Jeden z żołnierzy otworzył drewniane okiennice, drugi rozpalil ogień, trzeci dał w miech, a reszta zgromadziła się wokół ognia, który zaczął już huczeć.

Teraz Joe kuł młotem z brzękiem i hukiem, a wszyscy mu się przyglądali.

Niezwykły wypadek pogoni za więźniami nie tylko obudził zainteresowanie zebranych, ale podziałał łagodząco na moją siostre. Poczęstowała żołnierzy piwem z beczulki, a potem zaproponowała sierżantowi wódkę.

– Lepiej niech mu pani da wina – doradził Pumblehook – pewniejsze, że nie będzie z dziegciem.

Sierżant oświadczył, że woli wino bez dziegiu, jeżeli gospodyni nie ma nic przeciwno temu. Gdy otrzymał trunek, wypił jednym haustem zdrowie jego królewskiej mości, potem złożył życzenia świąteczne i cmoknął wargami.

– Dobre wino, co, sierżancie? – spytał Pumblehook.

– Coś panu powiem – odparł sierżant – zdaje mi się, że to pański podarunek, co?

Pumblehook z grubym śmiechem zagadnął:

– Ho, ho, a czemu to?

– Bo – i tu sierżant poklepał go po ramieniu – pan mi wygląda na człowieka, który zna się na rzeczy.

– Tak pan uważa? – badał Pumblehook z tym samym śmiechem. – No, to jeszcze kieliszeczek?

– Z panem – oświadczył sierżant – jeśli wolno mi się trącić. Górny brzeg mojego kieliszka trąci o podstawę pańskiego, a górny brzeg pańskiej podstawki o brzeg mojego. O, tak! Czy jest

piękniejsza szklana muzyka? Na zdrowie! Życzę panu, by nigdy nie był gorszym znawcą dobrego trunku niż teraz i by pan żył tyśiąc lat!

Sierżant wypił drugi kieliszek i nie odmówiłby trzeciego. Sposrzedłem, że Pumblechook zapomniał całkiem, iż zrobił z tego wina prezent, i traktował butelkę, jak gdyby była jego własnością i jak gdyby miał prawo z niej częstować. I mnie też się coś niecoś dostało. Był tak swobodny, że po wypróżnieniu jednej zażądał drugiej butelki i rozlewał ją równie hojnie.

Przeglądając się tej wesoło zabawiającej się w kuchni kompanii, myślałem, że mój przyjaciel-zbieg tam na bagnisku jest dla nich czymś w rodzaju przyprawy do uczy. Rozmowa o tym, jak to schwytają tych „dwu niedźników”, podniecała i rozweselała jeszcze bardziej towarzystwo. Zdawało mi się, że ogień płonie w kuchni na ich zgubę, że na ich zgubę sapia miechy, że dym unosi się w ślad za nimi, że dla nich Joe wali młotem i że w miarę jak młot spada i płomień wystrzela w górę, groźne cienie, tańczące na ścianach, im właśnie grożą, a nawet światło dnia przybladło na dworze z ich powodu.

Tak się zdawało mojej dziecięcej wyobraźni, gdy myślałem o tamtych dwu biedakach.

Wreszcie Joe skończył pracę i ustał huk i brzęk żelastwa. Gdy kowal włożył znowu surdut, zdobył się na odwagę zapytać, czy ktoś z nas mógłby towarzyszyć żołnierzom i przyjrzyć się pościgowi. Panowie Pumblechook i Hubble odmówili, przekładając fajeczkę i towarzystwo pań, ale pan Wopsle oświadczył, że jeżeli Joe pójdzie, to i on także, a kowal zaproponował, że zabierze mnie ze sobą, o ile żona nie będzie miała nic przeciwko temu. Siostra moja nigdy nie pozwoliłaby na to, gdyby nie ciekawość i chęć dowiedzenia się od nas, jak się wszystko skończy. Powiedziała więc:

— Idźcie, ale jak chłopiec wróci z głową rozwaloną od wystrzału, to ja mu jej nie skleję.

Sierżant uprzejmie pożegnał się z paniami, a z panem Pumblechookiem rozstał się jak z kompanem. Sądzę, że nie doceniłby

do tego stopnia jego zalet towarzyskich, gdyby znajomości tej nie podał dobrym winem.

Żołnierze wzięli broń na ramię i ustawili się w szeregu. Pan Wopsle, Joe i ja otrzymaliśmy rozkaz maszerowania z tyłu i zakaz rozmawiania na bagnisku.

Gdyśmy tak szli przed siebie, szeptałem zdradziecko do Joego:

— Mam nadzieję, że ich nie znajdziemy.

A Joe odpowiedział szeptem:

— Dabym szylinga, by udało im się uciec, Pip.

Nikt z przechodniów nie przyłapał się do nas po drodze, gdyż pogoda była zimna i wietrzna, droga trudna i bagnista; padał zmierzch i ludzie woleli świętować w ciepłych domach przy ogniu kominka. Kilka twarzy pokazało się w oknach za szubarni, ale nikt za nami nie wyszedł na ulicę.

Mineliśmy słup drogowoskazu i szliśmy wprost ku cmentarzowi. Tam zatrzymaliśmy się na znak dany nam przez sierżanta, a jego ludzie rozproszyli się między grobami i docierali nawet do kościoła. Powrócili z niczym, wobec czego wyszliśmy przez główną bramę cmentarza na bagnistą równinę. Uderzył w nas mroźny wiatr kłujący igiełkami lodu i Joe wziął mnie na barana.

Teraz dopiero, gdy przebiegaliśmy te same posępne pustkowiata, w których przed ośmioma czy dziesięcioma godzinami wdziałem obu zbiegów, przesyła mi prerażeniem myśl, że galelnik, widząc mnie tutaj, pomyśli, iż to ja sprowadziłem na niego żołnierzy. Pytał mnie przecież, czy go nie zdradziłem, a potem mówił, że byłbym dobrym gagakiem, gdybym ściągnął na niego pościg. Czy teraz będzie przekonany, że jestem zdrajcą i gagakiem?

Ale na nic się już nie zdały te rozmyślania. Siedziałem na grzbiecie Joeego, który przesadzając zrecznie rowy, jednocześnie ostrzegał pana Wopsle'a, by nie upadł na swój rzymski nos lub nie zabłądził. Żołnierze idący przed nami rozwinęli się w tyralierkę, zostawiając wiele miejsca pomiędzy sobą. Posuwaliśmy się tą samą drogą, którą szedłem rankiem i na której zabłąkałem

się we mgle. Mgła jeszcze się nie podniosła, ale wiatr już ją nieco rozproszył. W rudym blasku zachodzącego słońca latarnia morska, szubienica i mury forteczki na przeciwnym brzegu rzeki rysowały się wyraźnie i miały ołowianą barwę.

Z sercem bijącym jak młot kowalski patrzyłem z wysokości ramion Joego, czy nie ujrzę gdzieś galerników. Ale nie widziałem ani nie słyszałem nic. Pan Wopsle przerażał mnie co chwile sapaniem i stękanem, ale powoli nauczyłem się odróżniać te odgłosy od głosów pościgu. W pewnej chwili ogarnął mnie okropny lęk, bo zdawało mi się, że słyszę dźwięk pilnika, ale już po chwili zrozumiałem, że to głos dzwonka pasącej się owcy. Owce przestawały się pożywiać, gdyśmy przechodzili, i patrzyły na nas nieśmiało, a krowy, które odwracały głowy, by uniknąć wichru i lodowatej śnieży, spoglądały na nas ze złością, jak gdyby nas czyniąc odpowiedzialnymi za te obie przykrości.

Poza tym jednak i lekkim drżeniem traw wobec nadiągającego wieczoru, nic nie maćło przeraźliwej ciszy, jaka wokół panowała.

Żołnierze posuwali się w kierunku starej forteczki, a my za nimi, gdy nagle zatrzymaliśmy się wszyscy. Bo oto na skrzydłach wichru i ulewy doleciał do nas jakiś krzyk. Po chwili powtórzyl się wyraźnie w stronie zachodniej. Było to potężne i straszne wołanie, a właściwie trzy następujące po sobie okrzyki, o ile mogliśmy sądzić po tych zmieszanych odgłosach. Gdy dogoniliśmy sierżanta i żołnierzy, zastaliśmy ich naradzających się szeptem. Po ich wystuchaniu Joe, który umiał trafnie ocenić sytuację i pan Wopsle, który nie posiadał tej zdolności zgodzili się, że to ktoś woła, a sierżant postanowił nie odpowiadać na wezwanie, tylko po cichu posuwać się w tym kierunku. Ruszyliśmy więc na prawo, to jest w kierunku zachodnim, a Joe tak pogalopował, że musiałem się mocno go trzymać, aby nie stracił równowagi. Biegliśmy teraz jak szaleni.

– Prawdziwy wyścig – powiedział Joe.

Były to zresztą jedyne słowa, jakie wymówił. Braliśmy przeskazy, przesadzaliśmy płoty, wskakiwaliśmy do rowów i wy-

skakiwaliśmy z nich, rozpryskiwaliśmy pod stopami kałuże, nie zważając na nic po drodze.

Gdyśmy się przybliżyli, można już było wyraźnie rozróżnić, że hałas podnosi nie jeden głos. Chwilami wrzawa milkła i wtedy żołnierze zatrzymywali się. Gdy wybuchła na nowo, puszczał się znówu w bieg jeszcze szybszy, a my za nimi. Wreszcie znaleźliśmy się już tak blisko, że mogliśmy rozróżnić słowa:

– Mordują!

I inny głos:

– Galernicy! Więźniowie! Na pomoc! Straż! Tędy, tędy, za zbiegłymi galernikami!

Przez chwilę głosy stłumiło coś jak hałas bójki, a gdy zabrzmiały znówu, żołnierze puścili się biegiem jak jelenie, a Joe za nimi.

Na przedzie biegł sierżant, a zaraz za nim dwu żołnierzy z bronią gotową do strzału.

– Tu są! Tu są obaj! – krzyknął po chwili sierżant gdzieś z dna rowu. – Poddajcie się! Natychmiast! Wy, dzikie zwierzątki! Rozdzielcie się!

Wśród bulgotania wody w rowie, bryzgów błota, przekleństw i odgłosu ciosów żołnierze wskoczyli do rowu na pomoc dowódcy i po chwili wyciągnęli stamtąd po kolei obu pokrwawionych i obłożonych galerników. Dyszeli ciężko, przeklinali i wydzierali się z rąk żołnierzy. Poznałem ich natychmiast.

– Zapamiętajcie sobie – powiedział mój galernik, ocierając łachmanami rękawa krew z twarzy i wytrząsając spomiędzy palców kępki włosów z cierniami – to ja go schwytałem. Ja go wam wydałem. Zapamiętajcie!

– To ci niewiele pomoże – odparł sierżant – jesteś przecież w tym samym położeniu co on. Kajdany!

– Wcale nie chcę żądać zmniejszenia kary – odpowiedział galernik – i tak mi to wystarczy. Chcę tylko, by on wiedział, że go wydał.

I zaśmiał się złym śmiechem.

Drugi więzień był siny. Oprócz blizn na lewym policzku przybyły mu rany na całej twarzy, włosy miał pełne cierni. Nie

odzyskał tchu na tyle, aby mówić, aż do chwili gdy natazono mu kajdanki, i musiał się oprzeć o jednego z żołnierzy, by ustać na nogach.

— Sierzancie, proszę pamiętać. On chciał mnie zamordować — brzmiały pierwsze jego słowa.

— Chciałem go zamordować? I nie zamordowałem? — powtórzył tamten pogardliwie. — Po prostu przeszkodziłem mu w ucieczce. Wlokłem go po błocie aż do tego miejsca, żeby go wam wydać. To pan, jeżeli chcecie wiedzieć. I ten pan wróci na galery. Po co miałbym go zabijać, skoro szykuję mu gorszy los. Wydaje go.

Tamten powtarzał tylko ciągle, dysząc:

— Chciał... chciał mnie zamordować... panowie będą świadkami...

— Stuchajcie! — wołał mój galemik — uciekłem sam z galer, mogłem uciec i z tych błot, bo... — wskazał na nogę — pozbyłem się łańcucha. Ale nie chciałem na to pozwolić, by i on uciekł. By raz jeszcze ze mnie skorzystał. Jeszcze raz miałem mu poma-gać? Jeszcze raz być jego narzędziem? Nie, nie, nie! I gdybym nawet zdechł tutaj na dnie rowu — tu dramatycznym gestem wy-ciągnął zakute dłonie — nie wypuściłbym go i znalazłbyście go w moich szponach.

Drugi zbieg, który najwyraźniej bał się śmiertelnie pierwszego, powtarzał tylko:

— Chciał... mnie zamordować... Byłbym trupem, gdybyście nie nadeszli...

— Kłamie — zaprzeczył z godnością mój galemik — urodził się kłamcą i umrze kłamcą. Spójrzcie mu w twarz. Czyż nie wygląda na kłamcę? Niech się ośmieli popatrzeć mi w oczy.

Tamten usiłował wywołać na usta pogardliwy uśmiech, ale nie udawało mu się przemoc nerwowego drgania warg. Spojrzał na żołnierzy, na bagniska dokoła, na niebo, ale nie rzucił spojrzenia na tego, który mówił.

— Widzicie go? — krzyczał galemik. — Widzicie tego szubrawca? Te błędzące niepewne oczy? On nigdy nie spojrzył mi w twarz. I tak było zawsze.

Tamten, wciąż nerwowo przygryzając wyschnięte wargi, błędził niespokojnie wzrokiem wokół siebie, ale wreszcie popatrzył przez chwilę nieco szyderczo na swego towarzysza i oświadczył:

— I ty nie wyglądasz zbyt przyjemnie.

Tu wymownie spojrzął na jego zakute ręce.

Na te słowa galemika ogarnął szal.

— Słyszeliście? Słyszeliście? — ryczał. — On chce mnie zamordować! Czy wam tego nie mówiłem?

Na wargi jego wystąpiła biała piana, podobna do rzadkich płatków śniegu.

— Dość już będzie tej gadaniny — przerwał ostro sierżant — zapalić pochodnie!

Podczas gdy jeden z żołnierzy, który zamiast broni niósł w ręku koszyk, przykląkł na jedno kolano, by go otworzyć, mój galemik rozglądał się wokoło i wtedy po raz pierwszy spojrzenie jego padło na mnie. Zeszedłem już z grzbietu Joego i przysiadłem na brzegu rowu, nie ruszając się z miejsca. Kiedy poczułem na sobie jego wzrok, nie odwróciłem oczu, tylko rozłożywszy dłonie, potrząsałem przecząco głową. W ten sposób chciałem go zapewnić, że go nie zdradziłem. Nie wiedziałem, czy mnie zrozumiał i czy mi uwierzył, bo rzucił mi niepojęte spojrzenie, a wszystko to trwało zaledwie mgnienie oka. Gdyby jednak nawet trwało godzinę lub dobę, i tak nie zapamiętałbym lepiej wyrazu jego twarzy.

Żołnierz z koszykiem wydobyl z niego kilka pochodni, zapalił je, jedną wziął sam do ręki, inne rozdał kolegom. Już przedtem było ciemno, ale teraz wydało mi się, że ciemności rosną z każdą chwilą. Zanim wyruszyliśmy w drogę, czterej żołnierze ustawieni pięścieniem wystrzelili dwukrotnie w powietrze. Natychmiast w kilku miejscach bagnistej równiny i na drugim brzegu rzeki zapłonęły ognie pochodni.

— W porządku — powiedział sierżant — naprzód marsz!

Nie uszliśmy daleko, gdy rozległy się trzy potężne wystrzały armatnie, od którychomal mi nie popękały bębenki w uszach.

— Oczekują cię na pokładzie galer — zwrócili się sierżant do

mego galernika – wiedzą, że przybywasz. Nie ma co się bronić. Ściągnijcie tam rzędy, chłopczy.

Kazdego z więźniów prowadzono oddzielnie pod inną strażą. Trzymałem za rękę Joego, który niósł pochodnię. Pan Wopsle miał ochotę wracać do domu, ale Joe postanowił pozostać do końca, więc szliśmy za żołnierzami.

Droga poprawiła się teraz nieco, wiodła wzdłuż rzeczki, wijąc się w kilku miejscach. Mijałszy groble, małe wiatraki i zabłoczone śluzę. Rozglądając się wokoło widziałem, że inne pochodnie również nam towarzyszą. Sypały one po drodze iskry i żarzące się węgle, które dymiły i rzucały czerwone blaski na ziemię. Naokoło nas panował nieprzenikniony mrok. Nasze światła rozgrzewały powietrze dokoła smolistym płomieniem; dwaj ludzie prowadzeni wśród muszkietów zdawali się być z tego zadowoleni. Posuwalimy się z ich powodu bardzo powoli, a i to trzeba było się kilka razy zatrzymywać, by dać im odetchnąć.

Po przeszło godzinie takiej wędrówki dotarliśmy do zagrody, w której stała drewniana chatupa. Był to posterunek wojskowy. Sierżant odpowiedział na hasło, po czym weszliśmy do wnętrza chaty, gdzie pachniało tytoniem, wapnem i gdzie palit się ogień na kominie. Była tam lampa, muszkiety pod ścianą, bęben i drewniana pryca, niska i podobna do olbrzymiego magła bez przyrządów; mogło się tam przespać jednocześnie z tuzin żołnierzy. Trzech czy czterech odpoczywających na tym tapczanie jednak nie zwróciło na nas specjalnej uwagi. Podnieśli na chwilę głowy, gdyśmy weszli, i położyli się zaraz znowu spać. Sierżant złożył rodzaj raportu, zapisał coś do książki, po czym strażnicy odprowadzili najpierw „tego drugiego”, jak go w myśli nazywałem.

Mój galernik od tamtej chwili, o której już wspominałem, nie spojrział na mnie ani razu. Od momentu gdyśmy weszli do chaty, stał przed kominkiem i grzał się przy ogniu, nie odrywając od niego oczu. Chwilami wysuwał jedną stopę ku płomieniom i patrzył na nią, jak gdyby jej żałował, że musiała przejść tak przykre wypadki.

Nagle zwrócił się do sierżanta i powiedział:

– Chciałbym oświadczyć coś w związku z moją ucieczką. Może moje słowa uchronią innych od podejrzeń.

– Możesz sobie potem oświadczać, co ci się podoba – odpowiedział sierżant, patrząc na niego chłodno i krzyżując ramiona na piersiach – teraz nie czas po temu. Jeszcze dość będziesz musiał na ten temat rozmawiać. Zapewniam cię.

– Wiem o tym – odparł galernik – ale chcę mówić o czymś innym. Człowiek nie może umierać z głodu. Przynajmniej ja nie mogę. Więc musiałem zabrać sobie trochę zapasów z domu na wsi, tam za bagniskiem, gdzie kościół stoi prawie na moczarach.

– Czy chcesz przez to powiedzieć, żeś je ukradł? – zapytał sierżant.

– Tak i powiem wam u kogo. U kowala.

– Ho, ho – zauważył sierżant, patrząc na Joego.

– Ho, ho, Pip – dodał Joe, patrząc na mnie.

– Były tam resztki jedzenia, trochę wódki i pasztet.

– Czy spostrzegliście, że zginął wam pasztet, kowalu? – badał dobrodusznie sierżant Joego.

– Żona moja spostrzegła to w chwili, gdy panowie do nas wchodzili. Prawda, Pip? – odparł Joe.

– Ach, tak – powiedział galernik, zwracając ożywione spojrzenie na Joego (na mnie nawet nie spojrział) – to pan jest kowalem? Bardzo mi przykro, ale zjadłem pański pasztet.

– Bóg widzi, że panu to wybaczam, jeżeli o mnie chodzi, całkowicie – oznajmił Joe, któremu przed oczyma mignęło wspomnienie żony. – Nie chcielibyśmy, aby pan zmarł z głodu. Prawda, Pip, że nie chcielibyśmy tego?

W krtani Joego coś zadgało. Już raz słyszałem ten dźwięk. Joe odwrócił się. W teście chwili łódź, która odwiozła więźnia na galery, powróciła po mojego galernika. Odprowadziliśmy go aż na brzeg do wbitych na przystani pali i wielkich kamieni, i widzieliśmy, jak wsiada do łodzi, w której stali wiosłarze, tacy sami jak on galernicy. Żaden z nich nie zdawał się być zdziwiony jego widokiem, żaden się nie ucieszył ani go nie przywitał, za-



den nie okazywał zmartwienia z powodu niepowodzenia ucieczki. Jakis głos w łodzi wrzasnął tylko jak na psy:

– No, dalej, jazda, wy tam!

Był to sygnał do wiosłowania.

W blasku pochodni ujrzeliśmy leżące na wodzie nieopodal brzegu czarne galery jak straszliwą arkę Noego. Przytwierdzone łańcuchami, okuty w żelazo ponton zdawał się moim dziecięcym oczom równie uwięziony jak zakuci w kajdany galernicy. Widzieliśmy, jak łódź dobiła do galer, jak więźniów wysiadł i zniknął nam z oczu. Potem głównie pochodni zanurzone w wodzie zasyczały i wówczas zdawało mi się, że wszystko raz na zawsze z nim się skończyło.

## Rozdział szósty



Uczucie, jakiego doświadczałem, gdy tak nieoczekiwanie zostałem uwolniony od ciężaru popełnionej kradzieży, nie nastrojało mnie wcale do szczerzego przyznania się do winy; wydawało mi się jednak, że nie wypływało to z pobudek do gruntu złych.

Nie przypominam sobie, abym odczuwał jakiegokolwiek wyrzuty sumienia w stosunku do mojej siostry, z chwilą gdy przestałem się lękać, że wina moja zostanie odkryta. Ale kochałem Joego – chociażby z tego powodu, że w tym czasie ów drogi przyjaciel pozwał mi się kochać – i w stosunku do niego czułem coś w rodzaju wewnętrznego niepokoju. Nie przestawałem myśleć (zwłaszcza kiedy widziałem, jak szuka piłnika), że powiniennem mu wyznać całą prawdę. A jednak nie uczyniłem tego obawiając się, że będzie mnie uważał za jeszcze gorszego niż byłem w rzeczywistości. Obawa, że stracę zaufanie Joego i że odtąd będę siadywał wieczorami w kącie przy kominku i patrzył ze smutkiem na utraczonego na zawsze towarzysza i przyjaciela, zamykała mi usta. Wyobrażałem sobie ponuro, że gdyby Joe wiedział całą prawdę, nie mógłbym już nigdy patrzeć, jak przygląda przed ogniem kominka faworyty, gdyż musiałbym myśleć wciąż o tym, że zastanawia się nad moją niegodziwością. Ze gdyby Joe wiedział o wszystkim, nigdy bym już nie mógł na niego patrzeć, nawet wtedy gdy rzuca obojętne spojrzenie na wczoro-

rajszy pudding i mięso na stole – wciąż miałbym wrażenie, że szwagier zastanawia się, czy pładrowałem już w spizarni. Krew uderzała mi do policzków na samą myśl, iż Joe któregoś dnia w ciągu naszego wspólnego domowego pożywania zauważywszy, że jego piwo jest zbyt gęste lub niesmaczne, mógłby mnie podejrzewać o dolanie do napoju dziegciu. Słowem, byłem zbyt wielkim tchórzem, aby uczynić to, co uważałem za słuszne, i zανά-to tchórzyłem, aby uniknąć złych postępów. Nie miałem jeszcze wtedy żadnego kontaktu ze światem i nie wiedziałem, że w ten sposób postępuje większa część jego mieszkańców. Sam w genialny sposób odkryłem dla siebie linię postępowania.

Nie oddaliśmy się jeszcze bardzo od pontonu, kiedy padłem już z senności i Joe wziął mnie znowu na barana, aby mnie zanieść do domu. Musiała to być dla niego bardzo męcząca droga, gdyż pan Wopsle wpadł w tak straszny humor, że gdyby Kociół „był otwarty”, pewnie nasz towarzysz rzuciłby kłatwę na całą naszą wyprawę, począwszy od Joego i ode mnie. Był na tyle lekkomyślny, że siedział długo w wilgotnym powietrzu i gdy zdjął kurtkę, aby ją wysuszyć przy ogniu w kuchni, stan jego spodni stanowiłby wystarczający powód, aby go skazać na powieszenie, gdyby tego rodzaju lekkomyślność uważano za poważne przestępstwo.

Tymczasem ja zataczałem się po podłodze kuchennej jak mały pijak; gdy Joe postawił mnie na nogi, spałem z zacisniętymi pięściami i teraz obudziłem się w ciepłe, światłe i wśród gwaru głosów. Kiedy ocknąłem się (przy pomocy porządnego kuksańca wymierzonego mi pomiędzy łopatki i przeraźliwego okrzyku mojej siostry: „Widział kto kiedy takiego chtopaka!”), usłyszałem, jak Joe opowiadał im o zeznaniu galernika i jak wszyscy goście starali się na tysiące sposobów wyjaśnić, w jaki sposób zbieg mógł się dostać do spizarni. Pan Pumblechook zdecydował po starannym zbadaniu wszystkich miejsc, że galernik najpierw wspiął się na dach kuchni, stamtąd na dach domu, potem ześliznął się przez komin kuchni przy pomocy sznura uplecionego z podartych prześcieradeł; a ponieważ pan Pumblechook był bar-

dzo stanowczy i sam powoził własną bryczką – wszyscy zgodzili się, że tak musiało być rzeczywiście. Pan Wopsle uważał wprawdzie za stosowne wołać zaciekle „nie” – złoszcząc się niezbyt gwałtownie ze względu na zmczenie – ale nie posiadał ani własnego zdania, ani marynarki, więc nikt nie zwrócił na to uwagi, tym bardziej że z tylnej części jego ciała unosiła się gęsta para, gdyż odwrócony tyłem do ognia suszył sobie spodnie, co nie wzbudzało do niego bynajmniej zaufania.

Tyle usłyszałem tego wieczoru, gdyż siostra schwycała mnie i aby zaoszczędzić gościom uwłaczającego widoku mojej osoby pogrążonej we śnie, zaciągnęła mnie do łóżka tak silną ręką, że zdawało mi się, iż mam na nogach pięćdziesiąt par butów, które przy każdym kroku uderzały o stopnie schodów.

Nastrój owej nocy przeżywałem ponownie nazajutrz rano, zanim wstałem z łóżka, i długo potem, nawet wówczas, gdy cała ta sprawa poszła w zapomnienie i powracano do niej już tylko w wyjątkowych wypadkach.

## Rozdział siódmy



W czasach kiedy odczytywałem na cmentarzu napisy na nagrobkach rodziny, potrafiłem je zaledwie sylabizować. Wytworzyłem sobie też z nich własne, nie zawsze zgodne z prawdą wyobrażenia: określenie „matzonka powyższego” stanowiło dla mnie coś w rodzaju pochlebnej opinii o moim ojcu na tamtym świecie i gdybym przy którymś nazwisku moich krewnych nieboszczyków przeczytał epitet „poniższego”, wyrobiłbym sobie najgorsze zdanie o tym członku rodziny. Jeżeli chodzi o moje wiadomości teologiczne, których źródłem był katechizm, to i one nie kryształizowały się całkiem jasno. Przypominam sobie, że słowa: „kroczyć tą samą ścieżką każdego dnia mego żywota” rozumiałem w ten sposób, że muszę chodzić przez miasteczko zawsze tą samą drogą i nie zbaczać w stronę młynami w stronę domu kołodzieja.

Była mowa, że Joe będzie mnie uczył rzemiosła, kiedy dorosnę. Ale zanim miałem dostąpić tego zaszczytu, siostra moja uważała, że nie należy mnie zbytnio rozpieszczać, jak zwykłe mówią. Nie tylko więc pomagałem w kuźni, ale gdy któryś z sąsiadów potrzebował chłopaka do rozpędzania plectwa, zbierała kamieni lub innej czynności w tym rodzaju, obdarzano mnie taskawie tą funkcją. Jednocześnie, nie chcąc narażać na kompromitację naszej pozycji towarzyskiej, umieszczono w kuchni na kominku skarbonkę, do której (o czym się miało zwyyczaj

oznajmiać publicznie) składano wszystko, co zarabiałem. Oszczędności te były przeznaczone chyba na spłacenie Pożyczki Narodowej, gdyż nie miałem najmniejszej nadziei, aby choć cząstkę tego skarbu otrzymać na własność.

Cioteczna babka pana Wopsle’a prowadziła w miasteczku wieczorną szkółkę. Ta stara, zabawna kobieta o mocno ograniczonych środkach utrzymywania i nieograniczonym upośledzeniu umysłu miała zwyyczaj zasypiać co wieczór od godziny szóstej do siódmej w towarzystwie uczniów, z których każdy płacił jej co tydzień dwa pensy za tę „naukę”. Odnajmowała mały domek, w którym pan Wopsle zajmował pokój na górze. Słyszeliśmy, jak uroczyستم i straszny głosem czytał, a od czasu do czasu pukał w nasz sufit. Pan Wopsle raz na kwartał miał „egzaminować” uczniów. Była to dla niego okazja do odwijania mankiętów, odrzucania w tył włosów i recytowania mowy Marka Antoniusza nad zwłokami Cezara. Potem następowała „Oda do namiętności” Collinsa. Podziwiałem specjalnie pana Wopsle’a, gdy wyobrażał Zemstę. Rzucił zakrwawionym mieczem i grzmiał wielkim głosem, obwieszczając wojnę. Później, gdy zapoznałem się bliżej z „namiętnościami”, zmieniłem zdanie o Collinsie i o Wopsle’u, raczej na niekorzyść tych dwóch panów.

Cioteczna babka pana Wopsle’a, niezależnie od zakładu wychowawczego, miała w tym samym pokoju... maty sklepik. Nie znała się zupełnie na handlu i nie miała pojęcia o cenach, ale w szufladzie trzymała zatuszowany zeszycik, który służył jej za cennik. Wyrocznią przy zawieraniu wszelkich transakcji handlowych była Biddy, wnuczka ciotecznej babki pana Wopsle’a. Była jak ja sierotą i jak ja została wychowana „własnoręcznie”. Najbardziej zastanawiały mnie charakterystyczne dla niej kontry, w dzień powszedni chodziła rozczochrana, zawsze z brudnymi rękami, a pięty wyłaziły jej stale z podartych bucików. W niedzielę jednak szła do kościoła odświętnie wystrojona.

Częściowo sam, częściowo przy pomocy Biddy, o wiele skuteczniejszej od pomocy ciotecznej babki pana Wopsle’a, przędziałem się przez alfabet jak przez gąszcz pełen ciemni, gdzie

każda litera stawała się przedmiotem udręki. Zaraz potem rzuciło się na mnie, niczym dziewięciu łotryków, dziewięć cyfr, które co wieczór dawały mi nowe zagadki i przybierały nowe postacie. Ale ostatecznie nauczyłem się czytać, pisać i rachować, posuwając się jak ślepiec po szczeblach drabiny.

Pewnego wieczoru usiadłem w kącie przy kominku z tabliczką w rękę, usiłując z największym wysiłkiem ułożyć list do Joe'go. Musiało to być przynajmniej w rok po naszym pościgu wśród bagnisk, gdyż na świecie panowała znowu zima i mróz. U stóp położyłem sobie abecadło i zaglądałem do niego od czasu do czasu, a po upływie jednej lub dwu godzin nagryzmoliłem następujący list:

*móJ DrOgl Jo Mam naDzieję, Że Czujesz się ty dobZe i że niedłógO będę mógł ciebie uczyć Jo. Ftedy obaj będziemy tacy zaDowoleni Jo. A potem zosTanę twoiM cZeladnikiem. Po-zDrawjam cię PiP.*

Nie zachodziła żadna konieczność, abym się musiał porozumiewać z Joem listownie, gdyż siedział tuż obok mnie i byliśmy sami, ale wręczyłem mu ten list na tabliczce, wypisany przeze mnie własnoręcznie, i Joe uważał go za cud wykształcenia.

– Pip, mój stary! – zawołał, otwierając niebieskie oczy. – Ależ z ciebie uczoney!

– Chciałbym być uczonym – powiedziałem, rzucając spojrzenie na tabliczkę, gdyż podejrzewałem, iż pisownia moja nie jest poprawna.

– Oto J – chwalił Joe – i takie piękne O! Tak, Pip, J i O, a J i O to razem Joe!

Nigdy nie słyszałem, by Joe czytał na głos coś innego prócz tej sylaby, a w kościele zauważyłem, że trzymał książkę do na-bożeństwa do góry nogami. Chciałem przy tej okazji dowiedzieć się, czy ucząc Joego musiałbym zaczynać naukę od samego początku.

Odezwałem się:

– Przeczytaj do końca, Joe.

– Do końca, Pip? – pytał Joe, rzucając przeciągłe spojrzenie.

– Jeden, dwa, trzy, tak, jest tam trzy J i trzy O. W twoim liście jest trzech Joe, Pip.

Pochyliłem się nad Joem i posuwając wskazującym palcem, przeczytałem głośno cały list.

– To zdumiewające – oświadczył Joe, kiedy skończyłem – jesteś prawdziwym uczonym.

– Jak piszesz twoje nazwisko Gargery, Joe? – spytałem go z protekcyjną skromnością.

– W ogóle nie piszę – odparł Joe.

– Ale przypuścimy, że napisałbyś.

– Przypuszczenie do niczego nie prowadzi – bronił się Joe – ale mimo to ogromnie lubię czytać.

– Doprawdy, Joe?

– Ogromnie – powtórzył Joe. – Dajcie mi dobrą książkę lub dobrą gazetę i pozwólcie zasiąść przy dobrym ogniu, a niczego nie potrzeba mi więcej do szczęścia. Mój Boże – mówił Joe, potarłszy sobie kolano. – Kiedy natrafia się na J lub na O i mówi się JO, to otrzymuje się Joe. Wtedy czytanie staje się naprawdę interesujące.

Z tej ostatniej uwagi wywnioskowałem, że wykształcenie Joe'go jest w tej chwili jeszcze w okresie niemowlęctwa, podobnie jak wynalazek pary. Nie porzucając więc przedmiotu mych za-pytań, ciągnąłem:

– Czy chodzicie do szkoły, kiedy byłeś taki mały jak ja?

– Nie, Pip.

– A dlaczego nie chodzicie do szkoły, kiedy byłeś taki mały jak ja?

– Widzisz, Pip – tłumaczył Joe, poprawiając ogień pogrzebaczem poprzez kraty kominka, co oznaczało u niego zawsze zamyślenie. – Widzisz, Pip, mój ojciec pił, a gdy był pijany walił bez litości moją matkę. Były to jedyne chwile, kiedy on, kochał, walił jak młotem, chyba że walił we mnie. Można nawet zaryzykować twierdzenie, że z większą siłą walił we mnie niż w kowadło. Czy słuchasz i rozumiesz mnie, Pip?

– Tak, Joe.

– Zdarzało się więc mojej matce i mnie, że uciekaliśmy od ojca. Matka chodziła wówczas do pracy i mówiła: „Joe, dziękuj Bogu, że możesz się kształcić”, i posyłała mnie do szkoły, ale mój ojciec miał takie czułe serce, że nie mógł się bez nas obejść. Przechodził z taką gromadą kompanów pod drzwi mieszkania, gdzieśmy się znajdowali, i robił tyle hałasu, że nie chcieli nas tam już dłużej trzymać i odsyłali co prędzej z powrotem do niego. Wtedy zabierał nas do domu i walił. Wszystko to, widzisz, Pip – mówił Joe w zamysleniu, grzebiąc w ogniu i patrząc na mnie spod oka – nie posuwało zbyt daleko mego wykształcenia.

– Oczywiście, mój biedny Joe.

– A jednak, Pip – wywodził Joe – trzeba każdemu przyznać to, co mu się należy: mój ojciec miał, jak widzisz, w gruncie rzeczy dobre serce.

Nie widziałem tego, ale mu się z tym nie zwierzyłem.

– Ale – ciągnął Joe – ktoś musi pilnować gamka, aby się w nim gotowało, bo widzisz, samo się nic nie zagotuje.

Zgodziłem się i na to.

– Więc ojciec mój nie widział nic w tym złego, abym zaczął zarabiać. Zacząłem pracować w moim zawodzie, który był tak-że i jego zawodem, i harowałem ciężko, wierz mi, Pip. Wkrótce mogłem już utrzymać ojca i utrzymywałem, dopóki nie skończył na apopleksję. Miałem zamiar wyrzyc na jego nagrobku taki napis: *Pamiętaj, czytelniku, że mimo słabości miał serce.*

Joe wygłosił te sentencje z taką dumą i tak starannie wy-mając poszczególne wyrazy, że spytałem go, czy sam to zdanie wymyślił.

– Tak, sam je wymyśliłem – odpowiedział – i to tak od razu, jak gdybym wykuł podkowę końską, jednym ciosem. Sam by-tem zdumiony tym, co się stało. Po prostu nie wierzyłem, że zro-dziło się to w mojej głowie. Chciałem, jak ci to wspominałem, wyrzyc te słowa na jego nagrobku, ale wyrzycie wierszy drogo kosztuje, bez względu na to, czy dużymi czy małymi literami. Nic więc z tego nie wyszło. Całe zaoszczędzone pieniądze, oczy-wiście po opłaceniu pogrzebu, oddałem matce. Jej zdrowie tak-

że pozostawiało wiele do życzenia. Była bardzo słaba. I ona wkrótce po ojcu odnalazła całkowity spokój.

Niebieskie oczy Joego zatławiły się. Otarli najpierw jedno oko, potem drugie w najniwgodniejszy sposób, bo za pomocą gałki, którą zakończona była ręczka pogrzebacza.

– Bardzo mi było potem samotnie i pusto, i wtedy właśnie zapoznałem się z twoją siostrą. I wiesz – tutaj Joe wpatrzył się we mnie baczniej, jakby przeczuwał, że nie zgodzę się z jego zdaniem. – Twoja siostra to piękna kobieta.

Nie mogłem się powstrzymać, aby nie patrzeć w ogień z wy-razem twarzy pełnym wątpliwości.

– Jakakolwiek jest w tym względnie opinia rodziny i cokol-wiek o tym myśli świat, Pip, twoja siostra jest – i tu Joe wybił rym słów pogrzebaczem o kratę kominka – jest pię-kną ko-bie-tą! Nie pozostało mi nic innego, jak powiedzieć:

– Cieszę się, że tak uważasz, Joe.

– I ja także – oświadczył Joe – i ja także jestem szczęśliwy, że tak uważam. Bo cóż? Że trochę czerwona na twarzy, czy że tu lub tam sterczą jej zbyt daleko kości? Cóż mi to może ostatecznie szkodzić?

Zauważyłem, nie bez pewnej bystrości, że skoro jemu to nie szkodzi, to dlaczego miałoby szkodzić innym?

– Oczywiście – zgodził się Joe skwapliwie – masz zupełną słusność, mój stary. Kiedy poznałem twoją siostrę, wszyscy opowiadali mi, jak ona ciebie sama chowa, i wszyscy ogromnie ją za to chwaliли. I ja uważałem, że to bardzo ładnie z jej strony, a ty – tu Joe zrobił taką minę, jak gdyby ujrzał coś obrzydliwe-go – a ty, mój chłopcze, gdybyś siebie wówczas widział, jaki byleś szkaradny, słabutki, mały, miałbyś o sobie samym bardzo nieszczerą opinię.

Nie bardzo mi się to podobało i poprosiłem krótko:

– Nie zajmuj się moją osobą, Joe.

– Ależ musiałem się wtedy zająć twoją osobą, Pip – tłumaczył Joe ze wzruszającą prostotą. – Kiedy twoja siostra zgodziła się wziąć ze mną w kościele ślub i kiedy miała sprowadzić

się do mnie do kuźni, zaproponowałem jej: „Zabierz ze sobą mienie. Niech Bóg ma je w swej opiece, biedactwo. Znajdź się dla niego – mówiłem – miejsce w kuźni”. Tak powiedziałem twojej siostrze.

Wybuchnąłem płaczem i rzuciłem się Joemu na szyję, a on, żeby mnie uściskać, odstał pogrzebacza i tuląc mnie, perswadował:

– Czyż nie jesteśmy najlepszymi przyjaciółmi, Pip? Nie płacz, stary.

Kiedy minęła ta mała dygresja, Joe ciągnął:

– I oto dochodzimy do sedna sprawy. Teraz, kiedy będziesz mnie uczył (a uprzedzam cię, że jestem tępy, aż strach!), twoja siostra nie powinna o tym nic wiedzieć. Musimy się sprytnie kryć. A dlaczego się kryć, to zaraz powiem, Pip.

Znowu wziął do ręki pogrzebacza. Sądzę, że bez niego nie potrafiłby niczego dowieść.

– Twoja siostra kocha się we władzy.

– Kocha się we władzy? Co to znaczy? – spytałem zdumiony, gdyż obawiałem się (a raczej, prawdę mówiąc, miałem nieśmiałą nadzieję), że siostra moja rozwodzi się z Joem dla jakiegoś ministra marynarki czy skarbu.

– Chcę przez to powiedzieć, że twoja siostra lubi rządzić mną i tobą – wyjaśnił Joe.

– Aha!

– Wobec tego nie życzę sobie mieć w domu uczonych, a szczególnie nie chce, abym ja był uczonym, bo lęka się, bym się nie zbuntował.

– A dlaczego... – zacząłem, by wyjaśnić pewną sprawę, ale Joe przerwał mi:

– Poczekaj chwilę, Pip. Wiem, o co chcesz pytać. Poczekaj. Przyznaję, że siostra twoja napada na nas zmienacka, nie wiadomo o co. Nie przeczę, że robi wtedy okropne skandale, szczerze zmusza mnie do przyznania, że kiedy twoja siostra wyrusza na wojnę z nami, to jest okropną megierrrra...

Joe wymówił ten wyraz, jak gdyby zawierzał on co najmniej tuzin „r”.

– Czemu więc się nie buntuję? O to chciałeś spytać, Pip?

– Tak, Joe.

– Bo widzisz – i tu Joe przetożył pogrzebacza z prawej ręki do lewej, by móc prawą pogłaskać się po faworytach. A ile razy wykonywał ten gest pełen spokoju, wiedziałem, że ustępuje siostrze – twoja siostra to kobieta z nie lada głową. Z nie lada głową.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytałem sądząc, że w ten sposób przerwę zapał Joego, ale nic nie mogło go już powstrzymać. Potrząsając głową, oznajmił z podziwem:

– Ona.

I zaraz potem dodał, jakby dla wyjaśnienia:

– Ja, widzisz, nie jestem człowiekiem z głową. Ale jest jeszcze coś ważniejszego, Pip, co każe mi tak postępować. Powiem ci to. Oto nie wychodzi mi z pamięci moja biedna matka. Taka zahukana, zamęczona, nieszcześliwa, moja matka, która miała zawsze zadreżone serce i nigdy spokoju w tym życiu. I jak sobie ją przypomnę, to tak się boję, by kobiecie nie robić krzywdy, i już z dwójga złoga wołę przesadzić w pobłażliwości niż w krzywdzie, już wołę sam trochę pocierpieć. Ja wiem, Pip, że i z tobą nie jest dobrze, wierz mi, wołałbym, żeby nie było dla ciebie tego przebrzydłego Łaskota, wołałbym czasem brać za ciebie w skórę. Teraz, kiedy już wiesz, co o tym myślę, to może lepiej będzie ci znieść te drobne przykrości, Pip.

Byłem wówczas bardzo mały, ale mam wrażenie, że od tego wieczoru zaczęło we mnie dojrzywać całkiem nowe uczucie dla Joego. Nadal pozostaliśmy sobie równi, ale odtąd zamknąłem go na zawsze w moim sercu.

– W każdym razie – powiedział Joe, podsycawszy ogień w kominie – zegar holenderski wybije zaraz ósmą, a jej wciąż nie ma. Spodziewam się, że klacz wuja Pumblechooka nie pośliznęła się przednią podkową na lodzie i nie przewaliła się na drodze.

Siostra moja w dni targowe jeździła niekiedy z wujem Pumblechookiem po zakupy, które wymagały kobiecej ręki. Wuj

bowiem był starym kawalerem i nie miał zaufania do swej służącej. Dzisiaj przypadał właśnie dzień targowy i siostra pojechała do miasta.

Joe poprawił jeszcze ogień, wymiół przed kominkiem i wyszliśmy przed dom, by nasłuchiwać turkotu bryczki. Noc była mroźna, wicher dał gwałtownie, a świat spowiła białość. Człowiek, który by nocował na bagnisku, musiałby zamarznąć na śmierć. Pomyślałem o tym i gdy patrzyłem na gwiazdy, wyobraziłem sobie jeszcze, jak okropnie byłoby mu umierać pod takim wygwieżdzonym niebem czując, że znikąd nie przyjdzie do niego pomoc w tym zimnym roziskrzonym świecie.

— Idzie kobyła — zauważył Joe — dźwięczy jak dzwonek.

Podkowy dzwoniły rzeczywiście metalicznie na zamarznętej drodze; nadzieżdzano pośpiesznie. Wymieśliśmy z domu krzesło, by siostra mogła wygodnie wysiąść. Joe podsycił ogień tak, by z daleka widać było oświetlone okno, rzuciliśmy jeszcze ostatnie spojrzenie na kuchnię, by sprawdzić, czy wszystko jest na swoim miejscu. Gdy te przygotowania zostały skończone, podróżni zjawili się opatuleni po dziurki od nosa. Zeskoczyli z bryczki, wuj Pumblechook rzucił derkę na kłacz i weszliśmy wszyscy do kuchni, wnosząc ze sobą tyle zimna, że zdawało się pochłaniać ciepło bijące od kominka.

— No — powiedziała moja siostra, rozbiegając się pośpiesznie i odrzucając na plecy przywiązany pod brodą czepiec, tak że zwiśnął zabawnie — jeżeli ten chłopak nie będzie mi teraz wdzięczny, to chyba nigdy.

Spojrzałem na nią z wyrazem takiej wdzięczności, na jaką może zdobyć się chłopiec, który nie domyśla się, za co ma być wdzięczny.

— Spodziewam się, że nie będzie zbytnio rozpieszczany — ciągnęła moja siostra — obawiam się tego.

— To nie leży w jej zwyczajach — odpowiedział Pumblechook — ona już dobrze wie, co ma robić, proszę pani.

— Ona? — spojrzałem zdumiony na Joe'go, poruszając na znak zdziwienia brwiami i wargami. — Ona? — Joe rzucił mi również

porozumiewawcze spojrzenie, poruszając brwiami i wargami. Ale gdy moja siostra spojrzała na niego, w tej chwili zastonił twarz ręką, pocierając nos z właściwą sobie grzeczną, ugodową miną i popatrzył na żonę.

— No i co się stało? — burknęła do niego siostra. — Co się tak gapisz? Dom się pali czy co?

— Ona? — badał niepewnie Joe, nie osmielając się wprost spytać, o kogo chodzi.

— Ona to ona — odparła siostra — chyba nie powiesz „on” o miss Havisham? Nawet ty nie posunąbyś się chyba tak daleko?

— O miss Havisham? — powtórzył Joe. — O tej z miasta? Z góry?

— A czyż jest jakaś jeszcze miss Havisham w mieście na dole? — odparła siostra. — Właśnie ona. Chce, by chłopak przychodził do niej się bawić. I chłopiec będzie chodził tam się bawić.

Niechby spróbował nie iść. Ja mu pokazę.

I ja słyszałem o miss Havisham z górnej części miasta. Znała ją w obrębie kilku mil. Była to ogromnie bogata i ponura pani, mieszkająca w olbrzymim domu stale zabarykadowanym w obawie przed złodziejami. Opowiadano, że prowadzi samotne życie.

— No, dobrze! — zawołał zdumiony Joe. — Ale skąd ona zna Pipa?

— Ty głupcze — zgromiła go siostra — kto ci powiedział, że go zna?

— Skoro ta osoba chce, by przychodził się bawić u niej? — tłumaczył się uprzejmie Joe.

— A nie mogła spytać wuja Pumblechooka, czy nie wie o jakimś chłopcu, który by przychodził się bawić do niej? Czy nie dopuszczasz możliwości, że wuj jest jej dzierżawcą i od czasu do czasu — by nie powiedzieć raz na kwartał, bo to byłoby dla ciebie zbyt trudne do zrozumienia — przychodzi do niej płacić dzierżawę? I czy wtedy, gdy ją odwiedził, nie mogła spytać o chłopca, który by przychodził się bawić? I czy nie mógł wuj Pumblechook, który jest zawsze pełen względów dla nas, mimo że nie zawsze chcesz to wiedzieć, Józeffe (to ostatnie powiedziane było tonem pełnym wymówki pod adresem niedobrego siostrzeń-

ca), czy nie mógł wuj wskazać tego oto chłopaka, który stoi tam i puszy się (nie robięm nic podobnego), tego chłopaka, którego jestem od lat niewolnicą?

– Doskonale! – pochwalił wuj Pumblehook – świetnie to wyłożone. Już teraz wiesz, o co chodzi, Józefie.

– Nie, Józefie – zaprotestowała siostra tonem tak pełnym wyrzutu, że Joe znowu gestem obronnym pogładził się po nosie.  
– Nie, nie wiesz wcale, o co chodzi, chociaż ci się tak pewnie wydaje. Nie wiesz, że wuj Pumblehook w swojej dobroci uważając, że wizyty tego chłopaka u miss Havisham mogą być początkiem jego fortuny, ofiarował się zabrać go bryczką jeszcze dziś wieczorem do miasta, przenocować u siebie, i rano zaprowadzić i oddać we własne ręce miss Havisham. O Boże! – wrzasnęła nagle zrozpaczona i zdarła z siebie czepek – ja tu stoję i gadam do tych idiotów, a kobyła marznie na dworze, wuj Pumblehook czeka, a ten chłopak jest od stóp do głów pokryty brudem.

W tej chwili rzuciła się na mnie, niczym orzeł na jagnię, zanurzyła mi głowę w cebrzyku, podstawiła go pod kran, z którego lały się potoki wody, mydliła mnie, szorowała, skrobała, pluła, ugniatła, wycierała, grzmociła, szczypała tak, że ledwie mogł wytrzymać (chciałbym tu zauważyć, że lepiej niż ktokolwiek na świecie znam teraz uczucie, jakie ma człowiek, któremu po gołym ciele jeździ obrączka ślubna).

Gdy skończyło się szorowanie, zostałem obleczony w czyste płótno najsztywniejszego gatunku, niczym młody grzesznik w wór pokutny, a potem włożony w najciaśniejsze i najbardziej znieawidzone ubranie.

Następnie wręczono mnie wujowi Pumblehookowi, który przyjął mnie niczym szeryf i obdarzył krótkim przemówieniem, gdyż nawet na łożu śmierci musiałby przemawiać. Powiedział:

– Chłopcze, bądź wdzięczny wszystkim przyjaciółom, ale najbardziej tym, którzy cię wykarmili własnoręcznie.

– Do widzenia, Joe.

– Niech Bóg cię błogosławi, mój stary.

Nigdy przedtem się z nim nie rozstawałem i nie wiem, czy to wrażliwość, czy też woda z mydłem w oczach sprawiły, że zraziłem się do niego, czy też woda z mydłem w oczach sprawiły, że zraziłem się do niego, czy też woda z mydłem w oczach sprawiły, że zraziłem się do niego.

Ale po chwili już ku mnie mrugały, nie rzucając jednak słowa na sprawę, czemu to właściwie miałem się bawić u miss Havisham i o jaką chodziło zabawę.



## Rozdział ósmy



Sklep Pumblechooka na ulicy Głównej, w targowej dzielnicy miasta, pachniał pieprzem i mąką, jak przystoi na sklep handlarza ziarnem i nasionami. Zdawało mi się, że musi to być bardzo szczęśliwy człowiek, skoro posiada na własność tyle małych szufiadek. Zaglądając do dolnych szufiad, gdzie leżały brunatne, owinięte w papier paczuszki, zastanawiałem się, czy te wszystkie nasiona i cebulki nie chciałyby wyrwać się na wolność, by prędzej zakwitnąć.

Rozmysłaniom tym oddawałem się wczesnym rankiem nazajutrz po przybyciu do wuja. Poprzedniego bowiem wieczoru posłano mnie prosto do łózka, do pokoiku na poddaszu. Dach tego pokoju był tak pochylony, że w jednym z kątów niemal dotykał ziemi i leżąc w łóżku myślałem, iż zaledwie stopa dzieli moją skroń od belek pod sufitem. Tegoż ranka odkryłem dziwaczne pokrowienstwo pomiędzy nasionami a welwetem w prążki. Wuj Pumblechook i jego pomocnik w sklepie ubrani byli w welwetowe garnitury i w mojej wyobraźni nasiona miały ten sam zapach co ów materiał, tak że nie wiedziałem, co tak pachnie w sklepie: nasiona czy welwet. Wówczas również zauważyłem, że wuj Pumblechook zdawał się prowadzić swój interes w ten sposób, iż patrzył przez okno wystawy na sklep siodlarza z przeciwka. Ów siodlarz spozierał tymczasem na swego sąsiada, właściciela składu karret, a ten z kolei zarabiał na życie, trzymając ręce w kieszeniach i nie

spuszczając z oka piekarza. Piekarz ze skrzyżowanymi ramionami przyglądał się kupcowi, który ziewając na progu swego sklepu spozywczego, obserwował aptekarza. Zegarmistrz wicznie pochylony nad matym pulpitem, z lupą tkwiącą w oku, obserwowany przez stoczonych za szybą wystawową wyrostków w fartuchach, zdawał się być jedynym na ulicy Głównej właścicielem sklepu, oddającym się naprawdę pracy.

Wuj Pumblechook jadł ze mną o ósmej rano śniadanie w pokoju za sklepem, gdy jego pomocnik pochłaniał gorącą herbatę i górę kawałków chleba z masłem na worku z grochem w sklepie.

Uważałem wuja Pumblechooka za bardzo przykrego towarzysza. Przede wszystkim dlatego, że podobnie jak moja siostra uważał mój jadłospis za jakieś karne ćwiczenie i smarował mi chleb możliwie najcieniej masłem, a do mleka dolewał tyle gorącej wody, że lepiej by już wcale nie lał mleka. Poza tym z takiej przyczyny, że rozmowa jego ze mną miała charakter wyłącznie arytmetyczny. Gdy uprzejmie przywitałem go „dzień dobry!”, odpart:

– Siedem razy dziewięć, chłopcze?

Jakże mogłem na to od razu odpowiedzieć, zaskoczony w obcym miejscu i na czczo?

Chciało mi się jeść, ale zanim przelknąłem pierwszy kęs, rozpoczął serię rachunków, która trwała przez całe śniadanie.

- Siedem!
- I cztery?
- I osiem?
- I sześć?
- I dwa?
- I dziesięć?

I tak dalej. Zaledwie wymówiłem jedną liczbę, nie zdążyłem przelknąć kęsa lub tyku, gdy następowało drugie pytanie. On zaś, wygodnie rozparty, nie musiał dręczyć się żadnymi obliczeniami i opychał się boczkami i grzankami w sposób (proszę mi wybaczyć wyrażenie) żartoczny.

Toteż byłem szczęśliwy, gdy wybiła dziesiąta i wybraliśmy się w drogę do miss Havisham, mimo że nie rozstrzygnąłem jeszcze wątpliwości, jak mam się zachować pod dachem tej pani. Po kwadransie drogi dotarliśmy do domu miss Havisham. Był zbudowany ze starych cegieł i otoczony żelaznymi sztachetami, niektóre okna miał zamurowane. Spośród tych, które funkcjonowały, parterowe zaopatrzone w żelazne pręty, mocno zardzewiały. Brama wiodąca na podwórze przed domem była zamknięta i pociągnąwszy za dzwonek, musieliśmy długo wyczekiwać na otwarcie. Gdyśmy czekali, rzuciłem spojrzenie na podwórze (wuj Pumblechook spytał co prawda: „i czternaście?”, ale udawałem, że nie słyszę) i ujrzałem, że na uboczu wznosi się na dziedzińcu budynek browaru, od dawna chyba nieczynnego.

Otworzyło się okno i jakiś czysty głos spytał:

– Jak pańskie nazwisko?

– Pumblechook – oznajmił mój opiekun.

Głos odpowiedział:

– W porządku.

Przez podwórze szła teraz jakaś młoda osoba z kluczem w ręku.

– To jest Pip – objaśnił wuj Pumblechook.

– Ach, to jest Pip? – powtórzyła młoda dziewczyna, która wydała mi się bardzo ładna i bardzo dumna. – Wejdz, Pip.

Wuj Pumblechook chciał przejść przez bramę, ale go zatrzymała.

– O – zagadnęła – czy pan chce się widzieć z miss Havisham?

– Jeżeli miss Havisham chce mnie zobaczyć – odparł wuj zmieszany.

– Kiedy, widzi pan, właśnie że nie chce – oświadczyła dziewczyna.

Powiedziała to tak stanowczo i bezapelacyjnie, że wuj Pumblechook, mimo że nie stracił godności, wycofał się. Spojrzał przy tym na mnie z takim wyrzutem, jak gdybym to ja wobec niego zawinił, i oddalił się ze słowami:

– Pamiętaj, chłopcze, zachowaj się tak, byś nie zrobił wstydu tym, którzy cię wychowali „własnoręcznie”.

Nie byłem pewien do ostatniej chwili, czy jeszcze zza sztachet nie rzuci mi pytania: „i szesnaście?”. Ale nie uczynił tego.

Moja młoda przewodniczka zamknęła bramę i poprowadziła mnie przez podwórze. Było czyste i wybrukowane, ale w szczylinach kamieni rosła trawa. Do porzuconego browaru wiodła wąska uliczka widoczna za otwartą, drewnianą furtką, którą poruszał wiatr, tak że wydawała głuchy odgłos. Budynek browaru stał otworem, pusty i opuszczony. Ostre podmuchy wydawały się jeszcze zimniejsze tutaj niż za bramą i gwizdały po browarze bijąc o jego ściany, jak wichry na otwartym morzu uderza o statek.

Podążyła za moim spojrzeniem i zauważyła:

– Mógłbyś śmiało wypić całe to mocne piwo, jakie tutaj teraz warzą, chłopcze.

– Tak to wygląda, proszę pani – odpartem nieśmiało.

– Ale, zdaje się, lepiej, że nie robią tu już piwa, bo mogłoby skwaśnieć – dodała jeszcze dziewczyna.

– I mnie się tak zdaje, proszę pani – przytaknąłem.

– Prawdę mówiąc, nikt nie próbuje tu teraz wyrabiać piwa – ciągnęła. – Myślę, że ten budynek będzie stał beczynnie, dopóki się nie rozpadnie w gruzy. Ale jeśli chodzi o piwo, to mamy w piwnicy zapasy, które starczyłyby na zatopienie „Dworu”.

– Czy to nazwa tego domu? – spytałem.

– Tak, jedna z jego nazw, chłopcze.

– Więc ma więcej niż jedną nazwę, proszę pani?

– Tak. Nazywał się też „Satis”, to po grecku, po łacinie czy też po hebrajsku, czy też we wszystkich trzech językach, mnie to obojętne. Wiem tylko, że to znaczy „Dosyć”.

– Dom „Dosyć”? To dziwna nazwa, prawda? – spytałem.

– Tak – zgodziła się – ale myślę, że nazwali go tak kiedyś dlatego, żeby podkreślić, że kto ma ten dom, nie pragnie niczego więcej. Musieli się być czym zadowalać w owych czasach. Ale nie zatrzymuj się tu, chłopcze.

Mimo że tak często i tak niedbale nazywała mnie chłopcem, nie była wiele ode mnie starsza. Wyglądała tylko poważniej jako dziewczyna, w dodatku piękna i bardzo pewna siebie. Trak-

towała mnie tak wyniośle, jak gdyby miała dwadzieścia jeden lat i była królową.

Weszliśmy do domu bocznym wejściem, gdyż główne drzwi opatrzono z zewnątrz dwoma łańcuchami. Spostrzegłem, że korytarze są ciemne i że dziewczyna wzięła pozostawioną tam w lichtarzu zapaloną świecę i niosła przed sobą. Szliśmy długo korytarzami, potem w górę po schodach i znowu korytarzem, a wciąż tylko świeca oświetlała nam drogę.

Wreszcie przed drzwiami jakiegoś pokoju dziewczyna powiedziała:

— Wejdz.

Odpartem bardziej przez nieśmiałość niż przez uprzejmość.

— Po pani.

Zaprotestowała.

— Nie bądź śmieszny. Ja tam nie wchodzę.

I oddaliła się wyniośle, ale co gorsza zabrała płonąca świecę, zostawiając mnie w ciemnościach.

Było to bardzo przykre i pozostawało mi tylko zapukać do drzwi. Zapukałem. Odpowiedziano mi, bym wszedł. Wszedłem i znalazłem się w obszernym pokoju jasno oświetlonym woskowymi świecami. Ani jeden promyk dziennego światła nie wdzierał się do tego pomieszczenia. Sądząc po umeblowaniu, był to buduar kobiecy, chociaż znajdowało się tu wiele sprzętów, których przeznaczenia nie znam. Na głównym miejscu widniał pokryty draperiami stół z olbrzymim lustrem w złoconych ramach. Na pierwszy rzut oka poznałem, że to gotownia wielkiej damy.

Jak to odgadłem, skoro przed lustrem nie było żadnej damy, nie wiem. Wiem tylko, że po chwili ujrzałem siedzącą w fotelu, z łokciem opartym o stół i głowę wspartą na dłoni, najdziwniejszą kobietę, jaką kiedykolwiek widziałem i miałem zobaczyć.

Ubrana była w kosztowne materiały, atlas, jedwab i koronki, wszystko białe. Na nogach miała białe pantofle, na włosach welon ślubny przypięty kwiatem mirtowym, ale włosy te były siwe.

Kilka klejnotów błyszczowało na jej szyi i na palcach, a kilka mniejszo się na stole. Naokoto widniały rozpostarte suknie mniej strojne od tej, którą dziwna pani miała na sobie, zwieszający się też z na pół zapakowanych kufów... Nie była jeszcze całkiem ubrana, gdyż włożyła dopiero jeden pantofelek; drugi stał przy niej na stole. Welon został upięty tylko do połowy, zegarek z łańcuszkiem spoczywał na stole, kawałek koronki, przeznaczony do ozdoby stanika, leżał obok chusteczki do nosa i rękawiczek wraz z książką do nabożeństwa i jakimiś kwiatami przed lustrem. Wszystko to ujrzałem nie od razu, chociaż od pierwszej chwili spostrzegłem więcej, niż można się było spodziewać. Zauważyłem, że to, co miało być białe, nie lśniło już bielą, że przygasto, zwiędłe i pożółkłe. Że panna młoda zwiędła i pożółkła jak jej suknia ślubna i jak jej kwiaty, i że jedyny jej blask stanowił ponury połysk zapadłych oczu. Spostrzegłem, że suknia ślubna, szyta zapewne na pełniejszą, młodszą postać, obwisała teraz na ciełe, z którego pozostały tylko skóra i kości. Kiedyś pokazywano mi na jarmarku upiorną figurę woskową, przedstawiającą nie wiem już czyją leżącą postać. Kiedy indziej widziałem w jednym z naszych kościołów na bagniskach szkielec w zębatych na proch bogatych szatach, odnaleziony w krypcie podziemnej świątyni. I oto teraz ta woskowa lalka, ten szkielec spoglądał na mnie czarnymi oczyma. Miałem ochotę się rozplakać, ale nie mogłem.

— Kto tu? — spytała dama przy stole.

— Pip, proszę pani.

— Pip?

— Tak, chłopiec pana Pumblechooka, proszę pani. Przyszędtem się... bawić.

— Chodź tu bliżej. Niech ci się przyjrzę. Bliżej.

Zbliżywszy się do niej unikałem jej wzroku, obrzucałem spojrzeniem przedmioty wokoło i spostrzegłem, że zegarek jej stał, wskazując za dwadzieścia dziewiątą, a duży zegar, wiszący w pokoju, zatrzymał się na tej samej godzinie.

— Spójrz na mnie — powiedziała miss Havisham — czy nie bo-

isz się kobiety, która nie widziała słońca od czasu, gdyś przyszedł na świat?

Bardzo mi przykro, ale wcale nie lękałem się powiedzieć wielkiego kłamstwa, jakim było słowo: „Nie”.

– Czy wiesz, czego w tej chwili dotykam? – spytała, krzyżując obie ręce na swym lewym boku.

– Tak, proszę pani (pomyślałem w tej chwili o młodym człowieku).

– Więcej czego dotykam?

– Serca, proszę pani.

– Złamane.

Wypowiedziała ten wyraz namiętnie, z patosem i z dziwnym, nie pozbawionym dumy uśmiechem. Chwilę przyciskała serce obiema rękami, potem opuściła je, jak gdyby jej bardzo ciążyły.

– Jestem znużona – oświadczyła – skończyłam już z mężczyznanami i kobietami, pragnę jakiejś odmiany. Baw się.

Najmniej nawet wyrozumiały czytelnik zgodzi się, że rozkaz ten był trudny do wykonania dla nieszcześliwego chłopca, jeżeli wziąć pod uwagę okoliczności, jakie towarzyszyły poleceniu.

– Nawiedzają mnie niekiedy chorobliwe zachcianki – oznajmiła – i jedną z nich jest chęć przyglądania się czyjejs zabawie. Prędzej, prędzej! – poruszyła niecierpliwie palcami prawej dłoni: – Baw się, baw się, baw się!

W pierwszej chwili, lękając się swojej siostry, której obraz nie opuszczał mnie ani na chwilę, miałem rozpaczliwy zamiar okrążyć galopem pokój, niczym bryczka wuja Pumblechooka, ale poczułem, że nie zdołam tego zrobić, i stałem nieruchomo przed miss Havisham z miną, którą wzięta zapewne za krnąbrną, gdyż spytała:

– Czyżbyś był niegrzeczny i uparty?

– Nie, proszę pani – odparłem – bardzo mi przykro i żałuję, że nie mogę się bawić. Jeżeli pani się na mnie poskarży mojej siostrze, będę miał przykrości z jej strony. Bardzo chciałbym móc się tu bawić, ale tu wszystko jest takie niespodziewane, takie nowe, takie dziwne i takie smutne...

Urwałem, bojąc się, czy nie powiedziałem zbyt dużo, i parzyliśmy na siebie wzajemnie.

Zanim mi odpowiedziała, spojrzała na swoją suknię, na gotowalnię, wreszcie na swe odbicie w lustrze.

– Takie nowe dla niego, a takie stare dla mnie – szepnęła – takie dziwne dla niego, takie powszednie dla mnie. Takie smutne dla nas obojga... Zawołaj Estellę!

Ponieważ wciąż jeszcze patrzyła w lustro, sądziłem, że mówi sama do siebie, i nie poruszyłem się z miejsca.

– Zawołaj Estellę – powtórzyła, patrząc teraz na mnie – zawołaj Estellę. Przez drzwi.

Stać na ciemnym korytarzu obcego domu i wołać na café gar-dło imię wyniosłej i pełnej pogardy dziewczyny było dla mnie niemal równie nieprzyjemnym zajęciem jak zabawa na rozkaz. Wreszcie Estella odezwała się i szła teraz ku mnie, a zapalona świeca zbliżała się jak gwiazda.

Miss Havisham kazała dziewczynie podejść do siebie, wzięła ze stołu klejnot, przyłożyła do jej ciemnych włosów, potem do stanika i zauważyła:

– Kiedys to wszystko będzie twoje, wiesz o tym i dobrze tego użyjesz. A teraz niech się przyjrzę, jak będziesz grała w karty z tym chłopcem.

– Z tym chłopcem? Ależ to pospolity chłopak z gminu.

Zdawało mi się, że się przesytszałem. Bo miss Havisham powiedziała:

– No, więc co? Będziesz mogła złamać mu serce!

– W co potrafisz grać, chłopcze? – spytała Estella z najwyższą pogardą.

– Tylko w „durnia”, panienko – odparłem.

– A więc zrób z niego durnia – zachęciła ją miss Havisham i zasiedliśmy do gry w karty.

W tej właśnie chwili pojąłem, że wszystko w tym pokoju zastrzegłem, że miss Havisham odłożyła klejnot dokładnie w to samo miejsce, z którego go wzięta. Podczas gdy Estella rozda-

wąta karty, rzuciłem spojrzenie na gotowalnię i zrozumiałem, że leżący tam pantofel, niegdyś biały, obecnie żółty, nigdy nie był noszony. Spojrzałem z kolei na stopę, na której należało się go spodziewać, i ujrzałem, że jedwabna pończocha, jaka ją oblekała, podarta była w strzępy i również z białej stała się żółta. Gdyby nie to, że czas jak gdyby zatrzymał się tu w biegu, owe znierruchomiłe, wyblakłe przedmioty, przywiedły strój weselny, suknia bardziej podobna teraz do śmiertelnej niż ślubnej szaty i welon przypominający całun nie byłyby tak bardzo okropne.

A teraz miss Havisham siedziała jak trup nierruchomo, spoglądając na naszą grę w karty, a koronki i falbanki jej ślubnej sukni wyglądały jak zrobione z ziemistego papieru. Nie wiedziałem jeszcze wówczas nic o mumiach, które rozpadają się w proch za dotknięciem dłoni ludzkiej, ale często potem musiałem myśleć, że stara dama wyglądała w tej chwili jak owe śmiertelne szczątki, które wystawione na światło dnia muszą się rozlecieć w pył.

— On nazywa walety „chłopakami” — rzuciła Estella wzgardliwie, zanim jeszcze skończyłmy pierwszą partię — i jakie szorstkie ma ręce, jakie ordynarne, grube obuwie!

Nigdy dotychczas nie przychodziło mi do głowy, że mogłabym się wstydzić własnych rąk, ale od tej chwili patrzyłem na nie jako na coś mi obcego. Jej pogarda była tak wielka, że aż się udzielała. Zaraziłem się nią.

Przegrałem tę partię i teraz ja rozdawałem karty. Ale czując, jak dziewczyna czyha na moją pomyłkę, oczywiście popełniłem błąd przy rozdawaniu. Estella nazwała mnie za to głupim, niezdarnym chłopakiem z gminu.

— Nic o niej nie mówisz — zauważyła nagle miss Havisham — ona wymyśla ci brzydkimi słowami, a tyś dotychczas nie powiedział, co też o niej myślisz.

— Nie mam ochoty tego powiedzieć — wyjąkałem.

— Szepnij mi na ucho — zaproponowała miss Havisham, pochylając się ku mnie.

— Zdaje mi się, że jest bardzo dumna — wyszeptalem.

— I nic więcej?  
— Myśle, że jest bardzo ładna.  
— I co jeszcze?  
— Myśle, że jest bardzo bezczelna (patrzyła na mnie w tej chwili z prawdziwą odrazą).

— I co jeszcze?  
— Myśle, że chciałbym wrócić do domu.

— I nigdy jej więcej nie zobaczyć, mimo że taka ładna?

— Nie jestem pewien, czy nie chciałbym jej widzieć, ale jestem pewien, że teraz chcę iść do domu.

— Pójdiesz wkrótce — obiecała miss Havisham — a teraz dograj partię.

Gdybym na własne oczy nie ujrzał dziwaczne uśmiechu na twarzy miss Havisham, byłbym przysiągł, że nie potrafi się ona uśmiechać. Bo oto nagle twarz jej znowu znierruchomiła, pierś zapadła, plecy się przygarbiły, nawet głos stał się ledwo dostyszalny. Wyglądała teraz tak, jak gdyby nagle ugięta się pod jakimś niewidzialnym ciosem.

Skończyłem partię z Estellą, która znowu wygrała. Wygrane karty cisnęła na stół takim gestem, jak gdyby chciała pokazać, że nie dba o wygraną ode mnie.

— Kiedy znowu przyjdiesz? — spytała miss Havisham. — Czekał, niech się namyśle.

Gdy przypomniałem jej, że dzisiaj mamy środek, zrobiła szybko, niecierpliwym gestem palcami prawej dłoni i powiedziała:

— Dość tego, nie znam dni tygodnia, nie znam miesięcy w roku. Przechodź od dzisiaj za sześć dni. Słyszysz?

— Tak, proszę pani.

— Estello, sprowadź go na dół, niech mu dadzą coś do zjedzenia. Niech w czasie jedzenia przejdzie się trochę i rozejrzy, a ty bądź przy tym. Idź, Pip.

Poszedłem za płomykiem świecy, tak jak tu przybyłem, aż znalazłem się przy wyjściu z domu. Byłem pewien, że na dworze jest już noc, i jasny blask dnia, który we mnie zniemacka udzielił, sprawił, że omal nie upadłem.

– Masz tu czekać, chłopcze – poleciała Estella i znów zniknęła za drzwiami.

Skorzystałem z chwili, gdy się znalazłem sam na podwórzu, by spojrzeć na moje szorstkie dlonie i grube obuwie. Moje zdanie o nich nie wypadło pochlebnie. Dawniej nie zastanawiałem się nad tym, ale teraz zaczęły mi ciążyć, wydawały mi się ordynarne. Chciałem też jak najprędzej spytać Joego, czemu nauczył mnie nazywać te karty „chłopakami”, gdy należało je nazywać walejami. Pomyślałem, że gdyby Joe był lepiej wychowany, ja stałbym się także wykwiłtniejszy.

Powróciła z chlebem, mięsem i kubkiem piwa. Postawiła piwo na kamieniu dziedzińca i podała mi chleb z mięsem nie patrząc na mnie, jak gdybym był psem w nietasce. Poczujęm się tak poniżony, obrażony, sponiewierany, zraniony, rozgniewany i zmartwiony – nie umiem znaleźć odpowiedniego określenia dla mego bólu, Bóg jeden wie, jak go nazwać – że łzy stanęły mi w oczach. W chwili gdy dziewczyna je ujrzała, na twarzy jej odmalowało się zadowolenie, że to ona jest ich przyczyną. To dodało mi natychmiast sił do powstrzymania płaczu. Spojrzałem na nią śmiało. Wtedy rzuciła mi pełne pogardy spojrzenie, ale nie było w nim już pewności, czy to przez nią cierpię, i odeszła.

Ale gdy się już oddaliła, zacząłem się rozglądać za miejscem, gdzie mógłbym się natychmiast wyplakać; pobiegłem za płot otaczający opuszczony browar i oparłszy czoło o rękaw, a rękaw o deski płotu, rozplakałem się gorzko. Uderzałem przy tym nogą z wściekłością o płot i rwałem sobie włosy z głowy.

Mój ból był tak pełen goryczy, moja rozpacz tak straszna, że musiałem się w ten sposób wyładować.

Wychowanie mojej siostry czyniło mnie wrażliwym na krzywdy. W małym świecie dziecięcym, bez względu na to, kto dziecko wychowuje, istnieje największa wrażliwość na niesprawiedliwość. niesprawiedliwość może być nawet niewielka, ale przecież świat dziecka jest niewielki i jego koń na biegunach nie przewyższa rozmiarami dużego psa myśliwskiego. Co do mnie,

od najwcześniejszego dzieciństwa odczuwałem krzywdę niesprawiedliwości. Od chwili gdy się nauczyłem mówić, wiedziałem, że siostra moja ze swą despotyczną i kapryśną naturą jest wobec mnie niesprawiedliwa, i czułem, że wychowując mnie sama, nie ma jednak prawa czynić tego za pomocą szturchańców. Wszystkie kary, jakich mi udzielała, posty, bicie, awantury, jeszcze umacniały we mnie to przekonanie i temu zawdzięczałem chyba fakt, iż czując się samotny i bezbronny, byłem nieśmiały i wrażliwy.

W tej chwili dałem upust zranionym uczuciom, kopiąc ogrodzenie browaru i wicherząc sobie włosy, po czym wytarłem twarz rękawem i wyszedłem z za płotu. Chleb i mięso smakowały mi, a piwo mnie rozgrzało, toteż wkrótce miałem ochotę rozejrzeć się nieco po świecie.

Bez wątpienia było to bardzo opuszczone miejsce. Gotębnik na podwórku przed porzuconym browarem kołysał się na palu, jak gdyby znajdował się na morzu lub jak gdyby gotębie należało kołysać do snu. Ale w gotębniku tym nie było gotębi, tak jak w stajni nie było koni ani w chlewie świń, ani w magazynie sło- du, ani zapachu ziarna w stodole, ani piwa w składach. Wszystkie wonie browaru musiały się ulotnić już dawno wraz z ostatnim kłębem dymu z wygasłego kamina. Na podwórzu leżały rozrzucone stare beczki, z których ulatniała się gorzka woń jak wspomnienia lepszych czasów, ale zapach ten był zbyt gorzki, by mógł być jeszcze wonią piwa. Za dziedzińcem rozpościerał się stary, zapuszczony ogród otoczony zwietrzałym murem. Wdrapałem się na ten niezbyt wysoki mur i z góry stwierdziłem, że ogród należy do domu, że jest cały zarosnięty wysokimi chwastami. Na jednej z zarosłych ścieżek ujrzałem Estellę, która oddała się ode mnie. Wydawało mi się zresztą, że Estella jest wszędzie. Bo kiedy ulegając pokusie wdrapałem się z kolei na beczki i spacerowałem po nich, dostrzegłem na drugim końcu podwórza również skaczącą po beczkach Estellę. Jej ciemne włosy rozsypane były na ramionach, odwracała się do mnie plecami i patrzyła daleko przed siebie. Kiedy wszedłem do browaru

ru, do wielkiej, wyłożonej płytami sali, i spacerowałem pośród opuszczonych maszyn, widziałem ją znowu. Lekko biegła w mroku koło zagaszonych pieców, wspinała się na żelazne schody, szła coraz wyżej na galerię i jeszcze wyżej, jak gdyby miała zniknąć wysoko w niebie.

W tym to miejscu i w tej chwili uległem złudzeniu, które wówczas od razu wydało mi się dziwne i po dziś dzień jest dla mnie czymś bardzo niezwykłym. Kiedy zwróciłem oczy, nie przyzwyczajone jeszcze do mroku sali, w głąb browaru, ujrziałem na jednej z poprzecznych belek pod sufitem okropne zjawisko. Kształt przybrany w poźótkę, niegdyś białe szaty, w jednym tylko pantoflu z poźótkę atlasu. I kształt ten wisiał w ten sposób, że mogłem wyraźnie odróżnić koronki i falbanki, niczym zbrukany papier ozdabiające suknię, i poznać twarz miss Havisham, która zdawała się mnie wzywać. Przejęty grozą na ten widok i przerażeniem na myśl, że jeszcze przed chwilą jej tu nie było, rzuciłem się do ucieczki. Ale strwożyłem się jeszcze bardziej, gdy po chwili zobaczyłem, jak zniknęła.

Dopiero jasny blask mroźnego ranka, widok ludzi, przechodzących za sztachetami podwórza, oraz resztki chleba, mięsa i piwa, jakie mi pozostały, sprawiły, że oprzytomiałem zupełnie. Ujrzałem Estellę zbliżającą się ku mnie z kluczem od bramy w rękę. Dopiero patrzyłaby na mnie z pogardą, gdyby odgadła moje przerażenie! Ta myśl pomogła mi się opanować.

Estella rzuciła pełne pogardy spojrzenie na moje szorstkie dłonie i na grube buty, otworzyła mi bramę i stała, przytrzymując ją ręką. Przeszedłem, nie patrząc na dziewczynę, ale dotknęła mnie szyderczo.

– Czemu to nie płaczesz? – spytała.

– Bo mi się nie chce.

– Owszem, plakateś aż do osłepnięcia i teraz też masz ochotę. Roześmiała się, wypchnęła mnie na ulicę i zarygłowała bramę. Poszedłem wprost do wujka Pumblechooka i bardzo byłem rad, że go nie zastałem w domu. Powiedziałem więc pomocnikowi w sklepie, którego dnia kazano mi przyjść znowu do miss

Havisham, i wyruszyłem w czteromilową drogę do kuźni. W drodze rozmyślałem o wszystkim, co widziałem i słyszałem. Żałowałem, że jestem pospolitym chłopakiem z gminu, że moje ręce są szorstkie, a buty grube, że mam brzydki zwyczaj nazywać walety „chłopakami”, że o wiele mniej umiem, niż sądziłem jeszcze wczoraj wieczorem, i że w ogóle prowadziłem przyziemne i pospolite życie.

## Rozdział dziewiąty



Gdy wróciłem do domu, moja siostra zasypała mnie pytaniami dotyczącymi się miss Havisham, była ciekawa wszystkiego. Toteż wkrótce otrzymałam kilka potężnych kuksańców w kark i grzbiet, i w sposób hańbiący stałam twarzą do ściany kuchennej za to, że nie dość szczegółowo odpowiadałam na pytania. Nie wiem, czy wszystkie dzieci tak się lękają, by ich czasem źle nie zrozumiano, jak ja się wówczas bałam (myślałam, że tak, bo nie mam powodu uważać, iż byłam wyrodkiem), ale w tym właśnie widzę klucz do zrozumienia mojego milczenia. Lękałam się, że jeżeli opiszę dom miss Havisham tak, jakim go widziałem na własne oczy, nikt mi nie uwierzy. Co gorsza, wydawało mi się, że nawet samej miss Havisham nikt by nie zrozumiał. Chociaż i ja nie bardzo pojmowałam to, co widziałem, miałam wrażenie, że popełniłbym coś w rodzaju zdrady czy okazał brak taktu, gdybym odstaniał jej tajemnice (nie mówiąc już o Estelli) przed moją siostrą. W rezultacie powiedziałam możliwie najmniej i stałam z twarzą odwróconą do kuchennej ściany.

Najgorsze było to, że ten stary despota Pumblechook przyjechał w porze podwieczorku bryczką, pożerany ciekawością, co też widziałem i słyszałam, i zażądał ode mnie najdrobniejszych szczegółów mojej wizyty.

Sam widok tego kata z rybimi oczkami i otwartymi ustami, z paskowymi włosami i kamizelką, którą rytmicznie podnosił

jego arytmiczny oddech, sprawił, że się zaciąłem w występnym uporze.

– Więc, mój chłopcze – zaczął Pumblechook, rozsiadając się wygodnie w fotelu przy kominku – w jaki sposób wydostałeś się stamtąd do miasta?

– Bardzo dobrze, proszę pana – odpowiedziałem, a siostra pogroziła mi pięścią.

– Bardzo dobrze, chłopcze? – powtórzył Pumblechook. – „Bardzo dobrze” to żadna odpowiedź. Powiedz nam, co masz na myśli, mówiąc „bardzo dobrze”.

Być może, wapno przylepione do czoła sprawia, że człowiek kamienieje w uporze. Ja w każdym razie, mając na czole wapno ze ściany kuchennej, zaciąłem się. Namyslałam się przez chwilę, a potem z miną, jak gdybym wreszcie wpadł na odpowiedź, powtórzyłam:

– Mam na myśli, że bardzo dobrze, proszę pana.

Siostra rzuciła się ku mnie gwałtownie (nie miałem żadnej nadziei na obronę, bo Joe był właśnie w kuźni), gdy Pumblechook zatrzymał ją ruchem ręki.

– Zaraz, zaraz, niech pani się nie gniewa. Niech pani zostawi tego chłopca mnie, niech go pani mnie zostawi.

Potem odwrócił mnie ku sobie, zupełnie takim ruchem, jak gdyby chciał mi ostrzyć włosy, i zapytał:

– Najpierw (dla uporządkowania myśli), ile to wynosi czterdzieści trzy pensy?

Namyslałam się, co też by się stało, gdybym oświadczył „cztery sta funtów”, ale czując wuja Pumblechooka zbyt blisko siebie, odpowiedziałem dokładnie, pomyliwszy się tylko o osiem pensów.

Wtedy wuj Pumblechook przeegzaminował mnie ze wszystkich możliwych kombinacji z pensami od „dwanaście pensów równa się jednemu szylingowi” aż do „czterdzieści pensów to trzy szylingi, cztery pensy” po to, by zakończyć triumfalnie:

– A teraz powiedz, ile to czterdzieści trzy pensy?

Po krótkim namyśle oznajmiłem:



- Nie wiem.  
 Byłem przy tym tak zdenerwowany, że istotnie mogłem nie wiedzieć.  
 Wuj Pumblechook pokręcił głową jak korkociągiem, którym chciał ze mnie coś wyciągnąć, i spytał:  
 – Czy czterdzięci trzy pensy to czasami nie siedem szylingów sześć pensów i trzy szelagi?  
 – Tak – odpowiedziałem i mimo że moja siostra przez cały czas targata mnie za uszy, nie mogłem ukryć radości widząc, do jakiego stopnia moja odpowiedź popsuła mu humor i sprawiła, że umilkł zaskoczony.  
 – Chłopcze – odezwał się po chwili, krzyżując ramiona na pierśsiach i znowu stosując korkociąg – jak wygląda miss Havisham?  
 – Bardzo wysoka i czarna – odpowiedziałem.  
 – Czy rzeczywiście, wuju? – zwróciła się moja siostra do Pumblechooka.  
 Kiwnął potwierdzająco głową, czym dowiódł, że nigdy nie widział miss Havisham, która bynajmniej tak nie wyglądała.  
 – Doskonale – powiedział Pumblechook takim tonem, jak gdyby chciał zauważyć: „Ot, jak trzeba z nim postępować. Zabrał się do sprawy z właściwego końca. Prawda, proszę pani?”  
 – Tak, wuju, teraz widzę, że wuj potrafi się do niego wziąć. Chciałabym, by to wuj go wychowywał.  
 – No, chłopcze – ciągnął Pumblechook – co robiła, kiedyś dziś do niej wszedł?  
 – Siedziała – odpartem – w czarnej, wybitej aksanitem karecie. Wuj Pumblechook i moja siostra spojrzeli po sobie zdumieni. Mieli czemu się dziwić i spytała chórem:  
 – W karecie? Wybitej czarnym aksanitem?  
 – Tak – potwierdziłem – i panna Estella, zdaje się jej siostrzenica, podawała jej przez okno karety wino i ciasto na złotym talerzu. I my wszyscy jedliśmy ciasto ze złotych talerzy i piiliśmy wino. A ja poszedłem zjeść za karete, bo tak mi kazano.  
 – Czy był tam jeszcze ktoś? – badał Pumblechook.  
 – Cztery psy – odpartem.

- Duże czy małe?  
 – Ołbrzymie – odpowiedziałem – i biły się o cielece kotlety, które przyniesiono im w srebrnym koszyku.  
 Wuj i moja siostra zamienili znowu zdumione spojrzenia, a ja wpadłem w szal, jak świadek, którego torturują i który mówi byle co.  
 – Gdzież, na miłość boską, była ta kareta? – spytała moja siostra.  
 – W pokoju miss Havisham – wyjaśniłem. Widząc jednak coraz bardziej zdumione spojrzenia obojga, dodałem przeczornie:  
 – Ale nie była zaprzężona.  
 W ten sposób odrzuciłem pokusę zaopatrzenia karety w cztery wspaniałe rumaki w pełnym rynsztunku.  
 – Czy to możliwe, wuju? – pytała moja siostra – co ten chłopiec mówi?  
 – Wydaje mi się, proszę pani – odpart Pumblechook – że chłopiec musiał ją widzieć w lektyce. To osoba pełna fantazji, pełna wielkiej fantazji, tak wielkiej, że może przesiadywać w lektyce nawet w pokoju.  
 – Czy wuj ją tak kiedy widział? – dopytywała się moja siostra.  
 – Jakże mogłem ją tak widzieć – wyznał z zalem Pumblechook – kiedy nie widziałem jej nigdy w życiu na oczy.  
 – O Boże! – zawołała siostra – ale przecież wuj z nią rozmawiał?  
 – Prawde mówiąc – wyznał wuj zakłopotany – kiedy tam byłem, to rozmawiała ze mną tylko przez uchylone drzwi swego pokoju. Proszę mi nie wmawiać, że tego przedtem nie mówiłem. Nie przeskodziło to zresztą, że chłopiec poszedł się do niej bawić. No i w cóżże się tam bawił, chłopcze?  
 – Bawiliśmy się w chorągiewki – powiedziałem (chciałbym zwrócić uwagę, że mnie samego przejmowały zdumieniem kłamstwa, które zmyślałem na oczekaniu).  
 – W chorągiewki? – powtórzyła moja siostra.  
 – Tak – twierdziłem. – Estella powiewała błękitną chorągiewką, ja czerwoną, a miss Havisham usianą w złociste błyszczące

gwiazdki z okna karety. Potem wyciągnęliśmy wszyscy miecze i krzyczeliśmy: „Hura!”

– Miecze? – zdziwiła się moja siostra. – Skąd znowu wzięliście miecze?

– Z szafy – odparłem od razu – były tam też pistolety i konfitury, i... pigułki. A w pokoju nie było światła dziennego, tylko palily się świece.

– To prawda – potwierdził poważnie Pumblechook – to ostatnie sam widziałem na własne oczy.

Tu oboje utkwili we mnie spojrzenia, a ja starałem się pa-trzeć w jak najbardziej niewinny sposób i prawą ręką poprawia-łem od niechcenia prawą nogawkę spodni.

Gdyby teraz zadali mi jeszcze jedno pytanie, byłbym się na pewno zdradził, gdyż miałem zamiar powiedzieć, że na podwó-rtzu znajdował się balon, i tylko wahałem się, czy nielepiej nada-wałby się żywy niedźwiedź w starym browarze. Ale oni byli zbyt zaskoczeni tym, co im już opowiedziałem, i nie pytali wię-cej. Zastanawiali się jeszcze nad szczegółami wizyty, gdy przy-szedł z kuźni Joe, by napić się herbaty. Siostra moja bardziej po-to, by sobie ulżyć, niż po to, by zawiadomić Joego, powtórzyła mu całe moje opowiadanie.

Na widok niebieskich oczu Joego, wytrzeszczonych w bez-miernym zdumieniu i bezradnie błędzących po kuchni, poczu-łem wyrzuty sumienia. Ale dotyczyły one tylko Joego, a nie tam-tych dwojga. Wobec Joego i tylko wobec niego poczułem się małym potworem i rozmyślałem nad tym, podczas gdy oni roz-trzasali korzyści, jakie mogą spłynąć na mnie z wizyt u miss Ha-visham. Nie mieli wątpliwości co do tego, że miss Havisham „coś zrobi” dla mnie, sprzeczekali się tylko, co to będzie. Moja siostra była zdania, że na pewno staruszka podaruje mi kawałek gruntu, wuj Pumblechook uważał, że przeznaczcy ładną sumkę na wykształcenie mnie w jakimś przyzwoitym fachu, na przy-kład handlu ziarnem i nasionami, zaś Joe wpadł w całkowitą nie-łaskę wyraziwszy przypuszczenie, że może dostanę w darze jed-nego z dwu psów, które były się o cielęce kotlety.

– Jeżeli z tej twojej głupiej głowy nie może się narodzić za-ten mądrzejszy pomysł i jeżeli masz jeszcze robotę, to lepiej wracaj do kuźni! – krzyknęła siostra. I Joe zaraz sobie poszedł.

Po odjeździe wuja Pumblechooka, gdy siostra moja zabrała się do zmywania statków, wymknąłem się do Joego do kuźni i zostałem z nim aż do wieczora.

Wtedy dopiero oświadczyłem:

– Zanim zgasisz ogień, Joe – chciałbym ci coś powiedzieć.

– Doprawdy? – spytał Joe, przysuwając swój stołeczek do kowadła. – To mów.

– Joe – zacząłem, chwytając go za odwinięty rękaw koszuli i nawijając sobie płótno na palec – styszates, co opowiadałem o wizycie u miss Havisham?

– Czy styszates? Ależ tak. To coś zdumiewającego!

– To okropne, Joe, ale to wszystko nieprawda.

– Co ty mi opowiadasz, Pip? – spytał Joe. – Nie chcesz prze-cież przez to powiedzieć, żeś to wszystko...

– Tak, tak, skłamałem, Joe.

– Ale przecież nie wszystko. Przecież nie chcesz powiedzieć, że nie było tam wcale czarnego aksamitu?

Stałem, potrząsając przecząco głową.

– Ale przynajmniej psy były, Pip? No, Pip – ciągnął Joe z ła-godną perswazją – jeżeli nawet nie jadły cielęcych kotletów, to przecież były psy?

– Nie, Joe.

– Jeden pies może? – poddawał Joe. – No, może szczeniak? Powiedz.

– Nie, Joe, nie było tam w ogóle nic podobnego.

Podniosłem na Joego pełne rozpaczy spojrzenie, a Joe popa-trzył na mnie zmieszany.

– Tak być nie może, mój stary – zgał mnie zmartwiony – do czego to dojdzie w ten sposób?

– To okropne, Joe, prawda? – spytałem.

– Okropne? Przerazające! – krzyknął Joe. – Co cię opętało?

– Nie wiem, Joe, co mnie opętało – odpowiedziałem, pusz-

czając jego rękaw, i usiądź w popiele u jego stóp – nie wiem – powtórzylem z opuszczoną głową – ale wolałbym, byś nie uczył mnie nazywać wależów w kartach „chłopakami”, i wolałbym mieć cięszce oburzać i ręce nie takie szorstkie.

I opowiedziałem Joemu, że czuję się bardzo nieszcześliwy i że nie mogłem tego wspaniałego wyznać wujowi i siostrze, którzy są dla mnie tacy niedobrzy, i że u miss Havisham była przepiękna panienka, tak ogromnie dumna, i że ona właśnie powiedziała, że jestem ordynarny chłopak, i że ja wiem, iż jestem ordynarny. I że wolałbym nie być ordynarny, i że wszystkie kłamstwa same się jakos powiedziały. Sam nie wiem jak.

Był to przypadek metafizycznie skomplikowany i równie trudny dla Joego, jak dla mnie. Ale Joe odrzucił wszelką metafizykę i w ten sposób sprawę rozwiązał.

– Jednej rzeczy możesz być pewny. Pip – zawyrokował – że kłamstwo zawsze jest kłamstwem. Jakkolwiek się rodzi, tak czy inaczej, nie powinno się rodzić w ogóle. Zsyła je ojciec kłamstwa i do niego potem powracają. Nie kłam już nigdy, Pip. To nie jest sposób, wierz mi, by przestać być ordynarnym czy pospolicym. Ale co do tego, że musz być jakoby pospolity, to mnie wydaje się, że to nieprawda. Jesteś niepospolicie mały na swój wiek i niepospolicie mały.

– Nie, Joe, jestem głupi i tępy.

– Ale skądże. A list, który wczoraj wieczorem napisałeś? Całkiem jak drukowany. Widziałem listy pisane przez eleganckich panów, a nie wyglądały jak drukowane.

– Nie, Joe, ja prawie nic nie umiem. Za dobrze o mnie myślisz.

– W każdym razie zapewniał Joe – po to, by być niepospolicie uczonym trzeba zacząć od pospolitego uczenia się. Nawet król na tronie z koroną na głowie nie potrafiłby pisać swych aktów dla parlamentu drukowanymi literami, gdyby nie uczył się przedtem zwykłego alfabetu od A do Z jako książę. A już ja wiem dobrze, co taka nauka kosztuje wysiłku, mimo że nigdy jeszcze nie doszedłem do ostatniej litery.

Te pełne rozwagi słowa dodały mi trochę otuchy.

– A może – ciągnął dalej Joe – rozsądniej jest pozostawać w towarzystwie ludzi zwykłych i pospolitych, zamiast chodzić i bawić się z niepospolicymi. Ale powiedz mi, może przynajmniej były chorągiewki?

– Nie, Joe.

– Bardzo żałuję, że nie było chorągiewek, Pip. W każdym razie nie można się do tego przyznać, nie narażając się na wybuch gniewu twojej siostry, a tego nie ryzykowałbym za nic. A teraz słuchaj uważnie, Pip. Mówi do ciebie prawdziwy przyjaciel. Jeżeli nie potrafisz dojść prostą drogą do tego, by nie być pospolicym, to krzywą drogą na pewno do tego nie dojdiesz. Więc nie mówmy o tym więcej, bądź szczęśliwy w życiu i śmierci, Pip.

– Nie gniewasz się na mnie, Joe?

– Nie, mój stary, ale muszę ci jeszcze powiedzieć, żeś nadzwyczajnie wymyślił te kłamstwa, na przykład ta cała historia z bójką o cielece kotlety. Pomyśl o tym wszystkim, gdy pójdziesz spać, i nigdy więcej już tego nie rób, Pip.

Gdy poszedłem spać do mego pokoiku i zmówiłem pacierz, nie zapomniałem o przestrojach Joego, ale w chłopców nie-wdzięczności myślałem też o tym, jak bardzo wydobył się Joe pospolicity Estelli. Joe, zwykły kował o szorstkich rękach i w grubym obuwiu. Myślałem o tym, że moja siostra i Joe siedzą teraz w kuchni i że ja idę spać prosto z kuchni, i że miss Havisham i Estella nigdy w kuchni nie przesiadują, wysoko wzniesione ponad te pospolite sprawy.

Zasnąłem roznysłając o tym, co przeżyłem dzisiaj u miss Havisham, jak gdyby wizyta u niej trwała nie godziny, lecz tygodnie, i jak gdyby smut bardzo dawne wspomnienia.

Ten dzień wprowadził do mego życia wielkie zmiany. Ale tak dzieje się w życiu każdego człowieka. Przypomnijcie sobie taki jeden dzień, który zawazył na waszym życiu. Przerwij na chwilę ty, który to czytasz, i pomyśl o długim łańcuchu złotych czy żelaznych ogniw, cierni czy kwiatów, które by nigdy ciebie nie oplatały, gdyby nie było jakiegoś jednego ważnego i pamiętnego dnia w twoim życiu.

## Rozdział dziesiąty



W dzień lub dwa dni później wpadłem na szczęśliwy pomysł, że najlepszym sposobem wyzwolenia się z pospolitosci jest dla mnie zasięgnięcie rady Biddy i wyciągnięcie od niej wszystkich jej wiadomości. Realizując ten wspomniały projekt, powiedziałem Biddy wieczorem u ciotecznej babki pana Wopsle'a, że muszę rozpocząć życie na własną rękę i że będę jej bardzo obowiązany, jeżeli udzieli mi pewnych informacji.

Biddy, która była ogromnie sumienną dziewczyną, zgodziła się i zaczęła wprowadzać plan w życie w pięć minut potem.

System, czy też program nauk przestrzegany przez cioteczną babkę pana Wopsle'a polegał mniej więcej na następujących czynnościach: uczniowie jedli jabłka i atakowali się wzajemnie skórkami i słomą tak długo, dopóki staruszka nie ruszała na nich w ręku. Pod naciskiem tej groźby, nie kryjąc wesołości, pupilkowie ustawiali się rzędem i podawali sobie z rąk do rąk podartą książkę, która zawierała jakies obrazki, cyfry i litery. Gdy tylko uczniowie się nią zajęli, cioteczna babka pana Wopsle'a oddawała się całkowicie drzemce lub atakowi reumatyzmu. Wtedy to dzieci zabierały się do czynności, która polegała na zawodach, kto potrafi butem mocniej nadeptać koledze na palce stopy. To umysłowe ćwiczenie trwało do chwili, kiedy do klasy wpadała Biddy i rozdawała uczniom trzy egzemplarze Pisma Świętego.

Była to najgorzej i najniechlujniej wydrukowana Biblia, jaką zdarzyło mi się widzieć wśród wszystkich bibliofilskich okazów w życiu. Kartki miała poobdzierane, wyplamione jakimiś rdzawymi plamami i pełne rozgniecionych owadów. Tę część nauczenia przeważnie wypełniały walki Biddy z najbardziej opornymi uczniami. Po zakończeniu zapasów Biddy wymieniała odpowiednią stronice i wówczas czytaliśmy ją głośno okropnym chórem. Biddy górowała nad nami wysokim, przenikliwym głosem, a zadne z nas nie miało pojęcia, o czym właściwie czytamy. Ten potworny hałas budził po pewnym czasie cioteczną babkę pana Wopsle'a, która zrywała się i kuszykając dopadała byle jakiego ucznia, by go wytargać za uszy.

Wówczas, uznając to za znak zakończenia lekcji, wybieraliśmy na dwór, wydając radosne okrzyki intelektualnego zwycięstwa.

Należy gwoli sprawiedliwości zaznaczyć, że uczniowi, który by chciał ćwiczyć się w pisaniu na tabliczce lub przy pomocy atramentu, nie stawiano żadnych przeszkód. Nie mógł jednak tego urzeczywistnić, zwłaszcza zimą, gdyż sklepik, w którym odbywały się lekcje, będący jednocześnie sypialnią i bawialnią ciotecznej babki pana Wopsle'a, nie posiadał dostatecznego oświetlenia. Stała tam jedna świeca w lichtarzu i w dodatku brak było szczyptec do jej objaśniania.

Zdawało mi się, że w tych warunkach trudno mi będzie pozbyc się pospolitosci, ale mimo to postanowiłem spróbować i tegoż wieczora Biddy wywiązała się z obietnicy, udzieliwszy mi kilku wiadomości wyczytanych w sklepowym cenniku, które leżały pod wilgotną głową cukru. Moja nauczycielka zadała mi do domu kaligrafowanie dużego ozdobnego D staroangielskiego alfabetu. Literę tę przepisała z nagłówka jakiejś gazety. W pierwszej chwili wziąłem ją za rysunek przedstawiający klawerkę.

Oczywiście we wsi była oberża i oczywiście Joe lubił sobie tam niekiedy wypalić fajkę. Siostra poleciała mi w drodze powrotnej ze szkoły wstąpić po niego do oberży „Pod Trzema We-

sołymi Przewoźnikami” i sprowadzić go pod groźbą wygarbowania mi skóry. Skierowałem więc kroki do „Trzech Wesołych Przewoźników”.

Była w tej oberży sałka restauracyjna, a w niej na ścianie niepokojąco długi szereg nakreślonych kredą cyfr. Myślałem zawsze, że tu nikt chyba nigdy nie płaci długów. Cyfry trwały tam, jak dawno pamiętałem, i były większe ode mnie. Ale w naszej okolicy znajdowało się tyle kredy, że może umyślnie jej się w ten sposób tutaj pozbywano.

Był wieczór sobotni i oberżysta oglądał z dość ponurą miną te rachunki, ale ponieważ nie przyszedłem do niego, tylko do Joe’go, więc jedynie powiedziałem mu wesoło „dobry wieczór” i skierowałem się do drugiego pokoju na końcu korytarza. Płonął tam jasny, wesoły ogień na kominie i Joe kurzył fajkę w towarzystwie pana Wopsle’a i jakiegoś nieznanego.

– Jak się masz, Pip, staruszkę? – przywitał mnie Joe i w tej chwili nieznanomy obejrzał się i przypatrzył mi uważnie.

Był to tajemniczy jegomość o głowie przekrzywionej na bok. Jedno oko miał stale przymrużone, jak gdyby celował do niewiadomego celu z dubeltówki. Palit fajkę, ale teraz wyjął ją z ust, wydmuchał cały dym i wciągnął na mnie patrząc, skinał mi głową. Odkrywałem mu w odpowiedzi, a on znów mi się zrewanżował i posunąwszy się, zrobił mi przy sobie miejsce na ławie.

Ale nie usiadłem tam, tylko powiedziałem: „Nie, dziękuję panu”, usadowiłem się przy Joem na miejscu, które dla mnie zrobił, naprzeciw nieznanego.

Dziwny człowiek spozirzał na Joe’go, a widząc, że uwaga jego jest zajęta czymś innym, znówu zrobił ku mnie zapraszający gest, przy czym jakiś dziwnie potarł się po nodze.

– Powiedział pan – zwrócił się teraz nieznanomy do Joe’go – że jest pan kowalem.

– Tak, to prawda – potwierdził Joe.

– Czego pan się napije, panie...? Nie podał mi pan swego nazwiska.

Joe wymienił je i nieznanomy zaraz zwrócił się do niego po nazwisku:

– Czego się pan napije, panie Gargery? Ja płacę. Chciałbym się z panem trącić.

– Prawdę mówiąc – odparł Joe – nie mam zwyczaju pić na cudzy koszt.

– Zwyczajny? – powtórzył nieznanomy. – To rozumiem. Ale raz, i to przy sobotnim wieczorze, przy okazji. No, niechże pan powie, czego się pan napije, panie Gargery.

– Nie chciałbym pana obrażać – oświadczył Joe – niech więc będzie rum.

– Rum – zawtórował nieznanomy – a czy ten drugi pan nie wyrazi swego życzenia?

– Rum – powtórzył pan Wopsle.

– Trzy rumy! – zawołał nieznanomy do oberżysty – i szklan-ki dla wszystkich.

– Tego pana – powiedział Joe, przedstawiając pana Wopsle’a – tego pana może pan usłyszeć w kościele, gdy intonuje psalmy. To nasz kościelny.

– Ach – podchwycił żywo nieznanomy – w tym samotnym kościele, otoczonym bagniskami, tuż przy cmentarzu?

Mrugnął do mnie przy tym wyraźnie okiem.

– Tak jest – potwierdził Joe.

Z ust nieznanego wydobyło się pełne zadowolenia mruknięcie; palit dalej fajkę i wyciągnął wygodnie nogi na przeciwległe krzesło. Na głowie miał szerokoskrzydły kapelus, taki jakiego noszą podróżni, a pod nim głowę owiązaną chustką, tak że nie widać było jego włosów, jak pod czepczkiem. Gdy patrzył w ogień kominika, miałem wrażenie, że w wyrazie jego twarzy czytam coś złośliwego i ironicznego.

– Nie znam tej okolicy, panowie, ale zdaje mi się, że ta część kolo rzeki jest bardzo opuszczona.

– Przeważnie bagna bywają opuszczone – zauważył Joe.

– Bez wątpienia, bez wątpienia. A czy nie ma tam niekiedy wędrownych Cyganów, wólcęgów czy łazików?

– Nie – odparł Joe – najwyższej od czasu do czasu jakiś uciekinier z galer. I niełatwo ich złapać, co, panie Wopsle?

Pan Wopsle, który dobrze pamiętał niedawną przygodę, przytaknął, ale bynajmniej nie skwapliwie.

– Wygląda na to, jak gdybyście brali udział w takim pościgu? – spytał nieznajomy.

– Tak. Raz – odpowiedział Joe – i to nie dlatego, abysmy chcieli ich złapać. Po prostu wyszliśmy, by się przyjrzeć: pan Wopsle, ja i Pip. Prawda, Pip?

– Tak, Joe.

Nieznajomy znowu spojrzął na mnie mrużąc oko, jak gdyby celował z niewidzialnej fuzji, i rzucił:

– Pyszny z niego chłopak. Jak pan go nazywa?

– Pip – odparł Joe.

– Czy to jego chrzestne imię?

– Nie, to nie chrzestne imię.

– Więc co, nazwisko?

– Nie – wyjaśnił Joe – to przezwisko, które sam sobie nadał, jak był malutki, i tak już zostało.

– To pański syn?

– Jakby to panu powiedzieć – odparł Joe z głębokim namyśleniem, bo tu, w oberży „Pod Trzema Wesołymi Przewoźnikami”, o wszystkim mówiło się z głębokim namyśleniem w kłębach fajczanego dymu – nie, nie jest moim synem.

– Siostreniec? – badał nieznajomy.

– Jakby to panu powiedzieć – odparł Joe tym samym tonem – nie chciałbym pana wprowadzić w błąd – on nie jest moim siostreniecem.

– Więc kimże jest, u diabła? – zaklął nieznajomy, a ja miałem wrażenie, że zbyt wiele gorliwości wkłada w te pytania.

Pan Wopsle wtrącił się nagle do rozmowy. Zachował się, jak przystało człowiekowi, który z racji swego urzędu wie najlepiej, jakie więzy rodzinne ludzi łączą i w jakich warunkach wolno na przykład poślubić kobietę, i wyjaśnił nieznajomemu pokrewieństwo zachodzące pomiędzy mną a Joem.

Będąc wykształcony, zakończył swoje przemówienie zacytowaniem najbardziej przerażającego fragmentu z „Ryszarda III” i dodał dla usprawiedliwienia:

– Jak powiada poeta.

Muszę dodać, że pan Wopsle, mówiąc o mnie, wicherzył mi włosy i rozrzucił mi je na oczy. Nie mogłem zrozumieć, czemu doroshi tak często zachowują się wobec mnie tak dziwnie. Czemu, gdy chcą o mnie rozmawiać, dotykają mojej osoby w protekcyjnalny sposób.

Tymczasem nieznajomy, który nie spuszczał ze mnie oczu, wyglądał w tej chwili tak, jak gdyby zdecydował się już wystrzeżić i zabić mnie na miejscu. Ale nie mówił jeszcze nic, dopóki nie przyniesiono rumu, wody i szklanek. Dopiero gdy wszystko było na stole, wystrzeżił, i to w sposób najbardziej niezwykły.

Oto nie wymówił dalej ani słowa, ale wykonał szereg micznych ruchów wyraźnie skierowanych ku mnie. Skosztował rumu z wodą, potem, patrząc na mnie, zamieszał płyn w szklance, następnie znowu posmakował i znów, spoglądając na mnie bacznie, zamieszał. Ale co dziwniejsza, nie mieszał łyżką, tylko... pilnikiem!

Zrobił to tak zrecznie, że nikt, prócz mnie, nie widział pilnika, który potem szybkim ruchem schował do kieszeni. Poznałem natychmiast pilnik Joego i zrozumiałem, że ten człowiek zna mojego galernika. Patrzyłem teraz w niego jak skamieniały, ale z kolei on nie zwracał na mnie żadnej uwagi i zaczął z zajęciem rozmawiać o rzepie.

Był zwyczaj w naszej wsi, że w sobotę przed udaniem się na spoczynek wszyscy urządzali powszechnie mycie i porządki. To sprawiło, że Joe w sobotnie wieczory pozwałat sobie na przedłużenie o pół godziny nieobecności w domu. Ale gdy skończył się i owe pół godziny, i rum w szklankach, Joe wstał i wziął mnie za rękę.

– Niech pan się zatrzyma, panie Gargery – poprosił nieznajomy – wydaje mi się, że mam gdzieś w kieszeni nowy błyszczący pieniądz, chyba szyling. Jeżeli go znajdę, dam chłopcu.

Wyciągnął z kieszeni garść drobnych, wyszukał spośród nich blyszczącą monetę i podał mi ją owiniętą w papierek.

– To dla ciebie – powiedział – uważaj, tylko dla ciebie.

Podziękowałem mu, wpatrując się w niego trochę za natargiwie jak na stosunki towarzyskie i przytulając się do Joeego. Powiedział dobranoc Joemu i panu Wopsle 'owi (który wyszedł z nami) i spojrzął na mnie celującym okiem. Właściwie nie spojrzął, tylko przyrównał powiekę i wyrabiał okiem jakieś cuda.

Gdybym miał ochotę do rozmowy w powrotnej drodze, musiałbym chyba rozmawiać sam ze sobą, gdyż pan Wopsle rozstał się z nami zaraz przed „Wesołymi Przewoźnikami”, a Joe szedł przez cały czas z szeroko otwartymi ustami, by wiatr wywiały z nich wszelki zapach rumu. Byłem jednak daleki od chęci rozmowy, takie wrażenie zrobiło na mnie wskrzesezenie mojego starego przestępstwa i starej znajomości.

Po prostu nie mogłem oderwać od tego myśli.

Siostra nie była w bardzo złym humorze, gdy zjawiliśmy się w kuchni, i to skłoniło Joeego do opowiedzenia jej o blyszczącym szylingu, jaki otrzymałem.

– Na pewno fałszywa moneta – orzekła siostra triumfalnie – inaczej nie dałby jej chłopcu. Pokaż no.

Wyjąłem pieniądź z papierka i okazało się, że jest dobry.

– Ale co to? – krzyknęła nagle siostra, chwytając papierek. –

Dwa banknoty funtowe?

Istotnie były to dwa banknoty funtowe tak wytłuszczone, jak gdyby stykały się ze wszystkimi targami na bydło w okolicy.

Joe schwytał kapelusze i pobiegł pod „Trzech Wesołych Przewoźników”, by odnaleźć właściciela pieniądzy. Kiedy wybiegł, usiadłem spokojnie na stołeczku i patrząc przed siebie myślałem, że na pewno nie zastanie już tego człowieka.

Joe powrócił i powiedział, że nieznajomego już nie było, ale że zostawił w oberży polecenie dla niego w sprawie banknotów. Wtedy siostra moja owinięła pieniądże w papier i schowała pod płatkę suszonych róż na dnie ozdobnego wschodniego imbryka do herbaty, stojącego w kredensie.

Pozostały tam i w ciągu długich dni i nocy nie przestawały mnie straszyc.

Gdy kładłem się do łóżka, natychmiast zaczął mnie dręczyć widok nieznajomego celującego do mnie z niewidzialnej strzelby i straszliwe poczucie winy z powodu przestępstwa spiskowania z galernikami (zdążyłem już przedtem zapomnieć o tym szczególe mojej skromnej kariery). Straszyl mnie też widok pilnika i drżałem z lęku, że może mi się znowu kiedyś ukazać.

Zasnąłem, pocieszając się rozmyślaniami o przyszłej drodze i o odwiedzinach u miss Havisham, ale we śnie zjawil mi się obraz pilnika wchodzącego przez drzwi, trzymanego niewidzialną dłońią. Obudził mnie własny krzyk.

Mówiąc „tam” wskazała okno, więc stanąłem przy nim i w bardzo przykrym nastroju czekałem, co też będzie dalej.

Okno, przez które wyglądałem, wychodziło na nędzny zakątek zaniedbanego ogrodu. Widniały tam ślady po kapuścianych grzędach oraz jakiś krzak, przystrzyżony niedgys na kształt tortu, ale rozrośnięty potem i tak wyglądający, jak gdyby owo dzieło kulinarne wyrosło zanadto z formy, w której było pieczone. Tak przynajmniej sobie myślałem, gdy patrzyłem na ten krzew. W nocy musiał spaść niewielki, lekki śnieg, którego nie spostrzegłem na wsi, ale który nie zdążył jeszcze stopnieć w chłodzie zakątka ogrodu. Wiatr podnosił białą kurzawę i bił nią o okna, jak gdyby protestując w ten sposób przeciw mojej obecności za szybą.

Odgadłem, że moje przybycie przerwało rozmowę osób zgromadzonych w pokoju i że wszyscy spoglądają w moją stronę.

Nie widziałem w pokoju nic, prócz odbłasku ognia kominka w szybie, ale sztywniałem na myśl, że jestem pod obserwacją.


W pokoju były trzy panie i jeden pan. Wystarczyło mi pięciu minut, by nabrać pewności, że wszyscy to pochlebcy i samo-chwały, że każdy z nich jednak stara się nie dostrzegać tych przywar u innych, aby nie być zmuszonym do przyznania się, że sam jest pochlebcą i samochwytą.

Wszyscy oni udawali, że dbają tylko o przyjemność innych i że mówią od niechcenia, ale najbardziej rozmowna pani tłumiała ziewanie. Pani ta nazywała się Kamilla i przypomniała mi ogromnie moją siostrę, tyle że wyglądała na starszą od niej i (jak mogłem wnioskować z jednego rzuconego na nią spojrzenia) miała rysy bardziej wyblakłe. I rzeczywiście, kiedy później poznałem ją bliżej, dziwiłem się, że w ogóle posiada jakies rysy, tak biała i wyniosła była martwa ściana jej twarzy.

– Drogie biedactwo – mówiła z porywczą podobną do zapalczywości mojej siostry – ma tylko jednego wroga: samego siebie.

– Wydaje mi się, że znacznie właściwiej jest mieć wroga poza samym sobą – zauważył pan.

## Rozdział jedenasty



W umówiony dzień stawilem się u miss Havisham, a mój niepewny dzwonek przy bramie zwałbit Estelle. Zamknęła szybko bramę wpuściwszy mnie, jak za pierwszym razem, do wnętrza i tak samo jak wówczas poszedłem za nią ciemnym korytarzem, gdzie płonęła świeca w lichtarzu. Estella z początku nie powiedziała do mnie ani słowa. Dopiero gdy wzięła do ręki lichtarz, rzuciła mi wyniośle przez ramię:

– Dzisiaj masz iść tędy.

I poprowadziła mnie do całkiem innej części domu.

Korytarz był tak długi, że robił wrażenie ciągnącego się przez całą szerokość dworu. Ale nie przeszliśmy go jeszcze całego, gdy Estella zatrzymała się, otworzyła jakies drzwi i odstawiła świecę. Buchnęło na mnie znowu światło dnia i znalazłem się na małym wybrukowanym podwórku, w którego głębi stał domek, wyglądający na mieszkanie dyrektora lub wysokiego urzędnika dawnego browaru. Na zewnętrznej ścianie domu przybito był zegar, który podobnie jak zegar i zegarek miss Havisham wskazywał dwadzieścia minut przed dziewiątą.

Weszliśmy w otwarte drzwi domu i znaleźliśmy się w partowym pokoju o niskim suficie. W pomieszczeniu tym znajdowało się kilka osób i Estella pozostała z nimi, powiedziaławszy do mnie:

– Idź tam, chłopcze, i czekaj, aż cię zawołają.



– Kuzynie Rajmundzie – powiedziała jedna z pań – powinniśmy kochać bliźnich.

– Saro Pocket – odparł kuzyn Rajmund – jeśli człowiek nie jest bliźnim siebie samego, to któż nim jest?

Miss Pocket roześmiała się, a Kamilla wybuchnęła również śmiechem i rzuciła (tłumiąc ziewanie):

– Cóż za pomysł!

Miałem jednak wrażenie, że wszystkie uważały to właśnie za dobry pomysł. Pani, która dotychczas jeszcze się nie odzywała, pochwaliła:

– To *bardzo* słuszne.

– Biedak – ciągnęła Kamilla po przerwie (w czasie której, czułem to, patrzyli na mnie) – taki jest dziwny. Czy kto uwierzy, że gdy umarła żona Toma, on nie mógł w żaden sposób pojąć, że dzieci powinny mieć najgrubszą krepą obszyte sukienki? „Mój Boże – mówił wtedy do mnie – Kamillo, jakież to może mieć znaczenie, skoro dzieci już i tak odziane są na czarno?” Tak może powiedzieć tylko Mareusz. Też pomysł!

– Ma swoje dobre strony, o, ma bezsprzecznie! Nigdy bym nie odmówił mu zalet – powiedział kuzyn Rajmund – ale nigdy nie miał i nie będzie miał poczucia tego, co wypada, a co nie wypada.

– Ale ja byłam stanowcza – oświadczyła Kamilla – mówiłam mu, że tyle jesteśmy winni krewnym i że bez grubej krepy rodzinna będzie znieważona. Nie przestawałam wykrzykiwać tego od śniadania do kolacji, nie wahałam się nawet narazić w ten sposób własnego trawienia. Ale wreszcie rozłożył się i klnąc od diabłów powiedział, bym robiła, co mi się podoba. I Bogu niechaj będą dzięki, jedyną moją pociechą jest to, że w ulewny deszcz wybiegam i kupiłam, co trzeba.

– Zapłacić chyba za wszystko? – spytała Estella.

– To nieważne, moje dziecko, kto płacił. Ja kupiłam. I teraz, budząc się w nocy, gdy to wspominam, jestem spokojna.

Rozmowę przerwał oddalony dzwonek i jakiś głos wołający jak gdyby z głębi korytarza, którym przyszlismy do pokoju. Estella zwróciła się do mnie:

– Idziemy, chłopcze.

Gdym się odwrócił, wszyscy przyglądali mi się w milczeniu, a kiedy opuszcząłem już pokój, usłyszałem, jak Sara Pocket mówiła:

– Coś takiego! Doprawdy! Kto będzie następny?

A Kamilla dodała z oburzeniem:

– Czy widział kto podobny kaprys? Niestychna!

Gdy szliśmy ze świecą przez korytarz, Estella zatrzymała się na zakręcie i rozjejrzawszy się wokoło odezwała się bezczelnym tonem, zbliżając swą twarz ku mojej:

– No, więc?

– Więc, co, panienko? – odpowiedziałem odsuwając się, by się o nią nie otrzeć.

Stała patrząc na mnie i ja spoglądałem na nią.

– Czy jestem ładna?

– Tak. Zdaje mi się, że panienka jest bardzo ładna.

– Czy jestem przykra dla ciebie?

– Nie tak bardzo przykra jak zeszłym razem – odparłem.

– Nie tak bardzo?

– Nie.

Stawiając mi ostatnie pytanie zaczerwieniła się z gniewu i z całej siły uderzyła mnie w twarz.

– No, a teraz? Ty mały ordynarny potworze. Co teraz o mnie myślisz?

– Nie powiem tego.

– Bo polecisz i poskarzysz się na górce? Dlatego, co?

– Nie, nie dlatego.

– Dlaczego nie płaczysz, ty mała ofiara, co?

– Bo już nigdy nie będę płakał z twojego powodu – oznajmiłem.

Nie była to prawda, było to najbardziej kłamliwe oświadczenie, jakie kiedykolwiek złożyłem, bo nawet w tej chwili wewnątrznie płakałem z jej powodu, a wiele bólu kosztowała mnie i potem.

Szliśmy teraz dalej i na schodach zetknęliśmy się z jegomościem, który po omacku schodził na dół.

– Kogóż to tutaj mamy? – spytał jegomość, patrząc na mnie.  
– Chłopca – odparła Estella.

Był to tegi mężczyzna o wyjątkowo smagłej cerze, olbrzymiej głowie i wielkich dłoniach. Wziął mnie pod brodę dużymi rękami i odwrócił mą głowę, by zobaczyć twarz w blasku świecy. Był przedwcześnie wyłysiały na czubku głowy i miał krzaczaste brwi, które zamiast leżeć, sterczały kępkami. Oczy jego były głęboko osadzone i spoglądały podejrzliwie i ostro. Miał zegarek na łańcuszku, a w tym miejscu, gdzie powinny były się znajdować bokobrody, znaczyły mu twarz ciemne cętki. Był mi całkiem obcy i nie przypuszczałem, że go kiedykolwiek zobaczę, a jednak miałem potem okazję dobrze zaobserwować tego człowieka.

– Chłopak z sąsiedztwa, co? – spytał.

– Tak, proszę pana – potwierdziłem.

– W jaki sposób się tu dostałeś?

– Miss Havisham po mnie posłała – odpartem.

– Więc zachowaj się tam dobrze – powiedział – znam chłopców i wiem, że to wisusy. Więc uważaj – powtórzyl, gryzając sobie palec i marszcząc się – zachowuj się grzecznie.

W tej chwili dopiero puścił mnie, z czego byłem zadowolony, bo palce jego woniały pachnącym mydłem, i zeszedł na dół po schodach. Pomyślałem sobie, czy to nie był doktor, ale odrzuciłem to przypuszczenie uważając, że lekarz okazałby się bardziej wyrozumiały.

Nie miałem zresztą wiele czasu na te rozmyślenia, gdyż znaleźliśmy się w pokoju miss Havisham, a zarówno pokój, jak ona wcale się nie zmieniły. Estella wpuściła mnie i zatrzymała się przy drzwiach, a ja czekałem, aż miss Havisham podniesie oczy znad toalety.

– Więc tak – powiedziała bez zdziwienia – dni minęły. Czy tak?

– Tak, proszę pani, dzisiaj jest...

– Dosyc, dosyc, dosyc – rzuciła niecierpliwie, trzaskając palcami – nie chcę nic wiedzieć. Czyś gotów do zabawy?

Byłem zmuszony odpowiedzieć ze wstydem:

– Nie wydaje mi się, proszę pani.

– Nie zagrasz w karty? – pytała.

– Owszem, proszę pani, jeżeli pani sobie życzy, to mogę.

– Jeżeli ten dom wydaje ci się stary i smutny – mówiła miss Havisham – i nie usposabia cię do zabawy, to czy chcesz pracować? Idź do pokoju naprzeciwno – poleciała, wskazując na drzwi szczerpłą ręką – i czekaj tam na mnie.

Wyszedłem na klatkę schodową, a stamtąd do pokoju, który mi wskazała. I ten pokój był pozbawiony światła, i panował w nim zaduch niewietrzonego wnętrza.

W starym, niemodnym, zawilgotnym kominku palił się ogień, ale zdawał się tlić raczej, niż rozgrzewać, a ciężki dym w pokoju nie dawał ciepła, podobnie jak mgła unosząca się nad naszym bagniskiem.

Cienkie świece w wysokich kandelabrach na starym kominku słabo oświetlały pokój, a raczej zaledwie walczyły z jego mrokami. Pokój musiał być kiedyś ładny, ale na każdym z jego przedmiotów leżała gruba warstwa kurzu i pleśni, a wiele rzeczy znajdowało się w rozkładzie. Uwagę zwracał długi stół przykryty obrusem, jak na spodziewane przyjęcie, które miało się odbyć wówczas, gdy cały dom wraz z zegarami zatrzymał się w czasie.

Pośrodku stołu stał duży przedmiot tak opleciony pajęczynami i zmurszały, że nie sposób było go rozpoznać. Patrzyłem na żółtą masę, z której zdawał się wyrastać czarny grzyb, i spostrzegłem, że do tego przedmiotu zbiegały się ze wszystkich stron, a potem rozpierzchały olbrzymie, ciemno nakrapiane pająki o cętkowanych nóżkach. Spieszyły się tak, jak gdyby w tym pajęczym społeczeństwie wydarzyło się coś ważnego. Jednocześnie za obiciami pokoju słyszałem bieganie myszy, jak gdyby i ich dotyczyły te same sprawy. Jedynie wielkie, czarne karaluchy nie zwracały uwagi na to podniecenie i z powagą grupowały się koło kominka niczym starsze, przygłuche i krótkowzroczne osoby, które nie zyczą sobie znajomości z innymi istotami.

Te petające stworzenia tak pochłonięły moją uwagę, że jeszcze przyglądałem im się z daleka, gdy miss Havisham położyła

mi dłoń na ramieniu. W drugiej ręce trzymała laseczkę, na której się opierała, i wyglądała jak czarownica tych zaklętych miejsc.

– Tutaj – powiedziała, wskazując stół – będzie leżała, gdy umrę. Niech przyjdą mnie tu oglądać.

Peten przerażenia, by natychmiast nie położyła się tam i nie umarta, i przejęty na nowo jej podobieństwem do strasznej figury woskowej na jarmarku, zadrżałem pod dotknięciem jej ręki.

– Jak myślisz, co to jest, tam na stole, gdzie pająki? – spytała, wskazując laseczką na przedmiot.

– Nie mogę się domyślić, proszę pani.

– To wielki kotacz, weselny kotacz. Mój.

Rozejrzała się bacznie po pokoju i zaciskając dłoń na moim ramieniu, rozkazała:

– No, no, prowadź mnie, prędzej, dookoła pokoju.

Zrozumiałem, że robotą, którą zapowiadała, miało być oprowadzenie jej po pokoju. Postusznie ruszyłem, a ona, oparta na moim ramieniu, szła przy mnie w takim tempie, w jakim, ulegając pierwszemu pomysłowi w tym domu, naśladowałbym bryczkę wujka Pumblechooka.

Nie była bardzo silna, toteż wkrótce powiedziała:

– Wolniej.

Zwolniłem, ale miss Havisham ścisnęła mnie za ramię i dyszała, wyobrażając sobie zapewne, że idzie tak szybko jak jej własne myśli.

Nagle poleciała mi:

– Zawołaj Estellę.

Wybiegłem na schody i tam przechylony na dół krzyczałem imię dziewczynki, a gdy zobaczyłem blask jej świecey, powróciłem do miss Havisham i znowu ją oprowadzałem.

Dość już byłoby mi przykro, gdyby Estella sama stała się świadkiem naszego spaceru, ale gdy dziewczynka przyprowadziła jeszcze owe trzy panie i pana, nie wiedziałem, co mam zrobić. Chciałem przerwać przechadzkę, ale miss Havisham ścisnęła mnie za ramię tak, że musiałem posuwać się dalej. Cierpiałem na myśl, że przypuszczają, jakoby to ja wymyślił tę zabawę.

– Droga miss Havisham – odezwała się miss Sara Pocket – jakże doskonale pani wygląda!

– Nieprawda – oświadczyła miss Havisham – mam poźółtką skórę i kości.

Kamilla zajaśniała radością słysząc, w jaki sposób miss Havisham odpowiada miss Pocket, i patrząc na panią domu szepnęła współczującym tonem:

– Biedactwo! Skądżeby miała dobrze wyglądać, nieszczęsnal!

Cóż za pomysł!

– A jakże *pani* się miewa? – rzuciła miss Havisham ku Kamilli.

Ponieważ właśnie ją mijaliśmy, zatrzymałem się oczywiście, ale miss Havisham pociągnęła mnie dalej i czułem na sobie pełen nienawisici wzrok Kamilli.

– Dziękuję, miss Havisham – odpowiedziała – czuję się jak na mnie nieźle.

– Co pani właściwie jest? – spytała teraz miss Havisham z wyjątkową szorstkością.

– Nic szczególnego, nie chciałabym publicznie zwierzać się z mych uczuć – odparła Kamilla – ale myślać tak ciągle o pani, nie sypiam po nocach i stąd moje cierpienia.

– To niech pani nie myśli o mnie – doradziła miss Havisham.

– Łatwo to powiedzieć – oświadczyła Kamilla tłumiąc głośnie szloch, podczas gdy górna jej warga drgała, a oczy napętniły się łzami. – Rajmund może zaświadczyć, ile muszę zażywać krowel i wachać soli trzeźwiących przed snem, Rajmund może zaświadczyć, jakie mam nerwowe darcia w nogach, jakie skurcze gardła. Nie dziwię się im zresztą, gdyż takim lekkiem napętniła mnie obawa o tych, których kocham. Gdybym była mniej wrażliwa i mniej czuła, miałabym z pewnością lepsze trawienie i może nawet nerwy z żelaza. Ale nigdy nie mogłabym po nocach przestać myśleć o pani. Nigdy! Cóż za pomysł!

I wybuchnęła płaczem.

Domysliłem się, że ów Rajmund to pan towarzyszący paniom i że on to jest mężem Kamilli.

W tym momencie przyszedł z pomocą i odezwał się łagodnym i czułym głosem:

– Droga Kamillo, jest rzeczą powszechnie znaną, że twoje uczucia rodzinne podkopują ci organizm tak, aż jedna z twoich nóg staje się krótsza od drugiej.

Nic wydaje mi się jednak – rozległ się głos poważnej damy, która dotychczas przemówiła tylko jeden raz – nie wydaje mi się, aby fakt, iż myśli się o jakiejś osobie, przyczyniał się do uzurpowania sobie praw do niej, moja droga.

Panna Sara Pocket, która, jak to teraz dopiero zobaczyłem, była małą, zasuszoną, pomarszczoną staruszką, z twarzyczką podobną do dwu łupin laskowego orzecha i ustami podobnymi do kocich, tylko bez wąsów, była tego samego zdania, gdyż przytaknęła:

Masz słuszność, moja droga Hem!

Myśleć to nie sztuka – powiedziała poważna dama.

Nic łatwiejszego – dorzuciła miss Sara Pocket.

Tak, tak – wybuchnęła Kamilla, której uczucia zdawały się z nogę wędrować teraz do piersi – macie rację. To słabość być taką uczuciową, ale cóż ja na to poradzę? Niewątpliwie zdrowie moje znajdowałoby się w znacznie lepszym stanie, gdybym się tak nie przejmowała, ale wcale nie pragnę się zmienić. To przyczyna cierpień, ale jednocześnie wielka pociecha, kiedy obudzę się nocą i wiem, że jestem taka uczuciowa.

Tu nastąpił nowy wybuch płaczu.

Przez cały ten czas nie przestaliśmy ani na chwilę krząć z miss Havisham wokół pokoju, chwilami muskając spódnicę przybyłych pań, chwilami zaś oddzieleni od nich szerokością ponurego pokoju.

– Taki Mateusz na przykład – mówiła Kamilla – nie troszczy się wcale o zdrowie miss Havisham, nigdy nie przyjdzie jej odwiedzić. Leżałam na kanapie godzinami, z rozsznurowanym gorsetem, nic nie widząc wokół siebie, ze zwieszoną głową i rozwiartym włosom, z nogami już sama nie wiem gdzie umieszczonymi.

(– Znacznie wyżej niż głowa, kochanie – wtrącił jej małżonek).

– Godzinami leżałam w tym stanie, rozpaczając z powodu niegodnego zachowania się Mateusza, a czy kto mi za to podziękował?

– Wcale się nie dziwię, że nikt tego nie uczynił – wtrąciła poważna dama.

– Widzisz, moja droga – powiedziała panna Sara Pocket (obłudnie zła osoba) – to zależy, od kogo też spodziewałaś się podziękowań, kochanie?

– Nie spodziewałam się od nikogo podziękowania – ciągnęła Kamilla – i długie godziny pozostawałam w tym stanie, i Rajmund jest świadkiem, że chwyciły mnie takie kurcze, iż nawet sole trzęźwiące nie pomagały, a moje dławienie się słychać było naprzeciwko w mieszkaniu stroiciela fortepianów, aż nawet biedne dzieci myślały, że to gotówce gruchają.

Tu Kamilla dotknęła dłonią szyi, jak gdyby chciała wyjaśnić, na czym polegały owe niezwykle zjawiska w jej gardle.

Gdy wymieniła imię Mateusza, miss Havisham zatrzymała mnie i sama przystanęła, patrząc na mówiącą. Kamilla natychmiast przestała rozprawiać o objawach swej choroby i umilkła.

– Mateusz przyjdzie do mnie, by zobaczyć mnie po raz ostatni, kiedy będę leżała na tym stole martwa. Stanie sobie, o, tutaj, u mojego wezglowia. A wy też tu wtedy się zjawicie! I ty, i twój mąż! Będziecie tu stali! A Sara Pocket tutaj! A Georgiana tu, w tym miejscu. Wiecie już, gdzie są wasze miejsca po mojej śmierci! A teraz wynoście się!

Przy wymienianiu każdego z poszczególnych imion uderzała łaską w inne miejsce. Następnie zwróciła się do mnie:

– Prowadź mnie, prowadź. – I znowu ruszyliśmy w wędrowną wokół pokoju.

– Myślę, że nie pozostaje nam nic innego, tylko z żalem odejść – wykrzyknęła Kamilla. – Zobaczyć osobę, którą się kocha, choćby na krótko, jest już szczęściem. Będę wspominała tę chwilę z pełnym melancholii zadowoleniem, ile razy się obudzę nocą. Życzyłabym Mateuszowi, by i on doznał podobnej pocie-

chy, ale cóż, on wybrał całkiem inną drogę. Nie chciałabym publicznie ujawniać mych uczuć, ale, muszę wyznać, świadomość, że ktoś się chce pozbyć swej krewnej, jak gdyby była potworem, i po prostu wyrzucił ją, jest ogromnie bolesna.

W tej chwili mąż Kamilli rzucił się ku swej matronce, która położyła dłoń na sercu takim gestem, jak gdyby oznajmiała, że zaraz za drzwiami zemdleje. Na razie posłała całusa miss Havisham i wyszła.

Sara Pocket i Georgiana stoczyły krótką walkę o to, która z nich ma wyjść ostatnia, ale Sara okazała się zdecydowanie i tak zamianowała, że wypchnęła po prostu Georgianę z pokoju. Wtedy dopiero odwróciła się ku miss Havisham i pożegnała ją słowami:

– Niech panią Bóg bogostawi, droga miss Havisham.

Jej podobne do laskowego orzecha policzki rozciągnęły się w pełnym politowania dla słabości innych uśmiechu.

Podczas gdy Estella odprowadzała ze świecą gości na schody, miss Havisham wciąż jeszcze przechadzała się po pokoju wsparta na moim ramieniu, ale coraz to bardziej zwalniała kroku.

Wreszcie usiadła przy kominku i popatrzywszy przez kilka sekund w ogień, mruknęła:

– Dziś moje urodziny, Pip.

Chciałem już powiedzieć, że zyczę jej wszystkiego dobrego, gdy podniosła w górę łaskę.

– Nie znoszę, kiedy się o tym wspomina. Zabraniam tym, co się tu zeszli, mówić na ten temat. Przychodzą tego dnia, ale nie osmielają się wieszować.

Oczywiście nie powiedziałem już ani słowa.

– Właśnie tego samego dnia przed wielu laty, na długo przedtem, zanim się urodziłeś – opowiadała – przyniesiono tutaj te wszystkie śmiecie.

Tu wskazała końcem łaski stół, na którym roily się pajaki.

– Wszystko to się rozpada i ja też. Myszki nadgryzają to, co tu widzisz, ale zęby ostrzejsze niż zęby myszy nadgryzają moje ciało.

Przyciskała rączkę łaski do serca i stała teraz nad stołem w niegdyś białej, a teraz pożółkłej sukni, patrząc na niegdyś białą, a teraz pożółkłą obrus i wszystko wokół niej robiło takie wrażenie, jak gdyby miało się rozpaść w pył.

– Kiedy ruina będzie doprowadzona do końca – mówiła, patrząc upiornym wzrokiem – kiedy położą mnie w tej ślubnej sukni martwą na tym ślubnym stole, wtedy spełni się do końca klątwa. O, jakże chciałabym, aby nastąpiło to już dzisiaj!

Stała patrząc na stół w taki sposób, jak gdyby już widziała siebie na nim rozciągniętą. Nie poruszyła się z miejsca nawet wtedy, gdy powróciła Estella. I nagle odniosłem wrażenie, że stojmy tak bardzo dawno. W ciężkim powietrzu pokoju, wśród mroków czających się po kątach miałem uczucie, że i ja, i Estella zaczynamy się rozsypany w proch.

Miss Havisham nie otrząsała się stopniowo z tego nastroju, tylko nagle powiedziała:

– Teraz zagracie we dwoje w karty. Chcę się temu przyjrzeć. Czemu jeszcze nie zaczynacie?

Wrócił się więc do jej pokoju i do partii kart. I znowu przegrywałem jak przedtem, i znowu miss Havisham chwaliła przedemną urodę Estelli i podnosiła jeszcze jej piękność, przymierzając dziewczynce swoją bizuterię.

Estella traktowała mnie równie pogardliwie jak przedtem z tą różnicą, że tym razem nawet nie raczyła się do mnie odezwać. Gdy rozegraliśmy pół tuzina partii, ustalono dzień, kiedy mam znowu przyjść, sprowadzono mnie na podwórze, nakarmiono jak psa i byłem wolny.

Mniejsza o to, czy furtka w murze otaczającym ogród była otwarta, wówczas gdy włąziłem na mur, by zobaczyć, co jest po drugiej stronie, dość że teraz zobaczyłem furtkę tam, gdzie jej dawniej nie widziałem. Stała otworem, bo Estella wyprowadzała przed chwilą gości, toteż przeszedłem tędy do ogrodu.

Ogród był zapuszczony i dziki. Spostregłem poczerńnięte ramy od inspektów, w których niegdyś rosły melony i ogórki, a te-

raz leżały, jak wyhodowane zamiast nich okazy, stare pojedyncze buty, stare podarte kapelusze i podziurawione garmki.

Kiedy zwiedziłem cały ogród i oranżerię, gdzie nie było nic prócz zeschłych pędów winorośli i kilku pustych butelek, znalazłem się w tym zakątku, który obserwowałem z okna domu. Byłem pewien, że porzucona altana jest pusta, i zajrzałem do niej przez okno. Jakże się zdziwiłem, gdy się znalazłem oko w oko z młodym chłopcem. Był błądy i jasnowłosy, miał zaczerwienione powieki.

Błądy chłopiec siedział właśnie nad książką, a palce miał povalane atramentem.

– Hola, chłopcze! – zawołał.

Spostrzegłem, że słowo „hola” mówi się wówczas, gdy nie ma się nic innego do powiedzenia, powtórzyłem je więc, przez grzeczność, nie dodając „chłopcze”.

– Kto *ciebie* tu wpuścił? – spytał.

– Panna Estella.

– Kto ci pozwolił tu się wałęsać?

– Panna Estella.

– Chodź tutaj i bij się ze mną – wyzwał mnie błądy chłopiec.

Czy mogłem go nie posłuchać? Zadawałem sobie to pytanie później wiele razy i za każdym razem decydowałem, że musiałem pójść za nim. Miał takie wytworne maniere i tak zdecydowany głos, że posłuchałem go natychmiast.

– Zatrzymaj się na chwilę – powiedział, gdyśmy już zrobili kilka kroków – musisz ci przecież dać jakiś powód do bójki.

Zataił w drażniący sposób ręce i bez słowa zanurzył je w moich włosach, szarpał nimi, potem odskoczył, znowu zataił dłonie i pochyliwszy głowę, z rozmachem uderzył mnie nią w żołądek.

Ten ostatni, godny byka zabieg był specjalnie przykry dla kogoś, kto przed chwilą zjadł chleb z mięsem, toteż oddałem mu natychmiast cios. Właśnie się gotowałem do następnego uderzenia, gdy z triumfem wykrzyknął:

– A więc jednak? A więc będziesz się bił? – i zaczął tańczyć

przede mną w sposób dość nieoczekiwany dla mnie, niedoświadczonego w walce.

– Prawa gry! – ryknął i przeskoczył z lewej nogi na prawą. – Przepisy walki! – tu przeskoczył z prawej nogi na lewą. – Idźmy na teren i zaczynajmy zgodnie z przepisami!

Tu wykonał szereg dziwnych skoków, wobec których czułem się dziwnie bezbronny.

Potajemnie bałem się go widząc, jak jest zręczny i obrotny, ale jednocześnie czułem całą moją istotą, że jego jasnowłosa głowa nie ma nic do roboty w zagłębieniu mego żołądka i że muszę za to wziąć odwet.

Poszedłem więc za nim bez słowa do oddalonego zakątka w ogrodzie. Było to miejsce ukryte w załamaniu murów. Spytał mnie, czy zadowolony jestem z terenu, a gdy przytaknąłem, przeprosił mnie, że oddali się na chwilę, i zaraz potem wrócił, niosąc butelkę wody z octem i gąbkę.

– Dla nas obu – oznajmił, stawiając butelkę pod murem. Natychmiast potem zaczął zdejmować z siebie nie tylko marynarkę i kamizelkę, ale także koszulę, a wszystko to czynił beztrudno, niedbale i krwiozerczo.

Mimo że nie wydał mi się bardzo zdrów ze swymi krostami na twarzy i wyrzutami na wardze, przygotowania te napędziły mnie strachem. Wyglądał na chłopca w moim wieku, choć znacznie przewyższał mnie wzrostem, i jego ruchliwość imponowała mi ogromnie. Poza tym był to młodzieniec w porządnym popielatym ubraniu (w każdym razie do chwili, kiedy się rozebrał dla walki), o łokciach, kolanach i dłoniach o wiele bardziej rozwiniętych niż cała postać.

Ogarnął mnie strach, kiedy zmierzył baczynym wzrokiem moją budowę ciała, jak gdyby liczył każdą moją kostkę, i nigdy w życiu nie byłem dotychczas tak zdumiony, jak w chwili, kiedy wymierzywszy mu cios, ujrzałem go padającego na ziemię z rozkrwawionym nosem.

Zerwał się jednak natychmiast, bardzo zręcznie obmył się gąbką i znowu zaczął mnie mierzyć spojrzeniem. Wówczas zdzi-

wiem się po raz drugi w życiu, kiedy po moim następnym ciosie zobaczyłem go znowu leżącego na ziemi, tym razem z okiem podbitym na czarno.

Jego odwaga imponowała mi ogromnie. Był najwidoczniej bardzo słaby, bo ani razu nie oddał mi ciosu i niemal wciąż leżał powalony, ale za każdym razem zrywał się natychmiast, obmywał ranę, pił łyk wody z bardzo zadowoloną miną, po czym zwracał się do mnie ze spojrzeniem obiecującym odwet, rad, że wszystko odbywa się zgodnie z przepisami.

Wkrótce potem był po prostu zmasakrowany moimi ciosami; przykro mi się przyznać, ale waliłem go coraz to mocniej. Za każdym razem zrywał się na nowo i poddawał moim ciosom, dopóki nie upadł tak nieszczęśliwie, że głową uderzył o mur. I wtedy jednak podniósł się, chwilę kręcił w kółko, jak gdyby nie mogąc mnie znaleźć, wreszcie na kolanach doczołgał się do gąbki, otarł czoło i wymamrotał:

– To znaczy, żeś wygrał.

Wydawał mi się w tej chwili tak dzielny i niewinny, że chociaż to nie ja wywołałem bójkę, poczułem, iż moje zwycięstwo nie sprawia mi przyjemności. Miałem nawet takie uczucie, podczas gdy się ubierałem, jak gdybym był młodym wilkiem lub inną dziką bestią. Otartem sobie zakrwawioną twarz i spytałem:

– Czy mogę ci w czymś pomóc?

– Nie, dziękuję – odpowiedział.

– Więc do widzenia – pożegnałem go.

– Do widzenia – odparł.

Gdy powróciłem na dziedziniec, zastałem Estellę czekającą na mnie z kluczami. Nie spytała mnie, gdzie byłem i czemu dąłem jej tak długo czekać. Twarz jej promieniała, jak gdyby coś ją ogromnie uradowało. Zamiast pójść wprost do furtki, cofnęła się na korytarz i skinęła na mnie:

– Chodź tutaj. Możesz mnie pocałować, jeżeli chcesz.

Pocałowałem ją w policzek, który mi nadstawiła. Czuję, że dałbym wiele za ten pocałunek, ale jednocześnie zdawałem so-

bie sprawę, że pozwoliła mi się pocałować jak małemu dzikusowi, po prostu zamiast dać mi napiwek, i że ten pocałunek nic nie znaczy.

Goście urodzinowi, gra w karty i bójka zajęły mi tyle czasu, że kiedy zbliżałem się do domu, na tle nocnego nieba płonęło już światło zapalone na szczyście wzgórza nad bagniskiem, a blask ognia z kuźni Joeego padał na ciemną drogę.

pomścić zły uczynek spełniony w jej domu, zjawia się przede mną w swym śmiertelnym stroju i zastrzeli mnie z pistoletu? Kto wie, może wynajęta banda rozbójników wypadnie z browaru i zamorduje mnie na miejscu?

W rozmyślaniach tych nigdy nie przychodziła mi na myśl zemsta samego bladego chłopca. Wydało mi się, że mścić się na mnie będzie jego rodzina, przerażona widokiem jego zakrwawionej twarzy.

Mimo wszystko musiałem pójść do miss Havisham i poszedłem. Ku mojemu wielkiemu zdziwieniu bójka nie miała żadnych następstw. Nie widziałem bladego chłopca i nikt o nim nie wspominał. Furtkę zastałem otwartą, przeszedłem przez ogród, ośmieliłem się nawet zajrzeć do opuszczonego domku i zatrzymałem się na widok zamkniętych na głucho okiennic. Tylko na placu, który był terenem walki, odkryłem ślady bladego chłopca: jego krew na ziemi. Zakryłem ją szybko przed oczyma ludzkimi garścią piasku.

W sieni, dzielącej sypialnię miss Havisham od pokoju z naszym stołem weselnym, ujrzałem fotel na kółkach, jeden z tych lekkich foteli, w których wożą starców i chorych. Odtąd miałem w nim wozić miss Havisham, ilekroć się zmęczyła wędrowką po pokoju z dłońią opartą na mym ramieniu.

Podróże te trwały niekiedy po trzy godziny. Woziliśmy ją niezmordowanie z jednego pokoju do drugiego, naokoło pokoju i znowu z powrotem. Postanowiono, że będę w tym celu przychodził co drugi dzień w południe. Tak trwało przez osiem do dziesięciu miesięcy.

Kiedy poznaliśmy się już bliżej, miss Havisham rozmawiała ze mną częściej. Wypytywała mnie o wszystko: czego się uczę i czym chciałbym być, gdy dorosnę. Odpowiadałem jej, że zapewne zostanę terminatorem w kuźni Joego. Mówiłem, że nie umiem, a bardzo pragnąłbym wszystko wiedzieć. Opowiadałem to w nadziei, że pomoże mi osiągnąć mój cel. Ale ona nie chciała. Przeciwnie, odnosiłem niekiedy wrażenie, że woli, abym pozostał nieukiem. Nigdy też nie dała mi ani grosza

## Rozdział dwunasty

Było mi ogromnie przykro, kiedy przypomniałem sobie bladego chłopca. Im więcej myślałem o nim, im częściej wyobrażałem go sobie leżącego na wznak z nabrzmiałą, krwawiącą twarzą, tym większej nabierałem pewności, że nie ujdzie mi to tak na sucho.

Czułem, że krew bladego chłopca spada na moją głowę i że prawo się o niego upomni. Nie zdając sobie w całej pełni sprawy z tego, jakie kary mogą mi wymierzyć, wiedziałem z całą pewnością, że chłopcy wiejscy nie mają prawa awanturować się po pańskich domach ani napastować angielskich uczniów i że za to muszę odpokutować. Przez kilka dni nawet nie opuszczałem domu i patrzyłem z trwogą na drzwi kuchenne, niepewny, czy nie wejdą przez nie zandarmi, by mnie ze sobą uprowadzić. Krwawiący nos bladego chłopca pozostawił ślady na mych spodniach i w ciszy nocy starałem się zmyć te plamy. Moje palce nosiły zadrapania pochodzące od zębów mego przeciwnika i w ciągłych rozmyślaniach torturowałem się wyobrażaniem sobie, co też powiem na ten temat, przyprowadzony przed oblicze sędziów.

Niepokój mój dosięgnął szczytu w dniu, kiedy miałem powrócić na miejsce, gdzie popełniłem ten akt przemocy. A może wysłannicy z londyńskiego sądu leżą teraz w zasadzce w krzakach koło bramy wejściowej? A może miss Havisham, chcąc



i w ogóle nic poza obiadem; nie wspominała nawet, że powinienem być opłacany za usługi.

Estella zawsze kręciła się w pobliżu i zawsze wpuszczala mnie do wnętrza, ale już nigdy nie chciała, abym ją pocałował. Niekiedy była chłodno-obojętna, niekiedy w stosunku do mnie pobłażliwa, niekiedy niemal serdeczna, ale niekiedy też oświadczała mi energicznie, że mnie nienawidzi.

Miss Havisham pytała czasami szeptem lub gdy zostawali-śmy sami:

– Prawda, że jest co dzień piękniejsza, Pip?

A gdy zgadzałem się, że to prawda (bo tak było), robiła wra-żenie bardzo zadowolonej.

Kiedy graliśmy w karty, miss Havisham obserwowała kapry-sy Estelli z radością skąpcą, a gdy zdarzały się dnie, że kaprysy te stawały się wprost nie do zniesienia i wydawały się całkiem sprzeczne, i kiedy się zastanawiałem, co począć, miss Havisham obsypywała Estelle pocałunkami i szeptała jej do ucha:

– Łam im serca, skarbie mój najdroższy, łam im serca i nie miej dla nich litości!

Joe śpiewał niekiedy przy robocie piosenkę kowali. Piosenka opiewała starego Klema. W tak beceremonialny sposób nazywa-łi tam świętego, patrona kowali. Była to piosenka naśladowająca od-głos młotów bijących w kowadło, coś w rodzaju lirycznego pretek-stu do wprowadzenia w pieśń postaci czcigodnego starego Klema.

*Dalej chłopcy, kujcie żwawo!*

*Stary Klem!*

*Kujcie w lewo, kujcie w prawo!*

*Stary Klem!*

*Kuźnia dźwięczy, kuźnia dzwoni!*

*Stary Klem!*

*Iskry się wokół gonią*

*Stary Klem!*

*Dmujcie w miechy, przyjaciele!*  
*Stary Klem!*  
*Niech wysoko ogień strzela,*  
*Stary Klem!*

Pewnego dnia, wkrótce po zjawieniu się fotela, miss Havi-sham, trzaskając po swoim niecierpliwie palcami, rozkazała:

– Spiewaj, zaraz coś zaśpiewaj!

I wtedy ku własnemu zdumieniu zanucilem tę właśnie pio-senkę, popychając przed sobą fotel. Miss Havisham bardzo się spodobała i nawet sama ją pomrukiwała głosem niskim i sflu-mionym, jak człowiek w uspieniu. Odtąd weszło w zwyczaj po-wtarzanie tej pieśni podczas spaceru z fotelem. Niekiedy i Estel-la nucila wraz z nami, ale wszyscy troje śpiewaliśmy tak cicho, że głosy nasze nie czyniły w starym opuszczonym domu więcej hałasu niż lekki powiew wiatru.

Czymże mogłem się stać, wzrastając w takim otoczeniu? Ja-ki musiał być wpływ tego środowiska na mój charakter? I czy można się dziwić, że kiedy wychodziłem z mrocznych pokoi na blask dnia, to myśli moje były tak samo mętne jak moje oczy?

Może powinienem był przyznać się Joemu do przygody z bladym chłopcem, ale nie mogłem tego zrobić ze względu na kłamstwa, których mu przedtem nagadałem. Bałem się, że Joe uzna bladego chłopca za odpowiedniego pasażera do czarnej ak-saminowej karocy, o której mu opowiadałem. Wołałem więc mi-lczeć. Poza tym mój wstręt do rozmawiania na temat miss Havi-sham i Estelli wzrastał z czasem. Jedyną osobą, której mogłem się zwierzyć z każdego przeżycia, była Bidy. Jej mówiłem wszystko. Nie rozumiiałem wówczas, czemu mam do niej zaufa-nie, i nie pojmowałem, czemu Bidy słucha mnie zawsze z taką uwagą. Teraz sądzę, że jest to dla mnie jasne.

W domu tymczasem rozmowy w kuchni nie ustawały i w roz-drażnieniu zaledwie mogłem je znosić. Osiół Pumblechook przychodził coraz częściej i rozmawiał z moją siostrą o mojej

przyszłości. Wydaje mi się (powinienem na to wspomnienie od-  
czuwać więcej skruchy, niż doznaję), że gdybym wówczas mógł,  
najchętniej wyciągnąłbym mu zatyczkę z osi bryczki, którą przy-  
bywał. Nieszczęsny ten człowiek nie potrafił mówić do mnie nie  
mając mnie przed sobą, jak gdyby musiał coś na mnie demon-  
strować. Najczęściej wyrzywał mnie z mego miejsca, chwytając  
za kohnierz, i przyciągał do komina, jak gdyby chciał mnie upiec,  
przy czym powtarzał:

– Oto, mateczko, mamy tego chłopaka, któregoś własnoręcz-  
nie wychowała. Trzymaj głowę prosto, chłopcze, i bądź  
wdzięczny tym, którzy cię wychowali, za wszystko, co dla cie-  
bie zrobili. Mateczko, gdy chodzi o tego chłopca...

Tu targał mnie pod włos, czego nigdy nikomu nie pozwala-  
łem robić, i ciągnął za rękaw, co uważałem za głupotę tylko je-  
go godną.

Potem razem z siostrą zaczęli pleść takie bzdury na temat  
tego, co też miss Havisham dla mnie zrobi, że bliski byłam pła-  
czu i rzucenia się z pięściami na Pumblechooka.

W rozmowach tych moja siostra zachowywała się tak, jak  
gdyby mi każdym swym słowem wyrzywała po jednym zębie,  
a pan Pumblechook patrzył na mnie takim opiekuńczo-szyder-  
czym wzrokiem, jak gdyby chciał powiedzieć, że wpakował się  
w mało dochodowy interes.

Joe nie wtrącał się do tych rozmów, ale siostra moja usiłowa-  
ła go w nie wciągnąć, wiedziała bowiem, że jest przeciwny te-  
mu, abym zaprzestał pracy w kuźni. Osiągnąłem właśnie wiek,  
w którym mogłem zacząć termin w kuźni. Kiedy Joe, słuchając  
ich planów, z całym spokojem patrzył w ogień i przegarniał po-  
grzebaczem popiół w kominku, siostra moja brała to za protest  
z jego strony, rzucała się na niego, wyrzywała mu z ręki pogrze-  
bacz lub szczypce i odrzucała precz.

Dyskusje te kończyły się zwykle całkiem niespodziewanie  
w dość irytujący sposób. Ni stąd, ni zowąd siostra ziewała, pa-  
trzyła na mnie, jak gdyby dopiero teraz spostrzegła moją obec-  
ność, i mówiła:

– No, dość już na dzisiaj o tobie. Idź spać. Dosyć zgrzyzoty  
z tobą jak na jeden wieczór.

Zupełnie tak, jak gdybym to ja pragnał, by mnie cały wieczór  
męczyli.

Tak toczyły się bez zmiany te wszystkie sprawy już od dłuż-  
szego czasu, gdy pewnego dnia miss Havisham podczas swej  
zwykłej przechadzki, wsparta na mym ramieniu, zatrzymała się  
i oświadczyła z odcieniem niezadowolenia:

– Urosteś, Pip.

Uważałem za stosowne nic nie odpowiedzieć, a jedynie spoj-  
rzeć z zadumą, jak gdyby odpowiadając w ten sposób, że nie za-  
leży to ode mnie.

I ona nie mówiła już nic więcej na ten temat, ale zatrzymywa-  
ła się co pewien czas, obrzucając mnie baczynym, niezadowolono-  
nym spojrzeniem. Przy następnych mych odwiedzinach zwróci-  
ła się do mnie:

– Powiedz mi, jak się nazywa ten twój kowal?

– Joe Gargery, proszę pani.

– Czy to ten majster, u którego masz terminować?

– Tak, miss Havisham.

– Zdaje mi się, żeś powinien zacząć już u niego naukę. Czy  
ten kowal mógłby tu z tobą przyjść i przynieść umowę twojego  
terminu?

Odpowiedziałem, że bez wątpienia będzie to uważał za za-  
szczyt.

– To niech przyjdzie.

– Kiedy, miss Havisham?

– Ta ta ta, nic nie wiem o żadnych datach i nie chcę wiedzieć.  
Niech przyjdzie jak najprędzej, razem z tobą i bez nikogo  
więcej.

Kiedy po powrocie do domu wieczorem powtórzyłem to po-  
lecenie, moja siostra wyruszyła do walki z nami bardziej wo-  
jowniczo niż kiedykolwiek. Spytała mnie i Joego, czemu to trak-  
tujemy ją jak słomiankę, którą można deptać nogami, i czy rze-  
czywiście nie jest dla nas odpowiednim towarzystwem.

Zasypany nas gradem podobnych pytań, rzuciła w głowę Joemu lichter, wybuchnęła głośnym płaczem, chwyciła do ręki trzepaczkę, co było zawsze złym znakiem, i ubrawszy się w fartuch, rozpoczęła sprzątanie na przerażającą skalę. Nie zadowolwszy się sprzątaniem na sucho, wzięła kubel i szcrotkę, i wypędziła nas z domu, tak że drząc z zimna czekaliśmy na podwórku.

Kiedy o godzinie dziesiątej wśliznęliśmy się wreszcie do domu, spytała Joego, dlaczego właściwie nie ożenił się z czarną niewolnicą? Joe nic nie odpowiedział, biedak, tylko gładząc faworyty, rzucił mi nieszczerliwie, porozumiewawcze spojrzanie, jak gdyby na serio doszedł do wniosku, że to byłaby niezła myśl.

## Rozdział trzynasty



Było dla mnie najajutrz prawdziwą męką przyglądanie się, jak Joe stroi się w odświętne ubranie przed pójściem ze mną do miss Havisham. Nie miałem odwagi powiedzieć mu, że wygląda o wiele lepiej w roboczym stroju, bo wiedziałem, że wyjącznie dla mnie zadaje sobie tortury wysokiego sztywnego kołnierzyka, który sprawia, że włosy stercząły mu z tyłu na czubku głowy niczym pęczek piór.

Przy śniadaniu siostra moja oświadczyła, że zamierza nas odprowadzić do miasta i poczekać u wuja Pumblechooka, aż skończymy z „naszymi pięknymi damami”. Joe na te słowa zaczął przeczuwać najgorsze.

Zamknęto więc kuznię i Joe napisał kredą na drzwiach (jak to czynił zwykle w rzadkich wypadkach, gdy porzucił pracę) wyraz „Wyszedł” opatrzony strzałką, która miała oznaczać kierunek jego wyjścia.

Szliśmy ku miastu. Moja siostra kroczyła na przedzie ubrana w duży bobrowy kaptur. Dźwigała z takim namaszczeniem, jak gdyby niosła wielką pieczęć Anglii, pleciony koszyk, parę chodaków, szal na zmianę i mimo pięknej pogody, parasol. Nie byłam pewien, czy wlokła to wszystko za karę, czy na pokaz, ale mam wrażenie, że przedmioty te odgrywały taką rolę, jaką u Kleopatry – czy innej władczyni wyruszającej na wojnę – bogactwa, niesione za nią podczas parady lub w uroczystym pochodzie.

Gdy dotarliśmy do domu Pumblechooka, moja siostra skoczyła do wnętrza, pozostawiając nas na ulicy. Ponieważ zbliżało się już południe, więc udaliśmy się z Joem wprost do miss Havisham.

Estella otworzyła nam furtkę, w tej samej chwili Joe zdjął kapelusz i trzymał go oburącz za rondo takim gestem, jak gdyby ważył go z dokładnością do ostatniej uncji.

Estella nie zwróciła żadnej uwagi na mnie ani na niego i prowa-  
dziła nas dobrze mi znaną drogą. Szedłem za nią, a Joe na sa-  
mym końcu. Obejrzałem się w długim korytarzu na szwagra  
i zobaczyłem, że dalej waży w dłoni kapelusz i że stąpa na koń-  
cach palców.

Estella powiedziała, że obaj mamy wejść razem do miss Ha-  
visham, wziętem więc Joego za rękaw i wprowadziłem do poko-  
ju, gdzie miss Havisham siedziała przy toalecie.

Odwróciła się ku nam i spytała:

– Więc to pan jest mężem siostry tego chłopca?

Nigdy nie wyobrażałem sobie, że Joe może wyglądać tak cał-  
kiem inaczej niż zawsze i tak się upodobnić do dziwaczego pta-  
ka ze zwichrzonym pękiem piór na głowie i otwartym dziobem  
jak dla schwywania robaka.

– Jest pan mężem siostry tego chłopca? – powtórzyła pytanie  
miss Havisham.

Ku memu wielkiemu zakłopotaniu Joe przez cały czas nie zwracał się wprost do miss Havisham, ale za moim pośrednictwem.

– Właściwie, Pip – odezwał się tonem jednocześnie pełnym szacunku, wielkiej uprzejmości i zaufania – właściwie, to stara-  
łem się o twoją siostrę, zaręczyłem z nią i ożeniłem, bo byłem  
wówczas tym, co się nazywa, za przeproszeniem, kawaler.

– Dobrze – powiedziała miss Havisham. – I wychował pan  
tego chłopca z zamiarem, by wziąć go do siebie do terminu. Czy  
tak?

– Ty wiesz, Pip – odparł Joe – że zawsze byliśmy przyjaciół-  
mi i żeśmy sobie układali te plany jak zabawę. Gdyby tobie się  
coś w moim zawodzie nie podobało, że za dużo węgla, sadzy  
czy coś podobnego, nigdy bym cię do tego nie zmuszał. Prawda?

– Czy chłopiec nigdy nie miał nic przeciwko tej pracy? Czy  
lubi ten zawód? – pytała dalej miss Havisham.

– Wiadomo ci przecież. Pip – ciągnął Joe, wciągając się na-  
ton poufnej uprzejmości – że to było życzenie twego serca (po-  
myślałem sobie w tej chwili, że Joe używa teraz słów, które wy-  
rył na nagrobku). Powinieneś o tym pamiętać, Pip.

Czułem, że beczelowe byłoby zwrócenie mu uwagi, by odpo-  
wiedział wprost miss Havisham. Nie zważał na żadne moje poro-  
zumiewawcze znaki i coraz uprzejmiej i poufalej mówił *do mnie*.

– Czy przyniósł pan jego kontrakt? – spytała miss Havisham.  
– Pip, sam widziałeś, jak kładłem ten papier do mego kapelu-  
sza – odpowiedział, zwracając się do mnie tonem wyrzutu –  
więc oczywiście ten papier musi tu być.

I powiedziałwszy te słowa, wyjął dokument i wręczył go nie  
miss Havisham, ale znowu mnie. Czułem, że wstyd mi za niego,  
i wstyd ten wzrósł jeszcze, kiedy spostrzegłem, że Estella, stojąc  
za krzesłem Joego, śmieje się chytrze.

Wzięłem z rąk Joego papier i podałem miss Havisham.

– Czy nie przewidział pan żadnej zapłaty za naukę chłopca?

– spytała miss Havisham, przejrzawszy dokument.

– Joe – zwróciłem się do niego, gdyż nie odpowiadał ani sło-  
wem – dlaczego milczysz?

– Pip – odparł tonem człowieka zranionego – ty wiesz dosko-  
nale, że nie było między nami o tym mowy. Ty wiesz, że odpo-  
wiedź brzmi: „Nie”. A skoro to sam wiesz, to po co mnie pytasz?

Miss Havisham rzuciła na Joego spojrzenie, które świadczy-  
ło, że rozumie go lepiej, niż oczekiwałem wobec jego zachowa-  
nia się, i sięgnęła po woreczek leżący na stole.

– Pip zarobił sobie tutaj pewną sumkę – oznajmiła – oto ona.  
Dwadzieścia pięć gwinei w tym woreczku Pip, oddaj je twemu  
majstrowi.

Ale Joe, który zdawał się całkiem tracić przytomność w tym  
dziwaczynym otoczeniu, upierał się dalej, by mówić do mnie:

– To bardzo wspaniałomyślnie z twojej strony, Pip – powie-  
dział – przyjmuję z radością i wdzięcznością, mimo że nigdy nie

uganiał się za pieniędzmi. Co to, to nie. A teraz, stary – ciągnął ku mojemu przerażeniu, bo nie wiadomo czemu miałem uczucie, że te poufale słowa odnoszą się do miss Havisham – a teraz spełniajmy, ty i ja, nasz obowiązek, a jeżeli chodzi o ten wspaniałomyślny dar, który... któremu ci, dla których to jest radością serca...

Tu zaplątał się tak, że nie wiedział, co dalej mówić, ale wyszedł zwycięsko z trudności, bo nagle urwał i zakończył:

– Ale co do mnie, nie liczyłem na to wcale...

Te słowa wydały mu się tak trafne, że powtórzył je kilkakrotnie.

– Do widzenia, Pip – rzuciła miss Havisham. – Estello, wyprowadź ich.

– Czy mam jeszcze przyjść, miss Havisham? – spytałem.

– Nie, teraz będziesz u Gargery'ego, on jest twym majstrom.

Gargery, słówko!

Zatrzymała Joe'go i słyszałem, jak mówiła do niego wyrażnym i uroczystym tonem:

– Ten chłopiec zachowywał się tu doskonale i za to otrzymał nagrodę. Spodziewam się, że nie będzie pan nigdy oczekiwał ani żądał więcej, jako człowiek uczciwy.

W jaki sposób Joe opuścił ten dom, sam nie wiem. Pamiętam tylko, że zamiast na dół zaczął wchodzić na górę po schodach i że musiałem go ściągnąć za rękaw i wyprowadzić. Po chwili byliśmy już za bramą i Estella zamknęła ją za nami starranie.

Kiedy zostaliśmy sami na dworze, Joe oparł się plecami o mur i powiedział:

– Zdumiewające!

Powtarzał tylokrotnie potem słowo „zdumiewające” w regulamych odstępach, że zaczęłam się obawiać, iż nigdy nie odzyska zmysłów. Wreszcie zmienił formę, mówiąc:

– Pip, zapewniam cię, że to zdumiewające.

I powoli powróciła mu zdolność rozmowy, i poszliśmy naprzód.

Mam podstawy przypuszczać, że Joe ułożył pewien rozsądny plan strategiczny w czasie drogi. Świadczyłaby o tym scena, ja-

ka się rozegrała zaraz potem w bawialni pana Pumblechooka, gdzie siostra moja rozmawiała z tym znienawidzonym przeze mnie kupcem zbożowym.

– No, i co – krzyknęła, widząc nas wchodzących – co się z wami działo? Jestem zdumiona, że raczyście powracać do tak skromnego towarzystwa, jakim ja jestem...

– Miss Havisham – powiedział Joe patrząc na mnie, jak gdyby mocował się ze swą pamięcią – zalezało ogromnie na tym, abysmy, prawda, Pip? przekazali wyrazy uszanowania od niej...

– Tak, poważania – odpartem.

– Od niej dla pani Gargery... – dokończył Joe.

– Potrzebne mi to – mruknęła moja siostra, ale czuła się mile poglaskana.

– Bardzo żałowała – ciągnął Joe, wciąż patrząc na mnie bacznie – że stan zdrowia nie pozwala jej... na co nie pozwala, Pip?

– ...nie pozwala doznawać przyjemności – wtrąciłem.

– Przyjmowania dam u siebie... – dokończył jedynym tchem Joe.

– Zdaje mi się – powiedziała moja siostra, rzucając triumfujące spojrzenie na pana Pumblechooka – że powinna była wcześniej o tym pomyśleć. Ale lepiej późno niż wcale. A co też dała temu młodemu urwpołciow?

– Nie dała mu nic – oświadczył Joe.

Moja siostra już miała wybuchnąć, kiedy Joe mówił dalej:

– Jemu nic nie dała. Dała coś jego przyjaciółom, a raczej na ręce jego siostry, jak się wyraziła, pani J. Gargery. Nie wiedziałaby zapewne, czy mi na imię Joe czy Jorge.

Siostra moja znowu spojrzała porozumiewawczo na Pumblechooka, który gładząc dłońmi drewniane poręcze swego fotela patrzył na przemian to w ogień kominka, to na moją siostrę, jak gdyby myślał sobie, że on to przecież od dawna przewidywał.

– No, i ileż dostaliście? – spytała moja siostra ze śmiechem. Doprawdy, ze śmiechem!

– Co też tu obecne towarzystwo powiedziało o suncie dziesięciu funtów? – zagadnął Joe.

– Odpowiedzielibyśmy – zawołała siostra podniecona – „bardzo przyzwyczajenie, nie za dużo, ale całkiem przyzwyczajenie”.

– Dostaliśmy więcej niż dziesięć – oznajmił Joe.

Ten wstrętny oszust Pumblechook potrząsnął natychmiast głową i domyślił się, nie przestając głośko poręczy fotela:

– To więcej niż dziesięć, proszę pani.

– Przecież nie zechce mi pan powiedzieć... – zaczęła siostra.

– Właśnie, że chcę, proszę pani – przerwał Pumblechook – ale niech pani chwilę poczeka. No, i co dalej, Józefie. Opowiadaj dalej.

– A co też towarzystwo powiedziało o dwudziestu funtach? – ciągnął Joe.

– „Piękna suma”. To byłoby najwłaściwsze słowo – odparła siostra.

– A więc – oświadczył Joe – to więcej niż dwadzieścia funtów.

Podły obłudnik Pumblechook pokiwał znowu głową i zauważył z protekcyjnym uśmiechem:

– Tak, więcej, proszę pani. No, mów dalej, Józefie.

– Więc, żeby już z tym skończyć – powiedział Joe, wyciągając z zachwyconą miną sakiewkę do siostry – to całe dwadzieścia pięć funtów.

– Dwadzieścia pięć funtów, proszę pani – zawtórował najpodlejszy z krętaczy, Pumblechook, zrywając się dla uściskania rąk swojej siostry. – Zasłużyła sobie pani na nie w zupełności (gdyby ktoś mnie o zdanie spytał!) i życzę, aby pani ich jak najlepiej użyła.

Gdyby ten łotr na tym skończył swoją rolę, byłby mi i tak dość wstrętny, ale on pogłębił swoją winę jeszcze przez to, że chciał do końca doprowadzić ohydne dzieło pętania mojej wolności, jak gdyby jego zbrodnicza opieka jeszcze wciąż trwała.

– Widzicie, Józefie i ty, jego małżonko – powiedział Pumblechook chwytając mnie za łokieć – jestem z tych, którzy nigdy nie zatrzymują się w połowie drogi. I powiadam wam, że tego chłopca trzeba okiełzać. Jak najbardziej okiełzać!

– Bóg jeden wie, wuju Pumblechook – rozczułała się moja siostra (ściskając mocno w rękę sakiewkę z pieniędzmi) – jak bardzo jesteście panu wdzięczni.

– Nie mówmy o tym – odpart diabelski kupiec zbożowy – cała przyjemność po mojej stronie. Ale tego chłopca musicie okiełzać. Prawdę mówiąc, zobowiązałem się tego sam przypilnować.

W pobliskim ratuszu siedzieli urzędnicy, udaliśmy się więc tam natychmiast w celu spisania oficjalnego aktu mojego terminatorstwa u Joego. Mówię „udaliśmy się”, ale w istocie pan Pumblechook popychał mnie przez całą drogę przed sobą, jak gdybym mu wykraść coś z kieszeni lub podpałił stóg. Powszechnie wrażeń w urzędzie było właśnie takie, że schwymano mnie przed chwilą na gorącym uczynku. Przeciskając się pod naporem ręki Pumblechooka przez tłum zebranych, słyszałem, jak mówili:

– Co też takiego mógł przeskrobać?

– Młody chłopak, ale źle mu patrzy z oczu.

Jakiś łagodny i dobroduszny jegomość wsunął mi nawet do ręki broszurę ozdobioną ryciną, na której młody chłopiec obwieszony był, jak kietbaskami, kajdanami. Tytuł tej książeczki brzmiał: „Przeczytam to sobie w celi”. Sala zrobiła na mnie niezwyczajne wrażenie. Jej bariery, wyższe niż w kościele, oddzielały tłoczącą się publiczność od urzędników sądowych, bardzo majestatycznych (jeden miał nawet pudrowaną perukę), którzy siedzieli w fotelach z ramionami skrzyżowanymi na piersiach, żarzywali tabakę, spali, pisali lub czytali gazety.

Na ścianach wisiły czarne, lśniące portrety, które moje nieodświadczone artystycznie oko wzięło za coś w rodzaju mieszaniny karmelka i plastra.

Tutaj w jednym z zakątków sali sporządzono mój dokument, napisano go i byłem wreszcie „okiełzany”, przy czym Pumblechook przez cały czas nie wypuszczał mnie z objęć, jak gdyby to wszystko, co się działo, było wypełnieniem formalności przed wprowadzeniem mnie na szafot.

Po opuszczeniu ratusza i rozpedzeniu gromady chłopaków, którzy przygotowali się już na widowisko publicznego torturowania mnie i byli srodze zawiedzeni, że przyjaciele moi tak spokojnie wraz ze mną wychodzą, wróciliśmy do Pumblechooka. Tutaj moją siostrę ogarnęło takie podniecenie z powodu dwu-

dziesięciu pięciu funtów, że postanowiła zafundować obiad w go-  
spodzie „Pod Błękitnym Dzikim”, i skłoniła Pumblechooka, by  
swą bryczką pojechał po Wopśle'a i po Hubble'a.

Tak się stało i oto spędziłem bardzo smutny dzień, gdyż dla  
zadnego z uczestników tej zabawy nie uległo wątpliwości, że je-  
stem zbyt cenny. W dodatku na domiar złego każdy z nich, w chwili  
gdy nie miał nic lepszego do roboty, zadawał mi to samo pytanie:  
dlaczego się nie bawię. Cóż mogłem odpowiedzieć na to, jeżeli nie  
twierdzić, że się doskonale bawię, mimo że się wcale nie bawi-  
łem? W każdym razie wszyscy oni byli dorośli i jako tacy robili, co  
im się podobało. Oszust Pumblechook, jako sprawca tego całego  
zdarzenia, siedział na głównym miejscu i zabawiał towarzystwo  
opowiadaniem, jak to mnie okiełzano. Ponadto w zbrodniczy spo-  
sób przypominał, że czeka mnie kara więzienia, o ile będę uprawiał  
zastężone w kontrakcie terminatorskim zajęcia, takie jak gra  
w karty, picie mocnych trunków, powracanie do domu w nocy,  
przebywanie w nieodpowiednim towarzystwie. I jak gdyby dla ilu-  
stracji swych słów, postawił mnie obok siebie na krześle.

Z uczy tej mam jeszcze inne wspomnienia. Oto za każdym  
razem, kiedy głowa opadała mi na ramię, budzono mnie, abym  
się bawił. Późną nocą pan Wopśle zadeklamował odę Collinsa  
i z takim hałasem cisnął o stół zakrwawioną szpadę, że wszedł  
kelner i powiedział:

– Panowie komiwojazerowie z dołu przesyłają uszanowanie  
i przypominają, że to nie buda jarmarczna.

W drodze powrotnej do domu wszyscy byli w tak dosko-  
nalszych humorach, że śpiewali chórem „O piękna pani”. Pan  
Wopśle wyciągał basem i ryczał (w odpowiedzi nudziarzowi  
z piosenki, który chce koniecznie wiedzieć wszystko o swych  
bliznich), że „ma on piękne siwe loki, ale zbyt powolne kroki”.

Pamiętam wreszcie, że po powrocie do domu poczułem się  
w mej małej sypialni bardzo nieszcześliwy. Doszedłem do prze-  
konania, że nie cierpię zawodu Joeego.

Lubiłem przedtem to zajęcia, ale teraz wszystko się zmieniło.

## Rozdział cztertnasty



Bardzo to bolesne, gdy się człowiek wstydzi swego rodzin-  
nego domu. Uczucie to, może płynące z czarnej nie-  
wdzięczności, zostaje w ten sposób słusznie ukarane, ale  
tak czy inaczej jest ono nad wyraz dotkliwe. Mogę o tym  
zaświadczyć.

Mój dom nigdy nie był dla mnie przyjemnym miejscem ze  
względu na temperament siostry. Ale za to Joe uswięcił nasze  
ognisko domowe i wierzyłem w nie. Wierzyłem, że nasza ba-  
wialnia jest najpiękniejszym salonem, wierzyłem, że drzwi fron-  
towe są czymś tak tajemniczym jak portal świątyni, który otwie-  
ra się jedynie przy okazji składania na ofiarę pieczonego ptac-  
twa. Kuchnia była dla mnie miejscem czystym i wspaniałym,  
a kuznię uważałem za płomienną drogę wiodącą do wieku mę-  
skiego i niezależności.

Wszystko to zmieniło się w ciągu roku. Wszystko to wyda-  
wało mi się teraz pospolite i ordynarne, i za nie w świecie nie  
chciałbym, aby miss Havisham i Estella się u nas zjawily.

Nie wiem, ile w tym przykrym nastroju było mojej własnej  
winny, ile przyczyniła się tu miss Havisham czy moja siostra.  
Mniejsza zresztą teraz o to. Faktem jest, że tak właśnie czułem.

Był czas, gdy sobie wyobrażałem, że z chwilą kiedy będę mógł  
zakasać rękawy od koszuli i wejść do kuzni jako terminator Joeego,  
nic nie będzie mi brakowało do szczęścia. Teraz, gdy marzenie to

się spełniło, czułem tylko, że jestem czarny od sadzy i że ciężko mi wspomnienie, wobec którego kowadło jest piórkiem.

I w późniejszym życiu (a sądzę, że zdarza się to w niemal każdym życiu) bywały takie chwile, kiedy zdawało się, że czarna zastona zapuszcza się pomiędzy mną a wszystkim, co przyjemne i romantyczne, ale nigdy nie było to takie wyraźne i przykre jak w owym pierwszym okresie mego terminu u Joego. Jedynym wspomnieniem z tego okresu, które sprawia mi przyjemność, to myśl, że nigdy ani słówkiem nie okazałem Joemu mego ówczesnego nastroju. To cieszy mnie naprawdę.

Pamiętam, że w tym czasie pozostawałem w niedzielę wieczorem sam na cmentarzu i patrząc na zmierzch zapadający nad bagniskiem myślałem, iż zachodzi podobieństwo pomiędzy tą wietrzną, płaską równiną, rozplywającą się w nieznanym, a moim losem.

Bo tylko Joemu, jego wiernej wobec mnie postawie zawdzięczam, że wówczas nie uciekłem na morze czy do wojska. I nie moim własnym zdolnościom do rzemiosła, ale zdolnościom Joego zawdzięczam to, że zacząłem robić w kuźni postępy. Niezbędna jest rzeczka, do jakiego stopnia człowiek dobry i uczciwy może wywierać wpływ na innych, ale na samym sobie można się o takim oddziaływaniu przekonać i ja właśnie jestem przekonany, że wszystko, co umiałem, zawdzięczałem pogodnemu i pełnemu prostoty Joemu, a nie niespokojnej, niezadowolonej istocie, jaką byłem sam.

Czego wówczas chciałem? Któż to zdoła określić? Nigdy sam tego nie wiedziałem.

Czego się lękałem? Lękałem się, bym w jakiś zły dzień, gdy będę przy najpospolitszej i najbrudniejszej robocie, nie ujrzał, podniósłszy oczy, w jednym z okien kuźni Estelli. Prześladowała mnie myśl, że prędzej czy później zaskoczy mnie ona przy jakiejś brudnej i ordynarnej pracy, z czarną twarzą i rękami, i będzie ze mnie bezlitośnie szydziła. Często wieczorem, kiedy poruszałem miechy, pomagając Joemu, i kiedy nucił mi pieśń o starym Havimie, przypominałem sobie, że to samo śpiewaliśmy u miss Havi-

sham, i wtedy w płomieniu ogniska widziałem twarz Estelli, jej włosy powiewające na wietrze i jej pełne szyderstwa oczy. I kiedy przez okno kuźni patrzyłem na rozsnutą za oknami czarną noc, zdawało mi się, że widzę, jak dziewczynka odwraca ode mnie twarz, i wyobrażałem sobie, że rzeczywiście tu przysłała.

A potem, kiedy szliśmy na wieczerę, pokój, gdzieśmy jedli, i sam positek wydawały mi się jeszcze skromniejsze niż zwykle i jeszcze bardziej niż zwykle w głębi niewdzięcznej duszy wstydzilem się takiego domu.



## Rozdział piętasty



Ponieważ z czasem wyrostem już z lat odpowiednich dla szkoły ciotecznej babki pana Wopsle'a, skończyła się moja edukacja pod kierunkiem tej śmiesznej kobiecinki. Biddy tymczasem nauczyła mnie już wszystkie piosenki, której tekst ta, począwszy od cennika aż do zabawnej piosenki, której tekst kupiła kiedyś za pół pensa.

Mimo że jedynie pierwsza strofa tej piosenki miała jakiś sens:

*Kiedym był w mieście Londynie, panowie,*

*Tralalala, tralalala,*

*To zrobiono mnie na szaro, panowie,*

*Tralalala, tralalala...*

nauczyłem się całej piosni na pamięć, w chęci przyswojenia sobie wiedzy, i nie pamiętam, bym kwestionował jej wartość. Uważałem tylko (a i teraz jestem tego zdania), iż posiada jak na poezję trochę za wiele „tralalala”.

W pragnieniu kształcenia się prosiłem pana Wopsle'a, by ze chciał rzucić mi kilka okrucichów swej wiedzy. Był na tyle do bry, że się zgodził. Ale już wkrótce przekonatem się, że używamnie tylko jako rodzaju manekina, z którym można się sprze- cząć, ścisnąć, któremu można wymyślać, nad którym można pla- kać i znęcać się, który można szarpać, potrącać lub popychać.

Toteż nie chciałem już więcej lekcji, za co pan Wopsle zbitł mnie w poetyckiej furii.

Wszystko, czego się nauczyłem, przekazywałem natychmiast Joemu. To wyznanie brzmiało tak pięknie, że nie może się obejść bez mego wyjaśnienia. Oto dlatego chciałem, aby Joe był mniej- szym nieukiem i mniej pospolitym człowiekiem, by uczynić go bardziej godnym mego towarzystwa i mniej narazonym na szy- derstwa Estelli.

Stara forteczka na bagnisku była miejscem naszej nauki, a złamana tabliczka i kawałek kredy jedynymi przyborami. Joe przynosił jeszcze ze sobą fajkę i tyton. Nie przypominam sobie, aby szwagier z niedzieli na niedziele robił jakiegokolwiek postępy, ale palił fajkę z miną mędrca, który wie bardzo wiele i coraz więcej umie. Kochany chłop, spodziewam się, że może jednak nabierał jakiejs wiedzy.

Było tam tak cicho i miło, kiedy żagle łodzi sunęły po rzecce wijącej się za fortyfikacjami i wyglądały podczas odpływu jak kadłuby zatopionych okrętów płynących wciąż jeszcze na dnie. I za każdym razem, gdy patrzyłem na okręty wychodzące w mo- rze i na ich rozpostarte białe żagle, myśl moja musiała powracać do miss Havisham i do Estelli. Gdy zagubiony promień krył się za obłok, za żagiel lub za gałąź drzewa, nawiedzały mnie te sa- me marzenia: miss Havisham, Estella, ich dziwaczny dom i dzi- waczne życie były dla mnie związane ze wszystkim, co piękne i poetyczne.

Pewnej niedzieli, gdy dałem już spokój lekcji z Joem, gdyż zatopiony w pociąganiu z fajeczki powtarzał o sobie, że jest „okropnym tępakiem”, leżałem spokojnie na wale ziemnym i ogarniając wzrokiem niebo i wodę, wszędzie upatrywałem śla- dów miss Havisham i Estelli. Nagle poczułem, że muszę na głos wypowiedzieć moje myśli.

— Joe — odezwałem się — czy nie sądzisz, że powinienem od- wiedzić miss Havisham?

— Odwiedzić? — powtórzył Joe powoli, z namysłem. — A po- co, Pip?

– Po co, Joe? Po to, po co składa się wizyty.  
– Może są wizyty, przy których można się nie zastanawiać, dlaczego się je składa – oświadczył Joe – ale jeżeli pójdziesz do miss Havisham, gotowa pomyśleć, że czegoś od niej potrzebujesz, że po coś przyszedłeś.  
– A jeżeli jej powiem, że nic mi nie trzeba, Joe?  
– Możesz jej to powiedzieć, staruszkę, oczywiście. Może ci uwierzyć, ale może i nie uwierzyć.  
Joe czuł, i ja też, że bardzo silnie to uwypuklił, więc aby nie psuć efektu swych słów powtarzaniem ich raz jeszcze, mocno zaciągnął się dymem z fajki.  
– Widzisz, Pip – ciągnął po upływie chwili – miss Havisham zrobiła dla ciebie coś ładnego i kiedy to uczyniła, przywołała mnie jeszcze i oznajmiła, że to ma być wszystko.  
– Wiem o tym, Joe, słyszałem, jak mówiła.  
– Że to *wszystko* – powtórzył z naciskiem Joe.  
– Tak, Joe, przecież mówię ci, że słyszałem.  
– Więc może przez to chciała powiedzieć: Wszystko skończone, ja na północ, wy na południe! Koniec.  
I ja również myślałem już o takiej możliwości, toteż słowa Joego bynajmniej nie dodały mi otuchy. Przeciwnie, to, że i on wpadł na ten pomysł, czyniło przypuszczenie prawdopodobniejszym.  
– Ale, Joe...  
– Tak, staruszkę?  
– Prawie rok już u ciebie terminuję i ani razu jeszcze nie okazałem miss Havisham wdzięczności. Ani razu jej nie okazałem, że o niej pamiętam.  
– To prawda, Pip. Może mógłbyś jej posłać dwie pary podarków, chociaż może cztery podkowy końskie nie są odpowiednim podarkiem, kiedy nie ma się rozmiaru kopyt?  
– Ależ nie w ten sposób chciałem okazać jej wdzięczność. Nie chcę wcale dawać jej podarków.  
Ale Joe wbił sobie w głowę myśl o prezencie i nie mógł się z nią rozstać.

– Albo mógłbyś pomóc mi wykuć nowy łańcuch na drzwi wejściowe, albo lepiej tuzin śrubek z główkami rekinów do najmniejszego użytku, albo też coś z fantazyjnych lekkich przedmiotów, jak widelec do grzanek czy przyrząd do pieczenia szprotki i innych ryb, albo...

– Kiedy nie myślę o żadnym prezencie, Joe.

Ale Joe, jak gdybym to ja właśnie nalegał na zrobienie podarku, perswadował:

– Ja na twoim miejscu nie upierałbym się przy łańcuchu do drzwi, bo po co jej drugi łańcuch, skoro jeden już ma. Śrubki z głowami rekinów mogłyby także być źle zrozumiane. Jeśli chodzi o widelec do grzanek, to ładniejszy jest mosiężny niż zwykły żelazny. Pozostaje przyrząd do pieczenia ryb, ale cóż, nawet największy artysta nie zrobi z niego nic innego niż zwykłą kratkę do pieczenia. Kratka to kratka! – wołał z takim zapamiętaniem, jak gdyby chciał za wszelką cenę wybić mi z głowy ten pomysł. – Wierz mi, nie dasz rady, by zrobić z tego coś lepszego. Choćbyś się przykładał i przykładał.

– Kochany Joe – wrzasnąłem, w rozpaczyci ciągnąc go za marynarkę – przestań mówić. Nie mam zamiaru nic darować miss Havisham.

– Nie, Pip, nie trzeba – potwierdził Joe takim tonem, jak gdyby wreszcie mnie przekonał – jedno ci powiem, masz słuszność, Pip.

– Jedno chciałem ci tylko powiedzieć, Joe. Że gdybyś mi dał jutro pół dnia wolnego (mało mamy teraz roboty), to poszedłbym do miasta i odwiedziłbym miss Est... Havisham.

– Jej nazwisko nie brzmi Esthavisam, Pip – zauważył Joe z powagą – chyba że je ostatnio zmieniła.

– Wiem, Joe, wiem, przejęczyłem się jakoś. No, więc co, Joe?

W zasadzie Joe był zdania, że to, co ja uważam za słusne, i on pochwala. Ale dodał jeszcze, że w razie gdybym nie spotkał się z serdecznym przyjęciem, gdyby nie zrozumiano, że odwiedzam tylko przez wdzięczność, to powinna to być już ostatnia moja wizyta. Zgodziłem się na to chętnie.

Joe miał płatnego tygodniowo czeladnika. Nazywał się Orlick i twierdził, że na imię mu Dolge. Wydawało mi się to niemożliwe i miałem wrażenie, że ten uparty chłopak wystawia na próbę łatwości moją, sam wiedząc doskonale, że wszystkich oszukuje.

Był to barczysty, śniady młodzieniec obdarzony wielką siłą, powolny, o stale zwieszanej głowie i obwisłych ramionach. Kiedy wchodził do kuźni, miało się wrażenie, że zjawił się tam przy padkiem i że nie ma wcale zamiaru zabrać się do roboty. Kiedy wychodził na obiad do oberży „Pod Trzema Przewoźnikami” lub opuszczał nas po pracy, wyglądał jak Kain czy Żyd Włeczny Tułacz, który nie wie, dokąd się za chwilę uda i czy w ogóle kiedykolwiek powróci.

Mieszkał u dozorcy służby na bagnisku i co dzień w dni powszednie zjawiał się z obiadem zawieszonym w wężelek i zawieszonym na plecach, z rękami w kieszeniach.

Niedziele spędzał leżąc na służbie lub stał oparty o stóg czy stodołę. Chodząc, ciągnął ociężałe stopy, a gdy ktoś do niego przemówił, podnosił oczy z takim wyrazem, jak gdyby zdumiewał się lub obrażał i jak gdyby opanowany był jedną myślą, że właściwie nie potrafi wcale myśleć, co jest dziwne i krzywdzące.

Ten ponury czeladnik nie lubił mnie. Kiedy byłem jeszcze maty i niesiamały, dawał mi do poznania, że w ciemnym kącie kuźni mieszka diabeł i że on zna go doskonale. Mówił też, że diabeł ten raz na siedem lat musi rozniecić ogień w kuźni i spać matęgo chłopca i że mogę się uważać odtąd za paliwo. Kiedy dy zostałem terminatora Joego, Orlick pomyślał zapewne, że zajmę z czasem jego miejsce, i jeszcze mniej mnie lubił. Nie żeby robił lub mówił coś otwarcie wrogiego, ale sprostegłem, że kując posyła zawsze iskry w moją stronę, a kiedy zaczynałem śpiewać „Starego Klema”, to unyślnie fatsuje.

Nazajutrz po rozmowie z Joem, kiedy mu przypominałem o obietnicy dania mi pół dnia wolnego, Orlick był właśnie przy robocie. Zrazu nic nie powiedział, gdyż właśnie kuli we dwóch z Joem rozgrzany do czerwoności kawał żelaza, a ja porusza-

łem miechami, ale gdyśmy skończyli, oparł się na mocie i oświadczył:

– Chyba majster nie będzie faworyzował jednego z nas. Jeżeli młody Pip dostanie pół dnia wolnego, to dostanie go chyba i stary Orlick.

Nie miał więcej niż dwadzieścia pięć lat, ale mówił o sobie stale jak o starcu.

– A co zrobisz z tym wolnym dniem, kiedy go dostaniesz? – spytał Joe.

– Co ja zrobię? A co on zrobi? Zrobię to samo co on – odparł Orlick.

– Pip pójdzie do miasta – wyjaśnił Joe.

– Tak? To i stary Orlick pójdzie do miasta. Dwóch może pójść przecież do miasta. Czemu tylko jeden ma iść?

– Nie wpadaj w złość – hamował go Joe.

– Wpadne, jeśli mi się zechce! – krzyknął Orlick. – Żadnych przywilejów nie ścierpię w tej budzie! No, majster, niech pan będzie człowiekiem.

Majster nie chciał z nim gadać, dopóki czeladnik się nie uspokoi. Wtedy Orlick odwrócił się błyskawicznie do paleniska, schwył z niego rozżarzoną do czerwoności sztabę żelaza i machał nad nią głową, jak gdyby chciał mnie żywcem spalić. Potem rzucił żelazo na kowadło i zaczął bić je z taką zaciętością, jak gdyby iskry, które pryskały, były krwią broczącą z niego ciała. Wreszcie, kiedy sam się zgrzał, a żelazo ostygło, oparł się na mocie i powiedział:

– No, majstrze.

– Czyś się już uspokoił? – spytał Joe.

– Tak, jestem spokojny – odparł Orlick szorstko.

– A więc ponieważ obaj pracujecie równie dobrze, niech będzie pół dnia wolnego dla obu – zdecydował Joe.

Siostra moja, która była właśnie na podwórzu i swoim zwyczajem podsłuchiwała bez żadnych skrupułów, ukazała się nagle w jednym z okien kuźni.

– To podobne do ciebie, ty idiotolo! – zawołała do Joego – tak

marnować pieniądze, które mu wyplacasz na tygodniówkę, temu leniowi. Widocznie jesteście, jak Boga kocham, bardzo bogatym człowiekiem. Chciałabym ja być jego majstrom!

– Pani chciałaby być majstrom wszystkich, gdyby tylko mogła! – zaśmiał się złośliwie Orlick.

(– Zostaw ją w spokoju! Słyszysz? – rzucił Joe).

– Mogłabym być majstrom wszystkich idiotów i łajdaków świata – odkrzyknęła moja siostra, która zaczęła już wpadać we wściekłość. – Gdybym nim została, to byłabym przede wszystkim majstrom twojego majstra, który jest królem idiotów. A gdybym awansowała na majstra łajdaków, to byłabym twoim, bo nie ma bardziej ponurego łajdaka stąd aż do Francji.

– Wstrętna jedza z pani, matko Gargery, a jeżeli chodzi o łajdactwo, to już chyba pani też nic nie brakuje!

(– Zostaw ją w spokoju! – powtórzył Joe).

– Coś ty powiedział? – krzyknęła moja siostra z rykiem. – Coś ty powiedział? Co ten Orlick do mnie powiedział, Pip? Jak mnie nazwał w obecności mego męża? Och! Och! Och!

Każde jej słowo było nowym rykiem i muszę tu zauważyć zjawisko, które występuje nie tylko u mojej siostry, ale u wszystkich kobiet o gwałtownym usposobieniu: nie od razu wpadła w taką wściekłość, tylko sama wprawiała się w ten stan i stopniowo doszła do nieprzytomnej furii.

– Jak nazwał mnie w obecności tego tchórze, który przysięgał mi opiekę? Och, trzymajcie mnie, trzymajcie mnie!

– Achhh – syknął przez zęby czeladnik – już ja bym cię potrzyzymał, gdybym był twoim mężem! Potrzyzymałbym cię pod pompą, aż przeszłaby ci złość!

(– Mówię ci, daj jej spokój! – upomniał go znowu Joe).

– Och, słuchać czegoś podobnego! – wrzasnęła moja siostra, załamując ręce i jęcząc, co oznaczało następny stopień jej gniewu. – Słuchać, jakimi mnie obrzuca wyzwiskami ten Orlick! W moim własnym domu! Mnie, kobietę zamężną! I to wobec mego męża!

Tu siostra moja rozplotła załamane palce, walnęła się kilkakrotnie pięścią w piersi, zerwała z głowy czepek, rozpuściła wło-

sy, co oznaczało ostatni stopień przed wpadnięciem w szal. W tym stanie rzuciła się ku drzwiom kuźni, które przezornie zamknęła.

Cóż innego pozostawało biednemu Joemu, jak zwrócić się do czeladnika z pytaniem, jakim prawem wtrącił się między niego a żonę i czy uważa się za mężczyznę? A jeżeli tak, to czy jest gotów?

Stary Orlick oświadczył, że tak, i przyjął obronną postawę. Nie zdając się nawet zasmolonych fartuchów rzucili się na siebie jak dwa tytany. O ile mi było wiadomo, nikt w okolicy nie mógł oprzeć się Joemu, toteż Orlick, niczym niedawno blade chłopiec, runął natychmiast na kupę mięta węglowego i najwidoczniej nie miał zamiaru wstać. Wówczas Joe wyszedł z kuźni, podniósł swoją siostrę, która leżała zemdlna pod oknem (wydało mi się, że widziała dobrze walkę) i zaniósł ją do domu. Tu położył ją na łóżku, ale ona wrywała się i wczepiała we włosy męża.

Nastąpiła potem cisza, jaka zwykle przychodzi po burzy. Poszedłem na górę do mego pokoiku ubrać się i nie mogłem opędzić się wrażeń, że to niedziela i że ktoś umarł.

Kiedy zeszedłem na dół, zastałem Joego i Orlicka zamiatających kuźnię i jedynym śladem po tym, co zaszło, było rozdarte nozdrze nosa czeladnika, co nie upiększało jego twarzy. Potem obaj mężczyźni zgodnie pili razem piwo przyniesione z oberży „Pod Trzema Wesołymi Przewoźnikami”. Ogólny spokój miał najwidoczniej filozoficzny wpływ na Joego, który odprowadziwszy mnie na szosę, powiedział:

– Najpierw awantura, Pip. Potem już po awanturze. To jest życie, Pip.

Nie ma to większego znaczenia, jakie niemądre uczucia (bo uczucia, które są bardzo poważne u dorosłego, wydają się komiczne u dziecka) miały mną, kiedy szedłem do miss Havisham. I to nie ma większego znaczenia, że kilkakrotnie mijałem furtkę, by znowu powrócić, zanim zdecydowałem się wreszcie zadzwonić.

Do furtki wyszła miss Sara Pocket (nie Estella).

— Co to? Ty tu znowu? Czego chcesz?

Kiedy odpowiedziałem, że przyszedłem się tylko dowiedzieć o zdrowie miss Havisham, miss Pocket zastanawiała się, czy mnie nie odesłać do domu, ale najwidoczniej obawiając się odpowiedzialności kazala mi szorstko „iść na górę”.

Wszystko pozostało niezmienione. Miss Havisham była sama i spytała mnie, czego chcę, bo nic nie dostanę.

— Nie, doprawdy niczego nie chcę — odpartem — chcę tylko pani powiedzieć, że prowadzi mi się dobrze w terminie i że jestem pani bardzo wdzięczny.

— Dobrze, dobrze — powtórzyła, poruszając niespokojnie starczy mi palcami — możesz mnie czasami odwiedzać, przyjdź w twoje urodziny. Ale co to? Rozglądasz się za Estellą? Czy tak?

Istotnie, rozglądałem się, i to za Estellą, więc wyjątkiem, że mam nadzieję, iż mówi się dobrze.

— Jest za granicą — oznajmiła miss Havisham — kształci się na damę, daleka i nieosiągalna, piękniejsza niż kiedykolwiek, uwielbiana przez wszystkich. No co, czujesz, żeś ją utracił?

Było tyle przykrej radości w jej głosie i wybuchła takim okropnym śmiechem, że nie wiedziałem, co jej odpowiedzieć.

Oszczędziła mi odpowiedzi oświadczając, bym sobie poszedł. Gdy Sara o twarzy ze skorupki orzecha zamknęła za mną furtkę, poczułem jeszcze większe niezadowolenie z własnego domu, z mego zajęcia i ze wszystkiego, co mnie otaczało.

To był jedyny rezultat tej wycieczki.

Gdy włokłem się smutny ulicą Główną, oglądając szyby wystawowe i obmyślając, co też bym kupił, gdybym był panem, użalem wychodzącego z księgarni pana Wopsle'a. Miał w ręku tragedię „Jerzy Barnwell”, która nabył za sześć pensów w tym celu, by każde jej zdanie rzucić w twarz Pumblechookowi podczas ich wspólnej herbaty. Na mój widok doszedł do wniosku, że Opactwo zesała mu ucznia, który go wysłucha, więc zabrał mnie ze sobą do salonu Pumblechooka. Ponieważ w domu było

smutno, noc zapadła i nie miałem towarzysza na drodze, więc zawróciłem z panem Wopsle'em właśnie w chwili, gdy w sklepach zapalano lampy.

Nie znalazłem przedtem tragedii „Jerzy Barnwell”, więc nie wiem, czy to długa sztuka. Wiem tylko, że gdy pan Wopsle skończył czytanie, było w pół do dziesiątej i że kiedy dotarliśmy do Newgate, miałem wrażenie, iż pan Wopsle nigdy nie skończy, gdyż ohydna kariera bohatera rozwijała się coraz to wolniej. Myślałem sobie, że nie ma on wcale prawa skarżyć się, iż ginie w kwiecie wieku, bo od początku dramatu tracił płatek po płaku. Ale nie chodziło nawet o to, że wszystko to tak beznadziejnie długo i nudno się ciągnęło. Coś całkiem innego sprawiło mi przykrość podczas tego czytania: oto niewątpliwe aluzje do mojej skromnej osoby. Kiedy Barnwell zaczął w zyciu staczać się w dół, nie wiedziałem, co mam ze sobą począć pod karzącym i pełnym wyrzutów spojrzeniem Pumblechooka utkwionym we mnie. Wopsle również czynił wysiłki, aby mnie przedstawić w najgorszym świetle. Okrutny i tchawki, popełniał morderstwo na osobie mego wuja, i to bez żadnych okoliczności łagodzących. Milwood bił mnie na głowę we wszystkich dziedzinach i cóżka mego zwierznika była chyba opętana, że w tych warunkach jeszcze sobie coś ze mnie robiła. Mogę powiedzieć o podłym i tchórzliwym zachowaniu się owego pamiętnego ranka chyba tylko to, że wynikało ze słabości mego charakteru. Nawet gdy mnie już szczęśliwie powieszono i gdy Wopsle zamknął książkę, jeszcze Pumblechook wpatrywał się we mnie karzącym wzrokiem i kiwając głową, powtarzał:

— Miej się na baczności, chłopcze, miej się na baczności!

Zupełnie tak, jak gdyby było znany powszechnie fakt, iż mam zamiar zamordować mego bliskiego krewnego, oczywiście, jeżeli znajdzie się taki, kto będzie przedtem moim dobroczyńcą.

Była ciemna noc, kiedy wszystko się skończyło i kiedy z panem Wopsle'em wyruszyłem w drogę do domu. Gdy wyszliśmy za miasto, ogarnęła nas gruba i wilgotna mgła. Latarnia umiesz-

czona na rogatce wydała nam się nie na zwykłym miejscu, a pro-  
mienie jej wyglądały jak twarde pafeczki.

Spostrzeżyliśmy to dziwne zjawisko i właśnie rozmawialiśmy  
o tym, że mgła idzie od naszych bagnisk i że wywołała ją zmia-  
na wiatru, kiedy natknęliśmy się po ciemku na jakiegoś czło-  
wieka.

– Hola – odezwaliliśmy się – czy to Orlick?

– Tak, zatrzymałem się tu czekając, że może będę miał to-  
warzystwo – odparł.

– Późno wracasz – zauważyłem.

– I ty tak samo – odpowiedział nie bez słuszności Orlick.

– My, panie Orlick – oświadczył Wopsle, jeszcze oczarowa-  
ny swą deklamacją – spędziliśmy intelektualny wieczór.

Orlick zamruczał coś, jak gdyby nie miał na to odpowiedzi,  
i ruszyliśmy dalej razem. Spytałem go, czy spędził popołudnie  
w mieście.

– Tak – potwierdził – przyszedłem tam zaraz po tobie i cho-  
ciaż straciłem cię z oczu, musiałem być od ciebie gdzieś nieda-  
leko. Ale słuchajcie, strzelają z armat.

– Na galerach? – spytałem.

– Tak, któryś z ptaszków musiał znowu uciec z klatki. Strze-  
lają tak już od zmroku. Zaraz ustyszycie.

Istotnie, nie uszliśmy kilku kroków, gdy rozległ się znajomy  
mi odgłos przygłuszony nieco przez mgłę i rozwiął się gdzieś  
daleko nad rzeką, jak gdyby leciał w trop za zbiegami.

– Dobra noc do ucieczki – orzekł Orlick – nietatwo będzie  
dzisiaj złapać te ptaszki za skrzydełka.

Ten temat budził we mnie wiele wspomnień i rozmyślałem  
o nich w milczeniu. Pan Wopsle, czując się znowu w roli nie-  
szczęsnego wuja z tragedii, rozpoczął na głos rozmyślać w ogro-  
dach Camberwellu. Orlick z rękami w kieszeniach kroczył cięż-  
ko u mego boku. Było bardzo ciemno, bardzo mokro i z trudem  
posuwaliśmy się w gęstym błocie. Wystrzał armatni wybuchał  
od czasu do czasu, hucząc wzdłuż wybrzeża rzeki. Co do mnie,  
pogrążony byłem we własnych myślach. Pan Wopsle konał ze

stodyczą w ogrodach Camberwellu, ginał po bohatersku na po-  
lu walki w Bosforthe i umierał w mękach w Glastobury. Orlick  
od czasu do czasu nucił: „Kuznia dźwięczy, kuźnia dzwoni! Sta-  
ry Klem! Stary Klem! Iskry się wokoło gonia! Stary Klem!”  
Zdawało mi się, że musiał pić, ale nie był pijany.

W ten sposób doszliśmy do wioski. Mijając oberżę „Pod  
Trzema Wesołymi Przewoźnikami” zdumieliśmy się, że o tak  
późnej godzinie (była jedenasta) jest oświetlona ruchomymi bły-  
skami i pełna ludzi; drzwi jej stały otworem. Pan Wopsle wszedł  
do środka, by dowiedzieć się, co się stało (przypuszczał, że  
schwytano galernika), ale natychmiast wybiegł w wielkim po-  
spiechu na drogie.

– Stało się coś niedobrego! – krzyknął. – Biegnijmy do ciebie  
do domu, Pip! Prędko!

– Co się stało? – pytałem, biegnąc pomiędzy nim a Orlickiem.

– Niezbyt dobrze zrozumiałem, ale zdaje się, że ktoś siłą wła-  
mał się do waszego domu pod nieobecność Joego Gargery. Po-  
dobno galernicy. Ktoś jest ranny.

Biegliśmy zbyt szybko na to, by dalej rozmawiać, i zatrzyma-  
liśmy się dopiero w naszej kuchni. Była pełna ludzi. Cała wioska  
zebrała się w naszym mieszkaniu. Spostrzeżłem lekarza, ujrza-  
łem też Joego i mnóstwo kobiet, wszystkich na środku kuchni.

Tłoczący się ludzie na mój widok rozstąpili się, by mnie prze-  
puścić, i wtedy dopiero zobaczyłem leżącą na podłodze moją  
siostrę. Nieznana ręka cisnęła ją na ziemię, zadawszy jej okrop-  
ny cios w tył głowy, w czasie gdy pani Gargery patrzyła  
w ogień. Już nigdy moja siostra nie miała więcej wojować ze  
swym mężem Joem.

## Rozdział szesnasty



Głowę miałem jeszcze do tego stopnia nabita Jerzym Barnwellem, że przez chwilę skłonny byłem przypuszczać, iż to ja wymierzyłem straszliwy cios mojej siostrze, a jeżeli tego nawet nie uczyniłem, to przeciwko mnie, jako jej najbliższemu krewnemu, skierują się przede wszystkim podejrzenia. Ale kiedy nazajutrz, w jasnym blasku ranka, usłyszałem powtarzane po wiele razy przez wszystkich okoliczności, cała sprawa przedstawiała mi się w znacznie prawdopodobniejszym świetle.

Joe poszedł wypalić fajkę do oberży „Pod Trzema Przewożnikami” i pozostał tam od ósmej pięnaście do kwadrans przed dziesiątą. Przez ten czas widziano moją siostrę na progu kuchni. Rozmawiała z parobkiem z sąsiedztwa, który powracał do domu. Powiedziała mu dobranoc. Człowiek ten nie umiał dokładnie określić godziny, kiedy to było. Próbował, ale zaplątał się. W każdym razie miało to być przed dziewiątą. Kiedy Joe powrócił do domu pięć minut przed dziesiątą, zastał żonę leżącą na podłodze i natychmiast wezwał pomocy. Ogień wcale nie dogasał, a knot świecy nie potrzebował jeszcze objaśnienia, świeca co prawda była zgaszona.

Z domu nic nie zginęło. Tak że oprócz zgaszona świecy (stała pomiędzy moją siostrą, która patrzyła w ogień, a drzwiami) nic w kuchni nie tknięto, jeżeli nie liczyć oczywiście nieporządku wywołanego upadkiem mej siostry i krwawieniem jej rany. Napastnik zostawił jednak na miejscu narzędzie zbrodni. Siostra

uderzona została w głowę i kregosłup jakimś tępym, ciężkim narzędziem. Potem, gdy leżała twarzą do podłogi, rzucono ten sam ciężki przedmiot na jej ciało z wielkim rozmachem i siłą. Otóż Joe, podnosząc żonę, znalazł przy niej kajdany galernika przepiłowane pilnikiem na dwie części.

Joe, przyjrawszy się kajdanom okiem kowala, doszedł do wniosku, że przepiłowano je już dawno. Wieść o zbrodni dotarła natychmiast na galery i ludzie, którzy przybyli stamtąd, by przyjrzeć się kajdanom, potwierdzili zdanie Joego. Nie umieli dokładnie określić, kiedy te kajdany, które niewątpliwie pochodziły z galer, stamtąd się wydoszwały, ale jedno było pewne: nie należały do żadnego z dwu więźniów, którzy uciekli tej nocy. Jednego z nich zresztą schwytano skutego.

Wiedząc więcej niż oni, snułem własne domysły. Poznałem te kajdany, które w moich oczach galernik piłował na bagnisku, ale nie podejrzewałem, że to on uczynił z nich użytek przeciw mojej siostrze. Przypuszczałem, że ktoś inny zdobył je i uczynił z nich narzędzie okropnego mordu. Podejrzenia moje kierowały się przeciwko Orlickowi i przeciwko dziwnemu człowiekowi, który pokazał mi pilnik.

Co się tyczyło Orlicka, to rzeczywiście poszedł do miasta: widziano go w rozmaitym towarzystwie w oberżach, spotkał mnie i pana Wopsle’a przy rogatce i wracał z nami. Nie było więc przeciwko niemu żadnych poszlak, gdyby nie jego kłótnia z moją siostrą, ale przecież siostra kłóciła się z nim, tak jak z każdym, tysiące razy.

Jeżeli chodzi o dziwnego człowieka, to gdyby nawet przyszedł po swoje dwa banknoty, moja siostra oddałaby mu je bez sprzeczeki, gdyż była na to przygotowana. Wszystkie wskazywało zresztą, że morderstwo odbyło się bez żadnej wymiany zdań. Zbrodniarz wszedł nagle i po cichu, tak że upadła, zanim zdążyła się obejrzeć.

Gnębiła mnie okropnie myśl, że niechęący dostarczyłem narzędzia zbrodni. Tego byłem pewien i cierpiąłem niewypowiedziane męczarnie rozważając, czy mam przelamać dotychczasowe milczenie i powiedzieć o wszystkim Joemu. W ciągu długich

I ja jednym popetniałem niekiedy pomyłki. Do najmniejszych trzeba zaliczyć takie, jak zazywanie krów zamiast kropel, pomieszanie herbaty z Joem i piekarza z pierzem.

Charakter pani Gargery jednak poprawił się ogromnie: wykazywała wiele cierpliwości. Z czasem choroba przybrała inną fazę. Oto siostra moja nie mogła wykonać świadomie żadnego ruchu. Ciało jej opanowało drżenie. Na przykład niekiedy, podniósłszy rękę do głowy, pozostawała w tej pozycji przez tydzień niemal, całkowicie nieprzytomna.

Mieliśmy wiele kłopotu ze znalezieniem dla niej odpowiedniej pielęgniarki, gdy los przyszedł nam z pomocą. Cioteczna babka pana Wopsle'a nareszcie przewyciężyła zastarzałe przyzwyczajenie trzymania się kurczowo życia i po jej śmierci odziedziczyliśmy Biddy.

Mniej więcej w miesiąc po ponownym zjawieniu się mojej siostry w kuchni, sprowadziła się Biddy wraz z małym kuferkiem, w którym mieścił się jej cały majątek, i od razu stała się błogosławieństwem domu. Przede wszystkim stała się błogosławieństwem Joego, gdyż ten kochany chłopt był niestety chanie przygnębiony smutnym widokiem żony i kiedy wieczorem usługiwał jej, jak potrafił, zwracał od czasu do czasu ku mnie zażławione niebieskie oczy i mówił:

– Taka śliczna z niej była kobieta, Pip.

Biddy natychmiast zabrała się do rzeczy tak umiejętnie, jak gdyby nic innego przez całe życie nie robiła, i Joe, uspokojony, mógł teraz wstępować do „Wesołych Przewoźników” dla rozrywki, która mu się należała.

Bardzo charakterystyczny jest fakt, iż policja uważała Joego za mocno podejrzanego o zbrodnię (on sam zresztą nie miał o tym pojęcia) i sądziła, że to wielki spryciarz.

Pierwszym triumfem Biddy było rozwiązanie zagadki, która od dawna mnie dręczyła i której Joe również nie mógł rozwiązać.

Oto siostra moja rysowała na tabliczce jakiś znak podobny do dużego T i z naciskiem pokazywała, że tego sobie życzy. Na

miesiący, jakie potem nastąpiły, decydowałem się po namyśle milczeć po to, by zaraz następnego ranka zadawać sobie znówu to samo pytanie. Moja walka wewnętrzna doprowadziła mnie do przekonania, że tajemnicę tę noszę w sobie od tak dawna, iż stała się częścią mojej istoty i nie mogę jej od siebie oddzielać.

Drzałem też na myśl, że jeśli wyznam całą prawdę Joemu, jeżeli dowie się, do czego się przyczyniłem, to odsunie się ode mnie. Oczywiście, jeżeli mi w ogóle uwierzy i nie zaliczy mego opowiadania do serii fantastycznych kłamstw, takich jak psy karminione cielęcymi kotletami. Wreszcie postanowiłem, że jeżeli odkrycie prawdy będzie się mogło przyczynić do znalezienia sprawcy zamachu, to wyznam ją, choć jest dla mnie straszna.

Zandarmi i policja z londyńskiego urzędu na Bow Street (działo się to bowiem w czasach, gdy istniała jeszcze słynna policja w czerwonych mundurach, którą potem skasowano) kręcili się przez tydzień czy dwa koło naszego domu i zachowywali całkiem tak jak policja w czasie śledztwa w powieściach kryminalnych. Przesłuchiwali niewinnych ludzi i starali się przystosować okoliczności do swoich własnych teorii, zamiast wyciągać nowe wnioski z rzeczywistych faktów. Wystawali też pod drzwiami oberży „Pod Wesołymi Przewoźnikami” z tak wszystkimowiedzącym i dyskretnym wyrazem twarzy, że zachwycali całą ludność wioski. Chwyтали za kieliszek takim gestem, jak gdyby właśnie chwyтали winnego, co zresztą nie nastąpiło.

Jeszcze długo po zniknięciu tych przedstawicieli prawa siostra moja leżała ciężko chora w łóżku. Miała zaburzenia wzroku, widziała wszystko podwójnie i na skutek tego ujmowała jakies wyimaginowane filizanki herbaty czy kieliszki wina, zamiast rzeczywistych przedmiotów. Miała też nadwreżony słuch i pamięć, a mowa jej stała się niezrozumiała. Kiedy wreszcie można było sprowadzić chorą z trudem na dół, musiałem za nią nosić moją tabliczkę, aby pisała to, co chce nam powiedzieć. Ponieważ zarówno jej charakter pisma, jak ortografia pozostawały wiele do życzenia i ponieważ Joe nie był mocny w czytaniu, powstawały między nimi nieustannie nieporozumienia, które musiałem rozstrzygać.



próżno przynosiłem jej kolejno różne przedmioty na T, jak talerz, tarkę, tasak. Wreszcie przyszło mi na myśl, że znak ten **wy-  
raza może kształt młotka i na wielokrotne moje pytanie wykrzy-  
czane jej do ucha, siostra moja uderzyła w stół, jak gdyby na  
znak potwierdzenia. Wtedy to przyniosłem jej kolejno wszystkie  
młotki, jakie były w domu, ale potrzasała głową przecząc.**  
Przyszło mi wówczas na myśl, że znak przypomina kształtem  
szczudła, jakimi posługują się kaleki. Pobieglem na wieś, poży-  
czyłem jej szczudło i przyniosłem, ale trzęsła głową tak mocno,  
że przeraziła nas, iż może przy swej słabości skreślić sobie kark.

Kiedy siostra moja zorientowała się, że Biddy rozumie ją naj-  
lepiej, tajemniczy znak znowu pojawił się na tabliczce. Biddy  
w zamysleniu mu się przyjrzała, wysłuchała moich objaśnień,  
w zadumie popatrzyła na moją siostrę, na Joeego, który pod po-  
stacią pierwszej litery swojego imienia figurował na tabliczce,  
i nic nie mówiąc pobiegła do kuźni, a ja i Joe za nią.

– Ależ naturalnie! – zawołała Biddy zachwycona. – Czyż nie  
rozumiecie? To chodzi o *niego!*

Chodziło o Orlicka. Siostra zapomniała jego imienia i przed-  
stawiła go za pomocą młota kowalskiego.

Powiedzieliśmy mu, o co chodzi, i wezwaliśmy go, aby zaraz  
przyszedł do kuchni. Powoli odłożył młot, otarł czoło rękawem,  
potem raz jeszcze twarz fartuchem i podszedł swym charaktery-  
stycznym krokiem włóczęgi.

Wyznaję, iż przypuszczałem, że teraz siostra moja wskaże na  
niego jako na mordercę, ale rozczarowałem się natychmiast.  
Okazywała wiele dbałości o to, by być z nim w przyjaznych sto-  
sunkach i gestem nakazała nam, aby dać mu coś do picia. Przy-  
glądała mu się z niepokojem, badając, czy jest zadowolony, a na  
twarzy jej malował się pokorny wyraz dziecka wobec surowego  
nauczyciela.

Odtąd nie było niemal dnia, aby nie rysowała na tabliczce  
młotka i aby Orlick nie wychodził z kuźni swym chwiejnym kro-  
kiem włóczęgi i nie stał przed nią z ponurym wyrazem twarzy,  
jak gdyby sam tak jak i ja nie wiedział, co o tym myśleć.



Odtąd życie moje wstąpiło na monotonną drogę pracy  
w terminie, nie zamąconej żadnym wydarzeniem ani na ba-  
gnisku, ani w miasteczku. Jedynym urozmaiczeniem było  
nadejście dnia moich urodzin, kiedy to odwiedziłem zno-  
wu miss Havisham.

Znów zastąłem przy furcie pannę Sarę Pocket. Miss Havi-  
sham ujrzałem samą jak wówczas, kiedy się z nią rozstawałem.  
Podobnie mówiła mi o Estelli, choć może innymi wyrazami.  
Rozmowa trwała kilka minut, po czym miss Havisham dała mi  
gwinę i kazała przyjść w następne urodziny. Stało się to już do-  
rocznym zwyczajem. Kiedy po raz pierwszy dostałem gwinę,  
nie chciałem jej przyjąć, ale miss Havisham rozgniewała się  
i spytała, czy liczyłem na więcej, więc wziąłem.

Stary, ponury dom tak zupełnie się nie zmienił, tak zawsze  
jednakie było zólte światło w pokoju, tak wyblakłe widmo sie-  
działo przy gotowaniu, że miałem wrażenie, iż wraz z zatrzyma-  
nymi zegarami czas istotnie przestał tu płynąć, gdy ja i wszy-  
stko inne poza tym domem starzejszy się codziennie. Blask słoń-  
ca nadal nigdy tu nie docierał i nadal pod wpływem atmosfery  
tej rezydencji czułem w sercu nienawiść do mego zawodu  
i wstydzilem się własnego domu.

W tym też czasie spostrzegłem, że w Biddy zaszły wielkie  
zmiany. Zaczęła nosić pantofle na wysokich obcasach, włosy jej

## Rozdział siedemnasty

stały się błyszczące i gładkie, dłonie zawsze czyste. Nie była piękna – była przecież pospolita, więc nie mogła się równać z Estellą, ale była miła, zdrowa i łagodna. Nie mieszkała u nas dłużej niż rok (pamiętam, że właśnie przestała nosić żałobę), gdy pewnego wieczora uderzył mnie poważny i myślący wyraz jej oczu, oczu ślicznych i bardzo dobrych.

Zobaczyłem to, gdy podniosłem wzrok znad roboty (właśnie przepisywałem urywek z pewnej książki, by się podwójnie wypróbować w czytaniu i pisaniu) i spostrzegłem, że Biddy mnie obserwuje. Odłożyłem pióro, a dziewczyna przestała robić na drutach, ale nie odłożyła robótki.

– Biddy, powiedz mi, jak ty to robisz? – spytałem. – Bo albo ja jestem bardzo głupi, albo ty bardzo mądra.

– Co też takiego robisz, nie rozumiem? – zagadnęła Biddy z uśmiechem.

Prowadziła wspaniałe nasze gospodarstwo, ale nie o to chciałem ją spytać, chociaż ta okoliczność jeszcze zwiększała mój podziw dla niej.

– Jak ty to potrafisz, Biddy, że uczysz się wszystkiego tego co ja i zawsze za mną nadążasz?

Zaczytałem być dumny z mojej nauki, którą opłacałem głównieami otrzymywanymi na urodziny i pieniądźmi na drobne wydatki.

– Tak samo i ja mogłabym spytać ciebie, jak ty to robisz? – odparła Biddy.

– Nie, bo kiedy wracam z kuźni, to wszyscy widzą, jak się całe wieczory uczę, ale ciebie nikt nie widział przy nauce.

– Widocznie zarażam się nią jak katarem – odpowiedziała Biddy spokojnie i wróciła do roboty.

Oparty o drewnianą poręcz fotela nie spuszczałem teraz oczu z Biddy, która szła z głową przekrzywioną, i myślałem, że jest nadzwyczajną dziewczyną.

Rozwazałem, do jakiego stopnia Biddy zna wszystkie terminy naszego zawodu, i przyszło mi do głowy, że jeśli chodzi o jej teorie, jest ona takim samym kowalem jak i ja, i że krótko

mówiąc, wszystko, co umiem, umie i ona, może nawet lepiej ode mnie.

– Biddy – zauważyłem – należysz do tych, którzy umieją w lot chwycić każdą możliwość w życiu. Zanim tu przyszedłaś, nie mogłaś się uczyć i zobacz, ileś tu już skorzystała.

Biddy popatrzyła na mnie, a potem, wracając do szycia, oznajmiła:

– A jednak, to ja byłem twoją pierwszą nauczycielką. Czy tak?

– Biddy! – zawołałem zdumiony – ty płaczesz?

– Nie, nie płaczę – odparła Biddy, podnosząc oczy z uśmiechem – co też ci do głowy przychodzi?

„Przyszło” mi to do głowy z powodu łzy, która wyraźnie kapnęła jej na robotę, ale nie odpowiedziałem, tylko przeszedłem myślą straszne życie dziewczynki, w czasach kiedy to cioteczna babka pana Wopsle’a nie chciała jeszcze porzucić zwyczajów trwania przy życiu, zwyczajów, którego tyle osób powinno wcześniej się wyrzekać.

Ujrzałem Biddy przed sobą w ohydny sklepiku, w okropnej wieczornej szkófcie, obarczoną tym straszliwym starczym tłumokiem, którym się opiekowała, i byłem teraz pewien, że już w tamtych czasach musiała być obdarzona tymi samymi zdolnościami, które teraz rozwijała. Nie był to wtedy przypadek, że do niej właśnie zwracałem się w trudnościach.

Biddy szła teraz spokojnie, już bez łez, a ja patrzyłem na nią pomyślałem, że może zbyt mało okazałem jej wdzięczności, byłem wobec niej zbyt zamknięty w sobie, zamiast zaszczycać ją (nie pomyślałem wówczas tym wyrazem, ale jakoś inaczej) moim zaufaniem.

– Tak, Biddy – potwierdziłem tylko – byłaś moją pierwszą nauczycielką. I nie przypuszczałem wówczas, że spotkamy się kiedyś w tej kuchni.

– Ach, to biedactwo! – zawołała nagle Biddy, wstając i poprawiając coś przy mojej siostrze, jak gdyby w ten sposób przenosiła uwagę na kogoś innego. – Rzeczywiście, kto by to pomyślał!

– Musimy ze sobą serdeczniej porozmawiać, Biddy. Muszę się ciebie w wielu sprawach poradzić. Czy chciałabyś w niedzielę przejść się ze mną po łące? Porozmawiamy wtedy.

Nie zostawiałśmy teraz nigdy mojej siostry samej, ale Joe zgodził się w niedzielę po południu jej popilnować i poszedłem z Biddy na spacer. Dzień był letni, pogodny. Gdy minęliśmy wioskę, kościół i cmentarz, ujrzeliśmy zagle na rzece i od razu przypomniałem sobie miss Havisham i Estellę.

Kiedy przyszliśmy na brzeg rzeki i usiedliśmy nad wodą, która pluskała u naszych stóp, podnosząc jeszcze panującą ciszę, zdecydowałem, że nadeszła chwila odpowiednia do zwierzeń.

– Biddy – wyznałem – chciałbym być panem.

– Ochl – zawołała Biddy – nie marzyłabym o tym na twoim miejscu. To nie pasuje do ciebie.

– Biddy – odpartem z pewną surowością – mam specjalne przyczyny, dla których chcę zostać panem.

– Ty wiesz chyba lepiej, ale czy nie sądzisz, Pip, że teraz jesteś szczęśliwszy?

– Biddy – zawołałem niecierpliwie – nie jestem teraz szczęśliwy. Nie jestem zadowolony ani z mego zawodu, ani z życia. Nigdy mi nie odpowiadały. Więc nie bądź głupia.

– Czy byłam głupia? – spytała Biddy, podnosząc na mnie oczy. – Jeżeli tak, to przepraszam. Ale ja chcę tylko twego szczęścia.

– A więc zapamiętaj sobie raz na zawsze, że nigdy nie będzie mi dobrze, dopóki będę żył tak jak teraz, i że dopiero gdy zmienię życie, będę mógł być szczęśliwy!

– To wielka szkoda – orzekła Biddy, potrząsając smutnie głową.

I ja także często żalowałem tego samego i dlatego moja własna myśl, wyrażona przez Biddy, poruszyła mnie mocno. Powiedziałałem jej, że i ja tak sądzę, ale że nie na to nie można już poradzić.

– Gdybym mógł – mówiłem, wyrrywając trawę z takim samym uczuciem, z jakim kiedyś rwalem sobie włosy i walitem

pięściami o mur starego browaru – gdybym mógł kochać zawód kowala choćby w połowie tak, jak kochałem go, gdy byłem dzieckiem, byłoby to znacznie dla mnie lepiej, wiem o tym. Ty, Joe i ja... cóż by nam brakło w życiu? Mógłbym zostać z czasem współnikiem Joego, może zakochałbym się w tobie i pewnej niedzieli po południu wyznałbym ci to tutaj, nad rzeką. Chyba przyjąłabyś mnie, Biddy, co?

Biddy westchnęła, patrząc na zagle przepływających łodzi, i powiedziała:

– Tak, ja nie jestem bardzo wymagająca.

Nie było to pochlebne, ale wiem, że myślała najlepiej.

– A zamiast tego wszystkiego – ciągnąłem, wyrrywając jeszcze jedną trawę i żując ją w zębach – jestem niezadowolony, nieszczęśliwy i powiedz, co szkodziłoby mi być pospolitym i wulgarnym, gdyby nikt mi tego nie uświadomił?

Biddy nagle zwróciła ku mnie twarz i przyglądała mi się o wiele uważniej niż przepływającym żaglom.

– Nie było to ani grzeczne, ani zgodne z prawdą, jeżeli ci to powiedziałano... Ale kto to powiedział? – spytała.

W ten sposób wpadłem, sam nie wiedząc, dokąd prowadzą moje zwierzenia, ale teraz nie czas było się cofać.

– Pewna piękna panienka u miss Havisham. Jest piękniejsza niż ktokolwiek na świecie, podziwiam ją strasznie i dla niej chcę być panem.

Wyrzuciwszy to z siebie, cisnąłem wyrwaną przeze mnie trawę w wodę takim ruchem, jak gdybym chciał podążyć za nią.

– Czy chcesz być panem po to, by ją móc wyszydzić, czy też zdobyć? – badała Biddy po przerwie.

– Sam nie wiem – odpartem nadąsany.

– Bo jeżeli chciałbyś ją wyszydzić, to sądzę, chociaż ty wiesz lepiej, że należałoby nie zwracać na nią uwagi! – mówiła Biddy – a jeżeli pragniesz ją zdobywać, to zdaje mi się, chociaż ty wiesz lepiej, że nie jest tego warta.

Zupełnie to samo myślałem sobie wiele razy i byłem całkiem przekonany jej słowami, ale jakże ja, biedny prostak wioskowy,

miałem uniknąć owej straszliwej niekonsekwencji, w którą wpadają codziennie najlepsi i najmądrzejsi ludzie?

– To wszystko jest zapewne prawdą – odpowiedziałem Biddy – ale ja uwielbiam ją tak okropnie.

Mówiąc te słowa padłem twarzą do ziemi i zanurzyłem obie zaciśnięte dłonie we włosy. Jednocześnie w moim szaleństwie zdawałem sobie sprawę, że zastużyłem na to, aby ktoś odwrócił mi twarz, podniósł głowę za włosy i uderzył nią o żwir, na którym leżałem. Zastugiwała na karę za to, że należy do takiego idioty.

Biddy była najmądrzejszą z dziewczyn. Nie usiłowała się ze mną sprzeczać, tylko położyła swą miłą, chociaż szorstką od pracy rękę kolejno na moich obu dłoniach, by je oderwać od mych włosów. Potem łagodnie pogłaskała mnie po ramieniu. A ja, opierając twarz o rękaw, płakałem całkiem tak samo jak wówczas przy starym browarze i tak samo jak wówczas czułem, że ktoś mnie skrzywdził czy coś wyrządziło mi krzywdę, chociaż sam nie wiedziałem co.

– Jestem szczęśliwa, Pip – powiedziała teraz Biddy – żeś obdarzył mnie zaufaniem. Żeś czuł, że możesz mi zaufać, i wiedział, że nigdy cię nie zdradzę. Gdyby twoja pierwsza nauczycielka (mój Boże, jakże nędzna i jak bardzo sama potrzebująca nauki!) teraz zaczynała lekcję z tobą, wiedziałaby, czego cię nauczyć. Ale teraz już za późno, boś ty prześcignął swą nauczycielkę.

To powiedziałwszy, Biddy westchnęła raz czy dwa ze współczuciem, wstała z trawy i nagle, zmieniając ton, spytała wesołym, miłym głosem:

– Czy jeszcze się przejdziemy, czy wracamy do domu?

– Biddy – oświadczyłem, obejmując ją za szyję i całując – będę ci się zawsze ze wszystkim zwierzał...

– Aż do dnia, kiedy staniesz się panem – odparła Biddy.

– Wiesz dobrze, że nigdy nim się nie stanę. Będę więc wszystko ci zawsze mówił. Ale teraz nie mam ci już więcej nic do powiedzenia, bo wiesz tyle co ja, jak ci to wczoraj już tłumaczyłem.

– Ach – szepnęła tylko Biddy, patrząc na zagle łodzi na rzece, i zaraz dodała znowu wesołym głosem:

– Więc co, wracamy czy idziemy jeszcze dalej?

Zdecydowałem, że idziemy dalej. Piękny dzień letni zbladł w piękny wieczór.

Pomyślałem, czy nie jestem tu bardziej na miejscu niż w salonie z zapalonymi świecami i zatrzymanymi zegarami, przy partii durnia, narazony na szyderstwa Estelli. Pomyślałem, jak dobrze byłoby wyrzucić ją raz wreszcie z pamięci, zabrać się uczciwie do roboty, starać się wykonywać ją jak najlepiej i polubić swój zawód. Pomyślałem też, czy gdyby zamiast Biddy była teraz ze mną Estella, nie unieszczęśliwiłaby mnie, i musiałem odpowiedzieć na to pytanie twierdząco.

„Pip, głupiec z ciebie” – pomyślałem.

Rozmawialiśmy dużo na przechadzce i wszystko, co Biddy powiedziała, było słuszne. Biddy nie bywała nigdy nieznośna ani obrażająca lub kapryśna, nie okazywała się też dzisiaj sobą, a jutro kimś całkiem innym, nie chciała mnie ranić dla swojej przyjemności. Przeciwnie, wolałaby zadać sobie samej ból, niż mnie zrobić przykrość. Jakże to się działo, że wobec tego z tych dwu nie wolałem Biddy?

– Biddy – zwierzyłem się, kiedy szliśmy już w stronę domu – chciałbym, żebyś przywróciła mi rozsądek.

– I ja bym tego chciała – odparła Biddy.

– Gdybym mógł zakochać się w tobie... nie gniewasz się chyba, że mówię tak otwarcie z tobą, starą przyjaciółką?

– Och, nie, nie o mnie tu chodzi – zaprzeczyła dziewczyna.

– Gdybym mógł zakochać się w tobie, niczego bym więcej nie pragnął.

– Ale myślę, że to nigdy nie nastąpi – szepnęła Biddy.

Tego wieczora nie wydawało mi się to tak bardzo niemożliwe, toteż odpartem, że nie jestem tak pewien, czy na tym się nie skończy. Ale Biddy oświadczyła, że ona jest pewna. W głębi duszy czułem, że ma słuszną rację, ale miałem jej za złe, że tak stanowczo to twierdzi.

Gdy zbliżyliśmy się do cmentarza, musieliśmy przejść przez mur koło śluzu. Wtedy to ze śluzu z krzaków, czy też z muru (którego dużo było o tej porze roku) wyskoczył stary Orlick.

– Dokąd to? – spytał nas.

– Dokąd, jak nie do domu?

– A więc, niechże mnie zakatrupią, jeżeli wam nie będą towarzyszyć.

Używał wyrażenia „zakatrupić” przy każdej okazji i było ono równie nieścisłe jak imię, którym kazał się nazywać. Kiedy byłem młodszy, myślałem za każdym razem, gdy gadał o zakatrupieniu, co by to było, gdyby mnie chciał zakatrupić.

Biddy, która nie chciała, by szedł z nami, poprosiła cicho:

– Nie pozwól mu iść. Nie lubię go.

Ponieważ i ja go nie lubiłem, więc zdobyłem się na odwagę, by powiedzieć, że nie życzymy sobie, by nam towarzyszył.

Wybuchnął śmiechem i zawrócił, ale postępował za nami w pewnej odległości.

Ciekawy, czy też Biddy podejrzewa go o zamach na moją siostrę, spytałem, czemu nie lubi Orlicka.

– O – odpowiedziała, oglądając się przez ramię za nim, idącym z tyłu – bo boję się, że on mnie lubi.

– Czy powiedział ci kiedy, że cię lubi? – indagowałem pełen oburzenia.

– Nie – odparła Biddy, wciąż oglądając się przez ramię – ale tańczy koło mnie, gdzie mnie tylko dopadnie.

Mimo niezwykłości takiego dowodu przywiązania, nie wątpiłem ani na chwilę, że tak było. Oburzałem się do głębi, że Orlick ośmiela się uwielbiać Biddy. Czulem się tak oburzony, jak gdyby to stanowiło dla mnie obrazę.

– Tobie powinno być wszystko jedno – zauważyła Biddy spokojnie.

– Tak, mnie powinno być wszystko jedno, Biddy – zgodziłem się – tyle że mi się to nie podoba. Nie uznaję tego.

– I ja też nie – dodała Biddy i powtórzyła raz jeszcze – ale ciebie nie powinno to nic obchodzić.

– Oczywiście – przyznałem – wiedz tylko, że nie miałbym o tobie zbyt dobrego pojęcia, gdybyś godziła się na to, żeby koło ciebie tańcował.

Od tej chwili nie spuszczałem oka z zachowania się Orlicka i ilekroć chciał zabiegać o względy Biddy, przeskakadzałem temu, jak mogłem.

Zapusił korzenie u Joego ze względu na nagłą sympatię mojej siostry do niego. Gdyby nie to, namawiałbym do usunięcia go z kuźni. Zdawał sobie doskonale sprawę z moich wrogich względem niego uczuć i odpłacał mi pięknym za nadobne. Zrozumiałem to dopiero później.

Umysł mój był tymczasem tak zamuśniony, że chociaż z pięćdziesiąt tysięcy razy nachodził mnie nastrój, w którym rozumiałem, że Biddy jest więcej warta niż Estella i że mój zawód, uprawiany uczciwie i poważnie, nie przynosi mi wstydu, to jednak nie mogłem sobie z tym dać rady. Wreszcie znajdowałem się na najlepszej drodze do zostania współnikiem Joego i narzeczonym Biddy, gdy nagle jakieś wspomnienie miss Havisham i jej domu spadało na mnie jak pocisk i rujnowało wszystko na nowo. Długo musiałem potem walczyć, by zebrać zgnące myśli. Niekie-dy, zanim mi się to udało, traciłem znowu przytomność i wyobrazałem sobie, że może miss Havisham ofiaruje mi majątek, gdy skończę termin.

Może gdybym doprowadził do końca terminowanie, uspokoiłbym się, ale niespodziewane wypadki, o których opowiem, przerwały moją naukę w kuźni.

## Rozdział osiemnasty



Było to w czwartym roku mego terminowania u Joego, w sobotni wieczór. Wokół kominka w gospodzie „Pod Trzema Wesołymi Przewoźnikami” zebrata się gromadka ludzi; przystuchiwali się, jak pan Wopsle na głos odczytuje gazetę. I ja również znajdowałem się wśród zebranych.

Właśnie popełniono głośną zbrodnię i pan Wopsle kapał się po uszy we krwi. Rozkoszował się po prostu szczegółami morderstwa i kolejno wciął w każdego ze świadków zbrodni. Jęczał z cicha: „Już koniec ze mną” głosem ofiary i ryczał nieludzką: „Już ja się z tobą porachuję!” głosem mordercy. Wygłaszał ekspertyzę lekarską, naśladując głos naszego wioskowego lekarza, i do tego stopnia drżał i bełkotał starczym głosem jako starszek i dozorca przy rogatce, który słyszał odgłosy strzałów, że uważano go za paralityka i wątpiono już o sprawności jego władz umysłowych. Sędzia przemieniał się pod wpływem wymowy pana Wopsle’a w Tymona Ateńczyka, woźny sądowy w Koriolana. Bawił się doskonale i my razem z nim, i tak rozbawieni dotarliśmy do wyroku, który brzmiał: morderstwo z premedytacją.

Dopiero w tym momencie spostrzegłem jakiegoś nieznanego, który siedząc naprzeciwko mnie, przyglądał mi się uważnie. Na twarzy jego malowała się pogarda, gdy gryząc wskazujący palec dłoni, robił uważny przegląd twarzy wszystkich obecnych.

– No, i cóż? – zagadnął nieznajomy, gdy pan Wopsle skończył czytanie. – Wszystko skończyło się tak, jakżeście sobie życzyli? Wszyscy obecni zadrżeli, jak gdyby mieli przed sobą moraderę, a on spoglądał zimno i ironicznie.

– No, co? – spytał. – Winien według was? Tak? Gadajcie!

– Panie – odparł Wopsle – mimo że nie mam przyjemności znać pana, zmuszony jestem odpowiedzieć twierdząco: Tak, winien....

Na te słowa wszyscy nabraliśmy odwagi i potwierdziliśmy je zgodnym pomrukiem.

– Wiem, że tak uważacie – oświadczył nieznajomy – wiedziałem o tym i przedtem. Ale pozwólcie, że zadam wam jedno pytanie. Czy wiecie, iż prawo w Anglii dopóty uważa człowieka za niewinnego, dopóki nie dowiedzie mu się winy?

– Panie – odparł Wopsle – ja sam, jako Anglik....

– Za pozwoleniem – przerwał mu nieznajomy, wskazując na niego palcem – proszę nie odbiegać od tematu. Wiecie to, czy nie wiecie?

Stał tak naprzeciw Wopsle’a z głową przekrzywioną na bok i groził palcem, który za chwilę miał znowu obgryzać.

– No, więc, wie pan o tym, czy nie wie?

– Oczywiście, że wiem – oznajmił Wopsle.

– Oczywiście pan wie, więc czemu nie powiedział pan tak od razu? A teraz pozwoli pan, że zadam mu drugie pytanie – zaczął, jak gdyby miał prawo tak zawiadnąć Wopsle’em – czy wiadomo jest panu, że żadnego ze świadków nie poddano śledztwu? Nic, tylko jedno słowo niech pan powie: tak czy nie?

Pan Wopsle zaczął:

– Mogę jedynie stwierdzić, że....

Nieznajomy przerwał mu znowu:

– Nie chce mi pan krótko odpowiedzieć, tak lub nie? – Tu wyciągnął ku niemu karcący palec. – Czy wie pan, że nie było śledztwa? Czy pan tego nie wie?

Pan Wopsle zawahał się, a my wszyscy zaczęliśmy mieć o nim trochę gorsze niż dotychczas zdanie.

– No, więc – ciągnął niezadowolony – pomogę panu, chociaż niewart pan jest mojej pomocy. Niech pan spojrzy na arkusza, który pan trzyma w ręku. Co to jest?

– Co to jest? – powtórzył Wopsle, patrząc na niego zmieszany.

– Tak, co to jest – zawtórował niezadowolony najbardziej ironicznym tonem – to jest gazeta, z której pan przed chwilą czytał sprawozdanie z procesu? Bez wątplenia. A teraz zajrzyj pan do tej gazety i powiedz, czy tam nie napisano, iż oskarżony wyznał, że jego doradcy prawni radzili mu powstrzymać się od wygłoszenia swej obrony?

– Właśnie to czytam – bronił się Wopsle.

– Nic mnie to nie obchodzi, co pan teraz czyta, panie, nie o to pana pytałem. Może pan sobie czytać, jeśli się panu podoba, moją dliwą Pańską od końca do początku, a co mnie do tego? Niech pan odwróci stronę w gazecie. Nie, nie, nie, mój przyjacielu, nie u góry strony, pan wie doskonale, że to jest u dołu (wszyscy zaczęliśmy myśleć o Wopsle'u podejrziwie). No co, znalazł pan?

– Tak, znalazłem – przyznał Wopsle.

– Więc niech pan przeczyta i powie, czy nie napisano tam, że oskarżony wyznał, iż jego doradcy prawni radzili mu powstrzymać się od obrony? Tak czy nie?

– Dostownie tu nie jest tak napisane – zaprzeczył pan Wopsle.

– Słowa może nie są te same, ale treść... – powiedział niezadowolony z goryczą. – Treść ta sama? Tak?

– Tak – potwierdził Wopsle.

– A więc tak – krzyknął niezadowolony, wyciągając znowu kartą dłoń do Wopsle'a – jak może wobec tego człowiek, który miał ten urzywek przed oczyma, ze spokojnym sumieniem przyłożyć głowę do poduszki potępionego, kto nie wygłosił swej obrony?

Wszyscy zaczęliśmy nabierać pewności, że pan Wopsle nie jest człowiekiem, za którego mieliśmy go dotychczas.

– I ten sam człowiek – ciągnął niezadowolony, wskazując znowu na Wopsle'a – pokalawszy swoje sumienie, mógłby zasiadać wśród przysięgłych na tymże sądzie i udać się na łono rodziny,

położyć spokojnie głowę na poduszce i zapomnieć o złożonej przysiędze, że będzie uczciwie wypełniał obowiązki, nałożone mu przez jego królewską moc naszego monarchę w stosunku do oskarżonego stojącego przed sądem, i że wyda werdykt zgodnie ze swoim sumieniem. Niechże Bóg ma go w swojej opiece!

Byliśmy w tej chwili wszyscy głęboko przekonani, że nie szczęny pan Wopsle posunął się już za daleko i że najwyższy czas, by wreszcie zatrzymał się na swej haniebnej drodze.

Dziwny jegomość, z taką miną, jak gdyby na wskroś znał tajemnice każdego z nas i jak gdyby od niego zależało odkrycie ich przed światem, wstał ze swego miejsca i stanął bliżej kominka z jedną ręką w kieszeni, a drugą przy ustach i dalej obgryzał wskazujący palec.

– Zgodnie z wiadomościami, których mi dostarczono – zauważył, patrząc na nas okropnym wzrokiem – jest wśród was kowal nazwiskiem Józef czy też Joe Gargery. Który to?

– To ja – odezwał się Joe.

Niezadowolony skinął na niego palcem. Joe wstał.

– Słyszalem, że ma pan terminatora imieniem Pip? Czy jest tutaj?

– Jestem! – zawołałem.

Jegomość mnie nie poznał, ale ja w tej chwili rozpoznałem w nim niezadowolonego, którego spotkałem na schodach u miss Havisham podczas mojej drugiej u niej wizyty. Tak, teraz byłem pewien, że to on. I kiedy stał, opierając dłoń o moje ramię, poznawalem doskonale jego wielką głowę, ciemną cerę, oczy głęboko osadzone pod ciemnymi krzaczastymi brwiemi, ciężki tańcuch zegarka, ciemne plany zamiast brody i bokobrodów, a nawet zapach mydła bijący od jego dużej dłoni.

– Chciałbym z wami dwoma porozmawiać na osobności – oświadczył, napatrzywszy się na mnie. – Może to nieco dłużej potrwać, więc lepiej, żebyśmy poszli do waszego mieszkania. Nie chciałbym mieć świadków tego, co powiem. Jeżeli potem zechcecie opowiedzieć o tym waszym przyjacielom, to już nie moja sprawa.

W pełnym zdumieniu milczeniu opuściliśmy obozę i równie milcząc przez całą drogę, udaliśmy się do domu. Nieznajomy przyglądał mi się bacznie, gryząc palec. Gdy znaleźliśmy się przed domem, Joe, uważając zapewne, że to uroczysta okazja, pobiegł naprzód i otworzył frontowe drzwi. Rozmowa nasza od była się w bawialni słabo oświetlonej jedną świecą.

Zrazu nieznajomy przysunął do siebie świecę i długo szukał przy jej blasku notatek w swym notesie. Potem znalazł to, czego poszukiwał, schował notes do kieszeni, odsunął świecę na miejsce i przebijając wzrokiem ciemności zdawał się badać, kto z nas dwu jest Joem, a kto mną.

– Nazywam się Jagers – przedstawił się po chwili – jestem adwokatem w Londynie, i to prawnikiem bardzo znanym. Interes, który mnie do was sprowadza, jest niezwykły i od razu chcę wam powiedzieć, że nie ja rzecz zainicjowałem. Przeciwnie, gdyby mnie pytano o zdanie, odradzałbym podobną decyzję. Ale nikt mnie nie pytał o zdanie, więc jestem. Działam jedynie jako czyjś pełnomocnik. To wszystko.

Uważając widocznie, że niezbyt dobrze nas widzi ze swego miejsca, zerwał się. Przetoczył nogę przez poręcz krzesła i mając jedną nogę w ten sposób na podłodze, a drugą opierając o krzesło, wpatrywał się w nas badawczo.

– A teraz, Józefie Gargery, mam dla pana pewną propozycję. Chodzi o to, byś pan zwolnił tego chłopca z terminu. Czy będzie pan przeciwny unieważnieniu waszego kontraktu dla dobra tego chłopca? Czy żąda pan odszkodowania za to unieważnienie?

– Niechże mnie Bóg zachowa, bym stał na przeszkodzie Pi-powi – odpowiedział Joe oburzony.

– „Niech Bóg zachowa” to bardzo pobożne powiedzenie, ale całkiem nic nie ma do rzeczy – odparł pan Jagers – w tym sęk, czy pan żąda czegoś w zamian?

– Odpowiedź brzmi: „Nie!” – podkreślił Joe surowo.

Zdawało mi się, że pan Jagers spojrział na Joego jak na głupca, który bawi się w bezinteresowność, ale zbyt byłem przejęty ciekawością, co się ze mną stanie, by się nad tym zastanawiać.

– Doskonale – oznajmił pan Jagers – niech pan sobie dobrze zapamięta to, co pan powiedział, i niech pan nigdy do tego nie próbuje powracać.

– A kto myśli do tego powracać? – spytał Joe.

– Nie twierdź, że ktoś myśli, tylko mówię, by pan nie powracał. Czy ma pan psa?

– Tak, mam psa.

– To niech pan sobie zapamięta, że Pycha to dobry pies, ale Mieszek jeszcze lepszy. Niech pan to zapamięta, dobrze? – powtórzył Jagers, przymkując oczy i kiwając głową do Joego w taki sposób, jak gdyby coś mu wybacał. – A teraz powracam do tego oto młodego człowieka. Chcę mu zakomunikować, że ma przed sobą wielkie nadzieje.

Joe i ja spojrzeliśmy po sobie zdumieni.

– Mam mu zakomunikować – tu pokazał na mnie palcem – że wejdzie w posiadanie ładnego majątku i że życzeniem dotychczasowego właściciela tego majątku jest, aby natychmiast usunąć chłopca ze sfery, w której dotychczas przebywał, i przenieść do środowiska odpowiadającego stanowi pańskiemu, godnego młodzińca o wielkich nadziejach.

Skończyło się marzenie: rzeczywistość przewyższyła najśmielsze fantazje. Miss Havisham miała obdarować mnie wielkim losem.

– A teraz, panie Pip, zwracam się z tym, co mi pozostaje jeszcze do powiedzenia, do pana. Powinien pan wiedzieć, że osoba, która obdarza pana majątkiem, życzy sobie, aby pan zawsze nosił nazwisko Pip. Nie będzie pan miał chyba żadnych zastrzeżeń co do tego łatwego warunku, za jaki kupuje pan swe wielkie nadzieje. Jeżeli jednak ma pan jakieś zastrzeżenia, to proszę je zaraz wyuszczyć.

Serce biło mi tak mocno i tak szumiało mi w uszach, że zaledwie wybąkałem, iż nie mam żadnych zastrzeżeń.

– Spodziewam się, że pan nie ma – powiedział Jagers. – A teraz chciałbym, aby pan zrozumiał, panie Pip, że nazwisko osoby, która jest pana hojnym dobroczyńcą, musi pozostać



w całkowitej tajemnicy aż do chwili, gdy zechce je ona panu ujawnić. Jestem upowazniony do zawiadomienia pana, że osoba ta zyczy sobie w przyszłości sama ustnie panu odkryć tę tajemnicę. Czy i kiedykolwiek to się stanie, nie mogę panu wyjaśnić i nikt tego nie wie. Może po latach. Teraz rozumie pan już chyba, że nie wolno panu przeprowadzać żadnego śledztwa w tym kierunku, nie wolno panu robić żadnych aluzji do osoby dobroczyńcy pana w korespondencji czy też w rozmowach ze mną. Jeżeli w głębi duszy podejrzewa pan kogoś, niechże to podjęcie pozostanie w pańskim sercu. To obojętne, jakie są przychylny takiego warunku, obojętne, czy poddyktowały go przychylny ważne i konieczne, czy też zwykły kaprys. To nie pańska sprawa. Warunek został postawiony. Pan powinien go przyjąć, a przyjmąwszy, dotrzymać. Tego wymaga osoba, w której imieniu a przemawiam. Tajemnica zostanie zachowana pomiędzy mną a tą osobą, która stwarza pańskie wielkie nadzieje. I znowu warunek nie jest chyba trudny, ale jeżeli pan ma jakieś zastrzeżenia, proszę zaraz z nimi wystąpić.

I raz jeszcze wyjąkałem z trudem, że nie mam zastrzeżeń.

— Spodziewałem się tego. A teraz, panie Pip, skończyłem już z warunkami.

Mimo iż nazywał mnie panem Pip i robił wrażenie, jak gdyby zaczynał się ze mną liczyć, to jednak w jego tonie, w ironicznym przymruczeniu powiek, wskazywaniu na mnie palcem było coś, co mogłoby nasunąć myśl, że mną pogardza i że wie o mnie coś złego.

— A teraz przejdziemy do szczegółów pańskiej przyszłości. Musi pan wiedzieć, iż mimo że mówiłem tu o „nadziejach”, czeka pana coś więcej niż nadzieja na przyszłość. Otrzymałem już pewną sumę przeznaczoną na pana wykształcenie i utrzymanie. Proszę, niech pan mnie traktuje jak swego opiekuna. Och... — przerwał, gdy chciałem mu dziękować — już raz powiedziałem, że jestem opłacany za usługi, inaczej bym panu ich nie wyświadczył. Jasne, że musi pan otrzymać wykształcenie odpowiednie do pana obecnej pozycji.

Odpowiedziałem, że zawsze o tym marzyłem.

— To nieważne, o czym pan zawsze marzył, panie Pip — odparł — ważne jest, czy teraz pan tego pragnie i czy gotów pan jest natychmiast przejść pod tę opiekę.

Wyjąkałem, że tak.

— Dobrze. A teraz chce wiedzieć, do czego pan ma zamiarować. Ja osobście sądzę, że to bez znaczenia, ale takie otrzymałem polecenie. Czy ma pan jakiegoś profesora, u którego chciałby pan szczególnie studiować?

Ponieważ nie znałem innych profesorów prócz ciotecznej babki pana Wopsle'a i Biddy, odparłem, że nie.

— Znam jednego profesora, który może mógłby panem się zająć — podsunął pan Jagers — nie polecam go, proszę sobie to zapamiętać. Bo nigdy nikogo nie polecam. Pan, o którym mówię, nazywa się Mateusz Pocket.

— Ach! — aż podskoczyłem na to nazwisko. Krewny miss Havisham. Mateusz, o którym mówili Kamilla i jej mąż, Mateusz, który miał stać u węgłowa miss Havisham, gdy będzie leżała martwa w ślubnej sukni na weselnym stole.

— Zna pan to nazwisko? — spytał pan Jagers, przyrykując powieki w oczekiwaniu odpowiedzi.

Brzmiała ona, że znam to nazwisko.

— Ach, slyszal pan je? Ale ja pytam, co pan sądzi o tym czło-wieku?

Wyjąkałem, że jestem bardzo wdzięczny panu Jagersowi za polecenie mi...

— Nie, mój młody przyjacielu — przerwał kręcąc powoli głowę — opamiętaj się.

Nie opamiętawszy się zacząłem na nowo, że jestem mu wdzięczny za polecenie mi...

— Nie, nie — przeskodził mi znowu, energicznie trzęsąc głową z uśmiechem — nieślosownego słowa pan używa, ja nie polem nie nikogo... Niech pan to powie inaczej.

Poprawiwszy się powiedziałem więc, że wdzięczny jestem za wspomnienie mi o panu Mateuszu Pocket...

- To już lepiej... - pochwalił pan Jagers.
- I - dodałem - chętnie spróbuję opieki tego pana.
- Dobrze. Myślę, że najlepiej będzie, jeżeli pozna go pan u niego w domu. Poczynię odpowiednio przygotowania i najpierw zobaczy się pan z jego synem, który jest w Londynie. Kiedy przyjedzie pan do Londynu?
- Odpartem, patrząc na stojącego nieruchomo Joego, że mógłbym zaraz jechać.
- Najpierw musi pan sobie sprawić nowe ubranie, i to nie robocze - zauważył Jagers - powiedzmy więc, od dziś za tydzień. Czy trzeba panu pieniędzy? Zostawić panu dwadzieścia gwinei? Wyciągnął długą sakiewkę i obojętnie odliczywszy pieniądze, posunął je ku mnie. W tej chwili po raz pierwszy zdjął nogę z krzesła. Usiadł teraz na nim okrakiem i odezwał się, patrząc na Joego i kołyszac sakiewką:
- Cóż, Józefie Gargery? Ma pan zmieszana minę.
- *Jestem* zmieszany - oświadczył Joe zdecydowanym tonem.
- Zostało postanowione, że nie żąda pan żadnego odszkodowania, tak? Pamięta pan o tym?
- Tak, pamiętam i będę zawsze pamiętał - odparł Joe.
- Ale co by pan powiedział - spytał Jagers, kołyszac sakiewkę - gdybym miał polecenie wypłacenia panu pewnej sumy jako wyrównania...
- Wyrównania? Czego? - nie rozumiał Joe.
- Wyrównania straty, jaką pan ponosi wskutek odejścia czeladnika.
- Joe oparł dłoń o moje ramię z kobiecą delikatnością. Często myślałem o tym, że ręka jego, która potrafi uderzyć z siłą młota, umie jednocześnie zmiadździć człowieka i nie uszkodzić skóry jaja. Było w nim połączenie siły i łagodnej stopy.
- Jestem szczęśliwy, z całego serca wieszuję Pipowi dobrego losu - mówił Joe - ale jeżeli pan myśli, że może pieniądze mi zapłacić mi wyrównanie straty tego chłopca, który był moim dzieckiem... jak przyszedł do kuźni... i zawsze był mi najlepszym przyjacielem...

O, dobry, drogi Joe, którego tak lekko gotów byłem opuścić i wobec którego okazałem się tak bardzo niewdzięczny! Widzę cię jeszcze, jak muskularnym kowalskim ramieniem zastaniasz sobie oczy, słyszysz, jak dyszy twoja pierś i jak zamiera ci głos. O, drogi, dobry, wierny i delikatny Joe, czuję pełne mifości drżenie twojej ręki na moim ramieniu i twe dotknięcie wydaje mi się dzisiaj tak wzniósłe jak muśnięcie anielskich skrzydeł.

Ale w owej chwili jedynie pocieszałem Joego. Zagubiony na szlakach mej przyszłej fortuny, nie potrafiłem powrócić na ścieżki, jakie przemierzyliśmy razem z Joem. Prosiłem więc Joego, by się pocieszył, gdyż (jak to sam powiedział) zawsze byliśmy najbliższymi przyjaciółmi i (jak to ja powiedziałem) na zawsze nimi pozostaniemy. Joe potarł oczy wolną pięścią z taką siłą, jak gdyby chciał się oślepić, ale nie wyrzekł ani słowa.

Pan Jagers patrzył na tę scenę, jak gdyby Joe był „głupim Jasiem” wioskowym, a ja jego dozorcą. Gdyśmy skończyli, oświadczył, kołyszac sakiewką w dłoni, jak gdyby ją wazył:

- No, Józefie Gargery, ma pan ostatnią szansę. Ja nie uznaję półśrodków. Jeżeli chce pan otrzymać dar, który polecono mi panu wręczyć, niech pan powie, a będzie go pan zaraz miał. Jeżeli jednak pan ma zamiar powiedzieć...

Tu urwał, zdumiony atakiem Joego.

Bo Joe zakreślił się wokół niego z taką miną, jak gdyby miał mordercze myśli.

- Mam zamiar powiedzieć tylko tyle, że jeżeli pan podchodzi do mnie z tym, żeby mnie drażnić jak byka, to niech pan sobie nie żałuje. Mam zamiar powiedzieć, że jeżeli jest pan mężczyzną, to niech pan zaczyna, proszę. I mam zamiar powiedzieć, że mówię to, co myślę, i zawsze będę mówił!

Odciągnąłem Joego na bok. Uspokoił się natychmiast, ale dodał jeszcze, że nie ma zamiaru dać się zadzgać we własnym domu jak byk, którego przedtem drażnił. Pan Jagers, który zerwał się z miejsca przy pierwszych słowach Joego, był już teraz przy drzwiach i nie zamierzał wracać. Rzucił tylko na odchodnym:

- Więc, panie Pip, wydaje mi się, że im prędzej opuści pan

ten dom, tym lepiej będzie dla pana jako młodzienca z wyższych sfer. Więc od dzisiaj za tydzień, a przez ten czas otrzyma pan mój drukowany adres. Po przybyciu do Londynu może pan na stacji dyliżansów wziąć dorożkę i przyjechać wprost do mnie do domu. Niechże pan zrozumie, że ja nie wyrażam żadnej opinii o tym, co się dzieje. Poruczone mi misję i wykonuję ją. Nic więcej. Niech pan to wreszcie zrozumie.

Groził nam obu palcem i sędzę, że mówiłby jeszcze dłużej, gdyby Joe nie wydawał mu się niebezpieczny. Wreszcie poszedł. Przyszło mi nagle do głowy coś, o co musiałem spytać pana Jagersa. Pobiegłem więc za nim do gospody „Pod Trzema Przewoźnikami”, gdzie pozostawił swój wynajęty powóz.

– Przepraszam pana, panie Jagers.

– Halo – odparł – co się stało?

– Chciałbym być całkiem w porządku, panie Jagers, i słuchać pańskich wskazówek, więc zdawało mi się, że lepiej będzie pana spytać. Czy byłoby w tym coś niewłaściwego, gdybym poszedł się pożegnać przed wyjazdem z kimś z tutejszych mieszkańców?

– Nie – odparł, patrząc na mnie, jak gdyby niedostatecznie rozumiał moje pytanie

– Ale ja nie myślę o nikim tu we wsi, tylko o kimś w miasteczku – wyjaśniłem.

– To wszystko jedno – odparł – nie widzę w tym nic niestosownego.

Podziękowałem mu i pobiegłem do domu, gdzie Joe zdążył już zaryglować frontowe drzwi i sprzątać bawialnię. Siedział w kuchni przy kominku, opierając dłoń na kolanach, i patrzył na żarzące się węgle. Przez długą chwilę panowało milczenie.

Siostra moja leżała w wymoszczonym poduszkami fotelu w kącie kuchni, Biddy robiła na drutach przy kominku, Joe siedział przy Biddy, ja obok Joeego w kącie naprzeciw kątka mej siostry. Im dłużej patrzyłem w żar węgla, tym trudniej mi było spojrzeć na Joeego, tym bardziej ciężka mi cisza i tym mocniej czułem, że nie jestem w stanie przemówić.

Wreszcie odezwałem się:

– Joe, czyś mówił Biddy?

– Nie, Pip – zaprzeczył Joe, wciąż patrząc w ogień i ściskając tak mocno kolana, jak gdyby dowiedział się, że mają zamiar uciekać – powiedz jej sam, Pip.

– Wolałbym, żebyś ty powiedział, Joe.

– Pip jest teraz bogatym panem – oznajmił Joe – i Bóg niech go ma w swej opiece.

Biddy porzuciła robotę i spojrzała na mnie. Joe ścisnął znowu kolana i także patrzył na mnie. Ja spoglądałem na nich oboje. Po chwili powinszowali mi serdecznie, ale w głosie ich wyczułem nutę smutku i miałem im to trochę za złe. Staratem się teraz zawiadomić Biddy, a za jej pośrednictwem Joeego, że obowiązuję ich, tak jak mnie, całkowita tajemnica co do osoby mego doświadczenia. Objąłem, że w swoim czasie wszystko się wyjaśni, ale teraz wiadomo tylko, że czekają mnie wielkie nadzieje dzięki dobroci tajemniczego opiekuna.

Biddy wzięła znowu swą robotę i kręcąc głową przyrzekała, że będzie bardzo dyskretna, a Joe, wciąż ścisnąjąc i przytrzymując kolana, obiecał:

– Ojjoj, Pip, i ja będę bardzo dyskretny...

Potem winszowali mi znowu i tak bardzo dziwili się, iż będą panem, że nawet zrobiło mi się nieprzyjemnie.

Biddy zadana sobie teraz wiele trudu, by zawiadomić o tym, co się stało, moją siostrę. Ale jak mi się zdawało, wysiłki te pozostały płonne. Siostra śmiała się, kiwała głową i nawet powtarzała po Biddy słowa „Pip” i „Majątek”, ale nie sądziłem, by wyraziły te miały większe znaczenie niż okrzyki podczas walki wyborczej. Stan jej umysłu był przerażająco ciemny.

Nigdy bym nie uwierzył temu, gdybym sam tego nie przeżył, ale w miarę jak Joe i Biddy odzyskiwali dobre humory, mnie robiło się coraz to smutniej. Nie mogłem być przecież niezadowolony z mej świetnej fortuny, ale, być może, byłem, sam o tym nie wiedząc, niezadowolony z samego siebie.

W każdym razie siedziałem przed kominkiem z łokciem opartym o kolana i twarzą wspartą na dłoni, gdy tamtych dwoje

rozmawiało o tym, co będzie, gdy odejdę, co beze mnie zrobią i o wszystkim innym. Ilekroć chwyciłam spojrzenie któregoś z nich (spoglądali na mnie często – zwłaszcza Biddy), czułam się urażony, gdyż wyobrażałam sobie, że patrzą na mnie z wyrzutem. Bóg jeden wie, że tak nie było.

W takich chwilach wstawałam i szedłam ku drzwiom szeroko otwartym na dwór, gdyż nasze kuchenne drzwi zawsze stały otworem w ciepłe letnie wieczory, by wpuścić więcej powietrza. Wznosiłam oczy ku gwiżdżom, ale obawiam się, że gwiżdzy wydały mi się nędzne, gdyż oświetlały tylko nasze ubogie, wiejskie przedmioty, wśród których spędziłam życie.

– Sobota wieczór – powiedziałam, gdyśmy siedzieli przy kolacji składającej się z chleba z serem i piwa – potem jeszcze pięć dni i już będzie dzień przed moim wyjazdem. To prędko minie.

– Tak, Pip – zgodził się Joe, którego głos brzmiał głucho nad kuflem piwa – to prędko minie.

– Prędko, prędko minie – potwierdziła Biddy.

– Myśle, Joe, że kiedy pójdę w poniedziałek do miasta do krawca zamówić sobie ubranie, to poproszę go, abym mógł przed wyjazdem ubrać się u niego albo u wuja Pumblechooka. Nie chciałybym, aby się na mnie wszyscy gapili.

– Państwo Hubble bardzo chcieliby cię zobaczyć w twojej pańskiej postaci, Pip – powiedział Joe, zręcznie kładąc chleb z serem, położony na płask na jego otwartej lewej dłoni i patrząc na moją nietkniętą kolację, jak gdyby przypomniał sobie czasy, gdyśmy porównywali nasze porcje chleba. – I pan Wopsle, a ludzie „Pod Wesotymi Przewoźnikami” poczytywaliby to sobie za zaszczyt.

– Właśnie tego nie chcę, Joe – oświadczyłam – zrobiliby z tego taką historię, taką ordynarną historię, że nie zniósłbym tego.

– No, jeżeli tak, Pip, jeżeli nie zniósłbyś tego...

Biddy spytała mnie, trzymając talerz przed moją siostrą:

– A czyś pomyślał o tym, kiedy pokazesz się panu Gargery i twojej siostrze, i mnie? Bo przecież nam się pokazesz, prawda, Pip?

– Biddy – odpartem nieco niezadowolony – trudno za toba nadążyć, taka jesteś prędką.

(– Zawsze była prędką – zgodził się Joe).

– Gdybyś mnie spokojnie wysłuchała do końca, Biddy, dowiedziałabyś się, że mam zamiar przynieść tutaj moje ubranie w zawiniątku pewnego wieczora i przymierzyć je wobec was. Najlepiej może w wilię mego wyjazdu.

Biddy nic nie odpowiedziała, a ja wspaniałomyślnie przebaczywszy jej, rzuciłam mile dobranoc Joemu i jej, i poszedłem spać. Kiedy znalazłem się sam w moim małym pokoiku, przyjrzałem się mu uważnie i pomyślałem, że wkrótce już opuszczę to nędzne mieszkanko i wzniosę się wyżej. I to na zawsze. A mimo to pokój ten był pełen młodzińczych świeżych wspomnień i czułem, że uczucia moje są podzielone pomiędzy tę izdebkę a bogate pokoje, które mnie czekają, tak samo jak często podzielone były pomiędzy kuznię a dom miss Havisham, pomiędzy Biddy a Estellę.

Pokój mój był nagrany od słońca, które przez dzień cały świeciło na daszek mansardy, i kiedy podszedłem do okna, by je otworzyć, ujrzałem Joego, który wyszedł na dwór. Biddy podała mu fajkę i zapaliła mu ją. Wiedziałem, że Joe nigdy o tej porze nie pali, i przyszło mi do głowy, że może się chce w ten sposób pocieszyć z jakiegoś powodu.

Joe stał teraz tuż przede mną przy drzwiach na dworze i palił fajkę, Biddy znajdowała się obok niego. Rozmawiali zapewne o mnie, bo słyszałem moje imię. Wymawiali je czule. Gdybym nawet mógł usłyszeć słowa, nie chciałbym słuchać. Cofnąłem się do pokoju i usiadłem na krześle przy łóżku. Myślałem, jakie to dziwne, że pierwsza noc mojej fortuny jest jednocześnie najbardziej smutną z moich nocy.

Przez okno widziałem w mroku blask fajeczki Joego i pomyślałem, że to jest jak gdyby jego błogosławieństwo – z daleka, nie chcąc mi się narzucać, błyska w powietrzu, którym obaj oddychamy. Zgasifem światło i wsunąłem się do łóżka. Ale nie wydawało mi się teraz wygodne i nigdy już nie potrafiłem zasnąć w nim tak głęboko jak dawniej.

## Rozdział dziewiętnasty



Ranek przyniósł całkowitą zmianę w moim usposobieniu i rzucił zupełnie inne światło na moje plany życiowe. Najmocniej tkwiło w moim umyśle przeświadczenie, że zaledwie sześć dni dzieli mnie od wyjazdu. Lękałem się nieustannie, że przez ten czas coś może się zmienić w Londynie i nieledwie byłem przekonany, że gdy przybędę do tego miasta, okaze się, że zostało zburzone lub że zniknęło z powierzchni ziemi. Joe i Biddy zachowywali się bardzo miło, gdy wspominałem o moim wyjeździe, ale nigdy sami nie zaczęli o tym rozmowy. Po śniadaniu Joe przyniósł dokument mojego kontraktu i wrzucił go w ogień kominika. Dopiero wtedy poczułem się wolny. Po śniadaniu też, pełen nowych myśli, poszedłem z Joem do kościoła i myślałem, że może gdyby proboszcz wiedział o wszystkim, opuściłby przy czynie znany nam urywek o bogactwie w królestwie niebieskim.

Po wczesnym obiedzie wyszedłem sam na przechadzkę, postanawiając raz na zawsze pożegnać się z bagniskami i okolicą. Gdy przechodziłem obok kościoła, ogarnęło mnie współczucie (którego doznawałem już rano na nabożeństwie) dla tych wszystkich biednych istot, które muszą przez całe życie niedziela po niedzieli bywać w tym kościele, a po śmierci leżeć wśród zielonych pagórków na tutejszym cmentarzu. Postanowiłem sobie, że muszę w przyszłości coś dla nich zrobić, i ułożyłem sobie plan, że każdy z mieszkańców wioski zostanie przeze mnie

zaprošzony na obiad składający się z porcji rostbefu, puddingu ze śliwek i szklanki piwa oraz mnóstwa łaskawości.

Już dawniej niekiedy myślałem ze wstydem o mojej znajomości ze zbiegłym bandytą, którego widziałem kulejącego wśród grobów cmentarza. Teraz wstyd ten był jeszcze dotkliwszy. Czuję go owej niedzieli silnie, gdy mijalem to miejsce, w którym widziałem zbiega drżącego w łachmanach, ze śladami kajdan na nodze. Pocieszała mnie jedynie myśl, że było to już dawno i że galernik zapewne nie żyje, a w każdym razie dla mnie umarł na zawsze.

Już nigdy więcej nie ujrzę tych ziem nizinnych i wilgotnych, tych tam i słuź, tego ponurego bydlą pasącego się na bagniskach, chociaż dzisiaj wydawało mi się, że posępne spojrzenia zwierząt wyrażają więcej szacunku dla kogoś, kto żywi tak wielkie nadzieje. Żegnajcie, monotoni towarzysze mego dzieciństwa, przede mną jest Londyn i wielkość. Dla niego i dla niej jestem stworzony, a nie dla pracy w kuźni! Pełnym zachwytu krokiem doszedłem do starej twierdzy i położwszy się, tak długo myślałem o tym, czy też miss Havisham przeznacza mnie dla Estelli, dopóki nie zasnąłem.

Byłem bardzo zdziwiony, gdy po przebudzeniu się ujrzałem siedzącego obok mnie i palącego fajkę Joeego. Uśmiechnął się do mnie serdecznie i powiedział:

– To już ostatni raz, Pip, więc poszedłem za tobą.

– Jestem rad, że cię widzę, Joe.

– Dziękuję, Pip.

– Możesz być pewien, Joe – oświadczyłem, gdyśmy sobie uściśnęli ręce – że nigdy ciebie nie zapomnę.

– Nie, nie, Pip – odparł Joe takim tonem, jak gdyby to on mnie pocieszał – nigdy mnie nie zapomnisz. Jestem tego pewien. Wystarczy, gdy dobrze sobie to zakarbujesz w głowie, a na pewno tak będzie. Ale ta zmiana nie będzie taka łatwa. Przyszło to na ciebie jak nawałnica, co?

Nie podobało mi się, że Joe tak bardzo był od razu mnie pewien. Wolałbym, żeby powiedział coś w rodzaju: „To ci przyyno-

si zaszczyt, Pip”. Ale nie odpowiedziałem nic na pierwszą część jego twierdzenia, a co do drugiej odpartem, iż istotnie stało się to nagle, ale że zawsze pragnąłem być panem i często układałem sobie, co będę robił, gdyby się tak miało stać.

– Tak myślałeś? – zdziwił się Joe. – To zdumiewające!

– Szkoda, Joe, żeś więcej nie skorzystał z naszych lekcji, dopóki tu byłem – zauważyłem.

– Widzisz, nie wiem, czemu jestem taki tępy – odpart Joe – widocznie umiem robić tylko moją robotę. Zawsze żałowałem, że mam taki tępy, ale nie mam powodu dzisiaj martwić się z tej przyczyny więcej niż przed dwunastu miesiącami na przykład.

Mówiąc to miałem na myśli fakt, że kiedy się wzbogacę i będę chciał pomóc Joemu, to lepiej byłoby, aby okazał się bardziej przygotowany do poprawy losu. Ale on tak dalece nie podejrzewał nic podobnego, że postanowiłem raczej zwierzyć się z tej myśli Biddy.

Toteż kiedy wróciliśmy do domu i zjedliśmy podwieczorek, zaraz po herbacie zaciągnąłem Biddy do naszego małego ogródka przy łące i pochlebivszy jej najpierw zapewnieniem, że nie zapomnę jej nigdy, wyznałem, że mam do niej prośbę.

– Chciałem cię prosić, Biddy, abys zajęła się trochę Joem.

– Jak mam się nim zająć? – spytała Biddy, patrząc jakoś dziwnie na mnie.

– Widzisz, Joe to dobry chłop, najlepszy chyba ze wszystkich, jakich znam. Ale jest okropnie nieokrzesany. W zachowaniu się, no i w nauce, Biddy. – Mimo że mówiąc patrzyłem na Biddy i mimo że ona miała oczy szeroko otwarte, nie spojrzała na mnie.

– W zachowaniu się? – powtórzyła, zrywając liść czarnej porzeczki – a cóż ci przeszkadza jego zachowanie się?

– Zrozum, Biddy, ono jest może dobre tutaj...

– Ach, dobre tutaj – powtórzyła Biddy, przyglądając się listkowi porzeczki, który trzymała w dłoni.

– Wystuchaj mnie... gdybym chciał, kiedy się wzbogacę, podnieść Joego do wyższych sfer, w których będę przebywał, to tam nie uznano by jego zachowania się.

– A czy nie pomyślałeś, że on to wie doskonale? – spytała Biddy.

Pytanie było tak wyzywające (gdyż tego rodzaju przypuszczenie nie przyszło mi nigdy do głowy), że spytałem tylko:

– Biddy, co masz na myśli?

Biddy roztarła na dłoni liść (i odtąd zapach czarnej porzeczki na zawsze pozostał dla mnie związany z owym niedzielnym wieczorem w naszym małym ogródku) i zagadnęła:

– Czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że on może mieć swoją dumę?

– Dumę? – powtórzyłem z akcentem lekceważenia.

– O, są rozmaite rodzaje dumy – mówiła Biddy, patrząc na mnie i potrzásając głową – duma nie zawsze bywa jednakowa... – No, czemu przerwałeś? – spytałem.

– Nie zawsze jest jednakowa – ciągnęła Biddy – może być duma nie pozwalająca człowiekowi opuścić pracy, którą dobrze wykonuje i za którą go szanują. Moim zdaniem Joe jest w ten właśnie sposób dumny, chociaż to może śmiało twierdzenie z mojej strony, bo ty go znasz na pewno lepiej niż ja.

– Wiesz, Biddy – powiedziałem – nie spodziewałem się czegoś podobnego po tobie. Jesteś po prostu zazdrosna o lepszy los, jaki mnie czeka, i nie potrafisz ukryć zawiści.

– Jeżeli masz serce tak sądzić – obruszyła się Biddy – to potwarzaj to raz po raz. Jeżeli masz serce tak przypuszczać.

– Jeśli ty masz serce być taką, Biddy – odpartem wyniosłym i sztucznym tonem – to nie zwalaj winy na mnie. Bardzo mi przykro widzieć coś podobnego, to objaw złej strony natury ludzkiej. Chciałem cię prosić, abys po moim wyjeździe korzystała z każdej okazji, by wykształcić tego drogiego Joego, ale teraz nie będę cię już o nic prosił.

I raz jeszcze powtórzyłem:

– Bardzo mi przykro, Biddy. To zła strona natury ludzkiej przemawia przez ciebie.

– Bez względu na to, czy mnie chwalisz czy potępiasz – powiedziała biedna Biddy – możesz na mnie liczyć, że będę tu ro-

biła wszystko, co okaże się w mojej mocy. I cokolwiek o mnie myślisz odjeżdżając, nie zmieni to mego sądu o tobie, chociaż prawdziwy pan nie powinien być niesprawiedliwy – zakor-  
ta, odwracając głowę.

Powtórzyłem raz jeszcze gorąco, że to wina złej strony natury ludzkiej (zdawało mi się w owej chwili, iż mam słuszość) i odwróciwszy się od Biddy plecami, zacząłem oddalać się wąską ścieżką w dół. Biddy weszła do domu, a ja wyszedłem przez furtkę ogrodową i przechadzałem się samotnie aż do kolacji, rozmyślając, czemu to drugi wieczór mojej wspianej fortuny jest równie smutny i przykry jak pierwszy.

Ale rano znowu przyniósł mi pociechę. Rozciągnąłem moją taskawość na Biddy i nie wracałszy już więcej do tego tematu. Ubrawszy się w najlepsze ubranie, poszedłem do miasta natychmiast po otwarciu sklepów i skierowałem się do krawca, pana Trabba. Pan Trabb siedział właśnie przy pierwszym śniadaniu w pokoju za sklepem i nie uważał nawet za stosowne wyjść do mnie, tylko zawezwał mnie do siebie.

– No, i cóż? – spytał przyjacielsko, swobodnie-zartobliwym tonem – jak się pan miewa i czym mogę panu służyć?

Pan Trabb właśnie rozkładał gorącą butelczkę na trzy cienutkie części i posmarowawszy je masłem, składał z powrotem w jeden kawałek. Był to zamożny stary kawaler. Otwarte okno jego pokoju wychodziło na zasobny maty ogródek i sad owocowy. Zamożnie też wyglądała żelazna kasa ogniotrwała, stojąca obok jego kominka, i nie wątpię, że wnętrze jej jest równie za-  
możne i składa się z wypchanych worków.

– Panie Trabb – powiedziałem – to bardzo przykra sprawa, bo wygląda na przechwataki, ale muszę panu wyznać, że wszedłem w posiadanie sporego majątku.

W panu Trabbie zaszła natychmiast zmiana. Zapomniał o maśle, którym grubo nasmarował bułkę, rzucił ją na stół, wyariat palce o obrus i zawołał:

– Boże, miej mnie w swojej opiece!

– Mann jechać do mego opiekuna do Londynu – oznajmiłem,

wyjmując niby nieumyślnie kilka gwinej z kieszeni i spoglądając na pieniądze – i chciałbym sprawić sobie elegancki garnitur. Mam zamiar – dorzuciłem, bojąc się, że krawiec nie zechce ryzykować – zapłacić gotówką.

– Wielce szanowny panie – odparł pan Trabb, pochylając się przede mną w pełnym poważaniu ukłonie i dotykając palcami mych łokci – niechże pan nie obraża mnie takimi słowami. Czy wolno mi panu powinszować? Zechce pan zrobić mi taką taskę i wstąpić do mego sklepu?

Chłopak służący u pana Trabba był najbezpieczniejszym chłopcem w całej okolicy. Gdy wszedłem, zamiatał właśnie sklep i aby się trochę rozzerwać, rozpytał kurz wprost na mnie. Zamiatał jeszcze, kiedy zjawilem się ponownie w sklepie z panem Trabbem i zaczął walić szczotką we wszystkie możliwe kąty i przeszczody, aby w ten sposób wyrazić (tak to rozumiałem) swoją obojętność w stosunku do każdego na świecie kowala, żywego czy umarłego.

– Przeszań hałasować – nakazał mu pan Trabb surowo – bo dam ci w tęb. Niech pan będzie taskaw usiąść – zwrócił się do mnie. – A teraz proszę – tu rozwinął falistym ruchem sztukę materiału, pogładziwszy ją przedem z wierzchu dla pokazania politysku. – To bardzo piękny towar. Mogę z czystym sumieniem polecić go panu dla pańskich celów, jest w doskonałym gatunku. Ale mam też i inne. Daj mi numer czwarty, ty! (ostatnie słowa wymówił do chłopca szczególnie surowo, obawiając się, by nie rzucił we mnie sztuką sukna lub nie pozwolił sobie na inną w stosunku do mnie poufałość).

Pan Trabb nie spuścił ani na mgnienie oka surowego spojrzenia z chłopca, dopóki ten podawał sztukę materiału numer czwarty i rozkładał ją na ladzie, aż do chwili gdy znalazł się w przyzwolonej ode mnie odległości. Wtedy rozkazał mu przynieść numer piąty oraz numer ósmy.

– I żadnych twoich figli tutaj – przykazywał pan Trabb – bo inaczej, nicponiu, zapamiętasz to sobie na resztę życia!

Następnie pan Trabb pochylił się nad numerem czwartym i ponułym, unizonnym tonem zwierzył mi, że jest to lekki materiał, od-

powiedni na letnie ubranie, materiał bardzo wzięty wśród szlachty i arystokratów, i że on uważałby za zaszczyt, gdyby mógł ubrać weń dystyngowanego współmieszkańca swego miasta (bo chyba nie obrażę się, gdy nazwie mnie współmieszkańcem).

– Czy przyniosłeś numery pięć i osiem, ty włóczęgo? – zwrócił się następnie pan Trabb do chłopca – czy też mam wyrzucić cię ze sklepu i sam przynieść?

Wybrałem przy pomocy pana Trabba materiał na garnitur i przeszedłem do pokoju dla wzięcia miary. Bo chociaż miał już od dawna moje wymiary, to oświadczył, że wobec zmienionych warunków nie mogą mu wystarczyć:

– Nie ma mowy, aby wystarczyły, proszę pana.

Wobec tego pan Trabb mierzył mnie i ustalał rozmiary mojej postaci niczym geometra mierzący posiadłość ziemską i zadawał sobie przy tym tyle trudu, że uszycie żadnego garnituru nie mogło zapłacić mu za ten pełen bólu wysiłek.

Kiedy wreszcie skończył miarę i umówił się ze mną, że odeśle ubranie w czwartek do mieszkania pana Pumblechooka, powiedział, z dłońią opartą na klawce:

– Wiem doskonale, proszę pana, że panowie z Londynu nie mogą z reguły popierać sił prowincjonalnych, ale gdyby pan od czasu do czasu zechciał przypomnieć sobie o mnie, jako współmieszkańcu jednego miasta, byłbym panu bardzo obowiązany. Do widzenia, szanownemu panu. Dziękuję najuprzejmiej. Drzwi!

Ostatni okrzyk odnosił się oczywiście do chłopaka, który nie zrozumiał, o co chodzi, i dosłownie upadł na wznak na widok swego pana odprowadzającego mnie z zacieraniami dłoni ku drzwiom. W ten sposób po raz pierwszy uzmysłowiłem sobie potęgę pieniądza, widząc, jak moralnie powała na ziemię chłopaka pana Trabba.

Po tym pamiętnym zdarzeniu odwiedziłem kolejno kapelusznika, szewca i właściciela sklepu z bielizną, i czułem się jak pies matki Hubbard, bohater słynnej piosenki dziecięcej, który załatał kolejno tyle sprawunków. Udałem się także na stację dyl-

żansów i zamówiłem miejsce na siódmą rano na sobotę. Nie miałem powodu, żeby wszędzie opowiadać, że doszedłem do takiego pięknego majątku, ale gdziekolwiek o tym napomknąłem, kupcy natychmiast zaprzestawali pełnego melancholii gapienia się przez okno na High Street i rzucali się do mych usług. Gdy już zamówiłem wszystko, co chciałem, udałem się do pana Pumblechooka i już z daleka ujrzałem go stojącego na progu sklepu.

Oczekiwał mnie z wielką niecierpliwością. Zajechał już rano bryczką przed kuźnię i dowiedział się o wszystkim. Przygotował dla mnie przekąskę u Bamwella i tak jak krawiec rozkazał swemu subiektowi, by „nie płatał się pod nogami”, w chwili kiedy zjawiała się moja święta osoba.

– Drogi mój przyjacielu – powiedział Pumblechook, biorąc mnie za obie ręce, kiedy zostaliśmy sami z przekąską – cieszę się z pańskiego szczęścia. Zastużone, dobrze zastużone!

W ten sposób przystąpił od razu do rzeczy i uważałem, że mówi całkiem słusznie.

– Prawdziwą nagrodą dla mnie – oświadczył, wciągając z chwytem powietrze przez nos – jest pomyśleć, że to ja byłbym skromnym narzędziem tych łask.

Prosiłem pana Pumblechooka, aby pamiętał, że nie wolno mu robić żadnej aluzji do osoby sprawcy tego, co się stało.

– Drogi przyjacielu (jeżeli pozwolisz, oczywiście, tak siebie nazywać...)

Mruknąłem coś w rodzaju „oczywiście”, wtedy wziął mnie znowu za obie ręce i uczynił w okolicach kamizelki gest, który miał charakter uczuciowy, chociaż wypadł nieco za nisko – drogi, młody przyjacielu, może pan liczyć na mnie, iż po pańskim wyjeździe uswiadomię całą rzecz Józefowi, Józefowi! – Pan Pumblechook powtórzył kilkakrotnie „Józefowi, Józefowi!” takim tonem, jak gdyby chciał zaznaczyć swój stosunek wyższości wobec owego Józefa.

– Ale, mój młody przyjacielu – ciągnął – musi pan być głodny i wyczerpany. Niechże pan siada. Oto jest kurczę, które sprwadziłem z oberży „Pod Błękitnym Dzikim”, ozór prosto od



„Dzika”, a tutaj kilka przystawek też z „Błękitnego Dzika”. Spodziewam się, że pan nie pogardzi tymi przysmakami...

Ledwie wstał, a znowu zaraz usiadł ze słowami:

– Czy istotnie mam przed sobą tego, którego znam od matiego dziecka i czy *wolno mi...* wolno mi...

To „czy wolno mi” dotyczyło ponownego ściskania moich rąk, co też uczynił, i usiedliśmy znowu.

– A oto wino – oznajmił Pumblechook – wypijmy. Za szczęśliwy los, oby był zawsze tak przychylny w swych postanowieniach! A teraz... nie mogę bez wzruszenia... nie mogę widzieć przed sobą kogoś... i wypić za jego zdrowie... bez wyrzeka... czy *wolno mi?*... Czy *wolno mi?*

Odpartem, że mu wolno, i znowu wstał. by uściskać sobie dłoń, a Pumblechook opróżnił szklankę i odwrócił ją do góry dnem. Uczyniłem to samo i gdybym zamiast szklanki siebie samego odwrócił do góry nogami, wino nie uderzyłoby mi szybciej do głowy.

Pan Pumblechook poczęstował mnie skrzydełkiem kury i najlepszym kawałkiem ozoru (nie było już mowy o odpadkach wieprzowiny) i zwrócił się z przemówieniem do drobiu na półmisku:

– Och pulardo, pulardo – powiedział – czyś myślała kiedyś, będąc młodym kurczęciem, co cię czeka w przyszłości? Nie spodziewałaś się zapewne, że będziesz służyła za pożywienie pod skromnym dachem komuś takiemu... O, może to pan nazwać słabością, jeżeli się panu podoba – ciągnął Pumblechook – ale czy wolno mi, czy wolno mi jeszcze raz...

Zbyteczne już było przyzwalanie mu, że wolno, więc uczyniłem to sam. W jaki sposób potrafił tyłkrotnie rzucać mi się nagle na szyję bez zranienia się moim nożem, pozostanie dla mnie tajemnicą.

– A siostra pańska – mówił po chwili odżywiania się – pańska siostra, która wychowała pana „własnoręcznie”! To smutne, że nie jest teraz w możności pojąć zaszczytu, jaki pana spotkał. Czy wolno mi...

Pojąłem, że znowu porywa się ku mnie, i tym razem zatrzymałem go.

– Wypijmy jej zdrowie – zaproponowałem.

– Ach – krzyknął Pumblechook, rzucając się w tył na krześle i drżąc z zachwytu – po tym się ich poznaje, szanowny panie! (Nie wiedziałem, kto ma być tym szanownym panem, nie sądziłem, aby to o mnie szło, a nikogo trzeciego nie było w pokoju). Po tym poznaje się szlachetnych ludzi, szanowny panie! Wspaniałość, szanowny panie! – Pan Pumblechook wstał służąc i wznosząc ku górze pełną szklankę, dorzucił jeszcze: – Może się komuś pospolitemu wydawać, że niepotrzebnie się powtarzam, ale czy *wolno mi...*?

Kiedy już znowu mnie uściskał, usiadł na swym miejscu i wypił za zdrowie mej siostry:

– Nie bądzmy ślepi na wady jej charakteru – zauważył – ale pamiętajmy, że miała zawsze dobre chęci!

W tej chwili spostrzegłem, że twarz mego towarzysza jest szkarłata, moje policzki zaś zdawały się tonąć w winie i pałaty. Wspomniałem panu Pumblechookowi, że na jego adres odeślij moje nowe ubranie i tym wyróżnieniem wprawiłem go w zachwyty. Objaśniłem mu, że nie chcę wzbudzać moim strojem sensacji w mieście, a on pod niebo słał moją delikatność. Nikt prócz niego nie zasłużył tu na zaufanie i czy wolno mu...? Następnie spytał mnie czule, czy pamiętam nasze wspólne dziecięce zabawy w tabliczkę mnożenia i czy pamiętam naszą wspólną podróż, gdy zostałem terminatorem, i to, że zawsze był przeciw moim najmilszym towarzyszom i przyjaciółmi. Gdybym pił dziesięć razy więcej wina, niż piłem, jeszcze pamiętałbym, że nasze stoki były całym innym, i w głębi serca protestowałbym przeciwko jego słowom. Ale mimo to pomyślałem, że może to ja się omyliłem i że on jest dobrym, serdecznym i szczerym przyjacielem. Zaufanie jego stopniowo tak wzrosło, że zaczął radzić się mnie w sprawach własnych interesów. Zwierzył mi się, że nadarza mu się okazja skupienia w swym ręku całego handlu nasionami i zbożem, ale pod warunkiem, że rozszerzy swój interes.

Wtedy stworzyłby w tej branży coś, czego jeszcze nie było. Jedyną rzeczą, której mu do tego potrzeba, jest to, co nazwał większym kapitałem. „Większy kapitał” – oto były dwa wyrazy, które z naciskiem powtórzył. Wydawało się mu (Pumblechookowi), że gdyby kapitał ten włożony został do interesu przez cichego wspólnika, to wspólnik ten nie miałby nic do roboty. Tylko dwa razy do roku zjawiałby się sam lub przysłał kogoś dla sprawdzenia ksiąg i zainkasowania zysków wynoszących mniej więcej około pięćdziesięciu procent. Wydawało mu się też, że sprawę tę powinien wziąć pod uwagę jakiś młody, rozpoczynający życie człowiek. Ale co ja o tym sędzę? Ma wielkie zaufanie do mnie i chciałby wiedzieć, co o tym myślę. Odpowiedziałem mu krótko: „Niech pan trochę zaczeka!”, i słowa te obudziły w nim taki zachwyty, że już nie pytał, czy wolno, ale oświadczył, że musi mnie uściskać, co też uczynił.

Wypiliśmy całe wino i pan Pumblechook jeszcze kilkakrotnie zapewnił mnie, że nie pozwoli Józefowi upaść (nie wiedziałem, o jaki upadek mu chodzi) i że będzie mi nadal wyświadczał wiele usług (nie wiedziałem, o jakie chodzi usługi).

Zawiadomił mnie także po raz pierwszy w moim życiu, i trzeba przyznać, że dotychczas świetnie potrafił dochować tajemnicy, iż zawsze mówił: „Ten chłopak to niezwykły chłoptec i zapamiętajcie sobie, czeka go niezwykły los”. Dodał z łzawym uśmiechem, że dziwnie teraz wspomnieć sobie owe jego słowa, i zgodziłem się na to. Wreszcie wyszedłem na dwór z niejasnym uczuciem, że dzieje się coś dziwnego z blaskiem słonecznym, i wrażeniem, że znajduję się w kołowrocie i że w żadnym razie nie trafię do domu.

Ocknąłem się na dźwięk głosu pana Pumblechooka, który mnie wzywał, biegnąc za mną skapaną w słońcu drogą. Zatrzymałem się. Podbiegł do mnie bez tchu.

– Nie, mój drogi przyjacielu – przemówił, gdy odzyskał oddech – nie mogę pominąć tej ostatniej okazji bez czułości. Czy wolno mi, jako staremu i zycziwemu przyjacielowi? *Czy wolno mi...*?

Uścisnęliśmy sobie po raz setny ostatecznie ręce i Pumblechook z oburzeniem kazał odjechać na bok bryczce, której sta-

tem na drodze. Potem pobłogosławił mi i stał, machając ku mnie dłonią, dopóki nie zniknąłem na zakręcie szosy. Wtedy dopiero, gdy wyostałem się na pole, położyłem się pod jakimś płotem i przespałem, zanim puściłem się w dalszą drogę.

Nie miałem prawie wcale bagażu do zabrania do Londynu, bo z niewielu przedmiotów, jakie posiadałem na własność, prawie żaden nie nadawał się do mojej nowej pozycji. Mimo to natychmiast zabrałem się do pakowania i pakowałem z dzikim zapałem wszystko, co wpadło mi pod rękę, wyobrażając sobie, że nie mam ani chwili do stracenia.

Tak minął wtorek, środa i czwartek. W piątek rano poszedłem do pana Pumblechooka, by włożyć nowe ubranie i udać się z wizytą do miss Havisham.

Wskazano mi sypialnię pana Pumblechooka, abym się mógł przebrać, i spostrzegłem, że specjalnie dla mnie powieszono tam czyste ręczniki. Mój nowy garnitur napelnił mnie rozczarowaniem, ale mam wrażenie, że od czasu jak wymyślono ubrania, ani jeden oczekiwany niecierpliwie strój nie jest taki, jak go sobie wyobrażał właściciel. Ale kiedy miałem je już na sobie pół godziny i kiedy wykręcałem się nie wiadomo ile razy przed wielkim lustrem pana Pumblechooka w próżnej nadziei ujrzania własnych nóg, zaczęło mi się ono bardziej podobać. Pana Pumblechooka nie było w domu, gdyż był to dzień targowy w miasteczku oddalonym o dziesięć mil od naszego. Nie powiedziałem mu dokładnej daty mego wyjazdu i nie miałem wielkiej ochoty znowu ścisnąć jego ręk. Dobrze się więc składało i wyruszyłem w nowym stroju, straszliwie wstydzając się chłopa sklepowego stojącego na progu i podejrzywając, że wyglądam w tym stroju jak Joe w niedzielnym ubraniu.

Poszedłem do miss Havisham okólnymi drogami i pociągnąłem za dzwonek u bramy z trudem, gdyż nie pozwały mi na to palce sztywne w nowych rękawiczkach.

Sara Pocket otworzyła mi drzwi i aż się cofnęła, widząc mnie tak zmienionego. Jej twarz, podobna do skorupy orzecha, zmieniła się z brunatnej w zielonkawą, a potem w żółtą.

– To pan? – powiedziała. – Pan? Miły Boże, czego pan chce?  
– Wyjeżdżam do Londynu, miss Pocket – oznajmiłem – i chciałbym pożegnać się z miss Havisham.

Nie oczekiwałam, więc pozostawiła mnie na podwórku i poszła spytać się, czy będę przyjęty. Po krótkim czasie wróciła i poprosiła mnie na górę, a przez całą drogę nie spuszczała ze mnie oka.

Miss Havisham oparta na lasce przechadzała się w dużym pokoju, gdzie stał wiecznie nakryty stół. Pokój był oświetlony jak zwykle. Na odgłos naszych kroków miss Havisham zatrzymała się i obejrzała. Stała właśnie tuż obok rozkładającego się tortu weselnego.

– Nie odchodź, Saro – poleciła. – No, i co, Pip?

– Wyjeżdżam do Londynu, miss Havisham. Jadę jutro – mówię z wielką ostrożnością – i przyszedłem pożegnać się z panią. Myślę, że pani nie weźmie mi tego za złe.

– Aleś się wystroił – zauważyła, zakreślając laseczką krąg wokół mojej postaci jak chrestna matka-wróżka, odprawiająca ostatnie czary.

– Zostałem obdarowany przez los, od czasu kiedy panią ostatni raz widziałem, miss Havisham – powiedziałem – i tak bardzo jestem za to wdzięczny, miss Havisham.

– Tak, tak – odparła, patrząc z przyjemnością na pekąjącą z zazdrości Sarę – widziałam się z panem Jaggersem i słyszałam o tym, Pip. Więc jedziesz jutro?

– Tak, miss Havisham.

– Zostałeś adoptowany przez bogatą osobę?

– Tak, miss Havisham.

– Która nie podała swego nazwiska?

– Nie podała, miss Havisham.

– Uczyniła pana Jaggersa twym opiekunem?

– Tak, miss Havisham.

Rozkoszowała się po prostu tymi pytaniami i odpowiedziami, tak cieszyła ją zawieść Sary Pocket.

– A więc – zakończyła – masz przed sobą piękną karierę. Za-

chowuj się dobrze, zasłuż sobie na to i słuchaj wskazówek pana Jaggersa.

Spojrzała na mnie, potem na Sarę. Na widok miss Pocket okrutny uśmiech ukazał się na twarzy uważnie obserwującej starej damy.

– Do widzenia, Pip. Bo zawsze pozostaniesz Pipem, wiesz o tym?

– Tak, miss Havisham.

– Do widzenia, Pip.

Wyciągnęła ku mnie dłoń, a ja przykląknęłam i ucałowałam ją. Nie układałam sobie przedtem, jak pożegnani miss Havisham, ale teraz uważałam to za całkiem naturalne. Patrzyła na Sarę Pocket z wyrazem triumfu w dziwnych oczach. I tak pozostawiłam moją chrestną matkę-wróżkę, opartą obiema dłońmi o laseczkę, stojącą pośrodku mrocznego pokoju tuż obok osnutego pajęczynami, rozkładającego się kołacza weselnego.

Sara Pocket odprowadziła mnie na dół, jak gdybym był duchem, którego należy się pozbyć. Jeszcze nie otrzymałam się ze zmieszania, które ogarnęło ją wraz z moim zjawieniem się. Powiedziałam jej: „Do widzenia, miss Pocket”, ale ona stała nieruchomo, jak gdyby tego nie dośłyszała. Opuściwszy ten dom, pobiegłem jak najszybciej do domu pana Pumblechooka, zjąłem ubranie, zawiązałem je w węzełek i poszedłem do domu w moim starym stroju, o wiele swobodniejszy, prawdę mówiąc, niż poprzednio, mimo że miałem w ręku paczkę.

I oto owe sześć dni, które mi się przedtem tak dłużyły, teraz chyliły się ku końcowi i jutro zglądało mi w twarz, a ja nie ośmielałem się podnieść nań oczu. Gdy sześć wieczorów topniało stopniowo w pięć, cztery, trzy i dwa, coraz bardziej cenilem sobie towarzystwo Joego i Biddy. Ostatniego zaś wieczoru ubrałem się dla zrobienia im przyjemności w nowe ubranie i w tym wspaniałym stroju przesiadzałem aż do udania się na spoczynek.

Miejszy dla uczczenia mej podróży gorącą kolację z nieodzownym drobiem i napiliśmy się ponczu. Byliśmy wszyscy bardzo przygnębieni, mimo że udawaliśmy wesółych.

Miałem wyjść z domu o piątej rano, zabierając ze sobą małą ręczną walizkę. Powiedziałem Joemu, że chcę pójść sam do dylizansu. Obawiam się, mocno się obawiam, że chcę ta wynikła z lęku przed zbyt wielkim kontrastem, jaki przedstawiałyby nasze dwie postacie w miasteczku. Wmawiałem sobie, że bynajmniej nie o to mi chodzi, ale kiedy zostałem sam w moim pokoiku na ostatnią noc w tym domu, wiedziałem już na pewno, że dlatego chcę pójść sam, i nawet zaprzagnąłem zejść na dół i prosić Joego, by mnie odprowadził. Nie uczyniłem tego.

Przez całą noc sniły mi się dylizanse, które jechały zamiast do Londynu do jakichś innych miejscowości i były zaprzężone raz w psy, raz w koty, świnie czy ludzi, ale nigdy w konie.

Fantastyczne przygody nieudanej podróży prześladowały mnie do świtu, aż do ранego śpiwu ptaków. Wtedy wstałem, ubrałem się i usiadłem przy oknie, by po raz ostatni przez nie popatrzeć, i zasnąłem.

Biddy wstała tak wcześnie, by mi przygotować śniadanie, że chociaż przespałem się z godzinkę przy oknie, kiedy się obudziłem, poczułem zapach dymu z rozpalonego komina i zerwałem się przerażony, że to już południe. Ale mimo że byłem już całkiem gotów, mimo że słyszałem brzęk filizanek na dole, nie mogłem się zdobyć na zejście i otwierałem walizkę, by ją po chwili znowu zamknąć i znów otworzyć, dopóki Biddy nie zawołała, że już późno.

Śniadanie zjadłem pośpiesznie, nie czując nawet smaku. Wstałem od stołu i powiedziałem szorstkim tonem, jak gdyby to tylko mnie dotyczyło:

– No, na mnie, zdaje się, czas!

Ucałowałem moją siostrę, która śmiała się i kiwała po swojej głowie, ucałowałem Biddy i objąłem Joego za szyję. Potem wzięłem moją małą walizkę i wyszedłem. Po chwili ustyszałem za plecami jakiś hałas i odwróciwszy się ujrzałem Joego, jak rzucał za mną starym trzewikiem, i Biddy, która robiła to samo. Zatrzymałem się, by pomachać ku nim kapeluszem, a mój stary poczciwy Joe kiwał silnym ramieniem ponad głowę, krzycząc ochryple „Hura!”, gdy Biddy zastaniała twarz fartuchem.

Szedłem szybkim krokiem, myśląc, że łatwiej mi jest odchodzić, niż przypuszczałem, a jednocześnie wyobrażając sobie, jakie to byłoby okropne, gdyby rzucano za mną starym obuwiem za dylizansem w oczach całej High Street. Gwizdałem, idąc lekkim krokiem. Ale wieś była cicha, a lekkie mgły podnosiły się właśnie ku górze, jak gdyby chcąc raz jeszcze pokazać mi te miejsca, gdzie byłem taki mały i niewinny, i które pozostawiłem za sobą, gdy przede mną rozciągał się wielki, nieznan świat. Nagle wydarło mi się westchnienie i wybuchnąłem płaczem. Znalazłem się właśnie w tej chwili przy drogowskazie, więc oparłszy dłoń o słup, powiedziałem:

– Żegnaj, o mój drogi, drogi przyjacielu!

Bóg wie, że nie należy nigdy wstydzic się własnych łez. Są one jak deszcz obmywający pył, który zalega nasze stwardniałe serca. Po płaczu zrobiłem się lepszy niż przedtem. Było mi bardziej przykro i bardziej wstyd mojej niewdzięczności, stałem się szlachetniejszy. Gdybym płakał wcześniej, z pewnością prosiłbym Joego, by mnie odprowadził.

Łzy, które trysnęły mi z oczu podczas cichej drogi ze wsi do miasteczka, tak mną wstrząsnęły, że wyjeżdżając dylizansem z miasta myślałem, czyby podczas pierwszego postoju nie wyjechać, nie wrócić piechotą do domu i nie wyjechać po raz drugi po całkiem innym pożegnaniu. Zmieniłszy konie, a ja wciąż nie byłem zdecydowany, czy nie wysiąść i nie wrócić do domu podczas następnego postoju. I kiedy tak rozmyślałem, wydało mi się, że jakiś przechodzący człowiek to Joe, i serce mi zabiło, jak gdyby szwagier mógł się tu rzeczywiście znajdować! Jeszcze raz zmieniłszy konie i jeszcze raz, i teraz było już za późno i za daleko, by wracać, i jechałem dalej.

Teraz wszystkie mgły uniosły się już w górę uroczycie i przed moimi oczyma rozpościerał się świat.

OTO KONIEC PIERWSZEGO AKTU  
NADZIEI PIPA

## Rozdział dwudziesty



Podróż z naszego miasteczka do stolicy trwała około pięciu godzin. Było niewiele po dwunastej w południe, gdy olbrzymi, zaprzężony w cztery konie pocztowy dyliżans, którego byłem pasażerem, zanurzył się w wirze ruchu ulicznego przepelniającego okolice Cross Keys, Wood Street i Cheapside w Londynie.

My, Brytyjczycy, wmawialiśmy sobie w tym czasie, że zdradą jest przypuszczenie, jakoby wszystko, co posiadamy, nie było najpiękniejsze i najwspanialsze. Gdyby nie to, może przyszłoby mi do głowy, gdybym tak wpadł do olbrzymiego Londynu, czy to miasto nie jest czasem brzydkie, zaplątane, ciasne i brudne. Pan Jagers przysłał mi swój dokładny adres: „Mała Brytania” i dodał w karcie, którą do mnie pisał „Naprzeciw Smithfield i obok stacji dyliżansów”. Mimo to dorożkarz, który zdawał się mieć tyle pelerynek przy wytuszczonym płaszczu, ile lat, wciągnął pchnął mnie do swej dorożki, zatrzasnął drzwiczki, wciągnął schodki, jak gdyby miał mnie wieźć z pięćdziesiąt mil. Wiele czasu zajęło mu wdrapanie się na kozioł, który, pamiętam, ostatecznie był wypłowiałym i zjedzonym przez mole zielonkawym fartuchem. Był to wspaniały pojazd ozdobiony sześcioma koronami na drzwiczkach, nie wiem z ilu stopniami z tyłu dla pomieszczenia asysty lokajów i ostrą zębata broną poniżej stopni dla odstraszenia amatorów, którym przyjdzie pokusa ucześcić się. Zaledwie zdążyłem przyjrzeć się urokom tej karety i pomysłić, że jest to coś pośredniego pomiędzy kojcem i składem łach-

manów, zanim jeszcze zdążyłem się zdziwić, czemu to uprzęż konńska leży wewnątrz pojazdu na siedzeniu, a już ujrzałem, że dorożkarz robi przygotowania do zatrzymania koni. I istotnie pojazd zatrzymał się w ponurej uliczce przed drzwiami jakiegoś biura. Na drzwicach wymalowane było: „Jagers”.

– Ile? – spytałem dorożkarza.  
– Szylinga, chyba że pan zechce mi dać więcej.

Oczywiście odpowiedziałem, że nie zechcę.

– Wobec tego niech będzie szyling – zgodził się dorożkarz – nie chcę mieć przykrości, dobrze go znam!

Przymknął oko, wskazując głową na szyld Jagersa.

Gdy wziął szylinga, wdrapał się na wysoki kozioł i odjechał (co sprawiło mi pewną ulgę), wszedłem do domu z moją małą walizką w rękę i spytałem, czy jest pan Jagers.

– Wszedł – odparł urzędnik – jest w sądzie. Ale czy mam przyjemność widzieć pana Pipa?

Potwierdziłem, że mówię z Pipem.

– Pan Jagers zostawił dla pana słówko, aby pan zaczekał w jego pokoju. Nie mógł określić, jak długo potrwa sprawa w sądzie, ale ponieważ czas jego jest kosztowny, więc powróci na pewno, jak najszybciej mu się uda.

To powiedziawszy, urzędnik otworzył drzwi i wpuścił mnie głębiej do biura.

W którymś z tylnych pokojów zastaliśmy pewnego pana o jednym tylko oku, w zielonym welwetowym fraszku i krótkich spodniach. Przeszkodził mi w czytaniu gazety, więc pocierał nos rękawem.

– Wyjdz, Mike, na dwór – rozkazał urzędnik.

Zacząłem mówić, że spodziewam się, iż nie przeszkodziłem... gdy urzędnik wypchnął jegomościa za drzwi z takim brakiem ceremonii, jakiego dotychczas nie widziałem, wyrzucił za nim jego futurzaną czapkę i pozostawił mnie samego.

Pokój pana Jagersa, oświetlony jedynie blaskiem padającym przez małe okienko, był dziwnie ponury: okienko było tak posklejane, że przypominało rozbitą głowę, a widziane przez nie

domy naprzeciwko robiły wrażenie połamanych na kawałki i pchających się jeden na drugi, aby mi się przyjrzeć. Spodziewałem się w gabinecie biurowym ujrzeć wiele papierków, ale zamiast nich zobaczyłem tam całkiem niespodziewane przedmioty: stary zardzewiały pistolet, szablę w pochwie, dziwaczne szkatułki i pudetka, a na półce dwie płaskorzeźby przedstawiające dwie okropne twarze napuchnięte w okolicach nosa. Fotel pana Jaggersa był wysoki, miał oparcie pokryte czarnym końskim włosiem i ozdobione rzędami mosiężnych gwoździków, jak trumna. Wyobraziłem sobie, jak siedzi plecami do oparcia i wyciąga groźny palec do klientów. Pokój był niewielki i widocznie klienci mieli zwyczaj opierać się plecami o ścianę naprzeciwko fotela pana Jaggersa, gdyż ściana ta była zatłuszczona. Przypomniałem sobie, że jegomość o jednym oku również opierał się o ścianę, dopóki nie stałem się niechętny przyczyną jego wypędzenia z pokoju.

Usiadłem na krześle postawionym obok fotela pana Jaggersa, przeznaczonym zapewne dla klientów, i otoczyła mnie ciężka atmosfera tego gabinetu. Przypomniało mi się, że urzędnik miał, podobnie jak jego szef, taki wyraz twarzy, jak gdyby wiedział o każdym coś złego. Zastanawiałem się, ilu też urzędników może jeszcze być na pierwszym piętrze i czy wszyscy oni odczuwają taką pogardę dla bliźnich. Zapytywałem się też, co mogą oznaczać te wszystkie stare graty w gabinecie i skąd się tu wzięły. Stałem się odgadnąć, czy te dwie spuchnięte twarze na półce należą do rodziny pana Jaggersa, a jeżeli ma już takie nieszczęście, że to jego rodzice, to czemu trzyma ich na zakurzonej i popstrzonej przez muchy półce, zamiast wziąć ich do swego mieszkania. Oczywiście nie byłem przyzwyczajony do londyńskiego lata i dziwiło mnie duszne, upalne powietrze i wielka ilość kurzu unosząca się w pokoju. Siedziałem tak długo, oczekując pana Jaggersa, ale w pewnej chwili nie mogłem już znieść dwu spuchniętych twarzy na półce nad jego fotelem i wybiegłem z pokoju.

Kiedy powiedziałem urzędnikowi, że wychodzę się przejść na ulicę, zanim nadejdzie pan Jaggers, poradził mi, abym skręcił

za róg ulicy, a znajduję się w Smithfield. Trafitem więc do Smithfield i to okropne miejsce zaśmiecone, pełne nieczystości, tłuszczy, krwi i piany zdawało się mnie dusić. Jak najszybciej opuściłem je i pobiegnąłem dalej ulicą, u której wylotu ujrzałem olbrzymią katedrę św. Pawła, wychylającą się zza wielkiego kamiennego gmachu; jakiś przechodzień wyjaśnił mi, że to więzienie Newgate. Idąc wzdłuż muru więziennego spostrzegłem, że jezdnia pokryta jest słomą dla przyciszenia turkotu pojazdów.

Z owego faktu i z tego, że stał tam wielki tłum ludzi, cuchnący piwem i wódką, wywnioskowałem, że to tutaj odbywają się rozprawy sądowe.

Kiedy rozglądałem się wokoło, jakiś wyjątkowo niechlujny i podchmielony urzędnik sądowy spytał mnie, czy chcę wejść do środka i posłuchać jakiegoś procesu. Napomknął też, że za cenę pół korony mogę mieć najlepsze miejsce w pierwszych ławach z widokiem na lorda prezesa sądu w peruce i todze. Mówił o sędzim takim tonem, jak gdyby to była figura woskowa, którą ofiarowuje za zniżoną cenę osiemnastu pensów. Ponieważ odrzuciłem tę propozycję mówiąc, że mam się tu z kimś spotkać, był na tyle łaskaw, że zaprowadził mnie na dziedziniec, by pokazać mi szubienicę oraz słup, przy którym odbywała się kara chłosty, i w końcu Wrota Dłużnika, przez które wypuszczano skazańców przed powieszeniem. Żeby jeszcze bardziej mnie zainteresować tymi okropnymi wrotami objaśnił mi, że pojutrze o ósmej rano przejdzie przez nie czterech skazanych na powieszenie ludzi i że zostaną tu straceni. Ten szczegół napelnił mnie obrzydzeniem do całego Londynu, uczucie to wzrosło jeszcze na myśl, że jegomość, zachowujący się jak właściciel prezesa sądu, nie posiada w swym ubraniu (od kapelusza do butów, włączając w to nawet chustkę do nosa) nic, co by na niego pasowało, i że musiał tę nieodpowiednią dla siebie odzież kupić okazyjnie od kata. Pod wpływem tych myśli uważałem, że wykupiłem się od niego tanio, dając mu szylinga.

Poszedłem do biura, by dowiedzieć się, czy pan Jaggers już powrócił, i kiedy okazało się, że jeszcze go nie ma, wybiegłem

znowu. Tym razem przeszedłem naokoło Malej Brytanii, skręciłem do Bartholomew Close i tutaj przekonałem się, że było nas więcej czekających na pana Jaggersa. Obok mnie przeszło dwu tajemniczo wyglądających jegomościów, którzy przechadzali się powoli, wsuwając końce butów w szczyliny popękane go bruku.

Kiedy mnie mijali, jeden z nich powiedział:

– Gdyby dano się to zrobić, Jaggers na pewno by wygrał...

Na rogu ulicy stało trzech mężczyzn i dwie kobiety; jedna z kobiet płakała, zaskłaniając twarz brudną chustką, a druga przeczeszała ją, otulając jej ramiona własnym szalem.

– Jaggers jest po jego stronie, Melia. Czego więcej można żądać.

Był tam także mały Żydek o zaczerwienionych oczach, który nadszedł, kiedy się przechadzałem po skwerze; towarzyszył mu drugi mały Żydek, którego posłał z jakimś poleceniem. Kiedy tamten podszedł, pierwszy Żyd, najwidoczniej człowiek bardzo podniecony i niespokojny, wykonał pod latarnią skoczny tańiec, wołając sam do siebie:

– Och, Jaggers, Jaggers, Jaggers! Wszyscy inni to pętaki, tylko Jaggers! Dajcie mi Jaggersa!

Te dwa dowody popularności mego opiekuna zrobiły na mnie wielkie wrażenie i w tej chwili szanowałem go bardziej niż kiedykolwiek.

Wreszcie, przez kratę żelaznej bramy oddzielającej Bartholomew Close od Malej Brytanii, ujrzałem pana Jaggersa, jak siedział w moim kierunku. Jednocześnie dostrzegłem go wszyscy, którzy go oczekiwali, i po prostu rzucili się w jego stronę. Pan Jaggers, opierając dłoń na moim ramieniu i idąc obok mnie, przemówił do czekających.

Najpierw zwrócił się do dwu tajemniczych jegomościów.

– Nie mań teraz nic *panom* do powiedzenia – oświadczył, grożąc im palcem – nie pragnę nic więcej wiedzieć nad to, co już wiem. Co się tyczy rezultatu, to rzecz szczęścia. Mówiłem wam już o tym: rzecz szczęścia. Czyście zapłacili panu Wemmickowi?

– Zdobyliśmy dzisiaj rano pieniądze – odpowiedział jeden z nich pokornie, gdy drugi patrzył bacznie w twarz panu Jaggersowi.

– Nie jestem ciekaw, kiedy je zdobyliście, ani od kogo, ani jakim sposobem. Pytam tylko, czy pan Wemmick otrzymał już gotówkę?

– Tak, proszę pana – odparł zgodnym chórem.

– Doskonale, możecie obaj odejść – oznajmił pan Jaggers, robiąc ku nim dłonią gest, który oznaczał, żeby pozostali w tyle za nim – jeżeli powiecie, panowie, jeszcze jedno słowo, zrzekam się sprawy.

– Myśleliśmy, panie Jaggers... – zaczął jeden z nich, zdejmując kapelusz.

– To właśnie wam zabroniłem robić – przypomniał Jaggers – myślicie, a to ja jestem od myślenia za was. To powinno panom wystarczyć. Jeśli będę was potrzebował, zawezwę, wiem, gdzie panów szukać. Nie zyczę sobie, abyscie wy mnie szukali. Nie chcę już słyszeć od was teraz ani słowa.

Dwaj jegomości spojrzeli na siebie porozumiewawczo, gdy niecierpliwie machnął ręką wskazując, by się oddalili, i pokornie, bez słowa odeszli.

– A teraz *panie* – powiedział Jaggers, zatrzymując się nagle i zwracając do dwu kobiet, z których jedna otulała drugą szalem. Trzej mężczyźni posłusznie odstąpili na bok. – To Amelia, czy tak?

– Tak jest, panie Jaggers.

– A czy przypominam pani sobie, że gdyby nie ja, nie byłoby pani tutaj?

– Och, tak, panie Jaggers – zawołały obie kobiety razem – niechaj Bóg ma pana w swojej opiece za to. Wienny doskonale!

– Więc po co pani tu przyszła? – spytał Jaggers.

– Mój Bill, panie Jaggers – zaszlochota kobieta.

– Więc powiem pani raz jeszcze, ale już po raz ostatni. Jeżeli pani nie wierzy, że pani Bill jest w dobrych rękach, to ja pani to mówię. A jeśli pani nie przestanie przychodzić i męczyć mnie o swego Billa, to ukarzę i panią, i Billa, bo pozwolę się jego

sprawie prześliznąć sobie między palcami. Czy zapłacyłście Wemmickowi?

– O, tak proszę pana. Co do grosika.

– Doskonale. Zrobiliście wszystko, co do was należało. A jeżeli powiecie jeszcze jedno słówko, Wemmick odda wam natychmiast wasze pieniądze.

Te słowa miały przerażający efekt, gdyż obie kobiety natychmiast zniknęły. Pozostał tylko rozgorączkowany Żyd, który już kilkakrotnie podnosił do ust połę surduta pana Jaggersa.

– Nie znam tego człowieka! – krzyknął Jaggers gwałtownie – czego on chce ode mnie?

– Drogi panie Jaggers, jestem rodzonym braciszkiem Abrama Lazarusa.

– Kto to taki? – krzyknął Jaggers. – Proszę zostawić moje ubranie w spokoju.

Klient, całując raz jeszcze kraj surduta, zanim wypuścił go z rąk, wyjaśnił:

– Abram Lazarus, podejrzany o paserstwo.

– Już za późno – oznajmił Jaggers – wzięłem obronę strony przeciwniej.

– Boże wielki! – krzyknął mój podniecony znajomy, blednąc – chyba pan nie powie, że wystąpi pan przeciwko Abramowi Lazarusowi?

– Występuję przeciwko niemu – odpowiedział Jaggers – i na tym koniec. Odejść!

– Panie Jaggers, chwileczkę. Mój rodzony kuzyn jest w tej chwili u pana Wemmicka i układa się z nim, za jaką tamten chce cenę. Panie Jaggers, ówierać momentu. Jeżeli pan zgodzi się przejść do naszego obozu za wyższą cenę, to cena nie stanowi... Panie Jaggers! Panie!...

Mój opiekun odrzucił błagającego z całkowitą obojętnością i nawet nie patrzył, jak tamten tańczy na bruku niczym po rozpalonym żelazie. Bez większych przeszkód dotarliśmy teraz do drzwi biura, gdzie zastaliśmy urzędnika i człowieka w futrzanej czapce.

– Przyszedł Mike – zameldował urzędnik, wstając z wysokiego taboretu i zbliżając się do Jaggersa z poufąłym wyrazem twarzy.

– Och – powiedział Jaggers, zwracając się do jegomości, który był zajęty naciąganiem sobie pukla włosów na czoło i przypominał wołu z baśni o Robinie, ciągnącego za sznur dzwonu – pański człowiek ma przyjść po południu. Czy tak?

– Tak, panie Jaggers – potwierdził Mike głosem człowieka cierpiącego na chroniczny katar – nie bez trudu znalazłem kogoś takiego.

– Czy gotów jest do przysięgi?

– Tak, panie Jaggers – odparł człowiek, wycierając tym razem nos futrzaną czapą – gotów jest przysiąc wszystko, czego się od niego zażąda.

Jaggers nagle wpadł we wściekłość.

– Uprzedzam cię – krzyknął, kiwając palcem przed nosem przerazonego klienta – uprzedzam cię, że jeżeli nie przestaniesz mówić w ten sposób, to będziesz miał ze mną do czynienia. Ty przekłety łajdaku, jak śmiesz mnie coś podobnego mówić? Klient patrzył z przestraszoną, ale jak gdyby nic nie pojmującą miną.

– Głupcze – zgromił go teraz urzędnik ciszej, trącając go łokciem – tępa głowo, po coś mówił mu to wprost? – A teraz pytam się ciebie, przekłety idioto – zagadnął mój opiekun surowo – raz jeszcze, i to po raz ostatni, co ma zamiar przysięgać człowiek, którego tu sprowadzasz?

Mike spojrzął bacznie na mego opiekuna, jak gdyby z twarzy jego zamierzał wyczytać odpowiedź na pytanie, i odpowiedział powoli:

– Powie pod przysięgą, jaki jest charakter tego człowieka, i zezna, że nie opuszczał go przez całą noc.

– No, uważaj dobrze i mów: jak wygląda teraz świadek?

Mike spojrzął na czapkę, potem na podłogę, a potem na sufit, później rzucił spojrzenie na urzędnika i na mnie i odparł nerwowo:



– Ubraliśmy go właśnie...

Ale mój opiekun przerwał mu wybuchem:

– Co? *Ubraliście go?* Doprawdy?

(– Idiot! – powtórzył urzędnik, trącąc go znowu łokciem).

Po chwili całkowitego zmieszania Mike nagle rozjaśnił się i oznajmił:

– Jest przyzwójcie ubrany. Wygląda na porządnego cukiernika. Takiego od ciastek.

– Czy jest tutaj? – spytał mój opiekun.

– Zostawiłem go na stopniach schodów, zaraz za rogiem ulicy – wyjaśnił Mike.

– Niech przejdzie koło tego okna, bym mógł go obejrzeć.

Okno wskazane przez Jaggera było oknem biura. Wszyscy trzej umieściliśmy się w jego zagłębieniu i widzieliśmy naszego klienta, jak przespacerował się ulicą w towarzystwie jegomościa o wyglądzie zbrodniarza, ubranego w krótki strój z białego płótna i w białej papierowej czapce na głowie. Ten naiwny cukiernik, daleki od stanu trzeźwości, miał jedno oko podobne na czarno, z lekka już zieleńjące i ukryte pod warstwą szminki.

– Niech pan mu powie, by natychmiast zabierał swego świadka – rozkazał z głębokim niesmakiem mój opiekun urzędnikowi – i niech pan go zapyta, co też sobie myśli, przyprowadzając mi podobnego osobnika.

Teraz mój opiekun zaprowadził mnie do swego gabinetu. Sposzywał na stojąco drugie śniadanie z pudełka z kanapkami, popijał sherry z buteleczki wydobytej z kieszeni (zdawał się przy tym jednym tykiem pochłaniać kanapkę) i wyjaśniał mi, co już dla mnie przygotował. Miałem udać się do „Gospody Barnarda”, do młodego pana Pocketa, gdzie przygotowano dla mnie łóżko, i pozostać u niego do poniedziałku. Tego dnia mam się udać wraz z nim do domu jego ojca w odwiedziny i dla przekonania się, czy mi się spodoba w siedzibie państwa Pocket. Dowiedziałem się też, jakiej wysokości otrzymam pensję (była bardzo hojna), po czym mój opiekun wręczył mi karty z adresami dostawców, gdybym potrzebował czegoś z ubrania lub innych rzeczy.

– Będzie pan miał tam otwarty kredyt, panie Pip – mówił mój opiekun, wychylając sherry z fiaszeczki, która pachniała jak cała beczka – ale ja będę utrzymywał nad tym kontrolę i przetrnę panu dochody, o ile pieniądze będą panu ciekły przez palce. Nie wątpię, że będzie pan niekiedy robił głupstwa, ale to już nie moja wina.

Pomyślawszy chwilę nad tą zachęcającą opinią, spytałem pana Jaggera, czy może mi ktoś sprowadzić doróżkę. Odpart, że nie warto, bo znajduję się blisko miejsca przeznaczenia, i jeżeli chcę, Wennick może mi towarzyszyć.

Wtedy to dowiedziałem się, że urzędnik w sąsiednim pokoju nazywa się Wennick. Zastąpił go chwilowo inny funkcjonariusz, zawezwany z pierwszego pięttra, i po chwili, uściśnięwszy dłoń mego opiekuna, wyszedłem z Wennickiem na ulicę. Przed drzwiami czekał jeszcze tłum interesantów, ale Wennick utorował sobie wśród nich drogę, powtarzając:

– Mówię wam, że czekanie nie zda się na nic. On nie ma wam nic do powiedzenia.

Wkrótce zostawiliśmy ich za sobą i poszliśmy obok siebie ulicą.

## Rozdział dwudziesty pierwszy



Idąc obok Wemmicka rzucałem na niego z boku spojrze-  
nia, by w blasku dnia zobaczyć, jak też wygląda, i stwier-  
dziłem, że jest to mały, zasuszony człowieczek o twarzy jak  
gdyby wyciętej z drzewa tępym dłutem. Gdyby materiał,  
z którego została wyciosana, był miękki, można by się w niej  
doszukać dołeczków, ale tak wyżyłoby się tylko głębokie rysy.  
Dłuto usiłowało najwidoczniej wyryć ozdoby tego rodzaju  
w okolicy nosa w czterech miejscach, ale natrafiając na opór zo-  
stawiło wszystko, nie starając się nic wygładzać. Przypuszczam,  
że pan Wemmick jest kawalerem, sądząc ze stanu ruiny,  
w jakim znajdowała się jego bielizna, i byłem pewien, że musiał  
stracić wielu spośród krewnych, gdyż miał aż cztery żałobne ob-  
rączki na palcach, a krawat przypięty broszą przedstawiającą wi-  
zerunek damy oraz wierzby płaczącej nad mogiłą, na której sta-  
ła urna. Łańcuszek jego zegarka zdobiło aż kilka pierścieni i pie-  
częci, które robiły wrażenie pamiątek po nieboszczykach-  
przyjaciółach. Oczy jego były małe, kłujące i czarne, a usta sze-  
rokie o cienkich, bladych, plamistych wargach. Sądząc z obser-  
wacji, oczy te i usta należały do niego od czterdziestu pięciu do  
pięćdziesięciu lat.

– Nigdy pan dotychczas nie bywał w Londynie? – spytał  
mnie pan Wemmick.

– Nie – odpowiedziałem.

– I ja niegdyś znalazłem się tutaj po raz pierwszy – wyznał.  
– Aż dziwnie mi o tym pomyśleć.

– Teraz pan zna doskonale miasto?

– O tak, znam jego wszystkie tajemnice.

– Czy to bardzo złe miasto? – zagadnąłem bardziej po to, aby  
coś powiedzieć, niż aby naprawdę zasięgnąć informacji.

– Można tu zostać okradzionym, oszukany, zamordowa-  
nym, to prawda – wyjaśnił Wemmick – ale zdarza się to i gdzie  
indziej także. Wszędzie są źli ludzie.

– Czy nie mówi czasem przez pana uraza do ludzi? – spyta-  
łem, chcąc jakoś złagodzić jego słowa.

– Uraza? Nie czuję do nich żadnej urazy. Ludzie czynią zło  
przeważnie dla korzyści.

– To jeszcze gorzej.

– Tak pan sądzi? – zdziwił się Wemmick. – Mnie się wyda-  
je, że to obojętne.

Zepchnął kapelusza na tył głowy, patrzył prosto przed siebie  
i szedł naprzód z tak obojętnym wyrazem twarzy, jak gdyby nic  
nie było tu godnego jego uwagi. Usta jego przypominały otwór  
skrzynki do listów i uśmiechały się machinalnie. Dotarliśmy do  
końca Holborn Hill i wtedy dopiero zdałem sobie sprawę z me-  
chaniczności tego uśmiechu, który nie był wcale uśmiechem.

– Czy panu wiadomo, gdzie mieszka pan Mateusz Pocket? –  
spytałem Wemmicka.

– Tak – odparł, wskazując końcem brody kierunek w Ham-  
mersmith, w zachodniej części Londynu.

– To daleko?

– Około pięciu mil.

– Pan go zna?

– Ależ z pana prawdziwy sędzia śledczy – zauważył Wem-  
mick, patrząc na mnie z uznaniem. – Tak, znam go! Znam go!

W tonie, jakim wymawiał te słowa, dźwięczało coś na kształt  
pogardy, która mnie zaniepokoiła, i spoglądałem na bryłę jego  
twarzy, chcąc z niej coś więcej odczytać, gdy oświadczył mi, że  
doszliśmy do „Gospody Barnarda”. Niepokój mój nie rozpro-

szły się wobec tej nowiny. Wyobrazałem sobie bowiem, że obo-  
rza, do której dążymy, jest zgodnie z nazwą jakimś wytwornym  
hotelem należącym do pana nazwiskiem Barnard i wobec które-  
go nasza gospoda „Pod Błękitnym Dzikim” w miasteczku oka-  
że się nędzną karczmą. Tymczasem wyraz „Barnard” okazał się  
jakąś fikcją, nie było żadnego hotelu, a „Gospoda Barnarda”  
przedstawiała się jako nędzna zbieranina domów walących się  
i tak pochylonych do ziemi, że mogły służyć za miasteczko dla  
kotów. Weszliśmy w obręb tego rajskiego zakątka przez ciasną  
furtkę, przeszliśmy długim, ponurym korytarzem, by wydostać  
się na podwóreczko przypominające zniszczony cmentarz. Mia-  
łem wrażenie, że widzę tam najsmutniejsze drzewa, najsmutniej-  
sze wróble na gałęziach, najsmutniejsze koty i najsmutniejsze  
domy. Było ich około pół tuzina. Pomyślałem, że okna o podar-  
tych frankach, potłuczonych doniczkach, wybitych szybach sta-  
nowią obraz zakurzonego rozkładu i zafosnej ponurości, gdy  
liczne napisy: „Do wynajęcia”, „Do wynajęcia”, „Do wynaję-  
cia” mówiły o pustych pokojach, w których nigdy nie mieli za-  
mieszkać nowi nieszczęśliwcy. Zdawało się, że mściwy duch  
Barnarda raduje się powolnym wymieraniem obecnych miesz-  
kańców i grzebaniem ich bezbożnie pod zwierem podwórka. Dym  
i sadza pokrywały niechlujną żaboną szatą opuszczoną posiad-  
łość Barnarda. Z głową posypaną popiołem cierpiąca ona karę  
i poniżenie polegające na tym, że była teraz tylko siedliskiem  
brudu. Miałem uczucie, że te pokłady kurzu, zgnilizna butwieją-  
cych dachów i piwnic, myszy, szcurków i sąsiednich stajni zda-  
je się cicho ku mnie jęczeć okropnym zapachem: „Spróbuj mie-  
szaniny Barnarda”. Realizacja pierwszej z moich nadziei była  
tak daleka od doskonałości, że spojrzalem z przerażeniem na  
Wemmicka.

— Ach — powiedział całkiem fałszywie mnie pojmując — ten  
zakątek przypomina panu wieś? Mnie także.

Zaprowadził mnie w róg podwórza i zawiódł na schody, któ-  
re zdawały się rozpadać ze starości. Pomyślałem sobie, że pew-  
nego dnia mieszkańcy górnych pięter, wyszedłszy za próg swych

mieszkań, nie będą już mogli zejść na dół. Tak dotarliśmy na  
najwyższe piętro i zatrzymaliśmy się przed drzwiami, na któ-  
rych spostrzegłem napis: „Pocket junior”. Na skrzyńce od listów  
widniała kartka ze słowami: „Zaraz wracam”.

— Nie przypuszczał, że pan tak przedko nadejdzie — objaśnił  
Wemmick — czy jestem panu jeszcze potrzebny?

— Nie — odpartem — dziękuję panu.

— Ponieważ to ja zarządzam kasą, będziemy się pewnie czę-  
sto widywali. Do widzenia.

— Do widzenia...

Wyciągnąłem rękę na pożegnanie. Wemmick spojrzął naj-  
pierw na moją dłoń, jak gdyby sądził, że spodziewam się datku,  
potem zwrócił wzrok na mnie i zapytał, jak gdyby naprawiając  
swoją pomysłkę:

— Pan ma zwyczaj podawania ręki?

Zmieszkałem się, bo zrozumiałem, że jest to sprzeczne z lon-  
dyńskimi obyczajami, ale odpartem, że tak.

— Bardzo szybko się od tego odzwyczaiłem — zwierzył się  
Wemmick — chyba że widzę kogoś po raz ostatni. Do widzenia  
panu, miło mi było poznać pana.

Gdy uściśniliśmy sobie dłonie i odszedł, otworzyłem okno  
na klatce schodowej, ale omal się nie zabiłem, gdyż zawiasy by-  
ły przegniłe i okno spadło na mnie jak gilotyna. Na szczęście  
nie zdążyłem jeszcze wychylić głowy, gdyż została by obcięta.  
Teraz, gdy zostałem sam, przyglądałem się mglistemu widoko-  
wi „Gospody Barnarda” poprzez zasłone z kurzu zasnuwającą  
okno i podziwiałem Londyn. Doszedłem do wniosku, że to mia-  
sto jest stanowczo przechwalone.

Pojęcie czasu, jakie łączyło się u Pocketa juniora z wyrazem  
„zaraz”, nie pokrywało się z moim wyobrażeniem, gdyż omal  
nie oszalałem z nudów, patrząc pół godziny przez okno i wypi-  
sując palcem swoje nazwisko na zakurzonych szybach, zanim  
usłyszałem jego kroki na schodach. Stopniowo wyłoniły się  
przed mnymi oczyma kapelusz, głowa, krawat, kamizelka,  
spodnie i buty obywatela mniej więcej równego ze mną stanu.

Pod każdym ramieniem miał papierową torbę, w jednej z rąk koszyczek z truskawkami i z trudnością chwycił oddech.

– Pan Pip? – spytał.

– Pan Pocket? – zagadnąłem.

– Mój Boże – zawołał – jakże mi przykro, ale wiedziałem, że jest dylizans z pańskich stron w potudnie, i sądziłem, że pan nim właśnie przyjedzie. Jeżeli to może być usprawiedliwieniem, to wyznam, że wychodziłem, żeby kupić coś dla pana: zdawało mi się, że przyjechawszy ze wsi, będzie pan miał ochotę na owoce po obiedzie i chodziłem po nie aż na rynek Covent Garden.

Była pewna przyczyna, dla której sądziłem, że oczy wyskoczą mi z głowy. Zaledwie słuchałem jego uprzejmych słów i czułem się jak we śnie.

– Mój Boże – skarżył się Pocket – te drzwi z takim trudem się otwierają.

Kiedy niemal już zrobił marmoladę z owoców, walcząc z drzwiami, a torebki papierowe tkwiły mu pod pachami, zapytałem, czy mogę je potrzymać. Pozwolił z miłym uśmiechem i zaatakował na nowo drzwi, jak gdyby były dziką bestią. Otworzyły się tak nagle, że zatoczył się na mnie, ja zatoczyłem się na drzwi naprzeciwko i obaj wybuchliśmy śmiechem. Ale wciąż jeszcze czułem, że oczy wyskakują mi z głowy i że to wszystko jest chyba snem.

– Proszę, niech pan wejdzie – zapraszał Pocket junior – ja pana poprowadzę. Trochę tu pusto, ale spodziewam się, że pan ja-koś wytrzyma do poniedziałku. Ojciec myślał, że pan będzie wolał spędzić jutrzejszy dzień ze mną niż z nim i że ja pokażę panu Londyn. Będę bardzo rad, mogąc panu pokazać miasto. Jedzenie będzie panu chyba smakowało, bo będą je przynosili z pobliskiej kawiarni, i to (muszę dodać) na pański koszt, gdyż tak zarządził pan Jagers. Mieszkanie nie odznacza się wytwornością, gdyż sam muszę zarabiać na życie. Ojciec mój nie jest zamożny, a nawet gdyby był, nie brałbym od niego na utrzymanie. Oto nasza bawialnia. Mamy tu tylko takie krzesła, stół, dywan itd., jakie nie były niezbędne u nas w domu. Nie trzeba mi

przypisywać posiadania obrusa, noży czy widelców, bo to wszystko będą nam przynosili z kawiarni. Oto moja sypialnia; czuć ją trochę stęchlizną, ale w tym domu czuć wszędzie stęchliznę. Oto pana sypialnia; meble wypożyczyliśmy na tę okazję, myślę, że panu wystarczy, a gdyby pan czego potrzebował, przyniosę. Mieszkanko jest odosobnione, będziemy tu sami we dwóch, ale spodziewam się, że się nie pobijemy. Ale, mój Boże, pan cały czas trzyma owoce w ręku. Proszę mi dać także te torby. Wstyd mi doprawdy.

W chwili gdy oddawałem Pocketowi juniorowi paczki, ujrzałem w jego twarzy to samo zdumienie, które mnie od początku ogarnęło, i powiedział, cofając się:

– Na Boga, to pan jest tym chłopcem przybłądą!

– A pan – odpartem – jest tym bladym młodym chłopakiem!

## Rozdział dwudziesty drugi



Blady młody chłopiec i ja staliśmy długą chwilę w „Gospodzie Barnarda”, patrząc na siebie, aż wybuchaliśmy obaj śmiechem.

– Pomyśleć, że to pan – zauważył.

– Pomyśleć, że to pan – odparłem.

Tu znowu przyjrzelismy się sobie i roześmialismy się.

– A więc – oświadczył młodzieniec – musi mi pan teraz, gdy już od dawna jest po wszystkim, wspaniałomyślnie wybaczyć, że pana wredy tak pobiliem.

Wywnioskowałem z tych słów, że Herbert Pocket (gdyż na imię mu było Herbert) pomylił zamiary, jakie wówczas miał, z rezultatami, jakie osiągnął. Ale odpowiedziałem skromnie i uściśniliśmy sobie gorąco dłonie.

– W owym czasie nie miał pan jeszcze majątku? – zapytał Herbert Pocket.

– Nie, nie miałem.

– Tak, słyszałem tę historię. W owym czasie ja spodziewałem się dostać majątek.

– Doprawdy?

– Tak, miss Havisham sprowadziła mnie, by się przekonać, czy nie nabierze dla mnie sympatii, ale okazało się, że nie.

Zrobiłem uprzejmą uwagę, że dziwi mnie to ogromnie.

– Zły gust – osądził ze śmiechem Herbert – ale fakt jest fak-

tem. Tak. Przysłała po mnie, żebym przyjechał na próbną od-wiedziny i gdybym z nich wyszedł zwycięsko, to, przypuszc-  
zam, wyznaczyłaby mi pensję i może zostałbym wybrany czy  
jak pan go chce tam nazwać... Estelli.

– Co takiego? – zagadnąłem z nagłą powagą.

Był zajęty układaniem owoców na talerzach i odwrócony do  
mnie plecami powiedział:

– Narzeczonym, obiecany, przyszedłem, jak pan sobie chce.

– Jakże pan zniósł rozczarowanie? – badałem.

– Och, nic mnie to nie obeszło. To dzikuska.

– Kto? Miss Havisham? – spytałem.

– I ona może także – odparł – ale miałem na myśli Estellę. To  
dziewczyna już z natury wyniosła, twarda i kapryśna do najwyż-  
szego stopnia, a została wychowana przez miss Havisham jako  
narzędzie zemsty na płci męskiej.

– Jaka to krewna miss Havisham?

– Żadna – wyjaśnił – adoptowała ją.

– Za cóż miałaby się mścić na mężczyznach? – zapytałem,  
nie rozumiejąc.

– Boże, panie Pip – zawołał – czyżby pan nie wiedział?

– Nie – odparłem.

– To cała historia, zostawmy ją na czas obiadu, a teraz, czy  
wolno mi zadać jedno pytanie? W jaki sposób dostał się pan tam  
wtedy?

Opowiedziałem mu wszystko. Słuchał mnie uważnie do koń-  
ca, a potem wybuchnął śmiechem i spytał, czy wtedy nie cierpia-  
łem na skutek naszej bitwy. Odpowiedziałem, że nie, i nie zada-  
łem mu tego samego pytania, gdyż i tak znałem odpowiedź.

– Słyszałem, że pan Jagers jest pańskim opiekunem? – do-  
wadywał się.

– Tak.

– Pan wie, że to adwokat miss Havisham, przedstawiciel jej  
interesów, człowiek, do którego ma bezgraniczne zaufanie?

To pytanie wprowadzało mnie na niebezpieczną torę, więc  
odparłem z rezerwą, że widziałem pana Jagersa w domu miss

Havisham tylko raz jeden, w dniu naszej walki, i nigdy już więcej, a nie sądzę, aby on kiedy mnie tam zauważył.

– Był na tyle łaskaw, że zaproponował mego ojca jako pańskiego opiekuna i nauczyciela, i sam się do niego o to zwrócił. Oczywiście, słyshał o moim ojcu od miss Havisham. Mój ojciec jest kuzynem miss Havisham, ale nie ubiega się o jej łaski i dlatego nie ma między nimi żadnych stosunków rodzinnych.

Herbert Pocket miał swobodny i szczerý sposób mówienia i tym ogromnie ujmował. Nie znałem do tego czasu ani nawet potem żadnego człowieka, który by do tego stopnia budził zaufanie, że nie potrafi zrobić nic niskiego ani obtłudnego. Było w nim coś obiecującego, a jednocześnie wiedziałem, że ten chłopiec nigdy nie dojdzie do wielkiego majątku ani powodzenia. Nie wiem, co mnie tak nastroiło, ale byłem tego pewien, jeszcze zanim zasiadliśmy do obiadu. Mimo wesołości i żywości pozostał na zawsze małym, bladym młodzieńcem o hamowanej tęsknocie i małej odporności. Twarz jego nie była ładna, ale miała coś więcej niż urodę, bo urok i serdeczność. Postać jego wydawała się trochę niezręczna jak wówczas, kiedy pięci moje pozwalały sobie nią potrząsać, ale robił wrażenie, jak gdyby przez całe życie miał być młody i lekki.

Nie wiem, czy wyglądałby sztywnie w garniturze szytym przez prowincjonalnego mistrza Trabba; ale pewien jestem, że w swych starych ubraniach wydawał się elegantniejszy niż ja w nowym.

W odpowiedzi na jego szczeróć nie mogłem być mrukiem i odpowiedziałem mu całą krótką moją historię, dodając z naciskiem, że zobowiązałem się do dyskrekcji na temat mojego dobroczyncy. Dodałem też, że wychowany na wsi przez kowala, nie znam form towarzyskich i będę mu wdzięczny, jeżeli przy każdym błędzie zwróci mi uwagę.

– Z przyjemnością – zgodził się – ale z góry mogę przewidzieć, że nie będzie pan tego długo potrzebował. Będziemy zapewne często przebywali razem i chciałybym, abyśmy się wzajemnie niczym nie krępowali. Czy zrobi mi pan tę łaskę i będzie mi mówił po imieniu: Herbert?

Zgodziłem się i w zamian powiedziałem mu, że mnie na imię Filip.

– Nie byłoby mi przyjemnie nazywać ciebie Filipem – wyznał z uśmiechem. – Filip to dla mnie, nie wiem czemu, chłopiec z elementarza tak leniwy, że wpadł do stawu, tak tłusty, że nie mógł patrzeć na oczy, albo tak skąpy, że zamknął swoją porcję ciasta, którą potem zjadły myszy, albo taki okrutny w stosunku do ptasich gniazd, że za karę pożarzył go niedźwiedzie z sąsiedztwa. Chciałbym cię nazywać inaczej. Jesteśmy w takiej zgodzie, a ty byłeś chowany przez kowala, to mi nasuwa pewne imię. Ale nie będziesz się gniewał na mnie?

– Nie będę się gniewał za nic, co mi proponujesz – powiedziałem – ale nie rozumiem, o co chodzi.

– Czy pogniewałbyś się, gdybym cię nazywał imieniem Haendel? Jest uroczy utwór Haendla pt. „Muzykalny kowal”.

– Bardzo by mi się to podobało.

– Wobec tego, mój miły Haendlu, oto obiad – oznajmił, gdy drzwi się otworzyły – i będę musiał cię prosić, byś zajął główne miejsce przy stole, bo ty tu jesteś gospodarzem.

Nie chciałem o tym słyszeć, więc zasiadł na poczesnym miejscu, a ja naprzeciw niego.

Był to miły, smaczny obiadek, który wydawał mi się po prostu ucztą wydaną przez burmistrza Londynu, a uroku dodawał mu fakt, że jedliśmy go we dwójkę, bez starszych osób i w sercu stolicy. Nastrój cygański powiększało to, że potrawy przyniesione z kawiarni były, jakby powiedział Pumblechook, „szczytem zbytku”, ale ze względu na pustkę otoczenia kelner, podając je, zachowywał się w sposób szczególny: kładł pokrywę od naczyń na podłodze (a potem się o nie potykał), topione masło w rynce umieszczał na fotelu, chleb na półce z książkami, ser na pokrywie wiadra z węglem, a gotowaną kurę na moim łóżku w sąsiednim pokoju (znalazłem później, kładąc się spać, pewną ilość sosu koperkowego zastygłego na postaniu). Wszystko to dodawało czaru uczcie, a kiedy kelner odchodził i na mnie nie patrzył, przyjemność osiągała szczyty.

Byliśmy już w środku obiadu, gdy przypomniałem Herbertowi, że miał opowiedzieć o miss Havisham.

— Prawda, zaraz ci opowiem — odparł — ale pozwól sobie zwrócić uwagę, Haendel, że w Londynie nie ma zwyczajnie pakowania noża do ust — z obawy przed wypadkami — tym bardziej że do tego celu przeznaczono widelec. To nie ma większego znaczenia, ale lepiej tak robić jak inni. Tak samo tyżkę lepiej odwrócić zagłębieniem do góry. Ma to dwie dobre strony: trafiasz pewniej do ust (co jest przecież głównym celem) oraz unikasz takiego gestu prawym łokciem, jak gdybyś otwierał ostrzygi.

Powiedział te uwagi takim serdecznym tonem, że obaj rozśmiało się, a ja się ledwie zarumieniłem.

— Teraz wracam do miss Havisham. W dzieciństwie ogromnie ją psuto. Matka odumarta ją we wczesnym dzieciństwie, a ojciec niczego jej nie odmawiał. Był ziemianinem w twoich stronach i właścicielem browaru. Nie wiem, czemu jest to zajęcie godne wytwornego pana, ale wiem, że nie można być jednocześnie wielkim panem i piekarzem, a zajęcie piwowara nic wielkiemu panu nie przeszkadza. Tak już jest.

— Wytworny pan nie może trzymać oberży, prawda? — spytałem.

— Prawda, choć oberża może trzymać wytwornego pana — odparł ze śmiechem Herbert — a więc pan Havisham był bardzo bogaty i bardzo dumny. Jego córka wrodziła się w niego.

— Czy miss Havisham była jedynaczką? — badałem.

— Poczekaj chwilę, właśnie dochodzę do tego momentu. Miała brata przyrodniego. Ojciec jej ożenił się powtórnie, zdaje się z kucharką. W każdym razie potajemnie.

— Myślałem, że był bardzo dumny — powiedziałem.

— Mój poczciwy Haendlu, był dumny, toteż ożenił się drugi raz potajemnie. Wkrótce potem żona umarła. Wtedy dopiero wyznał córce, co uczynił, i sprowadził syna, który zamieszkał w znanym ci domu i wszedł do rodziny. Kiedy chłopiec dorósł, stał się młodzienцем rozrzutnym, krynóbrnym, nieobowiązkowym, słowem, miał zły charakter. Wreszcie ojciec wydziedziczył

czył go, ale umierając, wybaczył mu i pozostawił spadek, chociaż znacznie mniejszy niż miss Havisham. Naley sobie jeszcze szklankę wina i pozwól mi zauważyć, że w towarzystwie bynajmniej nie wymagają, by wychylać szklankę do ostatniej kropki, a potem stawiać ją do góry dnem na stole.

Zrobiłem tak, pochłonięty jego opowiadaniem, przeprosiłem go za to, a on, rzuciwszy szybko: „Nic nie szkodzi”, mówił dalej:

— Miss Havisham została więc teraz bogatą dziedziczką i zaczęto się o nią ubiegać z powodu jej majątku. Jej przyrodni brat był zamożny, ale długi, jakie posiadał, i obecne jego rozrzutne życie pożarły szybko bogactwo, a sprzeczki pomiędzy nim a siostrą stały się jeszcze gorsze niż pomiędzy nim a ojcem. Podejrzewano też, że czuł do niej głęboką nienawiść, uważając ją za tę, która buntowała przeciwko niemu ojca. Teraz dochodzę do najokrutniejszej części tej historii, ale pozwól sobie przedtem zauważyć, że serwetka nie jest stworzona po to, aby ją wypychać do kieliszka, drogi Haendlu.

Nie potrafię wytłumaczyć, czemu kładłem serwetkę do kieliszka. Wiem tylko, że starałem się złożyć ją do najmniejszych rozmiarów, uparty się, że musi się zmieścić w kieliszku. Po dziękowałem mu, znowu przepraszając, na co odpowiedział: „To nic” i mówił dalej:

— Wówczas zjawia się na scenie, pewnie na wyścigach, na balu czy w innym podobnym miejscu, młody człowiek, który zaczyna zabiegać o miłość miss Havisham. Nigdy go nie widziałem, bo działało się to przed dwudziestu pięciu laty (kiedy ani mnie, ani ciębie, Haendlu, nie było jeszcze na świecie), ale stylszalem od mego ojca, że był to przystojny mężczyzna i jak stworzony do tej roli. Ojciec mój twierdził jednak, że trzeba było być bardzo mało przenikliwym albo bardzo stronnym, aby móc wziąć go za człowieka szlachetnego rodu. Zdaniem ojca, nikt, kto nie jest szlachetny w sercu, nie potrafi nim być i na zewnątrz. Mówi on zawsze, że żadna polityka nie jest w stanie pokryć gąntunku drzewa, przeciwnie, im więcej polityki, tym gatunek bardziej wychodzi na jaw.

Więc ten człowiek przesładował miss Havisham i oświadczał, że jest jej zapalonym wielbicielem. Wydaje mi się, że dotychczas miss Havisham nie okazywała wiele wrażliwości na te sprawy, ale teraz wszystko się w niej obudziło i pokochała go namiętnie. Nie ulega wątpliwości, że po prostu ubóstwiała tego człowieka. Wyzyskiwał jej uczucie systematycznie w ten sposób, że wyłudzał od niej duże sumy pieniędzy. Doprowadził ją do tego, że od kupiła od brata jego udział w browarze (który ojciec, ulegając słabości, mu pozostawił) pod pretekstem, że kiedy będzie jej mężem, chciałby osobiście kierować całym browarem. Za udział ten zapłaciła miss Havisham bratu olbrzymią sumę. Twój opiekun nie był jeszcze wówczas prawnym doradcą miss Havisham, a ona była zbyt wyniosła i zbyt zakochana, by pytać kogoś o radę.

Jej krewni to biedacy i intryganci, a jedynym wyjątkiem wśród nich był mój ojciec, który mimo niezamożności nigdy nie zazdrościł jej majątku i nie zajmował się intrygami. On też jeden, jako niezależny, ostrzegł miss Havisham, że niedobrze robi, czyniąc zbyt wiele dla tego człowieka i oddając się całkowicie w jego moc. Skorzystała z pierwszej okazji, by w obecności narzeczonego wypędzić mego ojca ze swego domu. Poszedł i dotychczas u niej nie był.

Przypomniałem sobie usłyszane niegdyś słowa: „Mateusz przyjdzie do mnie, gdy będę leżała martwa na tym stole” i spytałem Herberta, czemu jego ojciec jest taki na nią zawzięty.

– Nie jest zawzięty – odparł – tylko że w obecności swego narzeczonego zarzuciła mu, że zawiedziony w swych nadziejach stara się wyjednać u niej własne korzyści, więc gdyby teraz poszedł do niej, to i ona, i on mieliby uczucie, że staje się to prawdą. Ale wracajmy do tamtej historii. Dzień ślubu był naznaczony, sprawiono stroje weselne, ułożono podróz posłubną, zaproszono gości. Przeszedł ten dzień, ale nie zjawił się narzeczoney. Napisał do niej list...

– Który otrzymała – dokończyłem – dwadzieścia minut przed dziewiątą, gdy ubierała się do ślubu...

– Tak, o tej godzinie co do minuty – pokiwał głową Herbert

– i o tej godzinie zatrzymała wszystkie zegary. Co było w tym liście, nie wiem, wiem tylko, że zrywał matężństwo w sposób bezlitosny. Kiedy wyzdrowiała z ciężkiej choroby, na którą zapadła, zrobiła ze swego domu to, co tam widziałeś, i nigdy odtąd nie ujrzała światła dziennego.

– Czy to już cała historia? – spytałem.

– W każdym razie wszystko, co ja wiem. I to musiałem sobie zrekonstruować z fragmentów, bo ojciec mój nie lubi mówić na ten temat i nawet gdy mnie tam posyłał, powiedział mi tylko to, co było konieczne. Ale zapomniałem jeszcze o czymś. Otóż podejrzewano potem, że człowiek ten był w zмовіе z jej przyrodnim bratem i że podzielili się pomiędzy sobą łupem.

– Czemu więc nie ożenił się z nią raczej i nie zagarnął całego majątku? – dziwiłem się.

– Może był żonaty, a może okrutny ból, jaki jej zadał, stanowił także część planu jej brata – odpowiedział Herbert – nie mam pojęcia.

– Co się stało z tymi dwoma ludźmi? – badałem.

– Spadali coraz niżej w upodleniu, wreszcie spotkała ich całkowita ruina.

– Czy żyją?

– Nie wiem.

– Mówiłeś, że Estella nie jest krewną miss Havisham, tylko została przez nią adoptowana. Kiedy ją adoptowała? Herbert wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Zawsze, od czasu kiedy słyszałem o miss Havisham, była i Estella. A teraz, Haendel, powiedziałem ci już wszystko otwarcie i wiesz tyle samo o miss Havisham co i ja.

– A wszystko, co ja wiem, ty wiesz – odpartem.

– Wierzę ci. Nie będzie więc między nami żadnych nieporozumień ani niedomówień. Co zaś do owego warunku, pod jakim udzielono ci majątku, abys nigdy nie usiłował dochodzić, komu go zawdzięczasz, to możesz być pewien, że ani ja, ani nikt inny z mojej przyczyny nie będzie nigdy poruszał tej sprawy czy też robił do niej najmniejszych aluzji.



Powiedział to z takim taktym, iż od razu nabratem przekonania, że gdybym nawet lata całe mieszkał pod dachem jego ojca, kwestia ta nie będzie przez nikogo wkrzeszona. Jednocześnie ogarnęła mnie niemal pewność, że i on, tak jak ja, uważa za mego dobroczyńcę miss Havisham.

Po tych jego słowach pojąłem, że umyślnie poruszył ten temat, by go wyjaśnić, i obaj poculiśmy ulgę, że więcej do niego nie powrócimy. Było nam teraz bardzo wesoło. Spytałem go, jak jest jego zawód.

– Jestem kapitalista, zajmuję się ubezpieczaniem okrętów.

Rozejrzałem się po pokoju, jak gdyby szukając w nim śladów kapitału lub okrętów, więc dorzucił:

– W City.

Moje dotychczasowe pojęcie o bogactwie i władzy ludzi, którzy zajmują się w City ubezpieczaniem okrętów, okazało mi się razić się na myśl, że jednemu z nich podbiłem w swoim czasie oko, przewróciłem go na ziemię i potargałem mu włosy. Pociężyło mnie tylko powracające na nowo przekonanie, że Herbert nie należy do ludzi, którzy mają władzę lub majątek.

– Nie zadowolę się bynajmniej wkładaniem kapitału w ubezpieczanie okrętów – ciągnął dalej. – Kupię pewną ilość akcji ubezpieczeń na życie i w ten sposób dostanę się do zarządu Towarzystwa. Zainteresuję się też akcjami kopalni i nie przeszkodzi mi to pozostawić na boku kilka tysięcy ton na własne potrzeby. Myślę, że będę prowadził handel – ciągnął dalej, rozwalając się niedbale na fotelu – z Indiami Wschodnimi. Handel jedwabiem, szalami, korzeniami, lekami, barwnikami i rzadkimi gatunkami drzewa. To bardzo interesujące transakcje.

– Czy dużo się na nich zarabia?

– Bardzo dużo – odparł.

Ogarnęły mnie wątpliwości i pomyślałem, że bywają jeszcze większe nadzieje niż moje własne.

– Przypuszczam, że będę – mówił dalej, zarykając palce za kamizelkę – prowadził też handel z Indiami Zachodnimi cukrem,

tytoniem i rumem. Z Cejlonem będę zawierał umowy wyłącznie o kość słoniową.

– Będziesz potrzebował bardzo wielu okrętów – zauważyłem.

– Po prostu całej floty – oznajmił.

Olśniony takimi perspektywami spytałem go, z jakimi krajami handlują przeważnie okręty, które on dotychczas ubezpieczył.

– Jeszcze nie rozpoczęłam ubezpieczenia – odpowiedział – mam dopiero zamiar to zrobić.

Te słowa już bardziej harmonizowały z atmosferą „Gospody Barnarda”. Powiedziałem więc domyślnym tonem: „Aaa”.

– Tak, na razie pracuję w biurze i obmyślam sobie te sprawy.

– Czy w takim biurze zarabia się dużo?

– Kto? Czy myślisz o młodym człowieku, który jest tam urzędnikiem?

– Tak. O tobie.

– Nnno nie bardzo, nie bardzo wiele... Na razie nic mi nie płać. Muszę sam dbać o własne utrzymanie.

Nie wyglądało to pocieszająco, więc potrząsnąłem zatroskany głową, jak gdyby chcąc w ten sposób okazać, że trudno będzie włożyć w cokolwiek kapitał pochodzący z tak niepewnego źródła dochodów.

– Ale *na/ważniejsze* jest to – tłumaczył Herbert – że masz tam okazję rozglądać się wokół siebie. W takim biurze możesz się rozglądać.

Pomyślałem, że przecież nie tylko w biurze można się rozglądać wokół siebie, ale poddałem się w milczeniu jego doświadczeniom.

– I oto nadchodzi chwila, kiedy chwytasz jakąś okazję. Chwytasz ją, już masz kapitał i możesz go użyć, jak ci się podoba – mówił Herbert.

Zupełnie tak samo odnosił się do tych spraw jak do naszej bójkii w ogrodzie i tak samo znosił spokojnie swą biedę jak ówczesną porażkę. Miałem uczucie, że podobnie znosi ciosy losu, jak wówczas znosił moje uderzenia. Jasne było, że nie posiada nic, co by do niego należało, bo okazało się, że wszystkie przed-

mioty znajdujące się w pokoju zostały wypożyczone z kawiami lub skądinąd z okazji mego przyjazdu.

W ten sposób, zrobiwszy w fantazji olbrzymi majątek, nie chełpił się nim jednak i niemal byłem mu wdzięczny za jego skromność. Stanowiła ona miły dodatek do jego innych przyjemnych cech i czuliśmy się ze sobą doskonale. Wieczorem wyruszyliśmy na spacer po ulicach i poszliśmy do teatru, gdzie były bilety po cenach zniżonych. Nazajutrz odwiedziliśmy kościół w Opactwie Westminsterkim, a po południu przechadzaliśmy się po parkach. Zastanawiałem się, kto też podkuwa te wszystkie konie, i życzyłem sobie, aby to robił Joe.

Miałem wrażenie, że upłynęły już miesiące od ostatniej niedzieli, kiedy zagnałem się z Joem i Biddy. Dystans, który nas teraz dzielił, rósł z każdą chwilą, a nasze rodzinne bagniska wydawały mi się niezmiernie dalekie. Fakt, że jeszcze ostatniej niedzieli mogłem się znajdować w naszym starym kościele, ubrany w stare, niedzielne ubranie, wydawał mi się niemożliwością geograficzną, spofeczną, sfoneczną i księżycową.

A jednak na ulicach londyńskich, tak jasno oświetlonych z nastaniem zmierzchu i tak bardzo rojnych, dręczyły mnie wyrzuty sumienia na myśl o starej kuchni, którą pozostawiłem tak daleko za sobą, a w ciszy nocnej, gdy za oknami rozlegały się rzadkie kroki i nawoływania jakichś przygodnych tragarzy udających stróżów nocnych „Gospody Barnarda”, ciężko mi było na sercu.

W poniedziałek rano kwadrans przed dziewiątą Herbert udał się do swego biura, aby się tam rozglądać wokół siebie, a ja mu towarzyszyłem.

Po upływie godziny lub dwóch miał wyjść stamtąd i odprawić mnie do Hammersmith, więc czekałem na niego. Odniosłem wrażenie, że jajka, z których mieli się wykluwać młodzi agenci asekuracyjni w rodzaju Herberta, musiały pozostawać, jak jajka strusiów, w upale i kurzu. Świadczył o tym wygląd miejsc, gdzie przebywały owe rozpoczynające naukę olbrzymy. Biuro Herberta również nie robiło na mnie wrażenia dobrego

obserwatorium: znajdowało się na drugim piętrze w podwórzu, było pod każdym względem ponure i brudne, a widok miało równie nieobiecujący, bo okna jego wychodziły także na drugie piętro, tylko w następnym podwórzu.

Czekałem do dwunastej, a potem poszedłem pod Gietdę, gdzie przed ogłoszeniami okrętowymi siedzieli jacyś jegomości. Wziąłem ich zrazu za wielkich kupców, ale nie pojmowałem, czemu mają taki przygnębiony wygląd.

Kiedy Herbert nadszedł, udaliśmy się razem na drugie śniadanie do restauracji, która wydała mi się wówczas najwspanialszym zakładem, ale o której obecnie jestem zdania, iż to najokropniejsza dziura w Europie. Już wówczas spostrzegłem znacznie więcej sosu na obrusach, nożach, widelcach i na ubraniach kelnerów niż na mięsie. Spożywszy drugie śniadanie po umiarkowanej cenie (tłuszcz nie był w nią wliczony), wstąpiliśmy do „Gospody Barnarda” po moją skromną walizeczkę, a stamtąd pojechalśmy dylizansem do Hammersmith. Przybyliśmy tam o drugiej czy trzeciej po południu i już niewiele drogi piechotą dzieliło nas od domku państwa Pocket. Podniósłszy haczyk w furtce, znaleźliśmy się w małym ogródku przylegającym do rzeki. Bawiły się tam dzieci państwa Pocket.

Zaraz od pierwszego spojrzenia na latorośle państwa Pocket miałem wrażenie, chociaż, być może, myliłem się, że dzieci te nie są przez nikogo chowane, że nikt nie troszczy się o to, by je doprowadzić do wieku dorosłego, ale że na własną rękę zdają się gramolić w górę ku dojrzałości.

Pani Pocket siedziała pod drzewem w ogrodowym fotelu, mając stopy oparte o drugi fotel, i czytała, podczas gdy dwie nianie pilnowały bawiących się dzieci.

– Mamo – powiedział Herbert – to jest pan Pip.

Pani Pocket przywitała mnie z zachowaniem uprzejmej gośności.

– Paniczu Alick i panienko Jane – krzyknęła nagle jedna z nianiek – jeżeli będziecie fikali kozły przy tych krzakach nad wodą, wpadniecie do rzeki i utopicie się, i co wtedy powie wasz tatuś?

W tejże chwili druga niania podniosła rękawiczkę pani Pocket i zauważyła:

— Co najmniej szósty raz rzuca ją pani na ziemię.

Na to pani Pocket odpowiedziała, wybuchając śmiechem:

— Dziękuję ci, Flopson.

To mówiąc, usadowiła się tym razem w jednym tylko fotelu i powróciła do książki. Wyraz jej twarzy stał się od razu taki, jak gdyby nie odrywała się od czytania co najmniej przez tydzień, ale nie zdążyła jeszcze przeczytać kilku wierszy, gdy podniosła oczy na mnie i spytała:

— Spodziewam się, że matka pana miewa się dobrze?

To niespodziane pytanie zmieszało mnie tak bardzo, iż zacząłem w najgłupszy sposób jąkać, że z pewnością, gdybym miał matkę, czułaby się dobrze i przesłałaby pani Pocket pozdrowienia, ale w tejże chwili z kłopotu wybawiła mnie niania.

— Coś podobnego! — zawołała, podnosząc znowu rękawiczkę. — To już siódmy raz ją pani rzuca! Co też się z panią dzieje dzisiaj!

Pani Pocket popatrzyła na swoją własność, jak gdyby nie wiedząc, co trzyma w ręku, ale zaraz potem wybuchnęła śmiechem i powiedziała:

— Dziękuję ci, Flopson.

Po czym zapomniała o mnie i zabrała się na nowo do czytania. Teraz mogłem policzyć dzieci i stwierdziłem, że jest nie mniej niż sześcioro matych Pockeciątek, w różnych stadiach gramolenia się przez życie. Właśnie w tej chwili usłyszałem smutną skargę siódmego, płaczącego żałośnie gdzieś w górze.

— To chyba Bobo — zawołała zdumionym głosem Flopson. — Millers, pośpiesz się!

Millers, druga niania, zniknęła w głębi domu i żałosny płacz przycichł po chwili, jak głos brzucho mówcy trzymającego coś w ustach. Pani Pocket czytała przez cały czas i bardzo byłam ciekaw, co to za książka.

Pan Pocket miał widocznie wyjść do nas, więc podczas oczekiwania nadarzyła mi się okazja obserwowania niebываłego

zjawiska rodzinnego: oto dzieci, ilekroć w zabawie zapędziły się w okolice matki, potykały się i wpadały na nią, ona reagowała chwilowym zdumieniem, a małościwa o wiele trwałszym płaczem. Rozmyslałem jeszcze nad tym niezwykleym widokiem, kiedy z domu wyszła Millers, niosąc Bobo. Podążyła Flopson, ta wręczyła je pani Pocket, ale w tej chwili dama owa z dzieckiem zachwiała się i została podtrzymana dopiero przeze mnie i Herberta.

— Boże mój — zawołała pani Pocket, podnosząc oczy znad książki. — Flopson, co to się dzieje, że wszyscy się przewracają?

— Boże mój — powtórzyła Flopson — rzeczywiście, co pani dzisiaj wyprawia?

— Ja wyprawiam? Flopson? — spytała pani Pocket.

— No naturalnie, to wina pani krzesła — krzyknęła Flopson — nie dziwnego, że pani się przewraca, skoro podwinęła pani spódnicę pod nogi krzesła. Niech pani da mi książkę i weźmie dziecko.

Pani Pocket usłuchała rady, ale dość niezręcznie trzymała przez chwilę dziecko na kolanach, podczas gdy reszta pociech bawiła się koło niej; kazata więc zabrać wszystkie dzieci do domu na małą drzemkę. Pomyslałem sobie, że dzieciństwo matych Pocketów składa się z przewracania i ze snu.

Gdy Flopson i Millers zagarniały gromadkę do domu, niczym stado owieczek, ukazał się wreszcie pan Pocket. Nie zdziwił mnie wcale jego załękniony wyraz twarzy i wygląd człowieka, który nie wie, w jaki sposób doprowadzić do porządku swoje rozwichrzone siwe włosy.

## Rozdział dwudziesty trzeci



Pan Pocket oświadczył, że jest szczęśliwy, iż mnie widzi. Spodziewa się, że i mnie nie sprawia przykrości swoją obecnością.

— Bo doprawdy — dorzucił z uśmiechem tak podobnym do uśmiechu syna — nie jestem straszną osobą.

Mimo siwych włosów i zakłopotanej miny wyglądał młodo i zachowywał się w sposób ogromnie naturalny. Przez naturalność mam na myśli pozbawioną afektacji prostotę. W jego rozrządzeniu było coś komicznego i można by się nawet z niego śmiać, gdyby nie to, że on sam zdawał sobie doskonale sprawę ze swej komiczności. Gdy już chwilę ze mną porozmawiał, zwrócił się do pani Pocket, marszcząc niespokojnie brwi, czarne i piękne:

— Belindo, spodziewam się, że przywitanaś się z panem Pipem?

Spojrzała znad książki i odparła:

— Tak.

Potem uśmiechnęła się do mnie nieprzytomnie i spytała, czy lubię smak wywaru z kwiatu pomarańczowego.

Ponieważ pytanie to nie miało nic wspólnego z tym, o czym się mówiło dotychczas, uważałem je za czysto towarzyską uprzejmość, podobnie jak jej poprzednie odezwania się.

W parę godzin później dowiedziałem się, że pani Pocket jest jedyną córką jakiegoś niezręcznego już szlachcica i że wmurowała

sobie, iż ojciec jej byłby z pewnością baronetem, gdyby się z jakichś osobistych względów nie sprzeciwiła temu pewna ważna figura; zapomniałem, kto to był — monarcha, premier, lord kanclerz, arcybiskup Canterbury czy ktoś inny. Na zasadzie owego niedosłego faktu Ignął do możnych tego świata. Zdaje mi się, iż otrzymał tytuł szlachecki z okazji zaatakowania ostrzem pióra gramatyki angielskiej w rozpaczliwym adresie wypisanym grubymi literami na welinie. Uczynił to dla uczczenia uroczystości poświęcenia kamienia węgielnego pod jakiś tam gmach. Prócz tego podał jakiejś osobie z rodziny królewskiej kielnię czy wapno w owym uroczystym momencie. Z powodu tego zaszczytu wychował córkę w mniemaniu, że winna poślubić kogoś utytułowanego i chronić swą osobę przed wszelkim plebejskim zetknięciem się z gospodarstwem domowym. Opatka, jaką ów ojciec roztoczył nad córką w tym kierunku, sprawiła, że wyrosła ona na osobę dekoracyjną, ale całkowicie bezradną wobec wszystkich spraw życiowych. Mając tak szczęśliwie ukształtowany charakter, w kwiecie młodości spotkała Pocketa, który wówczas też znajdował się w kwiecie młodości i nie był jeszcze zdecydowany, czy ma wybrać stanowisko Lorda Kanclerza, czy zdobyć mitrę książęcą. Ponieważ wybranie jednej lub drugiej godności zdawało się być tylko kwestią czasu, więc para młodych kuła żelazo póki gorące (a musiało być bardzo gorące) i wzięła ślub bez pozwolenia rozsądnego ojca. Rozsądnemu ojcu, gdy znalazł się wobec faktu dokonanego, nie pozostawało nic innego, jak pobłogosławić parze, co uczynił po krótkiej wewnętrznej walce, po czym oświadczył panu Pocketowi, że jego żona to „skarb godny księcia”. Pan Pocket zainwestował skarb książęcy w życiu codziennym, ale chyba nie ciągnął z niego wielkich zysków. Mimo wszystko pani Pocket była otoczona pełnym szacunku współczesnym, ponieważ nie poślubiła człowieka utytułowanego, a pan Pocket stanowiąc obiekt pobłażliwych wyrzutów, że nigdy nie zrealizował swych arystokratycznych zamiarów.

Pan Pocket wprowadził mnie do domu i pokazał mi mój pokój, bardzo przyjemny i tak umeblowany, że mógł być jedno-

czesnie i bawialnią. Następnie zapukał do drzwi dwóch zupełnie podobnych pokojów, których lokatorzy nazywali się Drummle i Startop. Drummle, młody, ale o starym wyglądzie, zbudowany ogromnie silnie, właśnie gwizdał. Startop, wyglądający na młodszego, czytał, tak trzymając głowę, jak gdyby miała pęknąć lada chwila z nadmiaru wiedzy.

Państwo Pocket tak dalece robili wrażenie ludzi będących pod czyjąś despotyczną władzą, że przez cały czas zastanawiałem się, kto w tym domu jest panem, dopóki nie odkryłem, że panuje tu służba.

Był to, być może, sposób oszczędzania domowi awantur, ale jednocześnie sposób ogromnie kosztowny, gdyż służba uważała za stosowne jadać obficie, pijąc niezgorzej i przyjmować dużo gości w służbowych pomieszczeniach na dole.

Pozwalała ona co prawda dobrze jadać państwu Pocket, ale mam wrażenie, że korzystniej byłoby być stolownikiem na dole w kuchni niż w pokojach, oczywiście pod warunkiem, że było się dość silnym, by móc się zawsze obronić.

Nie upłynął jeszcze tydzień od mego przyjazdu, kiedy jakaś pani z sąsiedztwa, której państwo Pocket nawet nie znali osobiście, napisała list do pani Pocket donosząc, że widziała, jak nianka Millers dała klapsa najmłodszemu dziecku. To zrobiło wielkie wrażenie na pani Pocket: wybuchnęła płaczem i narzekając na sąsiadów, którzy wtrącają się w nie swoje sprawy.

Dowiedziałem się od Herberta, że pan Pocket kształcił się w Harrow i w Cambridge, gdzie wyróżniał się zdolnościami. Ale gdy miał szczęście ożenić się, musiał porzucić ambicje polityczne i obrat zawód szlifierza. Nastrzywszy długie szeregi naukowe i obrat zawód szlifierza. Nastrzywszy długie szeregi naukowe i obrat zawód szlifierza. Nastrzywszy długie szeregi naukowe i obrat zawód szlifierza. Nastrzywszy długie szeregi naukowych wpływów dla urzędzenia mu studiów, a kiedy szpada była już ostra, zapominali o wszystkim – znużył się tym zawodem i przeniósł się do Londynu. Tutaj, porzuciwszy górną aspirację, zajmował się korepetycjami i uczył tych, którzy nie mieli w życiu szans lub nie potrafili ich wyzyskać, innych polewował na różne okazje, wreszcie wykorzystywał swe talenty w kompila-

cjach literackich lub korektach. Te zajęcia, połączone ze skromnymi dochodami z niewielkiego majątku, pozwalały mu utrzymać rodzinę.

Państwo Pocket mieli podobną do ropuchy sąsiadkę, wdowę z tego sympatycznego gatunku kobiet, które ze wszystkimi się zgadzają, wszystkim błogosławią i rozdzielają na wszystkie strony łzy i uśmiechy, zaleźnie od okoliczności.

Dama ta nazywała się Coiler i miałem zaszczyt prowadzić ją do obiadu pierwszego dnia po moim przyjeździe. Oświadczyła mi na schodach, iż dla kochanej pani Pocket było prawdziwym ciosem, że kochany pan Pocket musiał brać studentów na mieszkanie. Nie dotyczy się to oczywiście mnie, jak powiedziała (choć w tym momencie znała mnie zaledwie od pięciu minut), bo gdyby wszyscy byli tak sympatyczni, sprawa przedstawiałaby się zupełnie inaczej.

– Ale kochana pani Pocket – ciągnęła pani Coiler – po swym wcześnieym rozczarowaniu życiowym (mimo że kochany pan Pocket nie jest temu winien) ma takie wymagania zbytku i elegancji...

– Tak, proszę pani – odpartem szybko, gdyż batem się, iż się za chwilę rozplacze.

– I ma takie arystokratyczne upodobania.

– Tak, proszę pani – zgodziłem się z tej samej przyczyny.

– ...że *przykro* jest patrzeć, jak kochany pan Pocket musi odrywać swą uwagę i czas od kochanej pani Pocket dla innych spraw.

Pomyślałem, że o wiele gorzej byłoby, gdyby rzeźnik nie chciał już pewnego dnia poświęcić swego czasu ani uwagi kochanej pani Pocket, ale nie powiedziałem ani słowa. Miałem dość zajęcia, obserwując otaczające mnie towarzystwo i jego manieri.

Mimo że całą uwagę koncentrowałem na nożu, widelcu i łyżce, na szklance i innych narzędziach tortur, doszło moich uszu to, co mówiła pani Pocket do pana Drummle'a. Powiedziała, że Drummle, który nosi imię Bentley, to drugi dziedzic tytułu ba-

roneta. Dowiedziałem się wówczas, że książka, którą czytała w ogrodzie pani Pocket, była cała poświęcona tytułom i że pani Belinda wiedziała dokładnie, kiedy to jej dziadek miał się znaleźć w tym herbarzu, gdyby się był w ogóle tam znalazł.

Drummle okazał się powściągliwy w słowach (zrobił na mnie wrażenie chłopca małomównego), ale dawał do poznania, że jest wybrańcem i że uważa panią Pocket za równą sobie istotę. Nikt, prócz tych dwojga i pani Coiler, nie mieszał się do rozmowy i miałem wrażenie, że sprawiała ona przykrość Herbertowi. Pogawędka zapowiadała się na długo, gdy przerwał ją domowy incydent. Mały służący, który wtargnął do pokoju, oświadczył, że kucharka zgubiła gdzieś pieczeń wołową. Wtedy to po raz pierwszy ujrzałem coś, co prócz mnie nie dziwiło nikogo, a co po pewnym czasie przestało i mnie dziwić. Oto pan Pocket odłożył spokojnie nóż i widelec, za pomocą których miał dzielić mięso, i zanurzywszy dłoń w niesformnych włosach, stał tak przez długą chwilę, jak gdyby w ten sposób zbierając myśli i odzyskując spokój. Gdy jednak spokoju nie odzyskał, po chwili zrezygnował.

Wtedy to pani Coiler zmieniła temat i zaczęła mi pochlebiać. Zrazu podobało mi się to, ale już po chwili spozirzegłem, że jej komplementy są zbyt gruboskórne, i miałem ich dosyć. Z jakąś zmiłowatą uprzejmością wypytywała mnie o moich przyjaciot i o strony, które opuściłem, i podobna była przy tym do gada z rozdwojonym jadowitym językiem. Kiedy z kolei zwróciła się do Startopa (który niemal nic do niej nie mówił) i do Drummle'a (który mówił jeszcze mniej), zazdrościłem im, że siedzą po drugiej stronie stołu.

Po obiedzie wprowadzono dzieci i pani Coiler robiła uwagi o ich oczach, nosach i nogach (doskonały środek pedagogiczny). Były tam cztery małe dziewczynki, dwóch małych chłopców i jeden dzidzius, który mógł być jednym lub drugim, oraz najbliższy następca dzidziusia, który nie był jeszcze ani chłopczykiem ani dziewczynką. Flopson i Millers wpełchnęły całą gro-madkę do pokoju, niczym kaprale musztrujący dzieci, a pani Po-

cket przyglądała się młodemu szlachcicom z taką miną, jak gdyby skąds już ich wszystkich znała, tylko nie mogła sobie w żaden sposób przypomnieć skąd.

– Proszę, niech pani da mi swój widelec i weźmie dzidziusia – rozkazała jej Flopson. – Ale nie w ten sposób, bo będzie miał głowę pod stołem.

Pani Pocket, posłuchawszy rady, wzięła dziecko w ten sposób, że głowa była co prawda nad stołem, ale stuknęła weń tak, aż wszyscy odczuli wstrząs.

– Boże, mój Boże – krzyknęła Flopson – niech pani zaraz od-da dziecko! Panno Jane, proszę przyjść i zatańczymy przed dzi-dziusiem.

Jedna z małych dziewczynek, niewiele większe od owada stworzonko, które nie wiadomo czemu wzięło na siebie ciężar zabawiania innych, wstała od stołu i zatańczyła przed dzieckiem, które przestało płakać i roześmiało się.

Wszystkie dzieci również wybuchnęły śmiechem, pan Pocket ostatecznie porzucił czynność szarpania się za włosy i roześmiał się także. I my wszyscy śmieliśmy się i byliśmy szczęśliwi.

Flopson, powyginawszy członki dziecka na wszystkie stro-ny, niczym nóżki i rączki lalki z gałganek, posadziła małeń-stwo wreszcie na kolanach pani Pocket, dała mu do zabawy dziadka do orzechów, przykazawszy matce, by uważała, bo dziecko może sobie wsadzić go do oka. Wreszcie, polecivszy surowo to samo małej Jane, oddaliła się z pokoju w towarzy-stwie drugiej nianki. Zaraz na schodach wybuchła żywa sprzecz-ka pomiędzy niankami a młodym roztargnionym lokajczykiem, który podawał do stołu i który połowę guzików przy liberii prze-grał w hazardowej grze w guziki.

Było mi bardzo przykro patrzeć na panią Pocket, która wdaw-szy się w dyskusję z Drummle'em na temat baronii, jadła ka-wałki pomarańczy umaczane w cukrze i winie, a całkiem zapo-mniała o dziecku siedzącym na jej kolanach i wyczyniającym dziwne rzeczy z dziadkiem do orzechów. Wreszcie mała Jane, uważając, że ten przyrząd zagraża mózgowi malca, wstała ze

swego miejsca i podstępem odebrała mu niebezpieczną broń. Pani Pocket, która właśnie skończyła jeść pomarańczę, widocznie się to nie podobało, bo powiedziała do Jane:

– Niedobre dziecko. Jak śmiesz mu odbierać? Siadaj na miejscu!

– Mamusiu kochana – zasepleniła dziewczynka – dzidzi sobie wybije oczki.

– Jak śmiesz mi coś podobnego mówić? – wołała pani Pocket. – Siadaj w tej chwili na miejsce.

Godność pani Pocket była tak miazdżąca, że sam poczułem się nieledwie winny.

– Belindo – odezwał się z drugiego końca stołu pan Pocket – jak możesz być tak nierozsądna? Przecież Jane chciała tylko dobrać dziecka.

– Nie pozwolę nikomu się wtrącać – odparła pani Pocket – i jestem zdumiona, Mateuszu, że pragniesz narażać mnie na afront wobec wszystkich.

– Boże, Boże! – jęknął pan Pocket w rozpacz. – Czyż rzeczywiście mamy spokojnie patrzeć, jak niemowlęta kopią własny grób za pomocą dziadka do orzechów i czyż nikt nie ma prawa ich ratować?

– Nie życzę sobie, aby Jane wtrącała się do mnie – oznajmiła pani Pocket, spoglądając z majestatem na niewinną matą grzesznicę. – Znam zbyt dobrze pozycję mego dziada. Doprawdy, Jane!

Pan Pocket znowu zanurzył obie dłonie we włosach i tym razem, zdaje się, uniósł o kilka cali swą postać ponad krzesło.

– Słuchajcie! – krzyknął bezzilnie przed siebie. – Mate dzieci mają się zabijać za pomocą dziadków do orzechów z powodu pozycji społecznej nieszczęsnego dziadzi!

Potem usiadł z powrotem na krześle i umilkł.

Wszyscy patrzyliśmy ze zmięszaniem w obrus podczas tej całej sceny. Nastąpiła przerwa, podczas której ruchliwy dzidzius wykonał kilka skoków i wyrzucił z siebie kilka okrzyków na cześć matki Jane, która była jedyną istotą, jaką, zdaje się, uznawał.

– Panie Drummlu, czy nie zechce pan zadzwonić na Flopsion – poprosiła pani Pocket. – Jane, ty nieposłusznna, zła dziewczyno, idź spać, a dzidzius pójdzie z mamusią.

Dzidius miał swój honor, więc zaprotestował gwałtownie. Po prostu przełamał się w pół na rękę pani Pocket, ukazał zebrałym buciuki i został wyniesiony w stanie najstroższego buntu z pokoi. Ostatecznie jednak wygrał sprawę, gdyż widziałem po chwili przez okno, jak niosła go w ramionach mała Jane.

Pozostałych pięcioro dzieci siedziało dalej przy stole, gdyż Flopsion miała właśnie do załatwienia jakiego prywatnego sprawy, do których nikt nie miał prawa się wtrącać, więc nie miał kto się nimi zająć.

Wtedy to mogłem zaobserwować wzajemne stosunki pana Pocketa i dzieci. Przedstawiały się one następująco. Pan Pocket patrzył badawczo i bezradnie na latorośle z taką miną, jak gdyby oczekiwał odpowiedzi na pytanie, jakim prawem otrzymują pożywienie przy jego stole i czemu Natura nie przydzieliła ich raczej gdzie indziej na mieszkanie. Potem, całkiem na sposób misjonarski, zadał im kilka pytań:

– Czemu to Joe ma dziurę w kohnierzyku?

Odpowiedziano mu:

– Bo Flopsion nie miała czasu jej zaczerować.

– Czemu mała Fanny ma zranioną rękę?

– Bo, tatusiu, Millers miała ją opatrzeć, ale zapomniała.

Potem nagle rozpytnął się w ojcowskich czułościach, dał kazdemu szylinga i powiedział, żeby poszli się bawić. Kiedy wstał, zrobił jeszcze jeden wysiłek, by się podnieść za włosy z krzesła, ale uznawszy to za beznadziejne, zaprzestał prób.

Wieczorem wiosłowaliśmy po rzece. Ponieważ Drummlu i Startop mieli każdy po łódce, zdecydowaliśmy, że i ja wezmę sobie jedną i prześcignę ich. Jako wiejski chłopiec byłem silny i zręczny we wszystkich zajęciach fizycznych i w wiosłowaniu również, ale obawiałem się, że nie posiadam eleganckiego stylu wymaganego na Tamizie (nie mówiąc już o innych rzekach),

więc zdecydowałem oddać się pod opiekę młodego wioślarza, zwycięzcy w zawodach, który grasował u nas na schodach i którego moi nowi koledzy mi przedstawili. Ten to autorytet wioślarski wprowił mnie w zakłopotanie, mówiąc o mnie, że mam ramiona niczym kowal. Gdyby wiedział, jak bliski był z powodu tego komplementu utraty nowego ucznia, nigdy by się tak nie wyraził.

Przyszedłszy do domu wieczorem, zastaliśmy zimną kolację i byłibyśmy się pysznie bawili, gdyby nie pewien incydent domowy. Pan Pocket był w doskonałym humorze, gdy weszła jedna ze służących i oznajmiła:

– Przepraszam pana, ale pragnęłabym z panem pomówić.

– Pomówić z twoim panem? – krzyknęła pani Pocket, w której znowu wzbrała godność. – Jak możesz nawet myśleć o czymś podobnym? Idź i rozmawiaj z Flopson albo – jeżeli koniecznie chcesz – ze mną, ale kiedy indziej.

– Bardzo panią przepraszam – odparła dziewczyna – muszę pomówić natychmiast, i to z panem.

Pan Pocket wyszedł więc z nią z pokoju, a my oczekiwaliśmy go cierpliwie.

– Śliczna historia, Belindo – powiedział, wracając ze zmartwionym i zakłopotanym wyrazem twarzy – w kuchni na podłodze leży śmiertelnie pijana kucharka, a w kredensie znaleziono duży zapas naszego masła, spakowany do wyniesienia z domu i sprzedania.

Pani Pocket natychmiast okazała żywsze zainteresowanie i zawyrokowała:

– To wszystko sprawa tej szkaradnej Zofii.

– Co masz na myśli, Belindo? – spytał pan Pocket.

– Czy nie widziałam na własne oczy i nie słyszałam na własne uszy, jak Zofia zażądała rozmowy z tobą i wyprowadziła cię z pokoju?

– Ale to przecież ona właśnie zaprowadziła mnie na dół do kuchni i pokazała kucharkę i jej paczkę!

– A ty bronisz jej, Mateuszu, mimo że tak zawiniła?

Pan Pocket wydał przytłumiony jęk.

– Czyż nie jestem wnuczką mego dziadka? – krzyczała pani Pocket. – Czyż nic już nie znaczę w tym domu? Zresztą kucharka była zawsze bardzo sympatyczna i jak tylko nastąpiła, zaraz powiedziała, że wyglądam na urodzoną księżnę.

Pan Pocket runął na kanapę, obok której właśnie stał, w pozycji konającego gladiatora. W tej pozycji rzucił głuchym głosem, widząc, że zabieram się do pójscia spać:

– Dobranoc, panie Pip...



## Rozdział dwudziesty czwarty



Po upływie dwu czy trzech dni, w czasie których kilkakrotnie jeździłem do Londynu, zamówiłem sobie u mych dostawców wszystko, czego mi było potrzeba. Pan Pocket przeprowadził ze mną długą rozmowę. Był on znacznie lepiej poinformowany o moim przyszłym zawodzie niż ja sam. Pan Jagers powiedział mi bowiem, że nie mam być kształcenia w żadnym specjalnym fachu, tylko otrzymać tyle wykształcenia i wychowania, ile wymaga go „mój stan”, to jest położenie mordergo, zamożnego człowieka. Zgodziłem się oczywiście, gdyż nic innego nie przychodziło mi na myśl.

Poradził mi bywanie w Londynie w kilku miejscach, w których mógłbym zaczerpnąć takich wiadomości, jakie by mnie interesowały, i zaproponował mi kierowanie moim wykształceniem. Spodziewałem się, że przy pomocy inteligentnych ludzi będę się kształcił bez rozczarowań i że wystarczą mi przy tym jego rady. Sposób, w jaki ze mną rozmawiał, obudził we mnie szczerą zaufanie do jego osoby. Muszę powiedzieć, że nie rozczarowałem się do niego nigdy, że zawsze był dla mnie jednakowo przychylny, pełen zapału i uczciwości. Gdyby okazywał mi obojętność, nie wątpliwie odpłaciłbym mu pięknym za nadobne. Nie stworzył jednak takiej sytuacji i wzajemnie oddawaliśmy sobie sprawiedliwość. Nie widziałem też w nim żadnych śmieszności. Wydawał mi się odąd zawsze uczciwym, poważnym i dobrym opiekunem.

Kiedy doszliśmy już do porozumienia i zacząłem pracować, przyszło mi do głowy, że gdybym mógł zatrzymać sobie pokój w „Gospodzie Barnarda”, byłoby mi znacznie przyjemniej i skrzyślałbym niejedno w obcowaniu z Herbertem. Pan Pocket nie miał nic przeciwko temu, ale oświadczył, że zanim przedsięwzięję jakiekolwiek kroki, muszę się porozumieć z moim opiekunem. Zrozumiałem, że ostrożność wynika z tego, iż przy takiej kombinacji zaoszczędziłbym Herbertowi wydatków, więc szanując delikatność pana Pocketa udałem się do Małej Brytanii, by podzielić się z nim planem z panem Jagerssem.

– Gdybym mógł kupić na własność umeblowanie, które dla mnie tam wynajęli, i jeszcze kilka drobiazgów, czułbym się tak jak w domu – powiedziałem.

– Zrób tak – zgodził się Jagers z uśmiechem – mówię ci, że prędko się przyzwyczaisz. Ile to ma kosztować?

Odpowiedziałem, że nie wiem.

– No, mniej więcej, powiedz – nalegał Jagers – pięćdziesiąt funtów?

– Och, nie tak dużo.

– Pięć funtów? – spytał Jagers.

Różnica była tak wielka, że zmieszany odpartem:

– To za mało.

– Za mało? – pytał Jagers, trzymając ręce w kieszeniach i przekrzywiając na bok głowę z oczyma wlepionymi w ścianę poza mną. – O ile za mało?

– Tak trudno jest ustalić sumę – zauważyłem z wahaniem.

– Czeka! – mówił Jagers. – Dwa razy pięć wystarczy? Trzy razy pięć wystarczy? A może cztery razy pięć wystarczy?

Odparłem, że chyba cztery razy pięć wystarczy.

– Więc cztery razy pięć doskonale wystarczy? – powtórzył Jagers, ścigając brwi. – Ale ile to jest cztery razy po pięć funtów?

– Ile to jest? – powtórzyłem, nie rozumiejąc.

– Ach – powiedział Jagers – ile to jest dla ciebie?

– Przypuszczam, że dwadzieścia funtów – odpartem z uśmiechem – tak samo i dla pana.

– Nie pytam, ile to jest dla mnie, ale ile dla ciebie – mówił, potrząsając głową, Jaggars.

– Oczywiście dwadzieścia funtów.

– Wemmick! – zawołał Jaggars, otwierając drzwi do biura – weź od pana Pipa pisemne zapotrzebowanie i wyptać mu dwadzieścia funtów!

Ten ściśle kupiecki charakter załatwiania spraw pieniężnych zrobił na mnie nienajprzyjemniejsze wrażenie. Pan Jaggars nigdy się nie śmiał, ale na nogach miał wysokie, błyszczące i skrzypiące buty, i kiedy spuściwszy głowę spoglądał na nie, ściągając brwi i czekając na odpowiedź na swe pytanie, wprawił obuwie w skrzywienie i miało się wtedy wrażenie, jak gdyby to ono śmiało się w suchy i podejrziły sposób.

Załatwiwszy sprawę Jaggars wyszedł, a ponieważ Wemmick został i okazał się tego dnia w dobrym humorze i skłonny do rozmowy, więc wyznałem mu, że sam nie wiem, co mam myśleć o zachowaniu się Jaggarsa.

– Niech pan opowie to jemu samemu, a będzie to z pewnością uważał za komplement – odparł Wemmick – nie zależy mu bynajmniej, by pan miał jasne pojęcie o tym, co on sobie myśli. Bo... (tu spostrzegł, że jestem zdziwiony) bo to u niego jest nieprywatne, tylko ściśle zawodowe zachowanie się. Ściśle zawodowe.

Wemmick siedział przy swym pulpicie i chrupał na drugie śniadanie twardej sucharek, wkładając jeden kawałek za drugim do ust, całkiem jakby wrzucał list do skrzynki.

– Stale robi na mnie takie wrażenie – ciągnął Wemmick – jak gdyby zastawiał na człowieka pułapki. Trach... i już się złapał. Nie wspominając o tym, że pułapki na ludzi nie należą do rozkoszy tego życia, zauważyłem tylko, że robi wrażenie bardzo złe.

– Jest tak głęboki jak Australia – oświadczył Wemmick i wskazał przy tym na podłogę pokoju, chcąc w ten sposób zapewne wyrazić, że uważa Australię za coś najgłębszego, jako znajdującą się na antypodach, gdzieś na dnie globu ziemskiego.

– Gdyby istniało coś głębszego, to byłby taki jak ta głębsza rzecz – dodał, rysując piórem na papierze.

Powiedziałem z kolei, że spodziewam się, iż pan Jaggars wiele zarabia.

– Ko-lo-sal-nie! – potwierdził Wemmick.

Spytałem, czy zatrudnia wielu urzędników, na co Wemmick odparł, że niewiele, bo i tak każdy klient chce mówić tylko z samym Jaggarsem.

– Jest nas tylko czterech. Czy chce pan poznać tamtych? Mogę pana zapoznać. Jest pan przecież niemal jednym z nas.

Zgodziłem się; kiedy Wemmick wrzucił do swej skrzynki ostatni kęs sucharka i kiedy wyplacił mi gotówką dwadzieścia funtów, wyjąwszy je z kasetki w kasie, której klucz miał gdzieś za plecami, a wyciągnął go niby harcapy za kohnierza fraka, poszliśmy na górę.

Dom był ciemny i nieporządny. Wydawało się, że zatłuszczone plecy, które zabrudziły ściany w gabinecie pana Jaggarsa, ocierały się o ściany klatki schodowej od wielu już lat. We frontowym pokoju na pierwszym piętrze urzędnik wyglądający na coś pośredniego pomiędzy oberzystą i szczurołapem, wysoki, bladej nadyty i nalany mężczyzna, przyjmował właśnie trzy lub cztery nędznie ubrane osoby, przy czym traktował je tak bezceremonialnie, jak było najwidooczniej w zwyczaju w stosunku do wszystkich, którzy zasilali kabzę Jaggarsa.

– Przyjmuje właśnie zeznania świadków dla sprawy w Old Bailey – objaśnił pan Wemmick.

W pokoju na górze jakiś mizerny urzędnik, podobny do teriera nie strzyżonego od czasów szczytujących, rozmawiał z krótkowzrocznym człowieczkiem. Wemmick przedstawił mi tego ostatniego mówiąc, że to giser, którego tygiel jest zawsze gotów do pracy i który może mi stopić w każdej chwili wszystko, co zechcę. Na razie spostrzegłem, że człowiek ten jest tak złany potem, jak gdyby topił sam siebie. W jednym z tylnych pokoiów mężczyzna o wysokich ramionach, z cierpiącą twarzą, podwiązaną brudną flanelową szmatą, ubrany w czarne ubranie tak

łniące od starości, że wyglądało jak lakierowane, pochylał się nad biurkiem, przy którym przepisywał na czysto notatki tamtych dwóch panów na użytek Jagersa.

Oto było całe biuro. Zeszliśmy teraz na dół i Wemmick, wprowadzając mnie do gabinetu Jagersa, powiedział:

– Ten pokój już pan widział.

– Przepraszam pana – odpartem, spoglądając na dwa straszliwe oblicza wiszące na ścianie – czyje to podobizny?

– To? – powtórzył Wemmick, wspinając się na krzesło i zdmuchując kurz z wizerunków przed zdjęciem ich ze ściany – to dwie słynne osobistości, dajaj nasi klienci, którzy niemają przysporzyli nam sławy swoimi procesami. Ten chłopak (hoho, musiates chyba spaść w nocy w kałamarni, bo skądże masz nad brwią taką plamę z atramentu, stary łotrze?) zamordował swego pana i dobrze musiats sobie obmyślić tę zbrodnię, bo nie pozostawił żadnych jej dowodów.

– Czy podobny na tej płaskorzeźbie? – spytałem, cofając się mimo woli, gdy Wemmick pluł na wizerunek i czyścił go rękawem.

– Podobny? Alez to on, we własnej osobie. Zrobiono odlew z jego głowy zaraz po zdjęciu go z szubienicy w Newgate. Miałes do mnie słabość, co? stary przechero? – mówił Wemmick.

Zaraz potem wyjaśnił te słowa, wskazując na znaną mi już spinkę przedstawiającą damę pod płaczącą wierzba przy grobie, na którym stoi urna:

– Zamówił to specjalnie dla mnie.

– Czy dama taka istniała? – spytałem.

– Nie, skądże, to był tylko jego żarcik (lubites żarciki, tobu-zie, co?). W tej całej sprawie nie znalazłoby się ani śladu danego, prócz jednej kobiety, która daleka była od smukłości tej oto pani pod wierzba, i zapewniam pana, nie pilnowałaby urny, chyba że znajdowałoby się w niej coś do picia.

Cała uwaga Wemmicka została teraz z płaskorzeźby skierowana na spinkę, którą starannie oczyścił wyjętą z kieszeni chusteczka.

– A ten drugi – badatem – czy doczekał się takiego samego końca? Spojrzzenie ma podobne do tamtego.

– Ma pan rację, to samo spojrzenie – odparł Wemmick – wygląda zupełnie tak, jakby mu ktoś przeciągnął przez nozdrze koński włos lub haczyk na ryby. Tak, spotkał go ten sam koniec co tamtego. Zasłużył sobie zresztą. Fatszował testamenty i na dodatek pomagał ich autorom wynieść się na tamten świat. A mimo to miałes wygląd pana. Cove (Wemmick znowu zwracał się wprost do portretu), i nawet mówites, że znasz grekę. Ach, ty samochwata! Jaki kłamca był z ciebie! Jeszcze nigdy nie spotkałem większego od ciebie kłamczucha!

Zanim odstawił swego zmarłego przyjaciela na półkę, dotknął jeszcze żałobnego pierścienia na swoim palcu i objaśnił:

– Kazał go kupić dla mnie w przedostatni dzień.

Gdy odstawiał płaskorzeźby i gramolił się z krzesła na podłogę, przyszło mi do głowy, że cała jego biżuteria musi pochodzić z podobnego źródła. Ponieważ mówił o tych sprawach bez wstrętu, odważyłem się zadać mu to pytanie, w czasie kiedy ocierał sobie dłoń z kurzu.

– O, tak – odpowiedział – to wszystko są tego rodzaju podarunki. Jedno pociąga drugie. Przyjmuję je zawsze. To ciekawostki. A poza tym mają swoją wartość, może nie największą, ale zawsze, i są zdadne do noszenia. Dla pana, który ma taki majątek, może nic nie znaczą, ale ja zawsze kieruję się w życiu maksymą: „Bierz, co ci dają”.

Kiedy wyraziłem uznanie dla jego mądrości, zauważył przyjacielskim tonem:

– Jeżeli będzie pan miał kiedy wolną chwilkę i zechce mnie odwiedzić w Walworth, będę szczęśliwy, mogąc panu ofiarować nocleg i poczytam sobie za zaszczyt, jeżeli zechce pan obejrzeć to, co posiadam. Nic to wielkiego, ale jeszcze kilka ciekawostek, które pana może zabawią. Jestem sam bardzo przywiązany do mego wiejskiego domku i małego ogródka.

Odpartem, że będę zachwycony, mogąc skorzystać z jego gościnności.

– Dziękuję – odpart – więc umówiliśmy się, że przyjedzie pan, kiedy mu będzie wygodnie. Czy jadł pan już obiad u pana Jaggersa?

– Jeszcze nie.

– Z pewnością poczuję pana winem – ciągnął Wemmick – i to dobrym winem. A ja ofiaruję panu poncz, i to poncz wcale niezły. A teraz poradzę panu coś jeszcze. Jak pan będzie w domu Jaggersa, niech pan dobrze się przyjrzysz jego gospodyni.

– Czy ma w sobie coś niezwykłego?

– Zobaczy pan oswojoną dziką bestię. Może pan powie, że nie ma w tym nic nadzwyczajnego, ale ja sądzę, że wszystko zależy tu od stopnia dzikości bestii i od tego, jak jest oswojona. Zapewniam pana, że widok ten nie osłabi pana poglądu na siłę pana Jaggersa. Niech pan się dobrze przypatrzy tej kobiecie.

Zapewniętem go, że to na pewno zrobię, gdyż jego słowa zaostrzyły moją ciekawość.

Przed odejściem spytał mnie jeszcze, czy nie zechciałbym poświęcić pięciu minut na zobaczenie pana Jaggersa przy robocie.

Z wielu względów, a przede wszystkim dlatego, że nie bardzo wiedziałem, jaka to będzie robota, zgodziłem się od razu. Zanurzyliśmy się więc w City i znaleźliśmy się w natłoczonym biurze policji, gdzie ktoś związany węzłami krwi (w zbrodnicy czym znaczeniu tego wyrazu) z nieboszczykiem, kto zdradzał niesłychane upodobanie do brosz, stał za barierą i zuł coś w ustach. Jednocześnie mój opiekun poddawał śledztwu kobietę, równie przestraszoną jak każdy, kto się do niego zbliżył, bez względu na to, czy był to świadek czy nawet sąd. Jeżeli ktoś zeznał coś, co mu się nie podobało, żądał natychmiast wciągnięcia tego do protokołu. Jeżeli ktoś nie chciał się do czegoś przyznać, wykrzykiwał: „Już ja to z ciebie wydobędę!”. A gdy ktoś do czegoś się przyznawał, wołał: „Teraz cię mam!”. Urzędnicy drżeli, gdy zaczynał obgryzać sobie palec. Złodzieje i policjanci nie odrywali pełnego ekstazy wzroku od jego twarzy i trzęśli się, kiedy jeden włoszek jego brwi zwrócił się w ich stro-

nę. Nie mogłem się zorientować, czyją trzymał stronę, gdyż zdawało mi się, że wszystkich wokół miele niczym w młynie. Kiedy się wycofywałem na palcach z sali, miałem przez chwilę wrażenie, że nie był tego samego zdania co sąd, bo widziałem, jak wprawiając w drżenie (pod stołem) łydki przewodniczącego, potępiając jego dzisiejsze postępowanie jako przedstawiciela prawa brytyjskiego.

## Rozdział dwudziesty piąty



Bentley Drummle miał tak ponure usposobienie, że nawet przeczytaną książkę traktował tak, jak gdyby jej autor jemu osobiście wyrządzał zniewagę. Toteż i każdą nową znajomość ujmował w podobny sposób. Przysadziły, o ociężałych ruchach i mało lotnej myśli, twarz miał ospatą, a w ustach olbrzymi język, który tak samo zdawał się w nich nie mieścić, jak cała jego postać zdawała się nie mieścić w pokoju. Był to chłopak leniwy, pyszałek, obtudny, zamknięty w sobie, nieufny. Pochodził z bogatej rodziny z Sommersetshire, która wychowywała i karmiła tę zbieraninę zalet aż do chwili, kiedy się spostrzegła, że jest pełnoletni i idiota. Wtedy Bentley Drummle zamieszkał u pana Pocketa, którego przewyższał o głowę wzrostem, tak jak tuszą przewyższał wszystkich przynajmniej o pół tuzina głów.

Startop, rozpieszczony przez pełną słabości matkę, siedział w domu, zamiast chodzić do szkoły, ale on przynajmniej kochał swoją rodzicielkę ponad wszystko w świecie. Miał delikatne kości, biece rzyśy i był „może pan na to przysiąc, choć pan jej nigdy nie widział”, jak mówił Herbert, żywym obrazem swej matki. Nic więc dziwnego, że wołałem Startopa niż Drummle'a i że jeszcze w czasie pierwszych wieczorów, kiedy wioslowaliśmy po rzece, kierowaliśmy nasze łodzie tak, aby posuwały się jedna obok drugiej i rozmawialiśmy płynąc, podczas kiedy Drummle sunął

w milczeniu pod nawistymi gąszczami wierzb i wśród trzciny nadbrzeżnych. Trzymał się zawsze tuż przy brzegu niby jakiś spłoszony pław i czynił to nawet wówczas, gdy przybrzeżny prąd mógł go z łatwością porwać. Kiedy go wspominał, widzę go zawsze płynącego za nami w ciemnościach, podczas gdy nasze łodzie na środku rzeki przecinały blask zachodzącego słońca lub światło księżyca na wodzie.

Moim bliskim przyjaciелеm był jednak Herbert. Dziejełem z nim łódź, gdy przyjeżdżał do Hammersmith, tak jak dziejełem z nim mieszkanie, gdy przybywałem do Londynu. Robiliśmy tę drogę ogromnie często i dotychczas (mimo że zmieniła się od tamtych czasów) wspominam ją zawsze czule, jako związaną z niekniętą jeszcze nadzieją i młodością.

Przebywałem już miesiąc lub dwa u państwa Pocket, kiedy zjawili się u nich „państwo Kamillowie”. Kamilla była siostrą pana Pocketa. Przyjechała też z nimi Georgiana, którą poznałem w swoim czasie u miss Havisham. Ta stara panna, wiecznie skwaszona, która nazywała swoją sztywność religijnością i pełne żółci humory miłośnią, była kuzynką państwa Pocket. Goście ci nienawidzili mnie nienawością zawiedzionych w nadziejach ludzi, co nie przeszkadzało im oczywiście pochlebiać mi w najbardziej obtudny sposób. Do pana Pocketa, którego uważali za dorosłe dziecko, nie rozumiejące własnych interesów, odnosili się z pogardliwą pobłażliwością; słyszałem, jak w ten sposób właśnie o nim między sobą rozmawiali. Pogardzali też panią Pocket, ale chętnie przyznawali, że biedactwo zostało w życiu strodze zawiedzione, stawało to bowiem ich samych w lepszym świetle.

Takie było środowisko, w którym zamieszkałem i rozpocząłem edukację. Ogromnie szybko nabrałem kosztownych przyzwyczajień i zacząłem wydawać sumy, które jeszcze niedawno wydawałyby mi się bajeczne. Ale w żadnej sytuacji nie porzucałem nieustannego obcowania z książkami. Dobrą stroną mego wychowania było to, że coraz bardziej rozumiałem własne braki. Rozwijalem się z dnia na dzień pomiędzy panem Pocketem a Herbertem, którzy starali się popychać mnie do działania, wy-

jaśniać wszelkie niezrozumiałe dla mnie sprawy i usuwać mi trudności z drogi. Istotnie, musiałbym być takim głupcem jak Drummle, by w tych warunkach nie iść naprzód.

Nie widziałem już od kilku tygodni Wemmicka i przyszło mi do głowy, by napisać do niego, że któregoś z wieczorów mogę z nim pojechać do jego domu. Odpowiedział, że sprawi mu to wielką przyjemność i że oczekuje mnie w biurze o szóstej. Przy-szedłem punktualnie i zastałem go chowającego swoim zwyczajem klucz od kasy gdzieś za plecami. Zegar bił właśnie szóstą.

– Czy pisząc do mnie miał pan na myśli pieszą przechadzkę do Walworth? – spytał.

– Oczywiście, że tak – odparłem – o ile pan nie ma nic przeciwno temu.

– Ja najchętniej wyprostuję nogi zgięte przez cały dzień pod biurkiem – brzmiała odpowiedź Wemmicka – a teraz niech pan posłucha, panie Pip, co przygotowałem na kolację. W domu przyrządzono zrazy duszone, a u paszтетnika kupiłem pieczone zimne kurczęta. Myślę, że będą miękkie, bo właściciel paszтетnikami był przysięgłym w jednej z naszych spraw i nie szukanowaliśmy go wówczas. Przypomniałem mu to wybierając drób i powiedziałem: „Wybierz no ładny kawałek, Brytyjczyku, bo inaczej moglibyśmy z łatwością przygwoździć cię na dwa lub trzy dni do ławy przysięgłych”. Na co odpowiedział: „Pozwoli pan ofiarować sobie w darze najlepszy kawałek drobiu z całego mego sklepu?”. Pozwoliłem mu, oczywiście. W każdym razie to zgodne z moją maksymą: „Bierz, co ci dają”. Nie będzie pan chyba miał nic przeciwko staremu ojcu.

W pierwszej chwili sądziłem, że mówi on wciąż jeszcze o kurczęciu, ale wyjaśnił mi, że ma u siebie w domu sędziwego ojca, więc odparłem tak, jak tego wymagała uprzejmość.

– Więc nie był pan jeszcze na obiedzie u pana Jaggersa? – spytał mnie po drodze.

– Jeszcze nie.

– Mówił mi to właśnie dzisiaj po południu, kiedy dowiedział się, że pan będzie u mnie. Sądzę, że otrzyma pan zaproszenie

jutro. Zamierza też zaprosić pańskich przyjaciół. Trzech, zdaje się. Tak?

Mimo że nie uważałem Drummle’a za mego przyjaciela, od-powiedziałem, że tak.

– Więc zamierza zaprosić tę całą bandę (nie czułem się mi-le poglaskany tym określeniem) i cokolwiek wam da, będzie na pewno dobre. Nie spodziewajcie się wielkiej rozmaitości, ale w gatunku będzie to doskonałe. I jeszcze jedna rzecz w jego domu jest niezwykła – ciągnął Wemmick zakładając, że mówił mi już o tej niezwykłej gospodyni – to ta, że nigdy, ani dniem, ani nocą, nie rygluje się drzwi wejściowych. Nie zamyka też okiennic.

– I nie okradają go nigdy?

– Właśnie o to chodzi – zawołał Wemmick – Jaggers mówi i głosi wszem i wobec: „Chciałbym zobaczyć człowieka, który by odważył się *mnie* okraść. Mnie”. Niech Bóg ma mnie w swej opiece, jak słyszałem go mówiącego te słowa nie raz, ale sto razy u nas w biurze do najgorszych złodziejaszków: „Wiedcie, gdzie mieszkam. Pamiętajcie, że u mnie nie ma nigdzie zamków. A może spróbowalibyście u mnie sztuczki, co? Czemu nie? Czy to was nie kusi?”. I co pan powie, nie znajdzie się nikt, kto by się na coś podobnego odważył.

– Tak go się boją? – spytałem.

– Myślę, że się boją – potwierdził Wemmick – ale to chytry lis. Mimo wszystko nie ma u siebie w domu ani jednej srebrnej łyżki. Same platory.

– Więc i tak nie obfowiliby się, gdyby...

– Tak, ale on by się obfowił i oni to wiedzą. Miałby ich życie w rękę i nie darowałby im. Aż strach pomyśleć, co on może zrobić, kiedy zechce.

Zamyśliłem się nad wielkością mego opiekuna, gdy Wemmick powiedział:

– Jeżeli chodzi o brak sreber w jego domu, to dowód głębi jego charakteru. Bo on jest tak głęboki jak rzeka. Za to, czy wi-dział pan może jego łańcuszek od zegarka?

– Masywny? – zagadnąłem.

– Myśle, że masywny – wyraził przypuszczenie Wemmick – a sam zegarek ze szczerego złota wart sto funtów jak jeden grosz, panie Pip, w mieście jest co najmniej siedmiuset złodzieiów, którzy wiedzą świetnie wszystko o jego zegarku, i nie ma wśród nich mężczyzny, kobiety czy dziecka, które by nie poznało każdego ognia w jego łańcuszku i nie rzuciło go jak rozpalonego żelaza przy dotknięciu.

Na takich rozmowach upłynęła nam z Wemmickiem droga i dał mi teraz do poznania, że znajdujemy się już w okolicy Walworth.

Wydato mi się ono ze swymi ciasnymi uliczkami, matymi ogródkami i rowami bardzo smutne i przygnębiające. Domek Wemmicka okazał się malutki, drewniany. Stał na skraju ogrodu, a dach jego był fantastycznie wyciany i naśladował baterię dział.

– To moje dziecko – oznajmił Wemmick – ładne, prawda?

Pochwaliłem tę ozdobę. Nigdy w życiu nie widziałem tak małego domku. Okienka miał gotyckie (większość z nich była tylko namalowana), a drzwi tak małe, że zmieścić się w nich wydawało się niepodobiestwem.

– O, tutaj, widzi pan, jest prawdziwy maszt na chorągiew. Wywieszam ją co niedziele, a ten oto most podnoszę, jak po nim przejdę, i droga zostaje odcięta.

Most stanowią deseczka położona nad przepaścią czterech stóp szerokości i dwu głębokości, ale przyjemnie było patrzeć, z jaką rozkoszą Wemmick podnosi ową kładkę. Tym razem uśmiech jego promieniał szczerością.

– O dziewiątej wieczorem czasu Greenwich działa strzela. O, to działa. Jak pan usłyszysz, uwierzy pan.

Działo o którymś mówił, stało na czymś w rodzaju forteczki zbudowanej z żelaznych krat i osłaniał je od deszczu brezent w kształcie parasola.

– Tam z tyłu, tak aby nie było widoczne ze strony forteczki – ciągnął Wemmick – bo nie wiem, jakie jest pańskie zdanie, ale ja uważam, że jak się coś robi, to już porządnie do końca...

Potwierdziłem, że oczywiście.

– ...więc z tyłu trzymam świnię, drób i króliki. Tam też mam inspekty robione własnoręcznie, gdzie hoduje ogórki, i przy okazji pan osądzi, jaką z nich przyrządzam sałatkę. I tak oto, proszę pana – mówił dalej, potrząsając głową z pełnym powagi uśmiechem – gdyby się tu przytrafiło obłężenie, wytrzymałbym je długo, tyle mam wszelkiego rodzaju zapasów.

Teraz zaprowadził mnie do altanki znajdującej się niedaleko, ale tak ukrytej w poplątanych ścieżkach, że nigdy bym do niej nie trafił. Tutaj znaleźliśmy przygotowane dla nas szklanki, przy czym poncez studził się w sadzawce, nad którą wznosiła się altanka. Pośrodku sadzawki znajdowała się wysępka podobna do listka sałaty. Sadzawka miała kształt okrągły, a Wemmick zainstalował tam małą fontannę, która biła, w chwili kiedy wprawito się w ruch wymyślony młynek i wyjęło coś w rodzaju korka, tak potężnie, że mogła zamoczyć grzbiety dłoni.

W odpowiedzi na moje zachwyty Wemmick rzekł:

– Jestem, widzi pan, własnym inżynierem, stolarzem, ślusarzem, własnym ogrodnikiem, słowem, służącą do wszystkiego. Powiadam panu, że to bardzo przyjemnie. Przede wszystkim wymiata to pajęczyny, które oplatają mnie w Newgate, a poza tym sprawa radość starszemu panu. Czy chce pan, bym go zaraz przedstawił starszemu panu? Nie zrobi to panu różnicy?

Odpartem, że jestem gotów, i udaliśmy się do zamku. Tam zastaliśmy przy kominku bardzo starego człowieka ubranego w fanelowy kaftan. Był czysty, miły, wesoły i zadowolony z losu, ale całkowicie głuchy.

– No i cóż, mój wiekowy ojczulku – powiedział żartobliwie Wemmick, ściskając mu serdecznie dłoń – jakże się czujemy?

– Dobrze, Johnie, bardzo dobrze – odparł starsuszek.

– To jest pan Pip, wiekowy ojczulku – przedstawił mnie Wemmick – żałuję bardzo, że nie możesz usłyszeć jego nazwiska. Niech pan mu pokławi głową, panie Pip. On to bardzo lubi. Jeszcze, niech pan pokławi głową, ile razy pan będzie mógł. Proszę o to bardzo.

– Mój syn ma piękny dom, prawda, proszę pana? – wrzasnął staruszek, gdy kiwałem z całych sił głową. – Sam dom i te wszystkie wspaniałe urządzenia. Cały naród powinien by po moim synu odziedziczyć ogród dla przyjemności wszystkich ludzi.

– Dumny jesteś z tego jak paw, co, staruszk? – spytał Wemmick, a na jego drewnianej twarzy malowała się czułość. – Masz, to dla ciebie – i kiwał głową tak mocno, jak gdyby miał sobie skrócić szyję – i to dla ciebie – znowu kiwał jak szalony. – Lubisz to, co? Jeżeli pana to zbytnio nie męczy, panie Pip, niechże pan mu jeszcze trochę pokiwa głową. Wiem, że to obcych zwykle niecierpliwi, ale nie ma pan wyobrażenia, jaką mu sprawia radość.

Pokiwałem mu wielokrotnie i wprawiłem go w świetny humor. Opuszcziliśmy go, gdyż poszedł karmić drób, i powróciliśmy do altany na poncz. Tu przy fajce Wemmick wyznał mi, że kosztowało go wiele lat trudu, zanim doprowadził swą własność do takiego stanu.

– To pańska własność, panie Wemmick?

– O, tak, nabywałem ją po trochu.

– Doprawdy? Spodziewam się, że panu Jaggersowi bardzo się tu podoba?

– Nigdy tu nie był. Nigdy o tym nawet nie słyszał. Nigdy nie widział mego staruszka. Nigdy o nim nie słyszał. Nie, biuro to jedna rzecz, a dom całkiem inna... Kiedy idę do biura, pozostawiam za sobą mój Zameczek, a kiedy wracam do Zameczku, zajmuję się pomianami o biurze. Jeżeli to panu nie sprawia różnicy, proszę, bym pana o to samo. Nie chciałbym tu prowadzić zawodowych rozmów.

Oczywiście poczułem, że muszę się na to zgodzić. Poncz był doskonały i siedzieliśmy w altanie, pijąc i gawędząc aż do dziewiątej.

– Zaraz będzie wystrzał armatni – powiedział Wemmick, nabijając sobie fajkę – to wielka przyjemność dla staruszka.

Powróciwszy na Zameczek, zastaliśmy sędziego pana, który rozgrzewał pogrzebacza, niezbędny do oczekiwanej ceremonii.

W oczach jego paliła się niecierpliwość. Wemmick patrzył na zegarek, a gdy nadeszła odpowiednia chwila, wziął z rąk ojca rozgrzany do czerwoności pogrzebacza i wyszedł z pokoju. Po chwili rozległ się przerażający huk, który wstrząsnął całym zwanym domkiem, jak gdyby go miał rozerwać w kawałki, i sprawił, że wszystkie szklanki i filizanki brzęczały w szafie. Wtedy staruszek, którego wstrząs omal nie wyrzucił z fotela, krzyknął z zachwytem: „Wystrzelił! Słyszałem!”, a ja tak usilnie kiwałem mu głową, że aż postać jego migotała mi w oczach.

Czas pomiędzy wystrzałem a kolacją poświęcił Wemmick na pokazanie mi swojej kolekcji osobliwości. Były one przeważnie kryminalnej natury: pióro, którym sfalszowano weksel, dwie czy trzy słynne brzytwy, kilka pęczków włosów, parę pamiętników skazańców, do których przywiązywał szczególną wagę, gdyż, jak mówił, „każdy z nich kłamie, proszę pana”.

Wszystko to było poukładane pomiędzy porcelanowymi i szklanymi przedmiotami roboty samego właściciela tego muzeum oraz tabakierkami powycinanymi z drzewa przez staruszkę. Muzeum to znajdowało się w pokoju, do którego wprowadzono mnie na początku i który był jednocześnie bawialnią i kuchnią, sądząc z patelni zawieszonej nad kominkiem i klejnotu pod postacią miedzianego rożna do pieczenia mięsa.

W czasie nieobecności Wemmicka obsługiwała staruszkowi mała dziewczynka. Kiedy nakryła do kolacji, spuszczone most, aby mogła po nim przejść i udać się do domu na noc. Kolacja była doskonała i mimo że Zameczek do tego stopnia przenikała stęchlizna, iż biła od niego woń spróchniałych orzechów, i że mogliby nieco dalej umieścić świnię, było mi bardzo przyjemnie.

Równie miło było mi w mojej malutkiej sypialni na wieżycy-ce domu, chociaż cienki sufit stwarzał przykre złudzenie, że umieszczony na dachu maszt od flagi kołysze się przez całą noc na moim czole.

Wemmick wstał wczesnym rankiem i obawiam się, że wyszedł, jak czyścił mi buty. Potem pobiegł pracować w ogro-



dzie i przez gotyckie okienko widziałem, jak udaje, że zatrudnia staruszką, i jak kiwa do niego gorliwie.

Pierwsze śniadanie było równie smaczne jak kolacja i o wpół do ósmej wyruszyliśmy do Matej Brytanii. Stopniowo Wemmick stawał się coraz bardziej oschły, a usta jego nabierały znowu kształtu otworu skrzydki do listów. Wreszcie gdy znalazł się przed drzwiami naszego biura i gdy wyjmował gdzieś z okolicy pleców klucz, aby otworzyć, wyglądał już, jakby nie wiedział o swej posiadłości w Walworth i jak gdyby Zameczek, zwodzony most, staw, fontanna, altana i nawet staruszek – wszystko zostało zdmuchnięte z powierzchni ziemi na skutek ostatniego strzału jego armaty.

## Rozdział dwudziesty szósty



Zgodnie z zapowiedzią Wemmicka miałem wkrótce potem okazję zapoznać się z mieszkaniem mego opiekuna i porównać je z donikiem jego kasjera i sekretarza. Kiedy po powrocie z Walworth wszedłem do biura, zastałem opiekuna myjącego sobie ręce pachnącym mydłem. Zaweźwał mnie do siebie i zaprosił na obiad mnie i moich przyjaciół, jak to przepowiadał mi już Wemmick.

— Bez ceremonii – dodał – bez wieczorowych strojów. Po-wiedzmy jutro.

Spytałem go, dokąd mamy przyjść (nie znałem dotychczas jego adresu), na co odpowiedział:

— Przyjdźcie tutaj, do biura, a zabiorę was ze sobą.

Zauważyłem przy tej okazji, że po przyjmowaniu klientów myje sobie ręce tak starannie jak lekarz lub dentysta. Miał specjalnie do tego celu w swym gabinecie zamknięte pomieszczenie, które pachniało wonnym mydłem niczym sklep perfumeryjny. Na wewnętrznych drzwiach tego schowka znajdował się olbrzymich rozmiarów ręcznik, umieszczony na kręcącym się wałku. Pan Jagers mył ręce i wycierał w ten ręcznik, ilekroć wracał z sądu lub skończył przyjmować klienta. Kiedyśmy nazajutrz wstąpili po niego przed proszonym obiadem, musiał być po jakiejś szczególnej wizycie, gdyż nie zadowoliliśmy się myciem rąk, szorował twarz i płukał gardło. A gdy to już uczynił

i zamoczył cały ręcznik, wyjął z kieszeni szczyryk i długo czyścił paznokcie, zanim włożył płaszcz. Oczywiście, kiedy wyszliśmy na ulicę, natknęliśmy się na kilka osób, które wyraźnie sięgnęły z nim pomówić, ale zapach wonnego mydła, ulatniający się z jego postaci, był tak onieśmielający, że zdecydowali się odłożyć to na następny dzień.

W drodze do zachodniej dzielnicy miasta niektórzy z przechodniów poznawali pana Jaggersa najwidoczniej, ale gdy to się zdarzało, opiekun zaczynał mówić do mnie głośniejszym głosem, jak gdyby chcąc pokazać, że nie życzy sobie być poznawanym przez nikogo. Zaprowadził nas do dzielnicy Soho na Gerrard Street, do domu znajdującego się po południowej stronie ulicy. Kamiennica odznaczała się solidnością, ale razita brakiem tynku, a okna były przeraźliwie brudne. Wyjął klucz, otworzył drzwi i znaleźliśmy się w hallu o ścianach z kamienia, ponurym i opuszczonym. Stamtąd poszliśmy brunatnymi schodami na górę na pierwsze piętro i wkroczyliśmy do mieszkania, którego trzy ciemne, brunatno wymalowane pokoje miały na ścianach boazerię i rzeźbione girlandy kwiatów. A gdy nasz przewodnik stał wśród nich i witał nas, uderzyła mnie myśl, że wiem, skąd zaczerpnięty kształt swych wykrętasów.

Podano nam obiad w najładniejszym z tych trzech pokoiów; sąsiedni był garderobą, trzeci sypialnią. Pan Jaggers powiedział nam, że jest właścicielem całego domu, ale używa zwykle tylko tych apartamentów.

Stół zastawiono obficie. Nie było na nim oczywiście srebra, ale za krzesłem gospodarza znajdował się podręczny stół, a na nim bateria butelek i karafek oraz trzy kosze owoców na deser. Spostrzegłem w czasie obiadu, że pan Jaggers wszystko miał pod ręką i że sam obsługiwał do stołu.

W pokoju znajdowała się biblioteka. Widziałem po grzbietach okładek, że składały się na nią książki dotyczące prawa kryminalnego, biografie zbrodniarzy, historie procesów, akta parlamentu itp. Umeblowanie wydawało się tak solidne jak łańcuszek jego zegarka, ale wyglądało oficjalnie i trudno było dopatrzeć się

w nim czegoś dekoracyjnego. W jednym z kątów stał niewielki stół pokryty papierami, z lampą przyściemnioną abazurem. Wiodocznie pan Jaggers po powrocie do domu przeniósł tu swoje biuro i pracował wieczorami.

Ponieważ dotychczas zaledwie spostrzegłem moich towarzyszy przed kominkiem, przyjrzałem im się badawczo. Ku memu zdziwieniu najbaczniej patrzył na Drummle'a.

– Pip – powiedział, kładąc mi szeroką dłoń na ramieniu i prosiąc mnie ku oknu – nie wiem, jak oni się nazywają. Kto jest ten pajak?

– Pajak? – spytałem.

– Ten krościaty chłopak, niezgrabny i ponury.

– To Bentley Drummle – odpartem – a tamten chłopiec o delikatnych rysach to Startop.

Nie zwróciwszy żadnej uwagi na chłopca „o delikatnych rysach”, odpartem:

– Jak powiadasz? Bentley Drummle? Podobna mi się ten chłopak.

I natychmiast zwrócił się do Drummle'a. Nie zrażając się bynajmniej jego ocieźnością, zacinając się wymową usiłował wyciągnąć z niego jak najwięcej odpowiedzi. Przyglądałem się im uważnie, gdy między mnie a nich wpadła gospodyni, niosąc pierwsze danie. Była to kobieta pod czterdziestkę, ale może brałem ją za młodszą niż w rzeczywistości. Dość wysokiego wzrostu, szczupłą, zgrabną, o bardzo bladej, drobnej twarzy, miała wyblakłe oczy i rozwiane włosy. Nie wiem, czy na skutek choroby serca, czy z innej przyczyny jej zawsze w półrozchylone wargi zdawały się z trudem chwycić powietrze, a twarz wyrażała ciekawą mieszaninę cierpienia i niepokoju, ale wiem, że kilka dni przedtem widziałem w teatrze Makbeta i że twarz ta przypominała mi oblicze wyłaniające się z oparów nad kotłem czarownicy.

Postawiła danie na stole, dotknęła palcem delikatnie ramienia mego opiekuna na znak, że obiad podany, i wyszła. Usiedliśmy wokół okrągłego stołu i pan Jaggers posadził z jednej strony

obok siebie Drummler'a, a z drugiej Startopa. Na półnisku, który gospodyni postawiła, była wspaniała ryba. Potem nastąpiła pyszna pieczeń barania, a po niej drób, równie dobry.

Sosy, wina i wszelkie inne dodatki do jedzenia podawał z podreźnionego stołu sam gospodarz i kiedy okrzyki nasz stół, odstawił je z powrotem na miejsce. On też rozdawał nam czyście talerze, noże i widelce po każdej potrawie, a zużyte wstawiał do dwu koszy stojących na podłodze obok jego krzesła. Nikt ze służby prócz gospodyni nie zjawiał się w pokoju. Ona wносиła kolejno potrawy i za każdym razem widziałem w jej twarzy oblicze z oparów kołta czarownicy. W wiele lat później twarz, która prócz rozżwianych włosów nie miała nic do tej podobnego, zjawiała mi się w oparach gorącego ponczu w ciemnym pokoju i wówczas mimo woli wspominałem tę właśnie chwilę.

Obserwując bacznie gospodynię – i ze względu na to, o czym uprzedził mnie Wemmiok, i z powodu jej niezwykłego wyglądu – widziałem, że ilekroć wniósła następne danie, nie spuszczała uważnych oczu z mego opiekuna, a gdy stawiała przed nim półmisek, zwlekając z odejściem, jak gdyby czekając, czy nie ma jej czego do powiedzenia. Poznałem też z zachowania się gospodarza, że jest świadomy jej wahań i że sprawia mu przyjemność utrzymywanie jej w ciągłej niepewności.

Obiad upływał wesoło i chociaż pan Jagers zdawał się raczej słuchać tego, co mówił mi, niż prowadzić rozmowę, miałem uczucie, że na każdym kroku stara się poznać nasze słabostki.

Co do mnie, na przykład, poczułem nagle, iż przynajmniej ja, jestem chwilami skłonny do rozrzutności, że wynoszę się niekiedy ponad Herberta, że chwalebę się mymi wielkimi nadziejami na przyszłość, chociaż niemal nie stworzyłem ust. Tak działo się z każdym z nas, ale najbardziej z Drummler'em: fakt, iż ma on w stosunku do nas przykry i szyderczy ton, został z niego wyciągnięty na jaw, jeszcze zanim zjedliśmy rybę.

Przy serze sytuacja jego jeszcze się pogorszyła, bo rozmowa zeszała na wiosłowanie i Drummler został wykpiony za swą powolność owego wieczoru na rzecę. W odpowiedzi na to wyznał

naszemu gospodarzowi, że woli nasz pokój od naszego towarzystwa, że jeśli chodzi o zręczność, to jest znacznie zręczniejszy od pana Jagersa, a jeśli chodzi o siłę, to mógłby nas bez trudu rozdmuchać jak sieczkę. Nie wiem, w jaki sposób mój opiekun doprowadził go do pasji po tym jego samochwałstwie, tak że zakasawszy rękawy, Drummler zaczął dowodzić muskularności swych ramion i pokazywać swą siłę. Także i my z kolei w najśmieszniejszy sposób obnazaliśmy ramiona, demonstrując nasze muskuły.

Potem gospodyni weszła, by sprzątnąć ze stołu. Pan domowi zdawał się nie zwracać na nią żadnej uwagi, rozpart się w fotelu i gryzł sobie palec. Okazywał Drummlerowi zainteresowanie, które mnie wciąż zdumiewało. I nagle, gdy najinniej się tego spodziewaliśmy, wyciągnął rękę i niczym w pułapkę schwytał w nią dłoń gospodyni, która właśnie porządkowała na stole. Było to tak nagle, że wszyscy przerwaliśmy nasz niemiły spór.

– Skoro mowa o sile – powiedział Jagers – pokażę wam przegub. Molly, pokaż im przegub swojej ręki.

Uwięziona ręka tkwiła ciągle w jego dłoni, ale gospodyni szybko schowała drugą za plecami.

– Proszę pana – prosiła cicho z oczyma utkwionymi uważnie i błagalnie w Jagersa – niech pan da spokój.

– Ja wam pokażę przegub – powtórzył gospodarz z niewzruszonym postanowieniem dopięcia swego. – Molly, pokaż im przegub!

– Proszę pana – wyszeptala – proszę!

– Molly – rozkazał wpatrzony w przeciwległą ścianę – pokaż im *oba* przeguby. No, pokaż!

Odstonił jej dłoń na stole i odwrócił ją do góry, ona zaś powstuszenie położyła obok drugą rękę. Była ona zniekształcona wielu głębokimi bliznami. Teraz dopiero gospodyni przeniosła uważne spojrzenie z twarzy Jagersa na nasze i przyjrzała nam się kolejno.

– Tu się dopiero kryje siła – mówił mój opiekun zimno, kreśląc palcem linie po dłoni Molly. – Mamo jest mężczyzną obdarzo-

nych taką siłą w rękach jak ta kobieta. Widziałem wiele w moim życiu, ale takiej siły jeszcze nigdy nie spotkałem. – Dopóki mówił te słowa swobodnym chłodnym tonem, kobieta patrzyła na nas kolejno, jak gdyby badając efekt jego słów. Gdy umilkł, przeniosła znowu wzrok na niego.

– No, dość już, Molly – powiedział, kiwając lekko głową – podziwiano cię i możesz sobie odejść.

Wycofała dłoń ze stołu i wyszła z pokoju, a Jagers wziął do ręki karafkę, napełnił sobie kieliszek i poczęstował wszystkich wokoło.

– O wpół do dziesiątej, panowie, musimy się pożegnać – oznajmił – do tej chwili czujcie się jak u siebie w domu. Panie Drummle, pańskie zdrowie.

Jeżeli wyróżniając w ten sposób Drummle'a pan Jagers chciał go skłonić do jeszcze większych przechwatek, cel swój osiągnął. Drummle zaczął gadać, był coraz to wynioślejszy wobec nas wszystkich i w swojej obrażającej nas postawie stał się wkrótce nie do zniesienia. Gospodarz zdawał się z zajęciem obserwować wszystkie fazy jego zachowania się, jak gdyby dodawało ono smaku jego wina.

Przez brak umiaru, właściwy młodemu wiekowi, wypiliśmy nieco za dużo i mówiliśmy za dużo. Rozgorzeliliśmy zwłaszcza pod wpływem jakiegoś grubiaństwa Drummle'a, który twierdził, że wszyscy wyrzucamy pieniądze za okno. Odpowiedziałem mu z większym zapałem niż dyskrecją, że to bardzo brzydko, zwłaszcza z jego strony, skoro przed tygodniem w mojej obecności pożyczył pieniądze od Startopa.

– Więc – odparł Drummle – oddam mu.

– Nie chciałem przez to powiedzieć, że mu nie oddasz – za-replikowałem – tylko zwrócić ci uwagę, że w tych warunkach nie masz prawa krytykować naszego postępowania z pieniędzmi i powinieneś trzymać język za zębami. Tak mi się zdawało!

– Ach, tak? Tak się *tobie* zdawało? – krzyknął Drummle. – O mój Boże!

– Tak – odpowiedziałem, starając się być surowy i stanowczy

– bo mam wrażenie, że ty nie pożyczysz żadnemu z nas ani grosza, gdyby nam było potrzeba!

– Oczywiście, że nie pożyczę ani tobie, ani nikomu nawet sześciu pensów! – zawołał Drummle.

– Wobec tego to bardzo nieszlachetnie, że sam pożyczasz od innych, tak mi się wydaje!

– *Tobie* się wydaje! Ach, mój Boże! – powtórzył Drummle.

Było to tak przykre, że nie zważając na wysiłki Herberta, który chciał pogodzić wszystkich, powiedziałem:

– Skoro tak, panie Drummle, to powiem panu, co zaszło pomiędzy mną a Herbertem, jak pan pożyczył od niego pieniądze.

– Nie jestem ciekaw, co zaszło pomiędzy panem a Herbertem – oświadczył Drummle i zdaje się dodać ciszej, że możemy obaj z Herbertem pójść sobie do diabła.

– A ja panu powiem, bez względu na to, czy pan chce czy nie. Powiedzieliśmy sobie, że kiedy pan wkładał do kieszeni pożyczone pieniądze, miał pan taką minę, jak gdyby pokpiwał sobie jeszcze z naszej słabości, która kazała nam panu pożyczyć.

Drummle roześmiał się właściwym sobie przykrym, bezcelnym śmiechem i włożywszy ręce w kieszenie rzucił nam w twarz, że doskonale się domyślił, bo on pogardza nami wszystkimi jako kompletnymi osłami.

W tym momencie zabrał się do Drummle'a Startop i muszę przyznać, że uczynił to znacznie zręczniejszym i z większym wdziękiem niż ja. Startop był pełnym życia i swobody młodzieńcem, a Drummle stanowił jego przeciwieństwo, toteż już po chwili poczuł się obrażony. Odpowiedział więc brutalnie i niezręcznie, a Startop obrócił to w żart, tak że wszyscy roześmieliśmy się wesoło. Wtedy Drummle, rozwścieczony tym małym zwycięstwem przeciwnika, przestał wrzeszczać ramionami, wyjął ręce z kieszeni, chwycił dużą szklankę i byłby ją cisnął w głowę przeciwnika, gdyby jej nie chwycił szybko pan Jagers i nie postawił na stole.

– Panowie – oznajmił gospodarz, wyjmując złoty zegarek z kieszeni i bujając go na masywnym łańcuszku – bardzo mi przykro, ale muszę ogłosić, że już jest wpół do dziesiątej.

Na ten znak zewraliśmy się wszyscy do odejścia. Zanim wyszliśmy za drzwi, Startop serdecznie zwrócił się do Drummla „mój stary”, jak gdyby nic między nimi nie zaszło, ale „stary” był tak daleki od wybaczenia mu zająścia, że nie chciał iść wraz z nim po jednym chodniku i drogę do Hammersmith odbyli, krocząc równolegle po dwu stronach ulicy. Przyglądaliśmy się z Herbertem (my dwaj zostaliśmy na noc w miesście), jak szli przed siebie: Startop szybciej, a Drummlle włókt się wolniej w cieniu domów, całkiem jak wówczas w łódce na rzece.

Ponieważ drzwi domu pana Jagersa były jeszcze uchylone, postanowiłem na chwileczkę pozostawić Herberta i wpaść do niego opiekuna. Zastałem go w jego garderobie w otoczeniu całej kolekcji obuwia. Mył sobie ręce, najwidoczniej po nas.

Oznajmiłem, że wróciłem, by go przeprosić, jeżeli miał jakkolwiek przykrość z naszego powodu, i wyrazić nadzieję, że nie ma mi tego za złe.

— Phi — powiedział z ociekającą twarzą, patrząc na mnie przez krople wody — nic nie szkodzi. Pip. Ten Drummlle mi się mimo wszystko podoba.

Odpartem, w chwili gdy odwróciwszy się ku mnie wycierał twarz ręcznikiem, potraszając głową:

— Bardzo mi miło, proszę pana, że pan go lubi. Bo ja nie...

— Dobrze, dobrze — zauważył — nie zadawaj się z nim zbyt wiele. Trzymaj się od niego, jak możesz najdalej. Pip. Ale mnie się ten chłopak mimo to podoba. Jest szczyry. Gdybym był pro-  
rokiem...

Wychyliwszy twarz zza ręcznika, uchwycił moje spojrzenie.

— Ale nie jestem prorokiem — dokończył, zamurzając na nowo głowę w fałdy ręcznika i osuszając sobie uszy. — Wiesz zresztą, kim jestem, co, Pip? Dobranoc, chłopcze.

— Dobranoc panu.

W jakiś miesiąc potem wygasła umowa Pająka z panem Pocketsiem ku wielkiej uldze całego domu, z wyjątkiem pani Pockets. Młodzieniec wyjechał do domu, do swej rodzinnej dziury.

## Rozdział dwudziesty siódmy



*Drogi panie Pip, piszę do Pana z polecenia pana Gargery, ażeby zawiadomić Pana, że udaje się on do Londynu w towarzystwie pana Wopsle'a i byłby szczęśliwy, gdyby Pan chciał go przyjąć. Wstąpi do „Gospody Barnarda” we wtorek o 9 rano. Gdyby to Panu nie odpowiadało, proszę zostawić słówko. Panska biedna siostra czuje się tak samo jak wówczas, gdy Pan nas opuszczał. Co wieczór rozmawiamy w kuchni o Panu, o tym, co też Pan tam porabia i co mówi. Jeżeli uważa to Pan za niewłaściwość — naszej strony, proszę nam wybaczyć ze względu na miłość do ubogich dni przeszłości. To już wszystko, drogi panie Pip, od zawsze Panu obowiązuje i szczerzej służy*  
*Biddy*

*PS On życzył sobie, abym koniecznie napisała „To ci gratka!”. Mówi, że Pan już wie, o co chodzi. Spodziewam się i nie wątpię ani na chwilę, że Pan zobaczy go z przyjemnością, mimo iż został Pan panem, gdyż miał Pan zawsze dobre serce, a on jest naprawdę wartościowym, bardzo wartościowym człowiekiem. Przeczytałam mu cały list z wyjątkiem ostatniego zdania, a on też jeszcze prosił, żeby napisać „To ci gratka!”.*

List ten otrzymałem pocztą w poniedziałek rano, więc przyjazd miał nastąpić już nazajutrz. Niech mi wolno będzie wy-

znać, jakie uczucia towarzyszyły memu oczekiwaniu przybycia Joego.

Mimo że tyle mnie z nim wiązało, uczucia te nie były przyjemne. Nie. Byłem zmieszany, trochę zmartwiony i miałem dotkliwe poczucie własnej śmieszności. Gdybym mógł dać mu pieśniadze za to, by nie przyjeżdżał, uczyniłbym to z pewnością. Największą pociechę sprawiała mi myśl, że Joe nie przybywa do Hammersmith, tylko do „Gospody Barnarda” i że w ten sposób uniknie spotkania z Drummle'em. Nie miałem nic przeciwko temu, by go ujrzeli ci, których szanowałem, to jest Herbert i jego ojciec, ale lękałem się jego zetknięcia z tym, którym pogardzałem, to jest z Drummle'em. Tak to bywa najczęściej w życiu, że uciekamy się do słabości i nawet podłości z powodu ludzi, którymi najbardziej pogardzamy.

Od pewnego już czasu zacząłem urządzać pokoje w sposób ogromnie kosztowny i nieodpowiedni jak na „Gospodę Barnarda”. W owej chwili były one już całkiem niepodobne do tych, które tu zastałem, i miałem zaszczyt wypelnienia mymi rachunkami kilku stron w księgach handlowych tapicera z sąsiedztwa. Ostatnio posunąłem się nawet do tego, że przyjąłem lokajczyka obutego w buty z wyłogami, i odtąd pędziłem dni jako jego niewolnik. Bo kiedy stworzyłem tego potwora (członka rodziny mojej praczki), kiedy go odział w niebieski sukienny fraczek, karkową kamizelkę, biały krawat, kremowe spodnie i buty, o których przed chwilą wspominałem, to okazało się, że należy mu wynaleźć coś do roboty i bardzo wiele do jedzenia. I te właśnie dwie okoliczności stały się postrachem mojego życia.

Ten mściwy upiór otrzymał polecenie zjawienia się we wtorek o ósmej rano i zajęcia posterunku w przedpokoju (rozmiaru dwu stóp kwadratowych, jak to głosiła karteczka chodnika wyścielającego podłogę), a Herbert zamówił śniadanie z myślą o gustach Joego. Mimo że byłem mu szczerze wdzięczny za jego dobroć i życzliwość, nie mogłem pozbyć się przykrego i dziwnego podejrzenia, że nie byłby taki gorliwy, gdyby to do niego w odwiedziny przybywał Joe.

Mimo wszystko w poniedziałek wieczorem poszedłem do miasta, by przygotować przyjęcie dla Joego, a we wtorek rano zerwałem się wcześniej i krzątałem, aby bawialnia i stół do śniadania przybrały jak najwspanialszy wygląd.

Na nieszczęście dzień był dżdżysty i nawet aniołowi nie udało by się zatrzeć wrazenia, że Barnard płakał przepojonymi sadzami za szybami okien, niczym jakiś olbrzymi a przeczulony kominiarz.

Kiedy zbliżała się oznaczona godzina, byłbym uciekł, gdyby nie to, że zgodnie z rozkazem mu wydanym, „Mściciel” siedział w przedpokoju i że zaraz potem usłyszałem na schodach kroki Joego. Poznałem od razu, że to on nadchodzi, po niezręcznym stapaniu, po tym, że jego odświętne obuwie, jako zbyt obszerne, szurało po schodach, i po tym, że zatrzymywał się na piętrach, by odczytywać nazwiska na tabliczkach. Kiedy wreszcie zatrzymał się przed naszymi drzwiami, styszałem nieledwie szelest jego palca przesuwającego się po malowanych literach mego nazwiska na drzwiach i jego oddech dmuchający w dziurkę od klucza. W końcu rozległo się nieśmiałe stuknięcie i Pepper – takie było kompromitujące nazwisko mściwego chłopaka – zaanonsował: „Pan Gargery!”. Wówczas jeszcze myślałem, że nigdy nie skończy wycierania stóp i że będę zmuszony wyjść i zdjąć go ze stromianki, ale wreszcie wszedł do pokoju.

– Joe, jak się miewasz, Joe?

– Pip, jak się miewasz, Pip?

Twarz jego była jak zawsze uczciwa, płonąca i promienna, kiedy postawiwszy pomiędzy nami na podłodze swój kapelusz, schwytał obie moje dłonie i podnosił je rytmicznym gestem w górę, by opuścić potem na dół, jak gdybym był ostatnim modelem patentowanej pompy.

– Rad cię widzę, Joe. Daj mi twój kapelusz.

Ale Joe, trzymając kurczowo kapelusz jak gniazdo pełne ptasich jaj, nie myślał nawet rozstawać się ze swą własnością i upierał się, aby stać i rozmawiać w najmniej wygodnej pozycji.

– Jaks to uróst – powiedział Joe – i zmężniał, i spańszczał –

Joe namyślał się przez chwilę, zanim wpadł na to słowo – na pewno przynosisz zaszczyt twemu królowi i krajowi.

– A ty, Joe, wyglądasz wspaniale.

– Dziękować Bogu – odpart Joe – nie niewiemam się gorzej niż inni. A twojej siostrze nic się nie pogorszyło. A Biddy jest jak zawsze dobra i pomocna. I wszystkim przyjaciółom dobrze się wiedzcie. Z wyjątkiem Wopsle'a, który się opuścił.

Przez cały ten czas (mimo że obiema dłońmi trzymał przed sobą ostrożnie gniazdo z ptaszkami) Joe toczył wokół siebie wzrokiem, przenosząc spojrzenie ze ścian na kwiecisty wzór mojego szlafroka.

– Zeszedł na manowce, Joe?

– Tak – potwierdził cichszym głosem Joe – rzucił kościół i przeszedł do teatru na aktora. I to właśnie przywiodło go ze mną do Londynu. Jego życzeniem było – tu Joe wsunął swoje gniazdo pod lewe ramię, a prawą ręką sięgnął jak gdyby po jajko – zebym, bez obrazy, to ci oddał.

Wzięłam to, co Joe mi podawał i co okazało się zmiętym programem podrzędnego teatryku stołecznego. Program zapowiadał jeszcze w tym tygodniu występ „słynnego amatora prowincjonalnego, drugiego Rosciusa, który swym jedynym ukazaniem się na scenie w tragicznej roli w dramacie naszego barda narodowego wywołał nie lada sensację w miejscowych kołach dramatycznych”.

– Czy byłeś na tym przedstawieniu, Joe? – spytałam.

– Byłem – przytaknął uroczyście Joe.

– Czy rzeczywiście wywołał sensację?

– Tak – odpart Joe – można powiedzieć, że nie żalowali mu skórek od pomarańczy. Szczególnie w chwili, kiedy zobaczył ducha. Ale chciałem się spytać, czy to pomaga aktorowi i czy to ładnie wykrzykiwać, kiedy widzi ducha: „Amen”? To, że człowiek miał nieszczyćście i służył w kościele, to jeszcze nie znaczy, że trzeba mu przerywać rozmowę z duchem rodzzonego ojca wykrzyknikami! Dodam, że jeżeli duch własnego ojca nie ma pochłaniać uwagi człowieka, to co wreszcie ma go zajmować? Na

dobitek spadała mu jeszcze żałobna czapeczka, której czarne pióra były zbyt ciężkie, i musiał ją ciągle przytrzymywać.

Wyraz twarzy Joeego całkiem taki, jak gdyby sam zobaczył ducha, zawiadomił mnie o wejściu Herberta do pokoju. Przedstawilem Joeego Herbertowi, który wyciągnął do niego rękę; ale Joe cofnął się, kurczowo zaciskając dłoń na swym gnieździe z jajami.

– Pański sługa, wielmożny panie – powiedział Joe – spodziewam się, że pan, zarówno jak Pip – tu spojrzenie jego padło na młodszego Mściciela, który stawał na stole grzanki, jak gdyby i jego chciał zamknąć w gronie domowników (widząc to groźnie ściągnął brwi, co jeszcze bardziej zmieszkało Joeego) – spodziewam się, że obaj panowie jesteście w dobrym zdrowiu, mimo że znajdujcie się w takim zamknięciu. Bo ta gospoda może być w mniemaniu londyńczyków bardzo dobra – dodał poufnym tonem Joe – ale ja mimo to nie odważyłbym się w takiej zagrodzie nawet tuczyć prosiaka, gdybym chciał mieć z niego smaczne i wonne mięso.

Wygłosiszwy taką pochwałę naszego mieszkania i zdradziwszy nagle tendencję nazywania mnie „panem”, Joe, zaproszony do stołu, zaczął rozglądać się, gdzieby tu odstawić kapelusze, jak gdyby należało wybrać jakieś rzadkie miejsce.

Wreszcie powiesił go na gzymsie kominka, skąd co pewien czas spadał na podłogę.

– Napiję się pan herbaty czy kawy, panie Gargery? – spytał Herbert, który zawsze był gospodarzem przy pierwszym śniadaniu.

– Dziękuję panu – odpart Joe, sztywniejąc od stóp do głów – będę pił to, co panowie wolą.

– To może kawy?

– Dziękuję panu – odpart Joe najwidoczniej nie zachwycony tą propozycją – skoro pan był taskaw wybrać kawę, może być kawa. Nie będę sprzeczał się z pańską opinią. Ale czy pan nie uważa, że kawa za bardzo syci?

– Więc herbata w takim razie – powiedział Herbert, napętnając jego filiżankę.

W tej chwili kapelusze Joego spadł z gzymsu kominka, Joe skoczył na równe nogi, podniósł go i umieścił dokładnie w tym samym miejscu, jak gdyby przepisy dobrego wychowania wymagały bezwzględnie, aby za chwilę spadł znowu na podłogę.

– Kiedy przyjechał pan do miasta, panie Gargery?

– Czy to było wczoraj po południu? – zastanawiał się Joe, zstaniając się dłonią podczas kaszlu, jak gdyby chciał pokazać, że zdążył się już tu nabawić co najmniej koklusu. – Nie, chyba nie. Chociaż tak, to było wczoraj po południu (twarz jego wyrażała rozszadek, ulgę i całkowitą bezstronność).

– Czy widział już pan coś w Londynie?

– Tak, naturalnie, poszedłem z Wopsle'em, proszę pana – powiedział Joe – poszliśmy obejrzeć składy pasty do obuwia. Ale okazało się, że są one całkiem niepodobne do tych, które zapowiadały czerwone afisze przed sklepami.

I dla wytłumaczenia swej myśli Joe dodał:

– Na afiszu one są bardziej architektoktoktoniczne...

Zdaje mi się, że Joe wymawiałby to niebezpieczne słowo jeszcze o wiele dłużej, może nawet rozciągnąłby je w istny refren, gdyby uwaga jego nie została znowu zaprzągnięta kapeluszem, który stoczył się na podłogę. Nakrycie owo wymagało zresztą nieustannej jego czujności i zręcznej szybkości, podobnie do tej, jakiej wymaga obrona bramki w krykiecie.

Wykazywał po prostu olbrzymią wprawę i znajomość przepisów tej niezwykłej gry z kapeluszem: to rzucił się błyskawicznie i chwycił go w pół drogi, to pozwał mu się toczyć chwilę po podłodze i przyciskał go przed schwytnością do tapety na ścianie, aż wreszcie zapędził go aż do szaflika z wodą, z którego ośmielił się go wydobyć.

Koźnierzyk od koszuli i koźnierzyk ubrania Joego były prawdziwą zagadką. Czy dlatego poddawał się takim duszącym torturom, że sądził, iż inaczej nie będzie ubrany odświętnie? Czy uważał, że uroczyście strój wymaga, aby człowiek stał się go godnym przez cierpienie?

Podczas jedzenia Joe robił niepokojące przerwy, zamysławiając się i zatrzymując z niewiadomych przyczyn widelec w pół drogi pomiędzy talerzem a ustami. Oczy jego biegle w najbardziej niespodziewanych kierunkach. Męczył się najwidoczniej z powodu własnego kaszlu. Siedział tak daleko od stołu, że więcej kęsów opuszczał na podłogę, niż donosił do ust, udając jednocześnie, że tego wcale nie spostrzega. Z tych wszystkich powodów byłem uszczęśliwiony, gdy Herbert opuścił nas i udał się do miasta.

Nie miałem wówczas ani rozsądku, ani dostatecznie dobrej woli, by przyznać, że wszystko to wynikało z mojej winy i że gdybym od pierwszej chwili był swobodniejszy wobec Joego, i on byłby bardziej swobodny wobec nas. Przeciwnie, złościłem się na Joego, irytowałem mnie jego zachowanie się i sam przyczyniałem się do tego, że dalej rzucał mi na głowę rozpalone węgle.

– Ponieważ zostaliśmy teraz sami z panem... – zaczął po wyjściu Herberta.

– Joe – przerwałem mu ze złością – czemu ciągle nazywasz mnie panem?

Joe spojrzął na mnie i przez krótką chwilę czytałem w jego spojrzeniu wyrzut. I mimo całej śmieszności jego krawata i kołnierzyków musiałem przyznać, że z postawy jego biło wiele godności.

– Ponieważ zostaliśmy teraz sami – powiedział Joe – a ja nie mam zamiaru ani możliwości pozostawać tu już dłużej nad kilka chwil, muszę wyjaśnić, co sprawiło, że mam zaszczyt tu się znajdować. Bo – ciągnął z tym przebiegłym wyrazem twarzy, który znałem tak dobrze – gdyby nie fakt, iż zawsze mam na względzie pańskie dobro, nie miałbym zaszczytu siedzieć przy stole z dwoma panami w ich własnym mieszkaniu.

Tak dalece obawiałem się, że znowu spojrzę na mnie podobnie jak przedtem, że nawet nie zaprotestowałem przeciwko tonowi, jakim do mnie przemawiał.

– Więc to było tak, proszę pana – ciągnął Joe – siedziałem



którego wieczora „Pod Wesołymi Przewoźnikami” i tam, Pip – ilekroć zapominał się, mówił mi po imieniu, by zaraz potem przejść na grzecznościowe „pan” – przyjechał swoją bryczuszką Pumblechook. Muszę tu dodać, chociaż to nie ma nic do rzeczy, że wścieka mnie ten człowiek, kiedy rozbija się bryczką po całym mieście i wszędzie wykrzykuje, że był twym najlepszym przyjacielem i opiekunem za czasów twego dzieciństwa i że ty uważasz go za najbliższego sobie druha.

– Głupstwo, Joe, to ciebie uważam za druha.

– I ja tak myślałem – odparł, potrząsając głową – chociaż teraz to nie ma już większego znaczenia, proszę pana. Więc ten Pumblechook, co robi tyle zamieszania, wpadł pod „Trzech Przewoźników” (szklanka piwa i fajeczka w oberży dobrze robi każdemu robotnikowi i nie przeszkadza mu w pracy) i powiedział: „Józefie, miss Havisham chce z panem mówić”.

– Miss Havisham, Joe?

– „Życzy sobie – powiedział Pumblechook – rozmawiać z panem”. Tu Joe usiadł i przewrócił oczyma, utkwivszy spojrzenie w sufcie.

– Doprawdy, Joe? Mów dalej.

– Nazajutrz, proszę pana – opowiadał Joe, spoglądając na mnie tak, jak gdybym był bardzo daleko od niego – ubrałem się i poszedłem do miss A.

– Miss A, Joe? Chyba do miss Havisham?

– Mówię właśnie – odparł Joe z taką miną, jak gdyby sporządził testament – do miss A, to znaczy do miss Havisham, proszę pana, więc ona powiada do mnie: „Pan koresponduje z panem Pipem, panie Gargery?”. Ponieważ dostałem właśnie od pana list, więc miałem prawo dać odpowiedź, że tak. (Kiedyś się żenił z twoją siostrą, Pip, powiedziałem wtedy: „Tak” i kiedyś odpowiedział twojej przyjaciółce, Pip, znowu powiedziałem: „Tak”). „Więc niech pan nu napisze – oświadczyła wtedy – że Estella wróciła do domu i będzie rada go widzieć”.

Patrząc na Joeego czułem, że twarz moja w tej chwili płonie. Zdawałem sobie sprawę, że czerwienieję się i dlatego, iż gdybym

wiedział, z czym Joe przybywa, dodawałbym mu od początku więcej otuchy.

– Biddy, kiedy zawiadomiłem ją o tym po powrocie do domu, zawahala się, czy mam ci to napisać w liście. Doradziła mi: „Wiem, że ucieszylby się, gdybyś mu to sam powiedział. Jest święto, chcesz go zobaczyć, jedź”. Skończyłem, proszę pana – oznajmił Joe, zrywając się z krzesła – i, Pip, życzę ci wszystkiego najlepszego, żeby ci się coraz to lepiej i lepiej powodziło.

– Ale chyba nie odchodzisz jeszcze, Joe?

– Odchodzę – odparł Joe.

– Ale wróciysz chyba na obiad, Joe?

– Nie, nie wrócę – zapowiedział Joe.

Nasze spożyczenia się spotkały i wszystkie „pan” zamarty w je-go męskim sercu, gdy podawał mi rękę.

– Pip, Kochany przyjacielu, życie składa się z takiego tań-cucha złączonych ze sobą rozstań, jeżeli wolno mi tak powie-dzieć. Jeden jest kowalem, drugi złotnikiem, a trzeci miedzio-rytnikiem i między poszczególnymi ludźmi są różnice, więc każdy musi iść w swoją stronę. Jeżeli ktokolwiek popełnił dzi-siaj błąd, to tylko ja sam. Ja i ty to dwie osoby, które nie mogą być razem w Londynie. Możemy się widywać jedynie prywat-nie i tylko wśród przyjaciół, którzy jednakowo nas obu znają. I to nie dlatego, abym był dumny, ale dlatego, że chcę być w porządku, nie zobaczysz mnie już nigdy w tym stroju. W oderwanu od kuźni, kuchni czy moich bagnisk jestem nie na miejscu. Będziesz całkiem inaczej mnie widział w roboczym ubraniu, w kuźni i z fajką w zębach lub młotem w dłoni. Z pew-nością nie zobaczysz we mnie ani połowy wad i błędów, jakie tu we mnie dostrzegasz, gdy pewnego razu, kiedy zechcesz mnie zobaczyć (a spodziewam się, że taka chwila nadejdzie), wsuniesz głowę przez okno kuchni i ujrzysz mnie przy moim starym kowadle, mnie, Joeego, kowala, w starym na pół popalo-nym fartuchu przy starej mojej robocie. Jestem okrutny tępak, ale wydaje mi się, że tym razem trafiłem w sedno prawdy.

Niech cię więc Bóg błogosławi, Pip, kochany staruszkę, niech cię Bóg błogosławi!

Nie omyliłem się więc przypuszczając, że jest w nim wiele godności. Krój jego ubrania nie miał już żadnego znaczenia, w chwili gdy mówił te słowa, tak samo jak nie miałby znaczenia w niebie. Dotknął delikatnie dłonią mego czoła i wyszedł. Kiedy tylko oprzytomniałem z wrażenia, rzuciłem się ku drzwiom, wybiegłem na ulicę, by go znaleźć. Ale już poszedł.

## Rozdział dwudziesty ósmy



Było jasne że nazajutrz muszę pojechać do naszego miasta i w pierwszym przyływie wyrzutów sumienia uważałem za równie oczywiste, że muszę zamieszkać u Joego.

Ale kiedy zamówiłem już miejsce w dylizansie na dzień następny i kiedy przeszedłem się do domu pana Pocketa i z powrotem, nie byłem już tak mocno przekonany, czy wykonam drugi punkt mego planu, i zacząłem zmyślać sobie szereg wymówek i przyczyn, dla których lepiej by było zamieszkać w gospodzie „Pod Błękitnym Dzikim”. Będę przeskakał Joemu, nie oczekuj mnie w domu, moje łóżko nie będzie przygotowane, znalazłbym się zbyt daleko od miss Havisham, a ona jest punktualna i nie lubi, żeby się spóźniać. Nie ma większego oszusta niż ten, kto oszukuje sam siebie, a ja używałem w tym celu wszystkich możliwych sposobów. I rzecz ciekawa: nie byłoby nic dziwnego, gdybym w nieświadomości przyjął fałszywą półkoronówkę od jakiegoś fałszerza pieniędzy, ale zdumiewające mogło się wydać to, że świadomie przyjmowałem fałszywą, przeze mnie samego podrobioną monetę i brałem ją za dobry pieniądz!

Usłużny oszust może z łatwością pod pretekstem złożenia moich banknotów wsunąć mi zamiast nich chociażby łupiny od orzechów, ale co powiedzieć o człowieku, który, jak ja, sam wsuwał sobie skorupy od orzechów i wmawiał w siebie, że to banknoty.

Postanowiwszy więc, że zajadę do „Błękitnego Dziką”, zaczęłam się zastanawiać, czyby nie zabrać ze sobą Mściciela. Jakże kusząca była dla mnie perspektywa, że ów kosztowny najemnik będzie się przechadzał po dziedzińcu „Błękitnego Dziką” i na stacji dylizansów, przewietrzając swe wysokie buty. A po prostu rozkoszna była myśl, że przejdzie się on przed sklepem krawca i wprawi w zdumienie pozbawionego dla mnie szacunku chłopaka od Trabba. Z drugiej strony obawiałem się, że ten okropny chłopic gotów zaprzyjaźnić się z moim lokajczykiem i naopowiadać mu niepotrzebnych rzeczy, albo też, bezczelny zuchwalec potrafiłby go po prostu pobić na środku High Street. Lękałem się też, że mogłaby się o nim dowiedzieć moja opiekunka i że byłaby może niezadowolona. W rezultacie postanowiłem nie brać ze sobą Mściciela.

Zamówiłem miejsce w popołudniowym dylizansie i ponieważ panowała zima, spodziewałem się dotrzeć do celu w dwie czy trzy godziny po zapadnięciu zmroku. Miałem wyruszyć ze stacji Cross Key o drugiej po południu. Stawiłem się na miejscu o kwadrans wcześniej w towarzystwie Mściciela, jeżeli można nazwać towarzystwem kogoś, komu nie śniło się w niczym mi pomagać.

W owym czasie weszło w zwyczaj przewożenie galerników do portu w dylizansach pocztowych. Podróżowali zazwyczaj na górnym piętrze i nieraz widziałem na własne oczy ich skute żelazem nogi, kołyszące się na dachu pojazdu. Toteż nie zdziwiłem się wcale, gdy odprowadzający mnie Herbert powiedział, że będzie jechał w towarzystwie dwóch galerników. Miałem przyczynny po temu, co prawda już stare przyczyny, by wyraz galernik przyprawił mnie za każdym razem o przykry wstrząs.

– Nie sprawia ci to chyba przykrości, Haendel? – spytał Herbert.

– O, nie!

– Zdawało mi się, że wyglądasz, jak gdyby ci się to nie podobato.

– Nie mogę powiedzieć, aby mi się to specjalnie podobało

i tobie na pewno także nie byłoby to przyjemne, ale przykrości mi to nie sprawia!

– Patrz! To właśnie oni – zauważył Herbert – wychodzą z gospody. Jakiz to okropny i wstrętny widok.

Towarzyszył im dozorca i widocznie musieli go częstować w oberzy, bo wszyscy trzej wycierali sobie usta wierzchem dłoni. Dwaj galernicy byli skuci ze sobą za ręce i mieli kajdany na nogach. Znałem dobrze kształt tych kajdan, tak samo jak krój ubrań więziennych przestępców. Dozorca ich miał parę pistoletów, a pod pachą trzymał jeszcze grubą pałkę, ale zdawał się być z więźniami w doskonałych stosunkach. Stał obok nich przyglądając się, jak zakładano konie do dylizansu, z taką miną, jak gdyby jego więźniowie stanowili interesującą wystawę publiczną, otwartą nieoficjalnie, a on pełnił rolę jej kustosa. Jeden z galerników był wyższy i tęższy od drugiego. Prawdopodobnie na zasadzie tajemniczych praw, rządzących światem galerników i wolnych ludzi, ubrano go w jak najciaśniejsze ubranie. Ramiona jego i nogi wyglądały na skutek tego jak potworne poduchy do szpilek, a całość stroju robiła wrażenie groteskowe. Wystarczyło mi jedno spojrzenie jego na pół przymkniętych oczu, bym poznał w nim tajemniczego gościa, który w gospodzie „Pod Trzema Przewoźnikami” pewnej soboty wieczorem mierzył do mnie z niewidzialnej strzelby.

Nietrudno było spoznać, że nie zdaje się mnie poznawać, jak gdyby widział mnie po raz pierwszy w życiu. Przez krótką chwilę przejrzał mnie na wskroś i zatrzymał przez moment spojrzenie na moim łańcuszku od zegarka, potem splunął i szepnął coś do swego towarzysza. Obaj roześnieli się potężnąwszy kajdanami, które łączyły ich dłonie, i przenieśli wzrok na coś innego. Ołbrzymie numery wypisane na ich plecach niczym na domach ulicznych, ich cały ohydny i odpychający wygląd, czyniący z nich jak gdyby zwierzęta niższego rzędu, nogi opatrzone w kajdany, za które wetknięte mieli żalosiście chusteczki do nosa, spojrzenia otaczających pełne lęku i obrzydzenia przedstawiały, jak to słusznie powiedział Herbert, okropny i wstrętny widok.

Ale najgorsze miało dopiero przyjść. Ponieważ okazało się, że górę dylizansu zajęła jakaś rodzina londyńska, wyprowadzająca się z całym bagażem z miasta, dwaj więźniowie musieli usiąść na ławeczce tuż za plecami woźnicy. Wówczas pewien choleryczny jegomość, któremu przypało czwarte miejsce na tej ławce, wpadł we wściekłość, wykrzykując, że to jest nadużycie umowy, że on nie życzy sobie takiego ohydneho towarzysstwa, że to haniebne, okropne, zabójcze, bezwstydne, i nie wiadomo co jeszcze. Tymczasem pojazd był już gotów, wszyscy zajęliśmy miejsca, galernicy zjawili się wraz z dozorcą, a jednocześnie rozeszła się owa woń kataplazmów, bai, sznurów i paleniska, właściwa wszystkim więźniom.

– Niech pan tak się nie przejmuj, panie – tłumaczył rozgniewanemu pasażerowi dozorca – będą siedzieli obok mnie z drugiej strony, daleko od pana. Nie zetkną się z panem wcale. Nie będzie pan nawet widział, że jadą.

– I proszę tylko nie mieć do *mnie* pretensji o tę podróż – powiedział galernik, którego poznałem – *ja* nie mam wcale ochoty tam jechać. Chętnie zostanę i poślę kogo innego na moje miejsce.

– Albo na moje – mruknął drugi więzień – na pewno bym państwu nie przeskadzał, gdyby pozwolono mi pójść *swój* drogą. Potem obaj roześmieli się i zaczęli łupać orzechy, rozrzucając skorupy.

Pomyślałem, że i ja na ich miejscu, gdyby mną tak wyraźnie pogardzano, robiłbym to samo.

Zdecydowano wreszcie, że niepodobna zaspokoić pretensji rozgniewanego pasażera i że ma on do wyboru albo podróż w towarzystwie, jakie mu wypadło, albo pozostanie w Londynie. Zajął więc swoje miejsce, wciągnął narzekając. Dozorca usiadł obok niego, a więźniowie odsunęli się, jak najdalej mogli, na ławce. Galernik, którego znałem, siedział tuż za mną i dmuchał mi oddechem we włosy.

– Do widzenia, Haendel – zawołał Herbert, gdy dylizans ruszył, i wówczas pomyślałem, jak to szczęśliwie, że wymyślił dla mnie nowe imię i nie nazywa mnie Pipem.

Trudno mi powiedzieć, z jaką wyrazistością czułem oddech więźnia nie tylko we włosach, ale wzdłuż całego kręgosłupa. Miałem uczucie, że mój rdzeń pacierzowy został porażony przez jakiś gryzący płyn i po prostu zgrzytałem od tego zębami. Galernik robił wrażenie, jak gdyby oddychał o wiele więcej niż każdy inny człowiek i sprawiał znacznie więcej hałasu przy tym niż inni. Czuję, jak z jednej strony wyrasta mi garb, tak bardzo kurczyłem się, by uniknąć jego sapania.

Pogoda była okropna i dwaj więźniowie przeklinali zimno. Chłód wprawiał wszystkich w rodzaj letargu, a kiedy ujechalismy połowę drogi, całe towarzystwo skurczone drżało z zimna, drzemało i milczało. I ja również drzemałem, ale w półśnie jeszcze rozmyślałem, czy powinienem temu człowiekowi oddać jego dwa funty, zanim go stracę z oczu, a jeżeli tak, to w jaki sposób to zrobić.

We śnie pochyliłem się naprzód tak mocno, jak gdybym miał głową upaść pomiędzy konie, i wzdrygnawszy się obudziłem się z lękiem, wciągnąwszy do jednego. Musiałem jednak spać dłużej, niż mi się zrazu zdawało, gdyż mimo że wokół nic nie można było rozróżnić w ciemnościach, prócz blasku padającego z naszych latarni i tańcącego z cieniami, poczułem po wilgotnym mglistym zapachu idącym od ziemi, że musimy znajdować się już w bagnistej okolicy. Galernicy tymczasem usadowili się tak, by mieć jakąś ochronę przed zimnym przenikliwym wiatrem, i robiąc sobie z mojej osoby parawan, przysunęli się całkiem blisko. Pierwsze słowa, jakie usłyszałem z ich ust tuż koło mnie, stanowiły jak gdyby echo moich myśli: „Dwa banknoty jednofuntowe”.

– Skąd je dostał? – spytał galernik, którego nie znałem.

– Skądże mogę to wiedzieć? – odparł znajomy mi więzień. –

Musiał je mieć schowane. Może dostał od któregoś z przyjaciół.

– Żeby tak teraz je mieć – westchnął ten drugi i dodał znowu przekleństwo z powodu zimna.

– Co mieć? Przyjaciół czy dwa funty?

– Dwa funty, oczywiście. Sprzedałbym wszystkich przyja-

ciół za jednego funta i jeszcze zrobiłbym dobry interes. Więc co ci wtedy tamten powiedział?

– Powiedział – odparł znajomy mi galerNIK – bardzo krótko, bo mieliśmy tylko chwilkę czasu ukryci za stosem drzewa w porcie: „Wypuszczają cię!”. Tak, mieli mnie wypuścić. Wtedy spytał, czy odnajdę tego chłopca, który mu wówczas pomógł, przyniósł żywność i dochował tajemnicy, i czy doręczę mu dwa funty. Obiecałem mu to i dotrzymałem.

– Głupi byłeś. Ja na twoim miejscu przejechałbym je i przepił. To musiał być jakiś niedoświadczony chłop. Powiadasz, że nie o tobie nie wiedział?

– Nic. Byliśmy w różnych bandach i na różnych galeriach. Został schwytyany przy próbie ucieczki i skazany na dożywotnią.

– I to było tylko raz, na słowo! Pracowałeś w tamtej okolicy?

– Jeden jedyny raz.

– Co sądzisz o tamtych stronach?

– Okropna okolica. Błota, mgły, moczary i katorga, katorga, błota, mgła i moczary!

Wyrazali najgorszymi wyrazami wstręt do moich rodzinnych stron, przeklinali, potem objaj umilkli.

Wysłuchawszy tej rozmowy, powinienem był natychmiast wysiąść w ciemnościach i zostać sam na drodze, ale nie ruszałem się, gdyż miałem pewność, że mnie nie poznał. Istotnie, nie tylko sam się przeobraziłem, ale tak gruntownie zmieniłem strój i w tak odmiennych okolicznościach mnie wówczas widział, że nie można mnie było poznać bez czyjejs pomocy.

Niezwykły przypadek, który kazał nam spotkać się w jednym dylizansie, przepelniał mnie jednak obawą, że może się zdarzyć inny przypadek, który przypomni mi moją osobę, i że za chwilę więzień odezwie się do mnie po imieniu. Z tego to powodu postanowiłem wysiąść z dylizansu u wjazdu do miasteczka i zniknąć mu jak najprędzej z oczu. Wykonałem ten zamiar szczęśliwie. Moja torba podróżna znajdowała się w skrzyni bagażowej obok mych stóp; wystarczyło przekreślić kluczki i wy-

jąc ją stamtąd. Uczyniłem to, wyrzuciłem torbę na drogę, wyskoczyłem i znalazłem się przy pierwszej latarni, w miejscu gdzie zaczynał się bruk miasteczka. GalerNicy zaś pojechali dylizansem dalej i wiedziałem doskonale, gdzie nad rzeką ich wysadzą. W wyobraźni widziałem oczekujący ich na czarnej wodzie rzeki statek z zatogą galerNIKów, stojący u stóp pokrytych mulem schodów słyszałem szorstkie: „Wsiadać, wy tam!”, rozkaz jak dla psów, i w oczach miałem obraz strasznej Arki Noego, zakotwiczonej na ciemnej wodzie rzeki.

Nie umiem powiedzieć, czego się w tej chwili lękałem, gdyż lęk mój był nieokreślony, ale bałem się okropnie. Idąc w stronę hotelu drżałem ze strachu stokroć silniejszego niż ten, który wywołuje przykre spotkanie. Jestem przekonany, że przerazenie owo nie przybrało wyraźnego oblicza i że to dawne strachy dzieciństwa nagle we mnie ożyły na kilka minut.

Kawiarnia w gospodzie „Pod Błękitnym Dzikim” była pusta i kiedy usiadłszy przy stoliku zamawiałem obiad, kelner zrazu mnie nie poznał. Gdy po chwili przepraszał mnie za to, spytał, czy ma postać Bootsa po pana Pumblechooka.

– Nie – odparłem – oczywiście, że nie trzeba.

Kelner (ten sam, który w dniu rejestrowania mnie w urzędzie w charakterze terminatora wnosił do władz protest w imieniu pracowników) podał mi teraz ze zdziwioną miną zatłuszczony numer jakiejś starej gazety. Zrobił to tak znacząco, że wzięłam ją i przeczytałam następującą wzmiankę:

*Czytelniczy nasi przeczytają nie bez zainteresowania romantyczną wiadomość o nagłym dościsłu do fortuny pewnego młodszego rzemieślnika z branży żelaznej, zamieszkałego w naszym sąsiedztwie (nawiasem mówiąc, cóż za wspaniały temat dla pióra powszechnie znanego mieszkanka naszego miasta, Tooby'ego, poety tych oto kolumn). Nie od rzeczy będzie wspomnieć, że przyjaciелеm i opiekunem od lat najmlodszych i towarzyszem owego szczęśliwego młodzieńca jest powszechnie znany i szanowany obywatel, o którym nie można powiedzieć, by nie miał pewnych*

związków ze sprzedażą ziarna i nasion, i którego świetnie zaopatrzone skład znajduje się o sto kroków od ulicy Główniej. Bez uchybienia wolno nam przypomnieć, że on to był mentorem młodego Telemaka, który fortunę swą zawdzięcza zresztą jednemu z obywateli naszego miasta. Więc kto jest właścicielem owej fortuny? – spyta zapewne ze zmarszczoną brwią miejscowy Mędrzec lub też z błyszczącym okiem miejscowa Piękność. Powiemy tylko tyle: że *Quentin Matsys* był **KOWALEM** miasta *Antwerp*.  
*Verb. Sap.*

Mam prawo przypuszczać, opierając się na doświadczeniu, że gdybym w owym czasie mego powodzenia znalazł się na biegunie północnym, to spotkałbym tam jakiegoś wędrownego Eskimosa czy też człowieka cywilizowanego, który by mi oświadczył, że *Pumblechook* był moim pierwszym opiekunem i że to jemu zawdzięczam majątek.

## Rozdział dwudziesty dziewiąty



Nazajutrz zerwałem się rankiem z łóżka i wyszedłem na dwór. Było jeszcze za wcześnie, żeby udać się do miss *Havisham*, więc wałęsałem się po okolicy, ale wybrałem tę stronę, gdzie mieszkała owa dama, a nie te, gdzie znajdował się dom *Joego*, którego mogłem przecież odwiedzić nazajutrz. Chodziłem i rozmyślałem o mej opiekunce, snując wspólne plany na przyszłość. Adoptowała *Estellę*, niemal mnie usynowiła, więc z pewnością zamierzała połączyć nas dwoje w przyszłości. Mnie to przeznaczyła rolę dźwignięcia domu z ruiny, wpuszczenia do ciemnych pokoiów światła słonecznego, wprawienia w ruch stojących zegarów, zapalenia ognia w wystygłych kominkach, wymiecenia pajęczyn, zniszczenia robactwa – słowem, ja miałem w jej domu spełnić rolę młodego rycerza z bajki i poślubić księżniczkę.

Mijając dom zatrzymałem się, by mu się przyjrzeć. Ceglane stare mury, na głucho zabite okna, zielony bluszc, który nie tylko obrastał ściany, ale nawet obejmował ramionami dach aż po kominy, wszystko to zdawało mi się uroczą tajemnicą, w której ja grać miałem rolę bohatera. *Estella* oczywiście stanowiła natchnienie i serce owej tajemnicy. Ale mimo że wciąż jeszcze mną władała, mimo że marzenia moje były z nią tylko związane, mimo że wywarła mocny wpływ na mój chłopiący charakter i na moje życie, to nawet owego romantycznego poranka, myśląc

o niej, nie przypisywałem jej cech, których istotnie nie posiadała. Wspominam o tym tutaj z przychylny, której jestem świadomy: fakt ten bowiem był jak gdyby nicą, która wywiodła mnie z ubożego labiryntu. Jak nauczyło mnie doświadczenie, obraz, jaki zakochany tworzy sobie o przedmiocie swej miłości, nie zawsze zgodny bywa z prawdą. Ale jedno jest niezbita prawda. Gdy kochałem Estellę miłością mężczyzny, zdawałem sobie sprawę, że kocham ją jedynie dlatego, iż nie potrafię się jej oprzeć. Raz na zawsze wiedziałem, ku memu zmartwieniu, i świadomość ta wciąż powracała, jeżeli nie towarzyszyła bez przerwy, że kocham ją wbrew rozsądkowi, wbrew temu, co sobie przyrzekłem, wbrew własnemu spokojowi, wbrew nadziei, wbrew szczęściu i mimo wszystkich rozczarowań, jakie mogą mnie spotkać.

Raz na zawsze kochałem ją, choć wiedziałem to wszystko, i miłość moja dla niej nie mogłaby być większa, gdybym wierzył w jej doskonałość.

Tak wymierzyłem sobie kroki, by dotrzeć do bramy o tej samej godzinie, o której przychodziłem tu niegdyś. Kiedy zadzwoniłem niepewną dłońią, odwróciłem się plecami do bramy, by uspokoić gwałtowne kołatanie serca. Słyszałem, jak otwarty się boczne drzwi domu, słyszałem kroki stukające po dziedzińcu, ale nie odwróciłem się nawet wówczas, gdy brama zaskrzygotała na zardzewiałych zawiasach.

Dopiero gdy ktoś dotknął mego ramienia, odwróciłem się i drgnąłem, co tym razem było całkiem naturalne, na widok człowieka w ciemnopopielatym ubraniu. Stał przede mną ostatni człowiek, jakiego spodziewałem się ujrzeć w roli portiera przy drzwiach domu miss Havisham.

– Orlick!

– Ach, to młody panicz! Cóż, zmiany zaszły nie tylko w pańskim życiu. Ale proszę wejść do środka. Nie wolno mi trzymać bramy otwartej!

Wszedłem, a on zaryglował bramę i wyjął klucz z zamka.

– Tak – powiedział, zrobiwszy kilka kroków przede mną

w stronę domu i zawróciwszy ku mnie z powrotem – jestem więc teraz tutaj.

– W jaki sposób się tu dostałeś? – spytałem.

– Przeszedłem pieszo, a rzeczy przywiozłem sobie na taczkach – odparł.

– Czy jesteś tutaj na dobre? – badałem.

– Spodziewam się, że nie na złe chyba, młody panie.

Nie byłem tego tak całkiem pewien i miałem dobrą chwilę, by pomyśleć na ten temat, gdyż zatrzymał się teraz przede mną i podniósł ociężałe spojrzenie z bruku kolejno na me nogi, ramiona i twarz.

– Porzucicieś więc kuźnię? – dowiadywałem się.

– A czyż to wygląda na kuźnię? – rzucił obrażonym tonem, ukazując dłońią wokół siebie. – Niech pan sam powie, czy to podobne do kuźni?

Spytałem go, od jak dawna porzucił kuźnię Gargery'ego.

– Jeden dzień jest tutaj tak podobny do drugiego – odparł – że sam nie umiem powiedzieć dokładnie. Wiem tylko, że w jakimś czasie po pańskim wyjeździe.

– To i ja mógłbym ci powiedzieć, Orlick.

– Ach – odparł oschle – na to pan jest uczonym.

Dosłyszmy tymczasem do domu i tu ujrzałem jego mieszkanie wychodzący na podwórze. Przypominał podobne pomieszczenia dla portierów w Paryżu. Na ścianach wisił szereg kluczy, do których Orlick dodał teraz klucz od bramy. W swojej alce wie znajdowało się jego łóżko przykryte połataną kapą. Panowały tu zaduch i senność niezłym w noże susza. Sam gospodarz, ponury, ciemny i ciężki, stojąc u okna robił wrażenie owego zwierzęcia wcielonego w człowieka, dla którego tę klatkę właśnie stworzono.

– Nigdy dawniej nie widziałem tego pokoju. Bo też nie było tu nigdy dozorczy – zauważyłem.

– Nie, nie było, dopóki się nie spostregli, że nikt nie pilnuje domu i że kręci się tu pełno galerników, rozmaitej hołoty, obdar-

ciuchów i urwipolciów. Wtedy to polecono mnie jako człowieka, który da sobie z każdym radę. Wziąłem tę posadę, bo lżejsza niż praca przy miechu kowalskim i młocie. A broń jest nabita, tak.

Spojrzenie moje padło na dubeltówkę o kolbie oprawnej w mosiądz, zawieszoną nad kominkiem; jego oczy podążały za moimi.

– A teraz – zagadnąłem, chcąc przerwać rozmowę – czy mogę pójść do miss Havisham?

– Niech się spałe, jeżeli wiem – odparł, prężąc swą długą postać – rozkazy dla mnie kończą się tutaj, młody panie. Muszę teraz uderzyć tym oto młotkiem w tę tarczę, a pan pójdzie korytarzem, aż pan kogoś spotka.

– Chyba mnie oczekują?

– Niech mnie dwa razy spała, jeżeli wiem – odparł.

Na te słowa ruszyłem korytarzem, tą samą drogą, którą przebywałem niegdyś w grubym obuwiu, a Orlick uderzył w gong. Na końcu korytarza, gdy sygnał wciął się rozlegał, spotkałem Sarę Pocket. Na mój widok wyraźnie zzieleniała i zżółkła.

– O – przywitała mnie – to pan, panie Pip?

– Tak, miss Pocket. Miło mi pani donieść, że pan Pocket i jego rodzina są zdrowi.

– Czy nie zmądrzeli? – spytała Sara Pocket, potrząsając głową. – Lepiej by było dla nich, żeby byli mądrzy niż zdrowi. Ach, ten Mateusz, ten Mateusz. Zna pan drogę, proszę pana?

Z łatwością znalazłem drogę na ciemne schody, na które lżej mi było teraz wstępować niż dawniej w ciężkich butach, i znalazłem się przed drzwiami miss Havisham. Zapukałem.

– To pukanie Pipa! – usłyszałem jej głos. – Wejź, Pip.

Siedziała w swym fotelu przy starym stole w dawnej sukni. Dłonie miała złożone na lasce, brodę wsparła na nich i patrzyła w ogień. Obok niej, z nienoszonym białym pantofelkiem w ręku, siedziała, spuściwszy głowę, jakaś wytworna młoda dama, której nigdy przedtem nie widziałem.

– Wejź, Pip – mruknęła miss Havisham nie patrząc na mnie, tylko wciągając w płomienie kominka – wejź, Pip. Jak się masz, Pip? Cóż to, całujesz mnie w rękę jak królową, co? Co?

Spojrzała nagle na mnie i powtórzyła, nie zmieniając pozycji, jak gdyby z ponurym rozbawieniem:

– No, co?

– Dowiedziałem się, miss Havisham – odpartem trochę zmieszany – że pani łaskawie zechciała mnie zobaczyć, więc przyjechałem.

– No, i co?

Młoda dama, której nigdy przedtem nie widziałem, podniosła teraz oczy i spojrzała mi w twarz. Wtedy ujrzałem, że to oczy Estelli. Ale zmieniła się tak bardzo, była teraz o tyle piękniejsza, o tyle bardziej kobieca, o tyle więcej budziła zachwyty, że mój ją przemiana gości przy niej całkowicie. Patrząc na nią pomyślałem, że cofam się wobec niej na nowo i znowu przemieniam w ordynarnego, zwykłego chłopaka. Och, straszne uczucie nierówności i przepaści między nami, które mną wówczas owładnęło i które utwierdziło mnie raz jeszcze w przekonaniu, jak ogromnie jest niedostępna!

Podatła mi rękę. Wyjąkałem coś o przyjemności ponownego spotkania jej i o tym, jak od dawna tego pragnąłem.

– Czy uważasz, że bardzo się zmieniła, Pip? – spytała miss Havisham z ożywieniem, stukając łaską w puste krzesło pomiędzy nimi dwiema, jak gdyby wskazując, bym tam usiadł.

– Kiedy tu wszedłem, miss Havisham – odpowiedziałem – zdawało mi się, że nie ma nic z Estelli w tej twarzy i postaci, ale teraz zaczynam już rozpoznawać dawną...

– Dawną? – zdziwiła się miss Havisham. – Chyba nie chcesz powiedzieć, że to dawna Estella, ta, która była dumna i bezczelna. Chciałeś od niej uciec, pamiętasz?

Odpartem zmieszany, że to działo się już bardzo dawno i że byłem wówczas dzieckiem, które nic nie rozumiało, i tym podobne rzeczy. Estella uśmiechnęła się uprzejmie i powiedziała, że z pewnością ona wówczas nie była w porządku, a ja miałem słuszną.

– A on czy się zmienił? – zagadnęła miss Havisham Estellę.

– Bardzo – odpowiedziała Estella patrząc na mnie.



– Mniej ordynarny i pospolity? – spytała miss Havisham, bawiąc się włosami Estelli.

Estella roześmiała się, spojrziała na pantofelek, który trzymała w ręku, popatrzyła na mnie, znowu wybuchnęła śmiechem i odstawiła trzewiczek.

Wciąż jeszcze traktowała mnie jak małego chłopca, ale jednocześnie usiłowała mnie zdobyć.

Siedzieliśmy w owym pokoju jak ze snu, który niegdyś robit na mnie tak wielkie wrażenie, i tu dowiedziałem się, że Estella właśnie powróciła do kraju z Francji i że jedzie do Londynu. Była dumna i uparta jak dawniej, ale te cechy w tak szczególny sposób splotyły się z jej urodą, że nie sposób było je rozdzielić. Dla mnie Estella nadto ściśle wiązała się ze wszystkimi moimi niegodziwymi tęsknotami do majątku i elegancji, jakie dręczyły mnie w chłopcęcych latach, ze wszystkimi zgubnymi aspiracjami, które po raz pierwszy zaczęły mi się wstydzicie własnego domu i Joeego, ze wszystkimi wizjami, które ukazywały mi jej twarz w płonącym ogniu, wystukiwały jej obraz z żelaza, iskier na kowadle, wyczarowywały go z mroku rozpostartego za oknami kuchni, by potem na nowo pograćzyć w ciemności. Słowem, nie sposób mi było ani w przeszłości, ani w terażniejszości oddzielić jej od najbardziej wewnętrzznego nurtu mego życia.

Postanowiono, że zostanie tu do wieczora, wieczorem wrócić do hotelu na noc, a nazajutrz pojedą do Londynu. Po chwili rozmowy miss Havisham posłała nas na przechadzkę do zaniedbanego ogrodu i prosiła, abym po naszym powrocie powoził ją trochę w fotelu po pokoju jak dawniej.

Estella wyszła więc ze mną do ogrodu przez tę samą furtkę, w której niegdyś spotkałem bladego chłopca, obecnie Herberta. Ja, drżąc z wewnętrznego wzruszenia, uwielbiałem ją aż po skraj jej sukni, ona była całkiem spokojna i bardzo daleka od uwielbiania skrajnego mego ubrania.

Gdy zbliżyliśmy się do miejsca mojej walki z Herbertem, Estella odezwała się:

– Musiałam być rzeczywiście dziwną istotą, kiedy to śledzi-

łam z ukrycia waszą walkę. Ale uczyniłam to i byłam zachwyconą tą bójką.

– Wynagrodziłaś mnie wtedy wspaniale.

– Doprawdy? – spytała, jak gdyby o wszystkim zapomniała.

– Paniętam, że nie znosiłam twego przeciwnika za to, że narzucano mi jego towarzystwo.

– Jestem z nim teraz bardzo zaprzyjaźniony – wyznałem.

– Doprawdy? Ach, prawda, przypominam sobie teraz: uczysz się u jego ojca.

– Tak.

Przyznałem się do tego z niechęcią, gdyż czyniło to ze mnie małego chłopca, a ona i tak traktowała mnie jak dziecko.

– Od czasu gdy odmienił się twój los, zmieniłeś też towarzystwo, czy tak? – powiedziała Estella.

– Oczywiście – potwierdziłem.

– I zgodnie z tym to, co stanowiło niegdyś dla ciebie dobre towarzystwo, nie odpowiada ci teraz – zauważyła wyniosłym tonem.

Nie jestem pewien, czy w tym momencie miałem jeszcze zamiar odwiedzić Joeego, ale gdybym nawet nosił się z tym planem, to ulotniłby się natychmiast.

– Czy nie miałeś wówczas pojęcia o fortunie, jaka cię czeka? – badała Estella, czyniąc dłonią ruch ilustrujący moją walkę z Herbertem.

– Najmniejszego.

Odczułem głęboko kontrast pomiędzy wyniosłym i pewnym siebie wyrazem twarzy, z jakim szła obok mnie, a moją własną młodzieńczo pokorną miną. Poczucie to dręczyłoby mnie zapewne o wiele bardziej, gdyby nie fakt, że sam godziłem się na ten kontrast, który zdawał się czynić ze mnie jej poddanego. Ogród okazał się zbyt zapuszczony i zarosnięty, by można było po nim swobodnie spacerować, toteż gdy obszedliśmy go ze dwa lub trzy razy, znaleźliśmy się znowu na dziedzińcu starego brzo-waru. Wskazałem Estelli miejsce, w którym widziałem ją biegnącą po beczkach pierwszego dnia mego pobytu w tym domu,

ale ona, rzuciwszy niedbale spojrzenie w tym kierunku, zapytała tylko chłodno:

– Doprawdy?

Przypomniałem jej, jak to wyszła wówczas z domu i przyniosła mi jedzenie i napój, ale odparła:

– Nie pamiętam.

– Nie pamiętasz, jak doprowadziłaś mnie do placu? – spytałem.

– Nie – odpowiedziała, potrząsając głową i patrząc z roztrąnieniem wokoło.

Żywię głębokie przekonanie, że ten jej brak pamięci i lekceważenie faktu, iż niegdyś stała się przyczyną mego płaczu, sprawił, że chciało mi się znowu płakać i że taki płacz jest jednym z najbardziej rozdzierających.

– Powinieneś wiedzieć – mówiła Estella z łaskawością pięknej i wytwornej damy – że ja nie mam serca, jeżeli to ma coś wspólnego z pamięcią.

Wyjąkałem, że pozwolę sobie wnieść protest. Mówiłem, że ja wiem lepiej i że nie można, będąc tak piękną, nie mieć serca.

– Oczywiście, mam serce, które mógłby przesyć sztylet lub kula – zgodziła się Estella – i naturalnie, gdyby przestało bić i ja przestałabym istnieć. Ale wiesz, co mam na myśli: współczucie, sentyment... te wszystkie głupstwa.

Gdy umilkła, patrząc na mnie bacznie, pomyślałem, kogo też to jej spojrzenie mi przypomina? Coś, co widziałem w twarzy miss Havisham? Nie. Być może w niektórych ruchach czy spojrzeniach Estelli czało się jedno z tych podobieństw do miss Havisham, jakie dzieci przejmują od dorosłych, wśród których wzrastają, i zachowują czasem nawet do wieku dojrzałego mimo całkowitej różnicy rysów. Ale to, co uderzało mnie w twarzy dziewczyny, nie pochodziło od miss Havisham. Spojrzałem raz jeszcze na nią, ale mimo że nie spuszczała ze mnie wzroku, owo nieuchwytnie wrażenie zniknęło. Cóż to było?

– Mówię poważnie – ciągnęła Estella, nie marszcząc brwi (czoło jej pozostało gładkie, tylko twarz jej zdawała się powle-

kać cieniem) – jeżeli mamy się ze sobą stykać, lepiej, byś w to od razu uwierzył. Nie! – przerwała rozkazującym gestem, gdy otwierałem usta w odpowiedzi – nikogo nie obdarzyłam czułością. Po prostu nieznane mi jest to uczucie.

Po chwili byliśmy już w starym browarze. Pokazała palcem na galerię biegnącą wokół sali i wyznała, że owego pierwszego dnia, kiedy ją tam zobaczyłem, znajdowała się na górze i widziała, jak bardzo byłem przestraszony. Oczy moje śledziły jej białą dłoń i wówczas znowu ogarnęło mnie to niezwykle wrażenie, że Estella kogoś mi przypomina, ale nie umiałem określić, kogo. Zadrzałem tak widocznie, że położyła mi rękę na ramieniu. Na chwilę ów upiór zjawit się ponownie i znowu zniknął.

Co to było?

– Co się stało? – spytała Estella. – Czy jeszcze jesteś przestraszony?

– Mógłbym się przestraszyć, gdybym wierzył w to, co przed chwilą o sobie mówiłaś – odparłem, by zmienić temat.

– Więc nie wierzysz? Doskonale. Ja w każdym razie uprzedziłam. A teraz musisz na chwilę powrócić do twojego dawnego obowiązku wobec miss Havisham, chociaż prawdę mówiąc mogłaby odłożyć ten zwyczaj do lamusa razem z innymi dawnymi twymi akcesoriami. Obejdźmy raz jeszcze ogród wokoło i wracajmy do domu. Cóż, dzisiaj nie powinieneś wylewać też z powodu mego okrucieństwa. Dzisiaj będziesz moim pazim i podasz mi ramię.

Jej śliczna suknia wlokła się teraz po ziemi. Estella jedną dłonią uniosła spódnicę do góry, a drugą z lekka dotknęła mego ramienia, podczas gdy przechadzaliśmy się wśród drzew. Przeszliśmy się jeszcze dwukrotnie wokół zapuszczonego ogrodu, który mnie się teraz wydawał pełen kwiatów. Gdyby pośółkcie i zielone chwasty, wyrastające ze szczelin starego, wałącego się muru, były najrzadszymi kwiatami świata, jeszcze nie mogłyby mi się wydać piękniejsze we wspomnieniu o tej przechadzce.

Nie zachodziła między nami tak wielka różnica wieku, byliśmy mniej więcej tych samych lat, chociaż ona wydawała się

oczywiście dużo ode mnie starsza. Ale poczucie wyższości, jakim ją obdarzała jej uroda, i niedostępność dręczyły mnie wciąż, mimo przeświadczenia, że nasza opiekunka przeznaczyła nas sobie wzajemnie. Niszczęśny był ze mnie chłopiec!

Nareszcie powróciliśmy do domu i tu dowiedziałem się ku memu wielkiemu zdziwieniu, że mój opiekun przybył w odwieczny w jakimś interesie do miss Havisham i że zjawi się na obiad. Podczas naszej nieobecności zapalono stare ramię, jak gdyby przysypanych szronem świeczników i sędziwa dama czekała na nas w fotelu nieopodal rozkładających się resztek stołu ślubnego.

Kiedy popychałem jej fotel naokoto popiołów uczy wesołej, było mi tak, jak gdybym posuwał go ku przeszłości. Ale w tym żalobnym pokoju, w którym sama śmierć zdawała się jechać w fotelu, kiedy wpijałem wzrok w młodą dziewczynę, Estella wydawała mi się jeszcze bardziej olśniewająca i jeszcze większe robiła na mnie wrażenie.

Czas miał tak szybko, że zbliżyła się już godzina naszego wczesnego obiadu i Estella wyszła, by się do niego przygotować. Zatrzymaliśmy się właśnie w naszej wędrowce mniej więcej przy środku długiego stołu. Miss Havisham wyciągnęła koscistą dłoń i wpiła palec w poźółkły obrus. W tejże chwili Estella, wychodząc, obejrzała się na nas przez ramię, a miss Havisham tą samą dłońią postąpiła jej pocałunek tak jakoś żartownie i namiętnie, że robiło to wrażenie wprost okropne.

A gdy Estella wyszła i pozostaliśmy sami, zwróciła się do mnie i powiedziała szeptem:

– Piękna jest? Wdzięczna? Zgrabna? Podziwiasz ją?

– Każdy, kto ją widzi, musi podziwiać, miss Havisham.

Otoczyła mi szyję ramieniem i przyciągając moją głowę blisko do swej twarzy, powtarzała:

– Kochaj ją! Kochaj! A jakże ona cię traktuje?

I zanim zdała jej odpowiedzieć (jak gdyby odpowiedź na to pytanie mogła być łatwa), powtórzyła:

– Kochaj ją, kochaj, kochaj, jeżeli jest dla ciebie taskawa.

A jeżeli rani cię, kochaj ją także. Jeżeli poszarpie ci serce na strzępy, kochaj ją wciąż. Jeżeli w miarę jak będziesz stawał się coraz starszy i silniejszy, serce twoje dozna coraz dotkliwszego bólu, kochaj ją bez zmian, kochaj, kochaj, kochaj!

Nigdy jeszcze nie styszałem tak namiętnego tonu jak ten, który brzmiał w jej słowach. Namiętność zdawała się napinać mięśnie jej wychudłego ramienia, które czułem na szyi.

– Stuchaj mnie, Pip. Adoptowałam ją po to, aby była kochana. Żywiłam ją i kształciłam po to, by ją kochano. Zrobiłam z niej to, czym jest teraz, tylko po to, aby ją kochano. Kochaj ją! Powtarzała ten wyraz po wiele razy, nie mogło być więc wątpliwości, co ma na myśli, ale gdyby zamiast o miłości mówiła o nienawiści, naglej śmierci, zemście czy rozpacz, to słowo nie mogłoby w jej ustach brzmieć bardziej podobnie do przekleństwa.

– Powiem ci – ciągnęła tym samym pośpiesznym, namiętnym szeptem – co to jest prawdziwa miłość. To ślepe oddanie, ponizienie bez granic, całkowite poddanie się, zaufanie i wiara na przekór samej sobie i całemu światu, ofiarowanie własnego serca i duszy oprawcy! Tak kochałam!

Wydała dziki okrzyk i zerwała się tak gwałtownie z fotela, że gdybym jej nie chwycił wpół i nie przytrzymał, rozbiłaby sobie głowę o ścianę i padłaby martwa.

Wszystko to stało się w ciągu kilku sekund. Kiedy posadziłam ją z powrotem w fotelu, poczułem jakiś znajomy zapach i obejrzawszy się, zobaczyłem mego opiekuna. Zawsze nosił przy sobie (chyba nie wspominałem jeszcze o tym) w kieszonce chusteczkę imponujących rozmiarów z grubego jedwabiu, która wycierała mu znakomicie usługi w jego zawodzie. Widując go, jak straszyl klienta lub świadka rozwijając przed jego oczyma ową chusteczkę, jak gdyby z zamiarem natychmiastowego wyłarcia sobie nią nosa, potem zatrzymywał się nagle w pół drogi i czekał, czy też ów człowiek nie skompromituje się wobec sądu, co oczywiście natychmiast wywoływało kompromitację zmieszanego tymi manewrami świadka. Kiedy go ujrz-

tem w pokoju, miał w obu rękach rozwiniętą wymowną chusteczkę i patrzył na nas bacznie. Napotkawszy mój wzrok, powiedział po krótkiej pauzie:

– Doprawdy? To zdumiewające!

I natychmiast potem zrobił ze swej chustki odpowiedni użytek.

Miss Havisham, która spostrzegła jego obecność w tej samej co ja chwili, i która (jak wszyscy zresztą) bała się go okropnie, zrobiła wysiłek, by się opanować, i wyjąkała, że jest jak zwykle punktualny.

– Punktualny jak zwykle – powtórzył, zbliżając się do nas. – Jakże się miewasz, Pip? Czy mam panią powozić, miss Havisham? Może raz przewieźć wokół pokoju? Więc przyjechałeś tutaj, Pip?

Wyjaśniłem mu, kiedy tu przybyłem, i dodałem, że miss Havisham pragnęła mnie widzieć i chciała, abym zobaczył się też z Estellą. Odpowiedział na to:

– Ach, to śliczna młoda panna.

Potem popchnął fotel z miss Havisham dużą dłonią, podczas gdy drugą wetknął do kieszeni spodni gestem, jak gdyby była ona pełna tajemnic.

– No, i cóż, Pip, ile razy widziałeś pannę Estellę dawniej? – spytał, gdy wreszcie się zatrzymał.

– Ile razy?

– No, tak, ile razy? Dziesięć tysięcy?

– Nie, z pewnością nie tyle.

– Dwa razy?

– Jagers – przerwała ku mojej uldze miss Havisham – zostaw Pipa w spokoju i idź z nim na obiad.

Usłuchał jej i zeszedliśmy po omacku po ciemnych schodach. W drodze do pawilonu, stojącego w głębi dziedzińca, po krótkiej chwili milczenia spytał mnie, ile razy w życiu widziałem miss Havisham jedzącą lub pijącą, przy czym swoim zwyczajem dał mi wybór pomiędzy jednym razem a stoma.

Pomyślałem i odpowiedziałem:

– Nigdy.

– I nigdy nie zobaczysz, Pip – oświadczył z właściwym sobie znaczącym uśmiechem – od czasu gdy prowadzi to dziwaczne życie, nigdy nie jada i nie pija w niczyjej obecności. Wędruje nocą po domu i chwytła to, co jej wpadnie pod rękę.

– Przepraszam pana – odezwałem się – czy wolno mi zadać panu jedno pytanie?

– Możesz, a ja mam prawo je uchylić, no pytaj.

– Nazwisko Estelli jest Havisham czy też... – nie wiedziałem, co dodać.

– Czy jak? – spytał.

– Nazywa się Havisham?

– Tak, Havisham.

Przy stole oczekiwały nas Estella i Sara Pocket. Pan Jagers usiadł na naczelnym miejscu, Estella naprzeciw niego, ja zaś miałem przed sobą moją zóftozieloną przyjaciółkę. Obiad był doskonały, a usługiwała nam pokojówka, której nigdy dotąd tu nie widziałem, ale która, wiem o tym, przebywała przez cały czas w tym dziwnym domu. Po obiedzie przed moim opiekunem postawiono butelkę starego wyborowego porto (znał się najwidoczniej dobrze na winach) i obie panie nas opuściły.

Nigdy nie widziałem, by ktoś zachowywał się tak powściągliwie, jak pan Jagers pod dachem tego domu. Spojrzenia jego zdawały się być przeznaczone tylko dla niego samego, a na Estellę nie rzucił okiem przez cały obiad ani razu. Gdy do niego mówiła, słuchał uważnie i odpowiadał natychmiast, ale ani razu nie widziałem, by na nią popatrzył. Nawet w tych chwilach, gdy Estella przyglądała mu się z uwagą i jak gdyby z nieufnością, nie pokazywał po sobie, że to widzi. Natomiast w czasie całego obiadu, z widoczną złośliwością w stosunku do zieleniejącej z zazdrości Sary Pocket, opowiadał o tym, jak wielkie czekają mnie nadzieje, ale zdawał się robić to nieświadomie, gdyż sam nie wiem, w jaki sposób prowokował do mówienia o tych sprawach moją niewinną osobę.

Kiedy pozostaliśmy we dwóch, siedział z taką miną, jak gdyby posiadał jakieś cenne a nieznane mi tajemnice. Tego już by-

to mi za wiele. Gdy nie miał nikogo pod ręką, przeprowadzał śledztwo na winie, które pił. Trzymał szklanceczkę w palcach pod światło, kosztował porto, mlaskał językiem, potykał, patrzył znowu na szklankę, wachał trunek, próbował, wypijał do dna, znowu nalewał i znowu badał napój, jak na śledztwie, tak długo, aż zaczął się denerwować, jak gdyby wino podczas badania mogło mu powiedzieć coś niedobrego o mojej osobie. Trzy lub cztery razy czyniłem słabe wysiłki, by rozpoznać z nim rozmowę, ale iłkroć widział, że zamierzam go o coś spytać, patrzył na mnie ze szklanką w dłoni i mlaskał językiem, jak gdyby chcąc dać mi do poznania, że nie warto pytać, bo on i tak mi nie może odpowiedzieć.

Sądzę, że Sara Pocket zdawała sobie sama sprawę, iż widok mojej osoby może ją doprowadzić do szaleństwa, do podarcia na strzępy czepeczka (ohydnej szmaty z muslinu) i do zamiatania podłogi włosami, które z pewnością nigdy nie rosty na jej głowie. W każdym razie nie zjawiała się już, kiedy powróciliśmy do pokoju miss Havisham i we czwórkę graliśmy w wista. Miss Havisham tymczasem, nie wiem nawet kiedy, przystroića swoimi najpiękniejszymi klejnotami włosy, stanik i ramię Estelli i widziałem, że nawet mój opiekun przyglądał się bacznie spod grubych brwi, wznosząc je ku górze, jak drogie kamienie lśniły i błyszcząły wspaniałymi różnobarwnymi ogniami na jej uroczej postaci.

Nie opowiem już, jak brat do niewoli nasze atuty i sprawiał, że nasze damy i króle błady wobec jego zwykłych, pospolitych kart nagle wydobywanych na wierzch, ani o tym, jak patrzył na nasze trzy osoby niczym na trzy marne zagadki, które już od dawna rozwiązał. Cierpiąłem najbardziej z powodu niewspółmierności jego doskonałego chodu i zaru mej miłości ku Estelli. Nie chodziło mi o to, że nigdy nie zdobęde się na opowiadanie mu o moich ku niej uczuciach, ani o to, iż nie mogłem znieść myśli, że buty jego skrzypią w jej obecności i że po rozstaniu się z nią spokojnie umyje po niej ręce. Cierpiąłem dlatego, że jednocześnie w tym samym pokoju, szalejąc i gorząc uczuciem, nie przestawałem odczuwać okropnego strachu przed nim.

Graliśmy w karty do dziewiątej wieczorem, po czym stanęła umowa, że Estella zawiadomi mnie o swym przyjeździe do Londynu i będę mógł pójść po nią na stację dylizansów. Następnie pożegnałem się z nią, dotknąłem jej dłoni i opuściłem ją.

Mój opiekun zajmował w gospodzie „Pod Błękitnym Dziekiem” pokój sąsiadujący z moim. Długo w noc słyszałem jeszcze słowa miss Havisham: „Kochaj ją, kochaj, kochaj”, dźwięczące mi w uszach. Zmieniłem je po swojemu i szeptałem w poduszkę: „Kocham ją, kocham, kocham!”.

Powtarzałem to setki razy, po czym nasza mnie fala wdzięczności, że oto Estella może należeć do mnie, niegdyś terminatora kowalskiego. Potem pomyślałem, że ona nie zdawała się jeszcze być zachwycona tym faktem, i starałem się przewidzieć, kiedy się mną zacznie interesować. Kiedy uda mi się obudzić to serce, teraz jeszcze senne i obojętne?

Zdawało mi się, że przepehiony jestem wzniosłymi i wielkimi uczuciami, i nie przyszło mi nawet do głowy, że kryje się coś brzydkiego i niskiego w moim odsuwaniu się od Joego tylko z tego powodu, że ona pogardzałaby mną za spotkanie z kowalem. Jeszcze dzień przedtem myśli o Joem sprawiała, że miałem w oczach szczerę łzy.

Szybko obeschły.

Boże, wybacz mi, szybko obeschły!

## Rozdział trzydziesty



Uwierając się rankiem w gospodzie „Pod Błękitnym Dziekiem”, po głębszej rozwadze postanowiłem powiedzieć swemu opiekunowi, że wątpię, czy Orlick jest odpowiedzialnym człowiekiem na męża zaufania miss Havisham.

– To jasne, że nie jest odpowiedzialni, Pip – odparł mój opiekun, jak gdyby z góry zadowolony z postawionej przeze mnie tezy – gdyż żaden mąż zaufania na świecie nigdy nie jest odpowiedzialnym człowiekiem.

Zdawał się być zachwycony, że ten wypadek nie stanowi wyjątku od reguły, i z prawdziwym zadowoleniem słuchał tego, co mu opowiadałem o Orlicku.

– Doskonale, Pip – oświadczył, kiedy skończyłem. – Pójdę tam natychmiast, zapłacę mu, co się należy, i odprawię go z miejsca.

Przerażony tym postanowieniem, byłem za zwłoką w tej sprawie i nawet wyraziłem wątpliwość, czy nasz przyjaciel Orlick dałby się tak łatwo odprawić.

– Chciałbym to zobaczyć – odpowiedział mój opiekun, układając zdecydowanym ruchem chusteczkę – jakby sobie dał radę ze mną!

Mieliśmy jechać dylizansem, który odchodził w południe. Siedząc przy pierwszym śniadaniu ledwie mogłem utrzymać

w ręku filizankę, ze strachu, że lada chwila może się tu zjawic Pumblechook, toteż zaraz po posiłku poprosiłem mego opiekuna, żeby zarezerwował mi miejsce w dylizansie, a ja pójdę naprzód szosą londyńską i wsiadę po drodze, gdy karetą pocztowa mnie dogoni.

W ten sposób mogłem się zaraz po śniadaniu wymknąć z „Błękitnego Dzika”. Nadłożywszy ze dwie mile drogi po to, by okrążyć z daleka i z tyłu sklep Pumblechooka, wyostałem się wreszcie znowu na ulicę Główną, już w pewnym oddaleniu od pułapki i poczułem się stosunkowo bezpieczny.

Przyjemnie mi było znajdować się w starym, dobrze mi znanym miasteczku i nawet czułem zadowolenie, gdy jakiś przechodzień odwracał się poznawszy mnie. Znalazło się kilku takich kupców, którzy na mój widok opuszczali progi swych sklepów, szli przede mną kawałek ulicą, by zawróciwszy, jak gdyby czegoś zapomnieli, spojrzeć mi prosto w twarz. Sam nie wiem, kto przy tej okazji okazał się bardziej obłudny: oni, którzy udawali, że nie robią tego umyślnie, czy ja, udając, że tego nie spotrzegam.

W każdym razie czułem się ogromnie dystyngowany i byłem z siebie zadowolony aż do chwili, kiedy natknąłem się na tego przekłętego niedowiaraka, postugacza ze sklepu Trabba. Z daleka już w perspektywie ulicy ujrzałem, jak zbliżał się do mnie, wywijając na wszystkie strony pustą niebieską torbę. Przypuszczając, że najłepiej i najgodniej się zachowam nie zwracając na niego najmniejszej uwagi, usiłowałem minąć go z najwyższą obojętnością. Już wieszowałem sobie w duchu, że tak wspaniale mi się to udaje, gdy nagle chtopak zgiął kolana, włosy zjeżyły mu się na głowie, czapka spadła na ziemię, zatrzęsł się i wrzasnął do przechodniów:

– Ludzie! Trzymajcie mnie! Boję się! Boję się!

Miało to oznaczać, że mój pefen dostojności wyglądał napędził mu takiego strachu. Kiedy go mijałem, zęby szczykały mu głośno i z oznakami najwyższej pokory runął na ziemię, tarzając się w kurzu.

Było to bardzo ciężkie do zniesienia, ale okazało się jeszcze niczym. Bo zaledwie uszedłem z tego miejsca kilkanaście kroków, kiedy znowu natknąłem się na tego samego chłopaka. Wyskoczył z bocznej uliczki, aby mi znowu zabiec drogę. Przewieszona przez ramię pusta niebieska torba, blask rzetelności i pilności w jego oczach wskazywały, że chłopak ten go-tów jest uczciwie pracować i śpieszy do sklepu Trabba. Na mój widok przeraził się znowu, ale tym razem odbyło się to inaczej: zakręcił się w kółko, kolana ugięły się pod nim, i chwile-jąc się szedł ku mnie z wyciągniętymi rękami, jak gdyby pro-sił mnie o łaskę. Kilku przechodniów z najwyższą radością ob-serwowało te jego cierpienia, a ja czułem się ogromnie zmieszany.

Nie minąłem jeszcze urzędu pocztowego, kiedy spotkałem go znowu wyskakującego z przecznicy. Tym razem był całkiem zmięziony: niebieski worek naciągnął na siebie, naśladując wy-różnie mój nowy płaszcz. szedł po przeciwną stronę ulicy oto-czony gromadą rozbawionych widzów, i kołyszając się wytwor-nie, powtarzał:

– Ja pana nie poznaję!

Nie potrafię wyrazić słowami uczucia obrazy, jakie ogarnęło mnie, kiedy zrównawszy się ze mną, chłopak od Trabba podniósł kohnierzyk koszuli, zwichrzył sobie włosy ręką, oparł pięść na biodrze i odstawwszy łokcie od ciała, wykrzywił się, krzycząc:

– Nie znam pana, nie znam pana, nie znam pana, słowo hono-ru, że nie znam!

Jego uporczywe gdakanie, niczym gdakanie jakiejś kury, któ-ra znała mnie w czasach, kiedy pracowałem w kuźni, prześlą-dowało mnie aż do mostu i gonilo za mną pogardą mojego mia-stecka, wypędzając mnie w ten sposób za rogatki w pole.

W ten sposób uciekłem przed chłopcem Trabba, ale istotnie nie mogłem przecież postąpić inaczej: trudno mi było bić się z nim na ulicy, nic nie sprawiłoby mi satysfakcji, chyba skapa-nie serca chłopaka w jego własnej krwi. Poza tym był to przecież niedorośli chłopak, którego nie wypadło bić, i który z pewno-

ścią w razie czego prześliznąłby mi się jak wąż, z sykiem, po-między nogami. Następnego dnia napisałem list do pana Trabba. W piśmie tym donosiłem, że pan Pip zrywa wszelkie stosunki z firmą, która zapomina się do tego stopnia, co winna wyższym sferom, że zatrudnia chłopaka budzącego niesmak w sercu każ-dego przyzwoitego człowieka.

Dyżans z Jaggersem dogonił mnie na szosie, usiadłem na zarezerwowane mi miejsce na gorze wozu i dotarłem do Lon-dynu cały, ale nie całkiem zdrowy, gdyż bolało mnie serce. Kie-dy tylko przybyłem na miejsce, postąłem pokutnego sztokfi-sza i beczulkę ostyg Joemu (jako zadośćuczynienie za to, że go nie odwiedziłem) i dopiero wtedy udałem się do „Gospody Barnarda”.

Herbert, który właśnie siedział przy obiedzie nad talerzem zinnego mięsa, przywitał mnie z zachwytem. Postawszy Mści-ciela do kawiarni po dodatkowy obiad, poczułem, że muszę otworzyć serce przed najlepszym z nych przyjaciół.

Ponieważ nie mogło być mowy o zwierzeniach, kiedy Mści-ciel siedział w przedpokoju, który śmiało można było uważać za przedsiónek do dziurki od klucza, więc postąłem chłopaka do teatru. Najlepszym dowodem mojej zależności od tego osobnika były ponijające preteksty, jakie wymyślałem, aby się go pozbyć z domu. Dochodziłem do tego, że posyłałem go aż na Hyde Park Corner, by tam zobaczył na zegarze, która godzina.

Po obiedzie, gdy zasiadliśmy przy kominku ze stopaniami opar-tymi o kratę, oznajmiłem:

– Drogi Herbercie, mam ci coś szczególnego do powiedzenia.

– Mój kochany Haendlu, potrafię docenić i uszanować twoje zwierzenia – odparł.

– Dotyczy to mnie – powiedziałem – i jeszcze jednej osoby.

Herbert założył nogę na nogę, z przechyloną na bok głową patrzył dłuższą chwilę wyczekująco w ogień, a potem, nie sły-sząc dalszego ciągu, spojrzął na mnie.

– Herbert – wyznałem, kładąc mu dłoń na kolanie – ja ko-cham... ja ubóstwiam Estelle...

Zamiast okazać zdumienie, Herbert odpowiedział spokojnie:

- Właśnie. No więc?
- No więc, Herbercie? Czy to wszystko, co mi powiesz? No więc?
- Powiadam, no więc, co dalej? Bo o tym, że ją kochasz, wiem od dawna.
- Skąd to wiesz? - spytałem.
- Skąd to wiem, Haendel? Ależ od ciebie.
- Nigdy ci o tym nie mówiłem.
- Nigdy też nie mówiłeś mi, kiedyś sobie ostrzygł włosy, a ja to spostrzegłem. Zawsze ją ubostwiałeś, nawet wtedy, kiedy ja jeszcze o tym nie wiedziałem. Kiedy się tu sprowadziłeś, to razem ze swą torbą podróżną przyniosłeś i to uwielbienie. Nie mówiłeś mi o tym? Ależ powtarzałeś to całymi dniami. Kiedy mi opowiadałeś historię twego życia, sam mi datęś do poznania, że uwielbiałeś ją od pierwszego wejrzenia, gdy byłeś jeszcze dzieckiem.

- Więc dobrze - odpartem, bynajmniej nie obrażony tymi słowami - nigdy nie przestałem jej uwielbiać. A teraz powróciła jeszcze piękniejsza i jeszcze bardziej ośniewająca i wytworzyła. Widziałem ją wczoraj. I jeżeli przedtem ją uwielbiałem, to teraz uwielbiam podwójnie.

- To bardzo szczęśliwie, wobec tego, Haendel, że ona jest ci przeznaczona. Bo nie poruszając niebezpiecznego dla nas tematu, możemy śmiało powiedzieć, że chcąc was połączyć. Ale czy nie możecie powiedzieć, jak ona zapatruje się na tę sprawę?

Potrząsnąłem głową ze smutkiem:

- Och, ona jest ode mnie o tysiąc mil oddalona - wyjaśniłem.
- Cierpliwości, Haendel, cierpliwości. Masz dużo czasu. Ale chciałeś mi coś jeszcze powiedzieć?
- Wstyd mi się do tego przyznać - odpartem - chociaż nie większy wstyd mówić o tym, niż myśleć. Nazwałeś mnie szczęśliwym chłopcem. Oczywiście, mam szczęście. Wczoraj byłem w terminie u kowala, a dzisiaj... czymże jestem dzisiaj? Jak to określić?

- Powiedzmy, dobrym chłopcem, jeżeli potrzebne ci określenie - oświadczył Herbert, z uśmiechem opierając swą dłoń o moją - dobry chłopiec, gwałtowny a jednocześnie nieśmiały, odważny i ostrożny, żywy i marzycielski, ciekawa mieszanina.

Zastanowiłem się chwilę nad tym, czy istotnie jest we mnie taka mieszanina. Nie wszystko w tej analizie wydawało mi się wierne, ale uznałem, że nie warto o tym dyskutować.

- Jeżeli zadają sobie w tej chwili pytanie, kim jestem, Herbercie, oddaję w ten sposób to, co zaprzęta mi myśli. Powiedziałeś, że mam szczęście. Tak, ale wiem, że ja sam nic nie zrobiłem dla mego szczęścia: uczynił to Los, który mnie wydzwignął do góry. To bardzo szczęśliwie. A jednak, kiedy myślę o Estelli...

(- A kiedyż o niej nie myślisz? - wtrącił Herbert z oczyma utkwionymi w ogniu, co uważałem za delikatność z jego strony).

- Wtedy, Herbercie, nie potrafię ci powiedzieć, jaki się czuję zależny, jak niepewny siebie, jak wystawiony na setki prób. Unikając tego, co nazywasz niebezpiecznym gruntem, powiem ci, że od stałości jednej osoby (nie wymieniam jej) zależy mój los i wszystkie moje nadzieje. I jeżeli nawet osiągnę te nadzieje, jakże one są nieokreślone, niezadawalające!

Powiedziałem to uwolnieniem się od ciężaru, który przygniatał mnie od dawna, chwilami mocniej, chwilami słabiej, a od wczoraj stał się po prostu nie do zniesienia.

- Wiesz co, Haendel - zauważył Herbert swym wesołym i krzepiącym głosem - mam wrażenie, że pod wpływem pierwszych namiętności zaglądasz darowanemu koniowi w zęby przez szkło powiększające. Ale jednocześnie, koncentrując spojrzenie na jednym szczególe, pomijasz inne cenne cechy tego zwierzęcia. Powiedziałeś mi kiedyś, że Jagers uprzedzał cię, iż posiadasz nie tylko same nadzieje. A gdyby ci nawet tego nie powiedział, to jak sądzisz, czy pośród wszystkich ludzi w Londynie akurat Jagers jest człowiekiem, który związywałby się z niepewnym interesem?



Odpartem, iż nie mogę zaprzeczyć, że to jest mocny argument, ale oznajmiłem to takim tonem (ludzie często postępują tak w pewnych wypadkach), jakobym przyznawał mu słuszność z pewnym żalem, tylko gwoli prawdzie i sprawiedliwości, woląc, aby było inaczej.

– Sądzę, że to był mocny argument – powiedział Herbert – mocniejszego nie wymyślisz. Moin zdaniem powinieneś mieć zaufanie do twego opiekuna, jak on ma zaufanie do swego klienta. Kiedy skończysz dwadzieścia jeden lat, zapewne otrzymasz bliższe wyjaśnienia. I możesz być spokojny, że ta chwila nadejdzie na pewno.

– Jakie ty masz szczęśliwe usposobienie – zachwyciłem się, z wdzięcznością podziwiając jego pogodny sposób mówienia.

– Muszę je mieć, bo nie mam wiele ponadto – odpart Herbert – ale przyznam się, że rozsądny pogład na twoje sprawy zażyłem od ojca. Jedyna uwaga, jaką zrobił o tobie i twym losie, brzmiała: „Sprawa musi być solidnie zatartwiona, bo inaczej Jagers nie wzięłyby jej do ręki”. Ale teraz, zanim powiem jeszcze słówko o mym ojcu lub o synu mego ojca, będę dla ciebie na krótką chwilę przykry, nawet odpychający.

– Nie uda ci się to – powiedziałem.

– Owszem, uda mi się – podkreślił. – Raz, dwa, trzy i już czynnam, drogi Haendlu, mój przyjacielu.

Mimo że mówił tonem lekkim, wyczułem, że to będzie coś bardzo poważnego.

– Otóż – ciągnął Herbert – kiedy tu tak siedzieliśmy ze stopami opartymi o kratę kominka, zastanawiałem się nad tą sprawą i doszedłem do wniosku, że skoro twój opiekun nigdy nie wspominał ci o Estelli, nie może ona być warunkiem twojego przyszłego majątku. Wywnioskowałem z tego, coś mówił, że jej również nikt o tym nie wspominał ani wprost, ani określną drogą. Nikt na przykład nie zrobił wobec niej żadnej aluzji, że twój opiekun zamierza was połączyć małżeństwem?

– Nie, nigdy nikt.

– Więc słuchaj, Haendel, nie możesz mnie posądzić o uczucia lisa wobec kważnych winogron, ale czy możesz, skoro nie jesteś z nią jeszcze związany, czy możesz się od niej oderwać? Upredziłem cię, że będę przykry.

Odwrociłem głowę, gdyż miałem uczucie, jak gdyby zimny wiatr, który wiał nad rodzinnymi bagniskami od morza, teraz dał na mnie. Uczucie podobne do tego, jakie ogarnęło mnie w dniu opuszczenia kuźni, kiedy to mgły podniosły się uroczyście ku górze, a ja opartem po raz ostatni dłoń o słup przydrożny. Chwilę panowało między nami milczenie.

– Ja wiem, drogi Haendlu – mówił Herbert, jak gdyby rozmowa nasza nie przerywała się wcale – wiem, że jeżeli uczucie tak mocno wrosło w serce chłopca, którego natura i okoliczności uczyniły romantycznym, to jest to sprawa poważna. Ale pomyśl, w jaki sposób ją wychowano, pomyśl o miss Havisham. Pomyśl, kim jest Estella (jestem w tej chwili wstrętny i nienawidzisz mnie). To mogłoby doprowadzić do nieszczęścia.

– Wiem o tym, Herbercie – zgodziłem się z głową wciąż odwróconą – ale nie mogę nic na to poradzić.

– Nie możesz się od niej oderwać?

– Nie. To niemożliwe!

– Nie możesz spróbować, Haendel?

– Nie, to niemożliwe!

– A więc – powiedział Herbert wstrząsając się, jak gdyby budził się ze snu, i poprawiając ogień na kominku – postaram się teraz być znowu miły.

Przeszedł się wokół pokoju, poprawił zastony na oknach, ustawił krzesła na swych miejscach, okurzył książki, uporządkował przedmioty leżące na stołach, wyrzucił do przedpokoju, zajrzał do skrzynki do listów, zamknął drzwi i wrócił na swoje miejsce przy kominku. Usiadł, opalając lewą nogę obiema rękami.

– Miałem powiedzieć ci kilka słów o mym ojcu i o synu mego ojca, Haendel – odezwał się. – Obawiam się, że syn mego ojca nie ma potrzeby mówić o tym, że gospodarstwo w domu jego ojca nie jest dobrze prowadzone.

– Niczego tam nie brakuje – odpartem, byle go jakoś pocieszyć – wszystkiego jest pod dostatkiem.

– Och, tak. Tego samego zdania jest zapewne śmieciarz i niewątpliwie handlarz starzyzną z sąsiedniej uliczki. Ale wiesz zapewne, Haendel, tak samo dobrze jak ja, że sprawa jest poważna. Sądzę, że był kiedyś czas, kiedy ojciec mój reagował na to, co się tam dzieje, ale ten okres już minął. Ale powiedz, czyś zauważył może i w waszych stronach, że najczęściej dziećmi niezgodnych małżeństw same się śpieszą do wczesnego małżeństwa?

Było to takie dziwne pytanie, że odpartem na nie tylko innym pytaniem:

– Czy tak jest rzeczywiście?

– Sam nie wiem, a chciałbym to bardzo wiedzieć. Bo u nas tak właśnie się dzieje. Moja biedna starsza siostra, Charlotta, która umarła nie dożywszy czteremastu lat, marzyła o wyjściu za mąż. To samo dzieje się z małą Jane. Obserwując ją, jak snuje marzenia o małżeństwie, można by sądzić, że całe życie patrzyła na szczęście rodzinne. Maty Alick, który chodzi jeszcze w sukience, już zrobił pewne kroki, by połączyć się małżeństwem z pewną odpowiednią dla niego młodą osobą z Kew. I mam wrażenie, że wszyscy jesteście zaręczeni oprócz Boba.

– Więc i ty jesteście zaręczony? – spytałem.

– Tak, ale w tajemnicy.

Zapewniłem go, że dotrzymam sekretu, i poprosiłem o dalsze szczegóły. Mówił tak szczerze i z takim uczuciem o mojej słabości, że pragnąłem poznać jego siłę.

– Czy mogę spytać o jej imię? – zagadnąłem.

– Na imię jej Klara – wyznał Herbert.

– Mieszka w Londynie?

– Tak. Czy mogę dodać – mówił dalej mój przyjaciel, który od chwili, gdy doszedł do tego tematu, zdradzał nieśmiałość – że jest ona wyższa ponad absurdalne przesady mojej matki? Jej ojciec miał coś wspólnego z aproewizacją pasażerskich okrętów. Zdaje się, że był intendentem.

– Czym jest teraz?

– Inwalidą – odpart.

– A jak żyją?

– Mieszkają na pierwszym piętrze – opowiadał Herbert, mimo że raczej chodziło mi o to, z czego żyją, a nie, gdzie mieszkają. – Nigdy go jeszcze nie widziałem, od czasu jak znam Klara, bo nie opuszcza pokoju. Ale słyszę go często, bo niemożliwie hałasuje na górze, rycząc i waląc w podłogę jakimś piekielnym narzędziem.

Herbert spojrział na mnie, roześmiał się i odzyskał zwykły humor.

– I nie spodziewasz się go zobaczyć? – pytałem.

– O tak, nieustannie spodziewam się go zobaczyć – odpart

Herbert – bo zawsze, gdy hałasuje, myślę, że lada chwila wpadnie do nas przez sufit. Nie wiem tylko, jak długo jeszcze krowie wytrzymają.

Znowu roześmiał się serdecznie, potem spoważniał i zwierzył się, że dlatego właśnie zamierza zebrać kapitał, by móc poświęcić narzeczoną.

Jako rzecz samą przez się zrozumiałą, dodał ze smutkiem:

– Bo widzisz, nie można się żenić, dopóki się nie ma własnych dochodów.

Kiedy patrząc w ogień rozmyślałem, jakie trudności nastęcza zdobywanie kapitału, włożyłem ręce w kieszenie. I oto natrafiłem w jednej kieszeni na jakiś papiererek. Był to wręczony mi przez Joego program przedstawienia teatralnego, w którym występował słynny amator prowincjonalny, równy talentem Rosciusowi.

– Boże, wybacz mi – zawołałem mimo woli – ależ to dzisiaj przedstawienie!

To sprawiło, że przerwaliśmy rozmowę i postanowiliśmy pójść do teatru.

Wyraziłem Herbertowi współczucie dla jego spraw sercowych i obiecałem mu pomóc wszelkimi możliwymi środkami. Herbert powiedział na to, że jego narzeczoną zna mnie doskona-

le z opowiadania. Potem uściskaliśmy sobie serdecznie dłonie, na znak wzajemnego zaufania, zdmuchnęliśmy świece, zagasiłszy ogień w kominku, opuściliśmy mieszkanie, zamykając starannie drzwi, i udaliśmy się na poszukiwanie pana Wopsla i Danii.

## Rozdział trzydziesty pierwszy



Kiedy przybyliśmy do Danii, zastaliśmy króla i królową tego kraju siedzących na dwu fotelach, które ustawiono wysoko na kuchennym stole, otoczonych dworem. Cała arystokracja duńska była na miejscu. Składała się ona ze szlachetnego młodzieńca, który najwidooczniej odziedziczył wysokie buty z łosiowej skóry po jakimś olbrzymich rozmiarów przodku, z czcigodnego para o umorusanej twarzy, robiącego wrażenie, jak gdyby w dość późnym wieku „wyszedł z ludu”, oraz z duńskiego rycerza z grzebykiem we włosach, ubranego w białe jedwabne pończochy i zadziwiająco podobnego do kobiety.

Mój genialny rodak stał z dala, z ponurą miną skrzyżowawszy ramiona na piersi i wołałbym, aby jego kędziory i czoło wyglądały naturalniej.

W miarę jak akcja dramatu się rozwijała, następowały drobne a interesujące fakty. Wydało się, że król nieboszczyk był przed śmiercią dręczony kaszlem, który najwidooczniej zabrał ze sobą do grobu, a potem znów przyniósł na ziemię. Duch króla dźwigał upiorny rękopis owinięty dokoła berta. Zaglądał co chwila do owego manuskryptu z takim lękiem, jak gdyby był zwykłym śmiertelnikiem i obawiał się, że zgubi wąż. Ta okoliczność prawdopodobnie sprawiała, że galeria co pewien czas krzyczała do Ducha: „Przewróć kartkę!”, co doprowadzało go do rozpaczcy. Widoczne też było od pierwszego wejścia, że mimo iż ten uroczysty upiór ukazywał się zawsze z taką miną,

jak gdyby zjawiał się po długiej nieobecności i przebył olbrzymią przestrzeń, to w rzeczywistości wyłaniał się zza sąsiedniego muru. To być może stało się przyczyną zjawiska, iż jego okropne słowa przyjmowano wybuchami śmiechu.

Królowa Danii, bardzo okazała dama, wyglądała jednak tak, jak gdyby należała do epoki miedzianej, gdyż miała na sobie zbyt wiele tego właśnie metalu. Szeroka miedziana obręcz przebiegała jej pod brodą i łączyła się z diademem (jak gdyby monarchini cierpiała na straszliwy ból zębów). W pasie królowa miała również miedzianą obręcz, także bransolety owijały jej ramiona. Nic dziwnego, że publiczność przeżywała ją na głos: „Kocioł miedziany”.

Szlachetny młodzieniec w butach przodków nie mógł się zdecydować na rolę: był na przemian zręcznym marynarzem, wędrownym aktorem, grabarzem, kapłanem i bardzo ważną osobą podczas pojedynku na szpady na dworze królewskim, gdzie wprawne jego oko i wytrawne zdanie służyło za podstawę oceny najpiękniejszych pchnięć. To sprawiło, że publiczność nastroiła się względem niego niechętnie, a nawet, gdy okazało się, że jest w zakonie i nie chce odprawić nabożeństwa żałobnego, obrzuciła go na znak oburzenia orzechami.

Wreszcie Ofelia była ogarnięta tak powolnym i melodyjnym obłędem, że kiedy zgodnie z rolą zdjęła białą szal i pogrzebała w ziemi, jakiś zgryźliwy jegomość, który od dłuższego już czasu niecierpliwie przyciskał nos do żelaznej bariery pierwszego rzędu galerii, mruknął:

– No, teraz, kiedy dziecko już położyliśmy spać, chodźmy na kolację!

Było to oczywiście co najmniej pozbawione sensu.

Wszystkie te wypadki w przewidziany sposób objęły się o mego nieszczęsnego rodaka. Za każdym razem, gdy niecydowany książę rzucał jakieś pytanie lub wyrażał wątpliwość, publiczność przychodziła mu natychmiast z pomocą.

Kiedy na przykład szło o to, by rozstrzygnąć kwestię: „Czy lepiej jest dla szlachetnego umysłu cierpieć”, ktoś wrzasnął, że

tak, inny znów, że nie, a trzeci głos, przychyłając się do obu opinii, radził: „Podrzucić monetę i wylosuj, co lepiej!”, aż zaczęła się ogólna sprzeczka na sali. Kiedy książę pytał, czemu istoty jemu podobne skazane są na pełzanie pomiędzy niebem a ziemią, zachęcano go okrzykami: „Słuchajcie! Słuchajcie!” . Kiedy zjawiał się na scenie z opadającą pończochą (po prostu na nodze utworzyła mu się u góry jedna zgrabna fałda, podejrzewam, że od zbyt gorącego żelazka), na galerii rozległa się głośna rozmowa na temat białej skóry jego nóg, przy czym wyrażano przypuszczenie, że pobladły mu pod wpływem przestrachu na widok ducha ojca. Kiedy wziął do ręki instrument muzyczny, bliźniaczo podobny do małego czarnego fletu, którego używano przed chwilą w orkiestrze i który mu widocznie podano przez drzwi, i przytknął go do ust, podniosły się krzyki, aby zagrał *Ru-le Britannia*, a kiedy zwrócił się do aktora ze słowami, aby nie dmuchał tak mocno, zgryźliwy jegomość krzyknął na głos: „A ty może tego nie robisz? Jesteś stokroć gorszy od niego!” . Przykro mi dodać, że każdy z tych okrzyków wityny był wybuchami śmiechu skierowanego przeciw Wopsle’owi.

Ale na najokropniejsze próby został wystawiany w scenie na cmentarzu, który był nadobny do dziewiczego lasu i miał z jednej strony coś w rodzaju pralni dla duchowieństwa, z drugiej zaś rogatki. Kiedy Wopsle, odziany w czarny uroczysty płaszcz, wchodził przez tę bramę, z publiczności wołano przyjaźnie ku grabarzowi kopiącemu grób: „Te, uważaj, przyszedł szef pilnować, jak pracujesz!” . Każdy przyzna chyba, że Wopsle, po wygłoszeniu filozoficznych uwag nad podjętą z ziemi czaszką, musiał, oddawszy ją, obetrzeć sobie palce białą serwetką, którą wyjął z zanadru. Ale nawet ta niewinna i konieczna czynność wywołała okrzyk: „Kelner!” . Przybycie ciała w pustej trumnie, której wieko nieustannie odsłaniało, wywołało wybuch hałaśliwej wesołości, która wzrosła jeszcze, gdy w jednym z grabarzy niosących trumnę poznano znajomego. Ta radość towarzyszyła pojedynkowi Wopsle’a z Laertesem na ciasnej przestrzeni pomiędzy grobem a orkiestrą i nie przycichła nawet w chwili,

gdy stracił króla z kuchennego stołu i sam stopniowo konał, po-  
cząwszy od kostek w górę.

Uczyniliśmy zrazu kilka słabych wysiłków w celu oklaski-  
wania Wopsle'a, ale szybko daliśmy spokój wobec ich bezna-  
dziejności. Usiedliśmy więc, pełni współczucia, co nam nie  
przeszkadzało samym śmiać się od ucha do ucha. Mimo woli  
wybuchatem co chwila śmiechem, bo przedstawienie było tak  
komiczne, a jednocześnie żywiliem uczucie podziwu dla dykcji  
Wopsle'a. Podziw ten nie miał nic wspólnego z naszą starą  
znajomością; zachwycał mnie szczególnie powolny rytm jego  
deklamacji, jej bezgraniczna posepność, owe wzloty i upadki  
głosu, i niezwykle patos, najzupełniej obcy prawdziwym lu-  
dziom w jakichkolwiek okolicznościach życia lub śmierci. Kie-  
dy tragedia się skończyła i kiedy publiczność domagała się  
wyjścia Wopsle'a na scenę i gwizdata, powiedziałem do Her-  
berta:

– Uciekajmy stąd natychmiast, inaczej jeszcze się na niego  
natknemy.

Zbiegliśmy więc, jak najszybciej mogliśmy, po schodach, ale  
widocznie nie dość się pośpieszyliśmy. U stóp schodów stał przy  
drzwiach jakiś Żyd o gęstych czarnych brwiach, nienaturalnie  
przyklepionych na czole, i spytał:

– Pan Pip z przyjaciелеm?

Przyznaliśmy się, że to my.

– Pan Waldengarver byłby szczęśliwy, gdyby go panowie za-  
szczylili wizytą.

– Waldengarver? – powtórzyłem, ale Herbert szepnął mi na  
ucho:

– Zapewne Wopsle.

– Doskonale – zgodziłem się – czy mamy pójść za panem?

– Tylko parę kroków, proszę – odparł, a kiedy znaleźliśmy  
się w ustronnej uliczce, odwrócił się ku nam i spytał: – No, jak  
wyglądał? To ja go ubierałem.

Zdawało mi się, że Wopsle wyglądał przede wszystkim na  
zatobnika, chociaż coś w rodzaju wielkiego duńskiego słońca

czy gwiazdy zawieszonej na niebieskiej wstędze na szyi nadawa-  
to mu też po trosze wygląd człowieka, który ubezpieczył się od  
ognia w jakimś bardzo ekscentrycznym towarzystwie ubezpie-  
czeń, ale odpartem, że wyglądał bardzo ładnie.

– Kiedy zbliżał się do grobu – ciągnął nasz przewodnik – do-  
skonałe uwydatniał fałdy swego płaszcza, ale mam wrażenie, że  
w scenie, gdy widzi Ducha w pokojach Królowej, mógłby wię-  
cej zwracać uwagi na pończochy. Tak mi się przynajmniej zda-  
wało, gdym patrzył od strony kulis.

Potaknałem skromnie i przez brudne nie domykające się  
drzwiczki weszliśmy do pomieszczenia, które przypominało  
duszną i ciasną skrzynkę. Tu zastaliśmy Wopsle'a rozbierające-  
go się z durskich szat. Było tam tyle miejsca, że gdy staliśmy je-  
den za drugim, mogliśmy go widzieć, zagładować sobie wzajem  
przez ramię, i oczywiście przy uchyłonych drzwiach, a raczej  
wieku owej skrzyni.

– Panowie – oświadczył Wopsle – dumny jestem z waszych  
odwiedzin. Panie Pip, spodziewam się, iż nie ma mi pan za złe,  
żem po pana posłał. Miałem szczęście znać pana w dawnych  
czasach, a dramat zawsze cieszył się powodzeniem u możnych  
i bogatych.

Równocześnie Waldengarver usiłował, cały w potach, wy-  
plątać się z szat książęcych.

– Niech pan zdejmnie najpierw pończochy, panie Waldengar-  
ver – doradził przedsięwiorca – niech pan je zdejmnie, bo pękna,  
a wraz z nimi pęknie trzydziestki pięć szylingów. Nigdy jeszcze  
Szekspir nie był uczczony ładniejszymi pończochami. Niech pan  
teraz siada w fotelu, a mnie odda pończochy do ręki.

To powiedziałwszy, przyklęknął i zaczął obdzierać swą ofia-  
rę, która z pewnością upadłaby z krzesła na wznak, gdyby było  
na to miejsce w pokoju.

Dotychczas nie odważyłem się powiedzieć ani słowa o sztu-  
ce, gdy Waldengarver, spojrzawszy na nas bacznie, spytał:

– Panowie, jak wam się też wydało przedstawienie z fronto-  
wych miejsc?

Herbert, trącając mnie w bok, odparł:

– Wspaniale!

I ja powtórzyłem po nim:

– Wspaniale!

– Jak wam się podoba mój sposób odegrania Hamleta? – zagadnął pan Waldengarver z lekką nutką protekcyjności w głosie.

Herbert (wciąż trącając mnie w bok) zawyrokował:

– Solidny i konkretny.

Na co ja, jak gdybym sam był autorem tego sądu, powtórzyłem z naciskiem:

– Solidny i konkretny.

– Rad jestem z waszego uznania, panowie – odpowiedział Waldengarver z godnością, mimo że wcisnięty był w ścianę i musiał oburącz trzymać się poręczy krzesła.

– Ale na jedno muszę panu zwrócić uwagę, panie Waldengarver – zauważył kłęczący człowiek – popełnia pan jeden błąd w swej grze. Będę przy tym obstawał, nawet gdyby mówiono panu, że tak nie jest. Otóż gra pan przez cały czas doskonale Hamleta aż do chwili, gdy staje pan profilem do publiczności, a wtedy ustawia pan krzywo nogi. Ostatni przed panem aktor, którego ubierałem do roli Hamleta, robił na próbach ten sam błąd, ale na to zaradziłem. Oto przyczepiłem mu do obu łydek duże czerwone opłatki i na próbie generalnej, umieściwszy się w ostatnich rzędach krzesel, przyglądałem się jego łydkom: ilekroć stanął niewłaściwie, wołałem: „Nie widzę opłatków!”. I doprowadziłem do tego, że na przedstawieniu grał doskonale.

Pan Waldengarver uśmiechnął się do nas porozumiewawczo, jak gdyby chciał powiedzieć: „To sumienny sługa, więc zamykam oczy na jego głupotę”, i wyjaśnił głośno:

– Mój punkt widzenia jest może zbyt klasyczny i zbyt głęboki dla tutejszej publiczności, ale z czasem zrozumieją, na pewno zrozumieją.

Herbert i ja potwierdziłszy chórem:

– O, bez wątplenia, zrozumieją!

– Czy spostrzegliście, panowie – ciągnął Waldengarver – że

pewien osobnik na galerii usiłował ośmieszyć nabożeństwo... to jest, chciałem powiedzieć, przedstawienie?

Odpowiedzieliśmy tchórzliwie, iż wydaje nam się, żeśmy spostrzegli tego człowieka, a ja dodałem szybko:

– Niewątpliwie musiał być pijany.

– O, nie, proszę pana – odparł Wopsle – nie był pijany. Jego chlebodawca nie pozwoliłby mu na pijaństwo.

– Zna pan jego chlebodawcę? – spytałem.

Wopsle przymknął powieki, potem podniósł je, a obie te czynności wykonał bardzo powoli:

– Musieliście panowie zauważyć – oświadczył – krzykliwego idiotę w obdartym ubraniu, o zachrypłym głosie i chytrej minie, który przedzierał się przez *rôle* (niech mi wolno będzie użyć tu francuskiego terminu), bo nie mogę powiedzieć „odtwarzał rolę” Klaudiusza, króla Danii. Oto jego chlebodawca! Tak wygląda nasz zawód!

Nigdy nie zastanawiałem się, czy będę umiał obudzić w sobie współczucie dla zropaczonego Wopsle’a, ale teraz zrobiło mi się go żal. Toteż gdy zaczął wkładać szelki, co na skutek cianoty odepchnęło nas aż za drzwi, spytałem Herberta, czyby nie zaprosić Wopsle’a na kolację. Herbert odparł, że byłoby to bardzo ładnie, więc w rezultacie znakomity aktor poszedł z nami do „Gospody Barnarda”, otulony szczerlnie w płaszcz. Byliśmy dla niego bardzo uprzejmi, toteż siedział u nas do drugiej w nocy, snując plany na przyszłość i wspominając swe powodzenie.

Nie pamiętam dobrze, jakie to były plany, ale w ogólnym zarysie zamierzał najpierw wskrzesić dramat, a potem go zniszczyć tak dokładnie, że po jego śmierci nie będzie już dla tego rodzaju utworów żadnych szans ani nadziei.

Smutny położyłem się tego wieczora do łóżka, smutny rozmyślałem przed zaśnięciem o Estelli i smutny śniłem, że skończyły się moje wielkie nadzieje, że musiałem poślubić Klarę Herberta i zagrać rolę Hamleta wraz z Duchem miss Havisham wobec dwudziestu tysięcy widzów, nie umiejąc nawet dwudziestu słów roli.

## Rozdział trzydziesty drugi



Pewnego dnia, gdy w towarzystwie pana Pocketa siedziałem nad książkami, wręczono mi z poczty liścik, którego sam wygląd zewnętrzny podniecił mnie ogromnie. Bo mimo że charakter pisma był mi niezajomy, od razu odgadłem rękę, która pisała adres. List nie zaczynał się od słów: „Drogi panie Pip”, ani „Drogi Pipie”, ani „Szanowny Panie” lub też „Szanowny kolewiek”, ale bez wstępów przeczytałem następujące słowa:

*Przyjeżdżam do Londynu pojutrze południowym dyliżansem. Umówiłszy się, zdaje się, że będziesz mnie oczekiwał? W każdym razie miss Havisham tak się zadaje i piszę to, będąc jej posłuszną.*  
*Miss Havisham przesyła ci pozdrowienia.*

*Twoja Estella*

Gdyby był jeszcze czas, zapewne zamówiłbym sobie na tę okazję kilka nowych ubrań, ale ponieważ już go nie starczyło, musiałem się zadowolić tym, co posiadałem. Natychmiast straciłem apetyt i aż do oczekiwanego dnia nie mogłem znaleźć spokoju. Nie znaczy to, abym wtedy właśnie się uspokoił, przeciwnie, było ze mną jeszcze gorzej i zacząłem wahać się wokół stacji dyliżansów, na Wood Street w dzielnicy Cheapside, jeszcze zanim dyliżans z Estellą wyruszył sprzed gospody „Pod Błękitnym Dzikim” w naszym rodzinnym mieście. Miałem wra-

żenie, że niebezpiecznie jest spuścić z oka budynek stacyjny, choćby na przeciąg pięciu minut, i kiedy tak krążyłem już przez pierwsze pół godziny z pięciu, jakie mnie jeszcze czekały, natknąłem się na Wemmicka.

– Halo! – zawołał na mój widok. – Jak się pan miewa? Nie wiedziałem, że pan *tutaj* się obraca.

Wyjaśniłem mu, że oczekuję kogoś, kto przybędzie południowym dyliżansem, i spytałem o Zamek i staruszka.

– Ależ kwitna, to jest, przede wszystkim kwitnie staruszek. Jest w świetnej formie. Skończy wkrótce osiemdziesiąt dwa lata. Mam zamiar w dniu jego urodzin wystrzelić osiemdziesiąt dwa razy, o ile sąsiedzi nie będą się skarżyli i o ile moje działo wytrzyma taką próbę. Ale to nie są tematy na Londyn. Jak panu się zdaje, dokąd teraz idę?

– Do biura? – spytałem, gdyż szedł w tym kierunku.

– Prawie – potwierdził Wemmick – idę do więzienia Newgate. Powierzono nam teraz sprawę pewnych skradzionych funduszów i zanim rozmówię się z klientem, udałem się na miejsce kradzieży, by je obejrzeć.

– Czy to wasz klient popełnił tę kradzież? – spytałem.

– Uchowaj Boże – odparł bardzo suchym tonem Wemmick – oskarżają go tylko o to. Ale tak samo mogliby oskarżyć pana lub mnie. Każdego mogą oskarżyć o kradzież.

– Tylko że żaden z nas dwóch nie ukradł – zauważyłem.

– Ha – oświadczył Wemmick, dotykając palcem mej piersi – spyciarz z pana, panie Pip. Czy nie przeszedłby pan się ze mną do Newgate? Ma pan chwilkę czasu?

Miałem istotnie tak długą chwilkę do dyspozycji, że przyjąłem jego propozycję z ulgą, mimo potajemnej chęci nie spuszczenia z oka stacji dyliżansów. Zamruczawszy więc, że zaraz dowiem się, czy mam jeszcze czas mu towarzyszyć, wstąpiłem na stację i upewniłem się najdokładniej u urzędnika, którego ciepliwość wystawiłem mocno na próbę, kiedy można się najwcześniej spodziewać przybycia dyliżansu. Wiedziałem to zresztą i poprzednio, tak samo dokładnie jak on.

Potem, powróciwszy do Wemmicka, spojrziałem na zegarek i udawałem zaskoczonego, że jest jeszcze tak wcześnie. Wreszcie przyjąłem jego propozycję.

W Newgate znaleźliśmy się po upływie kilku minut i przeszedłszy przez bramę, gdzie na ścianach obok kajdan wisiały przepisy dla więźniów, znaleźliśmy się wewnątrz więzienia. W owym czasie więzienia zdradzały ogromne zaniedbanie. Daleko jeszcze było do epoki przesadnej reakcji, jaką rodzą wszelkie błędy polityczne i która bywa zazwyczaj najcięższą i najtrwalszą za nie karą. Więźniowie nie mieszkali i nie jadali lepiej niż żołnierze (nie mówiąc już o biedakach w przytułkach) i z rzadka rozpalali ogień w celach, by nieco poprawić smak zup. Gdy Wemmick wprowadził mnie do budynku, była godzina odwiedzin więźniów. Po sali kręcił się sprzedawca piwa; więźniowie, znajdujący się w celach, kupowali poprzez kraty napój, rozmawiając z gośćmi. Był to ponury, niechlujny, brzydki i przygnębiający widok.

Uderzyło mnie, że Wemmick przechadzał się pomiędzy więźniami jak ogrodnik wśród roślin. Porównanie to przyszło mi na myśl, kiedy powiedział tonem, jakim się przemawia do roślinki, która wyrosła przez noc:

– Co to, kapitanie Tom? Pan tutaj? Doprawdy?

A do drugiego:

– Czyżby to był Czarny Bill tam za studnią? Nie widziałem ciebie już ze dwa miesiące. Jakże się czujesz?

W ten sposób Wemmick zatrzymywał się przed kratami i słuchał lekliwych – zawsze pojedynczych – szeptów więźniów, nie poruszając wargami podobnymi do otworu w skrzynce do listów. Podczas rozmowy bacznie przyglądał się więźniom, jak gdyby badał, jakie zmiany zaszły w nich od czasu, kiedy ich po raz ostatni widział, by tym skuteczniejszy zadać cios podczas procesu.

Był tu ogromnie popularny, zapewne dlatego, że występował jako przedstawiciel Jaggersa, a mimo woli przybierał pełne godności pozy swego szefa, nie pozwalające na przekroczenie pewnych granic poufałości.

Za każdym razem, gdy poznawał któregoś z kolejnych klientów, uwiadczniał to za pośrednictwem kiwnięcia mu głową, poprawienia kapelusza, po czym na nowo zanurzał obie ręce w kieszeniach, ściągając nieco otwór w skrzynce do listów. W jednym czy dwu wypadkach, gdy chodziło o zniesienie sumy honorarium, Wemmick cofał się, jak mógł najdalej od kraty, i mówił:

– Szkoda o tym mówić, mój chłopcze. Ja jestem tylko skromnym urzędnikiem. Nic nie mogę na to poradzić. Nie próbuj rozmawiać o takich sprawach z urzędnikiem. Jeżeli nie jesteś w stanie, mój chłopcze, wypłacić takiej sumy, zwróć się do innego adwokata. Mało to takich, którzy robią to taniej? Po co zwracać się do urzędnika? Jedni adwokaci są bardziej kosztowni, inni mniej. Moja rada, zwróć się do innego. Kto następny?

W ten sposób przechadzaliśmy się w oranżerii Wemmicka, gdy nagle zwrócił się do mnie ze słowami:

– Niech pan przyjrzy się temu człowiekowi, któremu teraz uścisnę rękę.

Byłbym to i tak zrobił bez jego uprzedzenia, gdyż dotychczas nikomu jeszcze nie podałem ręki.

W teże chwili zjawił się przed nami wysoki i postawny mężczyzna (widzę go dokładnie jeszcze i teraz, gdy to piszę) w znoszonym oliwkowej barwy surducie, z dziwną bladocią twarzy i oczyma, które błąkały się niepewnie mimo wysiłków spoglądania w jeden punkt. Człowiek ten zjawił się za kratą i na widok Wemmicka dotknął dłonią swego kapelusza, którego zatłuszczona powierzchnia przypominała wystygły tłusty rosół. Było to coś na kształt żartobliwie poważnego wojskowego ukłonu.

– Cześć, pułkowniku! Jak się pułkownik miewa? – zawołał Wemmick.

– Doskonale, panie Wemmick.

– Robiło się wszystko, co się dało zrobić, ale dowody były przeciwno nam zbyt silne, pułkowniku.

– Tak, były zbyt silne, to prawda, ale mniejsza o to.

– Dla pana mniejsza o to – odpart Wemmick chłodno.



I zwracając się ku mnie, objaśnił: – Ten człowiek służył jego królewskiej mości. Był bojowym żołnierzem i otrzymał dyminię z wojska.

– Dobra? – spytałem i wówczas więzień spojrzął na mnie, następnie jak gdyby ponad moją głowę, potem jego spojrzenie błąkało się wokół sali, wreszcie podniósł dłoń do ust i roześmiał się.

– Sądzę, że skończą ze mną w poniedziałek – powiedział do Wemmicka.

– Być może – zgodził się mój przyjaciel – ale to jeszcze nie-pewne.

– Jestem rad, że mogę pana jeszcze pożegnać, panie Wemmick – oświadczył mężczyzna, wyciągając dłoń pomiędzy dwoma prętami krat.

– Dziękuję, pułkowniku – odpart Wemmick, ściskając mu rękę – i ja nawzajem żegnajm pana.

– Gdyby to, co miałem przy sobie w chwili mego aresztowania, nie było fałszywe, pozwoliłbym sobie ofiarować panu jeszcze jeden pierścień w zamian za pańskie trudy.

– Biorę chęci za czyny – odpowiedział Wemmick – ale właśnie słyszałem, że pan był hodowcą gołębi. – Więzień popatrzył w górę jak w niebo. – Podobno miał pan świetną hodowlę tych ptaków. Czy mógłby pan polecić któremś ze swych przyjaciół, aby przyniósł mi parkę, kiedy już panu nie będą potrzebne?

– To się robi, proszę pana.

– Doskonale – ucieszył się Wemmick – będę o nie dbał. Do widzenia, pułkowniku.

Uściśnęli sobie znowu dłonie i kiedy szliśmy dalej, Wemmick wyjaśnił:

– Fatszerz pieniędzy, bardzo zdolny. Wyrok będzie gotów dzisiaj i egzekucja nastąpi zapewne w poniedziałek. Cóż, para gołębi to także dobra rzecz.

To mówiąc, obejrzał się na swą już uwiedłą roślinę, kiwnął głową i wychodząc z sali rozglądał się, jak gdyby się zastanawiał, jaką to też doniczkę postawić na jej miejscu.

Kiedy wychodziliśmy z więzienia, miałem okazję spostrzec, że Wemmick był otoczony przez strażników więziennych takim samym szacunkiem jak przez więźniów.

– I cóż, panie Wemmick – zagadnął klucznik, zatrzymując nas w przejściu między jednymi zakratowanymi i najężonymi baterią gwoździ drzwiarni, które już za nami zamknął, a drugimi, których jeszcze przed nami nie otworzył – co też pan Jagers zamierza zrobić z tej zbrodni nad rzeką: zabójstwo czy co innego?

– Czemu to pan jego samego nie spyta? – zapytał Wemmick.

– O, na pewno, ośmieliłbym się! – powiedział klucznik.

– Tacy to już tutaj ludzie, panie Pip – zauważył Wemmick, zwracając się do mnie i rozciągając otwór swej skrzynki do listów – nie krepują się mnie, urzędnika, ale boją się wszyscy mego szefa.

Strażnik zaśmiał się z dowcipu Wemmicka i spytał, patrząc na mnie:

– Czy ten młody człowiek jest jedynym z praktykantów waszego biura prawnego?

– Patrzcie go! – krzyknął Wemmick. – A nie mówiłem? Już zadaje mi drugie pytanie, mimo że pierwsze jeszcze nie obe-schol! A co, jeżeli ten młody człowiek byłby naszym praktykantem? Co z tego?

– To, że wiedziałby, co to jest mieć do czynienia z panem Jagerssem – roześmiał się strażnik.

– Ha! – zawołał Wemmick, dając mu żartobliwego kukuśnia w bok – w obecności mego pryncypała jesteś taki niemy jak twój klucz! A teraz wypuść nas, ty stary lisie, bo inaczej wytoczymy ci proces o bezprawne uwięzienie.

Strażnik roześmiał się, otworzył nam drzwi, powiedział „do widzenia” i patrzył jeszcze w ślad za nami, gdy schodziliśmy ze schodów na ulicę.

– Niech pan posłucha, panie Pip – szepnął mi Wemmick do ucha, biorąc mnie pod ramię na znak poufności – mam wrażenie, że największą siłą Jagersa jest właśnie jego wyniosłość. Na wszystkich spogląda z góry i tym sprawia, że taki pułkownik

nie ośmieliłby się pierwszy przerwać rozmowy z nim, tak samo jak taki strażnik nie ośmiela się zadać mu pytania. W ten sposób pomiędzy własną wielkością a nich potrafi wsunąć swego urzędnika i przy jego pomocy trzyma tych ludzi duszą i ciałem.

Nie po raz pierwszy zaimponował mi Jagers niezwykłymi zdolnościami, ale prawdę mówiąc, nie po raz pierwszy życzyłem sobie w duchu, aby mieć innego, mniej zdolnego opiekuna.

Rozstaliśmy się z Wemmickiem w Małej Brytanii przed domem, w którym mieściła się kancelaria Jagersa i gdzie, jak zwykle, oczekiwały go tłumy klientów. Z zegarkiem w ręku udałem się na mój posterunek przed stacją dylizansów, mając przed sobą jeszcze trzy godziny.

Spędziłem je na rozmyślaniach, jakie to dziwne, że oto znajduję się znowu w zatrutej atmosferze więzienia i przestępstwa. Myślałem, jak to po raz pierwszy w życiu spotkałem się ze zbrodnią w pewną zimową noc dzieciństwa na samotnym bagnisku i jak dwukrotnie pojawiała się znowu w moim życiu, niby wyblakła plama, po to, by teraz powrócić w nowej formie raz jeszcze i połączyć się z moim losem.

Kiedy tak rozmyślałem, przyszło mi do głowy, że oto jedzie na moje spotkanie śliczna i młoda Estella, taka dumna, taka subtelna, i kontrast pomiędzy nią a okropnościami więzienia przejął mnie nagle dreszczem. Pożałowałem, że spotkałem Wemmicka i że zgodziłem się na towarzyszenie mu do Newgate. Przykro mi było, że właśnie w tym jednym dla mnie dniu w roku oddech mój i odzież pełne były ohydnej woni więziennej. Toteż, przechadzając się niespokojnie, otrząsałem ze stóp pył więzienia i miałem uczucie, że woń jego ulatnia się z mego ubrania i że wydycham ją z płuc na powietrze. Czuję się tak zagrożony miazmatami oranżerii Wemmicka, że kiedy po długim oczekiwaniu ujrzałem zbliżający się dylizans, zdawało mi się, że jeszcze się ich nie pozbylem, a nawet uczucie to nie opuściło mnie, gdy w oknie pojazdu ujrzałem twarz Estelli i dłoń, którą ku mnie kiwała.

Ale jakż to jeszcze bezimienny cień przeleciał mi w tej chwili znowu przed oczyma?

## Rozdział trzydziesty trzeci



Nigdy jeszcze, nawet w moich oczach, Estella nie była tak subtelnie przesliczna, jak w podróżnym kostiumie obszytym futrem. Odnosiła się też do mnie z większą zalotnością niż kiedykolwiek i widziałem w tym wpływ miss Havisham.

Stojąc na dziedzińcu pocztowym, wskazała mi swoje bagaże, a kiedy je wszystkie pozbierałem, przypomniałem sobie – do tej bowiem chwili mój zachwył nie pozwalał mi o niczym myśleć – że nie wiem, dokąd należy ją zawieźć.

– Jadę do Richmond – wyjaśniła. – Musimy pamiętać, że są dwa miasta tej nazwy: Richmond w Surrey i Richmond w Yorkshire. Jadę do tego w Surrey. To dziesięć mil stąd i mam tam pojechać powozem, a ty masz mi towarzyszyć. Oto moja sakiewka, zapłać z niej powóz. O, musisz wziąć te pieniądze! Na nic się nie zda protestować. Nie mamy przecież ani ja, ani ty wyboru, musimy być posłuszni instrukcjom. Nie pozostawiono nam swobody decyzji, ani mnie, ani tobie.

Gdy mówiąc to podała mi sakiewkę, miałem nadzieję, że w słowach jej kryje się jeszcze i inna treść. W tonie jej brzmienia coś pogardliwego, ale nie było w nim przykrości.

– Trzeba będzie sprowadzić powóz, Estello. Czy nie zechcesz tu trochę wypocząć?

– Owszem, odpoczne tu trochę. Napiję się herbaty, a ty się mną przez ten czas zaopiekujesz.

Wsunęła mi dłoń pod ramię, jak gdyby i tym razem posłusz-  
na jakiemuś rozkazowi, a ja zwróciłem się do kekhera, który tak  
przyglądał się dyliżansowi, jak gdyby widział coś podobnego  
pierwszy raz w życiu, aby zaprowadził nas do oddzielnego salo-  
niku. Rozwinał szybko serwetę, jak gdyby była talizmanem, bez  
którego nie trafi na górę, i poprowadził nas na pierwsze piętro do  
ciemnej nory ozdobionej lustrem zmniejszającym (co było cał-  
kiem zbyteczne ze względu na minimalne rozmiary pokoiku),  
flaszeczką z sosem sardełowym i czynnymi chodakami. Kiedy wy-  
razilem zastrzeżenie co do tego ustroja, zaprowadził nas do in-  
nego pokoju, w którym stał stół nakryty na trzydzieści osób, a na  
kominku leżała przypalona kartka, wydartą z zeszytu i grubo po-  
sypaną pyłem węglowym. Popatrzywszy przez chwilę na ten  
ugaszony pożar na kominku, potrząsnąłem głową, a gdy otrzy-  
mał ode mnie zamówienie brzmiące: „Proszę herbatę dla pani”,  
wyszedł z pokoju bardzo przygnębiony.

Czułem i czuję jeszcze po dziś dzień zapach tego pokoju:  
mieszanie stajni i zupy na mięsie, nasuwający przypuszczenie,  
że właściciel dyliżansów, któremu kiepsko się powodziło, goto-  
wał na obiad własne konie w tym właśnie pomieszczeniu. Ale  
mimo to pokój ten był dla mnie wszystkim, bo znajdowała się  
w nim Estella. Odnosiłem wrażenie, że mógłbym tutaj być z nią  
szczęśliwy przez całe życie (zauważcie, że w owym momencie  
nie byłem bynajmniej szczęśliwy i zdawałem sobie z tego dosko-  
nale sprawę).

– Do kogo jedziesz do Richmond? – spytałem Estellę.

– Mann mieszkać u pewnej pani – odparła – która żyje na  
wielką stopę i może – albo przynajmniej tak twierdzi – wpro-  
wadzić mnie w świat, pokazać mi ludzi i mnie pokazać ludziom.  
– Spodziewam się, że takie urozmaicone życie i podziw spra-  
wi ci przyjemność?

– Tak, i ja tak przypuszczam.

Powiedziała to w taki obojętny sposób, że zauważyłem:

– Mówisz o sobie takim tonem jak o innej osobie.

– A skąd ty wiesz, jakim tonem mówię o innych? No, no –

oświadczyła Estella z uroczym uśmiechem – tylko nie sądz, że  
będę się uczyła od *ciebie*, jak man mówić. Będę mówiła, jak  
mnie się podoba. No, a jak się tam czujesz u pana Pocketa?

– Doskonale, byłoby mi całkiem dobrze, gdyby nie...

W tej chwili miałem uczucie, że tracę jakąś możliwość życiową.

– Gdyby nie co? – spytała Estella.

– Gdyby nie to, że nie mogę czuć się całkiem szczęśliwy  
z daleka od ciebie.

– Jakż niemały z ciebie chłopiec – osądziła Estella z cał-  
kowitzym spokojem – jakże możesz mówić podobne głupstwa?  
Pan Mateusz znacznie przecież przewyższa całą swoją rodzinę?

– O, tak, bardzo przewyższa. Nie ma żadnych wrogów...

– Dodaj „prócz siebie samego” – wtrąciła Estella – nie cierpię  
tego rodzaju ludzi. Ale ten podobno jest pozbawiony wszelkiej  
zawiszi i całkiem bezinteresowny.

– Tak, mogę to potwierdzić z całą stanowczością.

– Ale nie możesz tego twierdzić z całą stanowczością w sto-  
sunku do jego rodziny – oznajmiła Estella, patrząc na mnie  
z mieszanałą powagą i drwin – zasypują miss Havisham skarga-  
mi na ciebie, wszelkiego rodzaju plotkami i donosami. Szpiegu-  
ją cię, przedstawiają w złym świetle i piszą listy (niekiedy ano-  
nimowe). Jesteś najważniejszym obiektem zainteresowania ich  
życia i dostarczycielem głównego zajęcia. Nie możesz sobie na-  
wet wyobrazić, do jakiego stopnia ciebie nienawidzą.

– Ale chyba mi tym nie szkodzi? – badałem.

Zamiast odpowiedzi Estella wybuchnęła wesołym śmiechem.  
Było to bardzo dziwne i patrzyłem na nią niemile zaskoczony.  
Kiedy się uspokoiła – a śmiech ten bynajmniej nie brzmiał  
szluzownie, tylko bardzo szczerze – zagadnąłem niesmiało:

– Mogę chyba przypuszczać, że moja krzywda nie sprawiła-  
by ci takiej radości?

– Nie, oczywiście, że nie – odparła – śmieję się właśnie dla-  
tego, że wcale im się nie udaje ci zaszkodzić. Ach, ci ludzie  
z otoczenia miss Havisham, jakież muszą z jej strony znosić tor-  
tury!

– A jeżeli powiem, że właśnie w taki sposób, czy wolno mi będzie pocałować cię znowu w policzek?

– Trzeba było o to spytać, zanim dotknąłeś mojej ręki. Ale dobrze, niech będzie, jeśli sobie tego życzysz.

Pochyliłem się, a jej spokojna twarz pozostała nieruchoma jak twarz posagu.

– A teraz – przypomniała Estella – cofając się w momencie, gdy zaledwie dotknąłem jej policzka – miałeś zatroszczyć się, bym dostała herbaty, zanim pojedę do Richmond.

Odczułem ból, gdy usłyszałem, jak powróciła do dawnego tonu i jasno daje mi odczuć, że narzucano jej moje towarzystwo i że oboje jesteście tylko marionetkami, ale i tak wszystko w naszym wzajemnym stosunku zadawało mi ból. Przecież bez względu na to, jakiego używała tonu, nie mogłem mu ufać i nie mogłem na nim nic budować. A jednak nie rezygnowałem, wbrew zaufaniu i wbrew nadziei. Po cóż to powtarzać po tysiące razy? Tak było zawsze.

Zadzwoniłem po herbatę. Natychmiast zjawił się kelner ze swym magicznym żaglem i zaczął stopniowo znosić więc tacę, z pięćdziesiąt naczyń, ale ani śladu herbaty. Przyniósł więc tacę, filiżanki, spodki, talerze, noże, widelce, łyżki (rozmaitej wielkości), solniczki, jedną niewinną grzanekę uwieszoną pod żelazną pokrywą, małego Mojżesza w trzcinach, wykonanego z masy i obsypanego zieloną pietruszką, bładki bochenek chleba zapudrowany mąką, dwie próbki odcisków kraty kuchennego kominka na trójkątnych kawałkach bułki i wreszcie wielki pękaty familijny imbryk z wodą.

Kelner przydźwigał go z bardzo cierpiącym wyrazem twarzy. Potem nastąpiła dłuższa pauza, wreszcie ten sam usługujący wniósł szkatułkę o bardzo kosztownym wyglądzie: zawierała ona listki herbaty. Zanurzyłem je w gorącej wodzie i z tego wszystkiego przygotowałem jedną filiżankę zagadkowego napoju dla Estelli.

Po zapięczeniu rachunku nie zapomniałem o napiwku dla kelnera ani dla chłopca stojącego i nie pominęliśmy pokojów-

I śmiała się znowu, a mnie, choć wiedziałem już, dlaczego się śmieje, wesołość ta wciąż wydawała się dziwna i zbyteczna. Nie mogłem się opędzić wrażeniu, że Estella nie powiedziała mi całej prawdy, z której się śmiała. Domyśliła się tego mego przypuszczenia, gdyż dodała:

– Niełatwo nawet tobie pojąć, do jakiego stopnia bawi mnie drażnienie tych ludzi i jaką odczuwam przyjemność, gdy widzę, jak sami siebie ośmieszają. Nie zrozumiesz tego, bo nie byłeś prawie od niemowlęcia wychowany w tym dziwnym domu. A ja byłam. Twój młody umysł nie wyrabiał się pod wpływem intryg skierowanych przeciwko tobie, przesładowanemu i bezbronnemu, pod fałszywą maską współczucia, litości i wszelkich pozorów łagodnej dobroci, a mój wyrabiał się. Nie musiałeś w zdużeniu stopniowo coraz szerzej otwierać dziecięcych oczu na widok oszukiwania kobiety, która z trudem sumuje spokojne momenty swego życia, by je wywołać przed oczy, gdy się budzi w nocy. A ja musiałam.

Estella już się nie śmiała. Wspomnienia dzieciństwa płynęły jej z głębi duszy. Nawet za cenę moich wielkich nadziei nie chciałyby stać się przyczyną jej podobnego spojżenia.

– Mogę ci powiedzieć dwie rzeczy – ciągnęła Estella. – Po pierwsze, na przekór przysłowiu, że kropła, padając długo, drąży nawet skałę, ludzie ci nic nie wskórają przeciwko tobie u miss Havisham, nawet gdyby to trwało sto lat. A po drugie, za to, iż tobie zawdzięczam ten śmieszny widok podłych intryg, które do niczego nie prowadzą, chcę ci podać rękę.

Kiedy już pogodnie – bo smutny nastrój szybko minął – wyciągnęła do mnie dłoń, ucałowałem ją.

– Ty śmieszny chłopcze – powiedziała Estella – czy nie słuchasz żadnych przestróg? A może w ten sam sposób pojmujesz ucałowanie mojej ręki, jak niegdyś pocałowanie mojego nadstawionego ci policzka?

– A w jaki to było wtedy sposob? – spytałem.

– Zaraz, niech się namyśle. Wtedy ten pocałunek był wyrazem pogardy dla pochlebców i intrygantów.

ki. Nikt z tych ludzi nie był zadowolony, wszyscy czuli dla mnie pogardę i nienawiść, a saskiewka Estelli stała się znacznie lżejsza. Wreszcie wsiedliśmy do powozu i pojechaliśmy w drogę. Skreśliśmy w Cheapside i turkoczac ulicą Newgate, znaleźliśmy się wkrótce pod murami, które niedawno napętniły mnie takim wstydem.

– Co to za gmach? – zaciękawiała się Estella.

Zrobiłem niemądrą próbę udania, że na pierwszy rzut oka nie poznaję budynku. Zaraz potem powiedziałem prawdę. Moja towarzyszka wysunęła głowę przez okno, przyjrzała się, a następnie, cofając się w głąb powozu, szepnęła:

– Biedacy!

Za nic w świecie nie przyznałbym się teraz do odwiedzin w więzieniu.

– Pan Jagers – powiedziałem, aby nawiązać jakąś rozmowę – ma opinię człowieka najlepiej wtajemniczonego w sprawy tego gmachu ze wszystkich ludzi w Londynie.

– Mam wrażenie, że jest on najlepiej wtajemniczony we wszystkie sprawy – odparła cichym głosem Estella.

– Widujesz go chyba często? – spytałem.

– Od jak dawna panieńtam, widuję go co pewien czas, ale nie znam go przez to ani trochę lepiej. A jakie są twoje doświadczenia z nim związane? Czyś go lepiej poznał?

– Musiałem się najpierw przyzwyczaić do jego przykrego sposobu bycia – odparłem – ale teraz jesteśmy w dobrych stosunkach.

– Zaprzyjaźniłeś się z nim?

– Byłem na obiedzie w jego prywatnym mieszkaniu.

– Wyobrażam sobie – zauważyła Estella, wzdrzając się – że to musi być interesujący dom.

– Bardzo interesujący.

Nie chciałem nawet z Estellą wdawać się w szczegółową rozmowę o moim opiekunie, ale byłbym jej opowiedział przebieg obiadu na Gerard Street, gdyby nie to, że nagle znaleźliśmy się w kręgu światła latarni gazowej. W blasku tym wszystko wyda-

ło mi się przeraźliwie jasne i żywe i ogarnęło mnie to samo co przedtem uczucie. A kiedy wiechaliśmy znowu w mrok, czułem się odurzony, jak gdyby ugodził mnie piorun.

Rozmowa nasza zmieniła więc temat i toczyła się przeważnie wokół ulic, jakimi jechaliśmy, i zagadnienia, jakie dzielnicę Londynu leżą po której stronie rzeki. Estella nie znała wcale olbrzymiego miasta. Opowiadała mi, że nigdy nie opuszczała stron miss Havisham. Raz tylko była we Francji i wówczas przejeżdżała przez Londyn w obie strony. Spytałem ją, czy podczas jej pobytu tutaj będzie się nią opiekował pan Jagers, ale zawołała z przerażeniem:

– Niechże Bóg bronii! – i nie dodała nic więcej.

Nie mogło ująć mej uwagi, że usiłowała mnie skokietować i że zdobywałaby mnie nawet w takim wypadku, gdyby musiała sobie zadać trud. Nie czyniło mnie to jednak wcale szczęśliwszym i gdyby nawet nie podkreśliła z naciskiem, że nie jesteśmy wolni i że musimy być posłuszni, to i tak wiedziałbym, że chce trzymać moje serce w dłoni, bo tak jej się w tej chwili podoba, i że nie odczuje żadnego żalu, gdy je będzie deptała.

W przejeździe przez Hammersmith pokazałem jej dom Mateusza Pocketa i powiedziałem, że stąd już niedaleko do Richmond i że spodziewam się widywać ją od czasu do czasu.

– Och, tak, masz mnie odwiedzać. Przyjeżdżaj, kiedy będziesz uważał za stosowne. Nawet wspomniano już o tobie rodzinnie, u której będę mieszkała.

Spytałem, czy to duża rodzina.

– Nie, są tam tylko dwie osoby, matka i córka. Matka to wielka dama, ale nie pogardza dochodami.

– Dziwię się, że miss Havisham chciała się tak prędko z tobą rozstać.

– To rozstanie stanowi część jej planu tyczącego się mojej osoby, Pip – wyjaśniła Estella z westchnieniem, jak gdyby była bardzo znużona. – Mam do niej pisywać regularnie i donosić jej, jak się niewam i jak się niewają jej klejnoty... bo teraz już prawie wszystkie jej klejnoty należą do mnie.

Po raz pierwszy wymówiła moje imię. Oczywiście zrobiła to świadomie i wiedziała doskonale, że to docenię.

Przybyliśmy do Richmond, jak mi się zdawało, zbyt szybko i zajęliśmy przed dom obok Green. Był to staroświecki dom, w którym zapewne niegdyś królowały krynoliny, puder, muszki, haftowane fraki, zawinięte pończochy, żaboty i szpady. Jeszcze kilka pozostałych przed domem z tych czasów drzew ze strzyżonymi gałęziami przywodziła na myśl krynoliny, peruki czy sztywne robiony, ale niedaleki już był czas, kiedy miały zająć miejsce w smutnym pochodzie umarłych i cicho zniknąć stąd na zawsze.

Zadzwieczał stary dzwonek, którego głos z pewnością w dawnych czasach wołał: „Oto zielony robion, oto szpada z rękojeścią wysadzaną brylantami, oto pantofle na czerwonych obcasach, oto błękitny diament”.

Na ten dźwięk, który rozległ się wśród księżycowego blasku, zjawiły się dwie zarumienione służące, by przywitać Estellę.

Kufarki jej zniknęły w drzwiach domu. Estella podała mi z uśmiechem rękę, życząc dobrej nocy, i została również wchodząca przez budynek. Stałem, wciąż patrząc na dom, myślałem, jaki byłbym szczęśliwy, gdybym mógł z nią tam mieszkać. Wiedziałem jednocześnie, że nigdy nie czułym się z nią szczęśliwy, ale zawsze zrozpaczony. Wsiadłem do powozu, aby odwieźć mnie z powrotem do Hammersmith. Wsiadłem z ciężkim sercem, ale z jeszcze cięższym wysiadłem. Przed naszymi drzwiami spotkałem małą Jane Pocket, która wracała z przechadzki w towarzystwie swego małego ulubieńca, i pozazdrościłem chłopczykowi, chociaż musiał słuchać Flopson.

Pan Pocket wyszedł na wykład. Był słynnym wykładowcą w dziedzinie gospodarki domowej, a jego prace na temat wychowania dzieci i kierowania służbą uchodziły za wzorowe w tym zakresie. Zostałem jednak panią Pocket. Znajdowała się w stanie lekkiego zakłopotania z powodu Dwidziusia, dała mu bowiem do zabawy pudełko z igłami i poleciała trzymać je spokojnie aż do powrotu Millers, która wyszła w jakimś tajemni-

czym celu (z krewnym z gwardii piechoty), a tymczasem z pudełka brakowało nieco więcej igieł, niż można by zaaplikować pacjentowi w tak młodym wieku do wewnętrzznego czy też zewnętrznego użycia.

Wracając do domu w rozterce sercowej, miałem nawet zamiar zwierzyć się panu Pocketowi znanemu z doskonałych, mądrych rad i z rozumnego poglądu na wszelkie sprawy życiowe, ale kiedy spojrzałem na panią Pocket, jak zagłębia się ponownie w czytaniu książki o rodach arystokratycznych, zarządziwszy uprzednio jako lekarstwo dla Dwidziusia położenie go do łóżka, pomyślałem:

„O, nic im nie powiem!”

## Rozdział trzydziesty czwarty



W miarę jak przyzwyczajałem się do mych wielkich na-dziei, zacząłem obserwować ich wpływ na siebie samego i na otoczenie. Staralem się ukrywać sam przed sobą, w ja-ki sposób pod ich wpływem zmienia się mój charakter, ale i tak wiedziałem, że nie wychodzi mi to bynajmniej na dobre. Żyłem z nieustannym poczuciem, że mój stosunek do Joeego jest nieodpowiedni. Sumienie moje nie było też bardziej czyste, gdy szło o Biddy. Kiedy budziłem się wśród nocy – jak Kamilla – stanawiałem się często, czy nie byłbym szczęśliwszy, gdybym nigdy nie oglądał twarzy miss Havsham, a dorósłszy, stał się wspólnikiem w uczciwej, starej kuźni Joeego. I wiele razy, się-dząc samotnie przy kominku, rozmyślałem, że w gruncie rzeczy nigdzie nie znajdę takiego ognia, jaki płonął w kuźni i w naszej kuchni w domu.

Mimo to Estella tak się zrosła z mym niepokojem i smutkiem, że trudno mi nawet było ustalić granice własnej odpowiedzialno-ści za te udręki. Sam nie umiałem rozstrzygnąć, czy gdyby ode-brano mi wielkie nadzieje, a zostawiono Estellę, sytuacja moja przedstawiałaby się dużo lepiej.

O wiele jaśniej zdawałem sobie sprawę z wpływu tych wyda-rzeń na otoczenie. Wiedziałem, choć może dość mgliście, że nie jest to wpływ dobroczynny, zwłaszcza gdy chodzi o Herberta. Moja rozrzutność doprowadzała go do zbytecznych wydatków,

którym nie był w stanie podobać, psuła prostotę jego życia i mą-ciła mu spokój wyrzutami i kłopotami. Nie odczuwałem żąd-nych wyrzutów sumienia w stosunku do innych latorośli komedy-ny Pocketów, że zmuszałem ich do różnych obtudnych kome-dy-jek z mojego powodu, wiedziałem bowiem, że i tak by je odgrywali nie przy tej, to przy innej okazji. Ale z Herbertem sprawa przedstawiała się inaczej. Często martwiłem się rozważa-jąc, jak niepotrzebnie napełniłem jego skromne mieszkanie wy-miślnymi meblami i oddałem mu do dyspozycji Mściciela w ka-narkowej kamizelce.

By móc życiu naszemu zapewnić zbytek, zacząłem zaciągać długi, a Herbert nauczył się mnie w tym naśladować.

Za namową Startopa podaliśmy się jako kandydaci do klubu, którego nazwa brzmiała „Zięby w Gaiku”. Nigdy nie mogłem odgadnąć, jaki był cel tej instytucji, której działalność ogranicza-ła się do wspólnych kosztownych obiadów raz na dwa tygodnie. Po bankietach owych członkowie kłócili się zajadłe i dawali spo-sobność do upicia się na umór szczęściu lokajom stojącym na scho-dach. Ten miły cel społeczny był tak niezmiennie osiągnany, że obaj z Herbertem doszliśmy do wniosku, iż do niego właśnie na-wiązuje toast wzniesiony przy okazji naszego przyjęcia na człon-ków, który brzmiał: „Panowie, niechże dzisiejsza promocja bę-dzie symbolem zgody zawsze panującej wśród «Zięb w Gaiku»”.

„Zięby” trwonili przetwarzając pieniądze (hotel, w którym ja-daliśmy kolacje, znajdował się w Covent Garden), a pierwszą „Ziębą”, jaką miałem zaszczyt ująć po zostaniu członkiem klubu, był Bentley Drumhle. Pędził własnym powozikiem przez miasto, uszkadzając po drodze stupy narozne na ulicach. Nie-kiedy wylaatywał z pojazdu głową naprzód ponad powozowym fartuchem. Raz widziałem go tak wypadającego, naszym worek z węglami, przed siedzibą klubu, ale nie byłem jeszcze wówczas rzeczywistym członkiem „Zięb”, gdyż regulamin klubu wyma-gał dojścia do pełnoletności.

Ufając mojemu bogactwu, chętnie wzięłbym długi Herberta na siebie, ale mego przyjaciela cechowała dumna i nigdy by na to

nie pozwolił. Nie mogłem mu tego nawet zaproponować. Wpadał więc w coraz to większe kłopoty, nie przestając swoim zwyczajem wciąż się jeszcze wokół siebie rozglądać. Kiedy stopniowo coraz bardziej przyzwyczajaliśmy się do nocnego towarzysztwa i nocnych powrotów do domu, rozglądał się wokół siebie coraz to smutniej już przy pierwszym śniadaniu. Przy obiedzie zdawał się nabierać trochę otuchy, ale już przy kolacji ogarniało go znowu przygnębienie, a po obiedzie switały mu ze strony Kapitału jakieś niejasne nadzieje. Niekiedy o północy był prawie pewien sukcesów ze strony Kapitału, ale tylko po to, by o drugiej nad ranem sądzić, że pozostaje mu już jedynie kupić strzelbę i wyjechać do Ameryki zapewne po to, aby bawoły zajęły się robeniem dla niego majątku.

Pół tygodnia spędzałem zazwyczaj w Hammersmith i przez cały ten czas myślałem o Richmond, ale o tym opowiem oddzielnie. Herbert zjawiał się wtedy często w Hammersmith i mam wrażenie, że ojciec jego musiał, patrząc na niego, podejrzewać, że syn jeszcze nie natrafił na złotą żyłę. Ale nieustannie koziółki, które fikała rodzina Pocketów, sprawiały, że huśtawka Herberta nie miała tak wielkiego znaczenia. Pan Pocket coraz bardziej się wiał i coraz częściej usiłował wydobyć się z odrętwienia, szarpiać się za włosy. Tymczasem pani Pocket podstawiła pod nogi rodzinie swój taboret, czytała książki o arystokracji, opowiadała nam o swym dziadziu, gubiła rękawiczki i jako jedyny środek wychowawczy stosowała wobec dzieci, kiedy i gdzie tylko je spostrzegła, wysyłanie do łóżka.

Ponieważ streszczam w tej chwili ten właśnie okres mego życia, chcąc uitorować drogę ku przyszłemu wypadkom, muszę wspomnieć także, jak żyliśmy w tym czasie w „Gospodzie Barnarda”.

Wydawaliśmy tyle pieniędzy, ile zdołaliśmy, i w zamian nie otrzymywaliśmy niemal nic. Byliśmy stale w bardzo kiepskich warunkach i to samo działo się z naszymi przyjaciółmi. Utrzymywaliśmy się w wesolej złudzie, że się nieustannie doskonale bawimy, a w gruncie rzeczy wcale się tak nie działo. Wydaje mi się, że wypadek nasz bynajmniej nie był odosobniony.

Co rano z całkiem nowym wyrazem twarzy Herbert udawał się do City, by tam się rozglądać. Odwiedzałem go tam niekiedy w ciemnym tylnym pokoju, gdzie urzędował w towarzystwie kałamarza, wieszaka, skrzynki z węglami, pudełka na sznurki, kalendarza, biurka, taboretu i linijki, i nie przypominam sobie, bym choć raz zastał go przy jakiejś innej robocie niż rozglądanie się wokoło.

Gdybyśmy wszyscy tak sumiennie wypełniali to, co zamierzamy, jak to czynił Herbert, moglibyśmy żyć w Republice Cnót. Do obowiązków biedaka nie należało nic prócz udawania się codziennie o określonej godzinie popołudnia do „Lloyda” w celu dopełnienia ceremonii zobaczenia się ze swym zwierzchnikiem. Mam wrażenie, że prócz tego Herbert nie miał żadnego innego kontaktu z firmą Lloyda, gdyż zaraz potem wracał do domu. Kiedy miewał chwile, że sytuacja jego wydawała mu się krytyczna i że nie widział wyjścia, udawał się na Giełdę, wchodził do gmachu i wychodził niczym w jakimś posępnym ludowym tańcu wśród zgromadzonych magnatów.

– Widzisz, Haendel – mówił mi wówczas przy obiedzie po powrocie z takiej wycieczki – podobno nigdy fortuna nie przychodzi sama, tylko trzeba jej iść naprzeciw, więc to zrobitem.

Gdybyśmy nie byli tak do siebie wzajemnie przywiązani, sądzę, że w owym czasie musielibyśmy się zniebawiać, zwłaszcza przy pierwszym śniadaniu. Nie cierpiałem w owe ranki naszego mieszkania i nie mogłem znieść widoku liberii Mściciela. Wydawała mi się o wiele za kosztowna, bardziej niż w innych porach doby. Z dnia na dzień, w miarę jak rosły nasze długi, pierwsze śniadanie stawało się dla nas coraz okropniejsze, a kiedy pewnego dnia przy porannym posiłku otrzymałem pełen groźek list, będący, jakby powiedziała gazeta mego miasteczka, „nie bez związku” z niezapłaconą wizytacją, zapomniałem się do tego stopnia, że schwyciłem Mściciela za niebieski kołnierz liberii i potrząsnąłem nim w powietrzu, niczym amorkiem w butach, na zuchwałe przypuszczenie, że chcemy bułki. Od czasu do czasu mówiłem do Herberta tonem odkrywcy:



– Mój drogi Herbercie, niedobrze się dzieje.

– Mój drogi Haendlu – odpowiadał Herbert – nie uwierzysz, ale po prostu wyjąłeś mi te słowa z ust.

– Wobec tego, Herbercie – ciągnąłem – rozzejrzyjmy się w naszych interesach.

Umawialiśmy się wówczas na określoną godzinę, kiedy to zrewidujemy wszystkie nasze sprawy. Uważałem, że tak właśnie postępuje się w interesach i że najlepiej od razu chwycić byka za rogi. Wiedziałem, że Herbert jest tego samego zdania.

Zamawialiśmy wówczas coś specjalnego na obiad i jakas niedzielną buteleczkę, by pokrzepić siły przed tym, co nas czeka. Po obiedzie gromadziliśmy dużą ilość piór, atramentu, mnóstwo papieru i bibuły, gdyż świadomość posiadania znacznego zapasu materiałów piśmiennych dodawała nam otuchy.

Potem brałem duży arkusz i bardzo starannym, czystym piśmem pisałem u góry: „Spis długów Pipa”, a obok „Gospoda Barnarda” i data. Herbert na drugim arkuszu z zachowaniem tych samych formalności wypisywał: „Spis długów Herberta”. Następnie każdy z nas gromadził obok siebie stos papierków wydobywanych z rozmaitych szuflad, z kieszeni ubrań, papierków na pół spalonych przy świecy, zakniętych tygodniami za lustro czy też w inny sposób zniszczonych. Teraz skrzyyp naszych piór, spisujących z papierków dług, uspokajał mnie do tego stopnia, że nie umiałem już niemal dojrzeć różnicy pomiędzy wypisaniem długu a zapłaceniem go. Obie te czynności ze względu na ich merytoryczny charakter wydawały mi się niemal jednakowe.

Po pewnym czasie pytałem Herberta, jakże mu idzie, a on, drapiąc się w głowę wobec tego potopu cyfr, mówił:

– Rosną, Haendel, daję ci słowo, że rosną.

– Bądź spokojny, Herbercie – odpowiadałem, manipulując z zapalem piórem – trzeba umieć spoglądać sprawom prosto w twarz. Rozejrzyj się w nich. Wpatruj się w nie tak, aż zbijesz je z tropu.

– Będę, Haendel, będę – odpowiadał Herbert – tylko że to one zbijają mnie z tropu.

Moja stanowczość wydawała jednak rezultaty, gdyż Herbert powracał do swego spisu. Po chwili chciał znowu porzucić pracę pod pretekstem, że nie posiada rachunku Cobba, Lobba czy Nobba, czy jeszcze kogoś innego.

– To otaksuj ten dług w przybliżeniu i wciągnij go do spisu – poradziłem Herbertowi, a on odpowiadał z zachwytem:

– Jaką ty masz głowę do interesów, Haendel, wszystkimu umiesz zaradzić.

Sam byłem o sobie też takiego zdania. Uważałem, że jestem pierwszorzędnym człowiekiem interesu, zdecydowanym, pomysłowym, energicznym, o chłodnym, spokojnym rozsądku. Kiedy już wypisałem wszystkie moje dług, porównałem je z pojedynczymi rachunkami i w miarę porównywania skreślałem poszczególne pozycje. Uczucie, jakie miałem przy każdej takiej kresce, było wprost rozkoszne. Potem zrobiłem paczkę z rachunkami, związałem ją mocno. Następnie zrobiłem to samo z rachunkami Herberta (który skromnie powiedział, że nie posiada swojego talentu administracyjnego) i poczułem, że uporządkowałem interesy jego, tak jak i własne.

W związku z prowadzeniem interesów miałem jeszcze jedno przyzwyczajenie, które nazywałem „pozostawianiem marginesu”. Jeżeli na przykład dług Herberta osiągał sto sześćdziesiąt cztery funty, cztery szylingi i dwa pency, mówiłem: „Zostaw margines i napisz dwieście funtów”, a kiedy moje dług wynosiły dajmy na to cztery razy tyle co Herberta, zostawiałem margines i pisałem siedemset funtów. Wierzyłem głęboko w mądrość owego marginesowego zabiegu, ale teraz, gdy spoglądam wstecz, widzę, że był to bardzo kosztowny sposób, gdyż na konto owego marginesu robiliśmy zaraz nowe dług, które nie tylko go wypełniały, ale nawet przekraczały, zmuszając niekiedy do nowego marginesu.

Po każdym takim badaniu długów odczuwałem spokój, odprężenie i świadomość własnej uczciwości. Podniecony opinią Herberta, jego komplementami dotyczącymi się mojej świetnej metody, głęboko wierzyłem we własne zdolności do interesów.

Mogłem wówczas długo siedzieć, patrząc na stos związanych rachunków, i czułem się w owych chwilach nie jak prywatny człowiek, ale jak bank załatwiający trudne transakcje.

W takich chwilach ryglowaliśmy drzwi wejściowe, aby nikt nie mógł nam przeszkodzić. Pewnego wieczora, kiedy właśnie znajdowałem się w tym błogosławionym stanie, usłyszeliśmy szelest listu wsuwanego do otworu skrzynki i spadającego na podłogę.

– To do ciebie, Haendel – powiedział Herbert, przynosząc list z przedpokoju – spodziewam się, że nic się nie stało złego.

Była to aluzja do ciężkiej czarnej pieczętki i żałobnej obwódki na kopercie.

List nosił podpis „Trabb i Ska” i zawierał po prostu wiadomość, że jestem szanownym panem i że mają zaszczyt zawiać mi, iż małżonka pana Joego Gargery pożegnała się z tym światem w ubiegły poniedziałek o godzinie 6 minut 20 rano i że moja obecność jest pożądana na ceremonii pogrzebu, który odbędzie się w najbliższy poniedziałek o trzeciej godzinie po południu.

## Rozdział trzydziesty piąty

Po raz pierwszy na drodze mego życia otworzył się grób, a przepaść, która powstała w gładkim gruncie, po jakim stałem, zrobiła na mnie wielkie wrażenie. Dniem i nocą prześladowała mnie teraz twarz mojej siostry siedzącej w fotelu przy kominku. Nie mogłem ogarnąć myślą prawdy, że miejsce to będzie teraz opustoszałe, i mimo że ostatnimi czasami rzadko towarzyszyła mi myśl, to teraz zdawało mi się, że ze idzie przede mną ulicą, innym razem, że za chwilę zapuka do drzwi mego mieszkania. Nie znała go przecież wcale, a na każdym kroku w mych pokojach miałem uczucie, że słyszę jej głos albo dostrzegam jej zwróconą ku mnie twarz, a cień śmierci otulił mój dom.

W żadnym okresie życia nie otaczałem jej wielką czułością, ale wydaje mi się, że zdarzają się wybuchy żalu, które rodzą się bez podłoża tkliwych uczuć. Pod wpływem tego wzruszenia (a może właśnie jako zadośćuczynienie za to, że nie byłem wystarczająco dla niej za życia) ogarnęło mnie oburzenie na człowieka, który przyczynił się do jej cierpień i do przedwczesnej śmierci, i pomyślałem, że gdybym tylko miał dostateczne dowody winy Orlicka, nie wahałbym się zemścić na nim za moją siostrę.

Napisałem do Joego list pełen żalu, zapowiadający mój przyjazd na pogrzeb, i następne dni aż do podróży przeżyłem w tym

dziwnym stanie ducha. W dniu pogrzebu wyruszyłem o świcie w drogę i zajęchałem do oberży „Pod Błękitnym Dzikim” dość wcześnie, by piechotą ruszyć do kuźni.

Był pogodny letni dzień i gdy tak szedłem znajomą drogą, stanęły mi przed oczami te dawne czasy, kiedy byłem maty i bezbronny i kiedy siostra moja bynajmniej mnie nie oszczędzała. Ale wspomnienia te powróciły w łagodnej formie, która osłabiała nawet ciosy Łaskota. I oddychając świeżym powietrzem płynącym od drzew, marzyłem w blasku słonecznym, by kiedyś w przyszłości wspomnienia innych o mojej osobie podobnie łagodniały podczas spaceru w słońcu.

Już pierwsze spojrzenie rzucone na nasz dom dowiodło mi, że „Trabb i Ska” wzięli tu wszystko w posiadanie, urządzając uroczyść pogrzebową. Przed drzwiami frontowymi stało dwu idiotycznie ponurych drabów. Każdy z nich trzymał ostentacyjnie w ręku kulę owiniętą czarną, krepową wstążką, jak gdyby tym mógł przynieść komukolwiek pociechę. W jednym z nich poznałem pocztylliona spod „Błękitnego Dzika”. Wyrzucono go w swoim czasie z posady za to, że będąc w stanie nietrzeźwym do tego stopnia, iż musiał kurczowo trzymać się grzywy konia, wywrócił do rowu państwa młodych jadących na ślub.

Wszystkie dzieci z wioski i większość kobiet stała wpatrzona z zachwytem w żałobnych wartowników oraz zamknięte okna kuźni i domu, a kiedy się zbliżyłem, jeden z dwu stróżów (pocztylion) zapukał kijem w drzwi, jak gdyby mnie rozpacz pozbawiła już całkowicie sił i nie mógłbym zapukać sam.

Drugi drab (stolarz, który raz zaożrył się i zjadł na poczekaniu dwie gęsi) otworzył drzwi i wprowadził mnie do bawialni. Tutaj pan Trabb na naszym najlepszym stole urządził coś w rodzaju żałobnego bazaru, używając do swych czynności szpilek o czarnych łebkach. Właśnie kończył okrecać czyjs kapelusze w długi kawałek czarnej materii, całkiem jak gdyby owijał afrykańskie niemowlę. Kiedy mnie ujrzał, wyciągnął rękę po moje nakrycie głowy. Zrozumiałem jednak zrazu złe ten gest i wzięwszy go za przywitanie, uściśnięciem Trabbowi serdecznie dłoń.

Biedny, Kochany Joe, wciśnięty w jakiś czarny, ciasny płaszczyk, związany pod brodą w wielką kokardę, siedział na uboczu posadzony na krzeselku, zapewne przez Trabbą, w charakterze prowadzącego pochód żałobny.

Kiedy nachyliłem się do szwagra i przywitałem go:

— Drogi mój Joe, jakże się czujesz? — odparł:

— Pip, mój starszku, tyś znał ją, jeszcze kiedy była piękna... — tu poklepał mnie po dłoni i nic już więcej nie powiedział.

Biddy, która wyglądała schludnie i skromnie w czarnej sukience, kręciła się cicho po pokoju i we wszytkim była pomocna. Przemówiłem do niej tylko kilka słów, bo uważałem, że nie czas na rozmowy, i usiadłem obok Joe'go. Zastanawiałem się, w jakiej stronie domu może być ona... moja siostra. Ponieważ w pokoju pachniało świeżym ciastem, zacząłem rozglądać się za poczęstunkiem i gdy oczy moje przywykły do półmroku, zobaczyłem nakryty stół. Stał na nim pokrajany placek ze sliwkami, pomarańcze podzielone na ćwiartki, kanapki, herbatniki i dwie karafki, które znałem przez całe życie jako ozdoby, a które teraz napełniono jedną porto, a drugą sherry. Kiedy tam podszedłem, zobaczyłem stojącego przy stole służącego Pumblechooka w czarnym surducie z wielu tokciami krepowej wstążki wokół kapelusza. Napychał się jedzeniem, a jednocześnie robił do mnie żałobne znaki porozumiewawcze. Po chwili był już przy mnie. Woniał sherry i ciastkami, i pytał: „Czy wolno mi się ośmielić, szanowny panie?”. Wreszcie ośmielił się. Ujrzałem potem państwa Hubble siedzących w kącie, przy czym pan Hubble wyrażał postawą niema rozpacz. Wszyscy mieli-śmy „iść za trumną” powiązani w idiotyczne pęczki przez pana Trabbą.

— Co to chciałem powiedzieć, Pip — szepnął mi Joe, kiedy, jak wyraził się Trabb, „pochód został uformowany”, to jest ustawiono nas parami jak do jakiegoś makabrycznego tańca — co to chciałem ci powiedzieć... że najchętniej sam z kilku najbliższymi towarzyszyłbym jej do kościoła i na cmentarz, ale cóż, sąsiedzi uważaliby, że to nie wypada i że to bez szacunku.

– Chusteczki wyjąć! Wszyscy! – wrzasnął Trabb w tej chwili zawodowym, żafobnym głosem. – Chusteczki wyjąć! Już!

Wyjęliśmy więc wszyscy chusteczki, przyłożyliśmy je do twarzy, jak gdyby krew leciała nam z nosów, i parami wyszliśmy z domu. Joe i ja, Biddy i Pumblechook, pan i pani Hubble. Zwłoki mojej biednej siostry wyniesione zostały na dwór przez drzwi kuchenne, a ponieważ do ceremoniału należało, aby ludzie niosący ciało przyoblekli jakies straszliwe pokrowce z czarnego akşamitu z białym brzegiem, więc całość wyglądała jak ostepły potwór o dwunastu nogach ludzkich, wlokący się pod kierownictwem dwu wartowników, poczytylona i jego towarzysza.

Sąsiedztwo jednak było zachwycone tą ceremonią i podziwiano nas ogromnie, kiedy przeciagaliśmy przez wieś. Najmłodsi i najenergiczniejsi obywatele gminy przebiegali nam od czasu do czasu drogę, by znaleźć się na dogodnych pozycjach, gdy będziemy przechodzili. W takich momentach najbardziej niespokojni krzyczeli podniesionymi głosami, gdy wynurzaliśmy się zza jakiegoś rogu: „Idą! Idą! Idą!”, i omal że nie wołali: „Niech żyją!”. W drodze najbardziej przeskądzał mi nikkzemny Pumblechook, który krocząc za mną, nie przestawał się mną delikatnie zajmować. Poprawiał mi co chwila krepę na kapeluszu lub układał starannie fałdy mego płaszcza na plecach. W myśli moje wprowadzali także zamęt państwo Hubble, którzy zbytnio już okazywali dumę z powodu przynależności do tak znakomitego pochodu.

A oto rozciągnęły się przed nami bagniska, a z nich wyrastały zagle łodzi płynących po rzece. Weszliśmy we wrota tego samego cmentarza, na którym spoczywali moi nieznanymi mi rodzice, Filip Pirrip, „nieboszczyk tej parafii”, i Georgiana, „matzonka powyższego”. Tutaj to złożono w ziemi moją siostrę, podczas gdy skowronki śpiewały wysoko w górze, a lekki wietrzyk sprawiał, iż cienie obłoków i drzew przepływały przed naszymi oczyma.

O zachowaniu się światowo nastrojonego Pumblechooka powiem tylko tyle, że wszystkie jego gesty i aluzje skierowane były do mnie. Działo się tak nawet wówczas, gdy odczytywano

owe znane wersety przypominające ludzkości, że nic nie przynosi ze sobą na ziemię i nic nie może zabrać opuszczając ją, i że przemija jak cień. Usłyszałem, jak chrząkał na boku, szepcząc, że można by zrobić tu wyjątek dla pewnego młodego człowieka, któremu niespodziewanie przypadła w udziale wielka fortuna. Kiedy powracaliśmy do domu, miał czelność powiedzieć mi, że wyrządziłem siostrze honor, będąc na jej pogrzebie, i że z pewnością gotowa byłaby zapłacić życiem za taki zaszczyt. W domu wypił do końca całe sherry, podczas gdy pan Hubble wyszczył porto, po czym rozmawiali ze sobą tak, jak gdyby obaj należeli do całkiem innej rasy niż nieboszczka i byli nieśmiertelni (spodziewałem, że często ludzie tak właśnie rozmawiają przy podobnych okazjach). Wreszcie poszedł z państwem Hubble i jestem pewien, iż przez całą wieczór opowiadał „Pod Wesołymi Przewoźnikami”, że to on jest moim pierwszym dobroczyńcą i że przyczynił się do mojej fortuny.

Kiedy wszyscy poszli i Trabb ze swymi ludźmi (ale bez swego chłopaka, którego na próżno szukałem) zapakowali swoje przybory do walizek i również się oddalili, w domu zapanowała zdrowa atmosfera. Wkrótce potem Joe, Biddy i ja zjedliśmy zimny obiad, ale nie w naszej starej kuchni, tylko w bawialni. Joe ogromnie starannie manipulował nożem i widelcem oraz używał solniczki, tak że poczuliśmy skrzepowanie. Ale po obiedzie, gdy poradziłem mu wziąć fajkę i razem przeszedłszy się do kuźni usiedliśmy na wielkim kamieniu przed drzwiami, powróciła dawna swoboda. Spostrzegłem, że po pogrzebie Joe przebrał się i włożył coś pośredniego pomiędzy swym niedzielnym strojem a roboczym ubraniem. W tej odzieży kochany przyjaciel wyglądał naturalnie i na tego, kim był naprawdę.

Moje pytanie, czy mogę przespać się w moim dawnym pokoju, sprawiło mu wielką przyjemność. Mnie było równie przyjemnie, gdyż zdawało mi się, że wyświadczam mu wielką łaskę tą propozycją.

Kiedy nadszedł wieczór, znalazłem chwilkę, by wyjść z Bid-  
dy do ogrodu na pogawędkę.

– Biddy – powiedziałem – zdaje mi się, że to ty powinnaś była napisać do mnie o tych smutnych sprawach.

– Doprawdy, panie Pip? – odpowiedziała Biddy. – Z pewnością bym napisała, gdybym wiedziała, że należy to zrobić.

– Nie sądz, Biddy, że chcesz ci dokuczyć, ale wydaje mi się, że twoim obowiązkiem było to wiedzieć.

– Doprawdy pan tak sądzi, panie Pip?

Odpowiedziała z takim spokojem i było w niej coś tak uczciwego, dobrego i pięknego, że porzuciłem ten temat, nie chcąc, by się znowu rozplakała.

Spojrzałem na nią, gdy tak szła obok mnie ze spuszczoneymi oczyma, i rzuciłem tylko:

– Myślę, że będzie ci teraz trudno tu pozostać, Biddy?

– O, nie mogę nawet tu zostać – odparła z prawdziwym żalem w głosie, ale tonem całkiem zdecydowanym. – Rozmówiłam się już z panią Hubble i jutro się do niej przeprowadzam. Myślę, że we dwie będziemy mogły zaopiekować się z daleka panem Gargerym, dopóki się jakoś nie urządzi.

– Co będziesz robiła, Biddy? Jeżeli trzeba ci pie...

– Co będę robiła? – przerwała mi pośpiesznie Biddy z naszym rumieńcem na policzkach. – Powiem panu, panie Pip. Będę się starała o posadę nauczycielki w nowej szkole wiejskiej, którą właśnie wykańczają. Polecę mi na pewno wszyscy sąsiedzi. Mam nadzieję, że potrafię być pracowita i cierpliwa i że ucząc innych, będę się sama kształciła.

Wiem, panie Pip – ciągnęła dalej z uśmiechem, podnosząc na mnie spojrzenie – że terazniejsze szkoły są inne niż dawne, ale nauczyłam się wiele od pana w ciągu tych lat i zdaje mi się, że zrobiłam duże postępy.

– Mam wrażenie, że ty w każdej dziedzinie wciąż robisz postępy, Biddy – zauważyłem.

– Ach, chyba tylko w wadach – szepnęła Biddy.

Były to raczej myśli na głos wypowiedziane niż wyrzut, toteż nie podjąłem tych słów i szedłem u jej boku w milczeniu, spoglądając na jej spuszczone powieki.

– Nie znam szczegółów śmierci mojej siostry, Biddy – prosiłem wreszcie.

– Niewiele jest do opowiadania. Biedactwo – oświadczyła dziewczyna – miała jeden ze swoich przykrych ataków. Chociaż ostatnio, zwłaszcza przez ostatnie cztery dni, czuła się o wiele lepiej. Po południu, w porze podwieczorki zeszła na dół i wypowiedziała całkiem wyraźnie: „Joe”. Ponieważ nie zdarzało jej się od bardzo dawna, żeby mówiła, pobiegłam do kuźni, aby sprawdzić pana Gargery’ego. Pokazywała mi gestami, że chce, aby usiadł blisko przy niej i abym ja złożyła jej ramiona jemu na szyję. Zrobiłam to, a ona złożyła głowę na jego ramieniu i siedziała tak cicho, szczęśliwa. Powiedziała jeszcze raz „Joe”, a potem „wybacz” i jeszcze później „Pip”. Więcej nie podniosła głowy, a w godzinę potem składałszy ją na łóżku. Już nie żyła.

Biddy płakała, a mnie mroczniący ogród i ścieżka, i gwiazdy, które właśnie ukazywały się na niebie, zamazywały się przed oczyma.

I nigdy nie doszłście prawdy?

– Nie.

– A czy wiesz, co się stało z Orlickiem?

– Po kolorze jego ubrania wnioskuję, że pracuje chyba w kamiolotomach.

– Ach, więc widzisz go od czasu do czasu? Czemu patrzysz na to ciemne drzewo tam na ścieżce?

– Widziałam go tam tego wieczoru, kiedy ona umarła.

– Czy widziałas go wówczas po raz ostatni?

– Nie, był tu i dzisiaj, teraz, podczas naszej przechadzki. Ale nie, nie masz dokąd biec... – zawołała, kładąc mi dłoń na ramieniu – i tak już go nie dogonisz. Wiesz, że ci mówię prawdę: był tu tylko przez chwilę i odszedł już dawno.

Jej słowa obudziły we mnie znowu oburzenie, że Orlick jeszcze nie przestał jej prześladować. Poczulem nienawiść i dałbym wiele za to, aby móc go na zawsze wypędzić z okolicy. Wyznałem to Biddy.

Stopniowo sprawiła, że zacząłem rozmawiać spokojnie. Opo-  
wiedziała mi, jak bardzo Joe mnie kocha i jak nigdy na nic się nie  
skarży. Nie mówiła, że nie skarży się na mnie, ale ja i tak wszyst-  
ko wiedziałem. Wiedziałem, że Joe zawsze wypełnia swe obo-  
wiązki, że ma silną rękę, powściągliwy język i łagodne serce.

– Istotnie, Biddy – zgodziłem się – nie można o nim mówić  
zbyt dobrze. Musimy o nim często rozmawiać, Biddy, gdyż  
oczywiście będę tu często przyjeżdżał. Nie pozostawię Joego  
w samotności.

Biddy nie odparła ani jednym słowem.

– Biddy, czy mnie nie słyszysz?

– Słyszę, panie Pip.

– Pomijam już to, że nie powinnaś mówić do mnie „panie Pip”,  
to w złym guście, Biddy. Powiedz mi teraz, co o tym myślisz?

– Co ja myślę? – powtórzyła nieśmiało Biddy.

– Biddy – oznajmiłem tonem szlachetnym i stanowczym –  
muszę wiedzieć, jakie jest twoje zdanie?

– Moje zdanie? – powtórzyła.

– Nie powtarzaj jak echo – prosilem – dawniej nie miałaś  
zwyczaju być echem.

– Nie miałam zwyczaju, panie Pip? Nie miałam zwyczaju?

Doszedłem do wniosku, że teraz niczego się nie dowiem,  
i przechadzałem się dalej milcząco po ogrodzie. Kiedyśmy  
obeszli go wokoło, powróciłem do tego samego tematu.

– Biddy – odezwałem się – obiecałem, że będę często odwie-  
dzał Joego, a ty przyjęłaś tę obietnicę wymownym milczeniem.  
Bądź tak dobra i powiedz mi, dlaczego?

– Czy naprawdę wierzysz, że *będziesz* go często odwiedzać?  
– spytała Biddy, zatrzymując się na ścieżce ogrodowej i w blas-  
ku gwiazd patrząc na mnie jasnymi, uczciwymi oczyma.

– Och, mój Boże – zawołałem, jak gdybym się rozczarował  
co do Biddy. – Tu już naprawdę wylązały twoje wady! Nie mów  
już, proszę, nic, Biddy. Zraniłaś mnie boleśnie!

Z tego właśnie powodu trzymałem Biddy z dala od siebie  
podczas kolacji, a idąc na spoczynek do mego dawnego pokoiku

pożegnatem się z nią chłodno, mimo podszeptów sumienia, któ-  
re przypominało mi dzisiejszy pogrzeb i wszystkie wypadki  
dnia. Za każdym razem, kiedy się budziłem tej nocy, a zdarzało  
się to niemal co kwadrans, rozmyślałem, jaką to krzywdę wyrzą-  
dziła mi Biddy, jaka była dla mnie niemita i niesprawiedliwa.

Miałem wyjechać wczesnym rankiem. Wstałem wcześniej  
i wyszedłem przed dom. Przez jedno z opatrzonych drewniana-  
o okiennicą okien kuźni zajrzałem niezauważony do wnętrza, by  
popatrzeć na Joego. Był już przy robocie; jego zdrowa twarz jaś-  
niata siłą, jak gdyby słońce jego życia opromieniało ją blas-  
kiem.

– Do widzenia, drogi Joe. Nie, nie wycieraj zasmolonej ręki,  
na miłość Boską, podaj mi ją taką czarną! Przyjadę wkrótce do  
ciebie i będę przyjeżdżał często!

– Nigdy nie może pan przyjechać za prędko, proszę pana –  
odparł Joe – ani za często, Pip.

Biddy czekała na mnie przy drzwiach kuchennych z dzban-  
kiem świeżego mleka i kromką chleba.

– Biddy – powiedziałem, ściskając jej dłoń na pożegnanie –  
nie gniewam się na ciebie, ale jestem dotknięty.

– Nie bądź dotknięty – prosiła patetycznie i gorąco – niech  
całe zmartwienie spada na mnie, jeżeli sprawiłam ci przykrość.

I raz jeszcze podniosły się w górę mgły, kiedy odchodziłem.  
Gdyby przesłaniały przede mną zapowiedź, że nigdy tu więcej  
nie powrócę i że Biddy miała słuszność, to muszę wyznać, że  
kryłyby prawdę.

## Rozdział trzydziesty szósty



Brnęliśmy z Herbertem coraz bardziej w długi, „porządkowaliśmy” nasze interesy, pozostawialiśmy coraz to nowe „marginesy” i zawieraliśmy tym podobne transakcje, a czas płynął mimo wszystko, jak to jest w jego zwyczajaju, i nagle stałem się pełnoletni, zgodnie z przepowiednią Herberta nawet się nie spodziewając, kiedy to nastąpi.

Herbert doszedł do pełnoletności na osiem miesięcy przedemną, ale ponieważ była to jedyna rzecz, do której doszedł, więc zdarzenie owo nie przyniosło żadnej sensacji w „Gospodzie Barnarda”. Do mojej pełnoletności jednak przywiązywaliśmy większą wagę, gdyż sądziiliśmy, że mój opiekun w tym dniu uroczystym z pewnością wyjawi mi coś osiatacznego.

Postarałem się, by w Małej Brytanii dowiedziano się dość wcześniej o dacie mych urodzin, i otrzymałem od Wemmicka liścik, w którym donosił, że pan Jagers będzie rad zobaczyć mnie w owym doniosłym dniu u siebie o godzinie piątej po południu. To upewniło nas jeszcze bardziej w naszych przewidywaniach i sprawiło, że w stanie niezwyklego podniecenia zjawilem się punktualnie w kancelarii mego opiekuna. W pierwszym pokoju biura Wemmick złożył mi życzenia, pocierając przy tym nos złożonym kawałkiem bibuły, który miał obiecująco wyglądał. O nic jednak nie spytałem i wszedłem do gabinetu opiekuna.

Był listopad i pan Jagers grzał plecy przy kominku, obie ręce założywszy pod poły surduta.

– Więc, Pip – oświadczył – trzeba cię od dzisiaj nazywać panem Pipem. Wimszuję, panie Pip.

Podaliśmy sobie ręce – ścisnął dłoń zwykle ogromnie krótko – a ja mu podziękowałem.

– Weź sobie krzesło, Pip – powiedział opiekun.

Kiedy usiadłem, on dalej stał i patrzył sobie na buty. Czulem się nieswojo, prawie jak wówczas, gdy posadzono mnie na nagrobku. Dwie upiorne płaskorzeźby na półce miały taki wyraz twarzy, jak gdyby podejmowały apoplektyczny, bezsensowny wysiłek, aby śledzić naszą rozmowę.

– A teraz, mój młody przyjacielu – oznajmił pan Jagers takim tonem, jak gdyby przestuchiwiał świadka – mam ci kilka słów do zakomunikowania.

– Proszę pana bardzo.

– Jak ci się wydaje – zaczął opiekun, pochylając się naprzód bardzo nisko i patrząc w podłogę, by za chwilę przechylić się w tył i spoglądać w sufit – jak ci się wydaje, z jakiej pensji żyjesz?

– Z jakiej pensji, proszę pana?

– Z jakiej – powtórzył Jagers, patrząc w sufit – pensji żyjesz? Tu rozejrzył się po pokoju i urwał, niosąc do nosa chusteczkę i zatrzymując dłoń w połowie drogi.

Tylokrotnie usiłowałem porządkować moje interesy, że wszystko mi się pomieszało i doprawdy nie miałem pojęcia, ile wydaję miesięcznie. Wyznałem szczerze, że nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie.

Zdawało się, że odpowiedź ta sprawiła przyjemność Jagersowi, który mruknął:

– Domyślałem się tego – i wytarł sobie nos z prawdziwą satysfakcją. – Zadałem ci pytanie, przyjacielu – dodał potem – czy nie masz teraz pytania do mnie?

– Oczywiście, pragnąłbym zadać panu wiele pytań, przyniosłoby mi to wielką ulgę, proszę pana. Ale pamiętam pańskie zastrzeżenia.

- Zadaj jedno pytanie – zachęcił mnie pan Jagers.
- Czy dzisiaj dowiem się, kim jest mój dobroczyńca?
- Nie. Spytaj o co innego.
- Czy wkrótce już ta tajemnica będzie mi odsłonięta?
- Tymczasem daj temu spokój i pytaj jeszcze o co innego – powiedział mój opiekun.
- Rozejrzałem się niespokojnie, ale nie sposób było uniknąć pytania. Spytałem więc:
- Czy mam dzisiaj coś otrzymać?
- Wtedy Jagers zawołał z triumfem:
- Wiedziałem, że do tego dojdzie! – i zawołał Wemmicka, by mi wręczył papier.
- Wemmick zjawił się znowu, podał papier i wyszedł.
- A teraz, panie Pip – oświadczył opiekun – proszę słuchać. Czerpał pan dość swobodnie pieniądze od nas, w księgach Wemmicka figuruje dużo pozycji, a mimo to jest pan w długach. Czy tak?
- Obawiam się, że muszę powiedzieć „tak”, proszę pana.
- Pan wie, że musi powiedzieć „tak” – odparł Jagers.
- Tak, proszę pana.
- Nie pytam o wysokość długów, bo pan jej nie zna. A gdyby pan nawet znał dokładną sumę, i tak by jej pan mi nie ujawnił; musiałby pan podać mniej... Tak, tak! – krzyczał Jagers, machając mi przed nosem wskazującym palcem – nawet jeżeli pan teraz sądzi, że pan zdradziłby mi całą sumę, nie zrobiłby pan tego. Wybacz pan, ale to wiem lepiej od pana. A teraz, niech pan weźmie do ręki ten papier. Ma go już pan? Doskonale. Proszę go rozwinąć i powiedzieć, co to jest.
- To jest banknot – odparłem – pięćsetfuntowy.
- To jest banknot – powtórzył Jagers – pięćsetfuntowy. Wcale niebrzydka sumka. Nie sądzi pan?
- Jakże mógłbym inaczej sądzić.
- Ale proszę mi odpowiedzieć wprost na pytanie – nalegał opiekun.
- Oczywiście – dałem odpowiedź.

– Więc oczywiście uważa pan to za ładną sumkę pieniędzy. Ta ładna sumka jest od teraz pańską własnością, Pip. To w dniu dzisiejszym prezent jako zaliczka na pańskie wielkie nadzieje. I za taką sumę rocznego dochodu ma pan żyć, nie wydając ani grosza więcej, dopóki nie zjawi się pański dobroczyńca. Będziesz teraz samodzielnie zarządzał swoim kapitałem. Otrzyma pan co kwartał od Wemmicka sto dwadzieścia pięć funtów, aż do chwili gdy zetknie się pan z samym źródłem swych dochodów, a nie z jego agentem. Bo wspominałem już panu na początku, że jestem tylko agentem. Wypełniam moje obowiązki i jestem za to opłacany. Nie płacą mi, bym wyraził swoją na ten temat opinię.

Zacząłem dziękować gorąco Jagersowi i zapewniać o mojej wdzięczności względem mego dobroczyńcy za jego hojność, kiedy opiekun przerwał mi:

– Upprzedzam pana, Pip, że nie płacą mi za to, abym powtórzył pańskie słowa komukolwiek – powiedział chłodno. I zgarńawszy poły surduta takim gestem, jak gdyby zagarniał jednocześnie resztki naszej rozmowy, popatrzył z góry na swe bućki z wyrazem twarzy, który wskazywał, że na serio podejrzewa je o jakiś spisek przeciwko niemu.

Po chwili odezwałem się:

– Chciałem panu przedtem zadać pytanie, panie Jagers, pan polecił mi zaczekać. Sądzę, że nie będzie w tym nic złego, gdy zadam je teraz powtórnie.

– Jakie to pytanie? – spytał Jagers.

Powiniennem się był spodziewać, że opiekun nie będzie mi ułatwiał pytania, ale mimo to konieczność powtarzania raz jeszcze w innej formie tej samej wątpliwości wprawiła mnie w załopotanie.

– Czy to możliwe... – zacząłem z wahaniem – aby mój dobroczyńca, owo źródło dochodów, jak pan się wyraził, zechciał wkrótce...

Tu urwałem przez delikatność.

– Zechciał wkrótce co? – nastawał Jagers. – Dotychczas nie zadał mi pan żadnego pytania.



– Zechciał przybyć do Londynu – powiedziałem, nie znajdując innej formy – albo też zechciał sprowadzić mnie do siebie?

– Wobec tego, co pan mówi – odparł Jagers, po raz pierwszy patrząc mi prosto w twarz czarnymi, głęboko osadzonymi oczyma – zmuszony jestem powrócić do naszej pierwszej rozmowy, jaką mieliśmy w pańskim rodzinnym miasteczku. Pamięta pan? Cóż panu wtedy powiedziałem, Pip?

– Powiedział pan, panie Jagers, że lata mogą upłynąć do chwili, kiedy się ta osoba ukaze.

– Tak właśnie powiedziałem – potwierdził Jagers – i to jest moja odpowiedź.

Kiedy teraz spojrzeliśmy sobie w oczy, poczułem, że serce biło mi mocno z żarliwej chęci wydobycia z niego czegoś więcej w tej sprawie. Ale jednocześnie spostrzegłem, że pan Jagers rozumie moje uczucia i że dlatego mam mniejsze szanse dowiedzenia się czegoś niż kiedykolwiek.

– Czy sądzi pan, że doprawdy miną jeszcze lata, zanim to się stanie? – badałem.

Ale Jagers wykonał ruch głowy, który nie oznaczał ani przeczenia, ani potakiwania, tylko raczej oświadczenie, że nic mu nie wolno powiedzieć, a dwie ohydne płaskorzeźby na ścianie wyglądały, kiedy na nie spojrziałem, tak, jak gdyby znudziło im się to milczące przysłuchiwanie się rozmowie i miały ochotę kichnąć.

– Niech pan posłucha – oświadczył mój opiekun, pocierając dla rozgrzewki swe tydki rozgrzanymi przy koninku dłońmi – będę z panem szczery, Pip. Nie wolno panu zadawać tego pytania. Może pan zrozumie to lepiej, kiedy powiem panu, że to może *mnie* skompromitować. Ale powiem panu jeszcze więcej.

Pochylił się tak nisko ku swym bucikom, że zdołał rozetrzeć sobie tydki podczas pauzy, którą zrobił w rozmowie. Wreszcie wyjaśnił:

– Z chwilą kiedy ta osoba ukaze się panu samemu, będzie załatwiała obojętne wszystkie sprawy. I wtedy moja rola skończy się natychmiast. To wszystko, co mogę powiedzieć.

Spojrzeliśmy sobie głęboko w oczy, po czym odwróciłem wzrok i utkwiliem go w podłozie. Z tego, co usłyszałem przed chwilą, wywnioskowałem, że miss Havisham z tych lub innych względów nie w tajemniczyła Jagersa w swe plany dotyczące się połączenia mnie i Estelli. Może uważała, że będzie zazdrośny, może zdawało jej się, że nie sprzyjając tym planom, nie zechce im pomagać. Kiedy podniosłem oczy, przekonane się, że mój opiekun wciąż jeszcze patrzy na mnie badawczo.

– Jeżeli to już wszystko, co miał pan do powiedzenia – uważałem – nie pozostaje mi nic więcej, jak pana pożegnać.

Skinął twierdząco głową, wyciągnął zegarek stanowiący pokusę dla złodziei i spytał, gdzie będę jadł obiad. Odpartem, że z Herbertem w domu, i dodałem, że bardzo będziemy zaszczycony, jeżeli dotrzyrna nam towarzystwa. Zgodził się natychmiast, ale zastrzegł się, że pójdzie razem ze mną, abym nie robił specjalnych przygotowań, i prosił, bym zaczął, bo musi jeszcze napisać parę listów i (oczywiście) umyć ręce. Powiedziałem, że zaczekam na niego w pokoju Wemmicka. Chciałem porozmawiać z sekretarzem opiekuna, gdyż od chwili kiedy poczułem w kieszeni banknot pięćsetfuntowy, powziąłem pewną myśl, a Wemmick wydał mi się odpowiednim człowiekiem do zasięgnięcia u niego rady.

Własnie zamykał kasę i wybierał się do domu. Wstał od biurka, ustawił na stoliku przy drzwiach dwie kapiące woskiem, już dopalające się świece, ułożył przy nich szczypce do obciążania, przytłumił ogień w kominku, przygotował kapelusze i płaszcz, a teraz uderzał kluczem od kasy we własną pierś, traktując to wiadczenie jako ćwiczenie gimnastyczne po pracy.

– Panie Wemmick – powiedziałem, wchodząc – chciałbym się pana o coś poradzić. Pragnę pomóc przyjacielowi.

Wemmick ściągnął swój otwór skrzyżki do listów i pokiwał głową, jak gdyby chciał wyrazić bezsilność wobec tak fatalnej słabości.

– Ten przyjaciel – mówiłem dalej – pragnie rozpocząć na własną rękę interesy handlowe, ale nie ma pieniędzy i uważa

wobec tego, że początek jest trudny i zniechęcający... Chciałbym mu więc ułatwić ten początek.

– Za pomocą swoich pieniędzy? – spytał Wemmick tonem suchszym niż trociny.

– Za pomocą części moich pieniędzy – sprostowałem, gdyż w wyobraźni ujrzałem zgrabną paczkę nieuregulowanych rachunków – za pomocą części mojej gotówki i może zaliczki na moje wielkie nadzieje.

– Panie Pip – odpowiedział Wemmick – chciałbym razem z panem wyliczyć na palcach, jeżeli pan nie ma nic przeciwko temu, nazwy różnych mostów na Tamizie od Chelsea: Most Londyński to raz, Southwark, dwa, Blackfriars, trzy, Waterloo, cztery, Westminster, pięć, Vauxhall, sześć.

Przy wymienianiu każdego mostu uderzał się na płask kłuzem od kasy w dłoń.

– Widzi pan, jest aż sześć mostów. Ma pan w czym wybierać.

– Nie rozumiem pana – odpartem.

– Niech pan wybierze sobie jeden z mostów, panie Pip. Niech pan się po nim przejdzie i rzuci do Tamizy swoje pieniądze, najlepiej doszedłszy do środkowego przęsta. Wtedy będzie pan wiedział przynajmniej, że stracił pan pieniądze. Kiedy da je pan przyjacielowi, będzie pan wiedział to samo, ale w sposób znacznie kłopotliwszy i mniej przyjemny.

Powiedziałwszy to, tak szeroko otworzył swój otwór skrzynki pocztowej, że mógłbym tam wrzucić całą gazetę.

– To bardzo zniechęcające – zauważyłem.

– Właśnie chciałem pana zniechęcić – podkreślił Wemmick.

– Więc pan jest zdania – oburzyłem się – że człowiek nie powinien nigdy...

– Inwestować swej gotówki na rachunek przyjaciela? – do końcał Wemmick. – Oczywiście, że nie. Chyba, że pragnie się pozbyć tego przyjaciela i że strata pieniędzy wobec tego mu się optaca.

– I taki jest pana ostateczny pogląd na tę sprawę, panie Wemmick?

– Tak, taki jest mój pogląd w tym oto biurze – odpowiedział.

– Ach – zawołałem, nacierając na niego, gdyż czułem, że nie mówi ze mną szczerze – a czy tego samego zdania jest pan u siebie w Walworth?

– Panie Pip – oświadczył uroczyście. – Co innego Walworth, a co innego biuro. Podobnie jak co innego staruszek, a co innego pan Jagers. Nie wolno ich ze sobą mylić. Moje uczucia w Walworth należą do Walworth, a oficjalnie moje uczucia i poglądy należą do biura.

– Doskonale – powiedziałem – więc przyjadę odwiedzić pana do Walworth, może pan być pewien.

– Panie Pip, będzie pan tam miłym gościem w charakterze prywatnego znajomego.

Prowadziliśmy tę rozmowę cichym głosem, gdyż obaj wiedzieliśmy, że Jagers ma najostrejszy słuch w świecie. Kiedy zjawił się w drzwiach, wycierając dłonie ręcznikiem, Wemmick miał już na sobie płaszcz i zdmuchiwał świece. Wyszliśmy wszyscy trzej razem, a na ulicy Wemmick poszedł w jedną stronę, a my w drugą.

Tego wieczora nie po raz pierwszy żałowałem, że Jagers nie posiada w domu swym na Gerard Street żadnego staruszka, armaty czy czegokolwiek lub kogokolwiek, kto by rozchmurzył mu czoło.

Przykro mi było w dniu, kiedy kończyłem dwadzieścia jeden lat pomyśleć, że nie warto dochodzić do pełnoletności w świecie tak pełnym podejrzeń i nieufności jak świat Jagersa. Mój opiekun był przecież tysięcy razy inteligentniejszy i bardziej wykształcony od Wemmicka, a wolałbym stokroć, aby to Wemmick jadał tego dnia z nami obiad. Jagers nie mnie jednego nabawił w ów wieczór melancholii, gdyż po jego odejściu Herbert z oczyma utkwionymi w płomienie kominka oznajmił, że czuje się tak przygnębiony i pełen winy, jak gdyby popełnił zbrodnię, której okoliczności zapomniał.

## Rozdział trzydziesty siódmy



Uważając niedzielę za najodpowiedniejszy dzień do poznania uczuć Wemmicka w Walworth, poświęciłem najbliższe niedzielne popołudnie na pielgrzymkę do Zameczku.

Przybywszy do fortyfikacji ujrzałem, że na dachu powiewa sztandar brytyjski, a most zwodzony jest podniesiony. Nie zrazony tymi oznakami gotowości do boju i obrony, zadzwoniłem do bramy i zostałem przyjęty w najbardziej pokojowy sposób przez staruszkę.

— Syn mój, proszę pana — powiedział sędziwy człowiek, spuściwszy most — przeczuwał, że pan może dzisiaj wpaść do niego, i prosił mnie, abym pana zatrzymał, gdyż wkrótce powróci z przechadzki. Mój syn zawsze punktualnie powraca z przechadzki. W ogóle jest bardzo punktualny we wszystkim.

Pokiwalem głową staremu panu nie gorzej, niż zrobiliby to sam Wemmick, i wszedłszy za nim do domu, usiadłem przy kominku.

— Zapoznał się pan z moim synem — odezwał się staruszek skrzeczącym głosem, grzejąc dłonie przy płomieniu kominka — zdaje się u niego w biurze?

Skinąłem głową.

— Słyszałem, że mój syn jest świętym specjalistą w swoim fachu. Mówiono mi o tym. — Pokiwałem energicznie głową. — Zajmuje się prawem? Czy tak? — Kiwałem mocno. — I to właśnie jest najbardziej zdumiewające w mym synu — ciągnął starzec —

gdyż nie kształcił się bynajmniej na prawnika, ale na bednarza, specjalistę od beczek do wina.

Ciekawy, co też staruszek sądzi o Jaggerisie, ryknąłem mu to nazwisko do ucha, ale byłem niezmiernie zdumiony, gdy rozśmiał się serdecznie i powtórzył kilkakrotnie:

— Tak, całkiem słusznie. Ma pan rację. To świetne.

Po dziś dzień nie mam pojęcia, co zrozumiał i jaki dowcip mi przypisał. Ponieważ nie mogłem tak siedzieć zajęty tylko kiwaniem głową aż do nieskończoności, wrzasnąłem mu w ucho pytanie, czy i on z zawodu jest specjalistą od beczek do wina. Powtórzywszy ten okrzyk kilkakrotnie i stukając przy tym palcem w pierś starca, by połączyć pytanie z jego osobą, zdołałem sprawić, że zrozumiał.

— Nie — odpowiedział — pracowałem w magazynie. Najpierw tam... — tu wskazał w górę, jak gdyby miał na myśli komin, ale ja pojąłem, że chodzi o Liverpool — a potem tutaj, w City Londyńskim. Jednak ze względu na moje kalectwo... bo wie pan, ja nie dosłyszę...

Gestem wyraziłem najwyższe zdumienie.

— Tak, proszę pana, nie dosłyszczę poprawdy... Więc ze względu na moje kalectwo, kiedy syn zajął się prawem, zaopiekował się mną i stopniowo, pomalutku dorobił się tak pięknej i wartościowej posiadłości. Ale wracając do tego, co pan mówił... — i tu wybuchnął znowu serdecznym śmiechem — to oczywiście ma pan słuszność.

Właśnie zastanawiałem się skromnie, czy jakkolwiek wymyślony przeze mnie dowcip mógł choć w połowie tak go rozśmieszyć, jak owa wyimaginowana przez niego anegdota, kiedy mocny trzask w ścianie koło kominka sprawił, że drgnąłem przestraszony. Natychmiast potem ze ściany spadła w niesamowity sposób mała tabliczka drewniana z napisem „John”.

— Mój syn powrócił — zawołał radośnie starzec i pobiegliśmy razem, by spuścić zwodzony most.

Warto było zapłacić, aby zobaczyć, w jaki sposób Wemmick kiwał do mnie na przywołanie ręką z drugiej strony fossy, kiedy

z największą łatwością mogliśmy uściśnąć sobie dłonie ponad rowem. Staruszek był tak zachwycony, że sam podnosi most, iż nie ofiarowałem mu mojej pomocy, ale stałem spokojnie obok niego, patrząc, jak Wemmick przechodzi przez kładkę w towarzystwie miss Skiffins, której natychmiast mnie przedstawił.

Miss Skiffins miała wygląd drewniany i podobnie jak jej towarzysz zdawała się należeć do grona skrzynek do listów. Mogła być o dwa lub trzy lata młodsza od Wemmicka i przysięgałbym, że jest właścicielką niezłego majątku. Krój jej sukni od talii w górę, zarówno z przodu, jak z tyłu, czynił ją podobną do latawca i skłonny byłem przypuszczać, że pomarańczowa barwa jej sukni, podobnie jak zielony kolor jej rękawiczek były nieco zbyt jaskrawe. Ale robiła wrażenie poczciwej osoby i okazywała wiele względów staruszkowi. Szybko zorientowałem się, że musi ona być bardzo częstym gościem w Zameczku, gdyż na mój wyrażony Wemmickowi komplement na temat pomysłowego anonsowania swego przybycia przy pomocy tabliczki koło kominka, Wemmick powiedział tajemniczo, abym teraz popatrzył na ścianę po drugiej stronie kominka, i zniknął. Usłyszałem wówczas podobny do tamtego trzask i wyskoczyła tabliczka z napisem „Miss Skiffins”. Potem ta tabliczka zniknęła, a zjawiała się znowu pierwsza z napisem „John”. Następnie „John” się zamknął, a „Miss Skiffins” otworzyła, później zjawili się jednocześnie oboje, „John” i „Miss Skiffins”, wreszcie obie tabliczki ze stuknięciem zniknęły ze ściany. Gdy Wemmick powrócił od pomysłowego mechanizmu, wyraziłem mu podziw, na co odparł: — Widzi pan, to bardzo miłe i przydaje się staruszkowi. War to także podkreślić, proszę pana, że tajemnicę tę znają tylko trzy osoby: staruszek, miss Skiffins i ja.

— A pan Wemmick zrobił go własnoręcznie i według własnego pomysłu — dodała miss Skiffins.

Podczas gdy miss Skiffins zdejmowała czepeczek (zielone rękawiczki zachowała przez cały wieczór na rękach, chcąc w ten sposób zaznaczyć, że jest na wizycie), Wemmick zaprosił mnie do obejścia posiadłości, abym zobaczył, jak wyspa wygląda zimą.

Przypuszczając, że zabiera mnie, aby móc w ten sposób zdradzić przede mną swe tutejsze uczucia, skorzystałem z okazji, aby zaraz za Zameczkiem rozpocząć z nim na ten temat rozmowę.

Namyśliwszy się dobrze przedtem, zacząłem mówić o sprawie Herberta tak, jak gdybym dotychczas wcale jej nie poruszał. Wyznałem, że jestem niespokojny o los Herberta Pocketa, i powiedziałem, jak się niedługo poznaliśmy i jakieśmy ze sobą walczyli. Napomknąłem o domu rodzinnym Herberta, o jego charakterze, o braku pieniędzy i o zależności od ojca, członkiem w tych sprawach niepunktualnego i niepewnego. Wyliczyłem korzyści, jakie czerpałem od niego w pierwszym okresie mego pobytu w Londynie, kiedy byłem jeszcze nieokrzesany i nieobyty, i wyraziłem obawę, że źle mu się przysłużyłem i że powodziliby mu się znacznie lepiej, gdyby nie moje wielkie nadzieje. Nie wspominając nazwiska miss Havisham ujawniłem, że obawiam się, iż stanąłem mu na drodze w jego projektach na przyszłość, i dodałem, że jest to chłopiec całkowicie pozbawiony założeń, mściwości czy jakichkolwiek złych intencji. Z tych to wszystkich powodów (tłumaczyłem Wemmickowi) oraz z racji, że był moim towarzyszem i przyjaciелеm i że kocham go na prawdę, pragnąłbym, aby odblask mojej fortuny padł i na niego, i dlatego to zwracam się po radę do doświadczonego Wemmicka. Niech mi powie, w jaki sposób on, człowiek interesu, radzi mi, abym wyplacał Herbertowi pewną sumkę, na przykład sto funtów rocznie, zapewniając mu beztroski humor, oraz jak mam postąpić, aby kupić mu udział w jakimś interesie. Prosiłem Wemmicka, aby zrozumiał, że cała ta pomoc musi być udzielona na bez wiedzy Herberta, a nawet tak, aby nic nie podejrzewał, i dodałem, że nie mam nikogo na świecie, kto by mi w tej sprawie mógł poradzić.

Na zakończenie położyłem dłoń na ramieniu Wemmicka i oświadczyłem:

— Musiałem się z tym zwierzyć, chociaż wiem, że sprawiam panu kłopot, ale to i pańska wina, bo sam mnie pan tu zaprosił.

Wemmick milczał przez chwilę, a potem wybuchnął:

– Czy pan wie, panie Pip, że to bardzo pięknie z pana strony?  
– Więc niech pan obieca, że mi w tym pomoże – nalegałem.  
– Kiedy – odparł Wemmick kręcąc głową – to nie jest moja specjalność.

– Toteż nie znajdujemy się w miejscu, gdzie uprawia pan swoją specjalność.

– Ma pan słuszną uwagę – zgodził się – tu pan utrafił w sedno, panie Pip. Namyśle się nad pańską sprawą. Powoli to się da zrobić. Skiffins (jej brat) jest agentem handlowym. Zobaczę się z nim i poproszę, by dla pana popracował.

– Dziękuję panu tysiącrotnie.

– Przeciwnie, to ja panu dziękuję – odparł – bo chociaż tutaj jesteśmy na gruncie całkiem przywrotnym i osobistym, to jednak włokły się jeszcze za mną pajęczyny z Newgate, a pan je w tej chwili wymiótł gruntownie.

Po krótkiej dalszej pogawędce na ten sam temat powróciliśmy do Zameczku, gdzie zaszliśmy miss Skiffins przygotowaną podwieczorek. Odpowiedzialna funkcja przypiekania grzaniek powierzona została staruszkowi, który czynił to z takim przejęciem, że omal nie wypalił sobie oczu. Zapowiadał się nie posiłek nominalny, lecz bujna rzeczywistość.

Staruszka nie widac wprost było zza stosu posmarowanych masłem grzaniek skwierczących na metalowej tacy, którą zawieszono na haczyku przed kominkiem, a miss Skiffins nagotowała tyle herbaty, że nawet świnia na tyłach posiadłości wpadła w podniecenie i wyrażała chęć brania udziału w poczęstunku.

Wciągnięto sztandar na maszt i wystrzelono o oznaczonej godzinie z armaty.

Ogarnęło mnie takie uczucie, jak gdybym był odcięty od reszty Walworth fosą głęboką i szeroką na trzydzieści stóp.

Nic nie maciło teraz ciszy prócz regularnie powtarzającego się stukotu, ilekroć otwierały się okienka z tabliczką Wemmicka lub miss Skiffins (cierpiaty na kurczowe drgawki), powoli przyzwyczaiłem się i do tego dźwięku. Z metodycznych przygotowań miss Skiffins wywnioskowałem, że co niedziela przyrzą-

ża ona tutaj podwieczorki, i podejrzewałem, że klasyczna broszka, jaką miała na sobie, przedstawiająca profil niesympatycznej kobiety o bardzo prostym nosie, ozdobiony sierpem księżycą w nowiu, stanowi dar Wemmicka.

Zjedliśmy wszystkie grzanki i wypiliśmy odpowiednią ilość herbaty, po czym poczuliśmy wszyscy, że jest nam gorąco i że jesteśmy zatuszczeni. Właścucha staruszek mógł uchodzić śmiało za świeżo naoliwionego wodza jakiegoś dzikiego plemienia. Miss Skiffins w nieobecności małej służącej, która zapewne spędzała popołudnie niedzielne na tonie rodziny, zmyła filizanki po herbacie w tak amatorsko pański sposób, że nie skompromitowała tym nikogo z nas. Potem włożyła znowu rękawiczki i zasiadła tym wokół kominka. Wemmick poprosił:

– A teraz, Wielkomy Ojczulku, przeczytaj nam gazetę.

Wytłumaczył mi, podczas gdy sędziwy pan szukał okularów, że to należy do zwyczajów i że staruszek jest nieskończenie dumny, gdy czyta na głos wiadomości.

– Bardzo przepraszam, ale on ma tak niewiele przyjemności. Prawda, mój Wielkomy O...?

– Wszystko dobrze, wszystko dobrze, John – powiedział staruszek widząc, że do niego się zwracamy.

– Po każdej wiadomości, gdy spojrzysz na nas, niech pan mu kiwnie głową, a będzie u szczytu szczęścia... No, słuchamy, staruszk.

– Dobrze, John, dobrze – odparł wesoły staruszek, taki zafierowany i taki zadowolony, że aż przyjemnie było na niego patrzeć.

Sposób czytania staruszka przypominał mi żywo lekcje u ciotecznej babki pana Wopsle'a, z tą jedynie różnicą, że głos jego dźwięczał tak, jak gdyby wydostawał się z dziurki od klucza. Starzec wymagał przy tym, aby postawić mu zapaloną świecę tuż koło gazety, więc w obawie, by nie spalił jej albo nie opalił sobie brwi, musieliśmy go pilnować niczym prochowoni. Wemmick okazywał jednak przy tym tyle delikatności i pieczołowitości, że staruszek czytał, nie podejrzewając nawet, jak jest przez nas chro-

niony. Za każdym też razem, gdy podnosił głowę znad gazety, wyrażaliśmy mu najwyższe zainteresowanie i zdumienie i nie przestawaliśmy kiwać głowami, dopóki nie zaczął dalej czytać.

Siedząc w mrocznym kąciku naprzeciw umieszczonych koło siebie Wemmicka i miss Skiffins, miałem sposobność przyglądać się ustom Wemmicka: wydłużały się, w miarę jak ramię jego powoli i systematycznie obejmowało stan miss Skiffins. W pewnej chwili ujrzałem dłoń jego z drugiej strony talii owej damy, ale w tejże chwili miss Skiffins ujęła ramię Wemmicka ręką odzianą w zieloną rękawiczkę, odwinęła je niczym część swej garderoby i z największą powagą położyła przed sobą na stole. Spokój, z jakim to uczyniła, był jednym z najbardziej interesujących widoków, jakie zdarzyło mi się oglądać, i gdyby gest ten nie wymagał przytomności umysłu, skłonny byłbym przypuszczać, że powstał mechanicznie. Wkrótce potem ramię Wemmicka znowu zaczęło znikać, a usta jego w miarę tego coraz bardziej się rozciągać. Po krótkiej i bolesnej dla mnie chwili wycieknięcia rękawicy lub pasek odłożyła przed siebie na stół. Jeżeli stół ten nazwiemy drogą cnoty, to śmiało można powiedzieć, że w czasie czytania staruszka ramię Wemmicka nieustannie raz po raz zbaczało z drogi cnoty i było z powrotem na nią kierowane przez miss Skiffins.

Wreszcie staruszek z czytania przeszedł w drzemkę, a Wemmick skorzystał z tej chwili, by wydobyć niewielki rondołek, tańcę ze szklankami i czarną butelką ozdobioną porcelanowym korciem w kształcie jakiegoś dostojnika kościółka o przyjemnej, rużmianej twarzy. Przy pomocy tych przedmiotów udało mu się przyrządzić napój na rozgrzewkę dla nas wszystkich, nie wyjąwszy staruszkę, który tymczasem się przebudził. Miss Skiffins mieszała trunki i spostrzegłem, że pili z Wemmickiem z jednej szklanki. Oczywiście, miałem na tyle taktu, że nie ofiarowałem się odprowadzić miss Skiffins do domu, i pożegnałem się pierwszy, dziękując staruszkowi za mile spędzone popołudnie.

Przed upływem tygodnia otrzymałem od Wemmicka liścik wysłany z Walworth: donosił, że w sprawie naszej, którą uważa za czysto prywatnej natury, udało mu się porobić już pewne kroki, i prosi, bym go odwiedził w celu porozumienia się u niego w domu. Poszedłem więc do Zameczku raz jeszcze i jeszcze raz, i jeszcze wiele razy. Spotykaliśmy się też w tych sprawach w City, ale nigdy nie mówiliśmy ani słowa na ten temat w okolicy Matej Brytanii. Znaleźliśmy wreszcie po wielu staraniach innego kupca, maklera okrętowego, któremu potrzebny był inteligentny pomocnik z własnym kapitałem, kandydat na przyszłego wspólnika. Nastąpiło podpisanie przeze mnie zobowiązania w imieniu Herberta, po czym wpłaciłem połowę mych pięciuset funtów, zobowiązawszy się do dalszych wpłat. Niektóre raty miałem uiścić w oznaczonych datach z moich obecnych dochodów, inne dopiero wtedy, kiedy wejdę w posiadanie majątku. Pertrakcje prowadził brat miss Skiffins, Wemmick śledził całą sprawę, ale nigdy nie zjawiał się osobiście na spotkania z nim.

Cała sprawa przygotowywana była tak dyskretnie, że Herbert ani na chwilę nie podejrzewał mojego w niej udziału. Nigdy nie zapomniałem jego promieniejącej twarzy, z jaką oznajmił mi pewnego wieczoru, powróciwszy do domu, że zapoznał się z pewnym człowiekiem nazwiskiem Clarriker, który powziął do niego taką sympatię, że, zdaje się, stworzy przed nim nowe perspektywy życiowe.

A potem dzień po dniu, kiedy nadzieje Herberta zaczęły się urzeczywistniać i kiedy coraz to bardziej jaśniał radością, musiał poznać we mnie coraz bardziej oddanego przyjaciela, gdyż z trudem na widok jego szczęścia powstrzymywałem łzy triumfu. Wreszcie kiedy nadszedł dzień wstąpienia Herberta do firmy Clarriker i kiedy przez cały wieczór zwierał mi się ze swojej radości, rozplakałem się serdecznie przed snem na myśl, że oto moje wielkie nadzieje po raz pierwszy uczyniły komuś coś dobrego.

Zbliżam się teraz do zwrotnego momentu w moim życiu. Ale zanim o nim opowiem, zanim nakreślę wszystkie zmiany, jakie mnie spotkały, poświęcę jeden rozdział Estelli. Nie będzie to chyba zbyt wiele jak na temat, który od tak dawna przepętnia mi serce.

## Rozdział trzydziesty ósmy



Jeżeli w starym domu w Richmond nieopodal Green miało-  
by po mojej śmierci kiedy „straszyc”, to z pewnością poja-  
wiły się tam mój duch. Bo ileż to razy, w czasie kiedy Estel-  
la mieszkała w tym domu, byłem obecny tam duchem,  
w każdej chwili dnia i nocy! Ciało moje mogło się znajdować  
w każdym innych miejscach, ale duch mój błądził, błądził i błądził  
wokół tego właśnie domu.

Pani, u której Estella mieszkała, była wdową. Nazywała się  
Brandley i miała córkę o kilka lat starszą od Estelli. Matka wy-  
glądała młodo, a córka staro, matka miała cerę różową, a cór-  
ka żółtą, matka odznaczała się skłonnościami do frywolnego  
życia, córka upodobaniem do teologii. Będąc, jak się to mówi-  
to, w dobrym położeniu, składały wiele wizyt i przyjmowały  
u siebie w domu wielu gości. We wzajemnych stosunkach tych  
pań i Estelli nie kwitno uczucie sympatii, ale ona była im po-  
trzebna i one były jej przydatne. Pani Brandley zaprzyjaźniła  
się z miss Havisham jeszcze przed jej odseparowaniem się od  
świata.

W domu pani Brandley i poza nim cierpiałem wszelkiego ro-  
dzaju tortury, jakie Estella mogła mi zadawać. Stosunki nasze,  
które opierały się na poufności, ale nie na sympatii ze strony  
Estelli, doprowadzały mnie do szaleństwa. Estella postugiwała  
się mną w celu drażnienia innych swych wielbicieli i korzystała

z naszych poufłych stosunków, by móc traktować moje dla niej  
uczucie jak nieznaczący drobniak.

Nie czułybym się bardziej zrozpaczony u jej boku, nawet gdy-  
bym był jej sekretarzem, lokajem, przyrodnim bratem, ubogim  
krewnym czy młodszym bratem jej przyszelego męża. Okolicz-  
ność, że mogłem nazywać ją po imieniu i że ona mnie tak samo  
nazywała, jeszcze bardziej powiększała moje męki i przyprawia-  
jąc o szaleństwo jej wielbicieli, doprowadzała i mnie do obłędu.

Miała nieskończenie wielu adoratorów i jeżeli nawet odrzucić  
tych, których pod wpływem mojej zazdrości wytwarzała moja  
wyobraźnia, to i tak zostałoby ich jeszcze sporo.

Widywałem ją często w Richmond, w mieście słyshałem, jak  
o niej mówiono, jeździłem z nią i paniami Brandley nad rzekę.  
Towarzystwem Estelli w piknikach, uroczystościach, przedsta-  
wieniach teatralnych i operowych, koncertach, przyjęciach, pod-  
czas wszelkiego rodzaju przyjęomości – i byłem coraz niebezpiecz-  
liwszy. Nie znajdowałem u jej boku ani chwili szczęścia, a mi-  
mo to nieustannie marzyłem, by ją mieć przy sobie zawsze aż do  
śmierci. Przez cały czas trwania tego okresu (a ujrzymy, że nie-  
bawem miał się niespodziewanie skończyć) zwracała się do  
mnie owym szczególnym tonem, który wyrażał, że stosunki na-  
sze są przymusowe. Bywały jednak chwile, kiedy nagie zmienia-  
ła nastroje i zaczynała mi okazywać współczucie.

– Pip, Pip – powiedziała mi jednego popołudnia, kiedy sie-  
dzeliśmy w domu w Richmond przed mroczniącym oknem –  
czyż nigdy nie będziesz się miał na baczości?

– Przed kim?

– Przede mną!

– Czy myślisz, że mam się mieć na baczości, żeby się w to-  
bie nie zakochać, Estello?

– Czy ja myślę? Alez jeśli nie wiesz, co mam na myśli, jesteś  
chylba ślepy.

Chciałem odpowiedzieć, że miłość ma w ogóle opinie ślepej,  
ale powstrzymał mnie ten wzgląd co zawsze (było to jedno ze  
źródeł mych cierpień). Uważałem, że to niepięknie mówić jej

o miłości, skoro uczucie zostało jej narzucone przez miss Havisham, której musi, chcąc nie chcąc, słuchać. Lękałem się zawsze, że moje wyznanie może wydać jej się upokarzające i obudzić w niej bunt przeciw mojej osobie.

— W każdym razie — zauważyłem — nie ostrzegałaś mnie dzisiaj przed niczym. Przyjechałem na twoje wezwanie, bo przystałaś mi list z zaproszeniem.

— To prawda — odparła Estella z chłodnym, obojętnym uśmiechem, który tak bardzo mnie zawsze ranił.

Wyjrzawszy przez okno na zapadający zmierzch, Estella odezwała się po chwili:

— Miss Havisham życzy sobie, abym na jeden dzień pojechała do niej do willi „Satis”. Masz mnie tam odprowadzić i przywieźć z powrotem do Londynu, o ile ci to odpowiada. Miss Havisham nie życzy sobie, abym podróżowała sama, a nie chce, by mi towarzyszyła pokojówka, bo nie znosi rozmowy z tego rodzaju osobami. Czy możesz jechać ze mną?

— Czy mogę jechać z tobą, Estello?

— Więc możesz? Pojedziemy pojutrze. Masz płacić wszystkie koszty z mojej sakiewki. Słyszawsz o warunku podróży?

— I muszę mu być posłuszny — zgodziłem się.

To było całe przygotowanie do drogi. Miss Havisham nigdy nie pisała do mnie wprost. Nie znałem nawet charakteru jej piśma.

Zajechaliśmy więc do niej i zastaliśmy ją w jej pokoju na tym samym miejscu.

Nie ma chyba potrzeby wspominać, że nic się nie zmieniło w willi „Satis”. Miss Havisham była tym razem chyba jeszcze okropniej zakochana w Estelli niż dawniej. Używam tu świadomie tego wyrazu, gdyż kryło się coś przerażającego i okropnego w namiętności, z jaką stara kobieta wpatrywała się w młodą dziewczynę i z jaką ją do siebie tuliła. Rozkoszowała się jej słowami, jej urodą, jej każdym gestem i przy tym gryzła sobie drżące palce, jak gdyby pożerała tę piękną istotę, którą sama ukształtowała.

Spojrzenie jej chwilami opuszczało Estellę, by wpić się dawczo w moją postać. Zdawała się wtedy zaglądać mi do serca i sondować moje rany.

— Jakże ona ciebie traktuje, Pip? Jak cię traktuje? — pytała, nawet w obecności Estelli, z jakąś ciekawością czarownicy.

Wieczorem, gdy siedzieliśmy przy migoczącym ogniu kominika, zachowywała się jeszcze dziwniej: wsunęła rękę pod ramię Estelli i ścisnęła jej dłoń. Wypytywała dziewczynę o imiona i nazwiska wszystkich mężczyzn, których Estella oczarowała i o których widocznie donosiła jej w swych listach. I kiedy badała z uporem śmiertelnie zranionego chorego umysłu ten rejeestr, opierając brodę o dłoń wspartą na łasce i płonącymi czarownicymi oczyma śledząc, jakie to na mnie czyni wrażenie, była podobna do upióra.

Scena ta unieszczęśliwiła mnie, napędziła gorzkim uczuciem zaleźności od miss Havisham i ponizenia, a jednak zdołałem odgadnąć, że staruszka zrobiła sobie z Estelli narzędzie zemsty na mężczyznach i że dopiero po odegraniu tej roli dziewczyna będzie mogła być moją. Zdawało mi się teraz, że pojmuję, czemu miss Havisham mnie ją przeznaczyła: wysłała ją, by usiadyła, zwodziła i torturowała mężczyzn, żywiąc jednocześnie pewność, że żaden z jej wielbicieli nie może mieć szans jej zdobyć i że wszyscy oni na pewno ją w końcu utracą. A ja sam, dla którego była przeznaczona końcowa nagroda, czyż nie cierpiąłem strogo z powodu tej okrutnej przewrotności? Oto dlaczego tak długo mnie odsuwano, oto dlaczego mój opiekun nie chciał mnie o niczym powiadomić. Poza tym wszystkim tkwiła miss Havisham taka, jaką miałem teraz przed oczyma, taka, jaka nigdy nie opuszczała mych wspomnień. Widziałem wyraźnie po nury cień jej mrocznego i niezdrowego domu, w którym ukryła się przed blaskiem słońca.

Świece, które oświetlały ten pokój, umieszczone były wysoko w kandelabrach przybitych do ścian. Ich płomyki robiły wrażenie sztucznego światła, tak mało kołysały się w dusznym, nieprzewietrzanym pokoju. Patrząc na ich błądy blask, na zatrzyma-



ny zegar i na zeltate dodatki do ślubnego stroju na gotowalni i na podłodze, na potworną postać, której powiększony cień padał upiornie na sufit, we wszystkim tym znalazłem potwierdzenie moich myśli. Przekroczyły one próg wielkiej jadalni, gdzie stał od lat nakryty stół, i przeniknęły aż do pajęczyn, które gosnuły, do pajaków łazących po obrusie, do śladów myszy, które – pełne strachu w mątłych serduszkach o przyspieszonym tętnie – hałasowały za obciami, do karaluchów spacerujących po podłodze.

Zdarzyło się podczas tych odwiedzin, że miss Havisham i Estella zamieniły między sobą parę ostrych słów. Pierwszy to raz widziałem je poróżnione. Siedzieliśmy, jak to już wspominałem, przy kominku i miss Havisham trzymała wciąż pod rękę Estellę i ścisnęła jej dłoń, gdy dziewczyna zaczęła się siopniowo uwalniać z jej uścisku. Okazała przedtem wiele pełnej psychy niecierpliwości i raczej tolerowała czułość starszej damy, niż chłonęła ją lub odwzajemniała.

– Co to? – zawołała miss Havisham, utkwiwszy w niej płonące spojrzenie – masz mnie dość? Zmęczyłam cię?

– Nie, sama się trochę zmęczyłam – odpowiedziała Estella i wyrwawszy jej ostatecznie rękę, stanęła przed kominkiem, patrzeć w płomienie.

– Mów prawdę, ty niewdzięczne stworzenie – krzyknęła miss Havisham, stukając łaską o podłogę – masz mnie dość?!

Estella spojrzęła na nią z całkowitym spokojem i znowu utkwiła oczy w płomieniach. Jej wdzięczna postać i piękna twarz wyrażały całkowitą obojętność wobec uniesienia, które miało tamtą, i to było właśnie okrutne.

– Ty kamienne serce! – krzyczała miss Havisham – ty zimna, zimna istoto!

– Co? – spytała Estella, zachowując obojętną postawę, wsparła o wielki kominiek nieruchomo, gdy tylko oczy jej się poruszały. – Pani wyrzuca mi okrucieństwo? Pani?

– Może nie jesteś okrutna?! – Zawołała z uniesieniem miss Havisham.

– Pani powinna najlepiej wiedzieć – odparła Estella. – Jestem taka, jaką mnie pani stworzyła. Musi pani wziąć na siebie zarówno pochwaly, jak nagany, powodzenie, jak klęskę, słowem musi mnie pani taką brać, jaką jestem.

– Patrzcie na nią! Patrzcie na nią! – krzyczała miss Havisham z goryczą – patrzcie, jaka jest niewdzięczna i ośchła, jak nie dba o ognisko, przy którym się wychowała. Tu, gdzie przytulłam ją do piersi jeszcze krwawiącej cierpieniem niedawnych ran i gdzie otaczałam ją największą czułością!

– Ja obojętnie nie uczestniczyłam w tym kontrakcie – powiedziała Estella – nie umiałam jeszcze ani chodzić, ani mówić, gdy to się stało. Ale czego pani chce teraz ode mnie? Przyznaję, że była pani dla mnie dobra, wien, że wszystko, co mam, pani zawdzięczam. Czego pani chce jeszcze?

– Miłości.

– Alez pani ją ma.

– Nie mam – odpowiedziała miss Havisham.

– Przybrana matko – oświadczyła Estella, nie tracąc ani na chwilę pełnego wdzięku spokoju i nie podnosząc głosu ani w momentach gniewu, ani czułości – przybrana matko, powiedziałam przecież, że wszystko, co posiadam, zawdzięczam pani. Wiem, że to należy do pani, i w każdej chwili mogę to pani zwrócić. Poza tym nie mam nic. Ale jeśli pani zażąda, bym jej oddała to, czego mi pani nigdy nie dawała, ani moja wdzięczność, ani mój obowiązek nic tu nie poradzą.

– Czyż nigdy nie dawałam jej miłości? – krzyknęła miss Havisham dziko, zwracając się ku mnie – czy nie płonęłam ku niej miłością nieodłączną od mąk zazdrości, że teraz ona ośmiela się tak do mnie mówić? Niechże uważa mnie za obłąkaną! Niech traktuje mnie jak obłąkaną!

– Czemuż to ja właśnie miałabym uważać panią za obłąkaną? – spytała Estella – ja, która jak nikt inny znam pani wytrwałość w dążeniu do wytkniętego celu, ja, która wien, jaką pani ma wspaniałą pamięć, ja, która siedząc na stołeczku u twoich stóp przy tym samym kominku, podczas gdyś mnie uczyła, podnosi-

łam oczy na twarz pani, na tę twarz, która mnie przerażała i wy-  
dawała się dziwna.

– Prędko zapomniałaś o tych czasach – jęknęła miss Havi-  
sham – prędko zapomniałaś!

– Nie, nie zapomniałam – odpowiedziała Estella – nie zapo-  
mniałam. Wyryły się w mej pamięci. Czy kiedykolwiek bunto-  
wałam się przeciw pani naukom? Czy kiedy zapomniałam pani  
lekcji? Czy kiedykolwiek dawałam dostęp tutaj (tu wskazała na  
swe serce) wszystkiemu, co pani stamtąd wyganiała? Niechże  
pani będzie dla mnie sprawiedliwa.

– Jaka dumna! Jaka dumna! – jęczała miss Havisham, wi-  
chrząc sobie palcami obu rąk siwe włosy.

– Kto uczył mnie tego, bym była dumna? – zawołała Estella  
– kto chwalił mnie, gdy okazywałam pojętność dla tych lekcji?

– Jaka zła, jaka zła! – jęczała miss Havisham, wykonując te  
same co przedtem gesty.

– Kto uczył mnie, bym była zła? Kto chwalił mnie, gdybym by-  
ła pojętną uczennicą? – odparła Estella.

– Ale być dumną i złą dla *mnie!* – krzyknęła przeraźliwie  
miss Havisham, wyciągając przed siebie ramiona. – Estello, Es-  
tello, Estello, dumna i zła dla *mnie!*

Estella spojrzała teraz na nią z chłodnym zaciekawieniem,  
ale nie utraciła spokoju i po chwili znowu patrzyła w ogień ko-  
minka.

– Nie mogę pojąć – odezwała się po krótkiej przerwie – cze-  
mu pani jest taka nierozsądna, kiedy widzimy się po raz pierw-  
szy po długiej rozłące. Nigdy przecież nie zapomniałam o pani  
nieszczyścieciach i o ich przyczynach, nigdy nie zdradziłam pani  
ani jej nauk. Nigdy nie okazałam żadnej słabości, do której mo-  
głabym się teraz pani przyznać.

– Czyżby to było słabością, gdybyś mi odwzajemniła miłość?  
– krzyknęła miss Havisham. – Ależ tak, tak, ona na pewno tak  
właśnie sądzi!

– Zaczynam przypuszczać – odparła Estella w zadumie, po  
nowej chwili namysłu – że rozumiem, o co pani teraz chodzi.

Czy gdyby pani wychowała przybraną córkę w mroku tych za-  
mkniętych pokojów, nie ukazała jej nigdy swego oblicza  
w dziennym świetle i nagle zażądała od niej, by zrozumiała  
blask dnia i wszystko, co jest z nim związane, czy miałaby pani  
prawo czuć się rozczarowana i zmartwiona?

Miss Havisham, która przez cały czas kotłowała się na krześle  
z twarzą zakrytą dłońmi, wydała głuchy jęk, ale nic nie odpowie-  
działa.

– Albo też – ciągnęła dalej Estella – gdyby pani (co jest bliz-  
sze prawdy) uczyła przybraną córkę od wczesnego dzieciństwa  
uważać światłoienne za wroga, który może zniszczyć jej ży-  
cie i osłepić ją, jak panią niegdyś osłepiło, i nagle zażądała od  
niej, by w sposób naturalny odnosiła się do światła dziennego,  
a ona by tego nie potrafiła, czy w tym wypadku miałaby pani  
prawo być rozczarowana i zmartwiona?

Miss Havisham siedziała wśluchana w te słowa (tak mi się  
przynajmniej zdawało), ale wciąż milczała.

– Wobec tego – mówiła Estella – musi mnie pani taką,  
jaką mnie stworzyła. Powodzenie nie jest moim powodzeniem,  
jak kłeska nie jest moją kłeską. Mimo to, jedno i drugie składa  
się na moją osobę.

Miss Havisham – nie wiem dobrze, w jaki sposób – usiadła  
na podłodze wśród smutnych resztek weselnych. Skorzystałam  
z tej chwili i opuściłam pokój (od dawna już czyhałam na oka-  
zję). Kiedy wychodziłam, Estella wciąż jeszcze stała nieruchomo  
przy kominku, a siwe włosy miss Havisham sięgały podłogi  
i zamiataty resztki akcesoriów weselnych. Był to bolesny i żało-  
sny widok.

Z rozdartym sercem przechadzałam się pod wywieżdżonym  
niebem po dziedzińcu wokół starego browaru i po zapuszczo-  
nym ogrodzie.

Kiedy po godzinie zdecydowałam się z trudem na powrót do  
pokoju miss Havisham, zastałam Estellę siedzącą jej na kolanach.  
Zszywała butwiejące łańchmany, które stanowiły suknie jej opie-  
kunki i rozpadały się. Odtąd widok starych, poszarpanych i spło-

wiałych chorągwi, wiszących w katedrach, przypomnia mi że  
wsze te szmaty. Potem Estella i ja graliśmy w karty jak niegdys,  
tylko że teraz już umieliśmy grać i graliśmy w skomplikowane  
gry francuskie. W ten sposób upłynął wieczór i poszedłem spać.

Noc spędziłem w budynku stojącym w głębi podwórza.  
Pierwszy to raz nocowałem w willi „Satis” i sen nie chciał mnie  
nawiedzić. Tysiące panien Havisham straszły mnie ze wszyst-  
kich stron: były z tej i z tamtej strony mej poduszki, jawiły się  
u stóp mego łóżka i wezglowia, stały w na pół przymkniętych  
drzwiach garderoby, w garderobie, były w pokoju na górze na-  
de mną i na dole pode mną – wszędzie. Kiedy wreszcie czas do-  
pełznął do drugiej po północy, poczułem z całą stanowczością,  
że nie doleżę tu do rana, i zerwałem się z łóżka. Wstałem, ubra-  
łem się i opuściłem pokój. Wyszedłem na dziedziniec i skiero-  
wałem się przez długie, kamienny krużganek do wewnętrzznego  
podwórza, aby tam się przechadzać. Ale zaledwie znalazłem się  
w krużganek, pośpiesznie zgasiłem świecę, gdyż ujrzałem po-  
stać miss Havisham, która z jękiem posuwała się przede mną.  
Poszedłem za nią w pewnej odległości i zobaczyłem, że wchodzi  
po schodach na górę. W ręku trzymała świecę bez lichterza,  
wzięła ją zapewne z kandelabra ze ściany swego pokoju. W bla-  
sku świecy wygląd jej był jeszcze bardziej widmowy. Stojąc  
u podnóża schodów nie widziałem, jak otwierała drzwi do sali  
bankietowej, ale uderzył mnie w nozdrza zatechły zapach tego  
pokoju. Słyszałem, jak tam weszła, jak podążyła do swej sypial-  
ni i znowu wróciła do sali bankietowej, wciąż głucho jęcząc.

W kilka chwil potem chciałem wyjść z tego domu i powrócić  
do swojej sypialni, ale nie mogłem tego uczynić, dopóki pierw-  
szy brzask nie rozproszył ciemności i nie ukazał mi drogi. Przez  
cały czas, kiedy w mroku stałem u stóp schodów, słyszałem nad  
głową kroki staruszek i monotony jęk.

Wyjechałszy nazajutrz, a sprzeczką pomiędzy miss Havi-  
sham a Estellą, już się nie powróżyła ani tego dnia, ani przy zad-  
nej następnej wizycie, chociaż jeszcze cztery razy, o ile pamię-  
tam, następowały odwiedziny. Miss Havisham nie zmieniła się

z wcale w stosunku do Estelli, chyba że do uczuć jej wrnie-  
żato się trochę lęku.

Nie sposób jest odwrócić tej karty mego życia, nie wymienia-  
jąc nazwiska Bentleya Drummle’a, chociaż doprawdy wołałbym  
o nim nie wspominać.

Pewnego dnia, kiedy „Zięby” zgromadzone były w komplecie  
i kiedy dobre humory jak zwykle wyładowały się w sprzec-  
kach, przewodniczący towarzystwa „Zięb” zwrócił się do całego  
„Gaju” i oświadczył, że pan Drummle wzniesie teraz toast na  
cześć swej damy (gdym zgodnie z prawami stowarzyszenia przy-  
padała kolej na tego brutala). Zdawało mi się, że w chwili gdy ka-  
rafki zaczęły krążyć wśród nas, Drummle rzucił mi jakieś bardzo  
brzydkie spojrzenie, ale nie zdziwiło mnie to zbyt, gdyż nie  
darzyliśmy się nigdy sympatią. Jakież jednak było moje pełne  
oburzenia zdziwienie, kiedy polecił nam wypić zdrowie Estelli.

– Jakiej Estelli? – spytałem.

– To nie pańska sprawa – odpowiedział Drummle.

– Skąd ta Estella? – nalegałem. – Pańskim obowiązkiem jest  
to wyjaśnić.

Istotnie należało to do obowiązków „Zięb”.

– Z Richmondu, panowie – wyjaśnił Drummle, pomijając  
mnie całkowicie – to piękność niezrównana.

– Dużo wie o niezrównanych pięknościach ten niedźny, pod-  
ły idiota – szepnąłem do Herberta.

– Znam tę damę! – zawołał przez stół Herbert, kiedy spełnio-  
no toast.

– Doprawdy? – zdziwił się Drummle.

– I ja także ją znam! – zawołałem z płonącą twarzą.

– Doprawdy? – powiedział Drummle. – O Boże!

Była to jedyna odpowiedź (prócz cisnięcia w głowę talerzem  
lub szklanką), na jaką umiał się zdobyć lotny umysł Drummle’a.  
Ale mnie rozdrażniła tak, jak gdyby iskrzyła się złośliwością  
i dowcipem. Zerwałem się więc z miejsca i oświadczyłem, że to  
niegodne „Zięby”, by przychodzić „do tego Gaju” (mówiliśmy  
zawsze: „do tego Gaju”, używając zwrotu stosowanego w parla-

mencie) tylko po to, aby wznieść toast na cześć damy, której się wcale nie zna. Drummle zerwał się z miejsca i spytał, co mam na myśli, mówiąc te słowa, a ja odparłem, że wie, gdzie mnie mo- że znaleźć.

Czy po takiej wymianie zdań możliwe jest w kraju chrześcijańskim uniknięcie rozlewu krwi? Zdania „Zięb” podzieliły się. Dyskusja stała się tak ożywiona, że jeszcze sześciu członków klubu powiedziało innym sześciu „Ziębom”, iż wiadome jest, gdzie ich można znaleźć. Wreszcie zdecydowano („Gaj” zmienił się w Sąd Honorowy), że o ile pan Drummle przyniesie od wymienionej damy zaświadczenie, iż jest jej znajomym, pan Pip, jako dżentelmen i członek klubu „Zięb”, będzie zmuszony wyrazić żal, że „dał się unieść słowom, które...” Termin przyniesienia zaświadczenia naznaczono na dzień następny (aby honor nasz nie zdążył wystygnąć) i następnego dnia Drummle zjawił się, przynosząc uprzejmą karteczkę pisaną przez Estellę i donoszącą, że miała zaszczyt tańczyć z nim kilkakrotnie. Nie pozostało mi więc nic innego, jak wyrazić żal, że „dałem się unieść uczuciu, które...” i przekreślić rzucone poprzednio słowa, iż znaleźć mnie można w jakimkolwiek miejscu. W ciągu całej godziny siedzieliśmy twarzą w twarz, ja i Drummle, podczas gdy „Gaj” naradzał się nad naszą sprawą. Potem nagle oświadczone nam, że musimy się natychmiast pogodzić.

Mówię teraz już o tym pogodnie, ale wówczas była to dla mnie poważna sprawa. Czuję niewymowny ból, że Estella mogła okazać jakiegokolwiek względy temu nieokrzesanemu gburowi, głuptasowi i zarozumiałcowi, tak bardzo nie dorastającemu do jej poziomu. Dzisiaj wydaje mi się, że istotnie w tym uczuciu przykrości na myśl, iż poniza się do tego wstrętnego psa, kryło się tylko moje całkowite bezinteresowne uwielbienie dla jej osoby. Nie ulega wątpliwości, że cierpiałbym z powodu zbliżenia się jej do każdego innego, ale iżej byłoby mi, gdyby wybrała sobie godniejszy obiekt swych łask.

Nietrudno było mi wkrótce stwierdzić, że Drummle zabiegał o Estellę i że ona łaskawie przyjmowała te zabiegi. Chodził za

nią niemal bez przerwy i nie było dnia, bym się na niego nie na- knął. Uparł się, że dopnie swego, i nie ustawał w zabiegach, a Estella go w tym utrzymywała. Niekiedy zachęcała go, kiedy indziej odpychała, raz mu pochlebiała, innym razem szydziła z niego, czasami dawała mu do poznania, że zna go bardzo bli- sko, to znów udawała, że zaledwie go sobie przypomina.

Pająk, jak go nazwał Jagers, był przyzwyczajony do oczeki- wania na ofiarę, jak przystało na jego gatunek. Dodać należy, że miał ślepe zaufanie do swego majątku i do wielkości swego ro- du, zaufanie, które niekiedy zastępowało mu rozsądek i kazało zapominać o celu. Zapamiętałe czyhając na Estellę, pomijał nie- kiedy o wiele wspanialsze owady i rozstawiał sieci czasami cał- kiem niezręcznie.

Na jednym z wielkich balów w Richmond (wydawano wów- czas bale we wszystkich miejscowościach), na którym Estella zacięła wszystkie inne piękności, ten głupiec Drummle w tak widoczny sposób uganiał się za nią, a ona tak pobłażliwie go to- lerowała, że postanowiłem pomówić o tym z dziewczyną.

Skorzystałem z pierwszej sposobności, gdy siedziała nieco na uboczu wśród kwiatów i oczekiwała na panią Brandley, z któ- rą miała wracać do domu. Był zwyczaj, że towarzyszyłem obu paniom w drodze powrotnej. Podeszedłem więc do niej, gotowej do drogi.

– Zmęczona jesteś, Estello?

– Trochę, Pip.

– Musisz być bardzo zmęczona.

– Nie powinnam czuć się zmęczona, bo po powrocie do do- mu muszę jeszcze przed snem napisać list do willi „Satis”.

– Opisać triumfy dzisiejszego wieczoru, Estello? Doprawdy, nie ma się czym chwalić.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Nie wiedziałam, że odnios- łaś triumfy.

– Estello – wezwałem ją – przyjrzyj się temu chłopakowi tam w kącie, który tu na ciebie spogląda.

– Po cóż mam na niego patrzeć? – spytała Estella ze wzro-

kien utkwionym w mojej twarzy – cóż jest w nim godnego widzenia?

– Oto właśnie pytanie, które ja tobie powinienem zadać – oświadczyłem – bo z tym człowiekiem nie rozstawałaś się dziśszego wieczora.

– Cmy i wszelkiego rodzaju obrzydliwe owady kręcą się koło zapalonej świecy – odparta Estella – czy świeca może coś na to poradzić?

– Nie – zgodziłem się – ale czy Estella nie może poradzić?

– Być może – odpowiedziała ze śmiechem – chyba tak.

– Posłuchaj mnie, Estello – mówiłem – nie mogę znieść, że zachęcasz człowieka, którym tak ogólnie pogardzają, jak Drumme'em. Bo gardzą nim wszyscy.

– Więc? – spytała.

– Wiesz przecież chyba, że ten chłopak nie ma nic, co by za nim przemawiało, prócz pieniędzy i śmiesznego rejestru tępych przodków?

– Więc? – powtórzyła. I za każdym razem, gdy ponawiała to pytanie, otwierała coraz szerzej śliczne oczy.

Aby wreszcie przestała odpowiadać tym jednym wyrazem, wydatem go jej i powiedziałem z zapalem:

– Więc to właśnie doprowadza mnie do rozpacz.

Gdybym przypuszczał naprawdę, że Estella okazuje swe taski Drumme'owi po to, by mnie doprowadzić do rozpacz, czułbym się mniej nieszcześliwy, ale najokropniejsze było uczucie, że o mnie w ogóle w tym wypadku nie myśli i odsuwa mnie całkowicie od siebie.

– Pip – odparta Estella, rozglądając się ze spokojem wokół siebie – nie bądźże głuptasem i nie opowiadaj, jakie to robi na tobie wrażenie. Są, być może, jeszcze inni, których ta sprawa martwi, i może nawet ja sobie tego właśnie życzę. W każdym razie nie warto o tym rozmawiać.

– Warto! – zawołałem – bo nie mogę znieść myśli, że ludzie będą mówili: „Ona darzy względami i sympatią obrzydliwego gbu-  
ra, najmniej wartościowego chłopca z całego tego towarzysstwa”.

– Ale ja mogę to znieść – oświadczyła.

– Och, nie bądź taka dumna i taka niewzruszona, Estello!

– Wyrzuca mi, że jestem dumna – oburzyła się Estella, rozkładając bezradnie dłonie – a przed chwilą wyrzucał mi, że poniżam się do towarzysstwa gbu-  
ra!

– I na pewno to robisz! – wykrzyknąłem – bo sam widziałem spojzenia i uśmiechy, które mu rzuciłaś jeszcze dzisiejszego wieczora. Och, takie spojzenia, jakimi mnie nigdy nie obdarzałaś!

– Więc chcesz – zagadnęła Estella, przybierając nagle poważny, a nawet rozdrażniony wyraz twarzy – abym cię zwozdziała i zastawiała na ciebie pułapki?

– A czy jego zwozdzisz i na niego zastawiasz pułapki, Estello?

– Tak, czynię to z nim i z wieloma innymi. Tylko nie z tobą. Ale oto pani Brandley. Nic więcej nie powiem.

A teraz, kiedy poświęciłem rozdział temu, co przepełniało moje serce i tak często sprawiało mi niewymowny ból, przejdę do zdarzenia, które od dawna już wisało mi nad głową, zdarzenia, którego początku należy szukać jeszcze w czasach, gdy nie wiedziałem o istnieniu Estelli, w okresie, kiedy jej dziecięcy charakter dopiero zaczynał się paczyć w rękach miss Havisham.

W baśni wschodniej ciężka płyta, która miała opaść na tożę władcy podbijanego państwa, była stopniowo wykuwana w kamieniołomach. Tunel, przez który miała przebiegać lina dźwigająca ją, długo kuto w skale. Płyte powoli windowano i umocowywano na dachu, a linę przeciągano powolutku przez całe mile korytarzy podziemnych, aż do wielkiego żelaznego pierścienia. Kiedy wszystkie te przygotowania zostały z wielkim nakładem sił ukończone, wybiła właściwa godzina, obudzono wśród nocy sutana, włożono mu w rękę wyostrozoną siekiere, która miała odciąć linę od pierścienia. Sutan uderzył, lina pękła, znikła w tunelu i płyta opadła.

Tak się też stało ze mną. Cała zmuszona praca, która działała się z daleka czy z bliska mnie, przygotowywała stopniowo mój ostateczny los i w jednej chwili wymierzono cios, który zawalił mi dach na głowę.

## Rozdział trzydziesty dziewiąty



Miałem dwadzieścia trzy lata, a wciąż jeszcze nie padło żadne światło na tajemnicę moich wielkich nadziei. Właśnie upłynął tydzień od moich dwudziestych trzecich urodzin, od roku już wyprawadziłem się z „Gospody Barnarda”, by zamieszkać w dzielnicy Temple. Mieszkanie nasze znajdowało się przy Garden Court tuż nad rzeką.

Nie brałem już lekcji od pana Pocketa, chociaż pozostawiliśmy z nim wciąż w doskonałych stosunkach. Mimo że nie miałem dość wytrwałości, by zabrać się do poważnej nauki – przyczyną tego była moja nieustanna niepewność i niepokój o źródła dochodu – lubiłem ogromnie czytać i czytywałem po kilka godzin dziennie. Sprawy Herberta stały coraz lepiej, a co do moich, znajdowałem się w takim położeniu, jakie opisywałem pod koniec ostatniego rozdziału.

Herbert w sprawach swych interesów wyjechał do Marsylii, ja zaś pozostałem sam i ciążyła mi samotność. Zniechęcony i pełen obaw o przyszłość, gdyż na próżno z tygodnia na tydzień i z miesiąca na miesiąc oczekiwałem jakichś wyjaśnień, które nie nadchodziły, tym żywiej odczuwałem nieobecność kochanej twarzy i zawsze szczerzej pomocy mego przyjaciela.

Pogoda była rozpaczliwa: wiatry i deszcze, deszcze i wiatry, i błoto, błoto, głębokie błoto na wszystkich ulicach. Dzień po dniu nadciągały ze wschodu na Londyn ciężkie mgły, jak gdyby

w tamtej stronie nie istniało nic prócz chmur i wichury. Huragan szalał z taką siłą, że zdzierał z dachów wysokich domów miejskich blachę, wyrывał drzewa z korzeniami po wsiach i unosił skrzydła wiatraków. Z wybrzeża dochodziły ponure wieści o rozbitych okrętach i śmiertelnych stratach. Wichurom towarzyszyły gwałtowne ulewy, a dzień, który się właśnie kończył, gdy m zasiałd do czytania, był najgorszy.

Dzielnica Temple zmieniła się ogromnie od tamtych czasów: wówczas jeszcze była bardzo opuszczona i całkiem zdana na łaskę rzeki. Mieszkaliśmy na najwyższym piętrze domu na wybrzeżu i wicher idący od niej wstrząsał oknami tak, że miało się złudzenie wystrzałów armatnich lub przelewających się bałwanów morskich.

Gdy wiatr z deszczem bił o okna mego pokoju, myślałem patrząc, jak się wstrząsały, że mam złudzenie przebywania w latarni morskiej podczas burzy na morzu. Chwilami z kominka wydobywał się na pokój kłębam dym, jak gdyby nie odważając się wydostać na dwór w taką pogodę. Kiedy otworzyłem drzwi, by wyjrzeć na schody, lampy na klatce schodowej zgasty, a kiedy spoglądałem w ciemne okna (mowy nie było o tym, by je chociażby uchylić) i uczyniwszy z dłoni daszek starałem się rozróżnić, co się dzieje na dworze, ujrzałem, że latarnie na dziedzińcu także zgasty, a płomyki latarni na moście i na bulwarze nad rzecznym chwieją się gwałtownie pod wpływem wichru. Wiatr roznosił po rzece krwawe plamy odbłasku węgla żarzących się na barkach rzecznych.

Położyłem przed sobą zegarek, gdyż zamierzałem czytać do jedenastej wieczorem. Gdy zamknąłem książkę, zegar na katedrze Świętego Pawła i wszystkie inne zegary kościelne w City wybiły tę godzinę. Dźwięki były dziwnie rozproszone przez wiatr i właśnie nasłuchiwałem, jak wichura atakuje i łamie dźwięki, kiedy usłyszałem kroki na schodach.

Jakie to nerwowe szaleństwo kazało mi się zerwać i połączyć te kroki ze wspomnieniami kroków mej zmarłej siostry? Ale wrazenie to znikło natychmiast, a stapania, dziwnie chwiejne,

zblizaly sie. Przypomniawszy sobie, że swiatla na schodach zgasly, otworzyłem drzwi i stanąłem u szczytu schodów trzymając w ręku lampę, przy której blasku czytałem. Ten, kto szedł po schodach, zatrzymał się na jej widok, gdyż kroki umilkły.

– Jest tam kto na dole? – krzyknąłem w ciemność schodów.

– Tak – odparł ktoś z mroku.

– Na które piętro pan idzie?

– Na najwyższe, do pana Pipa.

– To moje nazwisko. Czy stalo się coś?

– Nie się nie stalo – odpowiedział głos i ukazał się ów czlowiek.

Trzymałem lampę wysoko ponad poręczą schodów i przybysż wszedł w krag jej blasku. Ostaniał ją abazur, aby oświetlała kartki książki, więc miała ograniczony zasięg, tak że czlowiek znajdował się w świetle tylko przez chwilę i zaraz potem znowu wszedł w mrok. Ujrzałem więc w mgnieniu oka twarz, która zrobiała na mnie dziwne wrażenie i której wyraz był mieszaniną wzruszenia i uradowania na mój widok.

Podniósłszy lampę spostrzegłem, że czlowiek ten ubrany był porządnie, ale w grubą odzież, jak ktoś udający się w podróż morską. Ze włosy miał długie, stalowosiwiej barwy, że mógł mieć około sześćdziesięciu lat, że był silnym mężczyzną o potężnych mięśniach i że twarz jego okrywała brunatna opalenizna wichrów i burz. Gdy wszedł na ostatni stopień schodów i blask lampy objął nas obu, ujrzałem ze zdumieniem, że wyciąga ku mnie obie ręce.

– Czym mogę panu służyć? – spytałem. – Czy ma pan do mnie jakiś interes?

– Czy mam do pana interes? – odparł. – Ach, tak. Wyjaśnię panu to, jeśli pan pozwoli.

– Czy chce pan wejść?

– Tak, chce wejść do pana, młody panie.

Zadaniem mu to pytanie nieprzyjemnym i mało gościnnym tonem, gdyż drażnił mnie jego rozczulony wyraz twarzy, który zdawał się wymagać tej samej radości i z mojej strony.

Wprowadziłem go jednak do pokoju i postawiwszy lampę na stole, poprosiłem go tak grzecznie, jak mogłem, by wyjaśnił mi, po co przyszedł.

Rozglądał się wokoło z dziwnym wyrazem twarzy, jak gdyby to, co widział, sprawiło mu przyjemność, i jak gdyby jednocześnie miał w tym jakiś udział. Potem zdjął ciężkie okrycie i kapelusż. Wtedy ujrzałem, że głowa jego była tysa i pokryta bliznami, a długie siwe włosy zwisały jedynie po bokach.

Ale w dalszym ciągu nie wiedziałem, kim jest ten czlowiek. On tymczasem wyciągnął znowu obie ręce do mnie.

– O co panu chodzi? – spytałem podejrzewając, że mam do czynienia z obłąkanym.

Odwrocił wzrok ode mnie i powoli prawą ręką potarł tyścinę.

– Ciężko czlowiekowi – powiedział szorstkim, ochrypłym głosem – kiedy się tak oczekiwało tej chwili, a przybyło z tak daleka... ale pan nie jest winien. Nie, żaden z nas dwu tu nie zwinął. Za pół minuty wszystko wyjaśnię. Za pół minuty.

Usiadł ciężko na krześle przed kominkiem i zakrył twarz dżymni, opalonymi, poznaczonymi żyłami dłońmi. Przeglądałem mu się uważnie i odsunąłem się od niego nieco, ale wciąż nie wiedziałem, kto to jest.

– Nie ma tu nikogo prócz nas? – zagadnął nagle przez ramię.

– Jak to, pan, czlowiek całkiem obcy, przychodzi do mego mieszkania o tej nocej porze i zadaje mi takie pytanie? – obuzyłem się.

– Spryciarz z pana – odpowiedział, potrząsając głową ku mnie z niezrozumiałą dla mnie sympatią, która doprowadzała mnie do rozpaczcy. – Cieszę się, że wyrósł pan na sprytnego czlowieka. Ale niech pan nie gniewa się na mnie. Potem załatwiałby pan tego na pewno.

Ale ja porzuciłem już zamiar złego traktowania przybyłego, bo nagle go poznałem. Nawet teraz nie mogłem przypomnieć sobie ani jednego rysu jego twarzy, ale mimo to odgadłem go. Gdyby wichura i deszcz szalejący za oknem zmyły ślady lat, które dzieliły nas od tamtej chwili, kiedy spotkalismy się na

ementarzu i stalіśmy twarzą w twarz, choć tak różniliśmy się wzrostem, to i tak nie poznałbym dokładniej mojego galernika w tym oto człowieku siedzącym teraz na krześle przy kominku. Nie miał potrzeby wyciągać z kieszeni pilnika, by mi go pokazać, ani okręcać sobie głowy zdjętą z szyi chustką, nie miał potrzeby krzyżować ramion na piersiach, wstrząsać się jak od zimna i jednocześnie zerkać na mnie. Poznałem go, zanim uczynił te wszystkie gesty w celu przypomnienia mi się, poznałem go sam, mimo że przed chwilą nie miałem pojęcia, kto to może być.

Podszedł znowu do mnie i znowu wyciągnął obie ręce. Nie wiedząc, co mam robić, gdyż nagle straciłem pewność siebie, z wahaniem podałem mu dłoń. Potrząsnął moimi rękoma, podniósł je do warg, ucałował i wciąż nie wypuszczał z uścisku.

– Postapięs szlachetnie, mój chłopcze – oświadczył – szlachetnie, Pip. Nigdy ci tego nie zapomniatem!

Zrobił taki ruch, jak gdyby chciał mnie uściskać, ale położyłem mu dłoń na piersi i odepchnąłem go od siebie.

– Niech pan zaczeka – zauważyłem – jeżeli istotnie jest pan wdzięczny mi za to, co dla pana uczyniłem w dzieciństwie, to spodziewam się, że wdzięczność ta wyraziła się w poprawie pańskiego życia. Całkiem zbytecznie przyszedł pan aż tu do mnie, by mi dziękować. Skoro jednak pan to już zrobił, to ze względu na dobre uczucia, które pana tu przywiodły, nie wypędzę pana od siebie. Musi pan jednak zrozumieć, że... ja...

Ale w tejże chwili dalsze słowa zamarzy mi na ustach wobec utkwionego we mnie baczego spojrzenia.

– Powiedział pan, że muszę zrozumieć... – zaczął po chwili przyglądania mi się w milczeniu. – Co mam zrozumieć?

– Że nie mogę w dzisiejszych moich, całkiem zmienionych warunkach żyć sobie nawiazania stosunków naszych sprzed lat. Jestem rad, że pan odpokutował swe winy i że się odtąd zmienić. Jestem rad, że mogę to panu dzisiaj powiedzieć. Jestem rad, że w oczach pana zasłużyłem na podziękowanie, że pan aż do mnie przyszedł mi dziękować. Ale drogi nasze są różnymi

drogami. Przemóki pan i wygląda na zmęczonego. Czy nie chce pan napić się czego, zanim pan odejdzie?

Rozluźnił chustkę na szyi i gryząc jej koniec odparł, patrząc na mnie bacznie:

– Zdaje się – przystał, nie wypuszczając z ust rogu chustki i nadal mnie obserwując – że napiję się czegoś (dziękuję panu), zanim stąd odejdę.

Na bocznym stoliku stała taca z trunkami. Przyniosłem ją do kominka i spytałem, co sobie wybierze. Dotknął jednej z butelek, nie patrząc na etykietę i bez jednego słowa. Nalałem mu rumu z gorącą wodą. Staratem się nalewać pewną dłońią, ale wzrok jego, który wciąż ciążył na mnie, podczas gdy gość siedział przechylony w tył i wsparłszy się o poręcz krzesła przygryzał koniec chusteczki, sprawił, że ręka mi zadrżała. Kiedy w końcu podsunąłem pełną szklanceczkę, ujrzałem ze zdumieniem, że oczy jego pełne były łez.

Aż do tej chwili nie siadałem, chcąc w ten sposób zaakcentować, że spodziewałem się jego rychłego odejścia. Ale na widok wzruszenia tego człowieka i ja się wzruszyłem. Poczulem coś na kształt wyrzutu sumienia.

– Spodziewam się – powiedziałem, nalawszy coś do mojej szklanceczki i siadając naprzeciw niego na krześle – że pan nie odczuł słów moich jako zbyt szorstkich. Nie chciałem pana urazić, a jeżeli to uczyniłem, przepraszam. Życzę panu wiele szczęścia.

Gdy niostem szklankę do ust, gość spojrział, jakby zdziwiony, na koniec swej chusteczki, wypuścił go z zębów i bez słowa wyciągnął ku mnie dłoń. Podałem mu swoją, wypił rum i otarł rękawem oczy i czoto.

– W jaki sposób pan teraz żyje? – spytałem.

– Prowadziłem farmę owczą, hodowałem bydło i zajmowałem się różnymi innymi zawodami tam, w Nowym Świecie, o tym się mil burzliwych wód stąd.

– Spodziewam się, że dobrze się panu powodziło?

– Powodziło mi się doskonale. Spośród wszystkich, którzy



ze mną wyjechali, mnie udawano się zawsze najlepiej. Byłem z tego znany.

– Miło mi to słyszeć.

– Miałem nadzieję, że kiedyś mi tak powiesz, mój drogi chłopcze.

Nie zastanawiając się ani nad treścią, ani nad tonem tych słów, spytałem o coś pod wpływem myśli, która nagle mnie przeszła:

– Czy widział pan posłanica, którego mi pan w swoim czasie przysłał, już po spełnieniu polecenia?

– Nigdy. Nie spodziewałem się zresztą go zobaczyć.

– Przyność mi wówczas dwa banknoty funtowe, tak jak panu polecił. Byłem wtedy, jak panu wiadomo, ubogim chłopcem, a dla ubogiego chłopca to stanowiło majątek. Ale ponieważ teraz powodzi mi się dobrze, więc pan pozwoli, że mu je zwrócę. Będzie je pan mógł dać innemu biedakowi.

Wyjąłem sakiewkę.

Śledził moje ruchy, kiedy kładłem sakiewkę na stole i wyjmowałem z niej pieniądze. Były to dwa nowitkie banknoty jednofuntowe. Rozwinąłem je i podałem mu. Nie spuszczał mnie z oka, wziął je z mych rąk, złożył jeden na drugi, zmiął, przytknął do płomienia lampy, poczekał, aż spłonęły, a popioły zsyptał na tacę.

– Czy wolno mi spytać pana – zagadnął z uśmiechem podobnym do skrzywienia i grymasem podobnym do uśmiechu – czy wolno mi ośmielić się spytać, w jaki to sposób powiodło się panu od tego czasu, kiedyśmy się spotkali na dalekim i mroźnym bagnisku?

– W jaki sposób?

– Aha!

Opróżnił szklankę, wstał i stanął przy ogniu, opierając się silną brunatną ręką o kominiek. Stopę wsparł o żelazną kratę, chcąc zapewne wysuszyć wilgotne obuwie, które natychmiast zaczęło parować. Nie patrzył jednak ani na swe buty, ani na płomień, wznok miał utkwiony w mej twarzy. Dopiero teraz zacząłem drzeć.

Wargi moje rozchylały się, ale nie wydobywał się z nich żaden dźwięk. Wreszcie uczyniłem najwyższy wysiłek i niewyraźnie wyszeptalem (inaczej nie zdołałem), że zostałem wybrany na spadkobiercę wielkiego majątku.

– Czy zwykły robak ma prawo spytać, jaki to majątek?

Wyjąkałem, że nie wiem.

– Czy zwykły robak ma prawo spytać, kto jest właścicielem tego majątku?

Wyjąkałem znowu, że nie wiem.

– A może ja zgadnę, jaki jest pański dochód roczny od czasu dojścia do pełnoletności? – powiedział galemnik. – Od jakiej cyfry się zaczyna. Czy nie od pięciu?

Serce biło mi, jak ciężki młot, nieregularnymi uderzeniami. Wstałem, oparłem dłoń o poręcz krzesła i patrzyłem dziko na tego człowieka.

– Co sięaczy opiekuna, bo musi pan mieć jakiegoś opiekuna, zapewne adwokata, to czy jego nazwisko nie zaczyna się na literę J.?

Jak w ośnieniu pojąłem nagle całą prawdę mego położenia i wszystkie rozczarowania, jakie ono za sobą pociągało; niebezpieczeństwa i cały wstyd zwały się na mnie tak tłumnie, że ledwie mogłem schwytać oddech.

– Przypuśćmy – ciągnął dalej – że klient owego prawnika, którego nazwisko równie dobrze może brzmieć Jagers, wyładował w Portsmouth i chciał pana odwiedzić. „Skoro pan mnie jednak odnalazł...” tak, zdaje się, wyraził się pan przed chwilą? Otóż, w jaki sposób pana znalazłem? Po prostu napisałem z Portsmouth do Londynu, pytając o pański adres. Napisałem do kogoś nazwiskiem Wemmick.

Nie potrafiłbym wtedy wymówić ani słowa, nawet gdybym przez to mógł uratować sobie życie. Stałem przy krześle z dłońią zacisniętą na poręczy, z drugą ręką na sercu, dusząc się z braku powietrza. Stałem tak, dopóki pokój nie zakrecił mi się w oczach. Przybysz schwytał mnie na ręce, zaniósł na kanapę, ułożył wśród poduszek, a potem przyklękawszy przy mnie,

zblizył do mojej twarzy swoją, którą teraz już dobrze pamiętałem, a która drżała.

– Tak, Pip, drogi chłopcze, to ja zrobiłem z ciebie pana. Przysiągłem sobie wtedy na bagnisku, że pierwsza zarobiona gwinea będzie twoją. Przysiągłem sobie potem, że jeżeli kiedykolwiek się wzbogacę, i ty będziesz bogaty. Prowadziłem ciężkie życie po to, byś ty mógł pędzić łatwe. Pracowałem ciężko, abys ty nie musiał wcale pracować. Po co mówię ci to, drogi chłopcze? Nie po to, abys mi dziękował. Tylko po to, byś wiedział, że ten nieszczęsny, szcztuty pies, któremuś ty uratował życie, podniósł teraz wysoko łeb i mógł stworzyć z kogoś pana, a tym panem ty jesteś, Pip!

Gdyby ten człowiek był ohydną bestią, nie czułbym wobec niego większej odrazy, strachu i wstrętu, które sprawiły, że odsunąłem się od niego.

– Posłuchaj mnie, Pip, jestem twoim drugim ojcem. Jesteś mi synem, więcej niż synem. Odkładałem każdy grosz, byś ty mógł wydawać. Kiedy służyłem za pastucha owiec w samotnym szarłacie wysoko w górach i nie widziałem innych żywych istot prócz moich owiec, kiedy zapomniałem, jak wyglądają twarze kobiet i mężczyzn, twoją twarz miałem przed oczyma. Wypuszczałem z ręki nóż podczas obiadu czy kolacji i mówiłem do siebie: „Oto przyszedł chłopiec i patrzy, jak jem i piję”.

Widziałem ciebie w tej samotnej chatce tak wyraźnie jak wówczas na dalekich bagniskach. Wychodziłem wtedy na dwór w ciemną noc i mówiłem do siebie: „Niechże mnie Bóg pokarze, jeżeli po dojsciu do wolności i majątku nie zrobię z tego chłopca wielkiego pana!”. I zrobiłem to. Rozejrzyj się po mieszkaniu, które do ciebie należy. Godne jest lorda. Lorda? Ach, mógłbyś założyć się z niejednym lordem, że jesteś od niego bogatszy, i z pewnością byś wygrał!

Upojony swoim triumfem i pamiętając, że omal nie zemdlełem z wrazenia, nie sprostzeżał wcale, w jaki sposób przyjmuję jego słowa. Było to zresztą jedyną dla mnie pociechą.

– Popatrz – wołał, wyjmując z mojej kieszonki zegarek i ob-

racając na mym palcu pierścionek (a ja cofnąłem się przed jego dotknięciem, jak gdyby był wężem). – Złoty zegarek, i to jaki piękny! To wielkopański zegarek. A pierścień? Brylant otoczony rubinami! Spodziewam się, że to wielkopański pierścionek! Popatrz na tę cieniutką, wytworną bieliznę, na to ubranie! Czy może być coś w lepszym gatunku? A książki? – tu potoczył wzrokiem wokoło – stoi ich tu na półkach setki! I czytasz je wszystkie, prawda? Kiedym tu wchodził, czytałeś właśnie jedną z nich, prawda? Cha, cha, cha! Będiesz mi je czytał, drogi chłopcze. I gdyby nawet pisane były w obcych, niezrozumiałych dla mnie językach, będę tak samo dumny, jak gdybym je rozumiał.

Znowu ujął obie moje dłonie i przycisnął do swych warg, a mnie przeszył zimny dreszcz.

– Nie, nic nie masz potrzeby mówić, Pip – powiedział, otarłszy znów oczy i czoto rękawem, gdy w gardle jego rozlegał się ten sam dziwny szloch, który pamiętałem sprzed lat (im bardziej był serdeczny, tym większym napawał mnie wstrętem) – i najlepiej nic nie mów, drogi chłopcze. Tyś nie oczekiwał latami tej chwili jak ja, tyś się do niej nie przygotował jak ja. Ale czyś nigdy nie podejrzewał, że to ja mogę być?

– Och, nie, nie, nie! – zawołałem. – Nigdy! Nigdy!

– A widzisz, a to jednak byłem ja. Ja sam jeden. Nikt o tym nie wiedział poza mną i panem Jaggersem.

– I nikt prócz pana nie brał w tym udziału? – spytałem.

– Prócz mnie? – rzucił na mnie zdumione spojrzenie. – Kto mógłby się jeszcze do tego przyczynić? Ach, drogi chłopcze, wyrosłeś na ślicznego młodzieńca. Muszą tam być jakieś piękne oczęta, o których z przyjemnością myślisz, co?

O Estello, Estello!

– Każda będzie twoją, drogi chłopcze, jeżeli można je kupić za pieniądze. Oczywiście, że mężczyzna o twoim wyglądzie może w własnym urokiem podbijać serca, ale pieniądze niewątpliwie ci w tym pomogą. Ale pozwól mi dokończyć opowiadania.

– Praca w chatce pasterza owiec przyniosła mi duży majątek, który odziedziczyłem po właścicielu stada (umierając, zapisał mi

wszystko, gdyż był, tak jak ja, galernikiem). W ten sposób odży-  
skalem swobodę i doszedłem do majątku. Zacząłem pracować na  
własny rachunek i wszystko, co robiłem, czyniłem dla ciebie.  
Mówiłem sobie wówczas: „Niech pomór spadnie na trzodę, jeze-  
li to nie będzie dla niego”. Powodziło mi się doskonale. Wspomi-  
nałem ci już, że mam do tego szczęście i że byłem z tego znany.  
Pieniądze odziedziczone i zarobki z pierwszego okresu mej sa-  
modzielności przesyłałem Jagersowi na twoje utrzymanie i wte-  
dy to pojechał po ciebie, jak mu przykazałem w liście.

Och, bodaj nigdy po mnie nie posyłał! Bodaj mnie był zоста-  
wił w kuźni, cóż, że nie zawsze zadowolonego, ale szczęśliwe-  
go w porównaniu do tej chwili!

— A potem, mój chłopcze, cóż to była za radość dla mnie, to  
uczucie, że stwarzam wielkiego pana. Nie przejmowałem się już  
tym, że gdym wędrował piechotą, rasowe konie kolonistów, mi-  
jające mnie na drodze, osypywały mnie kurzem. Jakże na to rea-  
gowałem? Mówiłem sobie wtedy: „Przyczyniam się do istnie-  
nia tak wielkiego pana, jakim żaden z was nigdy nie będzie”.  
Kiedy któryś z nich mówił o mnie: „To byłby galernik sprzed kil-  
ku lat, prostak i gbur, chociaż mu się poszczęściło”, myślałem  
sobie: „Jeżeli nie jestem panem i nigdy się nie nauczyłem, to za to  
jestem właścicielem uczzonego pana. Wy wszyscy posiadacie  
ziemię i bydło, ale ja za to mam na własność wielkiego pana  
w Londynie”. To trzymało mnie przy życiu i żyłem myślą, że  
pewnego dnia przyjadę tu i na własne oczy zobaczę mego chlop-  
ca na jego gruncie i dam mu się poznać.

Położył mi dłoń na ramieniu, a ja zadziłem na myśl, że ręka  
ta jest, być może, splamiona krwią.

— Nie było to łatwe, kochany chłopcze, wyjechać stamtąd.  
Nie było nawet całkiem dla mnie bezpieczne. Ale uparłem się  
i im więcej miałem trudności, tym zacieklej je zwalczałem  
i utwierdzałem się w postanowieniu. I wreszcie udało mi się,  
drogi chłopcze. Udało się.

Usiłowałem zebrać myśli, ale czułem się jak ogłuszony.  
Przez cały ten czas miałem wrażenie, że zamiast jego słów stu-

cham wichru i ulewy i teraz jeszcze, mimo że umilkł, nie mog-  
łem odróżnić jego głosu od szumu niepogody, choć zawierucha  
szalała głośno, a on mówił cicho.

— Gdzie mnie umieścisz? — spytał teraz. — Musisz mnie gdzieś  
umieścić, drogi mój chłopcze.

— Na noc? Będzie pan tu spał? — zagadnąłem.

— Tak, będę, i to długo, i twardo. Od miesiocy byłem co noc  
wstrząsany i splukiwany przez fale morską.

— Mój przyjaciel i współlokator wyjechał — powiedziałem,  
wstając z kanapy — zajmnie pan jego pokój.

— Jutro chyba nie powraca?

— Nie — odpartem mimo najwyższych wysiłków oschle — ju-  
tro jeszcze nie wraca.

— Bo rozumiesz — zauważył, zniżając głos i opierając wskazu-  
jący palec o moją pierś — trzeba zachować największą ostroz-  
ność.

— Ostrożność?

— Tak, na Boga, za to grozi śmierci!

— Za co śmierć?

— Zrozum, skazany zostałem na dożywotnie zesłanie. Za sa-  
mowolny powrót jest kara śmierci. Wielu już tak wpadło ostat-  
nimi laty. Gdyby mnie schwymano, powiedzono by mnie z pew-  
nością.

Nic nie zostało mi zaoszczędzone. Ten nieszczęśnik, który  
na całe lata skut mnie ohydnymi złotymi i srebrnymi kajdanami,  
był teraz całkowicie w moich rękach. Zaryzykował życiem, by  
mnie odwiedzić. Nie czułbym się w tej chwili gorzej, gdybym go  
kochał zamiast nienawidzić, gdyby pociągało mnie ku niemu  
największe uwielbienie i czułość, a nie odpychał od niego naj-  
głębszy wstręt. Przeciwnie, gdybym go kochał, czułbym się  
w tej chwili lepiej, gdyż serce moje przepelniałoby naturalna i ser-  
deczna troska o jego osobę.

Pierwszą moją czynnością było zamknięcie okiennic, tak aby  
nikt ze dworu nie widział światła w oknach, następnie zarygło-  
wałem starannie drzwi wejściowe.

On tymczasem stał przy stole, popijał rum i jadł ciasteczka, i miałem złudzenie, że to galernik na bagnisku pożera przyniesione przeze mnie zapasy. Niedługo spodziewałem się, że się nachyli, by przepiłować kajdany na nodze.

Udałem się następnie do pokoju Herberta i tam zamknąłem wszelkie połączenie tego pokoju ze schodami, pozostawiając tylko przejście przez pokój, w którym się znajdowaliśmy. Kiedy powróciłem, spytałem mego gościa, czy chce się położyć. Powiedział, że tak, ale prosił, bym mu dał coś z mej „pańskiej bielizny” do włożenia nazajutrz rano. Przyniosłem mu bieliznę, położyłem przed nim i znowu poczułem zimny dreszcz, kiedy uściskał mi obie dłonie na dobranoc.

Sam nie zdawałem sobie sprawy, jak się z nim rozstałem. Wróciłem do pokoju, w którym toczyła się nasza rozmowa, podsycałem ogień i usiadłem przy kominku, lękając się położyć spać. Przez godzinę czy dłużej siedziałem zbyt oszołomiony, aby myśleć. Dopiero kiedy myśli powróciły, rozważyłem, do jakiego stopnia jestem nieszczęśliwy i jak okręt, którym żeglowałem, uległ rozbiciu.

Zamiary miss Havisham w stosunku do mnie okazały się tylko marzeniem. Estella nie była mi nigdy przeznaczona. Znoszono mnie w willi „Satis” jedynie dla wygody, w charakterze żądla dla zazdrosnych krewnych, automatu z mechanicznym sercem, przeznaczonego do ćwiczeń, gdy nikt inny nie znalazł się pod ręką. Takie były moje pierwsze cierpienia. Ale zjawily się jeszcze sroższe i głębsze. Oto mężczyła mnie świadomość, iż dla tego przestępcy-galernika, winnego nie wiadomo jakich zbrodni, dla człowieka, którego mogli lada chwila zaarrestować w moim domu i powiesić w Old Bailey, porzuciłem Joego.

Za nic w świecie nie mógłbym teraz powrócić do Joego ani do Bidy, prawdopodobnie po prostu dlatego, że najsilniej odzywało się we mnie poczucie winy wobec nich. Wiedziałem, że żadna mądrość świata nie zdołałaby dać mi takiej pociechy, jak ich wierność i prostota, a mimo to uważałem, że nigdy, nigdy, nigdy nie zdołam naprawić krzywdy, którą im wyrządziłem.

Każdy nowy atak ulewy i wichury stwarzał mi teraz złudzenia. Dwa razy byłbym przysięgał, że ktoś puka do drzwi wejściowych i przy nich szepcze. Pełen lęku, gotów byłbym uwierzyć, że tajemnicze znaki zapowiedziały mi przybycie tego człowieka, że w ciągu ostatnich tygodni zdarzało mi się po wiele razy widzieć wśród tłumy na ulicy twarze podobne do jego twarzy. Że w miarę jak okręt jego zbliżał się przez morze, znaki te mnożyły się coraz bardziej. Że to jego złośliwy duch przysłał mi owe sygnały po to, by wreszcie w tę oto burzliwą noc dostrzymać słowa i znaleźć się przy mnie.

A wraz z tymi rozmyślaniami napływały i inne. Przypomniałem sobie, że widziałem przecież dziecięcymi oczyma, jaki był rozpaczliwie gwałtowny, że drugi galernik opowiadał mi, jak usiłował go zamordować, że sam na własne oczy oglądałem go walczącego w rowie przydrożnym niczym wściekłe, dzikie zwierzę.

I pod wpływem tych wspomnień z płomieni kominka wypętląku mnie na pół skryształizowany lęk, że niebezpiecznie jest przebywać z nim samotnie w jednym mieszkaniu, z dala od ludzi.

Obawa ta rosła, aż wypełniła pokój i zmusiła mnie do wzięcia zapalonej świecy i spojrzenia na straszliwie uciążliwego gościa.

Okręcił sobie głowę chustką i twarz jego w uspieniu miała wyraz srogi i posępny. Ale spał spokojnie, mimo że tuż przy nim leżał na poduszce pistolet. Trochę uspokojony wysunąłem się cicho z pokoju i wychodząc, przekręciłem z zewnątrz klucz w jego drzwiach. Potem dopiero wróciłem do kominka. Sam nie wiedziałem, kiedy zsunąłem się we śnie z krzesła na podłogę. Gdy się obudziłem, nie rozstawszy się zresztą ani na chwilę we śnie ze świadomością nieszczęścia, zegary na kościołach wschodniej dzielnicy miasta biły piątą, świece się wypaliły, ogień w kominku wygasł, a wichura i deszcz czyniły mrok nocny jeszcze gęstszym.

OTO KONIEC DRUGIEGO AKTU

NADZIEI PIPA

## Rozdział czterdziesty



Okazało się szczęśliwe dla mnie, że podjąłem kroki dla zapewnienia bezpieczeństwa (w miarę możliwości) memu strasznemu gościowi, gdyż myśl o nim, która uderzyła mnie natychmiast po przebudzeniu, odpedziła wszystkie inne.

Rzecz prosta, nie mogłem go ukrywać w mieszkaniu, gdyż musiałoby to obudzić podejrzania. Nie miałem już co prawda na służbie Mściciela, ale usługiwała mi stara, wiecznie zloszcząca się kobiecina, a z nią razem przychodził żywy worek łachmanów, który nazywała swą siostrzenicą. Strzeżenie przed nimi tajemnicy pokoju Herberta podnieciłoby tylko ich ciekawość i prawdopodobnie do przesadnych domysłów. Obie miały osłabiony wzrok, co przypisywałem skutkom stałego zglądania przez dziurki od klucza, i odznaczają się właściwością znajdowania się zawsze pod ręką w najmniej odpowiedniej chwili. Były to zresztą ich jedyne zalety poza kradziejami. Nie mogąc więc przed tymi osobami nic ukryć, postanowiłem oznajmić im, że zniemacka odwiedził mnie wujaszek ze wsi.

Ułożyłem to sobie, macając w ciemnościach w poszukiwaniu zapatek i świecy. Ponieważ nie nie znalazłem, postanowiłem zejść na dół, by zawołać nocnego stróża z latarnią. Wymacując sobie drogę w mroku schodów, potknąłem się o coś i wyznałem, że był to człowiek skulony w kącie.

Przemówiłem do niego, ale nic nie odpowiedział i uchylił się przed moim dotknięciem. Pobieglem więc na dół do stróża i wezwałem go, aby jak najszybciej przyszedł. Po drodze opowiedziałem mu o człowieku na schodach.

Wiatr był tak silny, że nie zapaliłem lamp na schodach od płomienia latarni w obawie, aby nie zgasła, ale mimo to obszkaliszy całą klatkę schodową od dołu do góry i nie znaleźliśmy nikogo. Przyszło mi wtedy do głowy, że człowiek ten mógł się wśliznąć do mego mieszkania przez uchylone drzwi, więc zapaliwszy świecę od latarni stróża poprosiłem go, by zaczekał przy drzwiach, i przeszedłem przez wszystkie pokoje, nie wyjącając nawet tego, w którym spał straszny gość.

Było tam spokojnie i najwidoczniej nikt tu przez ten czas nie wchodził. Myśl, że ktoś czyhał na moich schodach właśnie w tę jedną ze wszystkich nocy w roku, zmieszkała mnie tak okropnie, że wręczając stróżowi kieliszek na rozgrzewkę (wciąż stał jeszcze pod drzwiami mego mieszkania) spytałem go, czy dzisiejszej nocy wpuszczał do bramy kogoś zapóźnionego. Odpowiedział, że tak. Że otwierał trzykrotnie bramę o różnych porach trzem panom. Jeden z nich mieszkał w Fountain Court, a dwu pozostałych w Lane. Widział, jak wszyscy trzej wchodzili do domów.

Natomiast jedyny oprócz mnie lokator tego domu, w którym znajdowało się moje mieszkanie, bawił od kilku tygodni na wsi i z pewnością nie wrócił tej nocy, ponieważ wchodząc po schodach, widzieliśmy kłódkę na jego drzwiach.

— W taką pogodę, proszę pana, jak dzisiejszej nocy — zauważył stróż, oddając mi kieliszek — mało kto wraca późno. Oprócz tych trzech panów, którym otwierałem, tylko koło jedenastej wieczorem ktoś pytał o pana.

— Tak, wiem, to mój wuj — mrugnąłem.

— Był u pana?

— Tak, o tak!

— Razem z tym drugim osobnikiem?

— Z drugim osobnikiem? — powtórzyłem.

— Zdawało mi się, że ten drugi był razem z nim, proszę pana

– objaśnił stróż – tamten zatrzymał się, kiedy on się zatrzymał i pytał o pana, i ruszył za nim, kiedy on ruszył.

– Co to był za osobnik?

Dozorca nie zauważył dokładnie jego wyglądu. Według niego był to jakiś robotnik. Miał na sobie szare ubranie, a na to ciemny płaszcz. Dozorca nie przywiązywał zresztą żadnej wagi do tego faktu. Ja, przeciwnie, miałem powody, by się tym przejmować.

Kiedy się go wreszcie pozbyłem, skracając jego wyjaśnienia, zacząłem się zastanawiać nad zbiegiem wypadków tej nocy. Każde z tych dwu zdarzeń oddzielnie dawało się doskonale wytłumaczyć: jakiś zapóźniony mieszkaniec dzielnicy mógł nie trafić na bramę stróża, zabłąkać się na moje schody i tu zasnąć albo też mógł to być ktoś, kto wskazywał drogę memu gościowi, a potem zasnął na schodach. Ale oba te wypadki wzięte razem napawały lękiem człowieka, który tak jak ja stał się od kilku godzin podejrziły.

Rozpaliłem ogień, który o tej rannej godzinie płonął nędznym bladym blaskiem, i zdrzemnąłem się przy kominku. Miałem uczucie, że drzemka ta trwała całą noc, kiedy obudziło mnie bicie szóstej. Ponieważ od pełnego blasku dnia dzieliło mnie jeszcze półtorej godziny, zdrzemnąłem się na nowo. Chwilami budziłem się niespokojnie, mając w uszach jakiś odgłos rozwiękłych rozmów o niczym albo biorąc szum wiatru za grzmoty, wreszcie zapadłem w głęboki sen, z którego obudziłem się zniecka, gdy był już jasny dzień.

Dotychczas nie zastanawiałem się jeszcze ani chwili nad moją sytuacją. I teraz także nie mogłem się skupić. Czuję się przybity i głęboko zmartwiony, ale w sposób jak gdyby chaotyczny. Równie trudno byłoby mi w tej chwili tworzyć jakiegokolwiek planu na przyszłość, jak stworzyć na przykład słońca. Kiedy otworzyłem okiennice na mroczny, burzliwy, ołowiany poranek, kiedy przechadzałem się z pokoju do pokoju, kiedy siadałem, drżąc przy kominku i czekając na zjawienie się gospodyni, rozmyślałem, jak głęboko jestem nieszczęśliwy, nie zdawałem sobie w tej chwili sprawy z przyczyn mego nieszczęścia, nie pamiętałem,

od jak dawna, w jakim dniu tygodnia przytrafiło mi się ono, i nawet nie wiedziałem w tej chwili, kim sam jestem.

Wreszcie przyszła starszka z siostrzenicą, której głowa mała to co różniła się od jej zakurzonej mioty, i obie zdziwiły się ogromnie na mój widok przy kominku. Oświadczyłem im, że w nocy przyjechał mój wuj, że jeszcze śpi i że na skutek tego należy zmienić nieco codzienne przygotowania do śniadania.

Następnie myłem się i ubierałem, podczas gdy one przesuwały meble i podnosiły tumany kurzu. Wreszcie, jak gdyby wciąż przebywając w śnie somnambulicznym, zasiadłem znowu przy kominku, czekając na jego wejście na śniadanie.

Wkrótce potem drzwi się otworzyły i wszedł do pokoju. Trudno mi było znieść jego widok i rzuciwszy mu przelotne spojrzenie stwierdziłem, że w świetle dziennym wygląda jeszcze gorzej niż poprzedniego wieczora.

– Nie wiedziałem nawet – szepnąłem, gdy usiadł przy stole – jak mam o panu mówić. Powiedziałem więc, że wuj do mnie przyjechał.

– Doskonale, drogi chłopcze! Nazywaj mnie wujem.

– Przypuszczam, że przybrał pan na pokładzie statku jakiegoś nazwisko?

– Tak, kochany chłopcze, nazwisko Provis.

– Czy zamierza pan zachować to nazwisko?

– Chyba tak, nie gorsze jest niż każde inne. Chyba że wolalibyś, abym się inaczej nazywał.

– Jak brzmi pańskie prawdziwe nazwisko? – spytałem szeptem.

– Magwitch – powiedział tym samym tonem – a na imię mi Abel.

– Kim zamierzał pan być?

– Kanalią, mój chłopcze.

Oznajmił to takim tonem, jak gdyby naprawdę wymieniał jakiś zawód ludzki.

– Kiedy przyszedł pan do Temple ubiegłej nocy... – tu urwałem, gdyż wydało się nieprawdopodobne, by tak straszne wypadki mogły nastąpić dopiero tej nocy, tak wydawały mi się odległe.

– To co, drogi chłopcze? – podchwycił.

– Kiedy podszedł pan do bramy i spytał strażnika o drogę do mego domu, czy był pan wówczas sam, czy też ktoś panu towarzyszył?

– Mnie? Nikt, chłopcze.

– Ale był ktoś jeszcze obok pana?

– Nie zwróciłem specjalnie uwagi – odpart z wahaniem – nie znam tej dzielnicy i tym byłem pochłonięty, ale może ktoś wchodził wraz ze mną.

– Czy znają pana w Londynie?

– Spodziewam się, że nie – odpowiedział, uderzając się wskazującym palcem po szyi gestem, który sprawił, że krew uderzyła mi do głowy.

– Czy kiedyś znali pana w Londynie?

– Chyba nigdy. Przebywałem przeważnie na prowincji.

– Czy stawał pan w Londynie... przed sądem?

– Kiedy? – spytał patrząc na mnie ostro.

– Ostatnim razem.

Pokiwał głową twierdząco.

– Wtedy właśnie poznałem Jaggersa. Jaggers mnie bronił.

Już miałem na końcu języka pytanie, za co go wówczas sądzono, gdy ujął palcami nóż, wykręcił nim w powietrzu młynka i odkładając go na miejsce, powiedział:

– Cokolwiek uczyniłem, odpokutowałem już za to. I sprawa skończona.

Powrócił do śniadania.

Jadł przerażająco żartoczenie, każdy jego gest był niezręczny, hulaśliwy i takomy. Od czasu kiedy go widziałem jedzącego na bagnisku, stracił kilka zębów i kiedy teraz obracał w ustach jedzenie i przechylał głowę na bok, by je łatwiej zaatakować pozostałymi zębami, przypominał mi straszne, wygłodniałego psa.

Gdybym nawet miał apetyt, odebrałby mi go swym widokiem. Siedziałem więc ogarnięty nieprzezwyciężonym wstrętem i smutnie patrzyłem w obrus.

– Porządny ze mnie żartok, drogi chłopcze – oświadczył

w formie usprawiedliwienia, gdy zakończył jedzenie – ale zawsze byłem taki. Gdybym potrafił opanować apetyt, miałbym znacznie mniej przykrości. Tak samo z paleniem. Muszę palić. Kiedy po raz pierwszy wynająłem się za pastucha tam na drugiej półkuli, to mam wrażenie, że sam zamieniłbym się w oszałałą z melancholii owcę, gdyby nie to, że mam palić.

To mówiąc, wstał od stołu i zannurzywszy dłoń w kieszeń swej kurtki, wyjął stamtąd małą, czarną fajeczkę i garsć luźnego tytoniu z gatunku, który nazywają „murzyńską głową”. Napchawszy fajeczkę, resztę ponownie wrzucił do kieszeni, jak gdyby do szuflady. Potem wziął szczypcami z kominka żarzący się węgielek, zapalił fajkę, obrócił się na dywaniku przed kominikiem plecami do ognia i ulubionym gestem wyciągnął ku mnie obie ręce.

– A oto – mówił, podnosząc i opuszczając moje dłonie, w miarę jak pykał z fajeczki – a oto pan, którego ja stworzyłem! Prawdziwy, niefalszowany pan! Ach, jak dobrze mi to robi, gdy patrzę na ciebie, Pip! Niczego więcej od ciebie nie żądam, tylko móc być przy tobie i patrzeć na ciebie, kochany mój chłopcze! Uwolniłem dlonie jak najprędzej i nagle odkryłem, że mogę się już zastanowić nad mym położeniem. Gdy tak siedziałem, słuchając jego ochryplego głosu i patrząc na tysiące pobrużdżoną głowę z kepkami siwych włosów po bokach, pojąłem nagle, jak silnymi łańcuchami jestem spętany.

– Mój pan nie powinien brnąć przez błoto po ulicach. Nie wolno, aby jego obuwie się błocilo. Mój pan musi mieć własne konie, Pip! Wierzchowce, których będzie dosiadał, i konie, którymi będzie jeździł, a jego służący powoził. Jak to, koloniści mogli mieć własne konie (i to czystej krwi rumaki, na Boga!), a mój londyński pan by ich nie miał posiadać? Nie, nie! Pokażemy im inną parę butów. Prawda, Pip?

Wyciągnął z kieszeni grubo wypchany portfel i rzucił na stół. – Jest tu coś niecoś do wydania, kochany chłopaku. I to wszystko twoje. Wszystko, co posiadam, nie jest moje, tylko twoje. Nic się nie bój. Ci, od których to pochodzi, mają jesz-

cze więcej. Przybyłem do starego kraju, by na własne oczy zobaczyć, jak mój pan wydaje swe pieniądze po wielkopańsku. To będzie dopiero moja przyjemność. I niech diabli wezmą ich wszystkich! – krzyknął nagle, rozglądając się dziko po pokoju i trzaskając palcami – niech diabli wezmą ich od sędziego w peruce do kolonisty, który mnie obsypywał kurzem na drodze, ja im pokażę większego pana niż cała ich banda razem!

– Niech pan przestanie – zawołałem peten przerażenia i obrzydzenia – chcę pana o coś spytać. Chcę wiedzieć, jakie pan przedsięwziął środki ostrożności, jak długo zamierza pan tu pozostać, jakie pan ma zamiary na przyszłość.

– Posłuchaj mnie, Pip – powiedział nagle zmienionym i pokornym tonem, kładąc mi dłoń na ramieniu – posłuchaj mnie do brze. Zapomniałem się. Mówiłem w sposób niski. Zapomnij o tym, Pip. Ja nie jestem podły.

– Więc niech mi pan najpierw powie – prosilem, niemal płacząc – jakie powinno się przedsięwziąć środki, aby pana nie poznano i nie ujęto?

– Nie – odparł tym samym pokornym i przeprasającym tonem – nie, mój chłopcze, nie to jest najważniejsze. Przede wszystkim zapomnij o mojej podłości. Nie po to tyle lat tworzyłem prawdziwego pana, by później tak się w stosunku do niego zachować. Przyznaję się, Pip, mówiłem nieodpowiednie słowa. Wybacz mi, drogi chłopcze.

Coś w tym makabrycznym przemówieniu rozśmieszało mnie, więc odpowiedziałem z rozdrażnieniem i śmiechem jednocześnie:

– Już zapomniałem o tym. Na miłość boską, niech pan przestanie już o tym mówić!

– Dobrze, tylko zrozum, kochany chłopcze, że nie po tojechałem do ciebie z tak daleka, aby być podłym... A teraz mów dalej. Mówiłeś, że...

– Pytałem, jak ustrzec pana od niebezpieczeństwa, które mu grozi.

– Widzisz, mój kochany, niebezpieczeństwo nie jest tak znowu wielkie. Przecież tylko Jagers, Wemmick i ty wiecie o moim przybyciu. Któż inny mógłby o mnie donieść?

– Czy nie ma obawy, by ktoś poznał pana na ulicy? – spytałem.  
– Sądzę, że nie ma – odpowiedział – nie mam zamiaru przecież ogłaszać w gazetach, że A. M. powrócił właśnie z Botany Bay. Lata upłynęły od tego czasu i komu by na tym mogło wreszcie zależeć? A zresztą, posłuchaj mnie, Pip. Gdyby niebezpieczeństwo było pięćdziesiąt razy większe, niż jest, i tak przyjechałbym cię zobaczyć.

– A jak długo zamierza pan tu pozostać?

– Jak długo? – powtórzył, wyjmując spomiędzy warg swą czarną fajeczkę i patrząc na mnie z nieco opuszczoną szczęką – przyjechałem już na zawsze. Nigdzie nie wyjeżdżam.

– Gdzie pan zamieszka? – badałem. – Co z panem się stanie? Gdzie będzie pan naprawdę bezpieczny?

– Kochany chłopcze – powiedział – nietrudno kupić sobie perukę, puder, okulary, czarne ubranie i przebrać się, jak to uczyniło już wielu przede mną. A co do tego, gdzie będę mieszkał, to chciałbym zasięgnąć twojego zdania.

– Dzisiaj pan bierze te rzeczy ogromnie lekko – zauważyłem – ale tej nocy przysięgał mi pan, że to sprawa gardłowa.

– I teraz nie mówię inaczej – odparł – to śmierć i śmierć przez powieszenie na otwartej dla wszystkich ulicy, niedaleko stąd.

Pociągnął z fajeczki i dodał:

– Musisz o tym pamiętać. Ale stało się już. Przyjechałem, a wracać to jeszcze niebezpieczniej. Poza tym, Pip, jestem tutaj dlatego, że latami marzyłem, aby być przy tobie. A co do tego, że ryzykuję, to stary ze mnie i doświadczony ptaszek i niejedną pułapkę, jaką na mnie zastawiono, już w życiu ominąłem; nie zleknie się teraz przecież stracha na wróble. Jeżeli za nim kryje się śmierć, to niech przyjdzie. Spojrzę jej prosto w twarz i wtedy dopiero w nią uwierzę. Wcześniej nie. A teraz pozwól mi raz jeszcze popatrzeć na mego pana.



Znowu ujął mnie za obie ręce i przyglądał mi się z miną podziwiającego swój przedmiot właściciela, nie przestając kurczyć fajeczki.

Pomyślałem więc, że najrozsądniej będzie wynająć mu jakieś niewielkie mieszkanie niedaleko ode mnie i przeprowadzić go tam za dwa lub trzy dni, kiedy powróci Herbert. Wydawało mi się konieczne wtajemniczenie Herberta w całą sprawę, chociażby ze względu na to, że przyniosłoby mi to wielką ulgę. Ale panu Provisowi (postanowiłem nazywać go tym nazwiskiem) nie wydawało się to takie konieczne i zastrzegł sobie, że wyrazi swe zdanie dopiero po obejrzeniu Herberta i zdecydowaniu, czy twarz jego budzi dość zaufania.

— I nawet wówczas, mój kochany chłopcze — powiedział, wyciągając z kieszeni zatłuszczony egzemplarz Biblii — nawet wówczas będzie musiał złożyć przysięgę.

Nie mógłbym na pewno twierdzić, że mój straszliwy opiekun nosił przy sobie Biblię tylko w tym celu, by mu na nią przysięgano w krytycznych chwilach, ale nigdy nie widziałem potem, by robił z niej jakiś inny użytek. Sanna książka robiła wrażenie egzemplarza ukradzionego z jakiegoś sędziowskiego stołu i może to sprawiło, że nabrałem wiary w jej potęgę i przypisywałem jej tę samą czarodziejską moc. Przypomniałem sobie też, jak na cmentarzu każał mi przysięgać, że go nie zdradzę, i jak zwierzał mi się dzisiejszej nocy, że składał sam sobie przysięgi, których dotrzymał.

Ponieważ odziany był w coś w rodzaju marynarskiego kaftana i wyglądał tak, jak gdyby miał na sprzedaz papugi lub cygara, więc zaczęliśmy się zastanawiać, w co by go przebrać. Miał nieograniczone zaufanie do zalet przebrania polegającego na włożeniu krótkich spodni i zaproponował sam ubranie, w którym wyglądałby jak coś pośredniego pomiędzy duchownym a dentystą. Nie bez trudu namówiłem go na stroj, w którym robił wrażenie zamoznego rolnika, i zdecydowaliśmy, że ostryższe krótkowłosy i z lekka je przypustruje. Postanowiliśmy jeszcze, że ponieważ moja gospodyni ani jej siostrzenica jeszcze go nie widziały, nie pokaze im się, zanim się nie przebierze.

Zdawać by się mogło, że wszystkie te postanowienia łatwo było wprowadzić w życie, ale w dziwnym stanie oszołomienia i rozrządzenia, w jakim się znajdowałem, trzeba mi było na to aż kilku godzin. Dopiero o drugiej czy trzeciej po południu wyszedłem z domu. Gość mój miał pozostać zamknięty w swoim pokoju i nikomu nie otwierać drzwi.

Znałem na Essex Street porządną kamieniczkę, w której była ściana wychodziła na Temple, na wprost moich okien. Udałem się tam i miałem szczęście, gdyż umeblowane mieszkanie na drugim piętrze było wolne i mogłem je wynająć dla mego wujka, pana Provisa. Potem chodziłem od sklepu do sklepu, kupując wszystko, co było potrzebne do jego przebrania. Kiedy i to załatwiłem, udałem się z własnej inicjatywy do Małej Brytanii. Jaggers siedział za biurkiem, ale na mój widok zerwał się i stanął przy kominku.

— A teraz, Pip — powiedział — bądź ostrożny!

— Dobrze, proszę pana — odparłem, gdyż przez drogę obmyśliłem już niejako.

— Nie szkodzić sobie — doradzał pan Jaggers — i nie szkodzić nikomu innemu. Czyś zrozumiał? Nikomu innemu. Nic mi nie opowiadaj. Nie jestem ciekawy.

Zrozumiałem oczywiście, że Jaggers wie o przybyciu tego człowieka.

— Chciałbym tylko dowiedzieć się, panie Jaggers — oświadczyłem — czy to, co mi opowiadano, jest prawdą. Chciałem to sprawdzić. Nie mam co prawda nadziei, aby to mogło być niezgodne z rzeczywistością, ale wolno mi chyba zbadać sprawę. Jaggers pokiwiał głową i zauważył:

— Czy mi się zdawało, żeś użył wyrazu „opowiadano”, czy też mówiąc, że cię „zawiadomiono”?

Zadając to pytanie, przechylił głowę na bok i nie patrzył na mnie, tylko w podłogę, jak gdyby nasłuchiwał.

— Opowiadać, to znaczy rozmawiać z kimś. A przecież nie mogłeś rozmawiać z kimś, kto znajduje się w Pohudniowej Nowej Walii, o czym ci wiadomo.

- Miałem na myśli, że mnie zawiadomiono, panie Jagers.
- To dobrze.
- Więc zawiadomił mnie pewien człowiek nazwiskiem Abel Magwitch, że to on jest moim nieznanym dobroczyńcą.
- Tak, to ten człowiek w Południowej Nowej Walii – potwierdził Jagers.
- I tylko on? – spytałem.
- Tylko on – przytaknął Jagers.
- Nie jestem bynajmniej na tyle nierozsądny, by czynić pana odpowiedzialnym za moją pomyłkę, ale zawsze przypuszczaniem, że tą osobą jest miss Havisham.
- Sam powiedziałeś, Pip – odparł Jagers, patrząc na mnie zimno i zabierając się do obgryzania swego wskazującego palca – że ja za to nie odpowiadam.
- A mimo to tak bardzo na to właśnie wyglądało – upierałem się z bólem serca.
- Nie było na to nawet odrobiny dowodu, Pip – zauważył Jagers, kręcąc głową i zbierając poły swego fraka w rękę – nie sądzę o niczym nigdy z pozorów, kieruj się tylko dowodami i na nich opieraj. Nie ma lepszej zasady.
- Nic już więcej nie mam do powiedzenia – zakończyłem z westchnieniem, po krótkiej chwili milczenia – sprawdziłem moją informację i na tym koniec.
- Teraz, gdy Magwitch z Południowej Nowej Walii wręczył ci odkrył swoje oblicze – oświadczył Jagers – musisz przyznać, Pip, że nigdy w postępowaniu z tobą nie zbaczalem z naderwanej faktami linii. Nie zbaczalem ani na krok z tej linii. Zdażesz sobie chyba sprawę z tego, Pip?
- Całkowicie, proszę pana.
- Zakomunikowałem Magwitchowi do Południowej Nowej Walii, gdy po raz pierwszy do mnie napisał... z Nowej Południowej Walii... że uprzedzam go, iż nigdy nie zбочę z tej prostej linii postępowania. Napisałem mu też inne ostrzeżenie. Mianowicie w jednym z listów zrobił niejasną aluzję, że chciałby przyjechać do Anglii. Ostrzegłem go, że nie chcę nic o tym więcej słyszeć. Ze

nie ma on żadnych szans uzyskania łaski, że jest skazany na dożywotnie zesłanie i że zjawienie się w kraju byłoby z jego strony ciężkim przestępstwem, które mogłoby pociągnąć za sobą karę śmierci. Udzieliłem Magwitchowi takiej przestrogi, napisałem mu do Południowej Nowej Walii – tu spojrzął na mnie bacznie i dokończył: – i spodziewam się, że usłuchał mojej rady i pozostał.

- Oczywiście – odparłem.
- Wemnick zawiadomił mnie – ciągnął Jagers, wciąż patrząc na mnie bacznie – że otrzymał list z Portsmouth od jakiegoś kolonisty nazwiskiem Purvis czy też...
- Czy też Provis – dokończyłem.
- Czy Provis, dziękuję, Pip. Może to Provis. Ty wiesz, że to Provis?

- Tak – potwierdziłem.

- Więc wiesz, że nazywa się Provis. Otóż ten kolonista Provis pytał z Portsmouth o twój adres w imieniu Magwitcha. Wemnick postąpił mu odwrotną pocztą twój adres. Zapewne przez tego Provisa dowiedziałeś się prawdy o Magwitchu przebywającym w Nowej Południowej Walii?

- Tak, przez Provisa.

- Więc do widzenia, Pip – pożegnał mnie Jagers, podając mi rękę – rad byłem cię widzieć. Jeżeli będziesz pisał pocztą do Magwitcha do Walii lub będziesz mu coś komunikował przez Provisa, proszę, zawiadam go w moim imieniu, że szczegółowe wykazy i wyciągi zostaną tobie przesłane razem z resztą sum, bo jest i reszta. Do widzenia, Pip!

Uścisnęliśmy sobie dłonie, a on patrzył na mnie bacznie dopóty, dopóki tylko mógł mnie dojrzeć. Gdy odwróciłem się ku drzwiom, jeszcze śledził mnie wzrokiem, a dwie ohydne płasko-rzeźby na półce robiły wrażenie, jak gdyby usiłowały podnieść przymknięte powieki i wyrzucić z nabrzmiałych gardzieli słowa: „Och, cóż to za człowiek!”.

Wemnicka nie było, a gdyby nawet siedział przy swoim biurku, i tak nic by mi nie mógł pomóc. Powróciłem więc już wprost do Temple, gdzie w domu zastałem straszliwego Provisa

pijącego rum z wodą sodową i palącego „głowę murzyńską” całym bezpiecznikiem.

Nazajutrz odesłano do domu ubrania, które zamówilem. Ubrał się w nie. Wydawało mi się, cokolwiek kładł na siebie, że jeszcze stokroć gorzej wyglądał niż w tym, co miał na sobie poprzednio. Miałem wrażenie, że coś w jego wyglądzie nie pozwała mu się zmienić pod wpływem ubrania. Im dłużej go ubierałem i im lepsze rzeczy na niego wkładałem, tym bardziej był, według mnie, podobny do zbiega, którego spotkałem niedługo na bagnisku. Bez wątpienia to wrażenie zawdzięczałem nieco i mojej przerażonej fantazji, i temu, że twarz jego wydawała mi się tak bardzo znajoma, ale mimo to istotnie pociągał nieco jedną nogą, jak gdyby dźwigał na niej żelazo, i od stóp do głów był prawdziwym galernikiem.

Samotne życie w szatasie pasterskim sprawiło, że twarz Provisa nabrała wyrazu dzikości, której nie mogło zamaskować żadne odzienie. Poza tym znać na nim było wpływy występnego życia, jakie prowadził, i obecny lek przed ujęciem. Cechy te od razu wyodrębniały go od innych. Istniało jeszcze wiele szeregów, które zdradzały go na każdym kroku: sposób wstawiania i siadania oraz jedzenia i picia; jego zamyślanie się z głową wsuniętą w ramiona, sposób, w jaki chwycił nóż za rogowy trzonek, wycierał go o cholewę, by za chwilę krajać nim mięso, sposób, w jaki niósł do ust pełną szklankę czy filiżankę niczym ciężki blaszany kubek, czy krajał na drobne kawałki chleb i starannie wycierał nim sos z talerza, żeby nie uronić ani kropelki, a potem, otarwszy ostatnim kawałkiem chleba zatuszczone palce, połykał go chciwie. Te wszystkie nieswiadome ruchy od razu kazały się domyślać, że ma się przed sobą więźnia, galernika, przestępcę.

Jego to pomysłem było lekkie pudrowanie resztek włosów i zgodziłem się, żeby to robił, wyperswadowawszy mu uprzednio krótkie spodnie. Ale kiedy spróbował pudru, okazało się, że z takim samym powodzeniem można by szminkować trupa. Pretenjonalność pudrowania włosów zdawała się jeszcze bardziej podkreślać jego okropne manery. Zrezygnowaliśmy więc z tego i nosił siwe włosy, tylko krótko przyszczyzone.

Trudno mi wyrazić słowami, jak strasznie ciążyła mi zagadka, która był ten człowiek. Kiedy wieczorem zasypiał w fotelu, oparłszy żyłaste ręce o poręczce i zwiesiwszy poznaczoną blizną miłuszą głowę na piersi, wpatrywałem się w niego, zadając sobie pytanie, jakie to przestępstwa ciąży na nim, i wyobrażałem sobie tak okropne zbrodnie, że najchętniej uciekłbym pełen przerażenia jak najdalej.

Moja odrzała w stosunku do gościa wzrastała niemal z każdą godziną i zdarzały się takie chwile, kiedy mimo wszystko, co dla mnie uczynił, gotów byłbym poddać się temu uczuciu, gdyby nie podtrzymała mnie myśl o rychłym powrocie Herberta. Pewnej nocy wstałem i zacząłem wkładać najgorsze ubranie z zamiarem pozostawienia tu wszystkiego i zaciągnięcia się do armii w Indiach.

Wątpię, czy jakkolwiek upiór mógłby mi napędzić więcej strachu niż on w owe długie dżdżyste wieczory i noce w pustych pokojach, gdy wichler wstrząsał oknami. Upiora nie mogli ująć i powiesić z mojej przyczyzny, a właśnie myśl, że mogą to uczynić z Magwitchem, i strach, by się to nie stało, stanowiły główne źródło mojej meki.

Kiedy nie spał, kładł wystrzępionymi kartami jednego ze swych skomplikowanych i nigdy mi przedtem ani potem nieznanych pasjansów, wbijając nóż w powierchnię stołu za każdym razem, gdy gra mu dobrze poszła. Prosił mnie wówczas, bym mu coś przeczytał.

— W obcym języku, chłopcze — mówił.

Nie rozumiał ani słowa z tego, co mu czytałem, ale stał przez cały czas nieruchomo przy kominku z taką miną, jakby się mną popisował. Przez palec ręki, którą przesłaniałem twarz, widziałem, jak gestem rąk zaprasza meble, by mnie podziwiały. Bohater znanego podania, uczeń czarnoksiężnika, przesładowany przez świętokradczo stworzoną przez siebie, nieudaną istotę, nie był nieszcześliwszy ode mnie, przesładowanego przez tego, który w pewnym sensie mnie stworzył. Im bardziej wzrastał jego podziw dla mnie, im bardziej mnie kochał, tym ja czułem do niego większą odragę.

Czuje, że opisuję tę sytuację tak, jak gdyby trwała rok, a tymczasem ciągnęła się zaledwie pięć dni. Oczekiwałem z chwili na chwilę powrotu Herberta i nie wychodziłem niemal z domu, z wyjątkiem wieczornej pory, kiedy to wyprowadzałem Provisa na małą przechadzkę. Wreszcie pewnego wieczora po obiedzie, kiedy zapadłem w małą drzemkę – byłem ostatnio nieslychanie wyczerpany bezsennością i straszliwymi snami, jakie mnie dręczyły – usłyszałem znajome kroki na schodach. Provis, który również drzemał, obudził się nagle i ujrzałem, że w ręku jego błysnął składany nóż.

– Spokojnie! To Herbert! – zawołałem i do pokoju wpadł mój przyjaciel, wnosząc ze sobą świeżość powietrza szesciuset mil Francji.

– Herbert, mój drogi przyjacielu, jak się miewasz? I raz jeszcze, jak się miewasz, i raz jeszcze, jak się miewasz? Wydaje mi się, że nie było cię przez dwanaście miesięcy!

– Chyba mnie tyle czasu nie było, bo wybladłeś i schudłeś przez ten czas, mój Haendlu, och... przepraszam.

Zatrzymał się na środku pokoju i puścił moje ręce, ujrawszy Provisa. Provis, przyglądając mu się bacznie, złożył powoli nóż i schował do kieszeni.

– Herbert, mój drogi przyjacielu – powiedziałem, zamykając podwójne drzwi, gdy Herbert stał zdumiony na miejscu – stało się coś niezwykłego. To jest mój... gość.

– Wszystko dobrze, mój kochany chłopcze – oświadczył Provis, robiąc ku nam kilka kroków i trzymając w ręku swą małą zniszczoną czarną książeczkę. – Niech pan weźmie to do prawej ręki – zwrócił się do Herberta. – Niech Bóg porazi cię śmiercią na miejscu, jeżeli złamiesz tę przysięgę. Pocałuj książkę.

– Zrób, jak on chce – poprosiłem Herberta.

Wobec tego mój przyjaciel, spojrzawszy na mnie z przyjacielskim zażenowaniem i zdziwieniem, usłuchał. Provis uściśnął mu rękę i oznajmił:

– Teraz jest pan związany przysięgą. I niech pan nie wierzy mojej przysiędze, jeżeli Pip nie zrobi z pana również wielkiego pana!

## Rozdział czterdziesty pierwszy



Na próżno usiłowałbym opisywać zdumienie i niepokój Herberta, kiedy wraz ze mną i Provisem zasiadł przy kominku dla wystuchania mego opowiadania o tajemnicy. Dość będzie, gdy powiem, że w oczach Herberta wyczytałem te same uczucia, jakie we mnie obudziło jej odkrycie, a nawet tę samą odrazę, jaką ja czułem dla mego dobroczyńcy.

Gdyby nawet nic nie dzieliło nas od tego człowieka, to i tak wykopałby pomiędzy sobą a nami przepaść okazywaniem triumfu, w miarę jak posuwało się opowiadanie. Nie podejrzewał wcale prawdziwych uczuć, jakie mną władaly, i był całkiem zadowolony ze wszystkiego, co między nami zaszło. Żałował tylko chwili zapomnienia się, w której to, według siebie, zachował się w sposób „niski”. Przeprosił więc jeszcze raz za to Herberta i mnie, i nic nie mąciło jego zadowolenia. Kiedy wyrażał radość, iż uczynił ze mnie pana i że specjalnie przyjechał przyglądać się, jak używam jego bogactw, był święcie przekonany, że sprawa przyjemność i mnie, że obaj jesteśmy z tego jednakowo dumni i że obu nas przepętnia to samo szczęście.

– Niech pan mnie słucha, przyjacielu Pipa – zwrócił się na zakończenie do Herberta – wiem, że po przyjeździe zachowałem się raz, może przez pół minuty, nieodpowiednio. Powiedziałem Pipowi, że postąpiłem niegodnie. Ale nie potrzebuje się obawiać ani pan, ani Pip. Wiem dobrze, jak się zachowywać te-

raz, kiedy z Pipa zrobiłem wielkiego pana i kiedy Pip zrobi to samo z panem. Drogi chłopcze i pan, przyjacielu Pipa, możecie być całkiem spokojni, że potrafię sobie odgadnąć nałożyc kaganiec grzeczności. Mam na sobie ten kaganiec od owej pół minuty, kiedy się zapomniał, aż do tej chwili, i będę go nakładał odgadł zawsze w przyszłości.

Herbert mruknął „z pewnością”, ale nie wyglądał na zachwyconego tą perspektywą. Nadal był przygnębiony i zmieszany. Wczekiwalismy chwilę, kiedy wreszcie odejdziesz do swego mieszkania i zostawi nas samych, ale on najwyraźniej był zainteresowany o mnie i siedział bardzo długo. Była północ, kiedy wreszcie odprowadziłem go do drzwi jego mieszkania na Essex Street. A kiedy drzwi zamknęły się za nim, odczułem po raz pierwszy od chwili jego przybycia ulgę.

Niepokój z powodu znalezienia tajemniczego człowieka na schodach sprawił, że zawsze, odprowadzając Provisa, rozglądałem się niespokojnie po ciemnej ulicy i czyniłem to samo teraz, gdy powracałem do domu. Jak to się dzieje zwykle w ludnych miastach, trudno, mając poczucie niebezpieczeństwa, nie upatrywać w każdym przechodniu kogoś, kto śledzi. Ale tym razem spotkałem niewiele osób na pustej ulicy, zanim doszedłem do Temple. Nikt nie towarzyszył mi do bramy mojej dzielnicy i sam ją przekroczyłem. Kiedy mijalem fontannę, ujrzałem spokojnie oświetlone okna jego mieszkania, a kiedy czekałem chwilę przed bramą mego domu, Garden Court było puste i ciche jak schody, po których po chwili wchodziłem na górę.

Herbert przyjął mnie z otwartymi ramionami i nigdy chyba przedem nie czułem, jakim błogosławieństwem jest prawdziwy przyjaciel. Powiedział mi kilka słów współczucia i zachęty, po czym usiedliśmy przy kominku, by pomówić o tym, co należy teraz czynić.

Krzeseło, na którym Provis siedział przez cały wieczór, stało wciąż na tym samym miejscu i przypomniało nam, jak kręcił się nieustannie, jak wojskowym niemał krokiem przebiegał pokój z fajką w zębach, z woreczkiem tytoniu, ze składanym nożem

i talią wystrzępionych kart w ręku. Jak mówiłem więc, krzesło to stało na tym samym miejscu – Herbert, chcąc usiąść, wziął je w pierwszej chwili, ale zaraz się spostrzegł i odstawił, biorąc inne. Po tym geście nie miał już potrzeby opowiadać mi o swym wstępie do mego opiekuna, tak jak i ja nie czyniłem mu żadnych zwierzeń. Wymieniliśmy te wyznania, nie wypowiedzianyszy na ten temat ani słowa.

Kiedy Herbert zasiadł już spokojnie na innym krześle, spytałem:

– Co teraz robisz?

– Mój biedny Haendlu – wyznał, trzymając głowę w dłoniach – jestem zbyt ogłuszony, by móc myśleć.

– To samo ja odczuwałem, kiedy cios spadł na mnie znielaska – odparłem – ale trzeba coś natychmiast postanowić. On zamierza porobić mnóstwo nowych wydatków na konie, powoży i tym podobne zbytki. Trzeba położyć temu jak najszybciej kres.

– Chcesz powiedzieć, że nie możesz przyjmować?...

– Jakże mógłbym? – przerwałem Herbertowi. – Pomyśl, jaki on jest! Spójrz na niego.

Przeszedł nas obu dreszcz.

– A najgorsze jest to, Herbercie, że ten człowiek jest do mnie przywiązany, strasznie przywiązany. Oto cała okropna prawda! Czy może być potworniejszy los?

– Mój biedny, Kochany Haendlu – powtórzył tylko Herbert.

– A gdybym tak teraz nagle przerywał przyjmowanie od niego pieniędzy – ciągnąłem – to pomyśl, ile już jestem mu winien. Poza tym mam długi, poważne długi, jak na kogoś, kogo nie czekają już wielkie nadzieje. I wreszcie, nie potrafię nic robić, nie potrafię zarabiać. Jestem do niczego.

– No, no, no – pocieszał mnie Herbert – nie mów, że jesteś do niczego.

– A do czego mógłbym się przydać? – pytałem. – Jedyna rzecz, jaka by mi pozostała, to zaciągnąć się na żołnierza. I może byłbym już to uczynił, tylko czekałem na twoją przyjacielską radę, Herbercie.

Tu oczywiście rozczuliłem się, Herbert udawał, że nie dostrzega mego wzruszenia, ale mimo to uściskał mi czule rękę.

– W każdym razie, kochany Haendlu – zawyrokowałam – nie uważam myśli zaciągnięcia się na żołnierza za szczęśliwą. Jeżeli chcesz wyrzec się dobrodziejstw twego opiekuna, musisz mieć nadzieję i na to, że kiedyś zwrócisz mu pieniądze, które na ciebie dotychczas wydał. A gdybyś poszedł na żołnierza, to nie mógłbyś mieć na to najmniejszej nadziei. Poza tym to w ogóle głupia myśl. Już lepiej przyjąłbyś pracę w firmie Clarrikera, mimo że jest niewielka. Wiesz, że wkrótce będę tam współnikiem.

Biedny chłopiec! Nie wiedział, za pomocą czyich to pieniędzy! – Ale jest jeszcze inna sprawa – mówił dalej Herbert – masz tu do czynienia z człowiekiem niewykształconym, opętanym jedną upartą myślą. Wydaje mi się (chociaż może się mylę), że jest to człowiek gwałtowny i gotów na wszystko.

– Wiem, że to prawda – odparłem. – Opowiem ci, jakie miałem na to dowody.

I opowiedziałem mu teraz to, czego jeszcze nie wiedział, o jego porachunkach z innym galemnikiem.

– Widzisz – powiedział Herbert – teraz więc pomyśl, że człowiek ten przybył tu z narażeniem życia, by zrealizować myśl, która go uparcie oplątała. I w momencie gdy wreszcie ma się urzeczywistnić to, o czym od tylu lat marzył i do czego przez tyle lat dążył, ty chcesz mu usunąć grunt spod nóg, zburzyć jego marzenia i pokazać, że zniknął cel, do którego zmierzał. Czy zdajesz sobie sprawę, co mógłby uczynić pod wpływem takiego rozczarowania?

– Zdaję sobie sprawę, Herbercie – odpowiedziałem – nie przestaje o tym myśleć od chwili, kiedy się tak niespodziewanie zjawił owej nieszcześliwej nocy. Wiem doskonale, że pod wpływem takiej sytuacji mógłby sam oddać się władzom.

– Możesz być pewien – oświadczył Herbert – że właśnie tak by postąpił. I na tym polega jego władza nad tobą, dopóki znajduje się w granicach Anglii. Jeżeli go opuścisz, z pewnością popełni ten akt rozpaczy.

Groza tej myśli, poczucie, że mógłbym w ten sposób stać się jego mordercą, uderzyły mnie tak silnie, że zerwałem się z miejscą i biegłem tam i z powrotem po pokoju. Powiedziałem Herbertowi, że nawet jeżeli schwytają Provisa wbrew jego woli, będzie się czuł współwinny, bo dla mnie tu przybył. Tak. I to mimo że wstrętem przejmuję mnie teraz myśl, iż mam go przy sobie, i mimo że wolałbym tysiąc razy całe życie pracować w kuźni, niż dojść do takiego jak teraz położenia.

Ale wciąż jeszcze nie wiedziałem, co robić.

– Najważniejsze i najskuteczniejsze byłoby zmusić go do wyjazdu z Anglii. Ale wówczas należałoby go osobiście wywieźć za granicę – poradził Herbert.

– No dobrze, przypuścimy, że uda mi się z nim wyjechać. Ale jak zabronię mu tutaj powrócić?

– Mój poczciwy Haendlu, czy nie mógłbyś mu wytłumaczyć, że jego pobyt tutaj, w sąsiedztwie Newgate, jest o wiele mniej bezpieczny niż gdziekolwiek indziej? Czy nie dałoby się wykończyć osoby tego drugiego galemnika, żeby nakłonić go do wyjazdu?

– Kiedy widzisz – odparłem, stając przed Herbertem i rozkładając dłonie, jak gdybym miał pełne ręce nieszczęść – o to właśnie chodzi, że nie znam wcale jego życia i że omal nie oszalałem, kiedy ten całkiem mi obcy człowiek zjawił się nocą przede mną tak mocno związany z moim życiem, z moją dola i niedolą, ten człowiek, o którym wiedziałem tylko tyle, że strącił mnie w ciągu dwu dni mego dzieciństwa!

Herbert wstał, ujął mnie pod ramię i przechadzaaliśmy się we dwóch powoli, patrząc w dywan.

– Haendlu – odezwał się nagle Herbert, przystając – czy jesteś całkowicie zdecydowanym odtrącić dobrodziejstwa tego człowieka?

– Całkowicie – odparłem. – Czy nie zrobiłbyś tego samego na moim miejscu?

– I jesteś przekonany, że musisz z nim zerwać?

– Herbercie, jak możesz o to pytać?

— A przy tym masz poczucie, że musisz ratować to życie, które tyle dla ciebie ryzykowało. Jeżeli tak jest istotnie, to musisz najpierw wywieźć go z Anglii. Dopóki tego nie uczynisz, nie wolno ci ruszyć nawet małym palcem w celu wyzwolenia się od niego. Jeżeli go wywieziesz, uwolnij się od niego w imię Boże i wtedy zobaczymy, co dalej, drogi mój chłopczel!

Było to wielką pociechą dla mnie, że w tej chwili uściśniliśmy sobie ręce, po czym przechadzaliśmy się na nowo.

— A teraz, Herbercie, sądzę, że musimy, jeżeli chcemy dowiedzieć się historii jego życia, zapytać go o nią po prostu.

— Tak, zapytaj go jutro rano przy śniadaniu — zgodził się Herbert, gdyż żegnając się z nim opiekun mój przyrzekł, iż przyjdzie na pierwsze śniadanie.

Powziąwszy to postanowienie, posłaliśmy spać. Miałem najokropniejsze sny o Provisie i budziłem się z lękiem, myśląc, że na pewno zaaresztują go za ucieczkę z zesłania. Na jawie ta myśl również mnie nie opuszczała.

Przyszedł o zapowiedzianej porze, wyjął z kieszeni składany nóż i zabrał się do śniadania. Pelen był nowych planów tych, których się marzeń, by „jego pan popisał się jak prawdziwy pan”, i radził mi, abym jak najszybciej zrobił użytek z portfelu, który pozostawił do mej dyspozycji. Uważał nasze i swoje mieszkanie za tymczasowe i radził, abym wynajął w okolicach Hyde Parku jakieś miłe gniazdko, w którym i on miałby swój kącik.

Kiedy zjadł śniadanie i wycierał nóż o cholewę, powiedziałem bez żadnego wstępu:

— Po wczorajszym pana odejściu opowiadałem menu przyjacielowi o tym, jak żołnierze na bagnisku zastali pana walczącego. Pamięta pan?

— Czy pamiętam? I jak jeszcze!

— Chcielibyśmy wiedzieć coś o tym człowieku i o panu. To zabawne, że nic nie wiemy właściwie o pańskim życiu. Może by pan teraz nam coś o sobie opowiedział?

— Oczywiście — odparł po chwili namysłu — ale pamięta pan, przyjacielu Pipa, że pan przysięgał?

— Naturalnie — potwierdził Herbert.

— I przysięga ta dotyczy się wszystkiego, o czym mówię. Wie pan o tym? — nalegał.

— Tak właśnie to rozumiałem.

— Niechże mnie pan dobrze zrozumie. Cokolwiek uczyniłem, jest to już zatwierdzone i zapłacone — nastawał jeszcze.

— Z pewnością.

Wyjął czarną fajkę i zaczął ją napychać „murzyńską głową”. Ale po chwili namysłu się, spojrzawszy na tytuł na swej dłoni i widocznie lękając się, że przeskodzi mu w opowiadaniu, wysypał go z powrotem do kieszeni. Potem wsunął fajkę do kieszonki na piersiach, oparł obie dłonie na kolanach, przez chwilę popatrzył ze wzburzeniem w ogień kominka. Wreszcie odwrócił głowę ku nam, ściągnął brwi i zaczął opowiadać.

## Rozdział czterdziesty drugi



— Drogi chłopcze i ty, przyjacielu Pipa. Nie będę wam opowiadał historii mego życia jak treści piosenki czy książki z bajkami. Po prostu opowiem wam wszystko krótko i wężłowato w paru zdaniach. W więzieniu i wypuszczony z więzienia, w więzieniu i wypuszczony z więzienia, w więzieniu i wypuszczony z więzienia. Oto macie. Takie było moje życie aż do chwili, gdy wzięto mnie na galery w owym czasie, kiedy to Pip okazał mi przyjaźń.

Robiono ze mną wszystko, co da się z człowiekiem zrobić, z wyjątkiem powieszenia: zamykano mnie tak dokładnie jak srebrny imbryczek, przewożono mnie z miejsca na miejsce, wyrzucano to z tego, to znowu z innego miasta, zakuwano mnie w dyby, chłostano, dręczono i tropiono bez ustanku. Nie mam większego pojęcia niż wy o miejscu mego urodzenia, a pierwsze moje wspomnienia sięgają Essex, gdzie kradłem brukiew, bo byłem głodny. Wraz ze mną kradł jakiś kotlarz, który potem uciekł, zabierając ze sobą piecyk, a mnie było bardzo zimno...

Wiedziałem, że nazywam się Magwitch, a na imię mi Abel. Ale dowiedziałem się o tym tak samo, jak się poznaje nazwy ptaków w lesie: wróbel, zięba czy drozd. Wierzyłem, że ptaki tak się właśnie nazywają, i na tej samej podstawie ufałem w prawdziwość własnego imienia i nazwiska.

Jak daleko sięgam pamięcią, nie przypominam sobie, żeby ktokolwiek spojrział-przychylnie na małego Abła Magwitcha,

który nie miał co włożyć na siebie ani do ust. Wszyscy go straszili, wypędzali albo zamykali. Byłem zamykany, zamykany ty-le razy, że wyrostem dostownie w zamknięciu.

I tak się stało, że ja, żalosne stworzenie, tak obdarte jak nikt chyba inny (prawda, że nie widziałem siebie wówczas w lustrze z tej prostej przyczyny, że nie wpuszczano mnie do przyzwoicie umeblowanych mieszkań), zasłużyłem sobie nie wiadomo czemu na opinię zatwardziałego grzesznika.

„Oto zatwardziały typ”, opowiadano o mnie gościom odwiedzającym więzienie, „mysłałby kto, że ten dzieciak całe życie spędza w więzieniu”.

Potem oni przyglądali się mnie, a ja im, oni mierzyli mi nie wiadomo po co czaszkę, gdy powinni byli zmierzyć raczej żołądek, dawali mi broszurki, których nie umiałem czytać, lub wygłaszali przemówienia, których nie byłem w stanie zrozumieć. Wszyscy straszili mnie diabłem. A ja co miałem, u diabła, zrobić, skoro byłem głodny? Musiałem przecieżyć jeść. Ale ja się tu robię ordynarny, a wiem, jak się powinienem wobec was zachować, drogi chłopcze i ty, przyjacielu Pipa. Nie bójcie się, już nie będę więcej ordynarny.

Włóczęąc się, żebrząc, kradnąc, niekiedy pracując (chociaż znacznie rzadziej, niż sobie to nawet wyobrażacie, bo pomyślicie sami, czy dalibyście takiemu pracę?), czasami jako kłusownik, rzadziej jako wyrobnik, niekiedy woźnica, pomocnik przy sianokosach, kramarz wędrowny, słowem, zajmujący się mnóstwem zawodów, które przynoszą niewiele, a doprowadzają młodego chłopca do zguby, wyrostem na męczczyznę. Pewien żołnierz-dezertier w miejscu spoczynku dla podróżnych, które znajdowało się w kopcu ziemniaków, nauczył mnie czytać, a pewien wędrownik-olbrzym, który za grosz sprzedawał swój podpis, nauczył mnie pisać. Już teraz nie zamykano mnie tak często jak przedtem, ale i tak siedziałem od czasu do czasu pod kluczem.

Na wyścigach w Epsom przed jakimś dwudziestu laty zapoznałem się z pewnym człowiekiem, którego czaszkę zmiażdżył-



bym niczym łapę homara tym oto pogrzebaczem, gdybym go teraz spotkał. Jego prawdziwe nazwisko brzmi Compeyson i to był właśnie ten człowiek, drogi chłopcze, o którym wczoraj po moim stąd wyjściu opowiadałeś twemu przyjacielowi, zem usiłował go zamordować w rowie przydrożnym.

Ten to Compeyson grał wielkiego pana, skończył szkoły i był uczony. Umiał mówić i znał manieri wielkich państwa. W dodatku był to ładny chłopiec. W przeddzień wielkiego wyścigu spotkałem go w pewnej speluncie niedaleko toru. Siedział za stołem z kilkoma innymi, a kiedym wszedł, gospodarz (którego dobrane znałem i który mnie lubił) przedstawił mnie i powiedział: „Wydaje mi się, że to jest człowiek, jakiego panu trzeba”. Compeyson przyrzekł mi się i ja mu się przyrzekałem. Miał zegarek z łańcuszkiem, pierścioneł, szpilkę w krawacie i eleganckie ubranie.

„Sądząc z pozorów, nie najlepiej się panu szczęści”, zauważył Compeyson.

„Tak jest, proszę wielmożnego pana”, potwierdziłem, „nawet nie wiem, co to szczęście” (wyszędłem właśnie z więzienia w Kingston, gdzie trzymano mnie za włóczęgostwo, a mogli mnie trzymać i za wiele innych rzeczy).

„Szczęście to zmienna rzecz”, ciągnął dalej Compeyson. „Może i pańskie się odmieni”.

Odpowiedziałem: „Mam nadzieję, że się odmieni. Już chyba czas”.

„Co pan potrafi robić?”, spytał mnie Compeyson.

„Jeść i pić”, odpartem, „jeżeli pan mi dostarczy materiału do tego”.

Compeyson roześmiał się, dał mi pięć szylingów, przyrzekł mi się jeszcze raz uważnie i zamówił mnie, bym przyszedł nazajutrz do tego samego lokalu.

Przyszedłem nazajutrz wieczorem na to samo miejsce i Compeyson zaangażował mnie jako swego współnika i pomocnika. A jaki to był interes Compeysona, w którym dostatek udział? Oszustwa, podrabianie pieniędzy, puszczanie w obieg skradzio-

nych banknotów i tym podobne zajęcia. Wymyślał najrozmaitsze matactwa, a cały jego interes polegał na tym, by kręcić, samemu brać nogi za pas, a innego zostawiać w biedzie. Serca nie miał więcej niż żelazny pilnik, był zimny jak śmierć, a sprytny jak diabeł, o którym już raz wspominałem.

Compeyson miał jeszcze jednego współnika. Nazywał się Artur. Nie było to prawdziwe jego imię, tylko przydomek. Był to człowiek już całkiem upadły, raczej cien człowieka. We dwóch obrobili przed kilku laty pewną bogatą damę i nabrali kupę pieniędzy, ale Compeyson grał, stawił wielkie zakłady i potrafiłby przepuścić nawet podatki króla. Artur, biedaczek, ledwie żył i był bardzo nieszcześliwy, i żona Compeysona (którą przeważnie bił) litowała się nad nim, ale sam Compeyson nie litował się nad nikim na świecie. Przykład Artura powinien był mnie ostrzec, ale tak się nie stało.

Nie uważałem się za nic lepszego od niego, to nie, mój drogi chłopcze i ty, przyjacielu Pipa. Zacząłem z Compeysonem i byłem w jego rękach posłusznym narzędziem. Artur mieszkał w tym samym domu co Compeyson, na górze (było to gdzieś w okolicy Brentford). Compeyson zapisywał wszystko, co wydawał na jego utrzymanie i mieszkanie na wypadek, gdyby chłopiec zdobył pieniądze i mógł mu zapłacić. Ale Artur wkrótce uregulował swój rachunek. Za drugim czy trzecim razem, kiedy go widziałem, zbiegł na dół do bawialni Compeysona, ubrany w flanelowy strój nocny, z włosami zlepionymi od potu, i zawołał do żony Compeysona: „Sally, ona jest teraz tam u mnie na górze. Nie mogę się jej pozbyć, jest cała w bieli, ma kwiaty we włosach, jest jak oszalała, przez ramię ma przewieszony całun i mówi, że o płaciej rano mnie nim zakryje”.

„Głupcze”, krzyknął do niego Compeyson, „czyż nie wiesz, że ona żyje? I jakże mogłaby zjawić się u ciebie, nie przechodząc przez drzwi ani przez okno, ani po schodach?”

„Nie wiem”, odpowiedział Artur, drząc na całym ciele, „wiem tylko, że stoi u stóp mego łóżka, że jest oszalała i że na jej złamanym sercu – to tyś je złamał – są krople krwi...”

Compeyson mówił bardzo głośno, ale w gruncie rzeczy był tchórzem. Zwrócił się więc do swej żony: „Idź na górę z tym chorym, który opowiada tu takie brednie, a ty, Magwitch, pójdz z nią razem i pomóż jej, dobrze?” Sam jednak nie poszedł.

Razem z żoną Compeysona zaprowadziliśmy Artura na górę, położyliśmy go na łóżku, a on krzyczał okropnie i bredził: „Patrzcie na nią! Grozi mi całunem! Czy jej nie widzicie? Patrzcie na jej oczy! Czy to nie straszne, że jest obłąkana?”. A po chwili jęczał: „Rozpostrze go nade mną i wtedy jestem zgubiony! Zabierzcie jej go! Zabierzcie!”. A potem czepiał się nas i mówił do niej, jak gdyby odpowiadał na jakiś jej pytania, tak że miałem wrażenie, iż ją widzę. Żona Compeysona, która widocznie była już do tego przyzwyczajona, dała mu się napić i powoli się uspokajał: „Poszła”, oznajmił. „Czy przyszedł po nią stróż?”. „Tak, przyszedł”, przytaknęła żona Compeysona. „Czy powiedzieliście mu, żeby ją zamknął i nie wypuszczał?”. „Tak”. „I żeby zabrał jej tę wstrętną rzecz?”. „Tak, tak, oczywiście”. „Pani jest dobra”, rozczulił się. „Niech pani ode mnie nie odchodzi. Dziękuję”.

Pozostał spokojny aż do chwili, gdy zegar pokazywał kilka minut przed piątą rano. Wówczas zerwał się na nowo z krzykiem i zaczął jęczeć:

„Jest, jest znowu! Ma całun w ręku. Zbliża się do łóżka. Trzymajcie mnie oboje, z obu stron, nie pozwólcie, żeby mnie dotknęła! Ha, nie trafiła mnie tym razem. Nie dajcie jej zarzucić mi całuna na ramiona! Nie pozwólcie, aby mnie nim owinęła. Trzymajcie mnie!”

Tu wyprężył się gwałtownie i umarł.

Compeyson nie przejął się tym wcale: przeciwnie, uważał to za doskonałe wyjście z sytuacji dla obu stron. Zaraz potem zabrał się, on i ja, do interesów, ale przedtem (zawsze był sprytny) kazał mi przysiąc na tę małą książeczkę, tę samą małą, czarną książkę, na którą przysięgał twój przyjaciel, kochany mój chłopcze.

Nie będę się zagłębiał w szczegóły tych wszystkich oszukańczych interesów, jakimi zajmował się Compeyson (gdyż zajęto-

by to co najmniej tydzień), powiem wam tylko, drogi chłopcze i ty, przyjacielu Pipa, że ten człowiek opłatał mnie, że zrobił ze mnie swego niewolnika. Byłem nieustannie jego dłużnikiem, nieustannie pod jego władzą, ciągle na jego usługi i wiecznie narażony na niebezpieczeństwa. Był młodszy ode mnie, ale przewyższał mnie sprytem, wykształceniem przynajmniej pięćset razy, przy tym nie znał litości. Moja żona i ja wycierpieliśmy przez niego... Ale nie, nie będę /ej/ teraz mieszał w te sprawy.

Rozejrzał się wokół siebie bezradnie, jak gdyby nagle utracił wątek w książce swych wspomnień. Odwrócił twarz do ognia, rozłożył ręce i oparł je na kolanach, potem podniósł do góry i znowu wsparł tak, jak poprzednio.

— Ale nie warto o tym więcej mówić. Okres, który spędziłem z Compeysonem, był najgorszym okresem mego życia, a to wiele znaczy. Czy opowiadałem wam, jak to mnie skazano za sprawki Compeysona?

— Nie — odparłem.

— Więc — mówił — byłem sądzony i skazany. W ciągu trzech czy czterech lat, kiedy pracowałem z Compeysonem, podejrzewano mnie kilka razy, ale nigdy nie mieli dowodów mojej winy. I wreszcie oskarżono mnie i Compeysona o oszustwo, a ściślej mówiąc o puszczanie w obieg fałszywych pieniędzy i o jeszcze inne sprawki. Compeyson powiedział: „Brońmy się każdy oddzielnie, nie porozumiewajmy się między sobą”. I tyle. Byłem takim nędzarzem, że musiałem sprzedać wszystkie rzeczy, jakie posiadałem, z wyjątkiem tego, com miał na grzbiecie, by opłacić Jagersa.

Kiedyśmy zasiedli na ławie oskarżonych, spostrzegłem, jak wykwinicie wyglądał Compeyson, z kręconymi włosami, w czarnym ubraniu z białą chusteczką w kieszonce marynarki, i jak przy nim ja robiłem wrażenie nędzarza. Kiedy tylko rozpoznał się proces, zrozumiałem, jak ciężkie oskarżenie przygniata mnie, a jak lekkie spoczywa na nim. Po zeznaniach świadków pojąłem dopiero, że on mnie wysuwał zawsze naprzód: to mnie wręczano fałszywe pieniądze, ja się z nich wyliczałem i jakoby

tylko ja miałem z nich korzyści. Ale jeszcze jaśniej zrozumiałem sytuację po mowie obrońcy Compeysona, powiedział on bowiem: „Panowie sędziowie, macie tu przed sobą dwu oskarżonych. Młodszy to człowiek starannie wychowany i jako o takim będziemy o nim mówili. Starszy to osobnik bez żadnego wychowania i jego również potraktujemy odpowiednio. Młodszy rzadko kiedy wiedział prawdę o tych transakcjach, zaledwie je podejrzewając. Starszy za to dobrze sobie zdawał sprawę, na czym one polegały, i zyski przynosił sobie do domu. Jeżeli w tej sprawie tylko jeden z nich zawinił, to czyż możecie się wahać w wyborze? A jeżeli popełnili przestępstwo obaj, to czyż nie widać jasno, który z nich jest sprawcą tych przewinień?”. Tak i tym podobnie mówił. A kiedy doszło do omawiania naszych charakterów, to okazało się, że wśród świadków są koledy Compeysona ze szkoły i że widywali go i potem w rozmaitych towarzystwach i klubach, i że są o nim najlepszego zdania. A byli to ludzie dobrze wychowani i okazało się też, że ja jestem znanym w okolicy ptaszkiem, który już niejednokrotnie przesiadywał w tutejszych więzieniach. Kiedy przyszło do oświadczenia samego Compeysona, to mówił ślicznie, ocierając oczy białą chusteczką, i nawet przemawiał wierszem, a kiedy na mnie przysła koleją, umiałem tylko powiedzieć: „Panowie, ten człowiek obok mnie to największy łotr”, i nic więcej. A przed werdyktem to dla Compeysona proszono o łagodny wyrok ze względu na jego uczciwą przeszłość, na złe wpływy, którym podlegał, i ze względu na wszystkie informacje, których dostarczył sądowi o mojej osobie. A dla mnie mieli tylko jedno słowo: „Winien”. A kiedy powiedział do Compeysona: „Jak tylko wyjdziemy z sądu, stłukę ci pysk”, to Compeyson zwrócił się o obronę przede mną i dano mu dwu strażników, którzy stali pomiędzy nim a mną. A kiedy ogłoszono werdykt, to Compeyson dostał siedem lat, a ja czternaście i jeszcze sędzia dodał, że żal mu Compeysona, bo mógł się inaczej pokierować, a o mnie mówił, że jestem starym przestępcą, człowiekiem, którego zgubne umiejętności doprowadzą do złego końca.

Opowiadający podniecił się ogromnie, ale przetknąwszy trzy razy ślinę, uspokoił się jak gdyby i oświadczył, wyciągając ku mnie rękę:

– Nie bój się, kochany chłopcze, nie będę już ordynarny.

Wyjął chusteczkę z kieszeni i otarł nią spoczone czoło, twarz, kark i ręce, zanim rozpoczął dalsze opowiadanie.

– Obiecywałem Compeysonowi, że mu rozbiję pysk, i przysiągłem sobie, że to uczynię. Byliśmy na jednej galerze na robotach, ale nie miałem okazji go spotkać. Wreszcie jednego dnia zobaczyłem go, podbiegłem i uderzyłem go w twarz, ale natychmiast mnie schwytało. Udało mi się jednak zaraz potem skoczyć do wody, a ponieważ umiałem dobrze nurkować i pływać, wydostałem się na brzeg i schowałem na cmentarzu wśród mogił. Tam zobaczyłem po raz pierwszy mego kochanego chłopca. Rzucił mi serdeczne spojrzenie i poczułem do niego nienawiść, chociaż żal mi go było ogromnie.

– Mój chłopiec powiedział mi wówczas, że Compeyson znajduje się również na bagnisku. Jestem pewien, że uciekł z galer, lękając się strasznie mojej zemsty i nie wiedział, że i ja jestem już na łaździe. Odnalazłem go i wytkłem po twarzy. „A teraz”, oznajmiłem mu, „zrobię najgorszą dla ciebie rzecz, bo o siebie mi już wcale nie chodzi: zawlokę cię z powrotem na galerę”. I gdyby się opierał, zataszczyłbym go za włosy przez wodę bez pomocy żołnierzy.

Wykręcił się ze wszystkiego, był przeciw człowiekiem dobrze wychowanym: twierdził, że uciekł ze statku oszalały ze strachu przed moimi morderczymi zamiarami. Dano mu lekką karę, a mnie zakuto w kajdany, postawiono raz jeszcze przed sądem i skazano na dożywocie. Ale ja nie zostałem tam na zesłaniu do końca życia, drogi chłopcze i ty, przyjacielu Pipa, skoro jestem tutaj z wami.

Znowu otarł chustką twarz i szyję, wyjął z kieszeni tyton, z kieszonki fajkę, powoli napchał ją tytoniem i zabrał się do palenia.

– Czy on umarł? – spytałem po chwili milczenia.

– Czy kto umarł, drogi chłopcze?

– Compeyson.

– Jeżeli żyje, to spodziewa się, że ja umarłem, możesz być tego pewien – odparł, patrząc dzikim wzrokiem. – Nigdy już o nim więcej nie słyszałem.

Tymczasem Herbert napisał na okładce książki kilka słów ołówkiem i gdy Provis odwrócony twarzą do kominka palił fajkę, podsunął mi nieznacznie tę książkę. Przeczytałem...

„Młodemu Havishamowi na imię było Artur. Compeyson to człowiek, który udawał miłość do miss Havisham”.

Zamknąłem książkę, pokiwałem głową Herbertowi i odsunąłem książkę od siebie. Żaden z nas nie wymówił słowa. W milczeniu przyglądaliśmy się, jak Provis, stojąc przy kominku, pali fajkę.

## Rozdział czterdziesty trzeci

Po cóż mam zatrzymywać się w opowiadaniu i zadawać sobie pytanie, w jakim stopniu mój wstręt do Provisa łączył się z Estellą? Po cóż mam zwalniać kroku i rozpamiętywać wspomnienia owej chwili, kiedy to przed spotkaniem z Estellą na stacji dyliżansów usiłowałem otrząsnąć się z ohydy zetknięcia się z więzieniem i porównywać z tamtym przeżyciem uczucie, które teraz mną owładnęło, uczucie przepaści, jaka się otworzyła pomiędzy dumną i piękną Estellą a mną, ukrywającym zbiegłego przestępcę? Droga moja nie stałaby się przez to łatwiejsza ani konieczniej lepszy, ani też obecność Provisa mniej by mi nie ciążyła.

Opowieść jego zrodziła we mnie jeszcze jedną obawę, a raczej skrytalizowała i uzasadniła lęk, który nurtował mnie już przedtem. Jeżeli Compeyson żyje i dowie się o miejscu pobytu Magwitcha, można się domyślić, co się stanie. Nikt lepiej niż oni dwaj i ja nie wiedział, jak śmiertelnie Compeyson lękał się Provisa, a nie mogłem wątpić, że taki człowiek, jakiego przed chwilą poznaliśmy z opisu, skorzysta z okazji pozbycia się swego śmiertelnego wroga raz na zawsze, jeżeli tylko będzie mógł go zadenuncjować.

Dotychczas nie wspominałem nigdy Provisowi o Estelli i nadal nie miałem zamiaru mu o niej mówić. Ale Herbertowi oświadczyłem, że zanim wyjedziemy za granicę, muszę zobaczyć Estellę i miss Havisham. Powiedziałem mu to owego wie-

czora, kiedy zostaliśmy sami po wysłuchaniu opowiadania Provisa. Postanowiłem nazajutrz udać się do Richmond.

Gdy zjawiłem się w domu pani Brandley, pokojówka oznajmiła mi, że Estella pojechała na wieś. Dokąd? Do Willi „Satis”, jak zwykle. Odpowiedziałem, że wcale nie jak zwykle, bo do tychczas nigdy jeszcze nie jeździła beze mnie. Kiedy powróci? W odpowiedzi dziewczynny wyczułem pewne wahanie. Zauważyłem, że pokojówka Estelli mówiła tak, jakby Estella miała przyjechać już w ogóle tylko na krótko. Zrozumiałem z tego wszystkiego tylko tyle, że pragną tu, bym nic nie rozumiał, i wróciłem do domu w stanie zdenewrowania.

Po jeszcze jednej nocnej naradzie z Herbertem, którą odbyliśmy, gdy odprowadziłem Provisa do domu (odprowadzałem go co wieczór, rozglądając się wokół siebie ostrożnie), zdecydowałem się, że nie możemy myśleć o wyjeździe za granicę, zanim nie pojadę do miss Havisham. Przez ten czas mieliśmy, każdy oddzielnie, zastanowić się, co będzie lepiej: czy powiedzieć Provisowi, że wywozimy go za granicę, gdyż wiemy, że istnieje w stosunku do niego podejrzenie, czy też, że jedziemy, bo ja nigdy jeszcze nie opuszczałem kraju. Obaj wiedzieliśmy doskonale, że spełni on każde moje życzenie. Obaj zgadzaliśmy się na jedno, że nie do pomysłenia jest, aby długo pozostawał tu jeszcze wobec takiego ryzyka.

Nazajutrz byłem na tyle podły, by udawać, że muszę wyjechać do Joeego, który mnie wzywa. Ale chyba nie istniała taka podłość, której nie potrafiłbym popelinić wobec Joeego czy jego imienia. Provis miał w czasie mojej nieobecności zachowywać się wyjątkowo ostrożnie, a Herbert podjął się mnie zastąpić w opiece nad nim. Postanowiono, że spędzę poza domem tylko jedną noc i że po powrocie zgodzę się wreszcie na rozpoczęcie życia na wielką stopę, o czym Provis od dawna marzył.

W związku z tym przyszło mi do głowy – a jak się później dowiedziałem, Herbert wpadł także na ten sam pomysł – że będzie można podróżować przez kanał użyć jako pretekstu do poczynienia wytwornych zakupów za granicą.

W ten to sposób, przygotowawszy sobie grunt przed podróżą do miss Havisham, wyjechałem pierwszym porannym dyliżansem jeszcze przed świtem i byłem już na otwartej wiejskiej szosie, kiedy dopiero wypełził ociągający się dzień, placzliwy i drżący, otulony w skrawki obłoków i w tachmany mgły niczym żebrak.

Kiedy po dżdżystej drodze zajechaliśmy przed gospodę „Pod Błękitnym Dzikim”, kogóż to ujrzalem przed bramą z wykalczką w palcach i przyglądającego się dylizansowi? Bentleya Drummla a we własnej osobie!

Ponieważ udawał, że mnie nie spozstrzeża, więc i ja udawałem, że go nie widzę. Było to bardzo niezręczne, zwłaszcza że zarówno on, jak i ja weszliśmy do wnętrza kawiarni, gdzie on przed chwilą skończył się pożywiać. Zamówiłem śniadanie. Wzrost owego chłopca w tym miasteczku był dla mnie czymś zabójczym: wiedziałem bowiem aż nadto dobrze, po co tu przyjechał.

Udając, że czytam starą zahuszczoną gazetę, której wiadomości lokalne znikały niemal całkowicie pod plamami kawy, marynat, sosu, topionego masła i wina, jak pod wysypką jakiejś dziwacznej odry, siedziałem przy stoliku, podczas gdy Drummla stał przy kominku.

Poczułem się nagle obrażony, że on zajmuje miejsce przy ogniu, i wstałem z postanowieniem, by także się ogrzać, musiałem jednak wyciągnąć rękę, dotykając jego nóg, by uchwycić pogrzebacz i poprawić nim ogień. Ciągłe udawałem, że nie znam Bentleya.

– Czy to zaczepka? – spytał mnie Drummla.

– O – odpowiedziałem z pogrzebaczem w ręku – to pan? Jakże się pan miewa? Nie poznałem pana i właśnie się zastanawiałem, kto mi tak zajmuje miejsce przy kominku.

To mówiąc, energicznie uderzyłem pogrzebaczem w węgle i rozprostowawszy ramiona, umieściłem się obok mego towarzysza, plecami do ognia.

– Pan dopiero co przyjechał? – badał Drummla, popychając mnie ramieniem.

– Uważaj, co ci powiem, ty wielmożny panie. Pani dzisiaj ze mną nie jedzie. Pogoda jest brzydka.

– Dobrze, wielmożny panie.

– I nie będę dzisiaj tu na obiedzie. Jestem zaproszony do pani.

– Bardzo dobrze, wielmożny panie.

W tej chwili Drummle spojrzął na mnie z bezczelnym triumfem na pucotowatej twarzy i spojrzenie to, pomimo przeświadczenia o głupocie Drummle'a, zraniło mnie w samo serce i doprowadziło do takiej rozpacz, że bliski bytem pochwylenia go w ramiona i wrzucenia w płomienie kominka (jak w znanej baśni złodziej postąpił ze staruszką).

Jedna rzecz zdawała się jasna nam obu: że bez pomocy z zewnątrz żaden z nas nie zdecyduje się pierwszy ustąpić miejsca przy kominku. Staliśmy więc tak ramię przy ramieniu i stopa przy stopie, szeroko rozstawwszy nogi i spiótszy dłonie na plecach, nie ruszając się ani na cal. Przez szczelinę wpótfotwartych drzwi widać było czekającego konia, na stole stygło moje śniadanie i kelner, sprzątnąwszy po śniadaniu Drummle'a, zapraszał mnie, bym usiadł do stołu. Pokiwałem głową, ale staliśmy dalej nieruchomo.

– Czy był pan od tego czasu w „Gaju”? – spytał mnie Drummle.

– Nie – odpartem – miałem już dość „Zięb” po ostatniej mojej tam bytności.

– Czy było to wówczas, gdyśmy się ze sobą poróżnili? – dopytywał się Drummle.

– Tak – odpowiedziałem bardzo krótko.

– Kto by powiedział – zauważył Drummle – przecież nikt panu wówczas nie dokuczył. Nie trzeba było wpadać w gniew.

– Panie Drummle – oświadczyłem – nie pan będzie mi udzielał rad w tej sprawie. Kiedy wpadam w gniew (bynajmniej nie mówię, że wtedy się rozgniewałem), nie rzucam szklankami.

– A ja rzucam – oznajmił Drummle.

Spojrzałem na niego raz i drugi z rosnącą wściekłością, i powiedziałem:

– Tak – potwierdziłem i odwzajemniłem mu się pięknym za nadobne.

– Okropna miejscowość – powiedział Drummle – zdaje się, pańskie rodzinne strony?

– Tak – odpartem – mówiono mi, że bardzo podobne do pańskiego Shropshire.

– Całkiem niepodobne – zaprotestował Drummle.

W tej chwili spojrzął na swoje buty, a ja na swoje, potem z kolei on na moje obuwie, a ja na jego.

– Czy długo pan tu już przebywa? – spytałem mocno zdecydowany, by ani na cal nie ustępować mu miejsca przy kominku.

– Dostatecznie długo, by się znudzić – oświadczył Drummle, udając, że ziewa, ale najwyraźniej równie zdeterminowany jak ja.

– Czy długo pan jeszcze pozostaje tutaj? – dowadywałem się.

– Nie mogę powiedzieć. A pan?

– Nie mogę powiedzieć – odpartem.

W tej chwili poczułem po wzburzeniu krwi, która uderzyła mi do głowy, że jeżeli Drummle o włos dalej posunie ramię, to wyrzucę go przez okno, i jednocześnie wiedziałem, że jeżeli ja o włos posunę się do niego, to on zrobi to samo. Drummle zagwizdał. Ja także.

– Wokół miasteczka ciągną się daleko bagniska, zdaje się? – zapytał Drummle.

– Tak. Więc co z tego? – odpowiedziałem.

Drummle popatrzył na mnie, potem na moje buty, wykrzyknął: „Och!” i roześmiał się.

– Co pana roześmieszyło, panie Drummle?

– Nic – zaprzeczył – nic szczególnego. Mam zamiar przejechać się konno po tych bagniskach i obejrzeć je sobie z bliska. Mówiono mi, że są tam ciekawe zakątki. Jakies stare oberże czy kuźnie. Kelner!

– Tak, wielmożny panie.

– Czy mój koń gotów?

– Stoi przed drzwiami, wielmożny panie.

– Panie Drummlu, ja nie szukatem tej rozmowy i nie uważam jej za przyjemną.

– Nie sądzę wcale, aby była przyjemna – odpart wyniośle, patrząc przez ramię – w ogóle nic o niej nie sądzę.

– Wobec tego – ciągnąłem – proponuję, abyśmy odłąd po pańskim wyjździe przestali w ogóle się znać.

– I ja jestem tego samego zdania – zareplikował Drummlu – zamierzałem i tak to zrobić bez proponowania panu czegokolwiek. Ale niech pan nie traci dobrego humoru. Czyż i tak nie dość już pan stracił?

– Co pan chce przez to powiedzieć?

– Kelner! – zawołał znowu Drummlu, nie mi nie odpowiadając.

Kelner zjawił się ponownie.

– Uważaj. Czyś dobrze zrozumiał, że mloda pani nie towarzyszy mi dzisiaj w konnej przejażdżce i że jestem u niej na obiedzie?

– Tak jest, wielmożny panie.

Kiedy kelner wyszedł, dotknąwszy przedtem dłonią mojego szybko stygnącego imbryczka i spojrzawszy na mnie błagalnie, Drummlu wyjął z kieszeni cygaro, odgryzł koniec, ale nie zrobił najmniejszego gestu, by się odsunąć od kominka, i wciąż najspokojniej w świetle dotykał mnie ramieniem.

Gotując się z wściekłości czulen, że nie możemy już wymówić ani słowa, nie wymieniając Estelli, a jednocześnie myśl, że on będzie o niej mówił, była dla mnie nie do zniesienia. Więc patrząc uparcie w przeciwną stronę, jakby nikt koło mnie nie stał, milczałem zawzięcie. Nie wiadomo, jak długo trwałbyśmy w tak śmiesznej pozycji, gdyby nie to, że do pokoju wtargnęli wprowadzeni przez kelnera trzej zamożni rolnicy, którzy zacie-rając dłonie i rozpinając burki kierowali się wprost do kominka, zmuszając nas do odstąpienia im miejsca.

Widziałem przez okno, jak Drummlu wskakuje na konia, ująwszy go brutalnie po swojemu za grzywę. Już zdawało mi się, że odjechał, kiedy nagle zjawił się znowu, żądając ognia do cyga-

ra, które zapomniał zapalić. Wysunął się wówczas, nie wiedziatem skąd, czy z podwórka oberży, czy też z ulicy jakiś człowiek w popielatym ubraniu i podał mu to, czego żądał. Drummlu rozśmiał się, pochylony z siodła zapalił cygaro i coś mówił do tego człowieka, pokazując okna jadalni. Nie wiadomo czemu, pochylone ramiona i potargane włosy nieznanego przypominały mi Orlicka.

Zbyt zajęty innymi myślami, by zastanawiać się, czy też to był rzeczywiście on, lub też by zjeść śniadanie, obmyłem twarz i ręce z pyłu podróznego i skierowałem się do starego domu, którego progno obym nigdy był nie przestępował.

wi. Jestem tak właśnie nieszcześliwy, jak pani sobie tego życzyła.

Miss Havisham wciąż patrzyła na mnie spokojnie. Po ruchu palców Estelli poznawałem, że i ona słucha uważnie tego, co mówię, ale nie spojrziała na mnie ani razu.

— Odkryłem, kto jest moim opiekunem. Nie jest to szczęśliwe odkrycie i fakt ten nie sprzyja ani mojej karierze, ani opinii, ani fortunie. Są przyczyny, dla których nic więcej powiedzieć nie mogę. Nie jest to bowiem moja tajemnica, tylko cudza.

Ponieważ teraz umilkłem na dłuższą chwilę, szukając słów dla dalszego ciągu, miss Havisham podchwyciła:

— To nie twoja tajemnica, tylko cudza. A więc?

— Kiedy sprowadziła mnie pani tutaj po raz pierwszy z mojej wioski, której bodajbym nigdy nie był opuszczal, uczyniła to pani tylko po to, bym w charakterze jakby służącego (mógł mnie zastąpić byle przypadkowy chłopiec) oddawał pewne usługi, zaspokajał pewne kaprysy i otrzymywał za to zapłatę. Czy tak?

— Tak, Pip — potwierdziła miss Havisham, kiwając głową — właśnie tak było.

— A pan Jagers...

— Pan Jagers nie miał z tym nic wspólnego — przerwała mi miss Havisham stanowczym tonem — nic o tym nawet nie wiedział. Jeżeli jest moim adwokatem i jednocześnie adwokatem twego opiekuna, to tylko przypadkowy zbieg okoliczności (zresztą całkiem naturalny wobec tego, że ma on wielu klientów), nikt tego specjalnie nie organizował.

Z jej wyschniętej twarzy można było wyraźnie wyczytać, że mówiła prawdę.

— Ale kiedy uległem pomyłce, w której tkwiłem tak długo, to mnie pani w niej podtrzymywała umyślnie? Czy tak?

— Tak — odparła, kiwając znowu głową — podtrzymywałam cię w niej istotnie.

— Czy to nie było postępowanie bez serca? — spytałem.

— Kimże jestem — wrzasnęła, nagle wpadając w gniew i wywołując tym zdziwienie Estelli, miss Havisham i zaczęta walić

## Rozdział czterdziesty czwarty

W pokoju, w którym stała gotownia, a na ścianach płonęły woskowe świece, zastałem miss Havisham i Estellę. Stara dama siedziała na sofce przy kominku, a Estella na poduszce u jej stóp. Młoda dziewczyna robiła na drutach, a miss Havisham przyglądała się jej robocie. Obie podniosły wzrok na mnie, kiedy wszedłem, i obie, jak to poznałem z ich spojrzenia, dostrzegły we mnie jakąś zmianę.

— Jakież wiatr cię tu sprowadza, Pip? — spytała miss Havisham.

Spotrzągnęłam, że mimo spokojnego spojrzenia była w tej chwili jak gdyby zmieszana. Estella przerwała na chwilę robotę, spojrziała na mnie i znów zaczęła poruszać drutami, a ja z ruchu jej palców wyczytałem niby z alfabetu dla głuchoniemych, że wie już, iż odkryłem mego istotnego dobroczyńcę.

— Miss Havisham — odparłem — byłem wczoraj w Richmond, by porozmawiać z Estellą, a kiedy się dowiedziałem, że jakiś wiatr przywiął ją tutaj, przyjechałem tu za nią.

Ponieważ miss Havisham trzy- czy czterokrotnie zapraszała mnie ruchem, abym usiadł, wybrałem krzesło przy gotowni, na którym nieraz ją widywałem, i skorzystałem z jej zaproszenia. To miejsce z obrazem ruiny u stóp i dokoła odpowiadało mi w tej chwili najbardziej.

— To, co miałem do powiedzenia Estelli, miss Havisham, powiem w pani obecności. Nie zdziwi to pani ani nie zmar-



laską w podłogę – kimże jestem, abym postępowała zgodnie z nakazami serca?

Odpartem, że pytanie to mi się tylko wyrwało, i to ją uspokoiło, chociaż jeszcze przez dłuższy czas szeptała coś do siebie.

– No, więc, więc, więc – powiedziała wreszcie, ochłonąwszy po wybuchu – co dalej?

– Moje usługi tutaj zostały całkowicie opłacone – ciągnąłem, aby ją uspokoić – pytanie to zadałem ze względów osobistych. Ale te, które teraz nastąpią, będą bardziej bezinteresowne i zadane w innym celu. Czy przyzna pani, miss Havisham, że utrzymując mnie umyślnie w mojej pomyłce, chciała pani przez to ukarać czy też wystawić na próbę (niech pani sama wybierze określenie) swoich egoistycznych i chciwych krewnych?

– Tak, chciałam. Sami mnie do tego doprowadzili i ty także doprowadziłeś mnie do tego, że pozostawiłam ciebie w błędzie. I dlatego to ja, która mam za sobą takie okropne życie, miałabym prosić wasze pomyłki? Wpadliście w pułapkę, którą sami sobie zastawiliście. Ja jej nie zastawiałam!

Przeczekawszy jej dziki i nagły wybuch wściekłości, ciągnąłem dalej, gdy się już uspokoiła:

– Mieszkałem u spokrewnionej z panią rodziny, miss Havisham, przebywałem wśród nich niemal nieustannie od chwili mego przybycia do Londynu i wiem, że wraz ze mną uczciwie dzielili te same złudzenia. Byłbym fałszywym i podłym człowiekiem, gdybym tu pani nie oświadczył bez względu na to, czy się pani to spodoba czy nie, że krzywdzi pani pana Mateusza Pocketa i jego syna Herberta, jeżeli nie uważa ich pani za ludzi głęboko uczciwych, lojalnych, szczerych i niezdolnych do najmniejszego bodaj wyrachowania czy chciwości.

– To są twoi przyjaciele – zauważyła miss Havisham.

– Stali się moimi przyjaciółmi, i to wówczas, gdy sądzili, że przeze mnie zostali wydziedziczeni, wtedy, kiedy, jak mi się wydaje, panna Sara Pocket, panna Georgiana i pani Kamilla bynajmniej nie były w stosunku do mnie przyjaźnie nastrojone.

Sprawiło mi przyjemność, że miss Havisham życzliwie przyjęła ten podział zastosowany do jej rodziny. Spojrzała na mnie uważnie i spytała po chwili:

– Czego żadasz dla nich?

– Tylko tego, żeby nie łączyła ich pani z innymi swymi krewnymi. Mogą mieć w zylach tę samą krew, ale niech mi pani wierzy, mają inną naturę.

Miss Havisham nadal przyglądała mi się bacznie i powtórzyła:

– Czego żadasz dla nich?

– Nie jestem dość przebiegły – odpartem, rumieniąc się – by móc ukryć przed panią, że istotnie czegoś dla nich pragnę. Gdyby pani zechciała przyznać pewną sumę dla Herberta, sumę, która zawazyłaby na całym jego życiu, ale tak, aby on sam się tego nie domyślał, powiedziałabym pani, jak to uczynić.

– A dlaczego miałoby to być w tajemnicy przed nim? – badała, opierając się na lasce, aby przyjrzeć mi się jeszcze uważniej. – Bo jeszcze przed dwu laty zacząłem mu wyświadczać tę samą przysługę bez jego wiedzy i nie chciałbym, aby się o tym dowiedział. Nie mogę dać żadnych bliższych wyjaśnień w tej sprawie, bo znów nie jest to moja, tylko cudza sprawa.

Stopniowo odwracała ode mnie głowę i przeniosła wzrok na ogień kominka. W pewnej chwili, gdy po dopalających się włoskowych świecach sądziłem, że przerwa trwa już długo, i gdy opadający z sykiem z kominka węgielki obudził ją z zadumy, spojrzała mi znowu w twarz, początkowo z rozłargnieniem, potem z rosnącą uwagą. Estella tymczasem nieustannie robiła na drutach. Kiedy miss Havisham w milczeniu mi się przyglądała, Estella spytała takim tonem, jak gdyby w rozmowie naszej nie było przerwy:

– No i co dalej?

– Estello – odpowiedziałem, zwracając się do niej i usiłując opanować drzenie głosu – wiesz przecież, że cię kocham. Wiesz, że od dawna kocham cię i kochałem gorąco.

Podniosła ku mnie oczy, podczas gdy dźwięk jej dalej poruszały drutami. Patrzyła ma mnie obojętnie. Widziałem, jak

wzrok miss Havisham wędrował teraz od mojej twarzy ku twarzy Estelli i z powrotem.

– Powiedziałbym ci to o wiele dawniej, gdyby nie moja pomyłka: sądziłem, że miss Havisham przeznaczyła nas dla siebie wzajemnie, i nie chciałem ci robić wyznań myśląc, że jesteś w przymusowej sytuacji. Ale teraz nie mogę już dłużej milczeć. Zachowując nadal spokój, Estella nie przestawała pracować, potrząsnęła tylko głową.

– Wiem – odpartem, widząc ten gest – wiem dobrze, że nie mogę mieć nadziei, aby nazwać cię moją. Nie wiem, co się ze mną stanie w najbliższym czasie, nie wiem, do jakiego stopnia będę ubogi ani dokąd się udam. A mimo to kocham cię. Kochałem cię od pierwszej chwili, kiedy cię zobaczyłem w tym domu.

Patrząc na mnie wciąż nieporuszenie i dalej pracując palcami, potrząsnęła znowu głową.

– Gdyby miss Havisham pomyślała o tym, co czyni – mówiłem dalej – byłoby z jej strony okrucieństwem igrać z wrażliwością biednego chłopca i zadawać mu w ciągu długich lat tortury niespełnionych nadziei. Ale wydaje mi się, że w obliczu swych własnych cierpień po prostu nie myślała o moich, Estello.

Ujrzałem, jak miss Havisham położyła sobie dłoń na sercu i patrzyła kolejno to na mnie, to na Estellę.

– Zdaje mi się – przemówiła Estella bardzo spokojnie – że istnieją uczucia czy powikłania, których nie jestem w stanie pojąć. Kiedy mi mówisz, że mnie kochasz, to rozumiem ten wyraz, ale nic więcej. Wyraz ten nie budzi nic w moim sercu, nic we mnie nań nie odpowiada. Nic mnie nie obchodzi to, co do mnie mówisz. Uprowadzałem cię zresztą co do tego. Powiedz sam, czy ciebie nie uprowadzałem?

– Potwierdziłem żałośnie:

– Tak.

– Tak. Ale ty nie dajesz się przestrec, bo nie wierzyles, że tak jest naprawdę. Czy teraz mi wrzeczcie wierzysz?

– Wierzyłem ci i wtedy, ale miałem nadzieję, że tak napraw-

ę nie myślisz. Ty, taka młoda, taka niewinna, taka śliczna, Estello! Przecież to byłoby wbrew naturze.

– Ale zgodnie z *moją* naturą – odparła i dodała z naciskiem – z naturą, którą we mnie wyrobiono. To, że ci to mówię, jest już wielkim wyróżnieniem twojej osoby spośród innych. Więcej nic już nie mogę.

– Czy to prawda, że Bentley Drummle jest tu w mieście i że przesyładuje cię swoją osobą?

– To prawda – odpowiedziała Estella z najwyższą obojętnością, a nawet pogardą.

– Ze zachęcasz go, jeździsz z nim konno i że dzisiaj jest przesyłany do ciebie na obiad?

Wydawała się trochę zdziwiona moimi wiadomościami, ale potwierdziła spokojnie:

– To wszystko prawda.

– Nie możesz go kochać, Estello!

Palce jej zatrzymały się po raz pierwszy i zapytała z rozdrażnieniem w głosie:

– Czy doprawdy nie rozumiesz tego, co mówię? Czy sądzisz, że mówię ci nieprawdę?

– Ale nie wyjdiesz za niego za mąż, Estello?

Spojrzała pytająco na miss Havisham i zastanawiała się przez chwilę z robotą w ręku. Wrzeczcie odpowiedziała:

– Czemu nie miałabym ci odpowiedzieć prawdy? Wyjdę za niego.

Zakryłem twarz dłońmi, ale potrafiłem się opanować szybciej niż przypuszczałem, mimo straszliwej męki, jaką zadały mi te słowa. Kiedy odstoniłem twarz, upiorny wyraz oczu miss Havisham uderzył mnie mocno mimo bólu.

– Estello, najdroższa, najdroższa Estello, nie pozwól miss Havisham skonać się do tego fatalnego kroku. Oddal mnie od siebie na zawsze – wiem, że i tak już to uczyniłaś, ale wybierz sobie kogoś godniejszego siebie niż Drummle. Miss Havisham cię ku niemu popycha tylko po to, by obrazić tych wszystkich znacznie wartościowszych mężczyzn, którzy cię wielbią, i tych niewielu, którzy cię naprawdę kochają. Pośród nich znajdziesz się

może taki, który kocha cię tak samo czule, jeżeli nie tak samo dawno, jak ja. Wybierz go i wyjdź za niego za mąż, a ja zniosę to dla twojego szczęścia.

Mój pelen szczerzej powagi wybuch wyrwał w niej zdziwienie, które mogłoby być nawet zabarwione współczuciem, gdyby zechciała się zastanowić nad tym, co się we mnie dzieje.

– Wyjdę za niego za mąż – oznajmiła łagodnym głosem – przygotowania do ślubu są już rozpoczęte. Ślub odbędzie się wkrótce. Nie wiem, czemu mieszasz do tych spraw moją przybraną matkę? Postępuje tak z własnej woli.

– Z własnej woli, Estello, łączysz się z tym brutalnym?

– A z kimże mam się połączyć? – odparła z uśmiechem. – Czy z człowiekiem, który bardzo szybko odczułby (jeżeli ludzie w ogóle zdolni są do odczuwania takich rzeczy), że nigdy go nie kochałam? Zresztą już przepadło. Damy sobie jakoś ze sobą radę we dwoje, ja z moim mężem. Co zaś do namowy ze strony miss Havisham, to oświadczam ci, że wprost odwrotnie, niż myślisz, namawiała mnie, bym w ogóle jeszcze zaczęła z małżeństwem. Ale ja jestem zmuzona życiem, jakie prowadzę, i pragmatyczne zmiany. Nie mów ani słowa więcej. I tak nigdy się wzajemnie nie zrozumiemy.

– Taki podły brutal! Taki głupi brutal! – powtarzałam w rozpacz.

– Nie lękaj się, nie będę dla niego błogosławieństwem – powiedziała Estella. – No, podaj mi rękę. Czy zostaniemy się zgodnie, ty marzycielski chłopcze... a może mężczyzno?

– Och, Estello – mówiłem, a gorzkie trzy kapaty mi, mimo że je wstrzymywałem, na rękę Estelli – gdybym nawet pozostał w Anglii i starał się trzymać głowę do góry, to jakże zniosę widok ciebie jako żony Drummle'a?

– To głupstwo – odparła Estella – głupstwo. I prędko ci minie.

– Nigdy, Estello!

– Wypędzisz mnie z twych myśli w przeciągu tygodnia.

– Wypędzę cię z moich myśli? Ciebie, która jesteś częścią mnie samego, mojego życia. Od chwili kiedy jako prosty chło-

pak, którego serce tak chętnie raniłaś, zjawilem się w tym domu, byłaś obecna w każdym wierszu, jaki czytałem. Byłaś w każdym widoku, na jaki spoglądałem, na rzecze, w zagłach łodzi, na bagniskach, w chmurach, w świetle słonecznym, w mroku wieczornym, w wietrze, w lasach, w morzu i na ulicach miast. Byłaś usobieniem wszystkich pełnych wdzięku myśli, jakie mnie nawiedzały. Równie realna i niemożliwa do poruszenia z miejsca, jak kamienie najstarszych gmachów Londynu, jest twoja obecność i twój wpływ na mnie, który nie zginie nigdy. Czy chcesz czy nie, Estello, aż do końca twojego życia będziesz stanowiąła część mojej istoty i wszystkiego, co w niej jest dobrego i złego. Ale odtąd, od chwili naszego zostania, będę się starał tączyć swoją osobę tylko z tkwiącym we mnie dobrem, gdyż mimo ostrego bólu, jaki mi teraz zadajesz, uczyniłaś mi więcej dobrego niż złego. Boże, błogosław cię! Boże, strzeż cię od złego i wybacz ci.

Nie wiem teraz, w jakim przychywie rozpaczy te pełne uniesienia słowa wybuchły ze mnie. Były one jak krew, która trysnęła z rany i wylała się na zewnątrz. Przycisnąłem dłoń Estelli do warg i tak rozstałiśmy się. Ale kiedy później przypomniałem sobie tę rozpaczliwą scenę, wiedziałem, że o ile Estella przyglądała mi się z wyrazem niedowierzania i zdziwienia, o tyle upior-na postać miss Havisham, z dłonią przyciskającą serce, wyrażała współczucie i wyrzuty sumienia.

Wszystko się skończyło, wszystko minęło! Tak bardzo skończyło się i minęło, że kiedy przechodziłem przez bramę, zdawało mi się, że blask dnia przybladł od chwili, kiedy ją mijalem, idąc w pierwszą stronę. Przez chwilę błąkałem się po bocznych ścieżkach do Londynu. Czulem bowiem, że nie mogę powrócić do gospody i spotkać tam Drummle'a, że nie zniosę teraz podróży w dylizansie ani rozmowy z pasażerami i że najlepiej będzie, jeżeli zmęczone się porządnie.

Było już po północy, gdy przechodziłem przez Most Londyński. Idąc teraz wążutkami zaułkami, które w owym czasie wzdłuż brzegu rzeki wiodły przez Middlesex w zachodnim kie-


runku miasta, szedłem dalej przez Whitefriars do dzielnicy Temple. Oczekiwano mnie dopiero nazajutrz, ale miałem własne kłucze i na wypadek, gdyby Herbert już spał, mogłem udać się na spoczynek, nawet go nie budząc.

Ponieważ bardzo rzadko wracałem do domu po zamknięciu bramy dzielnicy Temple i ponieważ byłem bardzo zabłocony i znudzony, nie miałem za złe stróżowi, że uchyliłszy bramy przyglądał mi się badawczo i pytająco. Aby pomóc jego pamięci, wymieniałem moje nazwisko.

– Zdawało mi się, że to pan – powiedział dozorca – ale nie byłem pewny. Jest tu list do pana. Postaniec proszę, by go pan przeczytał przy blasku mojej latarni.

Bardzo zdziwiony wziąłem list do ręki. Był zaadresowany do „Wielmożnego Filipa Pipa”, a obok adresu widniał wyraźny dopisek „Proszę to przeczytać tutaj”. Otworzyłem list, dozorca podniósł latarnię i przy jej blasku przeczytałem: *Niech pan nie wraca do domu*. Rozpoznałem charakter pisma Wemmicka.

## Rozdział czterdziesty piąty

 Natychmiast po przeczytaniu tego ostrzeżenia zawróciłem sprzed bramy Temple i pośpieszyłem na Fleet Street, gdzie udało mi się schwytać zapóźnioną dorożkę, która zawiozła mnie do Hummums w Covent Garden. W owych czasach bowiem było to miejsce, gdzie o każdej porze można było znaleźć nocleg. Portier uchylił okienka i wpuścił mnie do wnętrza. Zapalił świecę i przy jej blasku wprowadził mnie do pokoju, na który teraz przypadła kolej. Był to niski, nieledwie piwniczny pokój na parterze, wychodzący na podwórko. Na środku stało, niczym despotyczny potwór, łoże pod baldachimem; zajmowało ono całą sypialnię, jedną z nóg opierając się o kominek, a drugą o drzwi i niemalże miażdżąc swymi rozmiarami małą, mizerną umywalkę w kącie.

Kiedy poprosiłem o światło, portier przyniósł mi stałoswiecką pocziwą lampkę nocną, jakich używano w owych cnotliwych czasach. Wyglądała jak widmo laski, a niemal niewidoczne jej światło ukrywało się na dnie blaszanej wieżyczki podziurawionej okrągłymi otworami, które rzucały na ściany świetliste wzorki. Wyginała się pod dotknięciem i nie uzczała swego płomienia.

Kiedy położyłem się do łóżka, ze zbolalymi nogami, zmęczony śmiertelnie i zrozpaczony, poczułem, że nie zdołam zmruczyć oka, tak jak nie potrafi zamknąć swych otworów ten idio-

tyczny Argus. Tak więc w rozpaczliwych mrokach nocy spoglądaliśmy na siebie w milczeniu.

Jakaz to była okropna noc! Jaka pełna niepokoju, smutna i długa! W pokoju unosił się niegościnnie zapach zimnej sadzy i gorącego pyłu i kiedy patrzyłem w górę, w kąt baldachimu nad moją głową, musiałem myśleć o tym, ile się tam kryje niebieskich wielkich much przylatujących tu od rzeźnika, ile skorków przyniesionych tu z targów, ile innego robactwa przywleczonego ze wsi i czekającego lata, by ślad wyfrunąć. Nie mogłem się opędzić myśli, że zaraz zaczną spadać mi na głowę, i rzeczywiście po chwili poczułem dotknięcia ich na twarzy i przykre śwędzenie na plecach. Leżałem tak nieruchomo, nie mogąc zasnąć, gdy nagle w ciszy usłyszałem odgłosy, które zwykle towarzyszą bezsenności. Szafa zatrzęszała, kominek westchnął, mała umywalka zadrzęta, a w komodzie rozbrzęczało coś niby struna gitary. W teźże chwili świetliste oczy na ścianie zmieniły wyraz i w każdym kątku zdawałem się czytać zdanie: „Nie wracaj do domu!”.

Zadne mary ani hałasy nocne nie były w stanie wypędzić ze mnie owego zdania „Nie wracaj do domu!”, które dokuczało jak ból fizyczny, wdrążając mi się w ciało. Na krótko przedtem czytałem w gazecie, że jakiś nieznanymi mi jegomość, nocując w Hummums, popełnił samobójstwo, i rankiem znaleziono jego ciało tonące we krwi. Przyszło mi do głowy, że samobójstwo to zostało prawdopodobnie popełnione w tej samej właśnie sutence, w której spędzałem noc, i zerwawszy się z łózka, obszedłem cały pokój w poszukiwaniu krwawych śladów. To mi nie wystarczyło, otworzyłem drzwi na korytarz, wysunąłem głowę i dopiero dalekie światło, przy którym, jak widziałem, drzemał portier, trochę mnie uspokoiło.

Ale przez cały czas dręczyły mnie pytania: czemu nie mam wracać do domu, co by było, gdybym tam wrócił, czy Provis przeżywa bezpiecznie u siebie, kiedy będę mógł powrócić do mego mieszkania. Po prostu nie zostawało już we mnie miejsca na inne myśli. I nawet wtedy, kiedy powracałem myślą do fak-

tu, że się dzisiaj na zawsze rozstałem z Estellą, kiedy wywoływałem przed oczy jej głos, jej wyraz twarzy i jej palce poruszające drutami – wszystko to działało się na tle nieustannej obecności przestrogi „Nie wracaj do domu!”. Kiedy wreszcie śmiertelnie wyczerpany zdrzemnąłem się, to i wówczas, na pół we śnie, ten straszny czasownik towarzyszył mi jak cień i musiałem go koniugować w trybie rozkazującym: „Nie wracaj do domu, niech on nie wraca do domu, nie wracajmy do domu, niech oni, one nie wracają do domu, nie wracajcie do domu”, a potem nieco inaczej: „Nie mogę i nie powinienem wracać do domu, nie mogłem, nie powinienem być i nie wróciłbym do domu”. Aż wreszcie poczułem się tak bardzo zmęczony, że dałem spokój, zwinąłem się w kłębek w łóżku i znowu patrzyłem na świetliste krążki na ścianie.

Poleciłem, by obudzono mnie o siódmej, gdyż jasne było, że muszę zobaczyć się z Wemmickiem, i równie jasne, że w tym wypadku pomocne mi mogą być jedynie jego prywatne, związane z Walworth uczucia. Prawdziwą ulgą stało się dla mnie opuszczenie pokoju, gdzie spędziłem tak okropną noc, i nie czekając na drugie pukanie zerwałem się gwałtownie z niewygodnego łóżka.

O ósmej rano wyrosły przed mnymi oczyma fortyfikacje Zameczku. Spotkałem właśnie małą służącą, która szła do fortecy z gorącymi bułeczkami, i skorzystawszy z tego, przeszedłem w jej towarzystwie przez furtkę i zwodzony most bez przedziałnia o mojej obecności. Zastałem Wemmicka przy przygotowaniu herbaty dla siebie i ojca. Otwarte drzwi pozwoliły mi ujrzeć statuszka leżącego jeszcze w łóżku w sąsiednim pokoju.

– Halo, panie Pip – powiedział Wemmick – więc wrócił pan do domu?

– Tak – odpartem – wróciłem, ale nie do domu.

– W porządku – oświadczył, zacierając dłonie – pozostawim dla pana kartki przy wszystkich bramach wiodących do Temple, na wszelki wypadek. Jaką bramą pan wraca?

Wyjaśniłem mu to.

— Obejdę zaraz wszystkie pozostałe bramy i zniszczę karteczki — zdecydował Wemmick — należy zawsze przestrzegać zasady, że nigdy nie powinno się zostawiać materiałów dowodowych, bo nigdy nie wiadomo, kiedy one mogą być użyte. Mam zamiar z panem porozmawiać szczerze. Czy mógłby pan tymczasem przypieć tę oto kielbaskę dla mego Wiekowego Ojczulka?

Odparłem, że zrobię to z przyjemnością.

— Wobec tego możesz wrócić do twojej roboty, Mario Anno — zwrócił się do małej służącej — to pozwoli nam pomówić w cztery oczy, prawda, panie Pip? — dorzucił, mrugając ku mnie okiem, kiedy dziewczyna wyszła z pokoju.

Podziękowałem mu teraz za okazaną mi przyjaźń i za środki ostrożności, i rozmowa nasza potoczyła się cicho, podczas gdy przypiekałem kielbaskę dla staruszka, a Wemmick smarował dla niego masłem gorącą bułkę.

— A teraz, panie Pip — oznajmił Wemmick — sądzę, że rozumie się wzajemnie doskonale. Znajdujemy się tutaj na terenie czysto prywatnym i już nawet raz zawarliśmy na tymże terenie czysto prywatną transakcję. Oficjalne nasze stosunki to coś całkiem odmiennego. Teraz pozostajemy w stosunkach pozaoficjalnych.

Zgadzałem się skwapliwie, ale byłem tak bardzo zdenerwowany, że zmieniłem trzymaną nad płomieniem kielbaskę w palącą się pochodnię i musiałem ją zdmuchnąć.

— Usłyszałem wczoraj przypadkiem — mówił Wemmick — w pewnym miejscu, które pan zna, bom pana tam niegdyś zaprowadził, ale lepiej nawet w cztery oczy nie wymieniać jego nazwy...

— Tak, o wiele lepiej, rozumiem pana...

— Więc słyszałem — opowiadał Wemmick — że pewna osoba, o której nie można powiedzieć, by nie miała związku z koloniami i zesłaniem, osoba, która nie jest pozbawiona majątku ruchomego... nie domyślam się nawet, kto ona może być i nie wymienię jej imienia...

— Nie trzeba — wtrąciłem.

— ...narobiła wiele hałasu w pewnej części świata, do której

jeżdżą ludzie nie zawsze dla własnej przyjemności i nie zawsze za własne pieniądze...

Wpatrzony w jego twarzomalże nie uczyniłem z kielbaski staruszka fajerwerku. Oderwało to na chwilę uwagę moją i Wemmicka od opowiadania. Przeprósilem go za to.

— ...a to z tego powodu — ciągnął po chwili dalej — że osoba ta zniknęła stamtąd bez uprzedzenia i że nie mogą jej nigdzie znaleźć. Fakt ten wywołał wiele pogłosek, a wśród nich taka, że mieszkanie pana w Temple na Garden Court było i jest może jeszcze pod obserwacją.

— Pod czyją obserwacją? — spytałem.

— Nie mogę tego powiedzieć — odparł wymijająco Wemmick — to mogłoby mnie narazić na przykrości ze strony władz oficjalnych. Usłyszałem to, jak słyszę wiele innych rzeczy w moim zawodzie. Nie powtarzam panu wiadomości mi powierzonych, ale jedynie to, co przypadkiem wpadło mi w ucho, i nic więcej powiedzieć nie mogę.

Podczas gdy mówił, wyjął mi z ręki widelec z kielbaską i przygotował całe śniadanie dla staruszka na zastawionej czyściutko tacy. Zanim zabrał śniadanie do sypialni ojca, zaniósł tam czysty biały obrusik, zawiązał starcowi pod brodą czystą białą serwetkę, posadził go w łóżku, zdjął mu z głowy szlafmycę, odłożył na bok i nadał mu wygląd wręcz kokieteryjny. Potem dopiero ostrożnie umieścił przed nim tacę ze śniadaniem i spytał:

— Dobrze się czujesz, mój Wiekowy Ojczulku?

Staruszek odparł z uśmiechem:

— Doskonale, John, mój chłopcze, doskonale.

Odnosiłem wrażenie, że na zasadzie jakiejś milczącej umowy staruszek do chwili, gdy będzie się już mógł ukazać, ma być uważany za niewidzialnego, toteż udawałem, że wcale tego wszystkiego nie spostrzegam.

— Ta obserwacja mego mieszkania (którą podejrzewałem już od pewnego czasu) — zwróciłem się do Wemmicka, gdy powrócił do pokoju — ma ścisły związek z osobą, o której pan przed chwilą mówił?

Wemnick miał wyraz twarzy bardzo poważny, gdy odpowiedział:

— Nie mogę z całą pewnością twierdzić, że tak było od początku. Ale nie omył się, jeżeli powiem, że jest tak, być może, teraz i że stanie się to jeszcze poważniejsze w przyszłości.

Nie nalegałem więcej, bo widziałem jasno, jak bardzo obawia się następstw ze strony biura w Malej Brytanii, i byłem mu wdzięczny i za to, co z narażeniem własnej osoby mi ujawnił. Oświadczyłem tylko, patrząc z namysłem w płomienie kominka, że chciałbym mu zadać jedno pytanie, na które ma prawo nie odpowiedzieć, jeżeli uzna to za stosowne. Przerwał śniadanie, skrzyżował ramiona i skubiąc rękawy koszuli (w domu dla wygody chodził bez marynarki) skinął mi głową, bym pytał.

— Czy słyszał pan o człowieku obdarzonym złym charakterem, którego nazwisko brzmi Compeyson?

Skinął głową zamiast odpowiedzi.

— Czy żyje?

Kimnęcie głową.

— Czy jest w Londynie?

Skinął jeszcze raz głową, zamknął mocno swój otwór skrzynki do listów i powrócił do spożywania śniadania.

— A teraz — oznajmił — skoro pytania już zakończone (podkreślił to i powtórzył dwa razy, aby mi to jasno uświadomić), powiem panu, co zrobiłem, podслуhawwszy tę wiadomość. Pojechałem na Garden Court, a kiedy pan nie zastał, wybrałem się do Clarrikera, żeby odszukać pana Herberta.

— I odszukał go pan? — spytałem z niepokojem.

— Tak, znalazłem go. Nie wymieniając żadnego nazwiska, powiedziałem mu tylko, że jeżeli mu wiadomo, iż ktoś, na przykład Tom, Jack czy Ryszard znajduje się w waszym mieszkaniu podczas pana nieobecności albo też w bliskim sąsiedztwie tego mieszkania, to lepiej będzie dla tego Toma, Jacka czy Ryszarda stamtąd się gdzieś przenieść.

— Był pewnie bardzo zakłopotany, co ma zrobić?

— Był zakłopotany, co zrobić, a jeszcze bardziej wprawiło go

w kłopot moje zdanie, by w żadnym razie nie przenieść teraz za daleko tego Toma, Jacka czy Ryszarda. Panie Pip, powiem panu jedno. Wielkie miasto, jeżeli człowiek już w nim przebywa, jest najlepszym schronieniem. Trzeba przecekać pewien najgorszy czas i przedtem niczego nie próbować. Siedzieć cicho. Dopiero gdy sprawa trochę ucichnie, można działać, ale nie wcześniej, nawet jeżeli się dąży do odetchnięcia cudzoziemskim powietrzem. Podziękowałem mu za cenną radę i spytałem, co Herbert zrobił.

— Pan Herbert — odparł Wemnick — po półgodzinnym namyśle ułożył plan. Wyznał mi w tajemnicy, że stara się o pewną młodą pannę, która, jak to panu zapewne wiadomo, ma tatuaż przykutego do łózka. Ten tatuaż był kiedyś intendentem na statku i dlatego leży w łózku przy dużym oknie, przez które może oglądać statki płynące w górę i w dół rzeki. Pan zapewne zna tę pannę?

— Nie osobiście — odpowiedziałem.

W rzeczywistości było tak, że panna ta uznała mnie za zbyt rozumnego towarzysza i nieodpowiednie towarzystwo dla Herberta i jego propozycję zapoznania nas przyjęła z tak umiarkowanym zapałem, iż przyjaciel mój opowiedział mi to prosił, by jeszcze czas jakiś zaczekać z naszą znajomością. Ponieważ wtedy pracowałem nad karierą Herberta w tajemnicy przed nim, przyjąłem tę propozycję z pobłażaniem, oni zaś nie śpieszyli się z wprowadzeniem do swego towarzystwa trzeciej osoby. W ten sposób, mimo że w miarę jak czas płynął, panna Klara nabierała szacunku dla mojej osoby i mimo że za pośrednictwem Herberta przysyłała mi różne polecenia i pozdrowienia, nigdy nie poznałem jej osobiście. Nie nudziłem jednak teraz Wemnicka tymi wszystkimi szczegółami.

— Pan Herbert spytał mnie więc — ciągnął Wemnick — co sądziłbym o tymczasowym umieszczeniu Toma, Jacka czy Ryszarda w domu, w którym znajduje się półkoliste okno wychodzące na rzekę. Dom ten stoi na brzegu rzeki obok tamy pomiędzy Limehouse a Greenwich, należy do bardzo szanownej wdowy, która wynajmuje umeblowane pierwsze piętro. Odparłem, że by-

to by to bardzo pożądane z trzech względów, które panu zaraz przytoczę. Po pierwsze, dom leży całkowicie na uboczu od dróg, którymi pan zwykle chadza. Po drugie, nie widując się z Tomem, Jackiem czy Ryszardem, mógłby pan zawsze mieć o nim wiadomości przez Herberta. Po trzecie, po pewnym czasie, kiedy uznacie już za stosowne wsunąć Toma, Jacka czy Ryszarda na jakiś parowiec idący za granicę, nie będzie miał daleko.

Bardzo pocieszony tymi słowami, nie przestawałem gorąco dziękować Wemmickowi i prosiłem go, by mówił dalej.

— A więc, panie Pip — podjął — pan Herbert rzucił się z zapalem do wykonywania tego planu i wczoraj około dziewiątej wieczorem Tom, Jack czy Ryszard, mniejsza o to, jak mu na imię, nic nas to z panem nie obchodzi, został umieszczony w domu nad rzeką. W starym mieszkaniu powiedział, że jedzie do Dovru, i naprawdę pojechał szosą wiodącą w tym kierunku, a potem skręcił w bok. Jeszcze jedną dobrą stroną tego wszystkiego jest fakt, że odbyło się to w pańskiej nieobecności i jeżeli ktoś pana śledził, widział, że był pan o mile stąd i że zajmował się pan czymś zupełnie innym. To ostateczna podejrzenia i wprowadza zamęt. Dlatego też, by wprowadzić jeszcze większe zamieszanie, radziłem panu nie powracać jeszcze wczoraj wieczorem do domu.

Tu Wemmick skończył jeść śniadanie, spojrzął na zegarek i zaczął wkladać płaszcz.

— A teraz, panie Pip — zakończył z rękami uwięzionymi w rękawach — wydaję mi się, że zrobił, com mógł w tej sprawie. Ale jeżeli mogę coś jeszcze więcej dla pana uczynić (oczywiście z czysto prywatnego punktu widzenia w Walworth), to będę szczęśliwy. Oto adres. Nie widziałbym w tym nic złego, gdyby pan dzisiaj wieczorem sam tam wstąpił i przekonał się, że Tomowi, Jackowi czy Ryszardowi nie dzieje się krzywda. Chyba może pan to śmiało zrobić, właśnie dlatego, że nie nocował pan jeszcze u siebie w domu. Ale skoro pan już powróci do domu, nie wolno panu ani razu go więcej odwiedzić. Tutaj będzie pan zawsze mile widziany, panie Pip. — Wyjął już rękę z rękaw

ów płaszcza i mogłem je uściskać. — I pozwól sobie powiedzieć jeszcze coś ważnego.

Tu położywszy mi dłoń na ramionach, zniżył głos do uroczego szeptu:

— Skorzystaj z dzisiejszego wieczoru, żeby zabrać do siebie jego ruchomości. Nie możesz wiedzieć, co się z nim stanie. Niechże więc nic nie grozi jego ruchomościom.

Rezygnując z wyjaśnienia Wemmickowi, jaki jest mój pogląd na tę sprawę, nie sprzeciwiłem się jego słowom.

— Czas leci — oświadczył Wemmick — na mnie już pora. Jeżeli nie ma pan nic bardzo pilnego do roboty, to radziłbym pozostać tutaj aż do zmierzchu. Wygląda pan na bardzo zmęczonego i należy się panu spokojny dzień ze staruszkami. Zaraz wstanie i... pamięta pan naszą świnkę?

— Oczywiście — odparłem.

— Więc trzeba, aby pan jej trochę skosztował. Ta kiefbaska, którą pan przypiekał, była także z niej. Trzeba, żeby pan przez wzgląd na starą znajomość z nią też coś niecoś skosztował. Do widzenia, Wielki Ojczulku! — krzyknął serdecznie.

— Doskonale, John, doskonale, mój chłopcze! — zapisał staruszek z daleka.

Wkrótce potem zasnąłem pod kominkiem Wemmicka i od tej chwili przez cały dzień prześcigaliśmy się w drzemce ze staruszkami. Na obiad jedliśmy schab z zabitej świnki z jarzynami z ogrodu warzywnego Wemmicka. Z drzemki przechodziłem do kiwania głową starym i znowu do drzemki. Kiedy się ściemniało, staruszek zabrał się do rozpalać ognia, do pieczenia grzaniek. Z ilości filizanek herbaty oraz ze spojrzeń, jakie staruszek rzucił na małe tabliczki przy drzwiach, wywnioskowałem, że spodziewa się przybycia miss Skiffins.



## Rozdział czterdziesty szósty



Wybiła ósma, zanim znalazłem się wśród przyjemnego zapachu wiórów i trocin, unoszącego się z nadbrzeżnych warsztatów okrętowych, składów masztów, wiosel i takielunku. Nie znałem zupełnie tych stron położonych poniżej Mostu i dopiero po dłuższym błądzeniu przekonałem się, że miejsce, którego szukałem, leżało w innej stronie i było całkiem łatwe do znalezienia. Nazywano je Mill Pond Bank obok Chink's Basin i wiedziałem tylko tyle, że do Chink's Basin mogę się dostać, idąc przez Old Green Cooper Rope-Walk.

Nie będę opisywał tych wszystkich okrętów naprawianych w suchym doku (wśród których się zabłąkałem) ani starych, na pół rozwalonych wraków, szlamu, mułu i innych mętów przychywu, maszyn do naprawiania i niszczenia statków, zardzewiałych kotwic, zarytych na ślepo w ziemię, mimo że od lat już wyszły z użycia, gór pustych beczek, desek i stosów lin okrętowych, które mijałem w drodze, nie mogąc wciąż trafić do celu. Raz zaszedłem za daleko, innym razem znowu za blisko, a w pewnej chwili dotarłem do tego samego miejsca, które przed chwilą opuściłem, i nagle, krążąc, sam nie wiedząc jak, znalazłem się przed Mill Pond Bank.

Było to przestronne miejsce, po którym wiatr wiejący od morza mógł hulać swobodnie. Rosły tam dwa czy trzy drzewa i wznosiły się ruiny starego wiatraka. W świetle księżycyca ujrza-

łem też budynek Old Green Cooper Rope-Walk, a przed nim wielkietę w ziemię drewniane ramy podobne do widel, którym na skutek starości wypadły zęby.

Spośród nielicznych domów mieszkalnych wybrałem drewniany, trzypiętrowy o półkolistych oknach (nie należy mylić ich z trójkątnymi, bo to zupełnie co innego). Na tabliczce na drzwiach widniało nazwisko: „Whimble”. Było to nazwisko, którego szukałem. Zapukałem. Otworzyła mi starsza kobieta o przyjemnej i kwintowej powierchowości. Natychmiast zresztą zjawił się Herbert, wprowadził mnie w milczeniu do bawialni i zamknął drzwi. Dziwnego doznałem uczucia na widok jego tak mi bliskiej i znajomej twarzy w tym obcym, nieprzytulnym otoczeniu. Toteż spoglądałem na przemian tak samo ciekawie na niego, jak na stojący w rogu pokoju kredens z porcelaną i szkłem, na muszle zdobiące parapet kominka, na barwne sztychy na ścianie przedstawiające śmierć kapitana Cooka, spuszczenie statku na wodę, oraz na króla Jerzego III w peruce, spodniach ze skóry i wysokich butach na tarasie zamku windsorskiego.

— Wszystko w porządku, Haendel — powiedział Herbert — jest całkiem zadowolony, tylko marzy o tym, by ciebie zobaczyć. Moja kochana dziewczyna jest u swego ojca i jeżeli zechcesz zacczekać chwilkę, aż zjedzie na dół, to cię jej przedstawię, a potem pójdziemy na górę. O, to właśnie jej ojciec...

Ostatnie słowa tyczyły się hałas, który rozległ się gdzieś nad moją głową. Na mej twarzy musiało się odbić zdziwienie, bo Herbert zauważył:

— Obawiam się, że to stary łobuz — uśmiechnął się i mówił dalej — nigdy nie widziałem go jeszcze, ale czujesz zapach rumu? Zawsze mu towarzyszy.

— Czy pije ciągle rum? — spytałem.

— Tak — odpowiedział Herbert — i możesz sobie wyobrazić, jak to łagodzi jego podagrę. Upiera się także, aby wszystkie zapasy zanoszone do jego pokoju i sam je wydziela. Umieścił je na półkach nad swoją głową. Pokój jego musi wyglądać jak sklep spożywczy.

W tej chwili hałas na górze urósł do przeciągłego ryku i umilkł.

– Nic dziwnego – ciągnął Herbert – wobec tego, że uparł się sam krajać ser. Człowiek, który tak jak on ma reumatyzm w prawej ręce, musi się skaleczyć, krając olbrzymi ser gloucesterski.

Mężczyzna na górze pewnie się porządnie skaleczył, gdyż wydał jeszcze jeden wściekły ryk.

– Provis, jako lokator wyższego piętra, jest dla pani Whimple prawdziwym błogosławieństwem – mówił Herbert – gdyż ludzie na ogół nie znoszą tego hałasu. Dziwne tu miejsce, co, Haendel? Miejsce było istotnie dziwne, ale czyste i starannie utrzymane.

– Pani Whimple – objaśniał Herbert – jest jedną z najlepszych gospodyń i doprawdy nie wiem, co by robiła moja Klara bez jej macierzyńskiej pomocy. Bo Klara nie ma matki ani żadnych krewnych oprócz tego starego Złośnickiego.

– Chyba się tak nie nazywa, Herbercie?

– Nie, to ja tak go nazywam. Nazywa się Barley. Ale co to za błogosławieństwo dla syna mej matki i mego ojca, że kocha dziewczynę, która nie posiada rodziny i nie będzie z jej powodu dręczyła ani siebie, ani nikogo.

Herbert przypomniał mi teraz, że poznał Klarę Barley jeszcze wtedy, gdy była w szkole w Hammersmith, gdzie dopełniała wykształcenia, i że kiedy wezwano ją do domu, by pielęgnować chorego ojca, to oboje zwierzyli się ze swej miłości pani Whimple, pełnej macierzyńskich uczuć, która potraktowała tę sprawę z serdeczną dyskrecją. Było samo przez się zrozumiałe, że żadnych spraw natury uczuciowej nie należy zwierzać staremu Barleyowi, który potrafił się przejąć tylko rumem, podagrą i zapasami żywności.

Kiedy tak rozmawialiśmy półgłosem, podczas gdy przez sufit dolatywały ryki Barleya, drzwi otworzyły się i zjawiła się w nich śliczna czarnooka dziewczyna z koszyczkiem w ręku. Mogła mieć lat dwadzieścia. Herbert wyjął jej koszyk z ręki i powiedział, rumieniąc się:

– Klara.

Była rzeczywiście uroczą dziewczyną i wyglądała na dobrą wrótkę więzioną przez złego smoka, starego Barleya, który zaprzął ją do swej służby.

– Popatrz – powiedział Herbert, pokazując mi koszyk ze współczującym uśmiechem – oto jest kolacja Klary, wydawana jej co wieczór. Oto jej racja chleba, kawałek sera i rum, który ja wypijam. A oto śniadanie na jutro dla pana Barleya, które ma być ugotowane i podane mu na górę. Dwa kotlety baranie, trzy kartofle, trochę grochu, trochę mąki, dwie uncje masła, szczypta soli i ten cały pieprz. Trzeba mu to usmażyć i podać na gorąco. Dobre na podagrę, co?

Było coś tak bardzo naturalnego i naprawdę wzruszającego w sposobie, w jaki Klara z rezygnacją patrzyła na zapasy, podczas gdy Herbert je wylizwał, było tak wiele ufności, miłości i niewinności w sposobie, w jaki tuliła się do jego ramienia. Było coś tak miłego i domagającego się opieki w tym bezbronnym stworzeniu w Mill Pond Bank nieopodal Chink's Basin i Old Green Copper Rope-Walk, w domu, w którym stary Barley ryczał na górze. Patrząc na to pomyślałem, że nie zerwałbym zaręczyn tych dwojga nawet za całą sumę spoczywającą w portfelu, którego jeszcze nie otworzyłem.

Spoglądałem na Klarę z przyjemnością i zachwytem, gdy nagle ryk rozległ się znów, a wraz z nim straszliwy hałas czegoś padającego, jak gdyby olbrzym o drewnianej nodze usiłował przebić nią sufit i dostać się do nas. Wtedy Klara powiedziała do Herberta: „Tatusi mnie potrzebuje, kochanie!” i wybiegła.

– Oto go masz, starego rekina! – oświadczył Herbert. – Jak sądzisz, Haendel, czego on chce teraz?

– Nie wiem. Może czegoś do picia?

– Zgadłeś – krzyknął z taką radością Herbert, jak gdybym zrobił niezwykle odkrycie – ma zawsze przyrządzony grog w małym kubeczku na stoliku przy łóżku. Poczekaj chwilę, a usłyszysz, jak Klara mu go podaje. O, słyszysz?

Rozległ się cieńszy nieco ryk zakończony jakby tremolem. Potem ucichło.

— Teraz pije — objaśnił Herbert, a po chwili dodał: — Teraz znowu leży na wznak!

Klara powróciła wkrótce potem, a Herbert poszedł wraz ze mną na górę odwiedzić tego, którym opiekowaliśmy się. Kiedy mijaliśmy drzwi pokoju pana Barleya, usłyszeliśmy wyraźnie, jak zmieniając natężenie niby wiatr, mrucał zachrypniętym głosem refren, który powtarzam jako błogosławieństwo, choć myśle, że miał on odwrotny sens:

— Ho, ho, bądźcie błogosławieni, tu jest stary Bill Barley. Tu jest stary Bill Barley, bądźcie błogosławieni. Tu leży Bill Barley na grzbiecie z łaski Pana Boga. Leży na grzbiecie na płask jak pływająca stara, zdechła łódka. Tu jest wasz stary Bill Barley. Ho, ho, bądźcie błogosławieni!

Na pociechę Herbert wytłumaczył mi, że niewidzialny stary Barley rozmawia sam ze sobą często, ilekroć obserwuje rzekę przez lunetę, którą ma przy łożku. Niekiedy mówi do siebie przez całą noc.

Provisa zastąpiłem wygodnie urządzonego w dwupokojowym mieszkanku na górnym piętrze, dokąd stało dochodziły odgłosy wrzasków Barleya i gdzie było wiele powietrza i przestrzeni. Nie okazał żadnego niepokoju, jak gdyby go wcale nie odczuwał, ale wydał mi się łagodniejszy niż przedtem. Nie umiałem określić, na czym ta jego łagodność polegała, ale odniosłem takie wrażenie.

Miałem tego dnia czas namyślić się nad sytuacją w czasie odpoczynku i doszedłem do wniosku, że nie należy Provisowi wspominać o Compeysonie. Nienawisć jego do tego człowieka była bowiem tak wielka, że wbrew ostrożności wyruszyły na jego poszukiwanie. Dlatego też, gdy zasiedliśmy z nim i Herbertem przy kominku, spytałem go tylko, czy ma zaufanie do źródeł informacyjnych Wemmicka.

— Tak, tak — odparł, kiwając głową. — Jaggers wszystko wie. — Więc właśnie rozmawiałem dzisiaj z Wemmickiem i przyszedłem powiedzieć, jakie on radzi środki ostrożności.

Opowiedziałem mu teraz o wszystkim, przemilczając tylko to, o czym przed chwilą wspominałem. Mówiłem, jak Wemmick

usłyszał w więzieniu (nie wiedziałem, czy od dozorców czy od więźniów), że Provis jest osobą podejrzaną i że moje mieszkamie znajduje się pod obserwacją, a dalej zdałem sprawę, jak Wemmick radził, aby on przez pewien czas przebywał w zamknięciu i nie widywał się ze mną, i co Wemmick sądzi o jego ucieczce za granicę. Dorzuciłem, że ja wyjadę z nim razem lub też wkrótce po nim, zaleźnie od tego, jak Wemmick będzie uważał za stosowne. Nie wspominałem ani słowem o dalszej przyszłości, ale prawdę mówiąc, sam jeszcze nie wiedziałem na ten temat nic pewnego, gdyż łagodny i narażający swe bezpieczeństwo dla mojej osoby Provis budził we mnie całkiem inne niż przedtem uczucia. Powiedzialem mu też, że zmianę mego życia w sensie zwiększenia wydatków uważam w obecnych warunkach co najmniej za śmieszna, jeżeli nie za coś gorszego.

Nie mógł temu zaprzeczyć i w ogóle zachował najdalej idący rozsądek. Przyznał, że jego przyjazd do Anglii był wysoce ryzykowny, i dodał, że zawsze traktował go tylko jako niebezpieczną przygodę. Oświadczył wreszcie, że przy takiej pomocy z naszej strony nie lęka się o swe bezpieczeństwo.

Herbert, który słuchał wszystkiego z uwagą, patrząc w ogień kominka, odezwał się, że słowa Wemmicka nasunęły mu pewną myśl, która może się przydać:

— Jesteśmy obaj dobrymi wioślarzami, Haendel, i kiedy na-  
dejdzie odpowiednia chwila, moglibyśmy go sami odwiedzić to-  
dzia w dół rzeki bez wynajmowania obcych wioślarzy i łodzi.  
Zaoszczędziłoby nam to wszelkich podejrzeń, co jest ważne.  
Myślę, że bez względu na porę roku mógłbyś już teraz wynajść  
sobie łódź przy schodach w Temple i wiosłować w górę i w dół  
rzeki. Przyzwyczajasz się i do siebie przyzwyczajają się na rzecę.  
Jeżeli przejeździsz się dwadzieścia czy pięćdziesiąt razy, to ni-  
kogo nie zdziwi dwudziesty pierwszy lub pięćdziesiąty pierwszy  
raz. Czy nie tak?

Podobał mi się ten pomysł, a Provis był zachwycony. Postanowiliśmy, że zrobimy to natychmiast, a opiekun mój nie będzie nas poznawał, gdy będziemy przepływali w łodzi obok Mill

Pond Bank. Zgodziliśmy się jednak potem, że kiedy nas zobaczy, opuści w wychodzącym na wschód oknie zasłonę na znak, że wszystko jest w porządku.

Kiedy wszystko było już ustalone, zerwałem się, by pójść do domu, i powiedziałem Herbertowi, że będzie rozsądniej, jeżeli nie wybierzemy się razem, tylko on nadejdzie w pół godziny po mnie.

– Przykro mi tu pana zostawiać – zwróciłem się do Provisa – chociaż nie wątpię, że tu jest pan bezpieczniejszy niż w moim sąsiedztwie.

Pozegnałem go, ale Provis, chwytając mnie za rękę, poprosił: – Nie żegnaj mnie, chłopcze. Nie wiem, kiedy się znowu zobaczymy, ale nie lubię się zegnać. Powiedz mi raczej dobranoc.

– Dobranoc! Herbert będzie nam nosił wzajemnie wiadomości, a kiedy nadejdzie czas, może pan być pewien, że będę gotów. Dobranoc! Dobranoc!

Zdecydowaliśmy, że nie powinien opuszczać pokoju, i pozostawiliśmy go na schodach przed drzwiami. Świecił nam, pokisłymi nie zeszli.

Obejrzawszy się po raz ostatni na niego, powróciłem myślą do owego wieczora, kiedy po raz pierwszy zjawił się w moim domu i kiedy nie przychodziło mi ani na chwilę do głowy, że mógłbym kiedyś opuszczać go z tak ciężkim sercem i tak się o niego niepokoić, jak to się działo teraz.

Kiedy mijaliśmy drzwi pokoju starego Barlevy, wciąż jeszcze jęczał i narzekał, jak gdyby nigdy nie zamierzał się uspokoić. Gdy zeszliśmy na dół, spytałem Herberta, czy mój opiekun zachował nazwisko Provis. Odpowiedział, że oczywiście nie, że lokator na górę nazywa się Campbell. Wiedzą o nim w tym domu tylko tyle, że Herbert się nim opiekuje, że Herbertowi bardzo zależy na tym, by lokatorowi było tu dobrze, i że pan Campbell prowadzi bardzo samotny tryb życia. Kiedyśmy więc weszli do robótkach, nie wspominałem ani słowa, że i mnie Campbell interesuje.

Kiedy pożegnałem śliczną i miłą ciemnoooką dziewczynę i tę macierzyńską opiekunkę, która nie straciła sympatii dla dwojga młodych za to, że się kochali, wydawało mi się, że Old Green Copper Rope-Walk stało się całkiem innym miejscem, niż dotychczas sądziłem. Stary Barley mógł być stary jak otaczające mnie wzgorza, mógł kłać jak pułk żołnierzy, ale w domu Chink's Basin było tyle miłości i nadziei, że wypełniała go po brzegi.

A potem pomyślałem o Estelli, o naszym rozstaniu na zawsze i wróciłem do domu bardzo smutny.

W Temple panował całkowity spokój. Okna mieszkania, które zajmował Provis, były nieoświetlone i ciche, a po Garden Court nikt się nie przechadzał. Zanim zeszedłem w dół po schodach do mego mieszkania, przespacerowałem się parę razy koło fontanny, ale nie spotkałem żywego ducha. Herbert, który wróciwszy w jakiś czas po mnie, przyszedł do mego pokoju (gdzie zmęczony i zmartwiony udałem się wprost do łóżka), powiedział, że i on nie spotkał nikogo. Otworzył potem okno, wyjrzał w blasku księżycy na dwór i oświadczył, że chodnik przed naszym domem jest równie pusty jak wnętrze jakiegokolwiek katedry o tej nocnej porze.

Nazajutrz poszedłem sam wynająć łódź. Załatwiłem to szybko, łódź sprowadzono aż do schodów w Temple, tak że mogłem do niej dotrzeć z mego mieszkania w dwie minuty. Zaraz potem zacząłem wyjeżdżać łodzią jak gdyby dla ćwiczenia się, to sam, to w towarzystwie Herberta. Wyjeżdżałem często w czasie deszczu lub w chłodne dni, ale nikt nigdy nie zwracał na mnie uwagi. Zrazu wiosłowałem w kierunku mostu Blackfriars, ale w miarę jak zmieniły się godziny odpływu, jeździłem w kierunku Mostu Londyńskiego. Był to w owym czasie jeszcze stary Most Londyński i mówiono o nim, że w okresie przyptywu tworzą się pod nim wiry, ale nauczyłem się je omijać i lawirowałem zręcznie wśród statków pływających po rzece na przestrzeni od Pool do Erith. Kiedy po raz pierwszy mijaliśmy Mill Pond Bank, wiosłowaliśmy obaj z Herbertem i obaj widzieliśmy w oknie wy-

chodzącym na wschód opuszczoną zastawę. Herbert odwiedzał trzy razy w tygodniu dom nad rzeką, nigdy nie przynosząc stamtąd żadnych niepokojących wieści.

Ja jednak wiedziałem, że mam powody do niepokoju, i miałem nieustannie uczucie, że jestem przez kogoś śledzony. Trudno doprawdy wyzbyć się takiego wrażenia i doszło do tego, że podejrzewałem niezliczoną ilość ludzi.

Żyłem więc w nieustannym lęku przed kryjącym się przed mnymi oczyma awanturnikiem.

Herbert, stojąc wieczorem przy oknie i patrząc na rzekę, mówił, że cieszy go widok tej wody i myśl, że płynie ona ku Klarze. Ale ja w tym czasie myślałem ze zgrozą, że płynie ona wraz z odpływem ku Magwitchowi i że każdy ciemny punkt na rzece to mogą być jego prześladowcy, którzy suną nagle, cicho i pewnie, aby go schwytać.

## Rozdział czterdziesty siódmy



Mineło kilka tygodni, nie przynosząc żadnych zmian. Oczekiwaliśmy Wemmicka, który nie dawał znaku życia. Gdybym nie widywał go nigdy poza biurem w Małej Brytanii i nie bywał w goście w Zameczku, mógłbym o nim zważyć, ale ponieważ znalazłem go tak dobrze, wierzyłem w niego niezmiennie.

Moje sprawy pieniężne stały bardzo źle i coraz częściej dręczyli mnie wierzyciele. Doszło do tego, że brakowało mi gotówki na bieżące wydatki i że spieniężaniem różne zbytkowne przedmioty, bez których mogłem się obejść. Mimo to uważałem, że byłoby podłością bez serca brać w tych warunkach pieniądze od mego opiekuna. Posłałem mu więc przez Herberta nietknięty portfel i czułem dumę – trudno mi określić, czy słuszną, że od czasu, gdy dowiedziałem się, kim jest naprawdę, nie wziętałem od niego pieniędzy.

W miarę jak czas mijał, coraz bardziej ciążyła mi myśl, że Estella zapewne wyszła już za mąż. Lękając się panicznie, by to moje przypuszczenie nie sprawdziło się, unikałem czytania gazet i prosiłem Herberta (któremu zwierzyłem się ze wszystkiego), aby nigdy nie wymieniał jej imienia.

Dlatego tak kurczowo trzymałem się ostatniego łachmana szaty nadziei poszarpanej przez wichry i burze, nie wiem. Dla czego wy, którzy to czytacie, czyniliście podobnie przed rokiem, przed miesiącem lub przed tygodniem?

Przeżywałem wówczas smutne chwile, a ponad wszystkimi lękami wznosiła się groźna obawa o Provisa, która mnie ani na chwilę nie opuszczała, niczym góra wystrzelająca w niebo pośród mniejszych pagórków.

Nie było jednak na razie powodu do jakiegoś nowego strachu. Co ranka wyskakiwałem z łóżka w łęk, że w nocy go aresztowano, co wieczoru nastukiwałem kroków powracającego Herberta, bojąc się, czy ich przyspieszony rytm nie zapowiada złych wieści, ale mimo to wszystko szło zwykłym trybem. Skazany na bezczynność, nieustający niepokój i zawieszenie, wiosłowałem po rzece i czekałem, czekałem, czekałem, jak tyłko potrafiłem.

Bywały chwile przyływu morza, kiedy nie mogłem powrócić łodzią wśród wirów pod starym Mostem Londyńskim. Pozostawiałem wówczas mą łódź przywiązaną nieopodal budynku celnego, by potem sprowadzić ją do schodów w Temple. Czyniłem to chętnie, uważając, że w ten sposób mieszkańcy nad rzeką oswoją się z moim widokiem i widokiem mej łodzi. Z tych to wędrówek wynikły dwa spotkania, o których zaraz opowiem.

Pewnego popołudnia w końcu lutego przybiłem łodzią do brzegu przy gmachu celnym. Był zmierzch. Dotarłem tego dnia aż do Greenwich wraz z odpływem, a teraz powróciłem z przyływem. Dzień był pogodny i słoneczny, ale po zachodzie słońca ukazała się mgła i musiałem wiosłować bardzo ostrożnie, lawirując wśród ruchu na rzece. Jadąc w obie strony widziałem w oknie umówiony znak i wiedziałem, że wszystko w porządku.

Wieczór był chłodny i postanowiłem dla rozgrzewki pokrzepić się obiadem. Zdecydowałem się też po wielu godzinach samotności, zamiast powracać do Temple, pójść do teatru.

Teatr, w którym Wopse odniósł niegdyś swe wątpliwe triumfy, znajdował się w bliskim sąsiedztwie rzeki (obecnie już nie istnieje), postanowiłem więc podążyć właśnie tam. Wiedziałem, że Wopse'owi nie udało się wskrzesić wstrząsającego dramatu, ale że, przeciwnie, był świadkiem jego całkowitej klęski. A fiske oznajmiały potem, że gra on rolę jakiegoś wiernego Murzyna

w towarzystwie dziewczynki szlachetnego rodu i małpy. Herbert widział go kiedyś w roli grabieżczego Tantara o twarzy czerwonej jak cegła, ustrojonego w fantastyczny kapelusz z dzwonkami.

Obiad zjadłem w gospodzie, którą nazywaliśmy z Herbertem „Geograficzną” z powodu map całego świata umieszczonych na kufiach od piwa, na obrusach, nawet na nożach, na których sosy namalowały fantastyczne desenie. (Po dziś dzień nie ma w tych okolicach ani jednej gospody, która nie byłaby pod tym względem równie „geograficzna”). Drzymałem nad stołem pokrytym okruciami, wpatrzony sennymi oczyma w płomyki gazowe, dopóki nie przysłała godzina udania się do teatru.

Tam ujrzałem dzielnego kapitana załogi okrętowej w służbie jego królewskiej mości. Wolałbym co prawda, aby ten szlachetny człowiek nie miał takich obcisłych spodni w jednym miejscu, a tak obszernych w innym i aby nie wciskał wszystkim niższym od niego ludziom kapeluszy na oczy. Ale poza tym nie miałem mu nic do zarzucenia, gdyż, choć nie chciał styszeć o płaceniu podatków, był wielkim patriotą. W kieszeni nosił sakiewkę z pieniędzmi niczym pudding w serwecie. Dzięki swemu majątkowi poślubił młodą osobę pochodzącą z branży meblowej i urządził wspaniałe wesele, na którym obecna była cała ludność Portsmouth (dziewięć osób zgodnie z ostatnim spisem ludności). Wszyscy zbiegli się na wybrzeże, by ścisnąć sobie wzajemnie dłonie, zacierać je radośnie i śpiewać: „Więc pijmy, więc pijmy!...” Znalazł się między nimi jakiś gałgan o ciemnej twarzy, który nie chciał pić ani w ogóle brać udziału w ogólnym święcie, i ten człowiek, którego twarz, wedle orzeczenia kapitana, była równie czarna jak jego serce, namówił innych gałganów, by robili zamieszanie. Wykonane to zostało skrupulatnie (gdyż ród gałganów ma, jak wiadomo, wielkie wpływy polityczne) i tak dokładnie, że potem trzeba było zużyć pół wieczoru na zrobienie porządku.

Do uspokojenia awantury przyczynił się najbardziej pewien mały uczciwy kupiec korzenny w białym kapeluszu, czarnych getrach, właściciel czerwonego nosa: wszedł on do wnętrza ze-

gara, uzbrojony w rozen, i wyskakował stamtąd zniemacka, waląc w łeb awanturników, gdy się tego najmniej spodziewali.

W tej chwili zjawił się Wopśle (o którym nikt przedem nie nie słyszał). Przystrojony był w order podwiazki. Jako wysłannik admiralicji oświadczył, że łobuzów należy natychmiast aresztować i że on przywiózł kapitanowi jako oznakę wdzięczności za jego usługi sztandar brytyjski.

Kapitan, rozczulony, otarł oczy szlاندarem, potem, otrząsnąwszy się ze wzruszenia, zwrócił się do Wopśle'a jako do czci-godnego pana i poprosił o pozwolenie uściśnięcia jego prawicy. Wopśle wyciągnął do niego rękę, po czym odsunął go w zapy-lony kąt, gdyż całe towarzystwo tańczyło na środku pokoju w takt muzyki kobzy. Wopśle obserwował krytycznie tańczą-cych i wówczas to bystre jego oczy odkryły i moją osobę.

Drugim punktem programu była najnowsza wielka pantomi-na wigilijna, w której, ku znacznej przykrości, poznałem Wop-sie'a w czerwonych bawelnianych pończochach, o wyolbrzy-mionej, fosforyzującej twarzy. Na głowie miał zamiast włosów fiedzle od firanki. Zajęty był fabrykowaniem piornów w ko-palni i zdradzał okropny strach, ilekroć zjawiał się jego potężny pan o bardzo schrypniętym głosie i żądał obiadu.

Wkrótce potem jednak Wopśle ukazał się w godniejszej roli. Oto pewien – nieświadomy tego, co czyni – rolnik zabronił swej córce połączyć się z wybrańcem serca, przez co duch młodzień-czej miłości popadł w nie lada zagrożenie, i kiedy na skutek owego ojcowskiego zakazu nieszczęśliwa dziewczyna skoczyła z pierwszego piętra na worek z mąką, w którym zamknięty był jej ukochany, zjawił się pod postacią Wopśle'a wspaniały czaro-dziej. Kotsząc się z lekka na nogach, zapewne po uciążliwej podróży, wkroczył na scenę w szerokokoskrzydłym kapeluszu, dzwigając pod pachą olbrzymi tom nauki czarnoksięskiej. Rola jego polegała na wysłuchiwaniu toastów na swoją cześć, przy-gładaniu się tańcom i słuchaniu śpiewów w blasku puszczanych fajetwerków. Odegrał ją sumiennie i przez cały czas rzucał spoj-rzenia w moją stronę z miną bardzo zdziwioną.

W spojrzeniu Wopśle'a było tyle połączonego z przeraże-niem zdumienia, że sam nie wiedziałem, co mam o tym myśleć. Zastanawiałem się nad tym długo jeszcze potem, kiedy uniesio-no go w chmurę w dużej szafce zegarowej. Zastanawiałem się również wychodząc z teatru, i oto natknąłem się na niego. Cze-kał na mnie przy wyjściu.

– Jak się pan miewa? – spytałem, podając mu rękę, gdy szli-śmy razem przed siebie ulicą. – Widziałem przed chwilą, że pan mnie spostrzegł w teatrze.

– Tak jest, spostrzegłem pana, panie Pip – odparł – oczywi-ście, że spostrzegłem, ale niech pan mi powie, kto to był obok pana?

– Obok mnie?

– To bardzo dziwne – powiedział Wopśle z właściwym sobie nieprzytomnym wyrazem twarzy – ale mógłbym przysiąc, że go widziałem.

Zaniepokojony, prosiłem go, by mi wyjaśnił swe słowa.

– Nie wiem, czy byłbym go zauważył wśród publiczności, gdyby nie siedział koło pana – ciągnął Wopśle zamysłony – ale sądzę, że chyba tak, że byłbym go i tak spostrzegł.

Mimo woli rozejrzałem się wokół siebie, jak to zwykłem czy-nić ostatnio, idąc do domu, gdyż słowa Wopśle'a przejęły mnie dreszczem.

– Nie, tutaj go pan nie zobaczy – zauważył Wopśle – widzia-łem, jak wychodził z teatru jeszcze przed panem.

Mając powody do podejrzliwości, zacząłem podejrzewać na-wet tego biednego aktora, że zastawia na mnie pułapkę, by zmu-sić mnie do wyznań. Toteż spojrziałem na niego uważnie, choć nie wypowiedziałem ani słowa.

– Nie wiem dlaczego, ale byłem pewien, że on ma jakąś łącz-ność z panem, panie Pip – zwierzał się Wopśle – mimo że pan zdawał się wcale nie wiedzieć o jego obecności i mimo że on siedział nie przy panu, ale za panem niczym jakiś duch.

Dreszcz znowu wpełznął mi na plecy, ale nie zadałem żadne-go pytania, gdyż nie byłem pewien, czy słowa Wopśle'a nie ma-

– Ten, którego tamten drugi pobit – odparł z całą pewnością – im więcej o tym myślę, tym jestem tego pewniejszy. Mogłbym na to przysięgać.

– To bardzo ciekawe – odpowiedziałem, siląc się na całkowitą obojętność – doprawdy ciekawe!

Niepodobna byłoby użyć zbyt przesadnych wyrazów do wypowiedzenia straszliwego niepokoju, który mnie ogarnął na myśl, że Compeyson siedział za mymi plecami „jak duch”, i na myśl, że właśnie w jedynej chwili od czasu ukrywania się Provisa, w której zapomniałem o wrogu, nieprzyjaciel znajdował się najbliżej. Świadomość, że mimo całej czujności tak dalece nie zdawałem sobie sprawy z sytuacji i okazałem się tak bezbronny, sprawiała, że czułem się tak, jak gdybym zaryglował sto drzwi, by go nie wpuścić do domu, i jak gdyby nagle zjawił się tuż koło mnie. Nie mogłem również wątpić, że znalazł się w teatrze dlatego, że ja się tam wybrałem. Wiedziałem teraz, że wbrew wszelkim pozorom niebezpieczeństwo nie opuszcza nas ani na chwile.

Spytałem Wopsle’a, kiedy ten człowiek mógł wejść na scenę, ale aktor nie umiał na to odpowiedzieć: zobaczył mnie i zaraz potem za moim ramieniem dostrzegł jego. W pierwszej chwili go nie poznał, ale zaraz niejasno poczuł, że ma on coś wspólnego ze mną, i to ze mną z owych dawnych czasów w naszej wiosce. Spytałem jeszcze, jak był ubrany? Przyzwójcie, zdaje się na czarno. Nie miał na sobie nic szczególnego. Czy twarz jego była zniekształcona? Chyba nie, Wopsle nie sądzi. I ja również nie miałem tego wrażenia, bo byłbym przecież zniekształconą twarzą zauważył pośród publiczności pomimo zamyslenia.

Kiedy Wopsle podzielił się ze mną wszystkimi spostrzeżeniami co do tego człowieka i kiedy ja w niepokoju wyciągnąłem z niego wszystko, co mi się nasuwało, wstąpiliśmy na małą przekąskę dla odpoczynku po wzruszeniach wieczora, po czym rozstaliśmy się.

Doszedłem do Temple między dwunastą a pierwszą w nocy. Brama dzielnicy była już zamknięta. Rozejrzałem się wokół, czy

ją na celu sprowokowania mych wyznań dotyczących się Provisa. Oczywiście wiedziałem doskonale, że to nie Provis siedział za mną w teatrze.

– Widzę, że patrzy pan na mnie ze zdumieniem, panie Pip – oświadczył Wopsle – bo to rzeczywiście bardzo dziwne, a nawet zdumiewające. Pan mi nie uwierzy, tak jak ja bym panu nie uwierzył, gdyby pan mi to powiedział.

– Doprawdy? – spytałem.

– Naprawdę. Pamięta pan, panie Pip, pewien wieczer wigilijny przed wielu laty, kiedy był pan jeszcze dzieckiem? Byłem wówczas na kolacji u państwa Gargery i przyszli żandarmi prosiąc, by im naprawić parę kajdan. Pamięta pan?

– Pamiętam doskonale.

– I przypominam panu sobie, że żandarmi ścigali wówczas dwóch galerników i że my poszliśmy razem z nimi, że pan Gargery wziął pana na barana i że ja biegłem przodem, a wy za mną, ledwie mogąc nadążyć?

– Pamiętam to świetnie.

Pamiętałem lepiej, niż mógł przypuszczać, wszystko z wyjątkiem ostatniego szczegółu.

– I pamięta pan, że znaleźliśmy tych dwóch ludzi w rowie, jak się tarzali w bójce i jak jeden drugiemu zranił twarz swymi ciosami?

– Tak. Widzę to dotychczas przed sobą.

– A potem żołnierze zapalili pochodnie, otoczyli ich i uprowadzili. Pamięta pan, jak blask pochodni padał im na twarze? Specjalnie kładę nacisk na to, że blask pochodni padał im na twarze, podczas kiedy wokoło na bagniskach poza kręgiem tego światła panowały egipskie ciemności. Pamięta pan to?

– Tak – potwierdziłem – pamiętam wszystko.

– A więc, panie Pip, jeden z tych dwóch galerników siedział dzisiaj za pańskimi plecami w teatrze. Jestem tego całkiem pewien.

„Uwaga!” – pomyślałem i spytałem go spokojnie, który to z tych dwóch mógł być.



nikogo nie dojrzą, ale było pusto. Przekroczyłem więc bramę i poszedłem do siebie.

Zastąłem w domu Herberta i przed kominkiem odbyliśmy poważną naradę. Nie pozostawało nam nic do zrobienia, prócz za-komunikowania Wemmickowi mojego odkrycia i przypomnie-nia mu, że czekamy na znak życia z jego strony. Bojąc się go skompromitować zbyt częstymi wizytami w Zameczku, napisa-łem do niego list. Jeszcze przed udaniem się na spoczynek wy-szedłem, aby wrzucić go do skrzynki. Na ulicy nie ujrzałem ni-kogo. Zgadzaaliśmy się z Herbertem, że prócz zachowania ostroz-ności, nic innego nie wypada nam czynić. Mieliśmy się więc na-bacności jeszcze bardziej, jeżeli to możliwe, niż przedtem. Nie zbliżałem się do okolic Chink's Basin, chyba wiosłując po rze-ce, ale i wtedy patrzyłem w okna domu w Mill Pond Bank cał-kiem jak na inne mijane domy.

## Rozdział czterdziesty ósmy



Drugie ze spotkań, o których wspominałem w poprzednim rozdziale, nastąpiło w tydzień po pierwszym. I znowu pozostawielem łódź przy moście na przystani, ale tym razem nie było jeszcze tak późno. Sam jeszcze nie wiedziałem, gdzie ziemi obiad, i przechadzałem się po Cheapside jako z pewnością najmniej zdecydowany spośród otaczających mnie zaferowanych przechodniów. Nagle czyjaś dłoń spoczęła na moim ramieniu. Była to dłoń Jaggersa, który wsunął mi ją pod ramię ze słowami:

– Skoro idziemy w tym samym kierunku, możemy pójść razem, Pip. Dokąd idziesz?

– Chyba do Temple – odpowiedziałem.

– Nie wiesz dokładnie? – spytał.

– Rozumie pan – odpartem, szczęśliwy, że raz ja mogę się okazać zreczniejszy w śledztwie od niego – nie wiem, bo się jeszcze nie namysliłem.

– Czy idziesz na obiad? – badał Jaggers. – Sądzę, że nie widzisz nic niestosownego w zjedzeniu obiadu?

– Nie, nie widzę w tym nic niestosownego.

– I jesteś wolny?

– Nic mi nie przeszkadza wyznać, że jestem wolny.

– Wobec tego – oświadczył Jaggers – chodź zjeść obiad ze mną.

Już chciałem grzecznie odmówić, gdy dodał, że Wemmick jest także zaproszony, więc szybko zmianielem przeprosiny na

podziękowanie. Ruszyliśmy więc Cheapside i doszliśmy do Małej Brytanii w chwili, kiedy na wystawach sklepów zapalały się błyszczące światła i kiedy zapalacze latarni ulicznych z trudem ustawiali drabiny wśród tłumu przechodniów, a potem wspinali się na nie, aby z nich zaraz zeskaکیwać. Wkrótce potem otworzyli więcej czerwonych oczu we mgle spowijającej ulice, niż moja latarnia w Hummums zdołała zapalić białych światła na upiornym murze.

W biurze w Małej Brytanii rozpoczął się właśnie zwykły remont pisania ostatnich listów, mycia rąk, zdmuchiwanie świec, zamykania na noc kasy, który kończył dzieńne zajęcia. Kiedy czekałem beczynn timer ogniem kominka Jaggersa w blasku to wybuchających, to przygasających płomieni, zdało mi się, że dwie okropne rzeźby na półce bawią się ze mną w szatańskiego chowanego i że dwie ordynarne świece, które rzuciły blade światło na piszącego Jaggersa, dlatego otulono w zatłuszczone papierki, by uczcić zastęp powieszonych klientów tej kancelarii.

Pojechał mi potem we trójkę wynajętą dorożką na Gerrard Street do mieszkania Jaggersa i kiedy tylko przybyliśmy do domu, podano obiad.

Mimo że nie miałem najmniejszego zamiaru robić jakiegokolwiek aluzji do sentymentów Wemmicka z Walworth, wolałbym, aby spojrzenia nasze niekiedy spotykały się w sposób przyjacielski. Ale to nie następowało. Wemmick tylko po to podnosił oczy znad stołu, by spojrzeć na Jaggersa, i był w stosunku do mnie tak obcy i oschły, jak gdyby istniało dwóch bliźniaczych Wemmicków i obecny okazał się tym gorszym.

– Czy posłał pan panu Pipowi ten list od miss Havisham, panie Wemmick? – spytał Jaggers, gdy zasiadliśmy do stołu.

– Nie – odparł Wemmick – przyniesiono go z poczty właśnie w chwili, kiedy wprowadził pan pana Pipa do kancelarii. Oto list.

I zamiast mnie wręczył pismo swemu szefowi.

– Jest to właściwie tylko dwuwierszowa kartka, Pip – wyjaś-

nił Jaggers, podając mi list – miss Havisham pyta mnie o twój adres. Pisze, że chce cię zobaczyć w pewnej drobnej sprawie, o której jej wspominasz ostatnio. Czy pojedziesz do niej?

– Tak – potwierdziłem z oczyma utkwionymi w kartce tej właśnie treści.

– Kiedy zamierzasz tam się wybrać?

– Czeka mnie wkrótce pewna sprawa – powiedziałem – wobec czego wolałbym pojechać przedtem. Najlepiej zaraz.

To mówiąc, skierowałem spojrzenie na Wemmicka, który właśnie wrzucał kawałek ryby do swego otworu skrzynki pocztowej.

– Jeżeli pan Pip ma zamiar pojechać tam zaraz – zauważył Wemmick – to nie ma potrzeby odpowiadać na list. Prawda, panie Jaggers?

Uważając to za zachętę do natychmiastowej podróży ze strony Wemmicka, postanowiłem wyruszyć nazajutrz i oznajmiłem to głośno. Wemmick wypit kieliszek wina i spojrzął z zadowoleniem na Jaggersa, ale nie na mnie.

– A więc, Pip, nasz przyjaciel Pająk postawił na swoją kartę i wygrał – powiedział Jaggers.

Nie pozostało mi nic innego, jak skinąć w milczeniu głową.

– Ha, ha, to obiecujący chłopak, oczywiście w swoim rodzaju... ale nie wiadomo jeszcze, kto w końcu zwycięży. Zwycięzca silniejsza wola, a nie wiadomo, kto tu silniejszy, ona czy on... kto wie, jeżeli ją będzie bił...

– Nie przypuszcza pan chyba, panie Jaggers – zawołałem z płonącą twarzą i bijącym sercem – że byłby do tego stopnia fotorem, by się dopuścić takiego czynu?

– Nie mówiłem, że tak będzie, Pip. Zrobiłem po prostu przypuszczenie. Gdyby bił ją, może by zwycięstwo ostateczne znalazło się po jego stronie. Gdyby jednak chodziło o wykazanie inteligencji, to z pewnością nie on by zwyciężył. Byłoby ryzykowne twierdzić na pewno, jak zachowa się tego rodzaju chłopiec w takim wypadku. W każdym razie są dwie możliwości, jak w orle i reszce.

– Czy wolno mi wiedzieć, jakie to możliwości?

— Chłopiec taki jak nasz przyjaciel Pająk albo sam bije, albo się płaszczy. Może się płaszczyć i przy tym wymyślać, i może się płaszczyć bez wymyślania. Ale tak czy inaczej albo bije, albo się płaszczy. Spytaj zresztą Wemmicka o zdanie.

— Albo bije, albo się płaszczy — powtórzył Wemmick, wcale nie zwracając się do mnie.

— Więc wypijmy za zdrowie pani Bentleyowej Drumme — zaproponował Jagers, biorąc z kredensu karafkę i napełniając nam i sobie kieliszki wyborowym winem — bodajby się rozstrzygnęło na jej stronę. Bo że sprawa ta nie będzie nigdy rozstrzygnięta tak, by oboje byli zadowoleni, to pewne. A teraz, Molly, Molly, Molly, jakas ty dzisiaj powolna!

Kiedy to mówił, była tuż za jego łokciem i stawiała półmisek na stole.

Gdy postawiła, cofnęła się o krok i zamruczała nerwowo coś w rodzaju przeprosin. Zaciekawit mnie pewien ruch jej palców.

— Co się stało? — spytał Jagers.

— Nic — odpartem — tylko temat, który poruszaliśmy, był dla mnie bardzo przykry.

Ruch jej palców był całkiem taki, jak gdyby robiła na drutach. Stała niezdecydowanie obok swego pana, niepewna, czy już może się oddalić. Patrzyła na niego uparcie. Z pewnością widziałem już takie samo spojrzenie i takie same ręce. I to bardzo niedawno.

Pozwolił jej odejść i wysunęła się z pokoju. Ale miałem ją wciąż przed oczyma, jak gdyby wcale się nie oddalała. Patrzyłem na jej ręce, patrzyłem na jej oczy, patrzyłem na jej powiewające włosy i widziałem inne ręce, inne oczy i inne włosy, które znałem, i myślałem o tym, co się z nimi stanie po dwudziestu latach burzliwego życia z mężem brutalnym. I znowu przyglądałem się rękóm i oczóm gospodyni, i myślałem o owym niewyżytym maczonym uczuciu, jakie ogarnęło mnie, gdy się przechadzałem ostatnio — nie samotnie — po zdziczałym ogrodzie i opuszczonym browarze. Myślałem, że to samo uczucie zawładnęło mną pewnego dnia na widok twarzy wyglądającej z okna dyliżansu

i dłoni ku mnie kiwającej, i że raz jeszcze oświeciło mnie jak błyskawica, kiedy jechałem — nie sam — ciemną ulicą powozem, mijając zapaloną latarnię. I pomyślałem jeszcze, że tak samo jak zjawienie się w teatrze galeonika dopełniło jednego brakującego ogniwia łańcucha faktów, tak i widok tej gospodyni, bezpośrednio po rozmowie o Estelli, zamknął inne. I byłem całkiem pewny, że ta kobieta o ważnych oczach i palcach poruszających się jak przy robocie na drutach jest matką Estelli.

Jagers widział mnie w towarzystwie Estelli i nie mógł nie spoznać moich uczuć, których bynajmniej nie kryłem przed ludźmi. Pokiwał głową, kiedy powiedziałem, że temat ten jest dla mnie przykry, poklepał mnie dłonią po plecach i dołał mi wina. Potem wróciliśmy do obiadu.

Gospodyni zjawiała się jeszcze tylko dwa razy. Za każdym razem przebywała bardzo krótko w jadalni i za każdym razem Jagers odnosił się do niej bardzo szorstko. Ale oczy jej były oczami Estelli, ręce jej rękami Estelli i gdyby ukazała się jeszcze sto razy, i tak nie zmieniłbym mego przypuszczenia, które przemieniło się w pewność.

Był to nudny wieczór. Wemmick takim gestem nalewał sobie wina, gdy karafka krążąca wokoło stołu docierała do niego, jakim zapewne brał pensję miesięczną, i z oczyma utkwionymi w szelfe robił wrażenie gotowego do poddania się śledztwu. Co się tyczy ilości wypitego tego wieczoru wina, to jego skrzynka do listów była równie obojętna i gotowa na przyjęcie trunku, jak każda inna skrzynka pocztowa na przyjęcie listów. Ja zaś patrzyłem na niego przez cały czas jak na złego bliźniaka, który tylko z zewnątrz podobny jest do Wemmicka z Walworth.

Pozegnaliśmy się wcześniej, by razem powrócić do domu. Kiedy po omacku szukaliśmy naszych kapeluszy wśród mnóstwa butów Jagersa, poczułem nagle, że powraca dobry bliźniak, a zaledwie uszliśmy sześć jardów drogą wiodącą do Walworth, widziałem już na pewno, że ten, który wiaływszy mnie pod ramię idzie obok mnie, jest dobrym bliźniakiem, a tamten zły rozwiął się w mrokach nocy.

– A więc – oświadczył Wemmick – mamy to już za sobą! To wspomniały człowiek, nie mający sobie równego na świecie, ale kiedy jem z nim obiad, czuję, że muszę się giąć niby łuk, a jadłam chętniej i wygodniej, kiedy nie jestem zgięty.

Uważałem, że to doskonałe określenie sytuacji, i poinformowałem go o tym.

– Nikomu bym tego nie powiedział z wyjątkiem pana – odparł Wemmick, ale wiem, że co zostało powiedziane między nami, nie wyjdzie dalej.

Spytałem go, czy widział kiedy przybraną córkę miss Havisham, żonę Bentleya Drummle'a. Oznajmił, że nigdy jej nie widział. Żeby nie okazać zbytnej natarczywości, spytałem go teraz o staruszkę i miss Skiffins. Na dźwięk nazwiska owej damy Wemmick przybrał nieco filuterny wyraz twarzy, zatrzymał się, by wytrzeć nos, i zrobił przy tym zamaszty ruch chusteczka, niepozbowiony pewnej próżności.

– Wemmick – spytałem – czy pamięta pan, że kiedy odwiezłem po raz pierwszy Jaggersa, polecił mi pan zwrócić uwagę na jego gospodynię?

– Tak? – dziwił się. – Możliwe. Niech mnie diabli porwą! – Nagle dodał: – Oczywiście. Widzę, że jeszcze się nie rozprężyłem całkowicie.

– Nazwał ją pan wtedy dziką z natury, a oswojoną istotą.

– A co pan o tym teraz myśli?

– To samo. Jak pan Jaggers zdołał ją oswoić, panie Wemmick?

– To jego tajemnica. Ta kobieta jest u niego od wielu lat.

– Chciałbym, aby pan opowiedział mi jej historię. Mam szczególne powody do tego, by znać dzieje tej kobiety. Pan wie, że to, co jest powiedziane między nami, nie wychodzi poza nas dwóch.

– Wie pan – wyznał Wemmick – nie znam właściwie jej historii, to jest – znam ją tylko częściowo. Opowiem panu to, co sam wiem. Rozumie się samo przez się, że znajdujemy się teraz na gruncie czysto poufnym.

– Oczywiście.

– Jakież dwadzieścia lat temu ta kobieta była sądzona w Old Bailey za morderstwo i została uniewinniona. Była wówczas bardzo piękna, młodą kobietą i przypuszczam, że w żyłach jej płynnie krew cygańska. W każdym razie była to krew dość gorąca, jak się pan domyśla.

– Ale Molly została uniewinniona.

– Tak. Pan Jaggers jej bronit – ciągnął Wemmick z wielce znaczącym spojrzeniem – i robił to w sposób rzeczywiście nadzwyczajny. Sprawa była ciężka. Jaggers, wówczas dopiero początkujący prawnik, poprowadził ją – ku ogólnemu zdumieniu – wspaniale. Można by śmiało powiedzieć, że ten właśnie proces był początkiem jego kariery. Tygodniami przesiadywał w policji i walczył nawet przeciwko aresztowaniu oskarżonej przed sprawą. Podczas procesu, nie mając jeszcze prawa występować w roli adwokata, tak dzielnie pomagał oficjalnemu obrońcy, że to on właściwie dodał obronie właściwego pieprzyka. Ofiarą oskarżonej była kobieta o dziesięć lat od niej starsza, o wiele łęzsza, większa i silniejsza. Było to zabójstwo na tle zazdrości. Obie kobiety prowadziły życie koczownicze; kobieta z Gerrard Street, młodzieńczo wydana za męża, jak w tej sferze jest w zwyczaj, za włóczęgę, stawiała się po prostu furją, gdy w grę wchodziła zażość. Ofiarę – o wiele odpowiedzialniejszą pod względem wieku dla owego mężczyzny – znaleziono zamordowaną w stodole w okolicach Hounslow Heath. Musiała się tam rozegrać zajadła i długotrwała bójka, gdyż ofiara była podrapana, posiniaczona i pokrwawiona; umarła na skutek uduszenia. Otoż nie było w jej otoczeniu nikogo, kto by mógł sciągnąć na siebie podejrzenia, z wyjątkiem tej właśnie kobiety, która jej nienawidziła. Jaggers zbudował obronę na tym, że oskarżona nie była w stanie fizycznie pokonać ofiary. Może pan być pewien – ciągnął Wemmick, dotykając mego rękawa – że wówczas pryncypał nigdy nie wspominał o sile rąk tej kobiety, mimo że teraz to niekiedy robi. Opowiedziałem Wemmickowi, jak Jaggers popisował się siłą gospodyni podczas mej poprzedniej u niego wizyty.

— Rozumie pan — opowiadał Wemnick — zdarzyło się tak, że kobieta ta w chwili aresztowania ubrana była w suknię, która czyniła ją o wiele szczuplejszą. Zwłaszcza rękawy tak były uszyte, że stwarzały złudzenie drobnych, słabych ramion. Miała kilka siniaków, co nie było dziwne przy jej wścibowskim trybie życia, ale na grzbietach jej dłoni widniało parę zadrapań i sądowni chodzilo o to, czy nie uczyniły ich czyjeś paznokcie. Otóż Jagers oświadczył, że zadrapania pochodziły od gałęzi głogu, przez które torowała sobie drogę w pieszej wędrówce. Gałęzie, według jego słów, rosły nisko, nie sięgając jej twarzy, i musiała odsunąć je dłońmi. Na dowód prawdy pokazał kilka kołców zaczepionych o jej suknię i nawet gdzieś tam kropelki krwi pochodzącej z tegoż źródła. Ale najsilniejszy argument wysunęły przez Jagersa był następujący: podejrzewano poważnie kobietę, iż zazdrość, której nie umiała opanować, doprowadziła ją do zamordowania własnego trzyletniego dziecka po to, by ukarać jego ojca. Oto, co Jagers na to powiedział: „Twierdzimy, że nie są to ślady paznokci, ale kołców, a wy uważacie, że to paznokcie, i jeszcze przypuszczacie, że kobieta ta zamordowała własne dziecko. Musicie jednocześnie przyjąć wszystkie następstwa logiczne tej hipotezy. Oczywiście, mogła zabić własne dziecko, które broniąc się mogło ją podrapać paznokciami. Ale wy nie sądzicie jej za zbrodnię popełnioną na dziecku. Dlaczego tego nie czynicie? Co się tyczy tej sprawy, to znowu chcecie koniecznie dowieść, że są to zadrapania paznokciami, chociaż my wiemy, że podrapały ją gałęzie głogu. I jakiz jest to dowód, żeście po prostu nie wymyślili sobie tej całej sprawy z paznokciami?”

Krótko mówiąc, proszę pana — mówił Wemnick — zrozumie-  
li, że nie dadzą rady Jagersowi i sędziowie przysięgli musieli się poddać.

— Czy od czasu wyroku jest u niego na służbie?

— Tak — odparł Wemnick — wstąpiła na służbę do niego natychmiast po uniewinnieniu, ale najważniejsze jest to, że już wówczas była oswojona. Nauczyła się od tamtych czasów nie jednego ze swych obowiązków, ale oswojona była od początku.

— Czy nie pamięta pan, jakiej płci było jej dziecko?

— Mówiono, że to była dziewczynka.

— Czy nic więcej nie ma pan mi już dzisiaj do powiedzenia?

— Nie, nic więcej. Otrzymałem list pański i zniszczyłem go.

To wszystko.

Zyczyliśmy sobie serdecznie dobrej nocy i poszedłem do domu przepelniony nowymi myślami, ale bynajmniej nieuwołniony od dawnych.

## Rozdział czterdziesty dziewiąty



Wsunąwszy do kieszeni liścik od miss Havisham, by na wypadek jej zmiennego humoru wytłumaczyć się przy jego pomocy ze zbyt częstych mych odwiedzin w willi „Satis”, pojechałem nazajutrz dylizansem w rodzinne strony. Zatrzymałem się jednak w oberży w połowie drogi, zjadłem tam pierwsze śniadanie i powędrowałem dalej piechotą. Chciałem bowiem wejść do miasta spokojnie, mało uczęszczanymi drogami i, tak samo nie zauważony przez nikogo, powrócić.

Zapadał już zmierzch, kiedy szedłem bocznymi cichymi uliczkami miasta, do których z daleka tylko docierały odgłosy ulicy Głównej. Otaczały mnie ruiny, które niegdyś zamykały re-fektarze i ogrody zakonników, a teraz służyły za stajnie i wozownie, i były tak ciche jak groby starych mnichów.

Kiedy szedłem szybko, by uniknąć jakichkolwiek spotkań, dzwony bijące z katedry wydawały mi się smutniejsze i odleglejsze niż kiedykolwiek, a dalekie tony organów w kościele brzmiały jak żałobna muzyka. Gawrony przelatujące nad szarą wieżą kościoła i kołyszące się na czubkach wysokich drzew ogrodu opactwa zdawały się krzyczeć, że wszystko tu się zmieniło i że Estella odeszła już stąd na zawsze.

Starsza kobieta, którą znałem dawniej jako jedną ze służby mieszkającej w domku w głębi dziedzińca, otworzyła mi bramę. Zapalona świeca stała w ciemnym korytarzu jak dawniej, wzię-

tem ją sam do ręki i poszedłem na schody. Miss Havisham nie była w swoim pokoju, tylko w innym, większym, po drugiej stronie schodów. Zapukałem kilkakrotnie do drzwi, a gdy nikt się nie odzywał, otworzyłem je i zastałem ją siedzącą przy wygasłym kominku, w obszarpanym fotelu. Patrzyła na tlejący popiół.

Zrobiłem tak jak dawniej: wszedłem i stanąłem tuż przy kominku tak, by podnosząc oczy, mogła mnie zobaczyć. Na twarzy jej malowało się tak smutne osamotnienie, że budziła we mnie współczucie, mimo że wyrządziła mi tak straszłą, niewypowiedzianą krzywdę. Kiedy tak patrzyłem na nią i myślałem, że oto i ja już należę do ludzi skrzywdzonych i zawiedzionych w tym domu, spojrzęła na mnie. Przyjrzała mi się uważnie i spytała cichym głosem:

– Więc naprawdę?

– Tak, to ja, Pip. Pan Jagers oddał mi wczoraj pani liścik i nie zwlekałem ani chwili.

– Dziękuję ci, dziękuję.

Gdy przysunąłem sobie do kominka drugi obdarty fotel i usiadłem obok niej, spostrzegłem w jej twarzy jakiś nowy wyraz: jak gdyby się mnie lękała.

– Chciałam – oświadczyła – poruszyć z tobą temat, o którym mówiłeś ostatnio, i dowieść ci, że nie jestem z kamienia. Ale, być może, nigdy już teraz nie uwierzysz, że w sercu moim jest coś ludzkiego?

Powiedziałem kilka pocieszających słów. Wyciągnęła ku mnie drżącą prawą rękę, ale zanim zrozumiałem jej ruch czy zorientowałem się, jak mam go przyjąć, cofnęła ją z powrotem.

– Mówiłeś mi o twoim przyjacielu i twierdziłeś, że mogłabym dla niego uczynić coś dobrego. Czy chcesz, bym coś dla niego zrobiła?

– Bardzo, bardzo bym tego pragnął.

– A co?

Zacząłem jej opowiadać historię optacania jego współnika w tajemnicy przed nim samym, lecz wkrótce spostrzegłem, że miss Havisham przygląda mi się, ale robi wrazenie, jak gdyby

nie chwytając sensu mych słów. Kiedy przerwałem opowiadanie, przeszła długa chwila, zanim to zauważyła.

— Przerwałeś — zapytała wreszcie z tym samym zalęknionym wyrazem twarzy — by mi pokazać, jak bardzo mocno mnie nie-nawidzisz?

— Nie, skądże, miss Havisham! Jak pani może tak przypuszczać? Przerwałem, bo zdawało mi się, że pani nie śledzi uważnie tego, co mówię.

— Może i nie śledziłam — zgodziła się, dotykając swej głowy — zacznij raz jeszcze od początku. Czekał, niech na coś przy tym patrzę. Teraz opowiadaj!

Oparła dłoń na łascę, jak wówczas gdy coś postanawiała, i spoglądała uparcie w ogień, najwidoczniej zmuszając się do słuchania mych słów.

Opowiadałem więc wszystko raz jeszcze i tłumaczyłem jej, że zrazu byłem pewien, iż własnymi środkami doprowadzę sprawę do końca, ale teraz warunki mi na to nie pozwalają. Zazna-czyłem, że nie mogę podać więcej szczegółów, gdyż wchodzi tu w grę czyjaś tajemnica.

— Tak — odparła kiwając głową, ale nie patrząc na mnie — a ile trzeba pieniędzy, by doprowadzić sprawę do końca?

Batem się wymówić sumę, która wydała mi się bardzo wysoka.

— Dziewięćset funtów.

— Jeżeli dam ci tę sumę, to czy dotrzymasz mojej tajemnicy, tak jak dotrzymałeś własnej?

— Tak, wiernie dotrzymam.

— I odtąd będziesz spokojniejszy?

— O wiele spokojniejszy.

— Czy teraz jesteś bardzo nieszczęśliwy?

Zadając mi to pytanie wciąż jeszcze nie patrzyła na mnie, ale w tonie jej wyczułem współczucie. Nie mogłem odpowiedzieć, gdyż głos odmówił mi posłuszeństwa. Oparła o łaskę lewe ramię, a na nim złożyła łagodnie czoło.

— Daleki jestem od tego, by czuć się szczęśliwy, miss Havisham. Ale prócz przyczyn mego nieszczęścia, które pani są wia-

domie, mam jeszcze i inne; te właśnie tajemnicę, o której pani wspominałem.

Po krótkiej chwili podniosła głowę i znowu spojrzęła w ogień.

— To bardzo szlachetne z twojej strony, że mówisz o innych twoich zmartwieniach. Czy to prawda?

— Aż nadto prawda.

— Czy mogę ci pomóc, Pip, jedynie pomagając twemu przyjacielowi? Czy doprawdy nie mogę zrobić nic dla ciebie samego?

— Nie, nic. Dziękuję pani za to pytanie, a jeszcze bardziej dziękuję za ton, jakim było zadane. Ale nic.

Wstała ze swego miejsca i rozglądała się po opuszczonym pokoju, jak gdyby szukając przyborów do pisania. Nie znalazła ich, więc wyjęła z kieszeni pęk poźółtkich tabliczek z kości słonowej, oprawnych w ściemniałe złoto, i zaczęła na nich pisać ołówcekiem, który miała zawieszony na szyi.

— Czy wciąż jesteś w dobrych stosunkach z Jaggersem?

— Tak, byłem wczoraj u niego na obiedzie.

— Piszę tu do Jagersa, by dał do twojej dyspozycji sumę potrzebną ci dla przyjaciela. Będziesz mógł nią rozporządzać, jak zechcesz. Jeżeli jednak wolisz, by Jagers nic o tym nie wiedział, mogę tak urządzić, by wprost przysyłać ci pieniądze, chociaż ich tutaj w domu nie trzymam.

— Dziękuję, miss Havisham, nie widzę żadnych przeszkód, by wypłacić mi je pan Jagers.

Przeczytała mi, co napisała do niego. Brzmiało to zwięźle, jasno i uwalało mnie od podejrzeń, że to ja będę używał tych pieniędzy.

Wręczyła mi tabliczki, a ręka jej drżała przy tym mocno. Trzęsła się jeszcze bardziej w chwili, gdy miss Havisham odcepiła tańcuszek, na którym wisiał ołówek, i wkładała go do mojej dłoni. Nie patrzyła przy tym w moją stronę.

— Na pierwszej tabliczce jest moje imię — powiedziała — jeżeli kiedykolwiek będziesz mógł napisać pod tym imieniem własną ręką „Wybaczam jej”, napisz to, proszę, nawet wówczas, gdy moje złamane serce rozpadnie się już w proch.

– O, miss Havisham – zawołałem – mogę to zaraz uczynić. Popętniłem bolesne pomyłki i życie moje potoczyło się ślepo, i pełne jest niewdzięczności. I zbyt mocno trzeba mi przebaczenia i dobrej rady, abym mógł czuć goręcość wobec pani.

Po raz pierwszy tego dnia zwróciła ku mnie twarz i ku memu zdumieniu, a nawet zgrozie, padła przede mną na kolana ze splecionymi rękami, wzniesionymi w górę całkiem tak, jak musiała często klękać u boku matki, wznosząc dłonie ku niebu w czasach, gdy biedne jej serce było jeszcze młode i świeże.

Zadrżałem widząc ją, siwowłosą, o steranej twarzy, kłęczącą u mych stóp. Objąłem ją ramieniem, by dźwignąć z podłogi, ale ona kurczowo uczepiła się tej mojej dłoni, którą miała bliżej, pochyliła nad nią głowę i płakała. Nigdy przedtem nie widziałem u niej ani jednej łzy i sądząc, że płacz sprawi jej ulgę, stałem w milczeniu, pochylony nad jej postacią. Już nie kłęczała, ale leżała rozpostarta na podłodze.

– Och – łkała rozpaczliwie – co ja zrobiłam! Co zrobiłam!

– Jeżeli myśli pani o tym, jak mnie skrzywdziła, miss Havisham, to sądę, że tak znowu nie było. Pokochałbym ją w każdym wypadku. Czy jest już po ślubie?

– Tak.

Pytanie to było całkiem zbyteczne, gdyż pustka i opuszczenie tego domu i tak już mi na nie odpowiedziały.

– Co ja zrobiłam! Co zrobiłam! – Rwała teraz swe siwe włosy, łamała ręce i wciąż powtarzała rozpaczliwie: – Co zrobiłam! Nie umiałem jej odpowiadać ani jej pocieszać. Wiedziałem doskonale, że zrobiła rzecz straszną, czyniąc z wrażliwego dziecka narzędzie, za pomocą którego chciała się zemścić za swe zawiędzone nadzieje, za stargane życie, za zranioną dumę. Ale wiedziałem także, że gasząc światło dnia, gasiła znacznie więcej, że zasztywniając się w swej mrocznej kryjówce, odgradzała się od tysięcy naturalnych i pocieszających wpływów, że jej umysł, oddając się samotnym rozmyśleniom, uległ schorzeniom związanym z samotnością, choćby dlatego, że chciał odwrócić porządek świata ustalony przez Stwórcę.

Czyż mogłem patrzeć na nią bez współczucia, ja, który widziałem karę w jej opuszczeniu, w jej zupełnym niedostosowaniu się do życia, w daremności bólu, który przeszedł w manię, daremności pokuty, wyrzutów sumienia, we wszystkich tych potwornych marnościach, które są przekleństwem tej ziemi?

– Nie wiedziałam, co uczyniłam, aż do chwili kiedy tu ostatnio rozmawiałeś z nią w mojej obecności, i kiedy jak w zwierciadle ujrzałam w tobie wszystkie me dawne bóle i rozpacz. Co ja zrobiłam! Co zrobiłam! Co zrobiłam!

I tak powtarzała to dwadzieścia, pięćdziesiąt razy w kółko.

– Co ja zrobiłam!

– Miss Havisham – przemówiłem, gdy na chwilę krzyk jej umilkł – odciążam pani sumienie co do mojej osoby. Ale nie mogę tego samego zrobić, gdy chodzi o Estellę. To inna sprawa. I jeżeli może pani naprawić choć część zła, jeżeli może pani zwrócić jej cząstkę jej własnej natury, to będzie to słuszniejsze niż płacz i jęk w ciągu stu lat.

– Tak, tak, ja wiem to, Pip. Mój drogi Pip. Ale... – w gęście jej brzmiało prawdziwe, szczere kobiece uczucie dla mnie. – Mój drogi, musisz mi wierzyć. Kiedy zjawiała się u mnie po raz pierwszy, chciałam tylko ostrzec ją przed podobnym mojemu nieszczęściem. Zrazu nic innego nie miałam na myśli.

– Dobrze, dobrze – powiedziałam – spodziewam się, że tak było.

– Ale gdy rosła i stawała się coraz piękniejsza, zaczęłam czynić zło. Moje pochwały, moje klejnoty, moje nauki, moja twarz, która jak ostrzeżenie wciąż przed nią tkwiła – to wszystko sprawiło, że ukradłam jej serce i na jego miejsce umieściłam kawałek lodu.

Nie mogłem się powstrzymać, by nie zauważyć:

– Lepiej było pozostawić jej własne serce, nawet wówczas, gdyby miało się kiedyś strząsnąć czy złamać.

Miss Havisham na te słowa spojrzała na mnie z rozgartaniem i znowu wybuchła narzekaniami, co ona zrobiła!

– Gdybyś znał całą moją historię – oświadczyła – miałbyś dla mnie więcej współczucia i lepiej byś mnie zrozumiał.



— Miss Havisham — odpowiedziałem najdelikatniej, jak  
tem — wydaje mi się, że znam dobrze pani historię. Pozna-  
zaraz potem, jak się wyniosłem z tych stron. Jestem pełen  
czucia dla pani i zrozumienia, jaki ona mogła wywrzeć na  
wpływ. Czy to, co między nami zaszło, daje mi prawo do  
nią pani pytania o Estellę? Nie o taką, jaka jest teraz, ale taką  
ka była, gdy się tu dostata?

Miss Havisham siedziała na podłodze z rękami złożonymi  
obszarpanym fotelu i z głową opartą na rękach. Spojrzała  
prosto w twarz po tych słowach i szepnęła:

— Mów dalej.

— Czyim dzieckiem jest Estella?

Potrząsnęła głową.

— Nie wie pani?

Znowu potrząsnęła głową.

— Czy pan Jagers ją sam przywiózł, czy przysłał?

— Przywiózł ją sam.

— Czy może mi pani opowiedzieć, jak to było?

Odparta cichym szeptem, ostrożnie wymawiając wyrazy:

— Byłam już od wielu lat zamknięta w tych pokojach (nie  
wiem, jak długo, bo wiadomo ci przecież, że zegary są tu za-  
trzymane), gdy poprosiłam go o małą dziewczynkę, którą mogła-  
bym kochać, pieścić i uchronić przed moim własnym losem. Po-  
znałam go wówczas, kiedy mu poleciłam wygnąć całe życie z te-  
go domu. Przeczytałam jego nazwisko w gazecie, jeszcze zanim  
rozstałam się z tym światem. Obiecał, że wyszuka mi taką sierot-  
kę. Pewnej nocy przywiózł mi ją śpiącą. Nazwałam ją Estella.  
— Czy mogę wiedzieć, w jakim była wieku?  
— Mogła mieć dwa lub trzy lata. Sama nic o sobie nie wie-  
działa, była sierotą i adoptowaną ją.  
Czułam tak głębokie przekonanie, że tamta kobieta jest jej  
matką, iż nie trzeba mi było żadnych innych dowodów. Wyda-  
wało mi się to całkiem jasne.

Nie miałem już powodu przedłużać tej rozmowy. Udało mi  
się zatłoczyć sprawę Herberta, miss Havisham opowiedziała mi

zysko, co sama wiedziela o Estelli, ja zrobiłem, co mogłem,  
i uspokoić jej sumienie. Mniejsza o to, jakimi słowami poze-  
gnaliśmy się. Dość żęstę się pozegnali.

Wieczór już zapadał, gdy zeszedłem po schodach i znalazłem  
się na dworze. Zawolałem do kobiety, która otworzyła mi przed-  
tem bramę, że jeszcze przez nie będę jej trudził, bo chcę się  
przejść wokół po dziedzińcu. Miałem przeczuć, że jestem tu  
po raz ostatni i że blaski krążącego dnia pomogą mi pozeegnać  
się z tym miejscem.

Minąłem stopy starych pustych beczek, które pamiętałem  
z dawnych czasów. Z bieżem lat zaczęły w wielu miejscach bu-  
twieć od deszczu i na stęgących do góry dnem potworzyły się  
katuze. Skierowałem się do zapuszczonego ogrodu. Obszedłem  
go wokół. Udałem się tam, gdzie toczyłem walkę z Herbertem,  
i tam, gdzie przeciwdziałałem się ostatnio z Estellą. Jakże tu było  
zimno, smutno i samotnie!

Na koniec zostawiłem sobie stary browar. Podniosłem za-  
rdzewiały skobel furki i znalazłem się w środku. Miałem go  
opuszcć przez drewnianą bramę, którą trudno było otworzyć,  
gdyż na skutek deszczu szczyła się i nabrzmiała, zawiasy się  
nie trzymały: a próg zarósł grzyby, gdy nagle odwróciłem głó-  
wę. Ten ruch przypomnieli mi coś z dzieciństwa, dzieciinne sko-  
jarzenie sprawiło, że ujrzałem wyraźnie, jak niegdyś, wytwór-  
mei wyobraźni: miss Havisham wiszącą na belce pod sufitem.  
Wrażenie było tak silne, że stałem pod belką, drżąc od stóp do  
głów, mimo że wiedziałem, iż to wszystko jest tylko złudzeniem.  
Smutek tych miejsc i tej wieczornej pory, bezrozumni  
strach, który mną strząsnął na widok strasznej zjudy, napelni-  
ły mnie niewytłumaczonym lękiem. Lęk nie opuszczał mnie,  
gdy przedochyliłem przez drewnianą bramę w tym miejscu,  
w którym niegdyś szarpałem sobie włosy, gdy Estella poszarpa-  
ła mi serce.

Gdy znalazłem się na frontowym dziedzińcu, namyślałem się  
przez chwilę, czy zawezwać kobietę, by mnie wypuściła przez  
bramę na ulicę, czy też pójść na górę i przekonać się, że miss

Havisham jest na swym zwykłym miejscu. Wybrałem to ostatnie i pobiegłem na górę.

Zajrzałem do pokoju, gdzie ją zostawiłem, i zobaczyłem, że siedzi w tym samym obszarpanym fotelu przy kominku tyłem do mnie. Już chciałem się wycofać, gdy nagle ogień z paleniska wystrzelił wysoko i ujrzałem miss Havisham biegnącą ku mnie z krzykiem. Otaczały ją płomienie i wzbijały się nad jej głową na wysokość jej postaci.

Miałem na sobie płaszcz o podwójnej pelerynie, a na rękę drugie ciepłe okrycie. Rzuciłem na nią oba palta, otuliłem ją z całych sił, potem zdarłem ze stołu obrus, by owinąć ją jeszcze jedną warstwą. Przy tym ruchu wszystkie zmurszałe przedmioty i całe robactwo rojące się na stole spadło na podłogę. Tarzałiśmy się po podłodze jak dwoje wrogów w zacieklej walce. Im silniej ją przyciskałem i otulałem, tym głośniej krzyczała i mocniej mi się wyrывała, ale ja, nieledwie nieprzytomny, robiłem swoje i dopiero gdy ujrzałem rezultaty, pojąłem w całej pełni, co uczyniłem.

Przyszedłem do siebie dopiero wtedy, gdy znalazłem się wraz z miss Havisham na podłodze przy straszonym weselnym stole, podczas gdy w zadymionym powietrzu fruwały mi jeszcze nad głową płonące łachmany, które były przed chwilą ślubną szatą.

Kiedy się rozejrzałem wokoło, ujrzałem pająki i karaluchy rozbiegające się pośpiesznie po podłodze, a w drzwiach przerażone twarze służby, która zbiegła się ze wszystkich stron.

Trzymałem wciąż w mocnym uścisku miss Havisham niby jeńca, który gotów ująć, i straciłem świadomość, dlaczego z nią walczyłem. Nie pamiętałem, że ogarnęły ją płomienie, że ja je zagasiłem. Przypomniał mi wszystko dopiero widok zwęglonych szmat, które już się nie paliły, tylko opadały dokoła nas czarnym deszczem. Miss Havisham była nieprzytomna. Zabroniłem ją przenosić, a nawet jej dotykać. Posłano po pomoc, a ja trzymałem ją tymczasem w ramionach i wyobrażałem sobie nierozsądnie, że gdybym ją puścił przed nadejściem lekarza, znowu wybuchnąłby pożar, który by ją strawił. Kiedy zjawił się lekarz

z asystentem i kiedy podniosłem się z podłogi, oddając ją ich pieczy, ujrzałem ze zdumieniem, że obie moje dłonie są poparzone. Nie czułem tego przedtem wcale.

Badanie stwierdziło, że miss Havisham doznała kilku głębokich poparzeń, ale że rany same przez się nie są niebezpieczne dla jej życia. Groźny był tylko wstrząs nerwowy. Na zlecenie lekarza przeniesiono jej pościel z sypialni i położono na stole, który był najdogodniejszy do zrobienia opatrunków. Kiedy w godzinę później zajrzałem do niej znowu, leżała na dużym stole, na tym samym, który niegdyś pokazywała mi laseczką, mówiąc, że na nim położą ją martwą.

Mimo że wesełna jej szata spaliła się całkowicie, wciąż jeszcze otaczała miss Havisham atmosfera owego upiornego weseła. Przykryto ją aż pod brodę białym prześcieradłem, pod którym obłożona była watą, i wyglądała jak widmo czegoś, co było i już minęło.

Dowiedziałem się od służby, że Estella jest w Paryżu, i mogłem na lekarzu, by napisał do niej najbliższą pocztą. Rodzinę miss Havisham wzięłem na siebie, postanowiwszy, że zawiadomię pana Mateusza Pocketa, a on sam zadecyduje, czy przekażać wiadomość reszcie krewnych. Uczyniłem to nazajutrz, natychmiast po powrocie do Londynu, za pośrednictwem Herberta.

Wieczorem miss Havisham zaczęła szybko i chaotycznie mówić o tym, co się stało. Rozmawiała ze straszliwą żywością. Po tem rozpoczęło się bredzenie, a około północy uspokoiła się i ciachym uroczyście głosem powtarzała tylko nieskończoną ilość razy: „Co ja zrobiłam?”, a potem: „Kiedy przyszła do mnie po raz pierwszy, chciałam ją tylko uchronić od takiego nieszczęścia jak moje...”, a wreszcie: „Weź ołówek i napisz – przebaczam jej!”. Nie zmieniała kolejności tych zdań, a kiedy zapomniała jakiegoś słowa, nie zastępowała go innymi, tylko po prostu zostawiała puste miejsce i mówiła dalej.

Ponieważ nie mogłem się tu już na nic przydać i wobec tego, że mimo nieszczęścia miss Havisham nie zapomniałem ani

chwili o niepokojącej mnie sprawie, postanowiłem wracać do domu najbliższym dylizanssem. Chciałem znowu przejść z milę piechotą i wsiąść, nie zauważony przez nikogo, na szosie do karetki pocztowej.

Toteż koło szóstej rano pochyliłem się nad miss Havisham i dotknąłem ustami jej warg, które nie zatrzymały się i właśnie wymawiały słowa: – Weź ołówki i napisz pod moim imieniem: „Przebaczam jej”.

## Rozdział pięćdziesiąty



Dłonie bandażowano mi dwukrotnie czy też trzykrotnie w ciągu nocy i raz jeszcze rankiem. Lewe ramię miałem mocno poparzone aż do łokcia i nieco lżej do ramienia. Było to bardzo bolesne, ale ponieważ płomień buchnęły właśnie w moim kierunku, cieszyłem się, że nie stało się gorzej. Prawa moja dłoń odniosła lżejsze poparzenia i chociaż również obandażowana, miała luźniejszy opatrunek, tak że mogłem od biedy poruszać palcami. Za to lewa ręka i lewe ramię były unieruchomione i nosiłem je na temblaku. Płaszcz mogłem tylko narzucić luźno na ramiona i zapiąć pod szyją. Włosy miałem opalone, ale skóra na głowie i twarzy pozostała nietknięta.

Herbert udał się do ojca do Hammersmith, by zawiadomić go o wszystkim, ale powrócił natychmiast do naszego mieszkania, aby mnie pielęgnować. Nie potrafiłby mu dorównać najlepsza pielęgniarka. Nieustannie zdejmował bandaż, zanurzał je w płynie, który mi sprawiał ulgę, i zakładał na nowo opatrunek z ciepłą dobrócją, za którą byłem mu bardzo wdzięczny.

Leżąc spokojnie na kanapie miałem uczucie, że nie zdolał wypędzić z mej pamięci wspomnienia żaru płomieni, trzasku pożaru i wstrętnego odoru spaleniźny. Kiedy zdzieramłem się na chwilkę, budził mnie straszny krzyk miss Havisham i widziałem ją biegnącą ku mnie ze słupem płomieni nad głową. Owo bolesne wspomnienie paliło mnie stokroć bardziej niż fizyczne

rany. Herbert, spostrzegłszy to, postanowił odciągnąć swoją uwagę w inną stronę.

Żaden z nas nie mówił o łódce, ale już z samego unikania przez nas tego tematu można było sądzić, jak nas obu zajmował i jak nam obu zależało, by ręce moje goiły się w kilka godzin zamiast kilku tygodni.

Moje pierwsze pytanie, kiedy zobaczyłem Herberta, brzmiało oczywiście, czy wszystko w porządku nad rzeką. Kiedy wesoło i stanowczo odpowiedział twierdząco, porzuciliśmy ten temat aż do wieczora. Ale wtedy Herbert, zmieniając mi opatrunek przy blasku ognia kominka, nagle sam do niego powrócił.

– Spędziłem wczoraj z Provisem dwie godziny na rozmowie, Haendel.

– Gdzież była Klara?

– Ach, kochane maleństwo – odparł Herbert. – Zręda kazał jej biegać po schodach przez cały wieczór. Kiedy tylko tracił ją z oczu, zaraz walił łaską w podłogę. Wątpię, czy długo pociągnie z takim trybem życia: rum i pieprz, rum i pieprz... musi się to skończyć!

– I wtedy ożenisz się, Herbercie?

– Jakże inaczej mógłbym się opiekować moim kochanym maleństwem? Wyciągnij ramię, Haendel, oprzyj je o kanapę, a zdejmę ci bandaż tak delikatnie, że nawet nie poczujesz. Więc rozmawiałem z Provisem. Czy wiesz, Haendel, że on się zmienia na lepsze?

– Mówiłem ci, że ostatnio znalazłem go jak gdyby łagodniejszym.

– Mówiłeś. I tak jest naprawdę. Ostatnio był bardzo rozmowny i opowiedział mi wiele ze swego życia. Pamiętasz, jak tu kiedyś wybuchnął wspominając kobietę, z którą miał wielkie przeżycia? Czy cię uraziłem?

Drgnąłem, ale nie na skutek jego dotknięcia. Słowa jego wzburzyły mnie.

– Nie pamiętałem, Herbercie, ale teraz sobie przypominam.

– Więc opowiadał mi właśnie o tej części swego życia.

A wierz mi, że to historia smutna i dzika. Czy ci opowiedzieć? Czy też może za bardzo cię teraz poruszy?

– Opowiedz mi, proszę cię. Co do słowa.

Herbert pochylił się ku mnie troskliwie, jak gdyby ton moich słów zaniepokoił go, i spytał, dotykając mojego czoła:

– Czy nie masz rozpalonej głowy?

– Nie, nie – powiedziałem szybko – opowiadam, co ci Provis mówił, mój kochany Herbercie.

– O, ten bandaż zeszedł doskonale, bez bólu. Teraz natężę ci drugi, chłodniejszy. Z początku przejmie cię chłód, ale potem sprawi ci ulgę, zobaczysz, stary, mój biedaku... O, teraz będzie dobrze. Zdaje się, że ta kobieta była młoda, zazdrosna i mściwa, tak, mściwa, Haendel, do najwyższego stopnia.

– Co to znaczy: do najwyższego stopnia?

– Aż do zbrodni... Czy na bojącym miejscu nie za bardzo cię chłodzi?

– Nie, nie czuję. Kogo i jak ta kobieta zamordowała? Jaką zbrodnię popełniła?

– Może to, co zrobiła, nie zasługuje na tak surową nazwę – zauważył Herbert – ale w każdym razie sądzono ją za popełnienie zbrodni. Bronił jej Jaggers i Provis na tej sprawie po raz pierwszy zapoznał się z nim jako z obrońcą. Ofiarą jej była kobieta, ale kobieta o wiele starsza i silniejsza od oskarżonej. Biły się w jakiejś stodole na wsi. Która z nich zaczęła i czy bójka prowadzona była lojalnie, tego nikt nie mógł wiedzieć. Za to, jak się skończyła, wiedzieli wszyscy, bo ofiarę znalezionej uduszonej.

– Czy tamtą kobietę uznano za winną zbrodni?

– Nie. Sąd ją uniewinnił. Mój biedny Haendlu, czy uraziłem cię?

– Nie mogłeś być delikatniejszy, Herbercie. Co dalej?

– Ta uniewinniona kobieta miała z Provisem dziecko – ciągnął Herbert – dziecko, które twój opiekun ogromnie kochał. Tego samego dnia, kiedy wieczorem znaleziono uduszoną kobietę, o którą była zazdrosna, matka dziecka Provisa ujawniła się

u niego i zagrożona, że zamorduje małeństwo (dziecko było u niej) i że ojciec nigdy go już nie zobaczy. Potem zniknęła. Nareszcie twoje zranione ramię jest przyzwoicie opatrzone i umieszczone na temblaku, pozostaje mi tylko prawa dłoń, a to już jest drobniaczek. Łatwiej mi robić opatrunki przy tym słabym świetle, bo nie widzę wtedy tych okropnych ran. Czy nie masz czasem gorączki, Haendel? Oddychasz tak gwałtownie!

– Możliwe – odparłem. – I co, ta kobieta spełniła swą groźbę?  
– Tu właśnie następuje najsmutniejsza część życia Provisa. Spełniła ją.

– To znaczy, że tak on twierdzi.

– No, oczywiście, mój kochany chłopcze – oświadczył Herbert tonem pełnym najwyższego zdumienia i nachylając się znowu, by bliżej mi się przyjrzeć – przecież to wszystko on mi właśnie mówił. Innych informacji, prócz pochodzących od niego, nie posiadam.

– No nie, oczywiście.

– Provis nie mówił mi, czy traktował matkę swego dziecka dobrze czy źle – ciągnął Herbert – ale w każdym razie była w ciągu czterech czy pięciu lat towarzyszką jego nędznego życia, tego, o którym nam opowiadał wówczas przy kominku, i najwidoczniej czuł dla niej litość i przebaczył jej. Bojąc się, by nie wezwano go na świadka w jej sprawie, gdyż wtedy musiałby powiedzieć o dziecku i zgubić ją, ukrywał się w czasie procesu (mimo że rozpaczał po stracie dziecka), pozostawał w cieniu, jak to mi sam mówił. Na procesie mówiono o nim jako o mężczyźnie imieniem Abel, który był przedmiotem zazdrości oskarżonej. Po wyroku uniewinniającym kobieta zniknęła i w ten sposób stracił jednocześnie dziecko i matkę dziecka.

– Chciałbym spytać...

– Chwilczkę, mój kochany chłopcze – przerwał mi Herbert – zaraz skończę. Ten zły duch, Compeyson, ta największa kanalia wśród kanalii, wiedząc doskonale, dlaczego Provis w czasie procesu się ukrywa, wyzyskał to, by kazać mu jeszcze ciężiej dla siebie pracować, i utrzymywał go dalej w nędzy. Wczoraj prze-

konatem się, że to właśnie sprawiło, iż wstręt Provisa do tego człowieka zamienił się w nienawiść.

– Herbercie – poprosiłem – chciałbym koniecznie wiedzieć, czy powiedział ci, kiedy się to wszystko działo.

– Koniecznie? Pozwól, niechże sobie przypomnę, co on o tym mówił. Zaraz, jego własne słowa na ten temat brzmiały. „Jakieś dwadzieścia lat temu, właśnie wtedy zacząłem harówkę z Compeysonem...” Ile miałeś lat, gdy spotkałeś go na cmentarzu wiejskim?

– Zdaje się, że siedem.

– Więc mówił mi, że to się stało na cztery lub trzy lata przed spotkaniem z tobą i że przypomniałeś mu jego matkę, tak tragicznie zaginioną dziewczynkę, bo była mniej więcej w twoim wieku.

– Herbercie – odezwałem się po krótkim milczeniu – jak lepiej mnie widzisz teraz: przy świetle padającym z okna, czy przy ogniu kominka?

– Przy blasku kominka – odparł Herbert, zbliżając się do mnie.

– Spójrzyj na mnie.

– Patrzę na ciebie, kochany mój chłopcze.

– Dotknij mnie.

– Dotkam ciebie.

– Nie sądzisz chyba, że mówię w gorące albo że umysł mój został wstrząśnięty wypadkami ostatniej nocy?

– Nie, mój drogi – odpowiedział Herbert, przyjrawszy mi się chwilę badawczo. – Wydajesz się trochę podniecony, ale jesteś sobą.

– Wiem, że jestem sobą. A człowiek, którego ukrywam w domu nad rzeką, to ojciec Estelli.

Herberta, który udał się do swego biura w City, a sam wyruszył do Matej Brytanii.

W określone dni w miesiacu Jagers i Wemmick przeglądał akta, sprawdzali rachunki i porządkowali wszystkie papiery. W te dni Wemmick prznosił swoje księgi do gabinetu Jagersa, a jeden z urzędników z góry zajmował przez ten czas jego miejsce przy biurku. Toteż gdy zastałem na krześle Wemmicka innego urzędnika, zrozumiałem od razu, co się tu odbywa. Nie byłem z tego powodu niezadowolony, przeciwnie, fakt, że zastanę Wemmicka razem z Jagersem, ułatwiał mi rozmowę. Mogłem od razu dowieść Wemmickowi, że nie mówię nic, co by go mogło skompromitować.

Widok mojej osoby z zabandażowanymi rękami i ramieniem na temblaku usposobił ich do mnie przychylnie. Natychmiast powrócie do miasta napisałem panu Jagersowi o tym, co się stało, ale nie znał on żadnych szczegółów. Ta okoliczność sprawiła, że rozmowa nasza nie była tak sucha i oficjalna, ani tak ściśle podporządkowana przepisom prawnym, jak wszystkie dotychczasowe. Jagers w czasie mojego opowiadania o katastrofie stał jak zwykle przed kominkiem. Wemmick rozparł się w fotelu z rękami w kreszeniach i z piórem tkwiącym w otworze skrzynki pocztowej. Dwie okropne rzeźby o zwierzęcych narpuchniętych twarzach, nieodłącznie dla mnie związane ze wszelkimi formalnościami prawnymi, wyglądały tak, jak gdyby uważały, że i tutaj pachnie spalenizną.

Gdy skończyłem opowiadanie i wyczerpały się wszystkie pytania, oznajmiłem o tym, że miss Havisham ofiarowała dziewięset funtów Herbertowi, i natychmiast przedstawiłem dowód. Kiedy wręczałem Jagersowi tabliczki, oczy jego zapadły jak gdyby w głąb czaszki, ale bez słowa oddał tabliczki Wemmickowi i po chwili dopiero polecił mi wypisać czek i przedstawić sobie do podpisu. Przyglądałem się piszącemu Wemmickowi, a przez ten czas Jagers, kotysząc się na dobrze wyczyszczonych butach, patrzył na mnie.

— Bardzo mi przykro, Pip — powiedział, gdy wsuwałem do

## Rozdział pięćdziesiąty pierwszy



Nie potrafię wytłumaczyć, dlaczego z tak gorącym zapętem doszukiwałem się pochodzenia Estelli. Okazuje się też za chwilę, że sam nie zastanawiałem się nad tym zagadnieniem, dopóki mi nie nasunął go ktoś ode mnie mądrzejszy.

W każdym razie, kiedy skończyłem rozmowę z Herbertem, ogarnęła mnie gorączkowa chęć śledzenia tej tajemnicy do końca, bez straty jednej chociażby minuty, i natychmiast chciałem zobaczyć się z Jagersem, by dowiedzieć się prawdy. Sam nawet nie wiem, czy w owej chwili zdawało mi się, że muszę to zrobić dla dobra Estelli, czy też zależało mi, aby rzucić na człowieka, którego bezpieczeństwo leżało w mojej dłoni, kilka promieni romantycznego blasku, jaki od dawna dla mnie otaczał wychowankę miss Havisham. Mam wrażenie, że to ostatnie przypuszczenie bliższe jest prawdy.

Siłą powstrzymałem się, by nie pobiec zaraz na Gerrard Street do Jagersa. Herbert wytłumaczył mi, że jeżeli teraz wyjdę z domu, położę się potem na długo do łóżka i zostanę unieruchomiony w momencie, gdy moja obecność będzie konieczna dla ratowania naszego zbiega. Zgodziłem się więc na pozostanie w domu i obiecałem, że pozwolę zmieniać sobie opatrunki, ale tylko pod tym warunkiem, że nazajutrz rano pójdę do Jagersa. Następnego dnia wczesnym rankiem udaliśmy się więc razem w drogę. Na rogu Giltspur Street koło Smithfield zostawiłem

kieszceńi podpisany przez niego czek – że nic nie robimy ciębie.

– Miss Havisham – odpartem – była tak dobra, iż pytała mnie, co mogłaby zrobić dla mnie, ale ja odpowiedziałem „Nic”.

– Każdy sam wie najlepiej, jak stoją jego interesy – oświadczył Jagers, a po ruchu warg Wemmicka poznałem, że wymawia wyraz „Ruchomości”.

– Gdybym był na pańskim miejscu – zauważył jego pryncypał – nie powiedziałbym „Nic”. Ale każdy zna najlepiej własne potrzeby.

– W interesie każdego człowieka – zwrócił się do mnie Wemmick tonem wyrzutu – są ruchomości.

Uważałem, że czas już poruszyć temat, który leżał mi na sercu, więc wyjaśniłem Jagersowi:

– A jednak proszę o coś miss Havisham. Proszę ją, aby mi powiedziała wszystko, co wie o swej przybranej córce. Uczyniła to.

– Doprawdy, uczyniła to? – powtórzył Jagers przechylając się ku przodowi, by spojrzeć na własne obuwie, a potem wyprostując się na nowo. – Ha, nie mogę twierdzić, że uczyniłbym to, będąc na miejscu miss Havisham. Ale ona powinna znać lepiej własny interes.

– Ja sam wiem więcej o przybranej córce miss Havisham niż ona, proszę pana. Znam jej matkę.

Pan Jagers spojrział na mnie pytająco i powtórzył:

– Matkę?

– Tak, widziałem jej matkę przed trzema dniami.

– Tak? – spytał Jagers.

– I pan także ją widział. I widuje ją pan częściej niż ja.

– Tak? – powtórzył adwokat.

– Być może znam lepiej historię Estelli nawet niż pan – oznajmiłem. – Znam także i jej ojca.

Jagers zatrzymał się w swym ruchu na mgnienie oka (był zbyt opanowany, by okazać żywsze zainteresowanie, ale przez

jedną chwilę nie potrafił się zamaskować) i w ten sposób zdradził się, że nie wie, kto jest ojcem Estelli.

Podjeżdżałem to już przedtem na podstawie opowiadania Provisa (powtorzonego mi przez Herberta), który mówił, że w całej tej sprawie był ukryty w cieniu i że klientem Jagersa został dopiero w cztery lata później, nie mając żadnej potrzeby dawać mu się poznać. Nie byłem jednak przedtem pewien, do jakiego stopnia Jagers jest o wszystkim poinformowany, i teraz dopiero jego ruch zdradził jego nieświadomość.

– Więc znasz ojca tej młodej osoby, Pip? – spytał adwokat.

– Tak – odpartem. – To Provis z Nowej Południowej Walii.

Nawet Jagers zadrzał na te słowa. Było to najbardziej opowane i najkrócej trwające drżenie, zamaskowane wyjęciem chusteczki z kieszeni, ale nie uszło mojej uwagi. Nie mogłem zaobserwować, jakie wrażenie zrobiła ta wiadomość na Wemmicku, obawiałem się spojrzeć na niego w tej chwili, aby bystry pryncypał nie doszukał się między nami jakiegoś na ten temat porozumienia.

– A na jakim to dowodzie, jeżeli wolno spytać, Pip – zagadnął Jagers chłodno, zatrzymując dłoń z chusteczką w połowie drogi do nosa – opiera pan Provis swe pretensje?

– Nigdy nie wnosili żadnych pretensji – odpowiedziałem – i nie ma sam pojęcia, że córka jego istnieje na świecie.

Raz przynajmniej wszechmocna chusteczka zawiodła. Odpowiedź moja była tak nieoczekiwana, że Jagers schował chusteczkę z powrotem do kieszeni, nie doniósłszy jej do nosa, skrzyżował ramiona i spojrział na mnie surowo i badawczo z nieruchomą twarzą.

Opowiedziałem mu wówczas wszystko, co o tej sprawie wiem i w jaki sposób się tego dowiedziałem, z tym zastrzeżeniem, że to, co ujawnił mi Wemmick, przypisałem miss Havisham, by nie skompromitować przyjaciela. Przez cały czas mego opowiadania nie spojrziałem ani razu w stronę Wemmicka, a gdy skończyłem, unikałem przez chwilę wzroku Jagersa. Kiedy wreszcie rzuciłem spojrzenie na Wemmicka, ujrzałem, iż wyjął pióro pomiędzy warg i zamyślony patrzy w stół.

– Ha – odezwał się wreszcie Jagers, zbliżając się do stołu z papierami – na czym to przerwaliśmy, panie Wemmick, gdzie wszedł pan Pip?

Takiego odrącenia mojej osoby nie mogłem znieść i zwróciłem się z namyślnym i pełnym oburzenia apelem do Jagersa, błagając go nieledwie, aby był względem mnie szerszy i bardziej ludzki. Przypomniałem mu złudne nadzieje, które tak długo żywiłem, i moje okropne rozczarowanie, i zrobiłem aluzję do niebezpieczeństwa, jakie grozi mojej postawie wewnętrznej. Powiedziałem też, że jestem chyba godny odrobiny jego zaufania, chociażby za to, że ja również mu zaufałem. Zapewniłem go, że nie mam zamiaru go potępiać ani o nic podejrzewać, ani mu nie dowierzać, ale chcę z ust jego usłyszeć potwierdzenie prawdy. A jeżeli pragnie wiedzieć, po co mi te wiadomości potrzebne i jakie mam do nich prawo, to niech się dowie, mimo że ma pogardę dla takich biednych marzeń, że kochałem Estellę gorąco i długo, a chociaż ją straciłem i muszę pędzić nieszczęsne, samotne życie, to wszystko, co się jej tyczy, jest dla mnie droższe i bliższe niż inne rzeczy na świecie.

Widząc, że Jagers wysłuchuje mnie w całkowitym milczeniu, bynajmniej niewzruszony moimi słowami, zwróciłem się do Wemmicka i powiedziałem:

– Wemmick, wiem, że jest pan człowiekiem o dobrym sercu. Widziałem przecież pana miły dom, ojca-staruszka i poznałem, w jaki czarujący i zajmujący, pełen prostoty sposób organizuje sobie pan życie poza pracą biurową. Błagam pana, niechże pan wstawi się za mną do pana Jagersa i wytłumaczy mu, że uwzględniwszy wszystko, powinien być wobec mnie szerszy niż dotąd.

Nigdy dotychczas nie zdarzyło mi się widzieć dwóch ludzi spoglądających na siebie w dziwniejszy sposób, niż Jagers i Wemmick uczynili to po moim wykrzykniku. Zrazu przeszło mi przez głowę, że Wemmick zostanie z miejsca usunięty z posady, ale myśl ta rozviała się natychmiast, gdy ujrzałem, jak w raz twarzy Jagersa zmienił się w coś w rodzaju uśmiechu i jak Wemmick nagle nabrał otuchy.

– Co to ma znaczyć? – spytał adwokat – pan ma staruszka-ojca i zajmujące, przyjemne życie?

– A gdyby tak było – odparł Wemmick – i gdybym nie zdradzał się z tym tutaj, to jakież mogłoby to mieć znaczenie?

– Pip – powiedział Jagers, kładąc mi dłoń na ramieniu i uśmiechając się wesoło – ten człowiek jest chyba najsprytniejszym oszustem w całym Londynie.

– Nic podobnego – zaprotestował ośmielony Wemmick – pan jest sprytniejszy. – Znowu zamienili owo dziwne spojrzenie, jak gdyby bali się wzajemnie, by jeden nie zwiódł drugiego.

– Pan ma przyjemne mieszkanie? – badał Jagers.

– Czemuż by nie? – odpowiedział Wemmick – skoro to nie przeszkadza interesom. Nie dziwiłbym się, gdyby i pan zechciał pewnego dnia urządzić sobie przyjemne mieszkanie, w którym odpoczywałby pan po pracy.

– Pip – oświadczył Jagers, wydawszy szczerze westchnienie – nie będziemy mówili o „biednych marzeniach”, ty wiesz o nich więcej ode mnie, bo masz je świeżo w pamięci. Jeżeli chodzi o tę drugą sprawę, pozwól, że zrobię pewne przypuszczenie. Ale zapamiętaj sobie, że ja nic nie twierdzę, tylko przypuszczam.

Poczekaj, aż potwierdzę uroczystość, że on nic nie twierdził i że rozumiem jego słowa.

– Więc, Pip – zaczął po chwili – przypuśćmy, że kobieta znajdująca się w warunkach podobnych do tych, o których tu opowiadałeś, ma rzeczywiście dziecko w ukryciu i że czuje się zmuszona wyznać to swemu obrońcy prawnemu, gdyż ten oświadczył jej, że dla dobra sprawy musi wiedzieć prawdę, co się stało z małństwem. Przypuśćmy dalej, że w tymże czasie jedna z klientek owego prawnika, dama ekscentryczna i bogata, prosi go, by jej znalazł dziecko, które chciałyby adoptować i wychować.

– Śledzę pańską myśl.

– Przypuśćmy dalej, że prawnik ten żył w atmosferze nieustającego zła i na wszystkie dzieci patrzył jak na skazane na zagładę. Przypuśćmy, że bywał na procesach, na których sąd kryminalny



skazywał dzieci tak małe, że trzeba je było podnosić na ławę oskarżonych, by były widziane. Przypuścimy dalej, że człowiek ten uważał za rzecz zwykłą, że dzieci więziono, bito, wywożono, zaniebdywano, wypędzano, przeznaczano z góry na wisielców, chowano niejako po to, by je w przyszłości powiesić. Przypuścimy dalej, że nauczył się on w końcu patrzeć na dzieci jak na ryby, które przedzej czy później wpadną w jego sieć, jak na nieszczęsne istoty pozabawione rodziców, które przedzej czy później zostaną uwiecznione i będą potrzebowały jego obrony, których wszyscy się wyprą, które czeka los sierocy i taka czy inna zagłada.

– Siedzę pańską myśl – powtórzyłem.

– I wyobraź sobie, Pip, że wśród tych wszystkich nieszczęsnych dzieci można było uratować jedną małą śliczną dziewczynkę, dziecko, które ojciec jego uważał za nieżyjącą i o które w żadnym razie nie śmiałyby się upomnieć.

Wyobraź sobie, że wówczas prawnik powiedział do swojej klientki: „Wiem, co pani zrobiła i jak pani popełniła ten czyn. Jak pani atakowała, jak się broniła. Zrobiła pani potem to i to, aby odwrócić od siebie podejrzenia. Mógłbym pani opowiedzieć każdy najmniejszy ruch pani od początku do końca. Niech pani się rozłączy z dzieckiem, a nie zrobię z tego użytku i powiem tylko tyle, ile jest konieczne dla pani obrony. Niech pani odda dziecko w moje ręce, a zrobię wszystko, by panią ocalić. Jeżeli pani się uratuje, dziecko zostanie również uratowane. Jeżeli zaś pani zginie, przynajmniej dziecko będzie bezpieczne”. Teraz wyobraź sobie, że tak się stało, że i kobieta się uratowała. Że ją uniewinniono.

– Rozumiem pana doskonale.

– Ale pamięta pan i o tym, że ja nic z tego nie twierdzę na pewno?

– Tak, że pan nic nie twierdzi na pewno – zawrótowałem.

A Wemmick dodał:

– Nie twierdzi na pewno.

– Wyobraź sobie dalej, Pip, że namiętność i strach z lekka wstrząsnęły umysłem tej kobiety i że uwolniona z więzienia lekka się swiała i zjawiała się u swego obrońcy, by dać jej u siebie

prztyłek, że wziął ją do siebie i potrafił okiełzać jej gwałtowną, nieopanowaną naturę, korzystając z władzy, jaką nad nią posiadał. Czy możesz sobie wyobrazić ten zmyślony wypadek?

– Doskonale.

– Wyobraź sobie dalej, że dziewczynka dorosła i wyszła za mąż dla pieniędzy. Że matka wciąż jeszcze żyje. Że ojciec wciąż jest przy życiu. Że matka i ojciec nie wiedzą o sobie wzajemnie i rozdzieleni są od siebie wieloma milami czy wieloma metrami przestrzeni, jak wolisz. Że tajemnica wciąż pozostaje tajemnicą dla wszystkich prócz ciebie, który przypadkiem ją zwietrzyłeś. Rozważ dobrze to ostatnie przypuszczenie.

– Rozważyłem.

– Proszę też Wemmicka, by dobrze tę sprawę rozważył.

I Wemmick odpart również:

– Rozważyłem ją.

– Dla kogóż to chcesz odstawiać tę tajemnicę? Dla ojca? Nie sądzę, aby był rad z odnalezienia matki dziecka. Dla matki? Myślę, że po tym, co uczyniła, jest bezpieczniejsza w swym obecnym ukryciu. Dla córki? Przypuszczam, że oddałoby jej się wątpliwą przysługę odstawiając przed mężem jej prawdziwe położenie i wtłaczając ją z powrotem w hańbę, z której uszła przed dwudziestu laty i do której może nie powracać do końca życia. Jeśli teraz dodasz do tego, Pip, żeś kochał i że łączyłeś z nią owe „biedne marzenia”, które żywi więcej mężczyźni, niż to sam przypuszczasz, to powiadam ci, Pip, zamiast odstawiać tę tajemnicę, lepiej twą zabandażowaną prawą dłoń odciąć sobie lewą ręką, a potem oddać Wemmickowi tasak, by ci też *prawą* zabandażowaną odciął.

Spojrzałem na Wemmicka. Miał bardzo poważny wyraz twarzy. Poważnie położył sobie wskazujący palec na ustach. Zrobiłem to samo co i on. I Jagers również wykonał ten sam gest.

– A teraz – powiedział Jagers – na czym to przerwaliśmy, panie Wemmick, gdy wszedł pan Pip?

– Stałem jeszcze przez chwilę, obserwując, jak obaj pracowali, i widziałem, że kilkakrotnie jeszcze wymienili między sobą owe dziwne spojrzenia z tą różnicą, że teraz wyglądali tak, jak gdy-

by obaj obawiali się, że przedstawili się w nie dość poważnym i nie dość zawodowym świetle.

Dlatego też zapewne byli w tej chwili dla siebie wzajemnie bezlitośni: Jagers używał tonu dyktatora, a Wemmick bronił zaciekle swego punktu widzenia przy każdym szczególe rachunków. Nigdy jeszcze nie widziałem ich w tak złych wzajemnych stosunkach.

Najwidoczniej ulżyło im ogromnie zjawienie się klienta, owego Mike'a w futrzanej czapie, mającego zwyczaj wycierać nos rękawem. Tego samego, którego widziałem, kiedy po raz pierwszy byłem w kancelarii. Ten osobnik, który niemal stale znajdował się w kłopotach (co tu oznaczało więzienie Newgate) albo sam, albo w związku ze swoją rodziną, i teraz oznajmił, że jego najstarsza córka została uwięziona pod zarzutem kradzieży w sklepie. Gdy przedstawiał ten melancholijny fakt Wemmickowi (Jagers stał przy kominku, pozornie nie mając z tym nic wspólnego), w oku Mike'a zabłyśła łza.

– Co to znaczy? – spytał Wemmick z najgłębszym oburzeniem. – Przyszedł pan tu do nas beczeć?

– Nie, nie po to przyszedłem, panie Wemmick.

– Właśnie, że po to – powiedział Wemmick. – Jak pan się ośmiela zjawiać tutaj i kapać mi pod nosem niby stare pióro? Co pan chce przez to osiągnąć?

– Człowiek nie panuje nad swoimi uczuciami, panie Wemmick – tłumaczył się Mike.

– Nad czym nie panuje? – ryknął Wemmick. – Powtórz pan to!

– Dość tego – zdecydował Jagers, odchodząc od kominka i wskazując drzwi – wyjdź pan stąd natychmiast! Nie potrzeba nam tu w kancelarii uczuć! Wyjść!

– Zastużył pan sobie na to! – powiedział Wemmick. – Niech pan się zabiera!

Nieszczęsny Mike pokornie się wyniósł, a panowie Jagers i Wemmick zabrali się na nowo do roboty, odzyskawszy dobry humor i wzajemną życzliwość, w takim usposobieniu, jak gdyby właśnie zjedli dobre śniadanie.

## Rozdział pięćdziesiąty drugi



Prosto z Małej Brytanii udałem się z czekiem w kieszeni do brata miss Skiffins, buchaltera. Brat miss Skiffins poszedł natychmiast do Clarrikera, przyprowadził go do mnie i wówczas z wielką satysfakcją dokonałem transakcji. Był to pierwszy dobry uczynek, który spełniłem od chwili, kiedy dowiedziałem się o oczekujących mnie wielkich nadziejach.

Clarriker oznajmił mi przy tej sposobności, że na skutek dokonanego rozwoju jego firmy będzie mógł założyć niewielką filię na Wschodzie, bardzo potrzebną dla dalszej rozbudowy interesów, i że Herbert jako nowy jego wspólnik obejmie kierownictwo tej placówki. Zrozumiałem, że będę musiał rozstać się z przyjaciелеm, jeszcze zanim moje własne sprawy zostaną załatwione. Nagle ogarnęło mnie takie uczucie, jak gdyby zrywała się ostatnia moja kotwica i jakbym miał stać się zaraz igraszką fal i wichru.

Pociechę dla mnie była radość, z jaką jednego z najbliższych wieczorów Herbert oznajmił mi o zmianach w jego życiu, nie podejrzewając ani na chwilę, że nie są one dla mnie żadną nowiną. Z uniesieniem mówił, jak to zawieszę swą Klarę Barley do krainy baśni z tysiąca i jednej nocy, jak ja przybędę do niego w odwiedziny (zdaje się z karawaną wielbłądów) i jak wszyscy razem udamy się nad brzegi Nilu, by oglądać tam cuda. Nie całym wierząc w mój udział w tej radosnej wyprawie, byłem

przekonany, że droga Herberta jest już wytknięta i że na wypadek, gdyby stary Barley nie odzwyczaił się od rumu z pieprzem, los jego córki jest już zabezpieczony.

Był początek marca. Moje lewe ramię, chociaż nie przedstawiło żadnego niebezpieczeństwa, goiło się tak powoli, że wciąż jeszcze nie mogłem włożyć płaszcza. Prawe natomiast wygoiło się i mogłem nim swobodnie poruszać, choć wygląd jego był jeszcze bardzo nieprzyjemny.

Pewnego poniedziałku rano, gdy siedzieliśmy z Herbertem przy pierwszym śniadaniu, wręczono mi list z poczty od Wennicka:

*Walworth. Niech pan spali to natychmiast po przeczytaniu. Z początkiem tego tygodnia, powiedzmy w środę, może pan, o ile to panu odpowiada, wrzeczywistnić swój zamiar. A teraz niech pan spali kartkę.*

Pokazałem Herbertowi list i wrzuciłem go do ognia, uprzednio razem z przyjaciелеm nauczysz się tekstu na pamięć. Zaczęliśmy się naradzać, co czynić. Oczywiście było, że dłużej nie może się już zastaniać choroba.

— Zastanawiałem się nad tą sprawą setki razy — powiedział Herbert — i znalazłem lepsze wyjście niż wynajęcie wioślarza z Tamizy. Wzenny Startopa. To dobry chłop, zręczny wioślarz, uczciwy i oddany nam całą duszą.

I ja również już o nim myślałem.

— Ale co mu powiem, Herbercie?

— Jak najmniej. Zrazu powiedz mu, że chodzi o kaprys, który trzeba utrzymać w tajemnicy, a kiedy nadejdzie ów ranek, wytłumacz mu, że są przychylny, dla których musisz wywieźć Provisa za granicę. Czy jedziesz z nim?

— Bez wątpienia.

— Dokąd?

Za każdym razem, gdy myśli moje niespokojnie błądziły wokół tej sprawy, dochodziłem do wniosku, że wybór portu jest obojętny — Hamburg, Rotterdam, Antwerpia — byleby za grani-

cami Anglii. Każdy zagraniczny parowiec, który by zechciał nas przyjąć na pokład, byłby odpowiedni. Planowałem zawsze, że będę towarzyszył Provisowi na rzece dość daleko aż za Gravesend, krytyczne miejsce, gdzie mogłoby zadać nam kłopotliwe pytania. Ponieważ cudzoziemskie parowce miały zwyczaj opuszczać port podczas przyływu, zamierzaliśmy przedtem przepłynąć rzekę i w jakimś spokojnym zakątku czekać chwili, gdy będziemy mogli wsiąść na któryś z nich. Dowiedziawszy się z góry szczegółów, mogliśmy z łatwością wiedzieć, o której należy wyruszyć.

Herbert zgodził się na wszystko i zaraz po śniadaniu udaliśmy się na zwiady. Stwierdziliśmy, że najbardziej odpowiada nam parowiec zdążający do Hamburga, i na ten zdecydowaliśmy się, ale jednocześnie dowiedzieliśmy się i o inne statki, opuszczające port podczas tego samego przyływu, i zapamiętaliśmy sobie dobrze ich budowę i barwę. Potem rozstaliśmy się na kilka godzin: ja poszedłem wystarać się o odpowiednie paszporty, Herbert rozmówił się ze Startopenem. O pierwszej spotkaliśmy się, wypełnwszy bez przeszkód nasze zadania. Ja miałem gotowe paszporty, Herbert obietnicę Startopa.

Postanowiliśmy, że Herbert i Startop będą wioślowali, a ja zasiądę przy sterze. Nasz pasażer miał tylko cicho siedzieć. Nie mieliśmy powodu szybko się posuwać, bo czasu było dość. Postanowiliśmy jeszcze, że Herbert tego wieczora nie przyjdzie na obiad do Temple przed północą do Mill Pond Bank, że nie będzie tam wcale we wtorek, i że uprzedzi Provisa, aby w chwili kiedy ujrzy nas na rzece, zszedł kamiennymi schodami na wybrzeże, ale żeby nie uczyił tego pod żadnym pozorem wcześniej. Wszelkie porozumiewanie się z Provisem mieliśmy zakończyć w poniedziałek wieczorem i zobaczyć się z nim dopiero na łodzi.

Obaj rozumieliśmy w całej pełni konieczność tych ostrożności.

Otwierając kluczem drzwi do naszego mieszkania, znalazłem w skrzynce list adresowany do mnie. Był dość dobrze napisany, ale okropnie wybrudzony. Nie nadszedł pocztą, ale widocznie przyniesiono go po moim wyjściu. Zawierał następujące słowa:

*Jeżeli nie obawia się pan, niech się pan zjawi dziś wieczorem lub jutro koło godziny dziewiątej na starym bagnisku, przy małym domku na służbie obok wapiennika. Radzę przybyć tam w sprawie pańskiego wujka Provisa. Proszę nie tracić czasu, nie mówić o tym nikomu i przybyć sam. Tę kartkę przywieźć ze sobą.*

Byłem i tak już obciążony straszliwą troską, zanim jeszcze otrzymałem ten list, a teraz nie wiedziałem po prostu, co mam począć. Najgorsze było to, że musiałem zdecydować się natychmiast, by nie spóźnić się na dylizans, który pozwoliłby mi się stawić na wyznaczoną godzinę. Nie mogłem odkładać tego do jutra, był to bowiem termin zbyt bliski planowanej ucieczki, a obawiałem się, że spotkanie dotyczy właśnie tej sprawy.

Sądzę, że mając więcej czasu do namysłu, zdecydowałbym to samo. W każdym razie, spojrzawszy na zegarek i stwierdziwszy, że pozostaje pół godziny do odjazdu dylizansu, ruszyłem w drogę. Nie pojechałbym tam, ale wzmianka o wuju Provisie, która nastąpiła natychmiast po liście Wemmicka i po ranku pełnym gorączkowych przygotowań, przeważała szalę. Tak trudno jest uswiadomić sobie treść jakiegokolwiek listu przeczytanego w gwałtownym pośpiechu, że przebiegłem wzrokiem tajemnicze pismo jeszcze dwukrotnie, zanim zwróciłem uwagę na rozkaz trzymania tej sprawy w tajemnicy. Całkiem mechanicznie posłuchałem owego zalecenia i pisząc otówkiem kartkę do Herberta, zawiadomiłem, że wobec mojej nagłej podróży i niepewnego terminu powrotu, postanowiłem wpaść na kilka godzin do miss Havisham, by dowiedzieć się, jak się czuje. Potem pośpiesznie włożyłem ciepły płaszcz, zamknąłem mieszkanie i ruszyłem bocznymi uliczkami na stację dylizansów. Gdybym wziął dorożkę i jechał głównymi zatłoczonymi ulicami, byłbym się na pewno spóźnił, ale w ten sposób zdążyłem. Wpadłem na stację w chwili, gdy dylizans opuszczał dziedziniec. Kiedy oprzytomniałem, spostrzegłem, że jestem jedynym pasażerem, z nogami po kolana w słonię, w trzęsącym omnibusie.

Nie ochłonałem jeszcze od chwili, kiedy odebrałem ów tajemniczy list. Był on dla mnie tym bardziej wstrząsający, że na-

stąpił po pełnym wzruszeń poranku. Oczekiwałem bowiem od dawna znaku od Wemmicka, ale gdy przyszedł, zrobił na mnie wrażenie piorunu. Teraz dopiero zacząłem się zastanawiać nad tym, że jadę dylizansem, i obudziły się we mnie wątpliwości, czy powinienem się tu znajdować, czy należało usłuchać anonimowego wezwania, i czy raczej nie trzeba natychmiast wysiąść i powrócić do domu. Słowem, targnęła mną rozterka i niepokoje, tak dobrze znane wszystkim działającym w pośpiechu ludziom.

Ale o wszystkim rozstrzygała wzmianka o Provisie. Myślałem, że gdyby zdarzyło mu się jakieś nieszczęście tylko dlatego, że mnie nie chciało się udać na wyznaczone spotkanie, nigdy bym sobie tego nie wybaczył.

Noc zapadła, zanim dotarliśmy na miejsce, a mnie dzień dłużył się ogromnie, bo nie widziałem już nic przez okno dylizansu, a na górne siedzenia na zewnątrz nie pozwalały mi wyjść świeżo zgojone rany. Omijając gospodę „Pod Błękitnym Dziekiem”, wstąpiłem na obiad do skromniejszej oberży. Podczas gdy go przygotowywano, zaszedłem do willi „Satis”, by dowiedzieć się o zdrowiu miss Havisham. Była jeszcze bardzo chora, chociaż nastąpiła pewna poprawa.

Oberża, w której się znajdowałem, stanowiła niegdyś część budynku klasztornego; podano mi do stołu w małym ośmiokątym pokoju podobnym do chrzcielnicy. Stary oberzysta z błyszczącą łysiną sam krajał mi mięso, gdyż nie władałem jeszcze dłonią. To doprowadziło nas do rozmowy, w czasie której bawił mnie własną moją historią z nieodzownym dodatkiem, że Pumblechook był moim dobroczyńcą i przyczynił się do mojej fortuny.

– Czy zna pan tego młodego człowieka osobicie? – spytałem.

– Czy go znam? Ależ od czasu, gdy ledwie odrósł od ziemi.

– Czy przyjeżdża niekiedy w sąsiedztwo?

– Owszem, przyjeżdża, odwiedza swych bogatych przyjaciół, a bardzo chłodno traktuje swego dobroczyńcę.

– Kogo pan ma na myśli? – badałem.

– No, tego, o którym już mówiłem – objaśnił oberzysta – pa na Pumblechooka.

– A czy ten młody człowiek nie okazuje niewdzięczności względem innych?

– Na pewno by okazywał, gdyby miał ku temu sposobność. Ale nie ma żadnych innych dobroczyńców prócz Pumblechooka, który wszystko dla niego w zyciu zrobił.

– Czy to Pumblechook tak opowiada?

– Opowiada? Nie ma potrzeby nawet opowiadaci!

– Ale czy opowiada?

– I jak jeszcze! Gdyby go pan słyszał opowiadającego, krew zamieniłaby się panu w ocet winny! Tak opowiada!

Pomyślałem sobie: Joe, drogi Joe, ty nigdy nic takiego nie opowiadasz. Cierpisz i kochasz mocno, mój Joe miły, i nigdy się nie skarżysz. Ani ty, dobra, łagodna Biddy.

– Pański wypadek musiał panu zaszkodzić na apetyt – zauważył oberżysta, rzucając spojrzenie na zabandażowane ramię – może pan zje ten miękki kawałek?

– Nie, dziękuję – odpartem, siadając przy kominku – nie będę już więcej jadł. Proszę to sprzątnąć.

Bezczelne kłamstwa Pumblechooka sprawiły, że jak obuchem uderzyło mnie poczucie mojej niewdzięczności względem Joe'go. Im bardziej fałszywy był tamten człowiek, tym bardziej szczyry Joe, im podlejszy Pumblechook, tym szlachetniejszy Joe.

Przez ponad godzinę rozmyślałem przed kominkiem o mojej własnej podłości. Bicie zegara przerwało moje rozmyślania, ale nie rozproszyło mego nastroju i wyrzutów sumienia. Wstałem, zapiąłem sobie pod brodę płaszcz i wyszedłem. Szukałem w kieszeni listu, który mnie tu wezwał, by go raz jeszcze odczytać, ale nie mogłem go znaleźć: musiał wypaść w dylizansie i zagrzebać się w słomie. Mimo to pamiętałem, że miejscem spotkania jest mały domek na służbie przy wapienniku na bagniskach, a godzina spotkania dziewiąta. Ruszyłem więc przed siebie ku bagnom, nie mając ani chwili do stracenia.

## Rozdział pięćdziesiąty trzeci



Noc była ciemna, mimo że księżyc wschodził w pełni, kiedy przeszedłszy obok ogrodzonych pól, znalazłem się na bagniskach. Za ich ciemną płaszczyzną widniał pas jaśniejszego nieba, którego szerokość wypełniała wielka, czerwona tarcza księżycza. Nie upłynęło więcej niż parę minut, gdy księżyc opuścił jasną smugę i skrył się w zwałach gęstych chmur.

Z daleka wiał melancholijny wiatr i bagniska miały wyglądać ponury. Ktoś obcy nie zniósłby smutku tego widoku, a i ja nawet miałem przez chwilę ochotę zawrócić i uciekać z tych stron. Ale znałem przecież dobrze okolicę i trafiłbym tu wszędzie nawet w mroczniejszą niż ta noc, nie miałem więc żadnego powodu do ucieczki. Przeszedłem tu z przykrością i z przykrością pozostałem.

Kierunek, który obratem, nie wiedł mnie do mego dawnego domu ani też nie był szlakiem, którym niegdyś ścigałismy galerników. Za moimi plecami znajdowały się odległe galerie, a po to, by ujrzeć światła płonące z dala na brzegu rzeki, musiałem oglądać się poprzez ramię za siebie.

Wiedziałem doskonale, gdzie jest wapiennik, a równie dobrze, gdzie znajduje się stara forteczka, ale były one oddalone od siebie o wiele mil, toteż pomiędzy dwoma światłami tych budynków ciągnął się długi pas całkowitych ciemności. Przebyłem kilka zagród dla bydła, otwierając i zamykając za sobą

drewniane bariery; chwilami musiałem się zatrzymywać, by przepuścić sfontoszone zwierzęta kryjące się w zaroślach i trawie. Ale wkrótce potem miałem już uczucie, że cała równina należy tylko do mnie.

Dopiero po upływie pół godziny zbliżyłem się do wapiennika. Wapno wypalało się w piecach, rozsiwając ciężki i duszący odor, ale robotników już nie było: odeszli, rozpaliwszy ogniska. Niedaleko stamtąd natknąłem się na mały kamieniołom, wokół którego pozostawiono taczki i narzędzia. Posuwając się dalej ścieżką wśród głazów, ujrzałem w oknie chatki, stojącej przy służbie, światło. Przyspieszyłem kroku i zastukałem do drzwi. Czekając na odpowiadź, rozejrzałem się raz jeszcze wokół siebie i spostrzegłem, jak opuszczona jest ta służba. Pomyślałem, że drewniana chatka z naderwanymi dachówkami nie wytrzyma już długo walki z deszczami i wichrem, że z błot wokoło unosi się beznadziejny smutek, a duszący zapach oparów wapna dociera aż tutaj niczym straszliwe widma. Nikt nie odzywał się z wnętrza. Zapukałem znowu i nie otrzymawszy i tym razem odpowiedzi, spróbowałem zasuwki. Ustąpiła natychmiast i drzwi się otwały przede mną.

Na stole w izbie płonął świeca, na składanym łożku leżał materac, obok stała ława. Ponieważ nad izbą było coś w rodzaju poddasza, więc krzyknąłem:

– Jest tam kto?

Nikt nie odpowiedział. Spojrzałem na zegarek, stwierdziłem, że jest już po dziewiątej, więc zawołałem znowu:

– Czy jest tam kto?

Odpowiedziała mi znowu cisza. Niezdecydowany, zrobiłem kilka kroków ku drzwiom, nie wiedząc, co począć.

Zaczął padać gęsty deszcz. Wyrzuciłem za drzwi, nie zobaczyłem nikogo, więc wróciłem pod dach, przebijając wzrokiem ciemności nocne. Ktoś musiał tu być przed chwilą i oddalić się na krótko, ktoś, kto zapalił świecę. Przyszło mi do głowy sprawdzić, czy knot jest długi, i zawróciłem do izby. Zaledwie jednak wzięłem świecę do ręki, i zawróciłem do izby. Zaledwie jednak zarzucono na szyję od tyłu pętlę.

– Mam cię nareszcie! – powiedział głuchy głos męski i dodał przekleństwo.

– Co to? – krzyknąłem, szamocząc się. – Kto tu jest? Na pomoc! Na pomoc!

Przycisnęło mi ramiona do boków, a niewylęczone ramię sprawiło mi nieznośny ból. Usta zatykała mi kolejno to czołgą ręką, to czołgą przycisniętą do mnie piersi. Walczyłem bezskutecznie w ciemnościach, czując na twarzy czyjś gorący oddech, i zrozumiałem, że przywiązują mnie ciasno do belki izby.

– No, teraz – odezwał się ten sam męski głos z nowym przekleństwem – krzycz ratunku, a zatąwię się z tobą prędko.

Ostały i bliski omdlenia z powodu bólu w ramieniu, zaskoczony tym, co się stało, miałem jednak świadomość, że człowiek ten może z łatwością wykonać swą groźbę do końca. Przystałem więc się wyrywać i usiłowałem tylko choć trochę wywolodzić bolące ramię z uścisku. Ale byłem zbyt mocno związany i miałem uczucie, że ramię moje, najpierw poparzone, teraz zaczyna się gotować.

Całkowite ciemności zastąpiły nagle ponury blask nocnego nieba: zrozumiałem, że mój przesładowca zamknął okiennice. Przez chwilę, błąkając się po omacku po pokoju, znalazł widocznie krzesiwo, gdyż zaczął krzesać ogień. Widziałem migające od czasu do czasu iskierki, wargi człowieka, który bezskutecznie usiłował je rozdmuchać, i ciemną główkę zapałki. Ale krzesiwo musiało być wilgotne i iskierki gasły jedna po drugiej.

Człowiek najwidoczniej się spieszył i niestrudzenie krzeszał dalej. Kiedy iskier przybywało, w blasku ich mogłem zobaczyć jego ręce i to, że siedział pochylony nad stołem; nic więcej. Po chwili ujrzałem znowu jego wargi dmuchające na iskry i nagle błysk światła ukazał mi jego twarz. Poznałem Orlicka.

Nie wiem, kogo oczekiwałem w tym miejscu, ale w żadnym razie nie jego. Teraz dopiero poczułem, że jestem w prawdziwym niebezpieczeństwie, i nie spuszczałem z Orlicka oczu.

Płonącą teraz zapałką zapalił ostrożnie świecę na stole, zapałkę rzucił na podłogę i przydeptał nogą. Potem odsunął dalej od

siebie świecę, by lepiej mi się przyjrzeć, i skrzyżował ramiona na stole. Spostrzegłem, że jestem przywiązany do pionowo ustawionej drabiny przytwierdzonej do belki. Tędy wychodziło się na stryszek. Kiedy przyjrzelismy się sobie dobrze, powtórzyl:

– Mam cię nareszcie!

– Rozwiąż mnie! Puść mnie!

– Puszczę cię, puszczę, na księżyc, do gwiazd! – odparł.

Przyjdzie i na to czas!

– Po coś mnie tu zwabił?

– Nie wiesz tego? – szydził, patrząc na mnie ponuro.

– Czemuś na mnie napadł w ciemnościach?

– Bo chciałem sam załatwić sprawę. Jeden człowiek lepiej dotrzymuje tajemnicy niż dwóch. O, ty wrogu mój, ty wrogu!

Podstępna radość, z jaką mi się przyglądał, siedząc ze skrzyżowanymi na stole ramionami naprzeciw mnie i potrząsając głową, przepełniała mnie lękiem. Patrzyłem na niego w milczeniu, gdy wyciągnął rękę i wydobyl z mroku strzelbę z miedzianym zamkiem.

– Wiesz, co to jest? – spytał, robiąc taki ruch, jak gdyby we mnie celował. – Pamiętasz, gdzieś ją widział? No, gadaj, ty wilku!

– Tak – potwierdziłem.

– Ty pozbawieś mnie posady, co? Gadaj!

– Co mogłem innego zrobić?

– Tak, zrobiłeś to i to jedno już by wystarczyło. Ale to jeszcze nie wszystko: jak mogłeś się wtrącać między mnie a dziewczynę, którą kochałem?

– Kiedy to było?

– Kiedy to było? Spytaj, kiedy nie było: nie przestawales przed nią obgadywać starego Orlicka.

– Żle o tobie mówiono. Gdybyś sam nie popsuł sobie opinii, i ja bym nic złego nie powiedział.

– Kłamiesz. Wiem, że zadatbyś sobie największy trud i wydatbyś nie wiadomo ile pieniędzy, bylebym opuścił tę okolicę – oświadczył, powtarzając słowa, które wypowiedziałem do Biddy owego wieczora, kiedy ją widziałem po raz ostatni. – A teraz

powiem ci więcej! Dopiero dzisiejszego wieczora czujesz na prawdę, że oddatbyś wszystko za to, by mnie tu nie było. Że oddatbyś dwadzieścia majątków, jakie posiadasz, do ostatniego miedzianka, by mnie stąd wypędzono!

Mówiąc to machał mi przed oczyma zacisniętą pięścią i sapał jak rozjuszony tygrys, a ja czułem, że ma w tej chwili słusność.

– Co zamierzasz zrobić ze mną?

– Mam zamiar – tu huknął pięścią w stół, wstał i powtórzyl to raz jeszcze z wysoka – mam zamiar cię zabić.

Pochylił się ku przodowi, wbił we mnie spojrzenie, potem wyprostował się i otarł dłonią wargi, jak gdyby slińka mu napływała do ust na mój widok.

– Zawsze stał na drodze starego Orlicka, jeszcze kiedy byłeś dzieckiem. Ale dzisiejszej nocy ustąpisz mu z drogi raz na zawsze. Już się ciebie pozbędzie. Bo już jesteś trupem.

Poczułem, że znajduję się na krawędzi mogiły. Rozejrzałem się wokół po mej pułapce: nie było żadnej nadziei na wydostanie się stąd.

– Powiem ci jeszcze więcej – ciągnął – nie zostanie z ciebie na ziemi ani jedna nawet kosteczka. Wrzucę twoje ciało do dołu z wapnem. Mógłbym dwóch takich jak ty unieść łatwo na ramionach. Wrzucę, i ludzie nie dowiedzą się nigdy, co się z tobą stało.

Mysł moja z nieprawdopodobną szybkością ogarnęła wszystkie następstwa tego, czym groził Orlick. Ojciec Estelli byłby przekonany, że go opuściłem, uwieziono by go i umarłby, oskarżając mnie przed śmiercią. Nawet Herbert zwątpiłby o mnie, gdyby porównał tekst pozostawionej przeze mnie w domu kartki z faktem, że byłem u miss Havisham jedynie na chwilę przy bramie: Joe i Biddy nigdy by się nie dowiedzieli, jak bardzo przykro było mi z ich powodu tej ostatniej nocy, nikt nigdy by się nie dowiedział, jak bardzo cierpiałem, jakie miałem dobre postanowienia na przyszłość i przez jakie męki przeszedłem. Tak bliska śmierć była rzeczą straszna, ale stokroć straszniejszą wydawała mi się świadomość, że umrę niezrozumiany. Myśli mo-

je biegly tak szybko, że już wyobrażałem sobie pogardę, jaka otoczą mnie nienarodzone jeszcze pokolenia: dzieci Estelli i ich dzieci. Myślałem tak już w chwili, gdy słowa nie zamarty jeszcze na ustach grożącego mi łotra.

— A teraz, wilku — powiedział — zanim cię zaatakuję jak zwierzę, bo po to przywiązałem cię do tej drabiny, jeszcze ci się dobrze przyjrze i pobawię się tobą, ty mój wrogu!

Przeleciało mi przez głowę, by raz jeszcze wezwać ratunku, chociaż nikt lepiej ode mnie nie znał tej okolicy i nie wiedział, jak bardzo jest bezludna i jak beznadziejne byłoby to wezwanie. Ale gdy mierzył mnie badawczym spojrzeniem, poczułem taki wstręt i taką nienawiść, że zapieczętowały mi one usta. Postanowiłem nie odezwać się do niego już ani słowem i umrzeć, okazując mu opór. Wzruszyłem się teraz na myśl o moich bliskich, modliłem się, błagając niebiosa o przebaczenie, rozczulałem nad sobą na myśl, że nie pożegnałem się i nigdy już nie pożegnają z tymi, co mi byli drodzy, że nigdy nie będę ich błagał o przebaczenie mi moich błędów. A jednocześnie, gdybym mógł przed śmiercią zabić tego człowieka, uczyniłbym to z radością. Najwidoczniej pił dużo i oczy nabięły mu krwią. Na szyi zawieszoną miał blaszaną manierkę; znałem ją dobrze z dawnych czasów. Przechylili ją do ust i pił chciwie, a zapach spirytusu bił od niego mocno. Po twarzy jego przeleciał płomień.

— Ty wilku — zaczął znowu, krzyżując ramiona — stary Orlick powie ci coś teraz. To ty zamordowałeś swoją siostrę megierę.

I znowu myśli przeleciały mi jak wichler przez głowę. Ujrzałem straszną napaść na moją siostrę, jej chorobę, jej śmierć i wszystko to wspominałem, zanim jeszcze Orlick dokończył swych powolnych słów.

— To ty, podły! — zawołałem.

— Nie, to ty, powiadam ci, to przez ciebie stała się ta zbrodnia — krzyknął, chwytając strzelbę i wywijając mi kolbą przed nosem. — Zaszedłem ją od tyłu owej nocy, jak teraz zaszedłem ciebie! Uderzyłem! Myślałem, że zabiłem. Gdyby obok był wapiennik, już by twoja siostra nie powróciła do życia. Ale to nie

stary Orlick wymierzył ten cios śmiertelny, to tyś zrobił. Skakałi koło ciebie, a mnie traktowali jak psa. Orlicka traktowali jak psa! Ale teraz zapłacisz za to! Zapłacisz za to, coś zrobił!

Jeszcze raz się napił i stał się okrutniejszy. Po dźwięku przelewającej się w butelce wódki poznałem, że niewiele już trunku pozostało. Rozumiałem, że postanowił po wypiciu całej wódki zamordować mnie, i czułem, że każda kropla płynu jest kroplą mego życia. Wiedziałem, że wówczas gdy zamienię się już w gryzący dym wydobywający się z wapiennika, Orlick pobiegnie, tak jak po zamordowaniu mej siostry, do miasta i tam będzie się wahał po szynkach, aby być przez wszystkich widziany. Myśl moja ścigała go chodzącego po gwarnych i ludnych ulicach i odczuwała okropny kontrast pomiędzy tym jasno oświetlonym miastem a ponurymi bagniskami, nad którymi unosi się biały dym, w jaki mam się zamienić.

Podczas gdy mówił, słowa jego nie tylko nasuwały mi wspomnienia, ale rozdziły przed oczyma obraz za obrazem. W podnieceniu, które mnie ogarnęło, nie mogłem usłyszeć ani jednego zdania, by nie połączyć go z żywą wizją. Jednocześnie nie spuszczałem z oczu mówiącego (któż by odwrócił spojrzenie od tygrysa gotującego się do skoku?) i widziałem każdy najdrobniejszy ruch jego palców.

Kiedy napił się po raz drugi, zerwał się z ławy i jednym ruchem odsunął stół, za którym siedział. Potem chwycił świecę w morderczą dłoń i oświetlał nią z bliska moją twarz, jak gdyby chcąc mi się baczniej przyjrzeć.

— Wilku! Jeszcze ci coś powiem. To stary Orlick był człowiekiem, na którego natknąłeś się w nocy na schodach.

Ujrzałem natychmiast mroczną klatkę schodową ze zgaszonymi lampami, ujrzałem cienie grubych poręczy, rzucane na ścianę przez latarnię stróża nocnego, i zobaczyłem uchylone drzwi mego mieszkania, którego już nigdy nie miałem zobaczyć. I samo moje mieszkanie: jedne drzwi uchylone, drugie zamknięte, moje meble i przedmioty.

— A po co stary Orlick tam przyszedł? Powiem ci jeszcze wię-



cej, wilku. Ty razem z nią wygnaliście mnie z tej okolicy, pozabawiliście pracy i zarobku. Związałem się więc z innymi kompanami i innymi panami. Jest między nimi jeden, słuchaj mnie uważnie, jeden, który pisze dla mnie listy. Potrafi je pisać pięćdziesięcioma charakterami pisma, nie tak jak ty tylko jednym. Wbiłem sobie w głowę, że muszę cię dostać w ręce. Postanowiłem to w dniu, kiedyś przyjechał na pogrzeb twej siostry. Ale nie wiedziałem, jak cię zwać, więc zacząłem śledzić twoje kroki i twoje przyzwyczajenia. Bo stary Orlick obiecał sobie: „Tak czy inaczej, a będę go miał!”. I w czasie kiedyś cię szukał, natrafiłem na twego wuja Provisa.

Mill Pond Bank, Chink's Basin, Old Green Copper Rope - Walk zatańczyły mi przed oczyma tak jasno i wyraźnie! Provis w swoim pokoju, sygnat, już teraz zbyteczny, w oknie, śliczna Klara, poczciwa, macierzyńska gospodyni, stary Bill Barley leżący na grzbiecie - wszystko to przepłynęło przede mną jak warki strumień mego życia, szybko wpadający w morze.

- Ty i wujaszek! Pamiętam cię z czasów, gdyś mieszkał u Gargerch i był tak małym wilczkiem, że z łatwością mogłem cię uduścisć tyimi oto dwoma palcami (miałem, prawdę mówiąc, na to wielką ochotę i chciałem to zrobić którejś niedzieli, gdyś przechadzał się między żywopłotami) i wtedy nie miałeś żadnych wujaszków. Ale kiedy stary Orlick dowiedział się, że twój nowy wuj dźwigał kiedyś na nodze to samo żelazo, które znalazłem w swoim czasie na moczarach i którym zatukłem twoją siostrę, jak się

W przystępie nienawiści zbliżał tak bardzo do mej twarzy świecę, że musiałem wykręcać głowę, by się nie poparzyć.

- Ach - wrzasnął, wybuchając śmiechem - kto się raz poparzy, unika ognia! Stary Orlick wiedział, żeś się poparzył! Stary Orlick wiedział, że zamierzasz wywieźć swego wujaszka! Stary Orlick jest taki sam sprytny jak ty i był pewien, że tutaj się zjawisz! A teraz jeszcze ci coś powiem, wilku, i na tym będzie koniec! Są tacy, których tak samo interesuje twój wuj Provis, jak ty

interesowałeś mnie! Niechże wezmą się do dzieła teraz, gdy zjago siostrzeńca nie pozostanie ani jedna kosteczka! Ani jeden łachman ubrania jego kochanego siostrzeńca! Są ludzie, którzy nie mogą znieść tego, że Magwitch - tak, tak, znam jego prawdziwe nazwisko! - że Magwitch żyje i mieszka w tym samym co oni kraju. Ci ludzie mieli kogoś, kto go śledził tam na obczyźnie i zawiadomił, skoro tylko zniknął. Może jednym z tych ludzi jest ten, co umie pisać pięćdziesięcioma charakterami pisma, kiedy ty potrafisz pisać tylko jednym! Strzeż się Compeysona, Magwitch, i myśl o stryczku!

Znowu zbliżył do mnie świecę, owiewając dymem moją twarz i włosy. Potem odwrócił się do mnie szerokimi plecami i postawił lichtarz na stole.

W myślach znowu modliłem i zęgnąłem się z Joem, Biddy i Herbertem.

Pomiędzy stołem a przeciwną ścianą było kilka stóp przestrzeni. Orlick wszedł tam i powłóczęg po swojemu nogami, z ramionami ciężko zwieszonymi na boki przechadzał się, nie odrywając oczu ode mnie. Nie miałem już nawet cienia nadziei. Pomimo mego podniecenia i mimo obrazów, jakie przepływały mi przed oczyma, nie uległo dla mnie wątpliwości, że nie powiedziałyby nic z tego, co mi wyznał, gdyby nie miał całkowitej pewności, że za chwilę zginę.

Teraz zatrzymał się, wyrwał korek ze swej manierki i odrzucił go od siebie. Upadł tak lekko jak piórko. Orlick tykał powoli, lubując się każdą kroplą, i nie patrzył na mnie więcej. Ostatnie krople wysączył z butelki na dłoń i wyliział je starannie. Potem z nągłym pośpiechem i gwałtownością cisnął manierkę na podłogę, rzucił okropne przekleństwo i pochylił się. W dłoni jego ujrzałem ciężki kamienny młot z drugim trzonkiem.

Nie opuściło mnie postanowienie, które przed chwilą powziąłem: nie prosiłem Orlicka ani słowem o litość. Krzyknąłem z całym siłą i z całym siłą rzuciłem się do walki. Mogłem porzucić tylko głowę i nogami, ale nie ustawałem w gwałtownym oporze z energią, jakiej w sobie nawet nie podejrzewałem. W tej samej

chwili usłyszałem jakiś krzyki odpowiadające moim. We drzwiach ukazał się błysk światła, zjawiły się postacie ludzkie. Widziałem, jak wśród zgietku i hałasu Orlick odepchnął od siebie ludzi, otrząsnął się z nich jak z wody, przeskoczył jednym susem stół i zniknął w mrokach nocy.

Gdy odzyskałem przytomność, poczułem, że jestem rozwiązany i że leżę z głową opartą o czyjeś kolana. Wzrok mój padł na drabinę przytwierdzoną do ściany i wówczas zrozumiałem, że odzyskałem przytomność w tym samym miejscu, gdzie ją straciłem.

Zbyt obojętny nawet na to, by rozejrzeć się i przekonać, kto mi przyszedł z pomocą, leżałem przez chwilę jeszcze ze wzrokiem utkwionym nieruchomo w drabinę, gdy nagle pomiędzy nią a ścianą zjawiła się jakaś znajoma twarz. Twarz pomocnika Trabba!

– Zdaje się, że nic mu już nie jest – zauważył pomocnik ze sklepu Trabba cichym głosem – ale jaki błąd!

Na owe słowa ten, na których kolanach leżałem, nachylił nademną twarz i zobaczyłem, że to...

– Herbert! Boże wielki!

– Spokojnie – powiedział Herbert – tylko spokojnie, Haendel, nie bądź za żywy.

– I nasz stary przyjaciel Startop! – krzyknąłem, gdy i ten się nade mną pochylił.

– Pamiętaj, że ma on nam jutro pomóc – upomniał mnie Herbert – i leż spokojnie.

To zdanie sprawiło, że zerwałem się na równe nogi, mimo dotkliwego bólu w ramieniu.

– Czy termin jeszcze nie minął, Herbercie? Jaką to dzisiaj mamy noc? Jak długo tu jestem? Mam takie przykre uczucie, jak gdybym był tutaj już od dawna: noc i dzień, i jeszcze noc, dwie noce, dwa dni... więcej...

– Termin jeszcze nie upłynął! Jest poniedziałek wieczór.

– Dzięki Bogu.

– I przez cały jutrzejszy dzień wtorkowy jeszcze możesz odpoczywać – oświadczył Herbert – ale nie potrafisz wstrzymać

jęku, Haendel. Powiedz, co cię boli? Gdzie jesteś ranny! Czy możesz stać?

– Tak, tak, mogę chodzić. Nic mnie nie boli prócz tego pulsującego ramienia.

Odstonili je i zrobili, co mogli. Było napuchnięte i gorące i zaledwie mogłem znieść dotyk czyichś palców. Tymczasem podarli swoje chusteczki i zabandażowali mi ramię, umieszczając je na temblaku, abym mógł dotrzeć do miasta, gdzie dostanę jakiś przynoszący ulgę lek. Po chwili zatrzasnęliśmy za sobą drzwi ciemnego i pustego domku na służbie i mijaliśmy kamieniołomy w drodze powrotnej. Chłopiec ze sklepu Trabba (nie był to już chłopiec, ale dorastający młody człowiek) świecił nam na przedzie latarnią. Było to samo światło, które ujrzałem w szparze drzwi domku. Księżyc stał już o wiele wyżej niż wówczas, gdy ujrzałem go po raz pierwszy tego wieczora, i noc, mimo że dżdżysta, znacznie się rozjaśniła. Biały opar z wapienika wionął obok nas i tym razem zamiast modlitwy szeptałem w myśli słowa dziękczynne.

Pytałem Herberta, w jaki sposób zdołał się zjawić na mój ratunek. Herbert zrazu nie chciał odpowiadać, prosząc mnie, bym się zachował spokojnie i nic nie mówił, ale na moje nalegania wyjaśnił mi wszystko. Okazało się, że w zdenerwowaniu zgubiłem otwarty list Orlicka u nas w pokoju i kiedy Herbert po moim wyjeździe powrócił do domu, przyprawdzając ze sobą napatkanego na ulicy Startopa, znalazła ze treść jego była sprzecznazaniepokoił ton listu, zwłaszcza że treść jego była spreczna z tym, co napisałem mu przed wyjazdem. Niepokój nie zmalał po kwadransie namysłu. Wobec tego Herbert ze Startopem, którzy ofiarował się z pomocą, poszli na stację dylizansów, by dowiedzieć się, kiedy odchodzi najbliższy. Popołudniowy dylizans już odszedł, a niepokój Herberta zamienił się w panikę. Postanowili wynająć powóz. Tak też uczynili. Przybyli ze Startopem do oberży „Pod Błękitnym Dzikim”, spodziewając się znaleźć tam mój ślad. Kiedy się zawiedli, poszli do miss Havisham, gdzie ślad urwał się całkowicie.

Powrócili więc do miasta i zjedli obiad (zapewne w tym czasie, gdy słuchałem mojej własnej historii w wersji lokalnej) oraz zasięgneli informacji, kto mógłby być ich przewodnikiem na noczarach. Trafili na chłopca ze sklepu Trabba, który przechadzał się pod filarami oberży „Pod Błękitnym Dzikim”, wienny swemu przyzwyczajeniu znajdowania się wszędzie tam, gdzie go się najmniej spodziewają. Oświadczył on, że widział mnie w drodze od miss Havisham do hotelu, w którym jadłem obiad. Ten to chłopiec zgodził się być ich przewodnikiem i on zaprowadził ich do domku na służbie, wybierając drogę przez miasto, której unikałem.

W drodze przyszło Herbertowi do głowy, że może wezwano mnie na spotkanie w związku z bezpieczeństwem Provisa i że wtargnięcie trzech ludzi będzie w takim razie niepożądane. Wobec tego zostawił chłopca od Trabba i Startopa na skraj kamieniołomu, a sam zakradł się pod domek i okrążył go trzykrotnie, podслуchując, co się dzieje w środku. Nie słysząc nic, prócz zachyplego, męskiego głosu, sądził zrazu, że mnie tam wcale nie ma i dopiero na mój głośny krzyk rzucił się na pomoc wraz ze swymi dwoma towarzyszami.

Gdy opowiedziałem Herbertowi przebieg rozmowy w domu, chciał natychmiast, mimo późnej pory, zawiadomić policję. Ale ja namyśliłem się już przedtem, że tego rodzaju krok, zatrzymujący nas w mieście i zmuszający do powrotu tutaj, mógłby zaszkodzić sprawie Provisa. Postanowiliśmy więc na razie pozostawić Orlicka na wolności i udawać, zwłaszcza wobec pomocnika ze sklepu Trabba, że nie stało się nic ważnego.

Byłem zresztą przekonany, że chłopak ten czułby wielkie rozczarowanie, gdyby dowiedział się, iż uratował mnie od wrzucenia do dołu z wapnem: nie dlatego, by był zbrodniarzem, ale po prostu dla tej przyczyny, że lubił rozmaitość i lubił się nieustannie podniecać, mniejsza o to, czym kosztem. Przy rozstaniu wręczyłem mu dwie gwinee (co przyjął tak, jak gdyby się tego spodziewał) i wyraziłem żal, iż miałem o nim dotychczas złą opinię (co nie zrobiło na nim najmniejszego wrażenia).

Ponieważ środa była już blisko, postanowiliśmy jeszcze tego wieczora wrócić do Londynu, wynajawszy sobie we trójkę powóz. Zależało nam też na tym, by w chwili gdy po mieście zaczęła się rozchodzić wieści o mojej przygodzie, być już daleko. Herbert kupił dużą butelkę lekarstwa na moje bolące ramię i dzieki opatrunkom, przykładanym mi przez całą noc, byłem w stanie znieść podróż. Gdy przybyliśmy do Temple, świtało. Natychmiast położyłem się do łóżka, w którym pozostałem cały następny dzień.

Mój lek, by się nie rozchorować i nie stać się niezdolnym do drogi, był tak silny, że aż dziw iż sam przez się nie wywołał choroby. Nie rozchorowałem się jednak, mimo straszliwych przejść, mimo zmęczenia i wstrząsu tylko dzięki temu, że uczyniłem największy wysiłek, by być zdolnym do przeżycia wypadków następnego dnia. Tego dnia tak niespokojnie oczekiwanego, tak bogatego w następstwa i tak tajemniczego, chociaż tak już bliższego.

Oczywiście było, że w imię ostrożności nie mogliśmy się w owym dniu skomunikować z Provisem, ale to jeszcze tylko powiększyło mój niepokój. Każdy szmer lub krok na schodach sprawiał, że zrywałem się z łóżka przekonany, że już go wzięto i że ktoś przychodzi mi to oznajmić. Wmawiałem sobie, iż wiem przecież na pewno, że go nie uwięziono, że to nie niepokój ani przecucie tak mnie nęka, tylko najokropniejsza pewność. Kiedy dzień mijał bez żadnej złej wieści, kiedy zapadła noc, znowu ogarnął mnie lek, by choroba nie przeskoczyła mi w naszych planach. Poparzone ramię dokuczalo mi coraz bardziej, głowa pękała mi z bólu, miałem uczucie, że zaczynam bredzić. Dla sprawdzenia własnej przytomności liczyłem, powtarzałem znane mi na pamięć wiersze i urywki prozy. Chwilami po prostu na skutek zmęczenia zasypiałem na kilka minut, budziłem się ze straszonym uczuciem i szeptałem do siebie: „Zaczyna się, tracę przytomność...”

Pielęgnowano mnie starannie, miałem świeże opatrunki na ramię i dostawałem chłodzące napoje. Ale za każdym razem,

gdy się budziłem z krótkiego snu, doznawałem tego samego uczucia co przy ocknięciu w domku na słuzie: zdawało mi się, że przeszło bardzo wiele czasu i że sposobność ocalenia Provisa już przepadła. Około północy wstałem z łóżka i udałem się do pokoju Herberta całkiem pewien, że przespałem dwadzieścia cztery godziny i że minęła już środa. Był to jednak ostatni wyśitek, do jakiego popchnął mnie niepokój: zaraz potem zasnąłem głębokim snem.

Obudziłem się w środę o świcie i spojrziałem przez okno. Błądy już chwytne światła latarni na mostach, a na horyzoncie paliło się, jak morze ognia, wschodzące słońce. Rzeka, wciąż mroczna, płynęła skuta mostami, które ciemniały coraz bardziej, gdzieś niedzicie tylko dotknięte odbłaskiem płonącego nieba. Kiedy spoglądałem na szczyty dachów, wieżyczki i dzwonnice wystrzelające w przeczczyste poranne powietrze, słońce wzeszło. I nagle stało się tak, jak gdyby zdarto zasłone spowijającą smutną rzekę: woda zaiskrzyła się światłkami, których miliony pokazały się na powierzchni. I ja wówczas doznałem uczucia, jak gdyby zdarto ze mnie zasłone, gdyż poczułem się zdrów i silny.

Herbert spał na swoim łóżku, a nasz kolega na kanapie. Nie mogłem się jeszcze ubrać bez pomocy, ale podsyciłem ogień, który przez noc nie zagasł na kominku, i przyrządziłem dla nich kawę. Obudzili się pełni sił i ochoty, i razem już podziwialiśmy przez okno śliczną pogodę i przyплыw zbliżający się ku nam z każdą chwilą.

– O dziewczętej – powiedział Herbert wesoło – gdy zacznie się odpływ, czekajcie tam na nas w Mill Pond Bank!

## Rozdział pięćdziesiąty czwarty



Był jeden z tych dni marcowych, kiedy słońce mocno już grzeje, a wiatr dmie chłodny, i kiedy to w słońcu ma się uczucie lata, a w cieniu zimy.

Każdy z nas miał na sobie płaszcz nieprzemakalny, a ja z bratem ze sobą podręczną walizkę z najpotrzebniejszymi rzeczami. Nie wiedziałem, dokąd się udam, co będę robił i kiedy powrócę. Nie rozmyślałem nawet nad tym, gdyż cały mój wyśitek skupiał się tylko na sprawie zapewnienia bezpieczeństwa Provisowi. Odchodząc, zatrzymałem się na chwilę na progu mego mieszkania i pomyślałem, że ujrzę je zapewne w zmienionych okolicznościach albo też nie zobaczę go już nigdy.

Powoli podeszliśmy ku schodom Temple i zatrzymaliśmy się, jak gdyby jeszcze niezdecydowani, czy w ogóle ruszyć na wodę. Przedtem już zatroszczyliśmy się, rzecz prosta, o to, by łódź zatrzymała się w pobliżu schodów. Po chwili namysłu, udając niezdecydowanie i widząc przy schodach jedynie dwie lub trzy nie ruchome, te same co zawsze postacie, wsiadliśmy do łódki i odbiliśmy od brzegu. Herbert wziął przednie wiosła, ja siedziałem przy sterze. Był przyплыw, godzina w pół do dziewczętej.

Oto jak wyglądał nasz plan: ponieważ odpływ miał się rozpocząć o dziewiętej i trwać do trzeciej, zamierzaliśmy płynąć z prądem aż do zapadnięcia nocy. W ten sposób znajdziemy się w chwili zmierzchu poniżej Gravesendu pomiędzy Kentem a Es-

sex, w okolicy, gdzie rzeka jest szeroka i pusta, ludność nadbrzeżna bardzo rzadka i gdzie moglibyśmy wybrać sobie spokojnie jedną z oberż nadrzecznych na odpoczynek. Tam mieliśmy przemocować. Wiedzieliśmy, że parowiec zdążający do Hamburga oraz parowiec do Rotterdamu wyruszają z Londynu w czwartek o dziesiątej rano. Postanowiliśmy więc czekać na ich nadejście i dać znak pierwszemu z nich, a gdyby dla jakichkolwiek względów nie chciał nas zabrać na pokład, zaczepić drugiego ze statków. Parowce mieliśmy poznać po ich znakach, których nauczyliśmy się na pamięć.

Z chwilą gdy zacząłem brać udział w wykonywaniu naszego planu, poczułem wielką ulgę i wprost nie mogłem pojąć, dlaczego byłem tak bardzo niespokojny jeszcze poprzedniego dnia.

Nową, świeżą nadzieją napelnitło mnie czyste, orzeźwiający powietrze, blask słońca na rzece, woda płynąca wraz z nami, rzeka, która zdawała się nam pomagać, kochać nas i zachęcać. Przyszło mi było, że jestem tak mało pomocny w tej drodze, ale za to moi koledzy okazali się znakomitymi wiosłarzami i mogli z łatwością równie dobrze wiosłować przez cały dzień do wieczora.

W owym czasie ruch na Tamizie był całkiem inny niż obecnie: widziało się znacznie mniej niż teraz parowców, a za to więcej łodzi. Barki rybackie, węglarki, tratwy i żagłówki napelniały rzekę, ale statków parowych było dziesięć, a może dwadzieścia razy mniej niż obecnie.

O tej wczesniej porze porannej rzeka rojła się od czółen, które płynęły to w tę, to w przeciwną stronę, i od wielu galarów, które płynęły wraz z odpływem. W owych czasach żegluga matymi czółnami po rzece, od mostu do mostu, była znacznie łatwiejsza i częściej uprawiana niż dziś. Płynęliśmy więc z wawo naprzód, mijając co chwila inną łódkę lub barkę.

Minęliśmy w ten sposób przedko Most Londyński, przepłynęliśmy obok targu w Old Billingsgate z jego łodziami do potowu ostryg i Holendrami, minęliśmy Białą Wieżę i Wrota Zdrajcy i znaleźliśmy się pomiędzy dwoma rzędami statków. Stały tu na

kotwicy parowce z Leith, z Aberdeenu i z Glasgow zajęte ładunkiem i wyładunkiem towarów. Wydawały nam się niebotycznymi budowlaniami, kiedy przesuwaaliśmy się koło ich wysokich kadłubów. Stały tam węglarki z żelaznymi, wystającymi z pokładów ramionami dźwigów, które stanowiły przeciwwagę dla potężnych ładunków węgla piętrzących się na pokładach, zainim zwalono je na barki. Tutaj też stał na kotwicy parowiec, którym miał się udać nazajutrz do Rotterdamu i któremu dobrześmy się przyrzeli, a nieopodal ten, który następnego dnia wyruszał do Hamburga i przed którego przednim masztem przesuwaaliśmy się naszą łodzią. I nagle, siedząc przy sterze, ujrzaliśmy sercem Mill Pond Bank i schody prowadzące do Mill Pond.

— Jest tam? — spytał Herbert.

— Jeszcze nie.

— Prawda! Przecież miał nie schodzić na wybrzeże, dopóki nie przyjedziemy. Czy sygnał na miejscu?

— Nie widzę go ślad dobrze... ale zdaje się, że już go dostrzegam. Tak, teraz już widzę na pewno i jego! Wiosłujcie obaj razem! Wołniej, Herbercie! Wiosła!

Na jedną tylko małą chwilę dotknęliśmy łodzią schodów. Provis wskoczył do czółna i popłynęliśmy dalej. Ubrany w marynarski płaszcz, z czarną, płócienną torbą w ręku wyglądał ku memu zadowoleniu na pilota rzecznego.

— Kochany mój chłopcze — powiedział, dotykając dłonią mego ramienia, gdy zajął już swe miejsce — wierny, drogi chłopcze, dobrze to zrobione. Dziękuję, dziękuję ci!

I znowu płynęliśmy pomiędzy dwoma rzędami statków, omijając zardzewiałe żelazne tancuchy porzucone w wodzie, postrzępione konopne liny holownicze, kotyszące się boje, tonące to znowu wychylające się na powierzchnię połamane koszyki, kawałki drzewa i wióry. Pruliśmy unoszący się na wodzie miał węglowy. Przepłynęliśmy pod figurą „Johna” z Sunderlandu, który gadał sobie z wiatrami (jak tyłu innych Johnów), i pod postacją „Betsy” z Yarmouth, która odznaczała się pięknymi pierściami i oczyma wystającymi na parę cali z głowy. Mijaliśmy do-

ki i warsztaty okrętowe, gdzie były młotki i zgrzytały piły, przesuwaliśmy się obok maszyn niewiadomego dla nas przeznaczenia, pomp wyciągających wodę z dziurawych okrętów, pływających dźwigów, statków idących w morze. Mijaliśmy marynarzy ciskających ze swych pokładów ryki przekleństw do stojących na nadmorskim bulwarze ludzi, aż wypłynęliśmy na puściejsze wody, gdzie chłopcy okrętowi mogli wyciągnąć na pokład swe wędkę i przestać łowić w mętnej wodzie, i gdzie żaglowce mogły płynąć już spokojnie z wydętymi przez wiatr festonami żagli.

Od chwili gdy przyjęliśmy do łodzi Provisa, nie przedstawiał ani na chwilę rozglądać się podejrzliwie wokoło, czy aby nas nie śledzą. Ale widziałem z całą pewnością, że nikt na nas nie zwraca uwagi i że nie płynie za nami w ślad żadna inna łódź. Gdybym spostrzegł coś takiego, przybiliśmy natychmiast do brzegu, by podejrzane czółno puścić naprzód lub pozwolić mu odsonić swe zamiary. Ale płynęliśmy przed siebie bez przeszkód.

Provis w swym marynarskim stroju, jak to już wspominałem, znakomicie harmonizował z całą scenerią. On też (prawdopodobnie dzięki swym okropnym przeżyciom) okazał się z nas wszystkich najspokojniejszy. Nie był bynajmniej obojętny na to, co się działo, bo jak to nam sam powiedział, chciałby jeszcze żyć, by własnymi oczyma patrzeć na życie swego pana wśród największych panów w którymś z krajów za granicą, nie miał skłonności do bierności czy rezygnacji, ale nie należał do tych, którzy wyolbrzymiają własną fantazją grożące niebezpieczeństwo. Umiął się wobec niego znaleźć, ale myślał o nim dopiero wówczas, gdy było już obecne.

– Gdybyś wiedział, mój chłopcze, co to dla mnie znaczy, że mogę tak sobie palić fajkę przy twoim boku po tych wielu tygodniach spędzonych samotnie w czterech ścianach, zaszłościłbyś mi szczęścia. Ale ty nie wiesz, co to dla mnie znaczy.

– Zdaje mi się, że znam rozkosz wolności – zauważyłem.

– Ach – odparł, trzęsąc głową – nie możesz jej znać tak jak ja. Do tego, by rozkoszować się wolnością, trzeba przebywać przedtem pod kluczem. Ale zaczynam być ordynarny.

Nie mogłem pojąć całkowicie, dla jakiego to celu, który miał go w swym władaniu, narażał nieustannie wolność i nawet życie. Ale wyflumaczyłem sobie, że może dla ludzi jego typu wolność bez ryzyka nie ma takiego czaru jak dla innych. Widocznie nie byłem daleki od prawdy, gdyż wypaliwszy fajkę, przemówił:

– Widzisz, mój kochany chłopcze, kiedyś byłem w tamtej części świata, tęskniłem do tej i chciałem jak najprędzej wracać, choć się tam bogaciłem. Wszyscy tam znali Magwitcha i Magwitch znał każdego, i Magwitch mógł się swobodnie poruszać, gdzie mu się podobało. Nie tak jak tutaj, drogi chłopcze, gdzie na pewno nie daliby mi spokoju, gdyby wiedzieli, gdzie się znajduję.

– Jak wszystko dobrze pójdzie – oświadczyłem – będzie pan znówu wolny za kilka godzin.

Odetchnął głęboko i zgodził się:

– Ach, mam nadzieję, że tak będzie.

– I wierzy pan w to?

Wyciągniętą poza burtę łodzi dłońią głąskał powierzchnię wody i odpowiedział z owym łagodnym uśmiechem, który już znałem:

– Tak, wydaje mi się, że wierzę, drogi chłopcze. Czy można sobie wyobrazić większy od tego spokój? Ale właśnie dlatego, że tak cicho i spokojnie płyniemy po wodzie, to przed chwilą z dymem mojej fajki przyszyły do mnie myśli. I myślałem sobie, że tak jak nie mogę wzrokiem przeniknąć do dna tej rzeki, tak samo nie mogę przewidzieć tego, co stanie się za kilka godzin. I tak samo, jak nie sposób zatrzymać wody, tak nie zatrzymamy i czasu. Widzisz, jak woda przecieka mi przez palce!

I podniósł do góry oczekującą wodą dłoń.

– Sądząc z pańskiej twarzy można by przypuścić, że jednak jest pan niespokojny.

– Nic podobnego, drogi chłopcze. To tylko dlatego, że płyniemy tak spokojnie, że woda szemrze tak, jak gdyby śpiewała niedzielne piosenki, i że po prostu zestarzałem się ostatnio odrobine.

Znowu włożył do ust fajkę z miną tak spokojną, jak gdybyśmy się już znajdowali poza granicami Anglii. Mimo to był nam posuszny na skinięcie, jak człowiek w obliczu wielkiego strachu, gdyż w chwili kiedy dobiłszy do brzegu, by nabyć kilka butelek piwa, wystarczyło mi powiedzieć, żeby z nami lepiej nie wsiadał, a zaraz spokojnie usiadł na swym miejscu, powiedziawszy tylko:

— Tak uważasz, drogi chłopcze?

Powietrze na rzece tchnęło chłodem, ale dzień był pogodny i słońce świeciło wesoło. Odplyw zabierał nas z wielką siłą, staliśmy się wykorzystywać go jak najlepiej i płynęliśmy wciąż z równą szybkością naprzód. W miarę jak odplyw słabł, posuwaliśmy się wolniej. Teraz już nie widzieliśmy na brzegach lasów ani wzgórz, ale błotniste przestronie, aż wreszcie fala przycięła nas do Gravesend. Ponieważ Provis otulony był w płaszcz, więc zbliższy się do płynącego po rzece statku celnego, umyślnie trzymaliśmy się o jakieś dwie długości naszej łodzi od owego okrętu. Po chwili, pragnąc natrafić na prąd, przepłynęliśmy obok dwóch statków z emigrantami i pod dziobem wielkiego transportowca, z którego górnego pokładu przyglądali nam się żołnierze. Zaraz potem odplyw osłabł, statki na kotwicy zakreśliły się w miejscu, okręty, które chciały skorzystać z nadchodzącego nowego przyptywu, skupiły się wokół naszej łodzi, a my wypłynęliśmy jak najbliższej wybrzeża, unikając prądu i omijając mielizny.

Naszym wiosłarzem, który niekiedy odpoczywał, puszczając łódź z prądem, teraz wystarczał kwadrans, aby całkowicie odpocząć. Wyładowaliśmy więc wśród nadbrzeżnych kamieni i zjedliśmy przywieziony posiłek, rozglądając się wokół. Wyglądało tu jak w moich rodzinnych stronach: mglisty horyzont nad płaskimi dalekimi bagniskami. Wszystko zdawało się tu być nieruchome, tylko rzeka wiała się w licznych skrętach, a wraz z nią kreśliły się wielkie boje po niej płynące. Kiedy ostatnia flotylla zniknęła nam z oczu za zakrętem rzeki, ukazał się jeszcze zielony statek naładowany słomą, z powiewającym

brunatnym żaglem, a potem i on się oddalił. Teraz uwięzły w mule niezdarne, jakby wyciosane ręką dziecka, kadłuby boi świetlnych. Przykućnięta, mała, płytkowodna latarnia morska na palach ugrzęzła w błocie i wyglądała jak kulawy, który opiera się szcudłami o dno wody. Z mchu sterczały osłizłe pale, wychylały się kamienie oblepione szlamem, czerwone znaki mierzące odplyw. Stary pomost i stary dom bez dachu zanurzały się w mule i wszystko wokół nas, jak okiem sięgnąć, zdawało mi się bezruchem i mulem.

Ruszyliśmy naprzód, co nie było bynajmniej łatwą sprawą, ale Herbert i Startop z nateżeniem wiosłowali, wiosłowali i wiosłowali, aż do zachodu słońca. Fala trochę się podniosła, tak że mogliśmy teraz patrzeć ponad wybrzeżem. Słońce zachodziło w jakiejs purpurowej mgłę, która szybko nasyciała się mrokiem, a wokół rozciągały się błotniste płaskie przestronie. W oddali wznosiły się wzgórza, a między nimi a nami rozpościerała się całkowita pustka, w której jedynymi istotami żyjącymi były zabłąkane to tu, to tam melancholijne mewy.

Noc zapadała gwałtownie, księżyc był na nowiu i miał wzejść późno, wobec tego odbyliśmy małą naradę. Nie trwała długo, gdyż wydawało się oczywiste, że najlepiej będzie przенocować w pierwszej napotkanej po drodze pustej gospodzie. Wiosłarze zasedli znowu do pracy, a ja szukałem oczyma odpowiedniego domu. Posuwałam się w ten sposób, niemal w milczeniu, czerzy lub pięć mil naprzód. Było bardzo zimno i gdy mijaliśmy węglarkę, na której dymniła kuchnia, ogarnęła nas zazdrość wobec tych, którzy podróżują w ciepłym wnętrzu statku. Wokół robiło się teraz tak ciemno, jak bywa przed świtem; blask zdawał się płynąć raczej z rzeki niż z nieba, wiosła uderzały co pewien czas w gwiazdy odbijające się w powierzchni wody.

W tej smutnej wędrówce wszystkich nas nękała myśl, że możemy być ścigani. Wzrastająca fala biła ciężko i nieregularnie o brzeg. Gdy dolatywał odgłos takiego uderzenia, któryś z nas zawsze się wzdrygał i spoglądał w tamtym kierunku. Gdzieś gdzie prąd rzeki wyżyłbił w wybrzeżu zaciszne zagłębienia; nie

lubiliśmy mijać takich miejsc i oglądaliśmy je z podejrziwym lękiem. Niekiedy padały szeptem pytania: „Co to za szmer?” Albo też: „Czy to jakiś statek się zbliża?”. Potem znowu zapadała śmiertelna cisza, a ja myślałem z rozdrażnieniem: Czemu to wiosła, poruszane w dulkach, robią tyle hałasu?

Nareszcie ujrzeliśmy światło i jakiś dach, i zajęchaliśmy do małej, ogrodzonej kamieniami przystani przy brzegu. Pozostawiliśmy wszystkich w łodzi, wysiadłem i stwierdziłem, że światło padało z okna gospody nadbrzeżnej. Wnętrze było dostatecznie brudne i ośmiewałem się powiedzieć, dość dobrze znane przemytnikom, ale na kominku płonął ogień, można było dostać sadzone jajka na boczku i różne napoje. Znajdowały się tam też dwa pokoje z dwuosobowymi łóżkami („Innych nie ma”, oświadczył gospodarz). W gospodzie nie było nikogo oprócz gospodarza, jego żony oraz osobnika ptci męskiej, Jacka, z małej przystani, który był tak zamulony i oszlamiony, jak gdyby sam służył do markowania wysokości wody.

Wraz z nim powróciłem do łodzi, moi towarzysze wylądowali, przenieśliśmy na ład ster, wiosła i kotwice, po czym przyholowaliśmy całą łódkę na suche miejsce. Spożyliśmy doskonałą kolację przy kominie w kuchni, po czym zajęliśmy sypialnie: Herbert i Startop jedną, ja z Provisem drugą. Zarówno z jednej, jak i z drugiej sypialni tak starannie usunięto powietrze, jak gdyby było ono niebezpieczne dla życia, a poza tym pod łózkami znajdowało się tyle brudnej odzieży i wszelkiego rodzaju pudełek, że nie podejrzewałem, żeby jedna rodzina mogła tyle posiadać. Ale mimo to uważaliśmy, że to doskonałe miejsce ze względu na odludzie.

Gdy po wieczery odpoczywaliśmy przy kominie, marynarz, który siedział w kacie, wyciągnąwszy przed siebie nogi w olbrzymich, jakby spuchniętych butach (podczas gdy jedliśmy jajka na boczku, opowiadał nam, że ściągnął owe buciska przed kilkoma dniami z nóg topielca, którego wyrzuciło morze na brzeg), spytał nas, czyśmy widzieli łódź o czterech wioślach, płynącą wraz z odpływem rzeki. Ponieważ odpowiedziałem mu,

że nie, oświadczył, że wobec tego musiała zmienić kurs, bo widział ją wyraźnie.

– Musieli z tych czy innych względów zmienić zamiar – powiedział Jack – i zawrócili.

– Łódź o czterech wioślach? – spytałem raz jeszcze.

– Tak, cztery wiosła i dwu ludzi – powtórzył Jack.

– Czy ładowali tutaj? – badałem.

– Przyjechali tutaj z dużym kamiennym dzbanem, by wlać im tam dwa galony piwa. Najchętniej wlałbym im tam trucizny – oświadczył Jack – albo przynajmniej dosypałbym jakiegoś szkaradnego lekarstwa.

– Dlaczego?

– Już ja wiem dlaczego – oznajmił Jack, a głos jego brzmiał tak, jak gdyby młodzieniec w gardle miał muł.

– Bierzcie ich – objaśnił gospodarz, mały słabowity człowieczek o bladych oczach, w których widniała sympatia dla Jacka – bierzcie ich za kogoś zupełnie innego.

– Już ja wiem, kto oni są – powtórzył Jack.

– Myślisz, że to celnicy?

– Tak – odparł Jack.

– No, to się mylisz, Jack.

– Ja się myślę?

W tonie tego pytania było wiele wiary we własną nieomylność i przenikliwość. Jack zdjął teraz z nogi jeden ze swych spuchniętych butów, zajrzał do jego wnętrza, wyjął stamtąd kilka kamyków, wyrzucił je z hałasem na podłogę w kuchni i włożył but z powrotem na nogę. Wszystko to uczynił z miną człowieka, który na wszystko może sobie pozwolić.

– A co, według ciebie, ci ludzie zrobili ze swoimi urzędowymi guzikami? – spytał oberzysta słabym głosem.

– Co zrobili z guzikami? – powtórzył Jack. – Wyrzucili za burtę do wody! Połknęli je! Posiali je w ziemi, żeby wyrosła z nich sałata! Oto, co zrobili z guzikami!

– Nie bądź taki bezczelny, Jack! – zgromił go gospodarz melancholijnym i patetycznym tonem.



– Urzędnik celny wie dobrze, co ma zrobić z guzikami, kiedy mu przeskadzają w pracy – oświadczył Jack, wymawiając znie-  
nawidzony tytuł z najwyższą pogardą. – Taka łódź nie włoży się bez powodu po rzece, płynąc po jednym przypiływie i wraca-  
jąc po drugim; musi w tym być jakaś celna sprawa.

To powiedziałwszy, oddalił się z godnością, a gospodarz, nie mając z kim na ten temat się sprzeczać, umilkł.

Rozmowa ta napelniała nas wszystkich, a szczególnie mnie, niepokojem. Wicher wstrząsał ścianami domu, fale bity o brzeg, a ja miałem uczucie, że jesteśmy w straszliwej pułapce.

Nie mogłem odpędzić od siebie niepokojącej myśli o tajem-  
niczej czterowiosłowej łodzi, która w niewiadomym celu pły-  
wała tam i z powrotem po rzece.

Skloniwszy Provisa, by udał się na spoczynek, wyszedłem na dwór z moimi obydwooma towarzyszami (Startop przez ten czas dowiedział się już całej prawdy), aby poradzić się wspólnie. Na-  
leżało zdecydować, czy lepiej pozostać w tym domu aż do chwili przeptywu cudzoziemskich statków, to jest do następnego dnia po południu, czy też wyruszyć stąd o świcie. Postanowiliśmy, że pozostaniemy tutaj, a na godzinę przed porą, gdy statki będą prze-  
pływały koło brzegu, wsiądziemy do łodzi i popłyniemy z prądem. Powziąwszy to postanowienie, udaliśmy się do łóżek.

Całkowicie niemal ubrany położyłem się i przespałem moc-  
no kilka godzin. Gdy się obudziłem, podniósł się wicher i stukat monotonnie szyldem oberży (na którym wymalowana była łódź). Skrzyp szyldu sprawił, że ocknąłem się pełen lęku. Wsta-  
łem po cichu, by nie obudzić śpiącego głęboko Provisa, i wyjrza-  
łem przez okno. Wychodziło ono na małą przystań, do której przyholowaliśmy naszą łódź, i gdy wzrok mój przyzwyczaił się do słabego blasku zasnutego chmurami księżycyca, ujrzałem, że ogląda ją dwu mężczyzn. Przeszli obok naszego okna i zamiast udać się do pobliskiego portu, skierowali się ku równinom w kierunku północnym.

Pierwszą moją myślą było zawołać Herberta i pokazać mu dwie oddalające się postacie. Już zerwałem się z miejsca, ale za-

nim dotarłem do pokoiu, w którym spał po drugiej stronie do-  
mu, pomyślałem, że on i Startop mieli za sobą cięższy dzień niż ja, i zmieniłem postanowienie. Powróciwszy do okna, widziałem, jak dwaj nieznajomi szli wśród bagnisk. Ciemności skrzyły ich wkrótce przed moimi oczyma. Poczulem chłód, położyłem się więc do łóżka, by zastanowić się nad tymi wypadkami, i za-  
snąłem na nowo.

Zerwałem się bardzo wcześnie. Podczas gdy przechadzali-  
śmy się we czterech przed śniadaniem, uważałem za stosowne opowiedzieć, co widziałem w nocy. I znowu najmniej obawy okazał z nas wszystkich Provis. Powiedział, że ludzie ci mogli pracować w Komorze Celnej i wcale się nami nie interesować. Usiłowałem przekonać sam siebie, że tak jest istotnie, bo prze-  
cież mogło tak być, ale mimo to zaproponowałem mu, by udał się na wybrzeże na miejsce, które widzieliśmy z domu, i czekał tam do południa, aż zjawimy się z łodzią. Uważając to za ko-  
nieczną ostrożność, wyruszyliśmy z nim we dwóch zaraz po śniadaniu, nie mówiąc o tym nic nikomu w gospodzie.

W drodze palił fajkę w milczeniu, tylko niekiedy zatrzymując się, by poklepać mnie po ramieniu. Mogłby ktoś przypuszczać, że to nie on, ale ja znajduję się w niebezpieczeństwie i że on do-  
daje mi w ten sposób odwagi. Zamieniłszy w drodze zaledwie kilka słów. Kiedy doszliśmy na wybrzeże, prosiłem go, by pozostął w ukryciu, a sam poszedłem na zwiady w tym kierunku, w którym w nocy udali się owi dwaj nieznajomi. Zgodził się na rozstanie ze mną, więc w dalszą drogę wzdłuż wybrzeża puści-  
łem się sam. Na rzece nie widać było żadnych łodzi ani statków, nie natrafiłem też na ślady stóp owych ludzi, którzy zapewne odpłynęli już jakimś czółnem. Ale przypiływ był w tej chwili już w całej pełni, więc ślady mogły się skryć pod wodą.

Provis wyjrzał ze swego ukrycia, a widząc, że macham ku niemu kapeluszen na znak, że może przyjść, podszedł do mnie i razem rozpoczęliśmy czekanie. Chwilami kładliśmy się na brzegu, otuleni w płaszcze, chwilami biegaliśmy dla rozgrzew-  
ki. Wreszcie zjawiała się nasza łódź. Wsiedliśmy i wiosłowali-

śmy w kierunku szlaku parowca. Było w tej chwili dziesięć minut przed pierwszą. Pilnie wypatrywaliśmy dymu parowca, ale dopiero o wpół do drugiej ujrzeliśmy pióropusz dymu, a za nim zaraz następny, oznajmiający drugi statek. Oba zbliżały się szybko. Przygotowaliśmy obie walizki i pozegnaliśmy się z Herbertem i Startopem. Potrześnaliśmy sobie serdecznie dłonie, a oczy Herberta i moje jednakowo zwilgotniały. Nagle ujrzałem wychylając się zza kadłuba statku, płynącą ku nam dużą szalupę o czterech parach wiosel.

Do tej chwili pomiędzy nami a dymem statku znajdował się pas ziemi wybrzeża na skutek zakrętu rzeki w tym miejscu, ale teraz widzieliśmy już wyraźnie, jak łódź płynie prosto ku nam. Krzyknąłem głośno do Herberta i Startopa, żeby nie odchylali się od linii prądu, by ze statku widziano, że na nich czekamy, i poprosiłem Provisa, by siedział spokojnie, otulony w płaszcz. Odpowiedział mi serdecznie:

– Ufaj mi, drogi chłopcze.

Siedział teraz sztywony jak posąg, gdy barka, która była bardzo zręcznie kierowana, prześcignęła nas i zatrzymała się, czekając, aż ją dogonimy, by płynąć równoległe z nami. Trzymając się nas tak blisko, że tylko zostawiała miejsce na swoje i nasze wiosła, naśladowała nas we wszystkim: kiedy wiosłowaliśmy, dotrzymywała nam kroku, kiedy wciągalśmy wiosła, zatrzymywała się i ona. Jeden z mężczyzn siedzących w łodzi trzymał liny steru i nie spuszczał nas z oka, podobnie jak wszyscy wiosłarze barki. Drugi, otulony w płaszcz tak jak Provis, zdawał się szeptem wydawać sternikowi jakieś rozkazy. Ani w tamtej, ani w naszej łodzi nikt nie wyrzekł głośno ani słowa.

Startop poznał po chwili, jaki to parowiec mamy przed sobą, i powiedział do mnie cicho: „Hamburg!”

Statek był już teraz tak blisko nas, że hałas śruby rozlegał się nad naszymi głowami i że mieliśmy uczucie, jak gdyby padał na nas jego cień. I w tej właśnie chwili zawołano nas z tamtej łodzi. Odpowiedziałem.

– Macie na waszej łodzi zbiegłego galernika – oświadczył

człowiek przy sterze. – To tamten człowiek otulony w płaszcz. Nazywa się Abel Magwitch, inaczej Provis. Aresztuję tego człowieka, polecam mu się poddać, a wam towarzyszyć mu.

W teże chwili, nie wydawszy żadnych rozporządzeń swojej załodze, ruszył wprost na nas swą barką. Jego ludzie wciągnęli wiosła i błyskawicznie, zanim się spostrzegliśmy, wskoczyli na pokład naszej łodzi. Obudziło to wielkie poruszenie na statku, rozległy się krzyki i nawoływania, by zatrzymać śrubę, która istotnie stanęła. Natychmiast potem ujrzałem, jak sternik barki kładzie dłoń na ramieniu więźnia, jak obie łodzie, nasza i ich, zakręciwszy się w miejscu, płyną z prądem rzeki i jak na pokładzie parowca wszyscy biegną ku przodowi statku, by zobaczyć, co się dzieje. Ujrzałem też, jak Provis wyprostował się i szybkim ruchem zdarł z trzymającego go człowieka płaszcz, którego kołnierz zasłaniał mu twarz. Twarz odstoniła się: poznałem drugiego galernika z moczarów. Twarz ta podniosła się ku górze z wyrazem zgrozy i w tej samej chwili więzień rzucił się na tamtego. Ustyszałem krzyk na pokładzie parowca i plusk ciała padającego do wody i poczułem, że łódź wysuwa się spoде mnie. Przez chwilę walczyłem, mając uczucie, że dostałem się pomiędzy tyśiące kót młyńskich i tyśiące błyskawic, gdy wciągnięto mnie na pokład barki. Siedzieli tam już Herbert i Startop, ale nasza łódź zniknęła i zniknęli też obaj galernicy.

Zrazu nie mogłem odróżnić wody od nieba, ogłuszony krzykami na pokładzie statku, wściekłym gwizdem pary i podwójnym ruchem okrętu i barki, ale już po chwili wiosłarze zaczęli energicznie pracować wiosłami, nieledwie kładąc się na plecach w łodzi i jednocześnie oglądając się co chwila za siebie na wodę. Ujrzelśmy wkrótce potem na powierzchni fal jakiś ciemny przedmiot. Wiosłarze na ten widok zwolnili i zatrzymali się całkiem; nikt nie powiedział przy tym ani słowa. Ciemny przedmiot okazał się Magwitchem, który płynął ku nam z wielkim trudem. Wyciągnęli go z wody, założyli mu kajdanki na ręce i nogi.

Łódź stała teraz jeszcze nieruchomo na wodzie, a jej wiosłarze wpatrywali się z uwagą w fale.

Tymczasem nieuprzedzony o niczym nadchodził z wielką szybkością drugi parowiec w drodze do Rotterdamu. Zawołano ku niemu, by się zatrzymał, ale już po chwili oba statki prześcignęły naszą łódź, zostawiając ją na rozkołysanej fali. Poszukiwania trwały jeszcze długo po uspokojeniu się wody, skłóconej przejściem statków, ale wiedzieliśmy doskonale, że są one daremne.

Zaniechano więc ich. Łódź przybiła do brzegu i udaliśmy się wszyscy do tej samej gospody, gdzie spędziliśmy noc i gdzie przyjęto nas nie bez pewnego zdziwienia. Teraz mogłem opatrzyć Magwicha (nie było już mowy o Provisie). Ranny był ciężko w pierś i głowę.

Powiedział mi, że podpłynął pod dziób parowca i podnosząc głowę, zranił ją głęboko. Ranę w pierśi (która utrudniała mu oddychanie) otrzymał, uderzywszy się, jak sądził, o burtę barki. Dodał, że nie ma zamiaru tłumaczyć się, co chciał zrobić Compeysonowi, ale że zdzierając mu z twarzy płaszcz, został odepchnięty silnie przez tego łotra, zachwiali się wówczas obaj i wpadli do wody. a sternik, który chciał przytrzymać Magwicha, sprawił swym gwałtownym ruchem, że łódź się przewróciła. Dopowiedział mi potem szeptem, że trzymając się we wzajemnym uścisku pogrzężyli się w wodę i na dnie rzeki stoczyli zacieklą walkę. po czym Magwich wy dostał się z objęć Compeysona i wypłynął na powierzchnię.

Nie miałem powodu wąpić o prawdziwości jego słów, zwłaszcza że sternik barki potwierdził przyczynny utracenia równowagi przez łódź.

Sternik okazał się ościerem policji. Poprosiłem go o pozwolenie przebrania Magwicha z mokrej odzieży w ubranie, które mogłem nabyć w oberży. Zgodził się, pod warunkiem że oddam mu wartość kieszeni. W ten sposób portfel, który niegdys był w moim ręku, przeszedł do niego. Pozwolono mi nadto tarzyszyć więźniowi do Londynu, ale zabroniono tego moim dwu towarzyszom.

Marynarz z gospody. Jack, otrzymał polecenie przeprowadzenia poszukiwań zaginionego galernika w tym miejscu rzeki,

gdzie nastąpiła bójka owych dwu ludzi. Miał też przeszukać miejsca nadbrzeżne, gdzie prąd mógł wyrzucić ciało. Zapatał chłopca do poszukiwania ciała wzrósł, gdy marynarz dowiedział się, że zaginiony ma na sobie pończochy. Najwyraźniej do skompletowania wyprawy Jacka trzeba było z tuzina topielców. Różnorodność jego odzieży wskazywała na jej pochodzenie.

Pozostaliśmy w gospodzie aż do odpływu, a wówczas zaprowadzono Magwicha do barki. Herbert i Startop mieli wrócić do Londynu łądem w najszybszym terminie. Rozstałem się z nimi z wielkim bólem, a gdy się znalazłem w łodzi u boku Magwichta, poczułem, że dopóki on żyje, przy nim jest mój obowiązek.

Odraza, jaką czułem przedtem do tego człowieka, zniknęła zupełnie. Teraz ten tropiony, ranny, zakuty w kajdany więzień, trzymający moją rękę w swojej, był już tylko człowiekiem, który chciał być moim dobroczyńcą i który w ciągu długich lat czuł dla mnie miłość, wdzięczność i obdarzał mnie hojnością. Wiadziałem w nim teraz tylko tę dobroć, której sam nie umiałem dać Joemu.

W miarę jak noc zapadała, oddech jego stawał się coraz trudniejszy, a bywały chwile, że nie mógł powstrzymać jęku. Starałem się, by odpoczął na moim zdrowym ramieniu, ale smutna była dla mnie myśl, że choroba tego człowieka nie powinna mnie martwić, bo lepiej dla niego, by umarł. Nie mogłem wąpić, że są jeszcze i inni, którzy nie zważają się go zidentyfikować. Wiedziałem, że nie będą go łagodnie traktowali, że sprawa jego bardzo źle stoi, gdyż raz już uciekł, potem był na nowo sądzony, wreszcie skazany na dożywotnie zesłanie, znowu samowolnie zjawił się w Anglii, a na zakończenie spowodował śmierć człowieka, który go wskazał.

Gdy tak płynęliśmy w kierunku zachodzącego słońca, które dnia poprzedniego mieliśmy za plecami, jak gdyby wszystkie nasze nadzieje obraty nagle odwrotny kierunek, powiedziałem Magwichowi, jak bardzo mi przykro, że to z mojego powodu powrócił do Anglii.

— Kochany mój chłopcze — odpowiedział — jestem szczęśliwy,

zem to uczynił. Widziałem mego chłopca, a teraz będzie on i beze mnie panem.

Zdawałem sobie doskonale sprawę, że nie będę korzystał z jego bogactwa. Niezależnie od moich osobistych zastrzeżeń widziałem od Wemmicka, że w razie skazania Magwitcha cały jego majątek zostanie skonfiskowany na rzecz państwa, i teraz dopiero w całej pełni zrozumiałem ostrzeżenie sekretarza Jaggersa.

– Widzisz – ciągnął dalej – dla takiego jak ty wielkiego pana lepiej jest, by nikt nie wiedział o twojej zależności ode mnie. Możesz odwiedzać mnie w więzieniu jedynie towarzysząc Wemmickowi. A kiedy będą mnie sądzili, przyjdź na proces i usiądź tak, bym cię mógł dobrze z mego miejsca zobaczyć. Więcej mi nie trzeba.

– Nigdy pana nie opuszczę – oświadczyłem – będę przy panu dopóty, dopóki mi pozwolą, i pozostanę panu do końca tak wierny jak pan mnie.

Poczułem, że ręka jego, spoczywająca w mej dłoni, zadrsała, odwrócił twarz, nie zmieniając pozycji na dnie łodzi, i usłyszałem znajomy mi odgłos szlochu w jego gardle, cichszy niż zwykle, gdyż wszystko w nim było teraz przyciszzone. Dobrze się stało, że w tej chwili poruszył tę sprawę, bo w ten sposób byłem pewien, że nigdy się nie dowie prawdy, iż jego nadzieje wzbogacenia mnie rozwiązały się na zawsze.

## Rozdział pięćdziesiąty piąty



Postawiono go zaraz nazajutrz przed śledczym sądem politycznym i proces w trybunale odbyłby się natychmiast potem, gdyby nie trzeba było sprowadzać z galer, gdzie niedługo odbywał karę, starego oficera straży więziennej, dla sprawdzenia jego tożsamości. Nikt o niej nie wątpił, ale Compeyson, który miał oficjalnie złożyć zeznanie w tej sprawie, utonął podczas bojki, a w Londynie nie można było natrafić na żadnego policjanta ani strażnika, który mógłby dopełnić owej formalności. Natychmiast po przyjeździe do Londynu udałem się do Jaggersa, prosząc go o pomoc, a adwokat oświadczył mi, że dla dobra więźnia nie będzie składał żadnych deklaracji. Zapewnił mnie, że w pięć minut po zjawieniu się potrzebnego świadka proces się odbędzie i że nie ma takiej siły, która by mogła zmienić jego rezultat dla nas niepomyślny.

Zawiadomiłem Jaggersa o moim postanowieniu utrzymywania Magwitcha w złudzeniu, iż będę korzystał z jego majątku. Adwokat rozgniewał się na mnie, że „przepuściłem fortunę przez palce”, i oświadczył, że trzeba podać prośbę, by choć część dała się dla mnie uratować. Nie krył jednak przede mną prawdy, iż istnieje bardzo prawdopodobieństwo, by zgodzono się na pozostawienie części majątku Magwitcha. Rozumiałem to doskonale. Nie byłem krewnym Magwitcha, nie wiązały mnie z nim żadne oficjalne więzy, nie istniał też żaden dokument, w którym opiekun mój zapisywałby mi swój majątek, a sporzą-

dzanie takiego aktu było już teraz niemożliwe. Postanowiłem więc ostatecznie, że nie ponize się do tego stopnia, by pretendować do nienależnej mi schedy.

Było całkiem prawdopodobne, że ten, który wydał Magwichta, spodziewał się za swój obhydny czyn wynagrodzenia w postaci części jego majątku. Kiedy po pewnym czasie znaleziono jego ciało o kilka mil od miejsca, gdzie utonął, był tak niekształcony, że poznano go tylko po zawartości kieszeni. Znajdowały się tam szczegółowe dane o majątku Magwichta: wyciąg z jakiegoś banku z Nowej Południowej Walii, gdzie były zdeponowane duże sumy, oraz opis posiadanych przez niego majątków ziemskich wielkiej wartości. Obie te pozycje znajdowały się także na liście, którą Magwicht, przebywając w swoim czasie w więzieniu, przesłał Jaggersowi z uwagą, że to właśnie mam po nim dziedziczyć. W swej nieświadomości prawnej był pewien, że w ten sposób przeznaczone mi dziedzictwo jest w ręku Jaggersa na zawsze zabezpieczone.

Po upływie trzech dni świadek z galer przybył. Natychmiast przetrwano śledztwo i wyznaczono termin procesu. Miał on nastąpić po upływie miesiąca.

W tym smutnym okresie mego życia Herbert powrócił pewnego wieczora do domu nieco przygnębiony i powiedział:

– Drogi Haendlu, obawiam się, że będę cię musiał wkrótce opuścić.

Byłem przygotowany na ten fakt przez jego współnika, więc zdziwiłem się mniej, niż przypuszczałem.

– Straciłbym doskonałą okazję, gdybym odkładał mój wyjazd do Kairu. I tak mi przykro, że cię opuszczę w chwili, gdy mnie najbardziej potrzebujesz.

– Herbercie, zawsze jesteś mi potrzebny, bo zawsze cię kocham, ale nie potrzebuję cię w tej chwili bardziej niż kiedy indziej.

– Będziesz tak bardzo samotny.

– Nie mam nawet czasu o tym myśleć – odparłem. – Wiesz doskonale, że każdą chwilę zużywam, aby być przy jego boku,

i że gdybym mógł, byłbym przy nim nieustannie. A nawet w chwilach, gdy nie jestem przy nim, myśli moje tam pozostają. Okropny los, jaki spotkał tego człowieka, nie pozwolił nam dłużej nawet rozmawiać na ten temat.

– Drogi mój przyjacielu – oświadczył Herbert – niechże bliska chwila naszego rozstania (bo, niestety, jest bardzo bliska) pozwoli mi powiedzieć ci coś o tobie. Czyś pomyślał o twojej przyszłości?

– Nie. Boję się myśleć o jakiegokolwiek przyszłości.

– Nie wolno ci zanieczyścić własnej przyszłości, doprawdy nie wolno, kochany mój Haendlu. Pozwól, że porozmawiamy o niej teraz, jak przyjaciel z przyjacielem.

– Dobrze – zgodziłem się.

– W naszej filii poszukują...

Spostrzegłem, że przez delikatność nie chciał dokończyć, więc sam poddałem:

– Urzędnika?

– Tak. Urzędnika. Ale nie jest wykluczone, że urzędnik ten stanie się z czasem (jak pewien znajomy ci urzędnik) współnikiem firmy. Więc, krótko mówiąc, Haendel, czy chcesz ze mną pracować?

Było coś niesłychanie serdecznego w słowach, jakimi do mnie przemówił, i w ruchu, jakim wyciągnął ku mnie swą uczciwą rękę, przechodząc nagle od poważnego tonu do niemal uczniowskiego.

– Rozmawialiśmy o tym wiele razy z Klarą – ciągnął Herbert

– i to kochane moje małenstwo prosiło mnie jeszcze dzisiaj ze łzami w oczach, bym cię nanowiół do zamieszkania z nami, a ona postara się dowieść ci, że przyjaciel jej męża jest i jej przyjacielem. Byłoby nam razem tak dobrze, Haendel.

Podziękowałem mu z całego serca za dobroć, ale oświadczyłem, że w tej chwili nie mogę jeszcze nic obiecać. Po pierwsze, myśl moja była zbyt zaprzątnięta innymi sprawami, abym mógł jasno o czymś decydować. Po drugie... tak, po drugie, wokół mych myśli unosiła się jakaś nieokreślona nadzieja, o której czytelnik dowie się w końcu tego biednego opowiadania.

– A jeżeli bez szkody dla twych interesów możesz, Herbertcie, pozostawić tę sprawę jeszcze jakiś czas w zawieszaniu...

– Jak długo zechcesz, pół roku, rok...

– Nie, nie tak długo. Dwa, najwyżej trzy miesiące.

Herbert był zachwycony, że doszliśmy w ten sposób do porozumienia, i ściskając mi rękę powiedział, iż teraz dopiero ma odwagę przyznać się, że wyjeżdża już w końcu tego tygodnia.

– A Klara? – spytałem.

– Drogie moje małeństwo musi pozostać przy ojcu, dopóki starszerek żyje. Ale nie pożyczę już długo. Pani Whimple jest pewna, że on długo nie pociągnie.

– Nie chcę być okrutny, ale sądzę, że nic lepszego nie może zrobić, jak umrzeć.

– Obawiam się, że to prawda – mówił dalej Herbert. – Wówczas przyjadę tu po nią i moje kochane małeństwo wraz ze mną wejdzie do pierwszego lepszego kościoła. Pamiętaj, Haendel, że moje małeństwo nie ma żadnej rodziny, nigdy nie zaglądała do czerwonego herbarza i nie ma pojęcia, kto był jej przodkiem. Czy to nie szczęście dla syna mej matki?

W sobotę tegoż tygodnia pożegnałem się z Herbertem. Wsiadł do dylizansu idącego do portu pełen promiennych nadziei na przyszłość, ale zasmucony rozstaniem ze mną. Wracając ze stacji dylizansów, wstąpiłem do małej kawiarenki i napiłem się tamtąd liścik do Klary, donoszący, że Herbert wyjechał, pozostawiając dla niej tysiące, tysiące słów pełnych miłości. Potem wróciłem do mego samotnego domu. Nie był to właściwie mój dom, bo nigdzie na świecie już domu nie miałem.

Na schodach natknąłem się na schodzącego z góry Wemmicka; odchodził, nie mogąc się dostać do mego mieszkania. Nie widziałem się z nim sam na sam od chwili nieszczęsnej nieudanej ucieczki i oto zjawił się w ściśle prywatnym charakterze, by udzielić mi kilku wyjaśnień tyczących się katastrofy.

– Nieboszczyk Compeyson – mówił Wemmick – stopniowo przenikał wszystkie sprawy związane z Magwitchem. Z ust pewnych jego towarzyszy, będących w danym momencie w kłopotach

cie (a nie było takiej chwili, by ktoś z jego towarzyszy nie znajdował się w kłopotach), dowiedziałem się różnych szczegółów o Compeysonie. Miałem otwarte uszy, jednocześnie nie dając tego po sobie poznać. I oto, kiedy się dowiedziałem, że Compeyson wyjechał, uważałem, że nadeszła odpowiednia chwila do ucieczki. Nie przypuszczałem tego, co teraz podejrzewam: że była to część jego podstępów, i że on wprowadzał umyślnie i mądrze w błąd swoich kompanów. Chyba nie ma mi pan tego za złe, panie Pip? Z całego serca chciałem się panu przysłużyć.

– Jestem tego tak samo pewien, Wemmick, jak pan, i dziękuję panu najpoważniej za przyjaźń i serdeczność.

– Dziękuję, dziękuję – powiedział Wemmick i drapiąc się w głowę, dodał: – Zła to sprawa. A najwięcej mi żal tego, że zmarnował się taki majątek. Mój Boże!

– A mnie, Wemmick, żal biednego właściciela tego majątku.

– No, oczywiście – zgodził się Wemmick – nie ulega wątpliwości, że pan go żałuje. A i ja sam dałbym pięć funtów za jego uratowanie. Ale ot, co myślę o tej sprawie: Magwitcha nie dałoby się uratować, wobec tego, że nieboszczyk Compeyson był świetnie poinformowany o jego powrocie i zdecydował wydać go policji. Ale majątek można było uratować. Taka jest różnica pomiędzy majątkiem a jego właścicielem, rozumie pan?

Zaprosiłem Wemmicka do siebie na górę, by wypił ze mną szklankę grogu przed powrotem do Walworth. Kiedy się zgodził i siedząc u mnie sęczył słabo zaprawiony alkoholem napój, oświadczył nagle, pokręciwszy się na krześle:

– A co by pan powiedział o tym, gdybym w poniedziałek zwolnił się od pracy, panie Pip?

– Że chyba byłoby to po raz pierwszy od dwunastu miesięcy.

– Raczej od dwunastu lat – odpowiedział Wemmick – tak, i jeszcze coś panu powiem: wezmę dzień wolny i udam się na przechadzki. I pana proszę, by mi towarzyszył.

Już chciałem mu odmówić tłumacząc się tym, że kiepski ze mnie teraz towarzysz, gdy Wemmick uprzedził me słowa, mówiąc:

– Wiem, jakie pan ma teraz obowiązki, i wiem, że nie jest

pan w humorze, panie Pip, ale mimo to byłbym pannu bardzo obowiazany, gdyby pan mi towarzyszył. Spacer nie będzie długi, potrwa, powiedzmy, od ósmej rano do dwunastej w południe, licząc w tym czas na pierwsze śniadanie. Czy może pan to dla mnie uczynić?

On sam tak wiele robił mi dobrego w różnych okolicznościach, że była to mała okazja odwzięczenia mu się za wszystko. Odpartem więc, że jakoś się urządzi; był bardzo zadowolony, a ja rad z jego zadowolenia. Rozstaliśmy się z tym, że zjawię się w Zamczku punktualnie o wpół do dziewiątej rano w poniedziałek.

Z biciem tej godziny dzwoniłem do bramy w Walworth. Otworzył mi Wemmick. Był jak gdyby staranniejsz niż zwykle ubrany, a kapelusze jego błyszczał jaśniej. Na stole przygotowane dwie szklanki mleka z rumem i dwa herbatniki. Staruszek wstał zapewne ze skowronkami, gdyż zająrzawszy do jego syplalni przekonatem się, że była pusta. Kiedy pokrzeptaliśmy się mlekiem z rumem i herbatnikami, wyszliśmy na dwór. Byłem zdumiony widząc, że Wemmick bierze z domu wędkę.

— Nie idziemy przecież na ryby? — spytałem.

— Nie — odpart Wemmick — ale lubię spacerować z wędką na ramieniu.

Wydawało mi się to bardzo dziwne, ale nic nie powiedziałem. Mineliśmy Camberwell i wówczas Wemmick zawołał:

— Oto kościół.

Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nagle nie zaproponował, jak gdyby uderzony świetnym pomysłem:

— Wejdźmy do środka!

Weszliśmy. Wemmick zostawił w przedsiönku wędkę i wchodził do wnętrza, rozglądał się bacznie wokół. Po chwili wyjął z kieszeni owiniętą w papier paczuszkę, rozwinął ją i oznajmił:

— Oto dwie pary rękawiczek! Niech pan włoży jedną!

Rękawiczki były białe z koźlej skórki, a otwór pocztowej skrzynki, stanowiący usta Wemmicka, rozwarł się niezwykle szeroko. Te dwie okoliczności sprawiły, że nabrałem pewnego

podejrzania. Zmieniło się ono niemal w pewność, gdy ujrzalem staruszką prowadzącą pod rękę damę.

— A oto miss Skiffins — zawołał Wemmick — może weźmiemy ślub?

Skromna panna ubrana była tak samo jak zwykle, tylko zamiast zielone skótkowe rękawiczki na białe z koźlej skórki. Staruszek przygotowywał się własnie do takiej samej ofiary na ołtarzu hymenu. Ale sprawiło mu to tak wielką trudność, że Wemmick uważał za stosowne oprzeć go plecami o filar kościelny, zając z tyłu i wciągnąć rękawiczki na jego ręce, gdy ja trzymałem staruszką w pól, by nie stracił równowagi. Dzięki takiej pomocy słowosci rękawiczki znalazły się na jego dłoniach.

Zjawili się kościelny z duchownym i uklękli wszyscy przed fatalną barierą kościelną. Wierny swemu zamiarowi, że wszystko ma się dziać bez żadnego przygotowania, Wemmick sięgnął jak gdyby z roztargnieniem do kieszonki kamizelki i szepnął do siebie:

— A oto i obrączki!

Byłem drużbą pana młodego, a mizerna postugaczka kościelna w dziecięcym czepeczku udawała przyjaciółkę panny młodej i odgrywała rolę druhy. Odpowiedzialność za oddanie panny chcący wywoływał oburzenie kapłana; gdy ten spytał przy ołtarzu: „Któż oddaje tę niewiastę temu oto mającemu ją zaślubić mężowi?“, stary pan, nie mając pojęcia, do jakiego punktu ceremonii ślubnej doszliśmy, stał mruczając pod nosem dziesięcioro przykazań. Wówczas duchowny raz jeszcze spytał:

— Kto oddaje tę niewiastę temu oto mającemu zaślubić ją mężowi?

Stary pan jeszcze wciąż nie był świadom tego, co ma odpowiedzieć, więc pan młody przemówił do niego takim jak zwykle, perswadującym głosem:

— No cóż, Wielki Ojczulku, wiesz przecież, kto oddaje?

Staruszek, zanim przyznał, że on to czyni, powiedział:

— Już dobrze, John, mój chłopcze, już dobrze!

Kapłan na te słowa zrobił tak długą, ponurą przerwę w ceremoniale, że zacząłem wątpić, czy aby weźmiemy dzisiaj ślub.

Mimo przeszkód ceremoniał ślubny został dopełniony. Kiedy opuszczaliśmy kościół, Wemmick uniósł wieko chrzcielnicy, zjął białe rękawiczki i wrzuciwszy je tam, spuścił przykrywę. Pani Wemmick, bardziej przewidująca, schowała białe rękawiczki do kieszeni i włożyła zielone. W przedśionku Wemmick zabrał wędkę, a gdy znaleźliśmy się na dworze, zauważył:

– No i co, panie Pip, kto by to powiedział, patrząc na nas, że stanowimy orszak ślubny?

Śniadanie zostało zamówione w ślicznej, małej oberży na zboczu wzgórza o milę za Green. Miło było patrzeć, jak pani Wemmick przestała już odtrącać ramię pana Wemmicka obejmujące jej talie. Siedziała sztywno, oparta plecami o wysoką poręcz krzesła, i wyglądała jak wiolonczela w pudle, przygotowana, że zaraz znajdzie się w objęciu.

Śniadanie było doskonałe i gdy ktoś z nas odmawiał jakiegoś dania, Wemmick mówił:

– Nic się nie bójcie! To już zapłacone!

Piłem za zdrowie młodej pary, za zdrowie staruszka, za Zameczek, odchodząc pożegnałem pięknie młodą małżonkę i starałem się być jak najmiłszy. Wemmick odprowadził mnie do drzwi, uścił mi rękę i powiedział: „Dziękuję”. Wemmick, zacierając ręce – nie ma śmiałości – powiedział Wemmick, zacierając ręce – nie ma śmiałości, jak ona wspaniale hoduje drób. Dostanie pan kilka jaj, panie Pip, i sam pan osądzi.

Potem przywołał mnie z powrotem i dodał szeptem:

– Oczywiście to są sentymenty prywatne, z Walworth. Bar-dzo o to proszę.

Zrozumiałem i uspokoiłem go natychmiast:

– Nie wspomnę o tym w Małej Brytanii.

Wemmick potaknął głową:

– Mimo że wówczas wymknęło się panu niejedno wobec Jag-gersa, wolałbym, żeby nic nie wiedział. Mógłby podejrzewać, że staję się słabszy na umyśle czy też coś w tym rodzaju.

## Rozdział pięćdziesiąty szósty



Magwitch leżał w więzieniu złożony ciężką chorobą. Skończyło się śledztwo i miał nastąpić proces sądowy, a on wciąż cierpiął: dwa złamane żebra zraniły mu płuco, oddychał z wielkim trudem, a bóle wzrastały codziennie. Rana zmuszała go do mówienia tak cicho i niewyraźnie, że z trudem go można było zrozumieć. Był natomiast w każdej chwili gotów słuchać tego, co mówiłem, więc uważałem za swój obowiązek czytać mu i opowiadać to, co przez ten czas usłyszałem.

Na skutek ciężkiej choroby nie mógł przebywać we wspólnej celi więziennej i zaraz na początku aresztu przewieziono go do szpitala więziennego. Dawało mi to możliwość częstszego przebywania w jego towarzystwie. Gdyby nie choroba, niewątpliwie zakuto by go w kajdany, gdyż uchodził za niebezpiecznego recydywistę, gotowego zawsze do ucieczki. Widywałem go codziennie, chociaż na krótko, i nie przypominam sobie, bym choć raz widział poprawę w jego wyglądzie: przeciwnie, stał najwyraźniej z dnia na dzień od chwili, gdy zamknęły się za nim wrota więzienne.

Robił też wrażenie człowieka, który bardzo się już zmęczył i dlatego jest zniechęcony i zrezygnowany. Niekiedy wyrywały mu się jakieś słowa wskazujące, że rozmyśla, czy nie byłby lepszy w lepszych warunkach, ale nigdy ani słówkiem nie usprawiedliwiał się z win przeszłości, ani też nie robił do nich najmniejszej aluzji. Zdarzyło się kilkakrotnie podczas moich u niego odwiedzin,



że któryś z jego strażników wypomniał mu jego okropne przestępstwa. Wówczas odwracał ku mnie oczy z porozumiewawczym uśmiechem, jak gdyby chciał przypomnieć, że ja jeszcze przed laty, jako dziecko, poznałem się na lepszej cząstce jego istoty.

Poza tym zachowywał się pokornie, łagodnie i nie skarżył się na nic.

Gdy nadszedł termin sprawy, Jagers starał się o odroczenie procesu do następnej sesji sądu. Chodziło mu zapewne o to, aby oskarżony w ten sposób nie dożył rozprawy. Ale sąd odmówił.

Odbył się więc proces, Magwich zasiadł w fotelu, a mnie pozwolono siedzieć przy nim tak blisko, że mogłem go trzymać za rękę.

Sprawa była krótka i jasna. Powiedziano wszystko, co można było powiedzieć na jego usprawiedliwienie: że ostatnio żył uczciwie i pracował legalnie. Ale nic nie mogło przekreślić faktu, że nielegalnie powrócił do Anglii i że oto stał przed przysięgłymi i przed sądem. Należało go za to sądzić i należało uznać winnym przestępstwa.

Panował w owym czasie zwyczaj (przekonałem się o tym podczas tego okropnego procesu), że jeden dzień poświęcano na zbiorowe ogłaszanie wyroków przysięgłych, na sam koniec pozostawiając wyroki śmiertci, ale nawet teraz, pisząc te słowa, z trudem wierzę sobie samemu, że byłem świadkiem sceny, kiedy ten okrutny wyrok przeczytano zbiorowo trzydziestu dwu kobietom i mężczyznom. A przecież wśród tych trzydziestu dwójga skazańców znajdował się i on. Pozwolono mu wysłuchać wyroku w pozycji siedzącej, by jeszcze utrzymać w nim resztki życia.

Cała ta scena ożywa przede mną w jaskrawych barwach do najmniejszego szczegółu; widzę ją poprzez krople kwietniowego deszczu spływające po szybach sali sądowej, poprzez promienie kwietniowego słońca zagładające przez okna do sali. Trzydzięści dwoje skazańców tłoczyło się w ławie oskarżonych, gdy ja stałem obok, trzymając dłoń siedzącego Magwicha. Jedni mieli wygląd otepiaty, inni wyglądali jak rażeni gromem przerażenia, jeszcze inni jęczeli, płakali, kryli twarze w dłoniach, rzucali wokół siebie

zaskoczony spojrzenia. Kilka skazanych kobiet krzyknęło przeraźliwie, ale je szybko uciszono. Nastąpi cisza.

Szeryfowie ozdobieli łańcuchami i medalami, woźni sądowi, gawieź i potwory oficjalne, zapelniający salę i galerię, byli widzami (jak w wielkim teatrze) przemówienia sędziego do nieszczęśliwych skazańców.

Wśród nich znajdował się jeden, do którego specjalnie sędzia kierował swe słowa. Był to człowiek, który od wczesnego dzieciństwa wykraczał przeciw prawu, który po wielu powtarzających się zbrodniach i wyrokach został wreszcie skazany na długolecie wygnanie, który mimo to, nie doczekawszy terminu, uciekł z zesłania i powrócił do kraju. Schwytany, skazany został tym razem na dożywotnie zesłanie. Tam, z dala od miejsca swych zbrodni, zaczął wreszcie prowadzić uczciwe i pracowite życie, przekonany, jak się zdawało, o swych winach. Ale w jakiejś fatalnej chwili, dając się na nowo opanować namiętnościom i złym skłonnościom, które przez tyle lat robiły z niego wyrzutek społeczeństwa, opuścił swą przystań odpoczynku i pokuty i wrócił do kraju, do którego wstęp został mu wzbroniony. Zadenuncjowany, potrafił czas jakiś jeszcze ukrywać się przed okiem policji, ale zatrzymany w chwili, gdy już uciekał za granicę, jeszcze się opierał i (czy to w jakimś specjalnym celu, czy na skutek zaślepienia swej zbrodniczej duszy) zamordował tego, który go wydał i który znał jego tajemnicę. Ponieważ karą przewidzianą za samowolny powrót do kraju jest kara śmierci i ponieważ wchodzi tu w grę okoliczności obciążające, wyżej wymienione, oskarżony winien przygotować się, że musi umrzeć.

Słońce, które zabłysło w kropkach deszczu na szybach sali sądowej, utworzyło świetlistą drogę pomiędzy sędzią a trzydziestu dwojgiem oskarżonych i ten promienny szlak przypominał może widmom, że pomiędzy sędzią a skazańcami nie ma tak wielkiej różnicy, gdyż wszyscy oni staną przed Sądem Ostatcznym, który nigdy nie błądzi.

Oskarżony wstał na krótką chwilę. Głowa jego zajaśniała na tle promiennej słonecznej drogi, gdy powiedział:

– Panie sędzio, otrzymałem już mój wyrok śmierci od Boga, ale przyjmuję go i z rąk pańskich.

Usiadł. Rozległy się szepty, a sędzia zwrócił się teraz do innych skazańców. Zakomunikowano im wszystkim oficjalnie wyrok i wyprowadzono ich z sali. Wyszli, jedni obojętni, inni przerażeni, jeszcze inni robiąc jakies znaki do ludzi na galerii, troje czy czworo uściśnieło sobie dłonie, a niektórzy żuli w zębach żdźbła siana znalezione na sali.

Magwitch szedł z powodu osłabienia ostatni. Wciąż jeszcze trzymał moją dłoń, której nie puszczał, podczas gdy przysięgli wstawali ze swych miejsc (poprawiając ubrania takim ruchem, jak się to czyni w kościele czy gdzie indziej) i wskazywali przy tym palcami poszczególne skazańców, a najczęściej Magwichta i mnie.

Wciąż jeszcze nie traciłem nadziei i modliłem się, aby umarł, zanim nadejdzie termin wyroku śmierci, ale obawiając się, że tak się jednak nie stanie, tegoż wieczora napisałem prośbę do Ministra Spraw Wewnętrznych, gdzie opisywałem, co wiem o Magwichtu, i zaznaczałem, że powrócił tylko dla mnie z zesłania. Napisałem to z takim patosem i takim uczuciem, jak tylko potrafiłem, i natychmiast wysłałem. A zaraz potem wystosowałem podania do jeszcze kilku wpływowych osobistości, które wydawały mi się najlitościwsze. Jedno z podań skierowałem do samej osoby królewskiej.

Od chwili gdy zapadł wyrok śmierci na Magwichta, nie położyłem się ani jednej nocy, zasypiając tylko dorywczo w fotelu, zajęty moimi prośbami. A kiedy je wszystkie wysłałem, zdało mi się, że lepiej będzie, gdy znajdę się w pobliżu miejsc ich przeznaczenia. Pełen bolesnej i nierozumnej rozpaczki błąkałem się wieczorami po ulicach nieopodal biur, w których spotykały moje petycje. Do tej jeszcze chwili ponure ulice zachodniego Londynu w dżdżyste wiosenne wieczory, z ich rzędami na głucho zamkniętych okien pałaczków i dwoma szeregami latarni, napelniają mnie smutkiem wspomnień tamtych wieczorów.

Moje codzienne odwiedziny u Magwichta musiały być teraz krótsze, pilnowano go o wiele ostrzej. Widząc czy też wyobrażając sobie, że podejrzewają mnie o chęć przyniesienia mu trucizny, sam zażądałem, by mnie rewidowano, zanim zasiadałem przy jego łóżku, i oświadczyłem jego strażnikowi, że uczynię wszystko, czego zażąda, dla przekonania go o uczciwości moich zamiarów. Nikt nie był przykry dla niego ani dla mnie. Po prostu wypełniano obowiązki, ale nic więcej. Dozorca za każdym razem witał mnie wiadomością, że stan Magwichta się pogorszył, a inni chory więźniowie na sali oraz ci spośród przestępców, którzy pracowali tu jako pielęgniarze (i mimo swej przestępczości potrafiliby chwycić Bogu, być dobrzy), potwierdzali to zgodnie.

W miarę jak dni płynęły, spostrzegłem, że chory leży teraz zawsze nieruchomo, spoglądając w biały sufit, i że z obojętności budzi go tylko na krótko moja obecność, która zapala jak gdyby blask na jego nieruchomej twarzy. Niekiedy nie był już w stanie rozmawiać i porozumiewał się ze mną tylko za pomocą słabego uścisku dłoni, który rozumiałem doskonale.

Uplłynęło dziesięć dni od procesu, kiedy wszedłszy do niego, spostrzegłem większą niż dotychczas zmianę w jego twarzy. Oczy miał zwrócone ku drzwiom; szepnął – bałem się, że przyjdiesz za późno. Ale wierzyłem, że to niemożliwe.

– Kochany mój chłopcze – szepnął – bałem się, że przyjdiesz za późno. Ale wierzyłem, że to niemożliwe.

– Byłem punktualny – odparłem – czekałem jeszcze na otwarcie bramy.

– Zawsze czekasz na otwarcie bramy, mój chłopcze?

– Tak, nie chcę tracić ani chwili czasu z mych odwiedzin.

– Dziękuję ci, mój drogi chłopcze, dziękuję. Nie opuszczasz mnie do końca. Niech Bóg ci błogostawi, mój chłopcze.

Uściśnięłem jego dłoń w milczeniu, gdyż nie mogłem zapomnieć, że raz miałem zamiar go opuścić.

– Ale najpiękniejsze ze wszystkiego wydaje mi się to, że jesteś mi bliższy teraz, gdy naszała na mnie ciemna chmura, niż wówczas, gdy świeciło mi jasne słońce. To jest najlepsze ze wszystkiego.

Leżał na wznak i oddychał z wielkim trudem. Chociaż mówił do mnie słowa miłości, cień coraz bardziej spowijał jego twarz, a wzrok skierowany ku białemu sufitowi był nieruchomy.

– Czy bardzo dzisiaj boli?

– Nie skarżę się na nic, drogi mój chłopcze.

– Pan nigdy się nie skarży.

Były to ostatnie jego słowa. Uśmiechnął się i po dotyku jego dłoni pojąłem, że pragnie, bym mu położył rękę na piersi. Uczy-nielem to. Uśmiechnął się znowu i obie ręce położył na mojej.

Tymczasem upłynął przepisowy czas widzenia, ale obejrza-wszy się wokół, ujrzałem stojącego przy mnie naczelnika więzie-nia, który szepnął:

– Może pan pozostać.

Podziękowałem mu i spytałem:

– Czy wolno mi do niego mówić, jeżeli mnie jeszcze dosłyszysz?

Naczelnik usunął się i odwołał strażnika. Mimo że uczynili to cicho, zwrócili uwagę chorego. Oderwał wzrok od sufitu i spoj-rzał z czułością na mnie.

– Drogi Magwitch, muszę panu jeszcze coś powiedzieć. Czy mnie pan słyszysz? I rozumie?

Delikatny uścisk dłoni.

– Miał pan niegdyś dziecko, które pan kochał i utracił?

Mocniejszy uścisk dłoni.

– Dziewczynka znalazła możnych opiekunów. Żyje dotych-czas, jest damą. Piękną. I ja ją kocham!

Ostatnim wysiłkiem, w którym musiałem mu pomóc, pod-niosł moją rękę do warg. Potem powoli opuścił ją sobie na piersi i przykrył obiema dłońmi. Odwrócił na krótką chwilę nierrucho-my wzrok, utkwiony w biały sufit. Wreszcie głowa opadła mu spokojnie na piersi.

Pamiętny na słowa, któreśmy razem z nim czytali, pomyśla-łem o dwu ludziach, którzy wstąpili do świątyni, by się pomo-dlić, i przyszło mi do głowy, że przy tym łożu mogę powiedzieć tylko te oto wyrazy:

– O Panie, bądź miłościw temu grzesznikowi!

## Rozdział pięćdziesiąty siódmy



Teraz, gdy całkowicie pozostawiono mnie samemu sobie, postanowiłem po wygaśnięciu umowy najmu wyprowadzić się z mego mieszkania w Temple, a do tego czasu wziąć sobie współlokatora. Wystawiłem więc w oknach ogłosze-nia. Byłem w okropnych długach i zacząłem poważnie niepo-koić się stanem mych interesów. Powiniennem właściwie powie-dzieć, że zacząłbym się naprawdę niepokoić, gdyby starczyło mi sił, gdyż w istocie czułem tylko jedno: że zaczynam poważnie chorować. Ostatnie napięcie pozwoliło mi zahamować na czas chwytła mnie na nowo, i witałem to z całkowitą obojętnością.

Przez dzień czy dwa kładłem się na łóżku, na kanapie lub na podłodze, gdziekolwiek chwyciły mnie bóle, z ociężałą głową, obolałymi członkami i całkowitym brakiem sił. Następnie przy-szła jedna bardzo długa i bolesna noc, noc pełna strachów i nie-pokoju, a rankiem, kiedy chciałem usiąść na łóżku, by sobie przypomnieć jej wypadki, okazało się, że nie mogę się dźwignąć.

Czy istotnie w ciemną noc schodziłem w Garden Court po schodach ku rzece, szukając tam łodzi, która według mego przy-puszczenia powinna była się tam znajdować? Czy ocknąłem się na schodach pełen przerażenia, dlaczego nie jestem w łóżku? Czy zapalałem lampę w pośpiechu, bo zdawało mi się, że idzie do mnie Provis, a światła na schodach są zdmuchnięte? Czy drę-

czyły mnie czyjeś głośne słowa, śmiechy i jęki po to, bym się za chwilę przekonał, że to ja sam mówię, śmieję się i jęczę? Czy widziałem w kącie ciemnego pokoju piec do wypalania wapna i słyszałem głos wołający, że miss Havisham się tam pali?

Oto, jakie pytania usiłowałem uporządkować sobie w głowie, leżąc tego ranka w łóżku. Ale w odpowiedziach przeskądzał mi zapach wapna, a unoszący się wokół mnie biały dym wapienny kładł się pomiędzy mną a przedmiotami. W jego oparach ujrzałem niewyraźnie dwu ludzi pochylonych nade mną.

– Czego tu chcecie? – spytałem. – Nie znam was.

– To proszę pana – odparł jeden z nich, dotykając mego ramienia – drobnostka, którą pan na pewno ureguluje. Ale na razie jest pan aresztowany.

– Ile wynosi dług?

– Sto dwadzieścia trzy funty, piętnaście szylingów, sześć pensów, rachunek jubilera, zdaje się.

– Co mam zrobić?

– Przeprowadzić się do mojego domu – zaproponował jeden z nich – mam przyzwoity dom.

Zrobiłem wysiłek, by wstać i ubrać się. Gdy znowu się ku nim zwróciłem, przyglądali mi się z boku. Nie zdołałem się podnieść i położyłem się na nowo.

– Panowie widzą, w jakim jestem stanie – powiedziałem – poszedłbym, gdybym mógł. Ale tak, mogę umrzeć wam w drodze.

Nie wiem, czy mnie jeszcze potem namawiali, czy w ogóle coś mi odpowiadali, czy próbowali mnie przekonać, że czuję się lepiej, niż mi się zdaje. Nic pamięci, która wiąże mnie z tą chwilą, jest zbyt wątła, bym to pamiętał. Nie mam pojęcia, jak się zachowali. Zdaje sobie tylko sprawę, że ostatecznie przestali mnie nagabywać, że bym wstał.

Wiem teraz z całą pewnością i wiedziałem to chyba i wówczas, że miałem wysoką gorączkę, że cierpiałem silnie, że chwilami traciłem przytomność, że zespałałem własne istnienie z istnieniem rozmaitych przedmiotów, że byłem cegłą w murze i usiłowałem opuścić zawrotne miejsce, w które mnie murarze

wprawili, że byłem stalowym kółkiem w olbrzymiej maszynie, kręciłem się z hałasem nad przepaścią i błagałem, by zatrzymać maszynę i wyłączyć mnie z niej. Ze dalekimi chwilami walczyłem z rzeczywistymi ludźmi, biorąc ich za zbrodniarzy, a jednocześnie czując, że nie mają zamiaru zrobić mi nic złego, i że skończyłem walkę, padając wyczerpany na łóżko. Ale jednego byłem pewien: oto tego, że te wszystkie pochylone nade mną istoty, które przybierały nieraz olbrzymie rozmiary i najrozmaitsze twarze, zawsze w końcu wyglądały jak Joe.

Pewnego dnia nabrałem odwagi i spytałem:

– Czy to Joe?

A swojski, dobry głos Joe go odpowiedział mi:

– Ależ tak, mój stary.

– Och, Joe, serce mi pęka, gdy patrzę na ciebie. Rozgniewaj się na mnie, Joe! Uderz mnie, Joe! Mów mi, że byłem niedzięczny. Nie bądź tak dobry dla mnie.

Bo Joe właśnie położył głowę na mojej poduszce, tuż przy mojej głowie, i objął ramieniem za szyję, szczęśliwy, że go poznałem.

– Tak, tak, to ja, mój kochany, drogi Pip – mówił Joe – byliśmy przecież z tobą zawsze przyjaciółmi, prawda? A kiedy już będziesz na tyle zdrów, że pojedziemy razem na spacer, co to będzie za gratka...

Zaraz potem Joe stanął przy oknie plecami do mnie i ocierał sobie oczy.

Byłem zbyt słaby, aby wstać i podejść do niego, więc tylko leżałem, szepeąc do siebie:

– Niech go Bóg błogosławi! Niechże go błogosławi za jego dobroć!

Oczy Joe go były zacerwienione, kiedy znowu przysiadł na moim łóżku. Wziąłem go za rękę i obaj czuliśmy się szczęśliwi.

– Od jak dawna już, Joe?

– Chcesz przez to powiedzieć, Pip, od jak dawna jesteś taki chory, staruszkę?

– Tak, Joe.

– Teraz jest koniec maja, Pip. Jutro pierwszy czerwiec.

– I przez cały czas byłeś przy mnie, Kochany mój Joe?

– Tak, cały czas, statuszku. Bo kiedyś powiedział Biddy, że przyniesiono mi wiadomość o twojej chorobie... ta wiadomość przysła listownie, list przyniósł listonosz, który niedawno się ożenił (przedtem był w kawalerskim stanie). Nie dbał o to, że źle mu płacą i że nie zwracają mu za zelówki, które zdziera, i ożenił się, bo nie troszczył się o pieniądze, a małżeństwo było potrzebą jego serca.

– Ach, jak dobrze jest znowu cię słyszeć, Joe! Ale przerwałem ci. Więc powiedzialesz do Biddy...

– Tak było – ciągnął Joe – powiedziałem, że jesteś wśród obcych i że przecież zawsze byliśmy z tobą przyjaciółmi, i że w takiej chwili może moja wizyta przydałaby ci się, powiadam do Biddy. A Biddy na to: „Trzeba zaraz jechać do niego, nie tracąc czasu!” – Takie były jej słowa, słowa Biddy – dodał z poważną miną. – „Nie tracąc czasu”, powiedziała.

Joe zamyslił się z powagą na chwilę i dorzucił:

– Nie chcę cię oszukiwać, ale mam wrażenie, że powiedziałam: „Nie tracąc ani chwili czasu”. Tak powiedziałam.

Tu Joe przerwał i oznajmił mi, że ma do mnie mówić bardzo umiarkowanie, że muszę często, choćby niewiele, jadać, czy mam ochotę czy nie mam, i być posłuszny jego rozkazom. Pocałowałem go więc w rękę i leżałem spokojnie, gdy on zasiadł do pisania listu do Biddy z pozdrowieniami ode mnie.

Biddy najwidoczniej nauczyła Joe'go pisać. Mimo mego osłabienia sprawiła mi wielką przyjemność przyglądanie się z łóżka Joe'emu i obserwowanie dumy, z jaką stawia litery na papierze. Łóżko moje, odarte z firanek, przeniesiono do najprzewiewniejszego pokoju, do bawialni, skąd zabrano dywan i gdzie sprzątało niezwykle starannie. Joe zasiadł przy moim biurku, które przesunięto w kąt i zastawiono buteleczkami. Swą wielką pracę zaczął od wybierania pióra z takim namaszczeniem, jak gdyby wyszukiwał narzędzie w swojej skrzynce, potem zakasał rękawy, jak gdyby miał podnieść za chwilę drag żelazny czy ciężki

młot. Uznał za konieczne oprzeć solidnie lewy łokieć o biurko, odstawił prawą nogę w tył, żeby nabrać rozmachu, a gdy zaczął pisać, każdą kreskę z góry na dół wyciągał tak długo, jak gdyby miała sześć stóp wysokości, a z dołu do góry tak silnie przyciskał pióro, że słyszałem jego skrzyp na papierze. W dziwaczny sposób wydawało mu się co chwila, że kalamarz znajduje się z tej strony, gdzie go wcale nie było i zanurzał pióro w puszcę, co mu zresztą wcale nie odbierało humoru. Chwilami nawiedzały go trudności ortograficznej natury, ale i nimi się nie przejmował i wszystko było dobrze. Wreszcie podpisał swe nazwisko, przyniósł końcowy kleks z papieru za pomocą dwu palców we własne włosy, wstał, odsunął się nieco od stołu, podziwiając z przekrzywioną głową ze wszystkich stron swoje dzieło. Najwyraźniej był zachwycony.

Nie chcąc niepokoić Joe'go zbyt wielu pytaniami (sam nie mogłem jeszcze dużo mówić), zaczekałem do następnego dnia, by spytać go o stan zdrowia miss Havisham. Potrząsnął przecząco głową, gdy spytałem, czy wyzdrowiała.

– Umarła, Joe?

– Wiesz, Pip – odparł zatosnym tonem Joe – tych rzeczy nie można tak od razu powiedzieć, tu trzeba powoli. Nie posuwałbym się tak dalece by mówić „tak”, to zbyt wielkie słowo, ale z drugiej strony nie mogę ukryć, że...

– Nie żyje, Joe?

– O, to byłoby już bliższe prawdy – potwierdził Joe – nie żyje.

– Czy długo się męczyła, Joe?

– Jeszcze przez tydzień, od chwili gdyś zachorował, można by powiedzieć (gdyby chciało się być dokładnym) – wyjaśnił powoli Joe, nie odstępując widocznie od swej zasady stopniowego opowiadania wypadków.

– Kochany Joe, czyś słyszał może, co się stanie z jej majątkiem?

– Zdaje się, mój stary, tak opowiadają przynajmniej, że największą jego część przeznaczyła dla panny Estelli. Ale na dzień czy dwa przed wypadkiem własnoręcznie na małym kartce-

luszku zapisała cztery zimne tysiączki panu Mateuszowi Pocketowi. A dlaczego myślisz, Pip, dlaczego przede wszystkim zapisała mu te zimne cztery tysiączki? „Ze względu na raport Pipa o tymże Mateuszu”, tak dopisała własnoręcznie na karteczce, jak mi mówiła Biddy.

„Raport o tymże Mateuszu” – powtórzył raz jeszcze, lubując się tymi oficjalnymi słowami. – I to cztery zimne tysiączki, Pip! Nigdy nie dowiedziałem się, dlaczego Joe przypisywał tym siącom niską temperaturę, ale najwyraźniej zdawało się to po większą w jego oczach sumę.

Szczegół ten zrobił mi wielką przyjemność, gdyż nabrałem pewności, że mój jedyny dobry uczynek został istotnie spełniony. Spytałem Joego, czy inni krewni nie otrzymali żadnych legatów.

– Pannie Sarze zapisała dwadzieścia pięć funtów rocznie na lekarstwa, gdyż chora jest na wątrobę. Panna Georgiana dostała dwadzieścia funtów. Pani... jak nazywają się te dzikie zwierzęta z garbami na grzbiecie?

– Wielbłądy – odparłem zdumiony, czemu nagle chce się tego dowiedzieć.

Joe pokiwał głową.

– Pani Wielbłąd... (zrozumiałem, że ma na myśli panią Kamille\*) – dostała pięć funtów na zakup lampek nocnych, żeby się nie bała, budząc się tak często w nocy.

Dokładność podawanych przez Joego wiadomości była zbyt wielka, abym mógł nie uwierzyć w ich autentyczność.

– A teraz – ciągnął Joe opowiadanie – za słaby jeszcze jesteś, aby wysłuchać wszystkich nowin. Jedno muszę ci jeszcze jednak powiedzieć. Stary Orlick popełnił włamanie do pewnego domu.

– Czyjego domu? – spytałem.

– Dom każdego Anglika to twierdza – odpowiedział Joe, cytując przysłowie – i nie wolno wyłamywać drzwi twierdzy bez kamień, chyba w czasie wojny. A właściciel tego domu był, pamiętaj to, czytelniku, mimo swych słabości, w swym sercu kupcem zbożowym.

– Więc to do domu Pumblechooka nastąpiło włamanie?

– Tak, Pip – odparł Joe. – Zrabowali mu jego skarbonkę i jego kasę, wypili jego wino, zjedli jego zapasy, bili go po twarzy, ciągnęli za nos i przywiązali go za nogi od łóżka, wyspali mu porządne baty, a usta zapchali mu nasionami kwiatów jednosezonnowych, aby nie krzyczał. Ale on poznał w napastniku Orlicka i Orlick siedzi w miejscowym więzieniu.

Stopniowo przyzwyczailiśmy się do rozmów bez przeszkód. Zdrowie powracało mi powoli, ale stale. Joe nie opuszczał mnie, a ja wyobrażałem sobie, że znowu jestem małym Pipem. Czułość Joego była bowiem tak zharmonizowana z moimi potrzebami, że stałem się jak dziecko w jego dłoniach.

Siedział przy mnie i mówił do mnie z dawną ufnością i dawną prostotą, dawnym opiekuńczym tonem dorosłego wobec dziecka i wówczas miałem wrażenie, że nie mam za sobą całego tego okresu życia, który upłynął od czasu wieczorów w starej kuchni, że to wszystko, co za mną pozostało, było wytworem mojej choroby. Joe robił dla mnie i przy mnie wszystko z wyjątkiem kobiecych robót gospodarskich, do których zaangażował bardzo przyzwoitą kobietę. Praczkę, która mi usługiwała, oddał pierwszego dnia po swym przybyciu.

– Wierz mi, Pip – tłumaczył się z tego swego zuchwalstwa – zastałem ją w sąsiednim pokoju, jak stawiła pionowo łóżko, niczym beczkę z piwem, i wytrząsała z posćieli pierze do wiadra, by je wynieść na sprzedaż. Obawiałem się, aby z kolei nie postawiła tak samo swojego łóżka, nawet z tobą w środku, a potem, by nie zaczęła wnosić w półmiskach i wazach węgla po kawałeczku, a w wysokich butach dobrego wina na sprzedaż.

Liczyliśmy dni do czasu, gdy będę mógł wyjść po raz pierwszy na spacer, tak samo jak niegdyś liczyliśmy dni do początku mego terminu. A gdy dzień ten nadszedł i otwarty powóz zjechał po mnie przed dom, Joe zawiązał mnie w koc, wziął na rękę, zniósł na dół po schodach i posadził w powozie, jak gdybym

\* Wielbłąd – ang. *camel*. Gra słów wynikająca z podobieństwa tego wyrazu do imienia Kamilla (przyp. tłum.).

istotnie był wciąż jeszcze tym samym matym, bezbronnym stworzeniem, które tak hojnie obsypywał skarbnami swej bogatej natury.

Joe siadł przy mnie i wyjechałszy za miasto na wieś, gdzie trawa i kwiaty wskazywały na dary lata i gdzie pełne stodołyczy zapachy letnie unosiły się w powietrzu. Była niedziela. Rozglądałem się wokół siebie i nagle uderzyła mnie przykra myśl, że podczas gdy te dzikie kwiatki wyrastały z ziemi, liście na drzewach rosły, ptaszkom przybływało piórek i głosu i wszystko rozwijało się dniem i nocą pod słońcem i pod gwiazdami, ja leżałem, płonąc gorączką w chorobie. Ale gdy rozległy się dzwony niedzielne, gdy rozjeżdżałem się jeszcze uważnie po pięknym świecie, pomyślałem, że nie dość jestem wdzięczny za powrót do zdrowia (byłem widocznie jeszcze zbyt słaby nawet na uczucie wdzięczności) i złożyłem głowę na ramieniu Joeego, zupełnie jak niegdyś, gdy zabierał mnie na jarmark lub widowisko, a ja byłem za maty, by to w pełni pojąć.

Po chwili naszedł mnie spokój i rozmawiałem tak jak niegdyś, gdyśmy spoczywali na trawie przy starej forteczce. Joe nie zmienił się wcale. Był taki sam, jakim pozostał w moim wspomnieniu: tak samo prosty, szczerzy i wierny.

Gdy po powrocie wziął mnie znowu z powozu przed domem i poniósł z taką łatwością przez podwórze na schody do mieszkania, przypomniałem sobie ową noc wigilijną, kiedy niósł mnie przez bagniska. Nie mówiliśmy dotychczas jeszcze ani słowa na temat zmiany mego losu i nawet nie wiedziałem, co Joe wie o moim życiu.

Miałem w owej chwili tak mało wiary w siebie i tak bardzo ufaniem Joemu, że wahałem się, czy zacząć o tym rozmowę, skoro on nic na ten temat nie mówi.

— Czyś słyszał, Joe — spytałem po dłuższym namyśle wieczorem kowala palącego fajkę przy oknie — o moim dobroczyncy?

— Słyszałem — odparł Joe — że nie była to miss Havisham, mój stary Pipie.

— Czy wiesz, kto to był?

— Słyszałem, że to był ten człowiek, który przysłał tamtego jegomościa, co dał ci wtedy banknot „Pod Trzema Przewoźnikami”, Pip.

— Tak było.

— Zdumiewające — oświadczył Joe najspokojniej w świecie.

— Czyś słyszał o tym, że nie żyje? — badałem ze wzrastającym niepokojem.

— Który? Ten, co przysłał banknoty, Pip?

— Tak.

— Zdaje mi się — powiedział Joe tonem wymijającym, patrząc uparcie w ramę okienną — zdaje mi się, jakbym coś w tym rodzaju właśnie słyszał.

— Czyś dowiedział się też, w jakich okolicznościach umarł, Joe?

— Niespecjalnie, Pip.

— Jeżeli chcesz posłuchać... — zacząłem, ale Joe wstał i poszedł do mojej kanapy.

— Spójrz na mnie — wezwał mnie Joe, pochylając się nademną — zawsze byliśmy dobrymi przyjaciółmi. Czy tak, Pip?

Wstyd mi było odpowiedzieć.

— Bardzo dobrze — ciągnął Joe, jak gdybym mu już odpowiedział — bardzo dobrze, że zgadzamy się na tym punkcie. Więc po co zabierać się do wyjaśnień całkiem zbytecznych pomiędzy dobrymi przyjaciółmi? Małoż to tematów do rozmowy oprócz nieprzyjemnych? Mój Boże, jak sobie przypominę twoją siostrę, twoją biedną siostrę i jej awantury... A paniątasz Łaskota?

— Pamiętam, Joe.

— Posłuchaj mnie, stary — mówił Joe — pragnąłem zawsze uchronić cię od niego. Żeby kij był z jednej strony, a ty z drugiej. Ale cóż, nie zawsze mogłem, co chciałem. I nie o to chodziło, że kiedyś się jej sprzeciwiał, to i mnie dostawało się kijem — wywodził ulubionym przekonującym tonem — ale o to, że wtedy ciebie biła mocniej niż wówczas, gdyś miał cię nie bronit. Spodziewałem to. Takiej kobiety, jak twoja siostra, fakt, że wyrwała mężczyźnie kępe włosów z faworytów, nie wstrzymała od wy-

mierzenia mimo to dziecku ciosu za karę. I gdyby po wyrwananiu faworytów mężczyźni słabiej biła dziecko, ale nie! Biła je o wiele jeszcze mocniej. Więc mężczyzna powiedział sobie: „Co ty robisz najlepszego? Bo co złego z tego wynika, to widzisz własnymi oczyma, ale dobrego jakos nie widać”. Tak mówił...

– Tak mówił ten mężczyzna? – spytałem, bo widziałem, że Joe chciał, bym dokończył zdania.

– Tak, tak mówił ten mężczyzna – zgodził się Joe. – Czy miał słuszność?

– Drogi Joe, ten mężczyzna ma zawsze słuszność – zawyrokowałem.

– Więc zapamiętaj sobie, coś powiedział (choć ja uważam, że ten mężczyzna często błądzi). Jeżeli mówi prawdę, posłuchaj, co teraz powie: kiedy byłeś mały, zatrzymywałeś przy sobie pewne sprawy, bo wiedziałeś, że J. Gargery nie zawsze może zrobić to, co chce, mam na myśli sprawę kija, więc nie warto o tym ani mówić, ani nawet myśleć. Biddy dobrze się namęczyła ze mną przed moim tu przyjazdem, by mi wyjaśnić (jestem okrutnie tępy), że powinienem pewne sprawy widzieć właśnie w tym świetle, i kiedy je wreszcie tak zobaczyłem, rozumiem, że nie warto do nich powracać. Więc teraz – zakończył Joe, zachwycony swą logiką – posłuchaj, co ci powie prawdziwy przyjaciel: na dzisiaj już dość. Zjesz teraz kolację, napijesz się wody z winem i wsuniesz się pod kołderkę.

Głębokie wrażenie wywarł na mnie delikatny sposób, w jaki Joe zamknął na zawsze temat, do którego nie chciał powracać, rozczulił mnie pełen stodoły i dobroci takt Biddy, która kobiecym sercem zrozumiała mnie z daleka i przygotowała Joego do wizyty u mnie. Ale nie wiedziałem, czy Joemu wiadome jest moje obecne ubóstwo i ów fakt, że moje wielkie nadzieje rozwiały się jak mgły nad naszymi bagniskami pod wpływem promieni słońca.

Jednego jeszcze nie mogłem pojąć w zachowaniu się Joego: oto w miarę jak powracały mi zdrowie i siły, stawał się coraz mniej swobodny w stosunku do mnie. Gdy byłem słaby i bez-

bronny, kochany ten człowiek wziął mnie pod swoją opiekę i nazywał dawnymi imionami z dzieciństwa: „mój staruszkę”, „stary Pip”, które brzmiały w mych uszach jak muzyka. Chętnie dawałem się przez niego wprowadzać w owe dawne wspomnienia i byłem szczęśliwy. Ale teraz, mimo moich wysiłków, Joe porzucił coraz bardziej ten poufaty ton i ku wielkiemu memu zmartwieniu pojąłem, że wina jest tu po mojej stronie.

Czyż nie dałem Joemu powodu do wątpienia o mojej przyjaźni? Czyż nie miał prawa przypuszczać, że gdy wszystko będzie dobrze, stanę się chłodny i odepchnę go od siebie? Czyż nie dawałem niewinnemu sercu Joego nigdy odczuć, że w miarę jak staję się zdrowszy, jego władza nade mną słabnie, i czy nie czynił przezornie, wypuszczając mnie ze swych objęć, jeszcze zanim się sam z nich wyrwę?

Zmianę w nim spostrzegłem najwyraźniej po raz pierwszy podczas przechadzki po ogrodach Temple. Usiedliśmy w ciepłych promieniach słońca, spoglądając na rzekę, i gdy wstawaliśmy, powiedziałem:

– Patrz, Joe, jak mocno trzymam się już na nogach. Mogę chodzić bez twojej pomocy.

– Nie męcz się, Pip – prosił Joe – chociaż będę bardzo rad, jeżeli pan będzie już silny.

Ostatni ceremonialny zwrot przykro mnie uderzył, ale nie wyrzekłem ani słowa na ten temat, tylko doszedłszy do furki udałem, że już osłabłem, i poprosiłem Joego, by mnie podparł swym ramieniem. Uczynił to natychmiast, ale był głęboko zamysłony.

I ja również pogrążyłem się w zamyśleniu: zastanawiałem się nad tym, w jaki sposób mam przełamać usposobienie Joego, i nekąty mnie wyrzuty sumienia. Nie będę ukrywał, że wstyd mi było przyznać się Joemu do mej zmienionej sytuacji pieniężnej, ale wstyd ten nie był bynajmniej natury małostkowej. Wiedziałem, że zechce mi natychmiast pomóc swymi drobnymi oszczędnościami, i wiedziałem, że nie wolno mi przyjąć tej pomocy od niego.



Obaj więc byliśmy zamysłeni tego wieczora, ale kładąc się wieczorem spać powziąłem decyzję, że przeczekam dzień jutrzejszy (nazajutrz była niedziela) i zacząć wraz z następnym tygodniem nowy sposób postępowania.

Postanowiłem w niedzielatek z rana powiedzieć Joemu wszystko: co kryję w głębi duszy, dlaczego nie pojechałem z Herbertem, i miałem nadzieję, że tymi wyznaniem i przelaniem jego upór. W miarę jak moje myśli przybierały jaśniejsze kształty, to samo działało się widocznie z myślami Joeego, który robił wrażenie człowieka już zdecydowanego.

Niedziela była spokojnym dniem. Wyjechałszy powozem na przechadzkę za miasto i spacerowałem piesszo po polach.

– Szczęśliwy jestem, że byłem chory, Joe – powiedziałem.  
– Drogi, Kochany Pip, mój staruszek. Mówi się pan przecież coraz lepiej.

– Nie zapomnę nigdy czasu mojej choroby, Joe.

– I ja także tego czasu nie zapomnę, proszę pana – odparł Joe.  
– Wiem, że zapomniałem na krótką chwilę o naszych dawnych wspólnych przeżyciach – wyznałem – ale o tych nie zapomnę nigdy.

– Pip – powiedział Joe, jak gdyby nieco zdyszany i zmieszany – były dobre czasy, były. I to, co się stało, nie odświeża się, drogi panie.

Wieczorem, gdy już leżałem w łóżku, Joe przyszedł do mego pokoju, jak to czynił codziennie. Spytał mnie, czy aby na pewno czuję się tak samo dobrze jak dzisiejszego ranka.

– Tak, mój drogi Joe, tak samo.

– I będziesz codziennie silniejszy, staruszkule?

– Tak, drogi Joe, stale coraz to silniejszy.

Joe pogłaskał kódrę otulającą moje ramię i powiedział głośnie, który wydał mi się nieco ochrypły:

– Dobranoc!

Kiedy nazajutrz rano wstałem z nowymi siłami, byłem całym gotów na rozmowę z Joem bez żadnej już zwłoki. Opo-wiem mu wszystko jeszcze przed śniadaniem. Ubiorę się zaraz,

pójde do jego pokoju i zrobię mu niespodziankę. Po raz pierwszy od czasu choroby wstałem tak wcześnie. Wszedłem do jego pokoju, nie zastałem go tam. Nie było też jego kuferka.

Wpadłem więc do jadalni i na stole ze śniadaniem znalazłem list. Oto jego krótka treść:

*Nie chcę przeszkadzać, więc wyjechałem, bo i tak już masz się dobrze, drogi Pip, i będzie coraz lepiej bez*

Jo

*PS Zawsze najlepsi z nas przyjaciele.*

W liście znajdował się kwit za opłacony dług, za który miałno mnie aresztować. Do tej chwili przypuszczałem błędnie, że mój wierzyciel odłożył sprawę aż do mego powrotu do zdrowia. Nie przyszło mi nigdy do głowy, że Joe zapłacił tę sumę, ale zrobił to, a kwit był na jego nazwisko.

Cóż mi innego pozostawało, jak pojechać za nim natychmiast do starej kuźni, tam otworzyć przed nim serce, tam wyznać mu moje winy względem niego i tam opowiedzieć o tym, co nazywałem drugim bolesnym punktem, a co teraz stało się powziętym już mocno zamiarem.

Zamiar ten polegał na postanowieniu, że odnajdę Biddy, że wyjaśnię jej, jak pokornie przyjechałem ją przeproszać, że opowiem jej, w jaki sposób straciłem to wszystko, co było moją nadzieją, że przypomnę jej nasze wspólne zwierzenia w dawnych czasach. Potem jej powiem: „Biddy, moje zbląkane serce odwróciło się niegdyś od ciebie, a mimo to zdaje mi się, że wtedy lubiłaś mnie bardzo. Jeżeli teraz możesz choć w połowie tak mnie lubić jak wtedy, jeżeli możesz mnie wziąć ze wszystkimi moimi błędami i wadami, jeżeli możesz mnie uważać za zbląkanego dziecko, któremu się przebacza (bo doprawdy w moim zmar-twienu trzeba mi, jak dziecku, dobrej, łagodnej i pełnej wybaczenia ręki), to mam wrażenie, że teraz jestem już trochę więcej ciebie wart niż wówczas. Jeszcze nie całkiem wart, ale trochę więcej. I Biddy, od ciebie jednej będzie zależało, czy będę pra-

cować w kuźni Joego, czy zajmę się inną pracą w ojczyźnie, czy też razem wyjedziemy do dalekiego kraju, gdzie czeka na mnie inny zawód, który odrzucifem, nie wiedząc, jaką dasz mi odpowiedź. A teraz, Biddy, jeżeli powiesz, że chcesz jechać ze mną w świat, to z pewnością uczynisz go lepszym, ze mnie zrobisz lepszego człowieka, a ja będę się starał ze wszystkich sił, aby świat uczynić z kolei lepszym dla ciebie”.

Taki był mój zamiar. Po upływie trzech jeszcze dni odpowiedziałem w rodzinne strony, aby wykonać to, co sobie zamierzyłem.

Jak się to stało, opowiem, i będzie to już wszystko, co mam do opowiedzenia.

## Rozdział pięćdziesiąty ósmy



Wiadomość o zmienności mojej fortuny i katastrofie, jaka mnie spotkała, dotarła w moje rodzinne strony, jeszcze zanim tam przybyłem.

Spostrzegłem od razu, że pod „Błękitnym Dzikim” wiedzą o wszystkim, i to także, że „Błękitny Dzik” zmienił swój stosunek do mojej osoby. O ile w czasie, gdy obdarzano mnie majątkiem, byłem tu otoczony szacunkiem, o tyle teraz, gdy straciłem wszystko, wiało ku mnie chłodem.

Był już wieczór, kiedy przyjechałem bardzo zmęczony podróżą, która dawniej przychodziła mi z taką łatwością. „Dzik” nie mógł mnie umieścić w mojej zwykłej sypialni, gdyż pokój okazał się zajęty (zapewne przez kogoś, kto miał nadzieję) i oberża mogła mi służyć tylko bardzo marnym pokoikiem w głębi podwórka pomiędzy gołębnikami, nad wozownią. Mimo to spałem tam równie głęboko jak w najwspanialszych apartamentach „Błękitnego Dzika”, a sny moje także z tego powodu nie ucierpiały.

Wczesnym rankiem, w czasie gdy przyrządzano mi śniadanie, poszedłem przejść się w stronę willi „Satis”. Tu ujrzałem przytwierdzone do ogrodzenia i do dywaników wywieszonych w oknach ogłoszenia o licytacji ruchomości znajdujących się w domu. Sam dom miał być także sprzedany na rozbiórkę jako stare materiały budowlane. Zabudowania podzielone zostały na części, a na każdej z nich wypisano wapnem numer. Numer

pierwszy widniał na starym browarze, numer drugi na środkowym skrzydle domu, zamkniętym na głucho od tak dawna. Inne numery widać było na innych częściach domu, z którego murów dla ułatwienia zdarto pnące bluszczu; zwisały zaśośnie na pół już uwiedle w kurzu przydrożnym.

Wszedłem na chwilę przez otwartą bramę i gdy się rozglądałem niepewnie, jak przygodny nieznajomy, zobaczyłem komornika licytacyjnego, który liczył beczki i dyktował liczby drugiemu. Tamten zapisywał je do notatnika, używając przy tym zamiast biurka, wytrzuconego na podwórze, fotela na kółkach, tego samego, który tyle razy popychałem, śpiewając przy tym „Starego Kłema”.

Powróciwszy na śniadanie do gospody, zastałem tam Pumblechooka w rozmowie z gospodarzem. Pumblechook (nie wyglądał lepiej od czasu swej ostatniej przygody), widząc mnie, przemówił tymi słowami:

— Młody człowieku, przykro mi, że upadł pan tak nisko. Ale czy można było spodziewać się czegoś innego? Czy można było spodziewać się czegoś innego?

Wyciągnął ku mnie dłoń gestem, który wybacza, a ja byłem zbyt jeszcze osłabiony chorobą, by móc zaprotestować. Podąłem mu rękę.

— William — powiedział Pumblechook do kelnera — podaj butki na stół. Do tego doszło! Do tego doszło!

Zasiadłem do śniadania ze ściągniętymi brwiami. Pumblechook stał nade mną i nalewał mi herbatę (zanim zdążyłem dotknąć imbryczka) z miną człowieka, który zdecydował się być wiernym do końca.

— William — przemówił teraz Pumblechook żalobnym tonem — podaj sól. — I zwrócił się do mnie: — W szczęśliwszych czasach lubił pan, zdaje się, cukier? I dolewał pan sobie mleka? Tak, dolewał pan. Cukier i mleko, proszę, William, przynies też sałatę.

— Dziękuję — urwałem krótko — nie jadam sałaty.

— Nie jada pan — powtórzył smutnie Pumblechook kiwając głową, jak gdyby chciał tym gestem wyrazić, że tego można się

spodziewać po człowieku, który tak nisko upadł. — To prawda, to tylko prosty produkt ziemi. William, nie potrzeba sałaty.

Jadłem dalej śniadanie, a Pumblechook stał nade mną, świdrując mnie rybimi oczkami i dysząc mi głośno nad uchem.

— Co z niego zostało? — mruknął Pumblechook. — Skóra i kości. A przecież, gdy opuszczał to miasto (mogę powiedzieć, że z mym błogosławieństwem) i kiedy częstowałem go moimi skromnymi zapasami, niczym pszczołka, to był pulchny jak dojrziała brzoskwinia.

Tu uprzytomniłem sobie różnicę, jaka zachodzi pomiędzy jego pokornym zachowaniem się w czasach, gdy mi się szczęściło, i jego natrętnym „Czy wolno mi...?”, a obecną pogardliwą tagodnością, z jaką rozposcierał przede mną swe tłuste pięć palców.

— Ha! — powiedział, podając mi chleb z masłem. — A teraz idzie pan do Józefa?

— Na miłość boską! — wybuchnąłem, nie mogąc się już dłużej powstrzymać. — Co pana to obchodzi, dokąd ja idę? Niech pan zostawi w spokoju ten imbryk z herbatą!

Popelnilem okropny błąd wybuchając, gdyż w ten sposób dałem Pumblechookowi okazję, na którą czyhał.

— Tak, młody człowieku — oświadczył, puszczając ucho wspomnianego naczynia, cofając się o krok od stołu i mówiąc wyraźnie na użytek oberzysty i kelnera, stojących przy drzwiach.

— Zostawię w spokoju ten imbryk. Masz słusność, młody człowieku. Raz przynajmniej masz słusność. Zapomniałem się, gdym się interesowałem tym śniadaniem w zbroznej chęci odzwienia twego wycierpanego rozpusztą ciała zdrowymi produktami twoich przodków. A mimo to — mówił Pumblechook, zwracając się do oberzysty i kelnera i wskazując mnie ramieniem wyciągniętym ma całą długość — z nim to przecież igrasem w chwilach jego szczęsnego dzieciństwa. Nie mówcie mi, że to niemożliwe. Powiadam wam, to był on.

Odpowiedział mu cichy pomruk tych dwóch. Zwłaszcza kelner zdawał się być poruszony.

— To jego wozikiem w mym powoziku — mówił Pumblechook.

sobie, że moje strony rodzinne są piękniejsze niż kiedykolwiek. Rozmyślałem też o tym, że mieszkając tutaj, stanę się o wiele lepszy. Zwłaszcza że będę miał u boku dobrą, wierną istotę, której prosta wiara i domowa mądrość będzie mnie prowadziła. Zbudziła się we mnie gorąca czułość: serce moje złagodniało pod wpływem powrotu do domu i czułem się jak ów człowiek, który po latach wędrówek po obcych ziemiach powraca bosy do ojczyzny.

Nie widziałem nigdy szkoły, w której Biddy była nauczycielką. Zaprowadziła mnie do niej kręta ścieżyna, którą szedłem wśród pól. Byłem rozczarowany przypomniałszy sobie, że to święto, i widząc, że szkoła i mieszkanie Biddy są zamknięte i puste. Musiałem pożegnać się z nadzieją, że ujrzę Biddy przy jej codziennej pracy, zanim jeszcze ona mnie spostrzeże.

Ale kuźnia znajdowała się o kilka kroków stamtąd, więc szedłem w jej kierunku pod młodymi zielonymi lipami, nasłuchując odgłosu młota Joego. Zdawało mi się, że dźwięczy ten głos, ale po chwili wiedziałem już, że panuje zupełna cisza. Lipy stały na swoim miejscu. Rosły też tarniny, osypane białym kwieciem, i kasztany, których listki szmerzały harmonijnie, gdy się zatrzymałem nasłuchując, ale panowała cisza: nie słysząc było młota Joego w wietrzyku letnim.

Lękałem się, sam nie wiedząc czemu, widoku kuźni, ale oto już ją ujrzałem. I kuźnia okazała się zamknięta. Nie było w niej blasku ognia ani deszczu iskier, ani odgłosu miechów. Wszystkie zastygło w bezruchu.

Dom jednak nie był opuszczony, a nawet w odświętnej bawialni musiało pulsować życie, gdyż białe franki fruwały przy otwartych oknach i widać było kwiaty w doniczkach. Podszedłem ostrożnie, by zajrzeć między doniczkami do wnętrza, gdy zjawili się przede mną Joe i Biddy. Szli pod rękę.

Biddy wydała okrzyk na mój widok i zaraz znalazła się w moim objęciu. Płakałem, widząc ją, i ona płakała, patrząc na mnie. Ja, bo wyglądała tak świeżo i ślicznie, ona, bo wyglądała tak blade i mizerne.

– Ależ kochana Biddy, jakaś ty wytworna!  
– Tak, kochany Pipie.

– I Joe, jakiś ty wytworny!

– Tak, kochany mój Pipie, staruszkę drogi.

Patrzyłem to na jedno, to na drugie, gdy...

– To dzień mojego ślubu! – zawołała Biddy w wybuchu radości. – Jestem żoną Joego!

Zabrali mnie do kuchni, tam położyłem głowę na starym stole. Biddy przyciskała moją rękę do warg, a Joe położył swą krzepiącą dłoń na moim ramieniu.

– Jeszcze jest za słaby na takie niespodzianki – rzekł Joe.

A Biddy odparła:

– Powinnam była o tym pamiętać, ale taka jestem szczęśliwa...

Byli oboje tak uradowani tym, że mnie widzą, tak dumni ze mnie, tak wzruszeni tym, że ich odwiedziłem, tak zachwyceni tym, że właśnie zjawili się u nich tego dnia, by nic nie brakło do ich szczęścia!

Moją pierwszą myślą była ulga, że słowa nie pisałem Joe-mu o tej mojej ostatniej zawiedzionej nadziei. Ileż to razy, gdy był przy mnie w czasie mej choroby, zwierzenie to cisnęło mi się na wargi. Gdyby został przy mnie jeszcze bodaj godzinę dłużej, byłbym mu powiedział i byłoby to już nie do odwołania!

– Droga Biddy – oświadczyłem – masz najlepszego męża na świecie. Gdybyś go była widziała czuwającego przy moim łóżku, to może... nie, nie mogłabyś go chyba kochać bardziej niż teraz.

– Nie mogłabym, istotnie – potwierdziła Biddy.

– I kochany mój Joe, masz najlepszą żonę na świecie, uszczęśliwi cię ona tak, jak na to zasługujesz, ty dobry, szlachetny, drogi mój Joe!

Joe spojrział na mnie, wargi mu zadrzały i rękawem otarł oczy.

– Joe i Biddy, byliście dzisiaj w kościele, jesteście pełni miłości, przebaczenia i dobroci dla ludzi, przyjmijcie więc moje pokorne dzięki za to, coście dla mnie uczynili i co wam odpląciłem

taką niewdzięcznością! Za godzinę was opuścę, wyjeżdżam za granicę, będę tam ciężko pracował i odeślę wam te pieniądze, którymi Joe wykupił mnie od wzięcia za długi podczas mej choroby. Ale nie myśl, kochana Biddy, i nie myśl, drogi Joe, że zwracając wam te grosze, odkupię choć w części dług, jaki mam wobec was. Bo gdybym oddał go nawet tysiącrotnie, jeszcze nie spłaciłbym groszka z tamtego wobec was zobowiązania.

Rozczuliły ich te moje słowa i błagali mnie, bym przestał już mówić w ten sposób.

— Ależ muszę jeszcze mówić. Kochany Joe, spodziewam się, że będziecie mieli dzieci, które będziecie kochali, i że w tym oto kącku przy kominku zasiądzie pewnego wieczora chłopiec, który przypomni ci innego chłopca: tego, co opuścił na zawsze ten dom. Nie mów mu, Joe, że byłem niewdzięcznikiem. Nie mów mu, Biddy, że byłem niesprawiedliwy i że nie umiałem okazać hojności. Powiedźcie mu tylko, że czciłem was za waszą dobroć i za waszą wierność i że on, jako wasze dziecko, powinien być lepszy ode mnie.

— Nikt nie powie mu nic złego o tobie — oznajmił Joe zza swojego rękawa — ani ja, ani Biddy, ani nikt...

— A teraz, chociaż jestem pewien, że w dobroci swych serc jużście to uczynili, powiedźcie mi, że mi wybaczacie! Powiedźcie to głośno, abym mógł dźwięk tych słów zabrać ze sobą, abym uwierzył, że mi ufacie i że będziecie odtąd lepiej o mnie myśleli.

— Kochany stary mój Pipie, staruszkę najdroższy — powiedział Joe — Bóg wie, że ci wybaczam z całego serca, jeżeli w ogóle mam ci cośkolwiek do wybaczania.

— Amen! Bóg świadkiem, że i ja to czynię — zawtórowała Biddy.

— A teraz pozwólcie mi wstąpić na górę do mego małego pokoiku i pozostać tam samemu przez kilka chwil. Potem zejść na dół, zjem i wypiję z wami i pójdę, a wy odprowadźcie mnie do drogowskazu. Tam się pozegnamy, drogi Joe i kochana moja Biddy!

Sprzedatem wszystko, co do mnie należało, zebrałem, ile mogłem pieniędzy i ułożyłem się z mymi wierzycielami, którzy wyznaczyli mi dalekie terminy na spłacanie reszty długów. Zaraz potem wyjechałem do Herberta. Upłynął miesiąc od mej wizyty u Joe'go, a już znajdowałem się za granicami Anglii, upłynęły dwa, a byłem już urzędnikiem w firmie Clartiker i Ska, a w cztery miesiące później objąłem odpowiedzialne stanowisko. Belka nad sufitem w salonie domu w Mill Pond Bank przestała drżeć pod wpływem wrzasków i ryków Billa Barleya i Herbert pojechał do Anglii, by poślubić Klarę, a przez ten czas ja pozostałem jako jedyny odpowiedzialny pracownik filii na Wschodzie.

Upłynęło jeszcze wiele lat, zanim zostałem wspólnikiem firmą, ale mieszkaniem spokojnie i szczęśliwie z Herbertem i Klarą, spłacałem długi i utrzymywałem stałą korespondencję z Joem i Biddy. Dopiero gdy nazwisko moje jako trzeciego wspólnika zjawiało się na szyldzie firmy, stary Clartiker powiedział Herbertowi całą prawdę o jego współnictwie. Mówił, że tajemnica ta od dawna mu ciążyła na sumieniu i że musi wreszcie ją wyznać. Ujawnił więc wszystko, a Herbert był równie wzruszony, jak zdumiony, i kochany chłopak stał się jeszcze lepszym niż dotychczas moim przyjaciелеm.

Nie mogę twierdzić, żeby firma nasza była potężna i żebyśmy ciągnęli z niej majątek. Nie robiliśmy wielkich interesów, ale przedsiębiorstwo nasze odznaczało się uczciwością i zarabialiśmy dość na utrzymanie.

Zawdzięczaliśmy tak wiele rozumowi i pilności Herberta, że wierzyć mi się nie chciało, iż niegdyś wątpliłem o jego zdolnościach, i przyszło mi do głowy, że to raczej ja byłem niezdolny, a nie on.

## Rozdział pięćdziesiąty dziewiąty



Od jedenastu już lat nie widziałem Joego ani Biddy cielesnymi oczyma – choć wiele razy oglądałem ich na Wschodzie w wyobraźni – i oto pewnego grudniowego wieczora, w godzinę lub dwie po zapadnięciu ciemności, położyłem dłoń na klawce starych drzwi kuchennych. Otworzyłem je tak cicho, by nie być usłyszanym, i zajrzałem do wnętrza.

Tuż przy kuchennym kominie na swym dawnym miejscu siedział Joe, paląc fajeczkę. Był tak samo czerstwy, tak samo barczysty, chociaż już posiwiatł. Tuż obok niego, oddzielony jego wyciągniętą nogą od reszty pokoju, na moim małym starym taborecie, patrząc w płomienie ogniska... siedziałem ja sam!

– Nazwaliśmy go imieniem Pip na twoją pamiątkę, staruszkę – powiedział Joe zachwycony, gdy zasiadłem na drugim taborecie obok chłopca (nie wicherzyłem czupryny!) – nazwaliśmy go tak w nadziei, że będzie do ciebie podobny. I zdaje się, jest podobny.

I mnie się tak wydawało, i nazajutrz rano zabrałem go na przechadzkę, przeprowadziłem z nim długą rozmowę i rozumieliśmy się doskonale. Zaprowadziłem go na cmentarz, posadziłem na pewnym nagrobku, a on spoglądał na mnie z wysokości płyty kamiennej, poświęconej pamięci „Filipa Pirripa, nieboszczyka z tej parafii, a także Georgiana, małżonki powyższego”.

– Biddy – zwróciłem się do niej podczas poobiedniej rozmowy,

wy, gdy jej mała dziewczynka spała na jej kolanach – musisz mi oddać Pipa albo przynajmniej wypożyczyć go na czas jakiś.

– Nie, nie – odparła łagodnie Biddy – powinienes się ożenić. – Herbert i Klara też tak mówią, ale ja nie sądzę, by to nastąpiło, Biddy. Przywykłem do ich domu niczym prawdziwy stary kawaler.

Biddy spojrzała na swoje małeństwo, wzięła jego rączkę, podniosła do swych warg, a potem tą samą macierzyńską dłońią dotknęła mojej. Było coś w tym ruchu, w dotknięciu obrączki Biddy, co miało wielką wymowę.

– Kochany Pipie – szepnęła Biddy – czy jesteś pewien, że nie cierpisz już z jej powodu?

– Och, nie, nie sądzę, Biddy.

– Powiedz mi, jak starej przyjacielce: nie myślisz już o niej nigdy?

– Moja kochana Biddy, nie zapomniałem nic z tego, co mi się wydarzyło w życiu ważnego, a prawie nic z tego, co w ogóle przeżyłem. Ale tamto moje biedne marzenie, o którym mówisz, rozwiało się już zupełnie. Bez śladu, Biddy.

A mimo to, w chwili gdy wymawiałem te wyrazy, układałem sobie, że tegoż wieczora odwiedzę sam starą willę, tylko po to, by odświeżyć sobie wspomnienie o Estelli. Tak, pojedę tam tylko dla Estelli.

Słyszałem o niej, że żyła bardzo nieszczęśliwie z mężem, że rozeszła się z nim, gdyż traktował ją brutalnie, że człowiek ten miał opinię niegodziwca, brutala, skapca i obtudnika w jednej osobie. Słyszałem potem o śmierci jej męża, który zginął w wypadku z koniem na skutek brutalnego potraktowania zwierzęcia. Śmierć męża wyzwoliła od niego ostatecznie Estellę przed dwoma laty. Nie wiedziałem, czy nie wyszła już drugi raz za mąż.

Obiad był w domu Joego tak wczesny, że bez skręcania rozmowy z Biddy mogłem dotrzeć do starej willi jeszcze przed zmierzchem. Ale drogę przebywałem bardzo powoli, rozglądając się na wszystkie strony, poznając dawne okolice i oddając się wspomnieniom. Dotarłem tam więc, gdy się już ściemniało.

Nie było już domu ani browaru, ani żadnego budynku, wszystko rozebrano prócz muru okalającego ogród. Opustoszałe po rozbiorce budynków miejsce otoczone było wysokim parkanem; przez szczeliny w nim mogłem dojrzeć, że stary bluszcz, który niegdyś oplatał willę, i teraz pnie się zielenią po ruinach. Furka w parkanie była uchylona. Wszedłem.

Księżyc jeszcze nie wzeszedł, by rozproszyć zimną srebrną mgłę, która tego popołudnia otuliła okolice, ale już świtało. Gwiazdy mrugały przez mglistą zasłonę i wieczór nie był ciemny. Mógłbym nakreślić dokładnie miejsce, na którym wznosiła się niegdyś willa i miejsce starego browaru, parkanu i stosu beczek. Uczyniłem to w myśli i patrzyłem teraz w opuszczony ogród, gdy nagle ujrziałem tam jakąś postać.

Postać ta zdawała się mnie spozstrzeżać, gdym podchodził, poruszyła się w moim kierunku i zatrzymała w miejscu. Gdy się zbliżyłem, poznałem, że to kobieta. Zawahała się, jak gdyby chcąc uniknąć spotkania, i nagle zadržała, jakby zdumiona, i zawołała moje imię. Krzyknąłem:

– Estella!

– Zmieniliam się ogromnie. Dziwne też, żeś mnie poznał.

Istotnie, świeżość jej urody uleciała, ale pozostał jej nieopisany urok i nieopisany wdzięk. Było w niej także coś, czego nie znałem: smutny i jak gdyby przyćmiony i złagodniały blask jej niegdyś tak dumnie spoglądających oczu. Po raz też pierwszy po przyjaźnielsku dotknęła mnie dłońią, która dawniej była tak nieczuła.

Usiedliśmy na pobliskiej ławce i wówczas powiedziałem:

– Jakie to dziwne, że po tylu latach spotkałimy się znowu w tym miejscu, gdzieśmy się poznali. Czy często tu bywasz, Estello?

– Nie byłam tu jeszcze nigdy od tamtego czasu.

– Ani ja.

Księżyc zaczął wschodzić, a ja ujrziałem nagle przed sobą oczy utkwiłone nieruchomo w białym suficie szpitalnym, oczy zagasłe na zawsze.

Księżyc zaczął wschodzić, a ja poczułem na mej ręce uścisk tamtej dłoni, w chwili gdy wymówiłem ostatnie słowa, jakie usłyszał umierający na ziemi.

Estella pierwsza przerwała to milczenie.

– Od dawna chciałam tu przyjechać i odwiedzić te biedne miejsca, ale zawsze stało mi coś na przeszkodzie.

Srebrzystą mgłę musnęły teraz pierwsze promienie księżycy i te same promienie zabłyśły w tżach, które kapały jej z oczu. Nie spostrzegłszy, że widzę jej płacz, powiedziała spokojnie:

– Pewnie się dziwisz, przechadzając się po tych miejscach, dlaczego są tak opuszczone?

– Tak, Estello.

– Ten grunt jest moją własnością. Obecnie jedyną, gdyż wszystko inne przepadło w ciągu tych lat. Nie mogłam obronić reszty, ale tego kawałka ziemi broniałam zaciekle.

– Czy będą tu coś budowali?

– Tak, wreszcie będą budowali i właśnie przybyłam tu, by pożegnać przedtem te miejsca. A ty? – spytała głosem, który mnie, samotnego wędrowca, zadziwił serdecznością – czy wciąż mieszkasz za granicą?

– Tak, wciąż jeszcze.

– Powodzi ci się dobrze, spodziewam się?

– Pracuję bardzo ciężko na własne utrzymanie... więc mogę powiedzieć, że powodzi mi się dobrze.

– Często myślałam o tobie – wyznała Estella.

– Doprawdy?

– Ostatnio bardzo często. Był długi czas, kiedy odsuwałam od siebie myśl o tym wszystkim, co było i co odrzucałam, nie doceniając wartości. Ale od chwili kiedy nie mam obowiązku zapominania o tamtych sprawach, przywróciłam im miejsce w moim sercu.

– W moim sercu zawsze było miejsce dla ciebie – odpowiedziałem i po tych słowach nastąpiła między nami znowu cisza.

Wreszcie Estella przemówiła.

- Nie przypuszczalam, ze zegnajac ten zakatek, poznam  
jedenocześnie i ciebie; jestem szczęśliwa, że tak się zdarzyło.

- Szczęśliwa, że znowu się rozstajemy, Estello? Dla mnie  
rozstanie jest bolesne zawsze, a wspomnienie naszego ostatnie-  
go pożegnania wciąż tkwi we mnie, pełne smutku i bólu.

- Ale powiedziałaś mi wówczas: „Niech cię Bóg błogosławi  
i niech ci wybaczy”, - odparła z powagą Estella - a jeżeli wów-  
czas mogłeś się na to zdobyć, to teraz tym bardziej możesz mi to  
powtorzyć. Teraz, kiedy ból, który przeżyłam, stał mi się naj-  
lepszym nauczycielem i nauczył mnie rozumieć, czym było two-  
je serce. Życie złało mnie, powaliło, ale mam nadzieję, po to,  
by uczynić mnie lepszą. Bądź więc dla mnie tak samo wyrozu-  
miały i pobłażliwy, jak byłeś dawniej, i powiedz, że pozostajemy  
przyjaciółkami.

- Jesteśmy przyjaciółkami! - zawołałam, zrywając się z miejsca  
i pochylając nad nią, gdy wstała z ławki.

- I będziemy nadal przyjaciółkami, każde z osobna - odpowie-  
działa Estella.

Zamknąłem jej dłoń w mej ręce i wyszliśmy razem z tego  
miejsca ruin. I tak jak niegdyś mgły poranne unosiły się w górę,  
kiedy opuszczałem kuźnię, tak teraz rozproszyły się mgły wie-  
czorne i w szerokiej drodze świetlnej, jaką mi ukazały, zamajają  
czyła nadzieja, że nie będzie między nami cienia rozstania.



006737 2001-03-

002423 2000-11-23

2003-06-11

2004-01-27

006740

09 LIP. 2003

008876 2002-01-28

2004-06-08

006740 2001-09-17

0055362 2003-02-20

008187 2002-06-18

2004. KWL 01

002775 2002-09-26

006717 2002-09-09

2003-03-03

2004. PAZ. 07

001077 2003-05-20